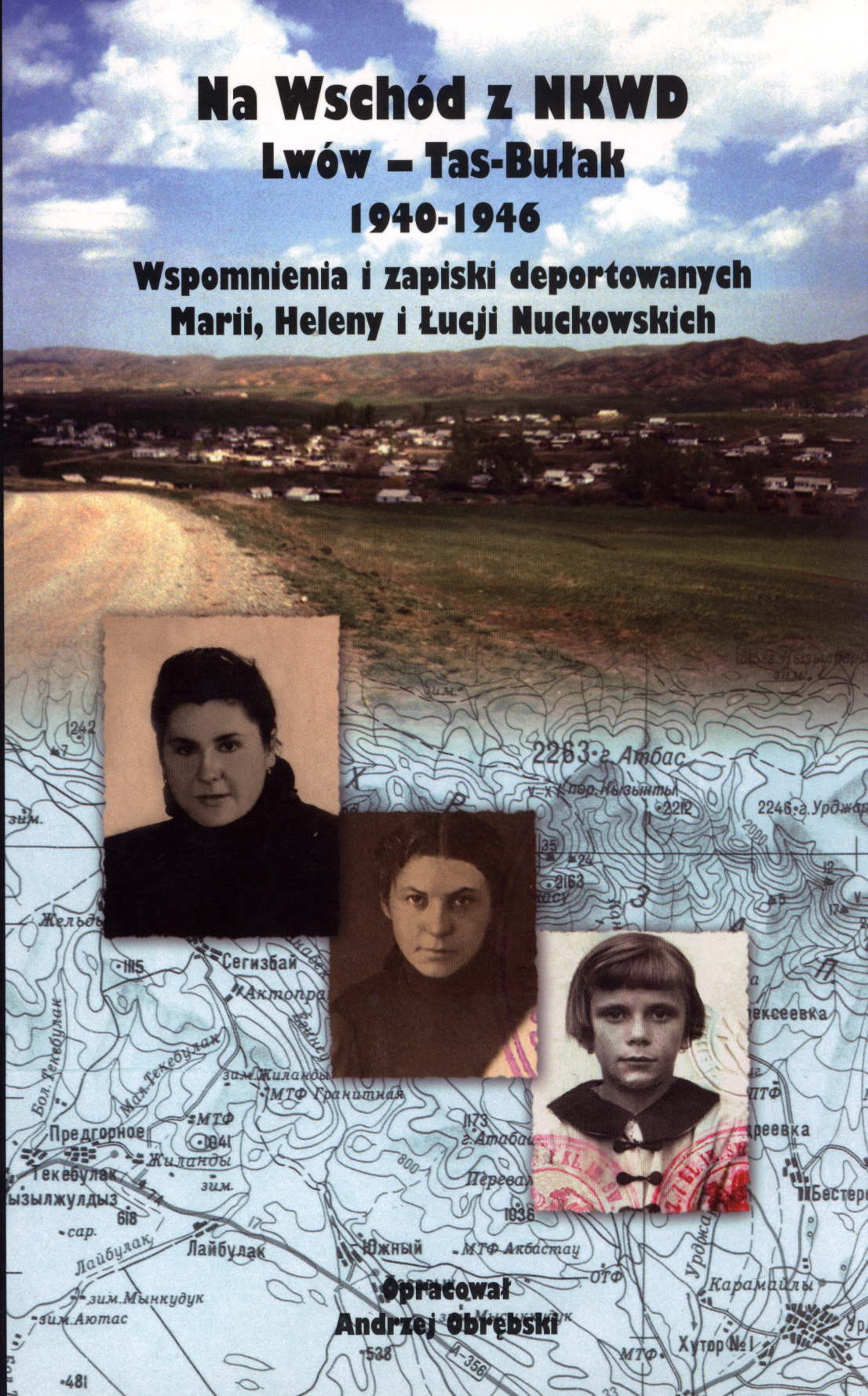


# Na Wschód z NKWD

## Lwów – Tas-Bułak

### 1940-1946

Wspomnienia i zapiski deportowanych  
Marii, Heleny i Łucji Nuckowskich



Opracował  
Andrzej Obrębski

BIBLIOTHECA IAGELLONICA. FONTES ET STUDIA  
T. 22

# **NA WSCHÓD Z NKWD**

**LWÓW – TAS-BUŁAK**

**1940-1946**



BIBLIOTHECA IAGELLONICA. FONTES ET STUDIA

T. 22

# NA WSCHÓD Z NKWD

LWÓW – TAS-BUŁAK

1940-1946

Wspomnienia i zapiski deportowanych  
Marii, Heleny i Łucji Nuckowskich

Opracował  
Andrzej Obrębski



KSIĘGARNIA AKADEMICKA  
FUNDACJA CENTRUM DOKUMENTACJI CZYNU NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO

KRAKÓW 2011



Redaktor serii:  
Zdzisław Pietrzyk

Komitet redakcyjny:  
Monika Jaglarz, Lucyna Nowak, Zdzisław Pietrzyk

Redaktor tomu:  
Andrzej Obrębski

Korekta:  
Halina Kasprzak-Obrębska, Olga Kitlińska

Projekt okładki, skład i łamanie:  
Arkadiusz Burtan

Publikacja dofinansowana przez  
Wojewódzki Komitet Ochrony Pamięci, Walk i Męczeństwa w Krakowie

© Copyright by Andrzej Obrębski, 2011

**ISBN 978-83-7638-121-3**  
**ISSN 1425-851X**

Na okładce:

s. 1: Widok od południa na Tas-Bułak (Segizbaj) i pasmo gór Tarbagataj w roku 2003,  
fotografie Auterek, od góry: Marii, Heleny i Łucji Nuckowskich  
na tle mapy sztabowej okolic Tas-Bułaku.

s. 4: Fragment mapy przedstawiający szlak kolejowy i drogowy  
od Alma Aty do Ajaguza i Urdżaru.

**BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA**  
al. Mickiewicza 22  
30-059 Kraków  
[www.bj.uj.edu.pl](http://www.bj.uj.edu.pl)

**KSIĘGARNIA AKADEMICKA**  
ul. Św. Anny 6, 31-008 Kraków  
tel./fax: (012) 43-127-43  
e-mail: [akademicka@akademicka.pl](mailto:akademicka@akademicka.pl)

ZAMÓWIENIA PRZEZ KSIĘGARNIĘ INTERNETOWĄ:  
[WWW.AKADEMICKA.PL](http://WWW.AKADEMICKA.PL)

## SPIS TREŚCI

Andrzej Obrębski, <i>Zamiast wstępu</i> .....	7
<i>Wspomnienia Marii</i> .....	9
<i>Wspomnienia Heleny</i> .....	85
<i>Pamiętnik Łucji</i> .....	209
Andrzej Obrębski, <i>Relacja z wizyty w Tas-Bulaku, Łaj-Bulaku i Urdzarze w roku 2003 Andrzeja Obrębskiego, syna Marii z Nuckowskich i Michała Meissnera, syna Łucji (Lali) z Nuckowskich</i> .....	235
Andrzej Obrębski, <i>Posłowie</i> .....	255
<i>Indeks osobowy</i> .....	263
<i>Indeks geograficzny</i> .....	269



## ZAMIAST WSTĘPU

Okupacja sowiecka i II wojna światowa dramatycznie wkroczyła do lwowskiej rodziny Józefa i Julii Nuckowskich pod koniec 1. połowy kwietnia 1940 roku. Józef został aresztowany przez funkcjonariuszy i pomocników NKWD nocą w miejscu pracy 10 kwietnia. Pracę tę podjął zgodnie z obowiązującym powszechnie zarządzeniem władz okupacyjnych, będąc już od 30 listopada 1933 roku emerytem, to jest przeniesionym decyzją nadinspektora Juliusza Geiba w stan spoczynku przodownikiem Policji Państwowej. Biorąc pod uwagę kierunki zainteresowań, które realizowali i przejawiali enkawudziści w trakcie śledztwa prowadzonego z udziałem Józefa między innymi w Czernihowie i w Kijowie, to właśnie zawodo-policyjna przeszłość była przyczyną wyroku skazującego go na dziesięć lat łagru, a także deportacji jego rodziny do południowo-wschodniego Kazachstanu, do sowchozu Tas-Bułak w rejonie urdzarskim, skąd do granicy chińskiej było i jest mniej więcej 100 kilometrów. Być może na niektóre przynajmniej pytania zadawane w tej sprawie do dziś przez córki i wnuków Józefa dałoby się odpowiedzieć, gdyby można było zajrzeć do dokumentów, o których informuje obecny w Polsce *Wykaz spraw prowadzonych przez organa NKWD Zachodniej Ukrainy i Białorusi* pod numerem porządkowym 786026, tom 362, strona 43, pozycja 6, a mianowicie, że sprawę śledczą dotyczącą Józefa Nuckowskiego UNKWD Czernihowskiej Obłasti opatrzyło numerem 29454/12862 i że dokumentów owych należy szukać w Czernihowie.

W dniu 13 kwietnia 1940 roku enkawudziści przyszli do domu na ul. 11 Listopada 21 we Lwowie po żeńską część rodziny Nuckowskich, pozwolili zabrać niewielki bagaż i bez szerszego wyjaśniania sytuacji odstawili do *eszelonu*, który stał już podstawiony na lwowskim dworcu. Po zapełnieniu wagonów ludźmi, których potraktowano tak samo jak Nuckowskie, *eszelon* ruszył w nieznaną. Enkawudziści naturalnie nie pofatygowali się, by wskazać prawdziwą stację docelową. To zaś, co mówili, prędko okazało się perfidną bajdą.

Przedstawiane czytelnikowi wspomnienia dwóch spośród czterech córek Józefa, Marii i Heleny, powstały na usilne prośby dzieci jednej z nich ponad pół wieku po szczęśliwym powrocie z deportacji bohaterek wydarzeń. Jasne jest, że taki dystans czasowy wywarł osłabiający wpływ na szczegółowość relacji.



Autorki opowiadają o wydarzeniach dziejących się w tym samym czasie, mniej więcej w tym samym miejscu i w tym samym kręgu ludzkim, ale w istocie ich opowieści nie są takie same. Autorki wprawdzie były już to obok siebie, już to w niewielkim oddaleniu od siebie, a przecież zapamiętały różne elementy z dziejącej się sekwencji wydarzeń. Czasem ich relacje są zgodne, czasem też widać, że te same fakty zarejestrowały jakby inaczej. Czytającemu dzisiaj ich wynurzenia może się nawet wydawać, że zbyt często prawią w tych wynurzeniach o banałach. Tymczasem te właśnie banały na kazachskim stepie decydowały niejednokrotnie o szansie przeżycia kolejnych dni. Dni, które z kolei wcale nie stwarzały bezpiecznej perspektywy na przyszłość. Bywał to czas, w którym kluczowego znaczenia potrafił nabrać problem zdobycia wiadra ziemniaków czy też ziarna jakiegokolwiek zboża o wadze najlepiej jednego puda, przyniesionego do domu na plecach z odległego miejsca przez jedną ze starszych Nuckowskich. Obie relacje, niepretendujące do prezentowania epickiego rozmachu, ilustrują zaciekle zmaganie się pięciu kobiet z losem, który im zgotowała Historia. Można tu od razu dodać, że na szczęście zmagania te skończyły się ostatecznie sukcesem polegającym na powrocie do Polski w pełnym składzie.

Zupełnie inny charakter mają zapiski zawarte w trzecim tekście, nazwanym przez autorkę, najmłodszą z córek Józefa i Julii – Łucję, pamiętnikiem. Pamiętnik ten jest w istocie raptularzem, na który składają się krótkie notatki sformułowane językiem nader potocznym i zapisane nieporadnym pismem. Do polskiego zapisu tych notatek tu i ówdzie wkradły się litery pochodzące z rosyjskiej cyrylicy. Trudno dziwić się tej nieporadności, bowiem autorka w dniu deportacji do Kazachstanu miała dziewięć lat i ukończyła zaledwie dwie klasy szkoły powszechnej. Pisząc, miała na uwadze wydarzenia według niej znaczące i godne uwiecznienia na papierze. Trudno powiedzieć, kiedy dokładnie zapiski zaczęły powstawać. Obecnie tego nie pamięta nawet ich autorka. Do dziś zachowały się kartki zszyte trochę bezładnie w obejmujące lata 1943–1946 trzy poszyty, w których można znaleźć sformułowane niezwykle krótko, pokazane jakby w błysku flesza wydarzenia związane ze świętami i z prozaiczną codziennością, w której pojawia się katastrofalna sprawa zgubionego przez autorkę klucza do biura *partkoma* (sekretarza komitetu partyjnego), pojawia się również informacja o znaczącym wydarzeniu, którym było otrzymanie obuwia, tj. *pimów*, pojawia się także rodzaj wzruszającej, przekazanej tylko papierowi w formie listu skargi do Ojca na rozpaczliwe warunki życia, z którymi codziennie boryka się jej rodzina i inni przywleczeni na kazachskie stopy Polacy.

Andrzej Obrębski

## **WSPOMNIENIA MARI**



O godzinie drugiej w nocy w dniu 13 kwietnia 1940 roku ktoś energicznie zastukał do drzwi wejściowych naszego domu. Słyszac nadto kroki i ruch przy bramce od ulicy, obudziłam Mamusię. Zastanawiałyśmy się przez chwilę, kto próbuje dostać się do naszego domu, ale zaraz potem usłyszałyśmy ponowne, coraz bardziej natarczywe stukanie do drzwi werandy, przez którą szło się do kuchni i pokoju, oraz brzmiące jak rozkaz wezwanie do otwarcia tychże drzwi. Wypowiedziane było chyba po rosyjsku. Teraz już nie miałyśmy żadnych wątpliwości, że sprawa jest poważna. Do pokoju za chwilę weszło trzech mężczyzn. Jeden Polak, którego nawet znałam z widzenia, i dwóch umundurowanych Rosjan. Jeden z nich był niewątpliwie funkcjonariuszem NKWD CCCP (*Narodnyj Komisariat Wnutriennych Dieł SSSR*, czyli Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich), miał około czterdziestu lat. On to powiedział nam, a właściwie zwrócił się do nas w rozkazującym tonie, abyśmy się pakowały. Ponieważ Mama i my, cztery dziewczyny, tzn. o dwa lata młodsza ode mnie Helenka, Janeczka o pięć lat młodsza oraz najmłodsza, dziewięcioletka Łucja, którą nazywałyśmy Lalą, oraz ja, najstarsza, lat dziewiętnaście, leżałyśmy w łóżkach, wydawało mi się to dziwaczne, aby, ot tak, wśród nocy, natychmiast trzeba było porzucić ciepłe łóżko i zbierać swoje rzeczy do jakiegoś tam wyjazdu. Pamiętam, że z rozbijającą naiwnością wynikłą z kompletnego zaskoczenia zapytałam Rosjanina, czy pojedziemy teraz, zaraz, i czy muszę wstać, czy też czekać będziemy na świt. On jednak stanowczo odpowiedział, że musimy się ubierać i pakować rzeczy natychmiast, że pojedziemy do Ojca.

Ojca aresztowano trzy dni wcześniej, również w nocy zabrano go z pracy, tj. z piekarni Grzegorza Górczaka, dobrego naszego znajomego, u którego Ojciec pracował jako robotnik. Górczak, nawiasem mówiąc, wraz z panią Turzańską, żoną leśniczego w lasach biskupich, byli chrześnymi Lali.

Rosjanie, gdy weszli na nasze tereny na podstawie znanego porozumienia Ribbentrop-Mołotow, zarządzili, że wszyscy mają pracować. Ojcu wydawało się, że piekarnia była miejscem jako tako bezpiecznym i nierzucającym się w oczy. Rytm pracy w piekarni usprawiedliwiał rzadsze bywanie w domu, samo miejsce sprzyjało też łatwiejszemu zaopatrywaniu się w chleb. By nie narażać się najeźdźcy, Ojciec





Rok 1935. Rodzina Nuckowskich we Lwowie przed domem przy ul. 11 Listopada 21. Od lewej: Janina, Julia, Łucja, za Łucją Maria, Józef i Helena

zatrudnił się więc w dogodnym dla siebie miejscu, choć już od kilku lat przed wybuchem wojny był na policyjnej emeryturze. Okazało się, że Rosjanie zainstalowali w piekarni polskiego komunistę, który wpuścił ukradkiem na jej teren enkawudzystów. Byli oni też naturalnie poinformowani o przygotowanych przez pracowników sposobach ucieczki z owej piekarni.

Wiedzieliśmy o radzieckich wyczynach deportacyjnych z lutego 1940. Chyba już w marcu zaczęły krążyć pogłoski o przygotowywanych przez najeźdźcę kolejnych spisach osób przeznaczonych do wywózki na Wschód. Obecność Rosjan w naszym domu i ich komendy były dramatycznym potwierdzeniem tych pogłosek. Miałyśmy się więc znaleźć w kilkudziesięciotysięcznej grupie *administratiwno-wysłannych* do Kazachstanu.

Jeden z enkawudzystów przekonywał, że pojedziemy do Ojca... Jasne, że nie wierzyłam mu. Dziejące się wydarzenia wydawały mi się dziwaczne i właściwie nierealne. Były jak sen, który za chwilę powinien się skończyć. Pamiętałam, że gdy po aresztowaniu Ojca poszłyśmy obie z Helenką do prokuratora, aby się dowiedzieć, za co go aresztowali i co mu zarzucają, nie tylko niczego nie dowiedziałyśmy się, ale wręcz okłamano nas, że za trzy dni sprawa się wyjaśni. No i faktycznie wyjaśniła się.

Przyszli i nas wywieźć w nieznaną. Zaiste naiwną i łatwowierną byłam dziewczyną. Przez cały czas wyobrażałam sobie, że sprawa Ojca wyjaśni się prędko i prędko wróci On do domu. Tak właśnie myślałam. Kompletnie zabrakło mi przenikliwości w ocenie wydarzeń dziejowych. Tylko skąd ja miałam ją mieć...?

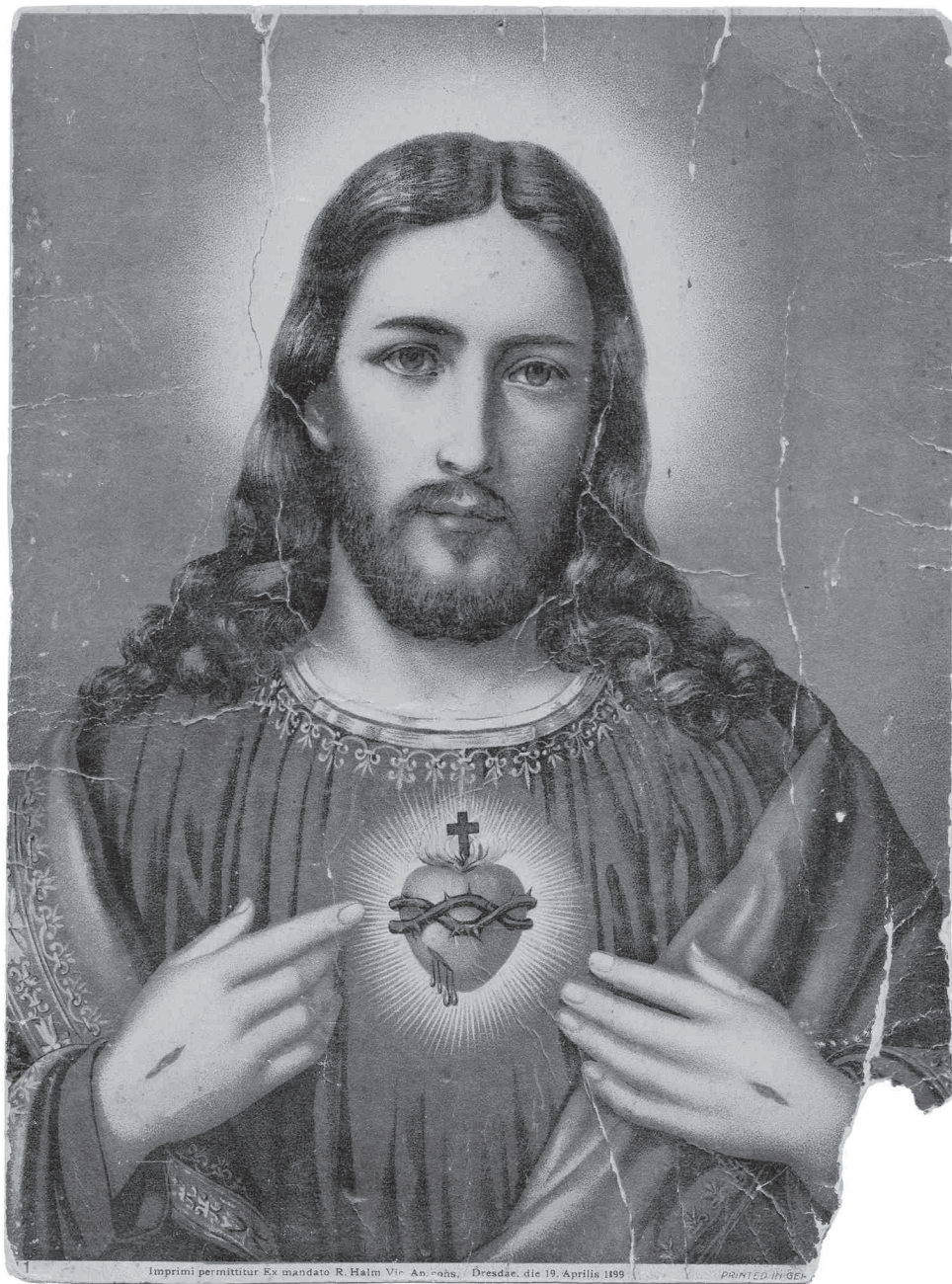
Zostałyśmy siłą faktu zmuszone do wstania i rozpoczęliśmy pakowanie naszych rzeczy. Nie było żadnych płaczów. Nie było widowiska. Nie miałyśmy żadnych skrzyń ani walizek, które wtedy przydałyby się. Do jakiegoś znalezionej naprędce worka czy bodaj worków wygarniałyśmy trochę na oślep bieliznę i rzeczy z szaf. Zabrałyśmy też troszkę zapasu żywności: półtora bochenka chleba (akurat tyle go było w domu), rondel do pieczenia drobiu wypełniony smalcem, woreczek fasoli (może 15 kg) i parę kilogramów mąki. Drugi z żołdatów wyraźnie przejawiał jakby ludzkie uczucia. Jawnie dezawuował informacje swojego towarzysza, gdy tylko ten się oddalił. Wprost powiedział, że nie będzie żadnej jazdy do Ojca. Pozwolił nam wziąć chodnik z podłogi i święte obrazy, ale wzięłyśmy pościel i niewielki obraz Serca Pana Jezusa, który przetrwał czasy kazachskie i czasy komunistyczne w Polsce. Wciąż go mam. Wzięłyśmy więc wówczas niewiele, bo na niewiele pozwolono. Reszta naszego dobytku została.

Trudno mi wyjaśnić, dlaczego enkawudzista opowiadający bajki o podróży do Ojca nie pozwolił nam na przykład wziąć żadnych naczyń kuchennych. Mówił, że tam, dokąd pojedziemy, dostaniemy wszystko, co będzie niezbędne. Co Janeczka wrzuciła do worka jakiś garnek, to on natychmiast kazał go wyjąć. Pojechaliśmy więc bez żadnych garnków. Już w Kazachstanie kupiłyśmy od Kazachów kociołek do zawieszania nad ogniem i on służył nam przez cały czas wygnania. Faktycznie, garnki nie były popularnymi przedmiotami, jak się potem okazało, gdyż często nie było czego w nich gotować.

Na podwórze przed domem zajechała platforma zaprzężona w dwa tęgie konie. Na tę platformę wносиłyśmy pełne, zawiązane worki. Z pobliskiego kościółka przyszedł rano ksiądz, który przyjaźnił się z naszym Ojcem. W jego obecności spisano nasze ruchomości i nieruchomości. Rzekomo miało się za te rzeczy coś otrzymać, ale żadnego odszkodowania za pozostawione mienie do dziś nie otrzymałyśmy. Mały nasz piesek, mieszaniec foksteriera z jamnikiem, cały czas okropnie ujadął i trzeba go było zamknąć w toalecie na dworze. Gdy odjeżdżałyśmy, ksiądz wypuścił go stamtąd i zabrał ze sobą na plebanię.

Usadowiłyśmy się na workach zawierających całe nasze mienie, furman zaciął batem konie. Ciągnięty przez nie wóz wyjechał na szosę i potoczył się równo w stronę Dworca Głównego.

Do dworca we Lwowie było od nas mniej więcej pięć kilometrów. Dzień był pochmurny i zimny, spotykani ludzie patrzyli na nas z zaciekawieniem. Wiedzieli, że nie jest to zwykła przeprowadzka, lecz wywózka. Tej jednej nocy wywieźli Rosjanie kilkadziesiąt tysięcy ludzi z miast i osiedli. Ze wsi wywożono przeważnie tych, którzy nabyli grunt z parcelacji i na nim się pobudowali. Wśród wywożonych znalazły się rodziny gajowych i leśniczych zatrudnionych w lasach państwowych.



Na stacji we Lwowie stał już pociąg złożony z co najmniej czterdziestu wagonów bydłowych, przysposobionych do przewozu ludzi w ten sposób, że poukładano w nich dwa rzędy szerokich nar. Znajdowały się one po obu stronach wagonu, jedno nad drugim. Można się było na nich ułożyć do snu. W wagonie byli już znajomi





Tiepluszka typ 1829. Wagon-ekspozycja ustawiony przed Muzeum Wojska przy ul. Kilińskiego w Białymstoku. Tak wyglądającym wagonem jechaliśmy do Kazachstanu. Fot. Rafał Hryniewski

z Batorówki i Rzęśny, a więc organista z kościoła w Rzęśnie, starszy już człowiek z żoną i dwiema dorosłymi córkami, był Antonow, emeryt z Batorówki z żoną i córką Marylą. Maryla była urzędniczką w prywatnym biurze budowlanym we Lwowie. Mieszkała i pracowała we Lwowie. Nikt jej nie zamierzał wywozić. Jednak gdy ją zawiadomiono, że rodzice są w wagonie na stacji i mają ich wywieźć, natychmiast spakowała swoje rzeczy do wielkiego kosza i kazała się dorożkarzowi zawieźć na dworzec. Tutaj musiała rozpocząć batalię o wpuszczenie do wagonu. Po słownych utarczkach z żołdatem pilnującym wagonu jakoś udało się jej dołączyć do rodziców. Nieco później dowieziono z Batorówki kobietę w średnim wieku z dwiema dorastającymi córkami oraz panią Brzezińską – młodą kobietę z dwumiesięcznym dzieckiem. Nie pamiętam, czy był ktoś jeszcze. W wagonie zrobiło się bardzo ciasno. Trzeba było siedzieć na deskach nar, które służyły równocześnie za posłanie i schodzić z nich tylko sporadycznie, raczej wedle potrzeby. Nasz wagon trudno było w istocie zaliczyć do charakterystycznego rodzaju wagonów towarowych z ogrzewaniem zwanych *tiepluszkami*, które Sowietci wykorzystywali od czasów rewolucji październikowej do transportu ludzi. Nie było w naszym wagonie po prostu owego piecyka, który pozwalałby wagon zwać *tiepluszką*.

W pewnym momencie drzwi do wagonu zostały zatrzaśnięte i zaplombowane, a przed wagonem postawiono żołdatę z bagnetem na karabinie. Ponieważ byliśmy



dużą rodziną, składającą się z pięciu osób, dano nam górną półkę w całości. Było tu więcej powietrza i miałyśmy dostęp do małego, zakratowanego drutem kolczastym okienka. Pociąg nie od razu ruszył. Stał na stacji jeszcze co najmniej dwa dni. Pamiętam, że do zamkniętego wagonu podeszła ciocia Aniela, siostra naszego Ojca. Mieszkała ona w Rzęśnie w odległości trzech czy czterech kilometrów od naszego domu. Gdy doniesiono jej o naszym losie, wzięła to, co miała z żywności pod ręką i prawie pędem przebyła dzielące ją od stacji kolejowej kilometry, aby nam przed odjazdem doręczyć przyniesione dobra. Widziałam, jak żołdat strącał ją z nasypu, gdy chciała podejść bliżej wagonu. Ona jednak nie rezygnowała. Nie wiem, co powiedziała żołnierzowi, który w końcu dopuścił ją do wagonu i zgodził się, aby nam przekazała przyniesiony węzelek. Były w nim dwa bochenki chleba, smalec w garnku oraz kilkadziesiąt rubli.

Kilka miesięcy wcześniej zakończyły się działania wojenne. Piekarnie i sklepy były zamknięte, bez wątpienia przede wszystkim z braku towaru. W sąsiedztwie naszego domu było parę sklepów, w których sprzedawano mydło po jednej kostce oraz kaszę jęczmienną. Ludzie stali w kilometrowych kolejkach z nadzieją, że ową kaszę dostaną. Było wielu uciekinierów poszukujących jedzenia. Chleb sprzedawano nieregularnie i trzeba było zwykle długo stać w kolejce, aby go dostać. U nas w domu sytuacja była nieco lepsza i skrajnego niedostatku nie było. Ojciec jako pracownik piekarni dostawał codziennie dwukilogramowy bochenek chleba. Dar cioci Anieli w zaistniałej sytuacji był niezwykle ujmującym darem serca.

Staliśmy tak zamknięci w owych bydłych wagonach kilka dni. Ten bezruch w miarę upływu czasu coraz gorzej znosiłam. Organizatorzy transportu chyba nie przewidzieli dostarczania nam żywności. Jedliśmy to, co udało się zabrać z domu. Po kilkadziesiąciu latach, które upłynęły od tamtych wydarzeń, wydaje mi się, że wodę chyba nam dostarczano lub wypuszczano po nią z wagonów po dwie osoby. Wagony wreszcie drgnęły, lokomotywa szarpnęła je tak gwałtownie, że ci, którzy siedzieli ze zwieszonymi nogami na górnych narach, pospadali z nich na podłogę wagonu. Przeżegnałyśmy się pobożnie i pomodliłyśmy się, aby Bóg nas nie opuszczał i miał nas w swojej opiece tam, dokąd nas zawiozą. Organista zaintonował religijną pieśń. Był to moment wzruszający i wszyscy płakali, nie wyłączając mężczyzn. Pociąg jechał na wschód, przejeżdżał przez przedmieście, gdzie przy torze kolejowym na nasypie stał ksiądz w sutannie i płaszczu. Dość dużym krzyżem błogosławił każdy wagon, obok zebrała się spora grupa ludzi, którzy widocznie płakali, bo manewrowali chusteczkami koło oczu. My też na ten widok nie mogliśmy się powstrzymać od płaczu, i to głośno.

Jechaliśmy dniem i nocą. Pociąg zatrzymywał się co jakiś czas, zapewne z powodów technicznych, zapewne z powodów wynikających z sytuacji na szlaku. Nikt przecież nas o takich rzeczach nie informował. W każdym razie w trakcie nieco dłuższych postojów żołnierze otwierali wagony i dwie osoby z wiadrami szły po wodę. Wodę brano z lokomotywy, była gorąca i czuć ją było smarem. Na tę wodę mówiono *kipiatok* i piło się ją zamiast herbaty. Na postojach przychodzili żołdaci, liczyli wie-



Moje zdjęcie, które podarowałam na pamiątkę Ali  
Bober 19 XI 1935 roku

zionych w naszym wagonie, a następnie przynosili głowy cukru potłuczone na małe kawałki, przeznaczone dla obecnych. Pamiętam, że zawsze otrzymywałyśmy na osobę mniej niż rodziny, w których były dwie albo trzy osoby. Podobnie postępowano z chlebem. Ot, taką mieli przypadłość rozdzielający pożywienie nadzorcy. Chleb był inny w stosunku do tego, który znałyśmy dotąd. Przede wszystkim miał inny smak, był ciemny, bardzo porowaty i miał kształt cegły, ale smakował nam doskonale, bo nic innego do jedzenia nie było.

Orientowaliśmy się, gdzie jesteśmy, bo pilnie wypatrywane były stacje i ich nazwy. Oczywiście nie wszyscy mieli tyle szczęścia, by na własne oczy oglądać świat boży, gdyż bydłący wagon miał cztery małe okienka tuż pod dachem i tylko jedna lub dwie osoby widziały mijane stacje i krajobraz wzdłuż toru. Nasz pociąg miał czterdzieści sześć wagonów i dwie lokomotywy, na-

liczyłam ich tyle, gdy szlak kolejowy przybierał formę łuku.

Mijaliśmy kolejno małe i duże miasta: Kijów, Saratow, Uralsk, Aktiubińsk, Kyzyl Orde, Czymkent, Dżambuł, Alma Ate. Zauważyliśmy, że w sowieckim raju robotników i chłopów kobiety ubierają się szaro, brzydko, bezbarwnie i wyglądają w swoich wielkich chustkach jak wrony lub inne ciemne ptaki. Gdy minęliśmy europejską część sowieckiej Rosji, w szczerym zielonym stepie, przez który przejeżdżał pociąg, urządzono nam postój z otwarciem wagonów i możliwością spaceru wzdłuż wagonów. Pierwszy raz w życiu widziałam step, pusty obszar, na którym aż po horyzont nie było żadnego wzniesienia ani zabudowania, ani drzewa. Pod wielką kopułą nieba był step, tor kolejowy, pociąg i my. Przechodząc między ludźmi, którzy wysypali się z wagonów na step, i rozglądając się w poszukiwaniu jakichś znajomych twarzy, spostrzegłam Dankę Kaliszczak, moją koleżankę z gimnazjum ss. Nazaretanek. Serdecznie się z nią przywitałam i zaczęłam naturalnie wypytywać, czy jest sama, czy też są z nią jacyś inni członkowie jej rodziny. Powiedziała mi, że jedzie z matką i młodszą siostrą. Danką była córka oficera Wojska Polskiego, który już nie żył, a ona sama działała w harcerstwie, może nawet i należała do jakiejś organizacji młodzieżowej. Ktoś ją zadenuncjował ludziom sowieckim. Spotkanie z Danką okazało się dla przyszłości bardzo ważne, bowiem Danką odegrała kluczo-

wą rolę w wydarzeniach, które w przyszłości niespodziewanie i szczęśliwie dla nas przyniosły ze sobą nawiązanie kontaktu z naszym Ojcem, będącym już w Persji. W naszym *eszelonie* znalazła się też moja dobra koleżanka Ala Bober, której przed pięcioma niemal laty wręczyłam swoje szkolne zdjęcie. Zdjęcie to zachowało się i dzisiaj mogę je pokazywać.

Tymczasem krajobraz, który ukazywał się naszym oczom, był monotony; przeważał kolor brunatny, gleba wydawała się gliniasta, nie widać było zielonej trawy. Czasem w głębokim, wyżłobionym przez rzekę jarze płynęła brudna, mętna i gliniasta woda, nie było nad rzeką żadnych szuwarów, zarośli ani krzewów. Od czasu do czasu mijaliśmy maleńkie osiedla ludzkie, składające się z paru glinianych lepianek z płaskim dachem. Wyglądały jak pudełka od zapalek, nie było przy nich żadnych drzew ani krzaków, ani płotów. Czasami wokół tych domostw bawiły się prawie zupełnie nagie dzieci. Wszystko to oraz wzmagające się gorąco i duchota w wagonie robiło na nas coraz bardziej przygnębiające wrażenie. Dopiero gdy dojechalśmy do Ałma Aty, oczy nasze spoczęły na świeżej zieleni licznych drzew, miasto przy stacji wyglądało właściwie jak wielki, piękny i dobrze utrzymany sad. Zdawało się nam, że tuż przy torze wznosi się przeogromna góra podobna do kopy siana, z tym wyjątkiem, że bardzo, bardzo wysoka.

Jazda nasza trwała pół miesiąca. Końcową stacją okazał się dla nas Ajaguz we wschodnim Kazachstanie. Wyjechalśmy ze Lwowa 13 kwietnia, na miejscu byliśmy 30 kwietnia. Wyładowywanie nas z wagonów na samochody trwało od rana do późnych godzin nocnych.

Obciążone ludźmi i ich tobołkami ciężarówki odjeżdżały niezwłocznie gdzieś w stronę dal. Naszą grupę załadowano już po ciemku i jechaliśmy przez całą noc do świtu. Pamiętam, że bardzo zmarzłyśmy. Skrzynie ładunkowe ciężarówek nie były osłonięte plandekami, noc była zimna. Mamusia wprawdzie połą swojego pluszowego płaszczka, w który była ubrana, starała się okrywać jakoś nasze nogi, ale i tak stopy piekły nieznośnie. Gdy się rozwidniło, zobaczyłyśmy, że jedziemy pustym stepem, przez który biegnie dobrze utrzymany bity gości-niec. Od czasu do czasu mijaliśmy maleńkie, gliniane domki kazachskie z płaskimi dachami. Nigdzie nie widać było drzew ani krzewów. Wreszcie samochód wjechał na jakąś boczną drogę, a po chwili ujrzyliśmy liczne zabudowania. Była to, jak się potem okazało, 3. ferma (Tiki-Bułak lub też Teke-Bułak) z dużymi, niskimi budynkami o dachach spływających prawie do ziemi. Były koszary, w których trzymano owce. Ich głośnie beczenie zagłuszało inne odgłosy. Nisko i poważnie beczały barany, wtórowały im owce-matki, między te głosy wplatało się jakieś śmieszne, w wyższej tonacji beczenie maleńkich jagniąt. Podwórze między koszarami, a było ich pewnie ze trzy albo cztery, zasłane było jakby słomą zmieszaną z owczymi odchodami, od których bił silny odór amoniaku. Spod tej podściółki widać było dobrze ubity śnieg, prawie lód. Śnieg leżał jeszcze w zagłębieniach terenu i na szczytach gór, które majaczyły w oddali. Pod ogromnym i nieograniczonym żadnym płotem podwórzu kręcili się okutani w grubą

odzież ludzie, mężczyźni mieli na głowach stożkowate czapy podbite lisim futrem, kobiety głowy okrywane miały szarymi, grubymi chustami.

Z samochodów, które przyjechały przed nami, a które stały w pewnym oddaleniu od miejsca naszego zatrzymania się, ludzie wyładowywali swoje tobołki. Wyglądało to w pierwszej chwili tak, jakby decydowali się na pozostanie w tym miejscu. Okazało się, że część samochodów z przybyłymi ma jechać gdzieś dalej. Dano grupie szansę decydowania. My byłyśmy w rozterce: pozostać, czy jechać dalej? Nie podobało się nam miejsce, do którego nas przywieziono, bo i co miało się podobać. Odruchowo, jakby w poszukiwaniu czegoś znośniejszego, postanowiłyśmy jechać dalej. Samochód nasz i kilka innych po jakimś czasie ruszyły w dalszą drogę, znów jechaliśmy pustym stepem aż do 2. fermy (Łaj-Bułak), która leżała przy szosie do Urdżaru, ale czterdzieści kilometrów dalej. Nie widać było żadnych osiedli ludzkich, dookoła był pusty i monotony step. Wreszcie zamajaczyły w oddali dwa rzędy wysokich i strzelistych topoli, a wśród nich cztery okazałe domy z dachem pokrytym czerwoną blachą, kilka koszar dla owiec oraz liczne domki i prowizoryczne zabudowania gospodarcze Kazachów. Była to właśnie 2. ferma – Łaj-Bułak (Kozi Klucz).

Łaj-Bułak leżał w dolinie między dwoma pasmami gór. Góry od północnego wschodu były wysokie i na wschodniej swojej części pokryte wiecznym śniegiem. Góry od południowego zachodu były niższe. Dobrze chroniły dolinę przed wiatrem i zimnem. Jak się potem przekonaliśmy, wiosna przychodziła w tym miejscu wcześniej o blisko dwa miesiące, a latem było cieplej, tak że mogły dojrzewać pomidory i arbuzy. Ferma była duża i sprawiała dosyć miłe wrażenie. Nie było żadnego płotu ani ogrodzenia, kazachskie domki przeważnie pobudowane były na zewnątrz fermy, bez uporządkowanego układu i raczej w oddaleniu od siebie.

Nasza ciężarówka i kilka innych zatrzymały się przed jednym z dużych drewnianych domów z kilkoma dwuizbowymi mieszkaniami. Każde mieszkanie miało swój ganek, na który prowadziło parę schodów. Kazano nam zdejmować z ciężarówki nasze rzeczy i wnosić do jednej z pustych izb. Była jasna, miała dwa duże okna. Podłoga z desek była czysta, najwyraźniej niedawno ją szorowano. Do tego pomieszczenia skierowano jeszcze kilka innych rodzin. Nie pamiętam dokładnie, ale wydaje mi się, że na pewno chcieliśmy ugotować jakąś zupę, stawiając garnek na kamieniach i paląc byle czym, to jest suchymi badyłami ostu, który stał jeszcze tuż za koszarami. Postanowiłam kupić mleka. Poszłam więc do jednego z domków kazachskich, była to ziemianka w 1/3 ukryta w ziemi tak, że aby do niej wejść, trzeba było zejść po kilku schodkach. Przed domem Kazach suszył skórę zdjętą z barana, była to świeża skóra, krwista i mokra, ściągnięta pewnie ze zwierzęcia zupełnie niedawno. Czułam się nietęgo, gdy już miałam zejść do mieszkania po tych schodkach, które miałam tuż przed stopami. Bałam się, że mieszkańcy domu biegli w rzeźniczym fachu zatrzaskną drzwi, gdy wejdem do środka, i przystąpią do zajmowania się mną wedle ich umiejętności. Nie rozumiałam ani słowa z tego, co do mnie mówili, pytałam ich o mleko. Uczyłam się wprawdzie przez półtora roku języka ruskiego, ale tutaj przy jego pomocy niewiele mogłam zdziałać. Wydawało mi się, że pewnie

o niebo lepiej byłoby, gdybym znała rosyjski. Gospodarze mówili po kazachsku, a mój słaby ruski był bezużyteczny. Mimika i gestykulacja w końcu ostatecznie rozstrzygnęły o moim sukcesie. Udało mi się kupić mleko, ale gdy je przyniosłam do naszego *locum* i skosztowałam, wydało mi się, że ma ten sam specyficzny zapach, który miała odzież i mieszkanie Kazachów, zapach mięsa i tłuszczu baraniego. Choć bez entuzjazmu, wszakże przymuszone okolicznościami podzieliłyśmy się nim. Na fermie oprócz Kazachów byli Rosjanie, do których mieliśmy jakby większe zaufanie. Przypominam sobie, że któryś z nich powiedział nam, żebyśmy starały się pozostać w Łaj-Bułaku, gdyż jest w nim lepiej niż na północnych fermach.

W Łaj-Bułaku byliśmy dwa dni, przez ten czas nikt z *naczalstwa* nami się nie interesował, nie pytano się nas, co jemy i czy mamy jeszcze jakieś zapasy. Ludzie jedli to, co mieli, gotowali zupy na wolnym powietrzu. Ci, którzy nie mieli już żadnych wiktuałów, starali się kupić je u miejscowych. Podczas tych zaprawionych niepokojem o przyszłość improwizowanych zabiegów aprowizacyjnych zajechały na fermę podwozy zaprzężone w woły. Powozili nimi Kazachowie ubrani w ogromne czapy lisie, baranie kożuchowe kurtki i spodnie. Wszyscy mieli charakterystyczne krzywe nogi obute w buty z długimi aż po kolano cholewami. Przepasani byli szerokimi pasami skórzanymi ozdobionymi srebrnymi ćwiekami. Przy boku każdego z nich wisiał krzywy nóż w pochwie ozdobionej srebrnymi kółeczkami. Przybysze mieli płaskie, ogorzałe twarze z wystającymi kośćmi policzkowymi, oczy wąskie i czarne. Każdy z nich nosił długie wąsy, opuszczone cienkimi koniuszkami ku dołowi i ostrą bródkę. Wyglądali groźnie. Okazało się, że przyjechali po nas. Przyszedł do nas ktoś z *naczalstwa*, kazał spakować nasze bagaże i *gruzić się*, jak mówił, na podwozy. Dobrze po południu byliśmy już załadowani, wyjechało w drogą kilka wozów. Ruszyliśmy pełną drogą biegnącą ukośnie w kierunku gór, do których zaczęliśmy zmierzać. Woły ciągnące wozy szły wolno, my szliśmy obok. Długo trwała ta nużąca podróż pustym stepem i prędko pomęczyliśmy się. Ściemniało się, gdy wjechaliśmy na jakąś przełęcz, była dość szeroka i przestronna. Po obu jej stronach piętrzyły się jakoś niejednakowo góry. Po lewej stronie wyglądały jak monumentalne gładkie głązy ułożone ręką olbrzyma – były tam nawet skały ułożone tak, że tworzyły ogromnego żółwia, gdzie indziej przypominały stoły. Góry po prawej stronie wyglądały inaczej, było to kilka pasm ułożonych ukośnie do przełęczy. Góry były nagie, porośnięte rzadką i ubogą roślinnością. W pobliżu żółwia nasi przewoźnicy zatrzymali się, coś tam ze sobą porozmawiali i kazali rozkładać się na nocleg. W pierwszej chwili strach nas obleciał, gdyż miejsce było pustosępne, dzikie i z całą pewnością odludne. Kazachów uzbrojonych w te swoje krzywe noże było kilku, a wśród nas nie było właściwie mężczyzn, lecz same kobiety, dzieci, kilku wyrostków. Jedyny zaś dorosły towarzysz naszej biedy był znacznie zaawansowany wiekiem. Mocno niepokojące myśli i przewidywania przebiegały nam przez głowę, ale nic się w końcu nie działo. Kazachowie pierwsi pokładli swoje derki na ziemi i tak jak stali ułożyli się do snu. My wszyscy trochę dalej też zebraliśmy się do układania pośłania w miejscu, gdzie było nieco więcej zeszłorocznych suchych traw i chwastów. Woły puszczone luzem, by odpoczęły.



Przez całą noc nie zmrużyłam oka, przede wszystkim było mi zimno. Gdy pojaśniało, Kazachowie wstali, rozniecili ogień, zagotowali wodę w czajniku, popili herbaty i zjedli po kawałku jakiegoś placka, zaprzęgli do jarzma woły i kazali pakować nasze materace i inne rzeczy na podwozy. Ruszyliśmy noga za nogą w dalszą podróż, z tym jednak, że droga wznosiła się teraz bardzo znacznie w górę. Trzeba było pomagać wołom, bo męczyły się, przystawały, a nawet zdarzało się, że dawały za wygraną i cofały się ściągane wstecz przez wóz. Kazachowie okładali je wtedy swoimi bardzo długimi rzemiennymi biczami i pokrzykiwali dziko.

Dotarliśmy w końcu do płaskowyżu. Na jego stepowej powierzchni wiła się droga. Wędrowaliśmy nią bardzo długo. Było już dobrze po południu, gdy ujrzelśmy wreszcie w dole, ukrytą niby w misce, fermę. Była to ferma Tas-Buлак (Kamienny Klucz), powszechnie zwana centralną osadą. Używano też innej nazwy miejscowości – Segizbaj (Siedmiu Panów). Wyglądała jak spora wieś. Zwracało uwagę kilka okazałych, jak na lokalne warunki, drewnianych domów krytych blachą. Resztę zabudowań stanowiły lepianki-ziemianki. Na skraju osady, może w odległości jednego kilometra od miejsca, z którego patrzyliśmy, były zabudowania, jak się wnet dowiedzieliśmy, warsztatów naprawczych. Obok nich stały trzy ładne drewniane domy z gankami. To w jednym z nich mieściła się dyrekcja sowchozu, w drugim sklep, w którym sprzedawano chleb. Wzdłuż fermy płynęła ukryta w bujnej trawie rzeczka o czystej i bardzo zimnej wodzie. Rzeczka miała nazwę – Esinsu.

Zanim zjechaliśmy w dół przed okazałym drewnianym domem, klubem, jak się potem okazało, zebrała się już spora grupa miejscowych Kazachów, Kazaszek, Rosjan i gromada ich dzieci. Wszyscy przyglądali się nam ciekawie. Pierwszy raz widziałam dzieci kazachskie z głowami strzyżonymi w taki sposób, że na skroniach zostawiano im włosy długie – cała zaś głowa była strzyżona krótko. Na głowach dzieci te miały małe czarne, ładnie haftowane czapeczki. Ich również czarne, dopasowane do figury płaszczki były ozdobione na przedzie srebrnymi małymi pieniążkami.

Młode kobiety kazachskie nosiły w uszach ciężkie, srebrne kolczyki, które obciągały im uszy, starsze miały nawet uszy poprzerywane. Te starsze kobiety nosiły na głowach zawoje z białego płótna, które nie tylko okrywały głowę, ale i twarz, tzn. czoło, skronie i podbródek. Z oczekującej nas gromady wystąpiła kobieta w średnim wieku, śmiała i energiczna Rosjanka, w jednej ręce trzymała gliniany dzbanek, w drugiej spory bochenek chleba. Powiedziała, że ten chleb i mleko daje dla tych, którzy są głodni, a zwłaszcza dla małych dzieci. Jeśli natomiast ktoś chciałby ugotować jakąś ciepłą strawę, może to zrobić na znajdującej się pod gołym niebem jej kuchence ulepionej z gliny. Propozycja zachęciła inne kobiety do zapraszania przybyłych kobiet z dziećmi do swoich domów.

Tą kobietą, która pierwsza ofiarowała pomoc, jak się potem okazało, była synowa *dieduszki* Dołgich. Pracowałam z nią potem na stepie. Była to wspaniała, odważna kobieta, uczynna i życzliwa. Ona to opowiadała mi potem, gdy pracowałyśmy razem, że zanim nas do nich przywieziono, wyświetlano o nas film w klubie. Pokazywano bogatych fabrykantów, kupców i właścicieli ziemskich, traktujących w spo-

sób nieludzki swoich pracowników, my właśnie mielibyśmy być tymi bogaczami, na których wspomnienie i widok miały zaciskać się pięści. Zadziwiona usiłowałam się nawet dowiedzieć, jak po obejrzeniu tak wstrząsającego filmu znalazła w swoim sercu owa synowa Dołgich tyle dobroci i życzliwości dla nas. Powiedziała mi wtedy, a było to już po dłuższym pobycie na fermie, że wiedziała z góry, iż to, co pokazują im, jest kłamstwem. Również jej teść, *dieduszka* Dołgich – jak się mówiło, który pracował jako księgowy w sowchozie, był sympatycznym i życzliwym nam człowiekiem. Opowiadał, że w czasie I wojny światowej zetknął się z Polakami. Miał o nich jak najlepsze wspomnienia.

Tymczasem kazano nam ulokować się w dużej sali przybytku, który miejscowi nazywali klubem. Podłoga była czysto wyszorowana, sufit ozdobiony paskami z kolorowej bibuły, a w powietrzu unosił się zapach taniego mydła toaletowego. Moją ciekawość budziły dość duże okna, które się nie otwierały. Zakwaterowaliśmy się prędko, rozłożyliśmy pościel i rozpoczęliśmy kolejny etap poniewierki.

Dokuczały nam bardzo nocne chłody. W ciągu dnia, kiedy było stosunkowo ciepło, wszak była to druga połowa maja, prałyśmy w pobliskiej rzeczce swoje rzeczy i suszyłyśmy na słońcu. Nikt się nami nie interesował, każdy żywił się we własnym zakresie. Jedni korzystali z zapasów, które wzięli z domu, inni kupowali u miejscowych, co się dało, jeśli oczywiście mieli za co. Trudny czas zaczął się dla tych, którym kończyły się pieniądze. Dowiedzieliśmy się, że w sklepiku położonym na drugim końcu osady jest chleb i można go kupić. My skorzystałyśmy skwapliwie z tej informacji i kupiłyśmy sporą jego ilość. Każda z nas kupowała dostępną ilość. Jedna osoba nie mogła być zaopatrzeniowcem dla innych. Przez jakiś czas nasz proceder kwitł, ale rychło Rosjanie zorientowali się, że Polacy wykupują chleb w zbyt dużej ilości i sprzedawać go nam zabronili. Ponieważ zabrałyśmy z domu mały woreczek mąki i trochę fasoli, codziennie w owym czasie ustawiało się na dwóch kamieniach garnek, wkładało się do niego troszkę fasoli i gotowało się ją do miękkości. W innym naczyniu zagniatą się z wodą trochę mąki i otrzymane w ten sposób ciasto rzucało jako tak zwane „rwane kluski” na tę gotującą się fasolę. W ten sposób na czystej, niesolonej wodzie (soli, niestety, nie zabrałyśmy ze Lwowa) powstawała zupa. Im bardziej czułyśmy się głodne, tym bardziej wydawała się ona pyszna. W sklepie niczego nie było oprócz chleba, paru szczoteczek do zębów i proszku. Sól w przyszłości dostawaliśmy od Kazachów za szczyptę herbaty albo kradło się ją baranom, gdy rozłożona była na wybiegach.

Pobyt w centralnej osadzie nie trwał jednak długo. Któregoś dnia kazano nam pakować rzeczy, zajechały podwozy i pojechaliśmy na północ. Oczywiście nie zabrano tam wszystkich Polaków, ale, jak się zorientowaliśmy, tylko te rodziny, w których była młodzież zdalna do pracy fizycznej. Znów jechaliśmy na wozach zaprzężonych w woły, które szły bardzo powoli i lepiej było w istocie iść koło furmanek pieszo, niż dodawać ciężaru i tak przeciążonym zwierzętom. Step jeszcze się nie zielenił, ale było sucho, a gdzieś w błękicie nieba śpiewały skowronki. Oprócz nich nie było żadnych innych ptaków.

Po kilkugodzinnej jeździe przez równinny step wreszcie ukazała się naszym oczom ferma, do której zdążaliśmy. Położona była nie w dole, jak centralna osada Tas-Buĭak, ale właśnie trochę jakby na wzniesieniu, którego północna krawędź spadała urwisto ku dość głębokiemu jarowi, na którego dnie płynęła wąska, lecz dosyć głęboka rzeczka o krystalicznie czystej i zimnej jak lód wodzie. Rzeczka ta okalała cypel, na którym leżała osada, i płynęła koło fermy z północy na południe. Na horyzoncie, od wschodu, widać było dość znacznej wysokości nagie góry, porośnięte w niższych partiach krzakami, zaś w wyższych nikłą trawą.

Od zachodu horyzont kończył się podwyższonym brzegiem wyżyny. Była tam jeszcze jedna osobliwość, mianowicie na północny wschód od fermy wznosiła się samotnie wysoka góra, a właściwie skała, która różniła się bardzo od wszystkich spotkanych dotychczas wzniesień. Była ona zupełnie bez żadnej roślinności, naga i błyszcząca, jakby polakierowana ciemnym lakierem. Góra ta zmieniała kolor zależnie od tego, jak świeciło słońce. W dzień była cała szara, przed zachodem słońca miała kolor czerwony, czy raczej purpurowy, gdy słońce zachodziło mieniła się fioletowo. Napawała mnie ona jakimś lękiem. Niepokoił jej milczący ogrom, będący, jak się wydawało, tuż tuż, a przecież musiała ona być oddalona o dziesiątki, a może i setki kilometrów. Wydawała się martwa, nie widać było na niej ani roślin, ani zwierząt, ani ptaków. Wyglądała jak coś niezmiennego i okrutnego. Nigdy nie byłam w bezpośrednim jej sąsiedztwie. Miałam wrażenie, że groźnie, okrutnie i niezmiennie spogląda na nasz los, że jest nielitościwym, surowym świadkiem naszego niezrozumiałego porzucenia na bezkresnym stepie.

Na 1. fermie, na którą nas przywieziono, nie było zbyt wielu domostw. W jednym dość okazałym domu o dwóch sieniach mieszkał *uprawlajuszczy* Papazow i jeszcze trzy rodziny Kazachów, pełniących kierownicze funkcje. Drugi taki sam dom stał obok niego i miał częściowo zerwany gontowy dach. Pozostałe domostwa były marnymi lepiankami. Nie było ich więcej niż dziesięć. Na fermie była też kuźnia, w której kowalem był stary Kazach.

Domy, te okazalsze, zbudowano z niewypalonej, chyba sześciokrotnie większej od znanej nam cegły zwanej przez miejscowych *samanem*. Budynki oblepione gliną, pobielone, opatrzone dużymi oknami, robiły dobre wrażenie.

Lepianki Kazachów, które ze względu na obniżenie poziomu ich posadowienia na gruncie można było nazywać ziemiankami, zbudowano bez zachowania jakiegoś porządku przestrzennego. Poza tym jedna od drugiej stała w pewnym oddaleniu. Późniejsze spostrzeżenia utwierdzały mnie w pierwotnym wrażeniu, że ich mieszkańcy nie lubili krępować się obecnością sąsiadów. Zresztą Kazachowie mieszkali w domach tylko zimą, całe lato wraz z trzodą owiec przebywali na stepie, gdzie mieszkali w jurcie. Umieszczono nas wraz z jeszcze jedną rodziną, składającą się ze starszego małżeństwa i ich dorosłej córki, w jednej z izb w domu z zerwanym dachem. Pomieszczenie miało formę prostokąta, było stosunkowo dość obszerne w porównaniu z izbą w lepiankach, miało dwa duże, lecz pojedyncze okna, które się nie otwierały. Wzdłuż wewnętrznej ściany, mniej więcej w połowie jej długości, był piec z płytą



zrobioną ze zwykłej blachy. Piec nie miał rusztu ani drzwiczek. Izba była wysoka, może na dwa i pół metra. Miała drewnianą podłogę. Dwa kąty pomieszczenia zajęli ci Polacy, którzy wraz z nami mieszkali, my w piątkę ulokowałyśmy się w trzecim rogu. Rozłożyłyśmy przede wszystkim materace, a na nich pierzyny i poduszki tak, aby robiły wrażenie zasłanego łóżka, pozostawiłyśmy część czysto wymytej podłogi na rozłożenie pościeli na noc, abyśmy mogły się wszystkie pomieścić. Wyjęłyśmy z worków to, co miało być na co dzień potrzebne, resztę ułożyłyśmy pod ścianami, i na tym urządzenie naszego nowego apartamentu zostało zakończone.

Nieco później, był to pewnie już czerwiec, step zazielenił się i zakwitły wspaniałe kwiaty, których w Polsce, rosnących dziko, nigdy nie widziałam. Jak krwawe plamy czerwieniły się dość okazałe piwonie o pojedynczym garniturze płatków i żółto-fioletowe irysy. Step jedyny raz w roku wyglądał tak pociągająco i pięknie. Nie trwało to jednak długo. Po dwóch czy trzech tygodniach wyschły wspaniałe krzaki piwonii, ziemia pozbawiona deszczu wyschła, zbrunatniała i przy bliższym przyjrzeniu się zauważyć można było nikłe i suche roślinki zakończone mizernymi wiechami niby kłosów. Zbliżał się czas sianokosów. Kiedy ktoś mi o tym powiedział, zdziwiłam się bardzo, bo faktycznie trawy nadającej się na siano nigdzie nie widziałam. Czyżby zamierzano kosić rachityczny porost, który pokrywał brunatny step?

Przed rozpoczęciem sianokosów urządzono jeszcze strzyżkę owiec. W jednej z pustych koszar położono na ziemi w kilku miejscach po parę desek obok siebie czy też jakieś drzwi, przyszło parę kobiet i mężczyzn z nożycami. Mężczyźni wyławiali ze stada owce i ociągające się sztuki przyciągali na te zaimprovizowane stanowiska strzyży, na których działały owcze fryzjerki. Były wśród nich nie tylko Kazaszki, ale także Rosjanki. Niektóre z nich były prawdziwymi mistrzyniami. Z podziwem patrzyłam na ich sprawność. Ostrzyżone, wyglądające na żałośnie wychudzone owieczki wypuszczano na podwórze.

Kazano i nam próbować strzyżenia, ale prędko porobiły się na naszych dłoniach pęcherze od ściskania nożyc, a obrabianie jednej sztuki trwało nieznośnie długo. Wyznaczono więc nas do pracy pomocniczej. Byłyśmy z tego ogromnie zadowolone.

Przed rozpoczęciem sianokosów, które trwały nieprzerwanie aż do pojawienia się śniegu, czyściliśmy koszary dla owiec. Praca ta polegała na wycinaniu kostek zbitego i mokrego nawozu owczego z ubitego podłoża tych koszar. Wywoziło się te kostki i rozkładało na podwórzu dla wyschnięcia. Kilkakrotnie jeszcze w ciągu lata przekładało się ów nawóz podobny do torfu, aż wysechł zupełnie i stał się zdalny do palenia w piecu. Nazywano go w tej formie *kiziakiem*. Zupełnie suche kostki *kiziaku* układało się w zwarte pryzmy i z wierzchu oblepiało się świeżym nawozem krowim. Tak przygotowany *kiziak* czekał do zimy, stanowił rezerwuar opału dla biura, czyli kantory. Praca przy wyrzynaniu *kiziaku* była ciężka, wycinali go przeważnie mężczyźni, nasza robota ograniczała się do wyciągania gotowych kostek, wożenia ich na otwarty plac lub układania na ziemi i potem w pryzmy. Wszystko przesiąknięte było moczem owczym, który gryzł oczy i powodował ból głowy. Wszystkie prace

przy przygotowaniu *kiziaku* wykonywało się gołymi rękami, nie dawano nam żadnej odzieży ochronnej, obuwia i rękawic. Gdyby przypadek użycia takiej odzieży zdarzył się jakimś cudem, byłaby w tamtych stronach niezwykła sensacja.

Gdy strzyżenie owiec i czyszczenie koszar było ukończone, rozpoczęto sianokosy.

## SIANOKOSY

Do sianokosów przygotowywano maszyny i ciągniki przez całą zimę. Traktory remontowano w centralnej osadzie, gdzie były spore warsztaty. Maszyny agrotechniczne poddawano naprawie na każdej fermie we własnym zakresie. Na naszej małej 1. fermie maszyny współpracujące z traktorem naprawiał miejscowy kowal Kazach z pomocnikiem i wyznaczonymi do pomocy Polakami albo Niemcami. Wyjazdowi na sianokosy towarzyszyło zawsze jakieś jakby radosne ożywienie. My, młode dziewczyny, myślałyśmy o tym, że codziennie regularnie otrzymywać będziemy swój chleb, i to całe pół kilograma. Zawsze w głębi serca żywiłyśmy nieuzasadnioną nadzieję, że pojemy go do syta. Tak naprawdę nikt nie wierzył, że się to stanie, ponieważ pół kilograma chleba na dobę dla wygłodzonego człowieka to o wiele za mało, by poczuł się syty. Zawsze wbrew rozsądkowi miałyśmy taką nadzieję i wiązałyśmy ją z sianokosami. Inni cieszyli się, bo było to inne życie niż na fermie i traktowali koszenie trawy trochę jakby jakąś przygodę.

Od rana zbierali się traktorzyści, pomocnicy, młodzież i dzieci, wszyscy, którzy pracować mieli na poszczególnych stanowiskach. Mężczyźni kierowani byli do bardzo ciężkiej pracy przy składaniu stert, kobiety do przewracania siana, kucharka, *produktowoz* i cały sztab pracowników do obsługi traktorów i wołów, a więc ci, którzy dowozili wodę do traktorów i pastuchy wołów roboczych. Do jednego ciągnika przyczepiano budę dla traktorzystów, do drugiego małą budkę dla kucharek. W brygadzie tylko traktorzyści i kucharka spali pod dachem i w tym przejawiało się ich uprzywilejowanie. Buda dla traktorzystów mogła pomieścić do dwunastu czy trzynastu osób. Nary dla nich były umieszczone piętrowo, jedno nad drugim. Budka dla kucharki była mała, miała dwa metry długości i półtora metra szerokości. Najważniejsze jednak było to, że miała ona drzwi i można je było skutecznie zamknąć. Obie budy miały płozy i ciągnięto je jak sanie. Dużo było szumu i krzyku przy takim wyjeździe, zawsze coś się nie składało, kogoś albo czegoś nie było, ale w końcu kolumna wyruszała. Jechało się stepem dość daleko od fermy na wschód, zachód, północ lub południe od osady. Zawsze w kierunku pustkowia.

Po zarządzeniu postoju rozpoczynano wkopywanie w ziemię kotła o pojemności 30–40 litrów i przygotowywanie paleniska. W kotle tym gotowano zawsze marną dla nas strawę i wokół niego miała się gromadzić pracująca ekipa. Z przywiezio-

nych gałęzi trzeba było sklecić szkielety szałasów zwanych *balaganami*. Okrywano te szkielety pierwszym nakoszonym sianem, tworząc jako tako znośne schronienia przed wiatrem i żarem słonecznym, szczególnie w południe. Gałęzie z krzewów podobnych do leszczyny, czyli *tał*, wyrąbywano w głębokich jarach u podnóża gór, gdzie rósł dzięki dostatecznej ilości wilgoci i cienia. Brygada zawsze rozlokowywała się blisko źródelka, aby ludzie i zwierzęta mieli wodę, bez której życie na stepie rychło stawało się niemożliwe.

Wśród ubogiego zestawu wiktuałów przywożono ze sobą kawałek mięsa, najczęściej baraniego (Kazachowie jako mahometanie nie jedli przecież wieprzowiny), z reguły już pokrytego zielonkawym nalotem. Na tym mięsie kucharka, dzieląc je na miniaturowe porcyjki (może 3–4 dkg), gotowała tzw. zupę, dodawszy 3–4 kg ziemniaków i stosowną ilość czystej źródlanej wody. Żadne warzywa, a często i sól, nie były używane. Gdy mięso było miękkie, kucharka wielką chochlą, sięgając aż do dna kotła, zaczerpywała prawie litr tej wody zwanej szumnie zupą, pilnie bacząc, aby w zaczerpniętej porcji znajdował się tylko jeden kawałeczek mięsa, gdyż porcyjki były wyliczone. Dostawało się więc strzęp zwany porcją mięsa i kilkanaście kawałeczków ziemniaków, które najczęściej były wielkości pojedynczych owoców winogrona.

Chleb przywożony był z centralnej osady, gdzie była namiastka piekarni, w której kobiety domowym sposobem piekły go dla 1. fermy i dla wspomnianej centralnej osady, a może i dla Łaj-Bułaku. Dla okolicy 1. fermy *produktowozem* rozwożącym wiktuały był mieszkający na niej Polak. Jego zadaniem było jeszcze przed świtem odszukać pasącego się w ciągu nocy na stepie woła, zaprząc go do dwukołowej skrzyni i pojechać do oddalonej o 15–17 km piekarni po chleb. Gdy pobrał chleb, wracał znów tą samą drogą, z tą jednak różnicą, że przejeżdżał przez fermę i dalej jechał do brygady pracującej na stepie. Stacjonowała ona zwykle w znacznym odaleniu od fermy.

Ludzie pracujący przy sianokosach pilnie podczas pracy wypatrywali małej furmanki wiozącej chleb. Czekali zawsze zbyt długo. Odległości były znaczne, a na dobitkę woły ciągnące wyczekiwaną furmankę kroczyły spokojnie noga za nogą. Przeważnie chleb docierał na czas, to znaczy w trakcie obiadu mieliśmy jego miłą obecność. Obiad był wtedy, gdy kucharka zdążyła nagotować kocioł zupy. *Produktowoz* miał wagę i odważniki, na tej wadze odważał każdemu jeden kilogram chleba. Ponieważ chleb pieczony był w prostokątnych blachach dość wysokich i ważył około 5 kg, zachodziła konieczność krajania go na porcje. *Produktowoz* krajał więc ten chleb i rozdzielał pracującym wedle listy. Do końca swojej pracy „na brygadzie” dziwiłam się, dlaczego w Polsce pół kilograma chleba było sporym bocheneczkiem, podczas gdy tam była to kromka chleba o szerokości i długości 10–11 centymetrów i wysokości pięciu centymetrów. Taki *pajok*, jak się o nim mówiło, jadło się za jednym zamachem, nie odczuwając potem sytości. Na początku naszego pobytu, zanim Niemcy nie napadły na swego sowieckiego sojusznika, chleb był znośny, był to pewnie chleb żytni razowy. Potem jednak popsuł się tak bardzo, że był właściwie niej-

dalny, wszakże my ludzie zamorzeni głodem jedliśmy go, aby uśmierzyć nękające poczucie niedosytu, uspokoić ssanie w żołądku i bolesne jego skurcze. Nie dawano go nam więcej niż tyle, ile wynikało z przewidzianej normy. Lepiej i bezpieczniej było zjeść całą porcję od razu, gdyż pozostawienie jej w *balaganie* nawet w jakimś ukryciu mogło się skończyć nieodwołalną stratą. Nikt nie był w stanie powstrzymać się, odkrywszy w swoim sąsiedztwie „niczyj” chleb.

Ów chleb czasu wojny był przede wszystkim gorzki jak piołun i czuć go było piołunem, szczególnie gdy był gorący. Aż w nosie kręciło od tej woni. Ponadto najeżony był jęczmiennymi plewami. Wrażenia wzrokowe jakoś kłóciły się nam ze smakowymi i zapachowymi.

Po obiedzie następowała długa przerwa aż do chwili, gdy słońce zniżało się ku zachodowi. Ten wolny od pracy czas schodził przeważnie na noszeniu w naczyniu wody ze źródła i bezustannym jej picciu dla ugazzenia pragnienia. Upał dochodził pewnie do 40°C i życie na stepie byłoby niemożliwe, gdyby nie lekki chłodzący zefirek, który wiał bez przerwy i sprawiał, że można było jako tako oddychać. Sukienkę na plecach miałam wciąż mokrą, z twarzy lał się pot, wargi były zupełnie czarne, a twarz popękana w bruzdy. Tak wyglądałyśmy na stepie. Wieczorem robiło się chłodniej, wysychało na plecach odzienie, na którym po kilku dniach ukazywały się białawe od soli plamy. Po sjeście praca rozpoczynała się w znośniejszych warunkach i trwała pewnie do północy, a może i dłużej. Rano znów budzono nas skoro świt, kucharka miała już zagotowany *czaj*. Była to woda ze źródła z pływającymi na wierzchu liśćmi polnej truskawki. Na śniadanie niewiele było do jedzenia, ale było tradycją „na brygadzie”, że *czaj* musiał być, zwłaszcza pilnowali tego traktorzyści, którzy byli elitą na sianokosach.

Na sianokosy wyruszało około czterdziestu osób, kilka traktorów z kosiarkami, na których siedziało trzech pracowników i każdy pilnował jednej kosa. Ciągniki holowały też zgrabiarki, na których jako operatorzy pracowali przeważnie mali chłopcy. Ich zadaniem było naciskanie w odpowiedniej chwili stosownego pedału, aby siano zebrane na prętach grabi spadło z nich i z innymi porcjami powstałymi po kolejnych nawrotach obejmujących kolejne pasma stepu tworzyło długi wał. Takie wały z siana, długie często na kilkadziesiąt metrów, widłami składano następnie w oddzielne kopki. Przy układaniu tych kopek pracowały przeważnie kobiety. One też z kolei zwłóczyły owe kopki na tzw. *wołokuszach* zaprzężonych w dwa byki na miejsce, gdzie miano stawiać zbiorczą stertę. *Wołokusza* były to pręty podobne do grubej leszczyny powkładane w otwory belki poprzecznej, którą ciągnęły woły. Siano nakładało się na te tyki i zaprzęg ciągnął je jak sanie po stepie. Stertę układali najsilniejsi mężczyźni, gdyż była to ciężka praca, wymagająca umiejętności i wprawy. Sterty były duże, długie na kilkanaście metrów, wysokie na trzy metry, gdyż liczone się z tym, że siano z czasem osiadzie. Owe sterty były rozrzucone po stepie w różnych miejscach i odległościach od fermy. Zimą przywożono z nich siano dla owiec i bydła. W czasie pracy przy sianokosach dokuczał nam głód, gdyż faktycznie jedliśmy swój chleb i trochę mętej ciecicy raz na dzień. Kazachowie i Rosjanie

chodzili czasem na noc na fermę, skąd przynosili mleko, chleb lub placki albo tak zwany *boursak*. Było to krajane z wałeczka w kawałki zakwaszone podpuszczką ciasto, gotowane na łożu baranim. Ponieważ w zasadzie trzymaliśmy się razem z dała od Kazachów i nie byliśmy z nimi jakoś wyraźnie zaprzyjaźnieni, nie było tendencji do dzielenia się przez nich z nami i częstowania nas. Czasem chłopcy kazachscy jeździli w góry po dziko rosnącą cebulę ze szczypiorem, przywozili ją w workach i dzielili się z nami. Tę cebulę pieczoną w ogniu jedliśmy bez dodatków. Była słodka. Smakowała też znakomicie z chlebem... gdy był.

W trakcie mojego pierwszego spotkania z sianokosami pracowałam na kosiarce sprzężonej z traktorem. Miała ona cztery długie, półtorametrowe kosy. Były ustawione w linii tak, że kosiły pas sześciometrowy. Każdej kosi pilnował jeden pracownik siedzący na siodelku, mając ją po lewej swej stronie. Kosy można było unosić lub opuszczać dźwigniami, gdy wymagała tego sytuacja. Wszystkie dziewczyny pracujące na mojej kosiarce były Polkami. Naszym szefem był naturalnie traktorzysta, około czterdziestoletni ponury, małowówny Rosjanin. Ordynarny i grubiański stawał się przy okazji najczęstszych przerw w pracy z powodu zacięcia się kosi. Wyrzucał wtedy z siebie cały potok ohydnych przekleństw i wyzwick pod adresem domniemanej winowajczynie obsługującej tę kosę i całego tnącego agregatu. Kosy, choć trawa była mizerna i prawie zupełnie niewidoczna, zacięły się często i często były unieruchamiane przez obłuzowane zęby, które hamowały ruch kosi. Trudno nie wspomnieć też, że były po prostu tępe. Wściekłość traktorzysty nie miała wprost granic, pieniał się i rzucał ciężkimi narzędziami ze złości. Defekt musiał usuwać sam. Nie posuwał się jednak nigdy do rękoczynów wobec nas. Po jakimś czasie było jasne, że należał on do najbardziej krzykliwych i ordynarnych traktorzystów. Poza tym prześladował go też chyba jakiś pech. Miewał najwięcej przestojów nie tylko z powodu defektów kosiarki, ale i traktora, który często mu się psuł. Były więc częste przerwy w pracy, co zresztą wcale nas nie martwiło. „Na brygadzie” w czasie sianokosów zatrudniony był też *gorjuczewoz*, czyli człowiek, który dowoził paliwo i oleje do ciągników i maszyn. Był to Kazach, który pojazdem składającym się z kilku ledwie belek i zaprzężonym w parę wołów przywoził co dwa dni po dwie dwustulitrowe beczki oleju napędowego. Te dwa dni były mu potrzebne na to, by pojechać w trakcie jednego z nich do centralnej osady, załadować beczki i wrócić w ciągu drugiego dnia „na brygadę”. Podobnym sposobem inny człowiek woził paliwo z Łaj-Bułaku do centralnej osady, czyli drogą od szosy z Ajaguza. Do Łaj-Bułaku trafiało ono właśnie z tegoż Ajaguza. Takie procedury transportowe trwały tak długo, jak długo na stepie pracowały ciągniki i niezbędne było do nich paliwo i smary.

Do ciągników potrzebna była też woda, dowożono ją dwukołowym beczkowozem, do którego zaprzęgano jednego wołu. Wodowozem była kobieta – Polka. Jej zadaniem było pojechać do odległego często o kilka kilometrów źródła, wiadrem napełnić beczkę i dowieźć ją do każdego ciągnika. Te najczęściej pracowały w znacznej odległości od siebie. Ciągące beczkowóz zwierzę szło wolno po nie-



równym terenie, pokonywanie odległości trwało długo. Zdarzało się często tak, że ubywająca w chłodnicy woda zagotowywała się, traktor musiał stanąć, a traktorzysta witał *wodowoza* stekiem przekleństw i wyzwisk.

Brygadzystą w czasie sianokosów był Skak Owgumbajew, Kazach w średnim wieku. Miał bardzo ciemną twarz, obfite wąsy zwisające zwyczajem chińskim po obu stronach policzków oraz łagodne, brązowe oczy. Skak mówił poprawnie po rosyjsku, nosił białe koszule i spodnie do butów, był wyrozumiały i łagodny. On to właśnie uczył nas, miejskie panny, jak pracuje się widłami i innymi narzędziami. Skak miał konia wierzchowego. W trakcie prac poruszał się na nim po stepie, jeździł też na fermę, gdzie mieszkał z żoną. Człowiek ten bardzo sympatycznie zapisał się w naszej pamięci ze względu na swoją jakąś wrodzoną, ujmującą za serce swoistą kulturę bycia. Był dla nas łącznikiem między fermą a brygadą, starał się jak mógł, wedle możliwości, pomagać nam, szukał zagubionych byków, gdy w nocy odeszły od pastucha zbyt daleko, ratował te, które objadły się nadmiernie zbożem w czasie siewu lub żniw. Wkładał im wtedy do pysków wędzidła i zmuszał do biegania po stepie. Skak był nie tylko kierownikiem „na brygadzie”, ale i życzliwym opiekunem. Gdy Niemcy napadli na Rosję, Skak tak jak i inni mężczyźni został powołany do wojska, ale z wojny do domu już nie powrócił. Przez cały czas opłakiwała go żona, która, jak i on, chętnie okazywała nam serce. Często za pomoc, np. przy łowieniu zbiegłego z zagrody cielaka, chętnie dawała mojej najmłodszej siostrze Lali miseczkę *ajranu*, tj. rodzaju kwaśnego mlecznego napoju. Dziś byłyby to pewnie zdawkowy gest, wtedy zaś była to duża rzecz.

Na początku sianokosów, gdy step nie był jeszcze zupełnie suchy, tu i ówdzie można było napotkać zielone liście roślinek, których owoce miały zapach i smak dzikiej truskawki. W wolnych od pracy chwilach zbierało się je, traktując je jako źródło witamin. Poza tą truskawkowatą rośliną nie było w tamtych stronach żadnych innych roślin dających dziko rosnące, jadalne owoce.

Od czasu do czasu przyjeżdżał do nas dyrektor sowchozu Sauken Kazachanow. Był to Kazach w średnim wieku, szczupły i wysoki. Dziobata twarz świadczyła o tym, że chorował kiedyś na ospę. Patrzył ciemnymi i łagodnymi oczami, robił wrażenie flegmatyka, mówił ze złym rosyjskim akcentem, wolno i cicho. Przyjeżdżał najczęściej wierzchem na karym, dobrze utrzymanym koniu albo dwukołową bryczką. Patrzył, jak pracujemy, deliberował ze Skakiem i odjeżdżał potem, nie próbując komentować i ingerować w nasze zachowania. Z dyrektorem Kazachanowem nie mieliśmy w tym czasie bezpośrednich kontaktów i nie widywaliśmy go poza tymi jego wizytami w miejscu pracy brygady na stepie.

Dzień po dniu w trakcie monotonnej pracy przemierzaliśmy step w promieniu kilkunastu kilometrów wokół fermy aż do jesieni, a właściwie do pierwszego śniegu, który zaczynał padać na początku października. Przez całe lato było pogodnie i świeciło słońce, z wyjątkiem dwóch albo trzech dni, gdy padał deszcz. Ze dwa razy przyjeżdżał do nas przez okres pracy na stepie księgowy sowchozu, przywożąc nam wynagrodzenie za pracę. Księgowym był wspomniany poprzednio *dieduszka*

Dołgich, Rosjanin w podeszłym wieku, siwy, jowialny i wesoły. Wyplacał nam według listy po sto kilkadziesiąt rubli za 2–3-miesięczny okres pracy. Był to zarobek raczej symboliczny i niewiele można było za niego kupić, zważywszy, że pud pszenicy (szesnaście kilogramów) kosztował od 400–500 rubli, a wiadro ziemniaków 60–80 rubli (po wybuchu wojny aż 150 rubli). Żywność w ogóle była w wysokiej cenie, nie było sklepów, w których można byłoby ją kupić, nie było też właściwie sprzedających ją, gdyż nikt jej na sprzedaż nie produkował.

Na polach należących do sowchozu zasiewano różnej wielkości obszary pszenicą i jęczmieniem. Zebrane ziarno odstawiano samochodami do Łaj-Bułaku, a potem do Ajaguz, pozostawiając bodaj niezbędną jego ilość na kolejny zasiew. Mówiło się, że zbiory odstawia się „na plan”.

Step pod zasiew zbóż uprawiano mechanicznie, ale według naszego przeświadczenia niechlujnie i niedbale. Orkę wykonywano bardzo płytko, skiba nie kładła się na skibę, jak to widziałam u nas w Polsce, ale leżała z dala jedna od drugiej, dzielił je dość szeroki pas ziemi zupełnie nietkniętej. Inne czynności agrotechniczne niewiele zmieniały i w końcu zboże wrzucano w ziemię wyglądającą tak, jakby zryły ją jedynie dzikie lub domowe zwierzęta. Nie było też mowy o żadnym nawozie. Zdziwił nas brak staranności w postępowaniu z ziemią. Mimo tak niedbałej uprawy i braku jakichkolwiek nawozów zboże rosło i wydawało plony, zwłaszcza dorodna była pszenica zwana kubanką. Z podziwem patrzyliśmy na niespotykane duże kłosy. Ładnie plonował też jęczmień. Owsa wysiewano niewiele.

W trakcie żniw używano kombajnów, ale były one na ogół zdezelowane, stare i często psuły się. Trudno więc powiedzieć, że praca miała przebieg rytmiczny i systematyczny, że można ją było wykonywać bodaj z namiastką satysfakcji. Czy jednak można byłoby mieć jakąś satysfakcję, gdy ciągle byliśmy głodni?

Po wiosennych siewach i po zbiorach można było w kazachskich kołchozach położonych przy szosie Ajaguz – Urdzar dostać ziarno zbożowe za pieniądze, lecz wyprawa po to dobro była daleka i ciężka, bo trzeba je było przenieść na własnych plecach. O mące nie było co marzyć. Nie handlowano nią, bo w pobliżu nie było młynów.

Rosjanie, którzy na 1. fermie należeli do kilku zaledwie rodzin, oraz Kazachowie kupowali pszenicę w kołchozach albo po prostu kradli ją, gdy złożona była na tzw. tokach, gdzie tymczasowo oczekiwała na wywóz do miejsc składowania. Miejscowi Kazachowie w różnym stopniu ze sobą spokrewnieni i spowinowaceni pomagali sobie wzajemnie w zdobywaniu i naturalnie ukrywaniu zboża. Mieli do swej dyspozycji transport w postaci wolicz zaprzęgów, mieli dobrze zamaskowane miejsca w swoich lepiankach, gdzie mogli ewentualną zdobycz ukryć. Kogo zresztą mieli się bać, skoro należeli do jednej sitwy na fermie. A przecież za kradzież mienia państwowego srogo karano. Szczególnie wtedy, gdyby w rzecz wdało się NKWD. Miejscowi mówili, że gdyby znaleziono u kogoś zdobyty nielegalnie choćby jeden kilogram zboża, pechowiec mógłby otrzymać wyrok skazujący na co najmniej piętnaście lat więzienia. Również za zbieranie kłosów na zbożowym rżysku groziła kara.

My jednak nie przejmowałyśmy się tym zbyt. Głód wyraźnie osłabiał strach. Gdy tylko nadarzyła się nam okazja być w pobliżu pola, po którym przetoczyła się akcja zniwna, nie odmawialiśmy sobie zebrania bodaj odrobiny kłosów. Wykruszone z nich ziarno tłukło się w moździerzu zrobionym z cylindra traktorowego na kaszę, tę zaś gotowało się na czystej wodzie. Nie była to kasza „na gęsto”, bo na to potrzeba było około jednego kilograma ziarna. Powstawała zawieszista ciecz i można się było trochę nią posilić.

Przed wyjazdem do Polski, gdy mieszkaliśmy w centralnej osadzie i pole pszeniczne było blisko, wychodziłyśmy prawie codziennie zbierać kłosy, z których ręcznie i z pietyzmem wydobywałyśmy ziarno. Po odwianiu plew trafiało ono do młyna, chyba do nieodległego Nowotroickoje, a następnie w piekarni pieczono z niego chleb. Z pokrojonych bochenków zrobiliśmy suchary, które miały być łatwym do transportowania prowiantem w czasie drogi powrotnej z zesłania. Jest rzeczą oczywistą, że połowa naszego zboża stopniała znacznie w trakcie przechodzenia przez etapy przetwarzania go na chleb. Przykładali ręki do tego topnienia ludzie, którzy z konieczności musieli mieć styczność z naszą zdobyczą. Nie było jednak sposobu usunięcia tej styczności.

Mimo że bardzo często mówiono i mówiło się o karach za kradzież mienia państwowego, wszyscy kradli – jedni mniej, drudzy więcej. Nie było jednak w naszych okolicach powszechnej praktyki urządzania urzędowych rewizji i powszechnego karaniania winowajców. Ludzie musieli jeść, aby żyć. Śmiesznie mało płacono pieniędzmi za pracę. Niewiele można było kupić za nie pszenicy, którą „organizowano” do obrotu handlowego. Potrzebujący uzupełniali permanentne braki według własnego, nietrudnego do wymyślenia sposobu – brali pszenicę mniej lub bardziej po kryjomu z toków za darmo.

Polacy z innych rejonów opowiadali nam, że w ich otoczeniu bywały wypadki sądenia i osadzania ludzi na długoletnie kary w więzieniach za kradzież nawet małej ilości tego, co mogło służyć za pożywienie.

W czasie zniw kilka osób z brygady pracującej przy sianokosach oddelegowano do obsługi kombajnów i pilnowania toków, na których składowano zebrane i wymłócone przez kombajny zboże. Przywożono je tam na wozach ciągniętych przez powolne woły. Do prac tych angażowano mężczyzn. Dziewczeta i kobiety wyznaczano do pilnowania zboża w dzień, a także w nocy. Ja również z Lalą byliśmy od czasu do czasu takimi nocnymi stróżami (czy też raczej stróżkami). Legowisko robiłyśmy sobie na przymie zboża, aby z góry lepiej widzieć otoczenie. Nie spałyśmy, bo było nam bardzo zimno, chociaż leżałyśmy okryte kołdrą. Nie dawała także zasnąć niesamowitość sytuacji. Byłyśmy same na stepie pustym aż po widnokrąg. Noce były stosunkowo jasne. Spodziewałyśmy się gości. Pewnego razu usłyszałyśmy skrzyp jarzma, a po chwili zauważyłyśmy, że podwoda zaprzężona w dwa woły zbliża się ku nam. Wystraszyłyśmy się bardzo, ale udawałyśmy, że jesteśmy pogrążone w głębokim śnie. Do ogromnej naszej przymy podjeżdżało bez zbędnych odgłosów dwóch Kazachów. Z całą pewnością wiedzieli oni, że nie są sami przy pry-



zmie. Najwyraźniej jednak nie zamierzali zwracać uwagi na nieeksponujące się strażę. Rabunek *kazionnego* mienia przebiegał sprawnie. Przybysze w milczeniu napełnili worki ziarnem, zawiązali je, załadowali na furmankę i odjechali. Odetchnęliśmy z ulgą i podziękowałyśmy Panu Bogu, że rzecz nie nabrała jakiegoś dramatycznego dla nas przebiegu. Dziś, po wielu latach od tamtego zdarzenia jestem przeświadczona, że Kazachowie ani przez moment nie wątpili, że my będziemy spały snem bardzo głębokim. Nasze obudzenie się z całą pewnością byłoby bardzo kłopotliwe dla obu stron. „Przejmowane” od władzy radzieckiej zboże Kazachowie ukrywali poza swymi ludzkimi siedzibami, w jarach. Helenka kiedyś natrafiła przypadkowo na taki spichlerz właśnie w jarze i zamierzała znaleźć bez zwłoki zagospodarować dla swej rodziny. Energicznie zabroniła jej tego Mama, spodziewając się niezawodnego odwetu właścicieli. Żartów zapewne w tej sprawie by nie było.

Praca na toku miała tę dobrą stronę, że wracając na fermę można było bez specjalnego absorbowania uwagi innych pracujących nabrać zboża czy to do jakiegoś małego woreczka, czy to „w sposób przypadkowy i naturalny” do butów i kieszeni. Udawało się w ten sposób jednorazowo zagospodarowywać na nasze potrzeby mniej więcej 1 kilogram ziarna. Z łatwością można się go było pozbyć, gdyby ktoś zauważył nasze machinacje i zainteresował się nimi.

Zniwa były czasem błogosławionym nie tylko dla ludzi, ale i dla byków, które przeważnie, z wyjątkiem okresu wiosennego, pasły się na mizernej, stepowej trawie. Przez sporą część roku były więc permanentnie głodne, słabe i chude. W okresie żniw natomiast, gdy udało się im dopaść toku lub jakiegoś stosiku zboża, które wysypało się z kombajnu, objadały się nim. Chodziły wtedy wzdęte i Skak lub inny pracownik musiał je ratować, wkładając im do pysków drewniane kije i zmuszając do biegu po stepie.

W całym sowchozie hodowano owce, i to nawet dość dużo. Pieczę nad nimi sprawowali *czabani*. Byli to przeważnie Kazachowie w podeszłym wieku. Wraz z całą rodziną latem paśli je na stepie, dbali o stan i rozwój ich pogłowia. Często opowiadano nam, jak to przed nastaniem sowieckiej władzy Kazachowie byli panami stepów i do nich należały liczne stada owiec i koni. Po upaństwowieniu prywatnej własności stali się wyłącznie pastuchami zwierząt, które wcześniej należały do nich. Entuzjazmu dla władzy radzieckiej w tych opowiadaniach nie było. Nie były one częste, wymagały niemałej dozy zaufania mówiącego do słuchacza.

*Czabani* ze swej pracy, oprócz wynagrodzenia w gotówce, tak jak i wszyscy pracownicy sowchozu, mieli jeszcze dodatkowe korzyści w naturze. Miały one w istocie ogromne znaczenie w tych głodowych czasach. Byli oni zobowiązani do prowadzenia rejestru urodzonych jagniąt w każdym roku. Liczba dorosłych owiec była również rejestrowana, i to kilka razy w sezonie. Aby mieć bodaj od czasu do czasu trochę świeżego mięsa, ukrywali niektóre pojedyncze sztuki z nowo narodzonych owczych bliźnięt. Gdy jagnię to podrosło nieco, wpuszczano je do stada, a jedną z dorosłych owiec zabierano na potrzeby opiekunów zwierząt. W ten sposób zapatrywano się w świeże mięso, tłuszcz i skóry. Te ostatnie miały swą wartość jako

materiał ubraniowy. Wszyscy byli zadowoleni. Urzędnicy państwowi mieli stado o właściwej liczebności, zaś prości obywatele komunistycznego państwa dobrobytu nieco jedzenia. Nie zauważyłam, by ktoś z miejscowych kwapił się do ujawniania tych machinacji. Podobnie też dojono nielegalnie karmiące owce-matki. Ze smacznego mleka owczego robiono *ajran*, który używano też do robienia serków. Te po dobrym wysuszeniu można było długo przechowywać. Starsze kobiety przędły wełnę, z której szydełkiem sporządzonym z gwoźdźcia robiono grube pończochy bez pięty.

*Czabani* byli elitą pracowników sowchozu. Od czasu do czasu przydzielano im, czy też sprzedawano, *walonki*, tzn. obuwie sięgające kolan lub wyżej, wykonane z grubej, zbitej w sztywne płyty wełny. Na *walonki* nakładało się jeszcze gumowe, głębokie kalosze, aby chronić stopy przed wilgocią i rychłym przecieraniem się w trakcie chodzenia. Zimą, gdy był suchy mróz, sięgający pewnie  $-40^{\circ}\text{C}$ , można było bez obawy przemoczenia nosić *walonki* bez kaloszy. *Czabanom* też raz w roku w okresie rocznicy rewolucji październikowej sprzedawano po kawałku kretonu lub innego taniego materiału. Zimą mieszkali oni w lepiankach. Latem, gdy owce szły na step, przynosili się do jurt ustawianych tam, gdzie żerowały na mizernej trawie owce. Jurtę budowano z kilkunastu grubych na 2–3 palce prętów drewnianych, wygiętych tak, by po ustawieniu i powiązaniu ich ze sobą oraz z prętami poprzecznymi tworzyły wydłużoną nieco kopułę. Z wierzchu przykrywano jurtę wojłokowymi matami, które w nocy chroniły mieszkańców od nocnego chłodu, a w dzień od żaru słonecznego. Na szczycie tej konstrukcji był okrągły, dość duży otwór, który zależnie od potrzeby można było zakryć lub odsłonić. Jurtą była dość obszerna i mieściła cały dobytek Kazachów. Mieściło się w niej łóżko, skrzynie z odzieżą, okrągły, niski, składany stół, słoje i gąsiory na kumys oraz tradycyjną kwaśną zupę z pszenicą. Potrawę tę o każdej porze dnia jedzono na zimno. Na środku jurty stał trójnóg z zawieszonym na nim miedzianym czajnikiem, a obok kocioł w kształcie miski do gotowania mięsa i mleka. Pod czajnikiem zawieszonym na trójnogu zawsze był żar od permanentnie aktywnego paleniska, do którego dokładano w miarę potrzeby *kiziaku*. Innego opału właściwie nie używano. Woda gotowała się zawsze i w każdej chwili można było napić się herbaty, napoju w jurtach ulubionego.

Kazachowie w swoich jurtach siadali po turecku przy okrągłych stolikach ustawionych na matach ułożonych na ziemi i pili czy też, mówiąc dokładniej, raczej sączyli w trakcie rozmowy jakby po kropli niemal wrzącą, bardzo mocną herbatę bez cukru z dodatkiem odrobiny słodkiej śmietanki. Co parę chwil wrzucali zgrabnymi ruchami do ust po parę ziaren prażonej pszenicy, co nie można było nazwać jedzeniem, ale jakby spełnianiem jakiegoś rytuału. Czasami pogryzano *boursak*. Było to, jak wspominałam, gotowane na tłuszczu baranim ciasto zakwaszone podpuszczką z żołądka cielecego, krajane w wałeczki grubości palca. Te małe kawałeczki również, podobnie jak pszenicę, z rzadka wrzucano do ust, zapijając je jakby z rozmysłem wrzącą herbatą. Przy czajniku siedziała zawsze kobieta, której zadaniem było pilnowanie, by *kisiejki* (porcelanowe miseczki) nie były puste. Herbaty dolewano

bardzo mało, aby nie wystygła zanim zostanie wypita. Główny posiłek spożywano wieczorem.

Byłam na takim posiłku ze Skakiem Owgumbajewem i Wandą, jedną z Polek w moim wieku. Otóż któregoś popołudnia, gdy byliśmy wszyscy jak zawsze tego głodni, a ja pracowałam już jako pracownik samodzielny i podlegający tylko kierownikowi brygady, którym był Skak, przyszedł on do mnie z Wandą i zaproponował, abyśmy poszli na mięso i kumys do *czabanów*, którzy obozowali niedaleko. Gdyby nie obecność Wandy, nie zgodziłabym się na wypad. Elementem zmiękczającym mój odruchowy opór było poza tym nieprzyjemne ssanie w żołądku.

Kazachowie przyjęli nas bardzo gościnnie, poczęstowali kumysem i *ajranem*. Poprosili też byśmy zostali na obiedzie, który miał być mięsny. Skak tylko na to czekał. Przy tej okazji widziałam, jak gotują Kazaszki, gdyż posiłek przygotowywano w jurcie w naszej obecności. Kobieta gotowała w kotle mięso baranie bez żadnych warzyw. Gdy było prawie miękkie, zrobiła ciasto z pszennej mąki, cieniutko rozwałkowała je na stole i dużymi płatami rzuciła na kipiący rosół. Gdy zawartość kotła była ugotowana, wyjęła mięso na tacę, podzieliła na porcje, a rosół i pływające w nim ciasto nalewała do miseczek. Miseczki podawała następnie siedzącym wokół stołu gościom i domownikom. Mięso rozdzielał mężczyzna na otwartej dłoni wprost do rąk współbiesiadników. Oczekiwałam, że może danie będzie uzupełniane chlebem, ale nie było.

Kazachów cechowała ogromna gościnność. Gdy już siedzieli przy stole, zawsze zapraszali przybysza, by razem z nimi zasiadł do jedzenia. Postępowali tak również i wobec nas. Odmowa była uważana za gest nieprzyjazny wobec gospodarzy. Przez czas pobytu w Kazachstanie miałam okazję wielokrotnie być w kazachskim domu w czasie posiłku. Nie spotkałam nigdy potraw z kaszą. Ziemiaki, których w miejscu naszego pobytu nie uprawiano, jedzono od czasu do czasu, wtedy gdy przywożono je okazjonalnie z kołchozu.

Kumys, którym nas częstowano, wyglądał jak silnie rozrzedzone mleko, był lekko kwaskowy i miał słaby zapach alkoholu. Po wypiciu większej ilości tego specjału kręciło się trochę w głowie, jak po piwie. Kumys robiono z mleka kobylego, o które nie było trudno, gdyż na fermie hodowano konie.

Niektórzy Kazachowie, podobnie jak Rosjanie, hodowali krowy. Były to osobniki, przeważnie czerwonej maści, pokryte bardzo długą, zwłaszcza w zimie, sierścią. Trzymano je w zagrodach często połączonych z lepianką, wplecionych z *tału*, tzn. gałęzi podobnych do leszczyny i oklejonych gliną lub krowim nawozem. W zimie taka obora nie chroniła, rzecz jasna, od mrozu, który potrafił osiągać  $-40^{\circ}\text{C}$  i więcej. Lepsza była wszakże niż otwarta przestrzeń. Bywało też, że krowę trzymano w nieokrytym z góry dwumetrowej głębokości dole wykopanym w śniegu. Zwierzęta hodowane w tak ciężkich warunkach, żywione trawą lub sianem dawały po wycieleniu do 2,5 litra mleka dziennie. Bardzo mnie to dziwiło, gdyż krowa u moich rodziców, która stale stała w oborze z braku pastwiska, po wycieleniu dawała wielokrotnie więcej litrów mleka dziennie. Mimo przeszkód krowy chętnie hodowano, bo oprócz mleka, którym można było z biedą zaspokoić jako tako głód, dawały one co roku

przychówek, który trzymano na mięso, szczególnie jeśli tym przychówkiem był byczek. Latem *czabani* zabierali krowy ze sobą na step.

Stada owiec, które od wiosny do jesieni przebywały na stepie, raczej niedojadały na marniej trawie. Z bardzo licznych sztuk odpadała wełna tak, że świeciły wielkimi łatami gołej skóry. Mówiono o nich, że są parszywe i latem kapano je w kreolinie. Kapanie owiec było wielką akcją, przy której zatrudniano większą niż zwykle ilość pracowników.

Pośród zwierząt żyjących na fermach cierpiały chyba najwięcej i ginęły marnie woły robocze. Były one wiecznie głodne i słabe. Zmuszano je do ciężkiej pracy, której właściwie nie mogły podolać, bito je niemiłosiernie, gdy kładły się na drodze i nie chciały iść. Bardzo często miały roztrzaskaną kość ogonową, w której mnożyły się robaki. Zimą ginęło ich bardzo dużo, prawie codziennie leżało w koszarze parę wolicz trupów, które na polecenie kierownika fermy musieliśmy obdzierać ze skóry. Można było odnieść wrażenie, że tylko ta część zwierzęcia była jako tako cenna. Skóry po dobrym nasoleniu wywożono gdzieś samochodami, pewnie do garbarni. Ponieważ dość długo pracowałam z kobietami przy skórowaniu, miałam okazję widzieć, jakiego wyniszczenia woły doznawały przed śmiercią. Pod skórą nie było śladu żadnego tłuszczu, a szpik kostny wyglądał jak śluz. Ogromne i bardzo łagodne te stworzenia musiały przeżywać swoją wolną gehennę zanim w mękach kończyły życie.

Ludzie żyjący na fermach byli źle ubrani, zwłaszcza kobiety. Ich odzież była połatana tak bardzo, że w wielu wypadkach trudno było rozeznąć, jaki właściwie był pierwotny kolor tego czy innego fragmentu odzienia. Poszczególne sztuki odzienia zdawały się składać z wielu różnych zszytych ze sobą kawałków. Łatane były buty i kalosze, a dość często widzieć było można człowieka, który miał na nogach dwa lewe lub dwa prawe kalosze. Mężczyźni nosili latem i zimą kozuchowe spodnie i kaftany. Noszono też latem, zwłaszcza na stepie, wysokie buty, a to dlatego, że żyło na nim wiele jadowitych węży, żmij i skorpionów, których ukąszenie groziło śmiercią. Antidotów na jad nie było. Poza tym stopy trzeba było chronić, bo ziemia w lecie potrafiła być tak rozpalona, że można było poparzyć podeszwy stóp. Taki wypadek miała w Łaj-Bułaku nasza Mamusia, gdy w południe, korzystając z tego, że nie ma nikogo na ogrodach, puściła wodę z aryczka, tzn. z rowu, i rozprowadzała ją po naszej działce, chodząc boso. Boso wróciła też do domu. Chociaż odległość od działki do domu wynosiła ze 400 m, tak poparzyła nogi, że długi czas nie mogła chodzić, bo na podeszwach miała ogromne pęcherze.

Kazachowie, jak już wspomniałam, byli mahometanami. Fakt ten wykluczał z ich jadłospisu mięso wieprzowe. Oni nie tylko za nic w świecie by go nie spożyli, ale w ogóle brzydzili się świnią, z daleka ją omijali i wystrzegali się jakiegokolwiek z nią zetknięcia.

Znamienne było zdarzenie w czasie naszego pobytu na 1. fermie, gdy zatrudniona byłam jako kucharka „na brygadzie” w czasie sianokosów. Pewnego dnia przed południem Skak osobiście przywiózł na koniu mięso na obiadową zupę, odwołał

mnie na bok i powiedział, że przywiózł tym razem wieprzowinę. Polecił fakt ten zatrzymać w tajemnicy, mięsa nikomu nie pokazywać, pokrajać je na porcje, wyrzucając większe kości. Tak też zrobiłam. Owgumbajew jako mahometanin nie silił się na rygorystyczny. Choć może i sam wieprzowiny nie jadłby, ale z konieczności musiał poczęstować nią ziomków, gdyż nie miał innego wyjścia. Po obiedzie przyszedł do mnie jeden z Kazachów i zapytał mnie o rodzaj mięsa, które otrzymałam od Skaka do przyrządzenia na obiad. Konfabulując zgodnie z życzeniem Skaka, powiedziałam, że baranie. Pytający nie uwierzył. Zaczął podniecony perorować: „kłamiesz, to była szwinina, poznałem po kostce, którą znalazłem w zupie. Jestem chory, boli mnie brzuch i głowa. Do pracy wieczorem nie idę”. Nie tylko ten członek naszej brygady poczuł się chory. Wymiotowali i ślaniali się na nogach inni, skarżąc się na bóle żołądka. Nikt jednak mnie nie tknął, choć mogli w afekcie dobrze mnie poturbować. Klócili się długo i zażarcie po kazachsku z Owgumbajewem i wygrażali mu pięściami, ostatecznie na tym zakończyła się ta nieprzyjemna sprawa z mięsem wieprzowym.

Kazachowie trzy razy dziennie modlili się, obmywając rytualnie twarz, ręce i nogi, rozścielali na ziemi najczęściej swoją kufajkę, klękali z twarzą zwróconą na wschód i dotykali czołem ziemi, wymawiając słowa modlitwy. Chociaż „na brygadzie” byli ludzie różnych wyznań i narodowości (po napaści Niemiec na ZSRR wysiedlono do Kazachstanu również Niemców znad Donu), nikogo modlitwa Kazachów nie nastrajała do komentarzy. Jej świadkowie zachowywali się godnie i poważnie, nawet dzieci, które pracowały razem z dorosłymi. Gorzej już było, gdy śpiewano wciąż ten sam werset Koranu na tę samą monotonna powtarzającą się melodię. Właściwie „na brygadzie” nie było to możliwe, częściej stosowano tę formę modlitwy w sytuacjach samotnej pracy na stepie, np. przy ścinaniu *karagaju* na opał. *Karagajem* nazywano niewielkie krzaki, które ciężką motyką wyrывało się z korzeniami z ziemi. Rosły one na stokach wzgórz i pagórków. Monotonne śpiewanie powtarzających się po kilkadziesiąt razy fraz działało mi niejednokrotnie na nerwy. Oddalenie się od modlącego się bywało jedynym ratunkiem. Śpiewane teksty też w końcu siłą faktu umieliśmy na pamięć.

Brak witaminy A w naszej marniutkiej diecie był przyczyną kurzej ślepoty, inne braki niosły ze sobą czyraki i inne dolegliwości. Z powodu kurzej ślepoty po zachodzie słońca traciliśmy zupełnie wzrok. Całe szczęście, że zjawisko to związane było tylko ze zmrokiem, kiedy już z reguły nie pracowało się, potrzeba poruszania się była mniejsza i ślepotą przez to była znośniejsza. Ludzie pomagali sobie z reguły ofiarnie, widzący wyreżali ociemniałych przy czynnościach wymagających sprawnego wzroku. Kurza ślepotą prześladowała tylko Polaków, przeważnie młodzież i dzieci. Czyraki męczyły ludzi niezależnie od wieku, tworzyły się przez kilka dni, co sprawiało dotkliwy ból. Zaatakowane miejsce było zaognione i spuchnięte, niezadko występowała silna gorączka, zwłaszcza gdy czyraków było więcej. Potem pękały one, z rany, często głębokiej, sączyła się ropna wydzielina. Wprawdzie ból był mniejszy, ale samo gojenie się rany postępowało powoli choćby z powodu braku



przdatnych środków farmaceutycznych, wspomagających w cywilizowanych warunkach broniący się organizm.

Mnie również, między innymi, zaatakowały czyraki. Miałam ich sporo. Sadowiły się przede wszystkim na nogach i rękach, a także i na innych częściach ciała. Miałam silną gorączkę, nogi i ręce opuchły, stały się czerwone i twarde, leżałam na posłaniu, ruszyć się nie mogłam. Ból był dojmujący. Pamiętny dla mnie epizod z czyrakami przydarzył mi się przed sianokosami. Nadzór nad nami w obrębie fermy sprawował Kabij Tiulebajew, który był odpowiedzialny za cały majątek ruchomy i nieruchomy na fermie, do niego też należał nadzór nad prowadzonymi pracami. Był to młody, wysoki i szczupły człowiek. Cerę miał w porównaniu z innymi Kazachami ciemniejszą, oczy czarne, blizna na twarzy przedłużała oko w stronę skroni, co nadawało jego twarzy wyraz okrucieństwa. Kabij był krzykliwy, złośliwy, bezwzględny i grubiański. On to jako jedyny spośród licznych Rosjan i Kazachów, z którymi zetknęliśmy się w ciągu naszego 6-letniego pobytu w sowchozie Tas-Bułak, powiedział nam zaraz po przyjeździe z satysfakcją, z nie wiadomo skąd płynącym poczuciem wyższości i pewnością siebie: „My tutaj zabijać was nie będziemy, bo wy i tak sami zdechniecie”. W ręce nosił zawsze kazachski bicz z krótkim uchwytem i długim rzemieniem. Bez ustanku nim manewrował, trzaskając z niego, to znów starając się coś nim sięgnąć lub zrzucić. Baliśmy się Kabija, bo wydawał się gwałtowny, dziki i na wszystko gotowy. Bezpieczniej było strzec się go i zejść mu z drogi. Kabij miał rodziców, noszących się z godnością starszych ludzi, którzy nie mówili po rosyjsku. Nie wiadomo było w istocie, czy faktycznie ani słowa rosyjskiego nie umieli, czy też nie chcieli się tym językiem posługiwać. Mieszkali w domu przeznaczonym dla *naczalstwa*. Oprócz Kabija nikt w jego rodzinie nie pracował. Młodszy jego brat, kilkunastoletni Achmedżer, był przede wszystkim wrednym i złośliwym wyrostkiem, który z zacięciem godniejszym lepszej sprawy lubił płać nam głupie figle, bawił się udzielaniem z głupawym uśmiechem fałszywych informacji. W tym to czasie, gdy leżałam w gorączce z powodu czyraków, przyszedł do naszej izby Kabij i energicznie zachęcał mnie do pracy na fermie. Pokazałam mu opuchnięte, fioletowe niemal nogi i ręce. Powiedziałam, że mam silną gorączkę i pracować nie jestem w stanie. Wtedy zapytał mnie, czy mam zwolnienie od lekarza. Naturalnie nie miałam go, skoro nie mogłam dostać się do centralnej osady, oddalanej od nas o kilkanaście kilometrów, w której rezydował medyk. Wszystkie byki zaabsorbowano przy jakichś zajęciach i nie mogły być użyte jako środek lokomocji. Powiedział: „Nic mnie to nie obchodzi, ale wiedz, że srogo odmowę odpokutujesz”. Coś tam jeszcze wykrzykiwał, trzasnął drzwiami i poszedł. Kilka innych osób, podobnie jak ja, było złożonych chorobą w tym samym czasie. Upłynęło parę miesięcy i pewnego dnia zawiadomiono nas, tych którzy narazili się Kabijowi chorobą, że dostaniemy podwodę, tzn. byka zaprzęzonego do wozu i mamy stawić się w sądzie w Urdżarze. Mieliśmy być sądzeni za pracowniczą niesubordynację. Pojechaliśmy do tego Urdżaru, oddalonego od nas o co najmniej 60 km. Po dwóch dniach dojechaliśmy na miejsce. Było nas około 10 osób. W czasie rozprawy sprawdzono pilnie nasze

personalia i kazano dokładnie opowiedzieć, dlaczego nie poszliśmy na wezwanie do pracy. Po krótkiej przerwie ogłoszono werdykty. W stosunku do mnie orzeczono potrącenie  $\frac{1}{4}$  części zarobku przez okres sześciu miesięcy. Nie pamiętam już, jakie wyroki otrzymali inni. Uważałam wówczas i uważam obecnie, że postępowanie takie względem nas było od początku do końca niehumanitarne i niesprawiedliwe. Było to jakiegoś urągawisko w stosunku do zasad ich komunizmu, o którym mówiono nam aż do młodości, że jest jedynym i najsprawiedliwszym ustrojem na świecie.

Kierownikiem fermy, któremu podlegali wszyscy, był Papazow, butny i nader pewny siebie Bułgar, mówiący biegle po kazachsku, no i oczywiście po rosyjsku. Przyjeżdżał często „na brygadę” i wdawał się w rozmowę z co śmielszymi dziewczętami polskimi. Nie były to oczywiście rozmowy na jakiś specjalny temat, ale raczej przekomarzania się. Pamiętam dobrze jego niski, buczący głos i spojrzenie czarnych bezczelnych oczu. Nie lubiłam Papazowa i miałam za złe dziewczynom, że się z nim wdają w rozmowę. Słyszałam, jak przechwalał się przed nimi, że zabił osobiście pięciu „białych”, co mnie napawało grozą i sprawiało, że nawet patrzeć nie chciałam w jego stronę. W moim przekonaniu jedynie Papazow spośród wszystkich ludzi, z którymi zetknęłam się na kazachskiej ziemi, był prawdziwym zbrojnym i gotowym na wszystko bandytą, który przelał ludzką krew i tym się chełpił. Był żonaty i mieszkał w tym samym domu co Tiulebajew.

Od miejscowego *naczalstwa* trzymałyśmy się z daleka. Nie wdawałyśmy się w towarzyskie kontakty, nie prowadziłyśmy też z nim żadnego handlu wymiennego.

Gdy w październiku zaczynał prószyć śnieg, kończyła się praca „na brygadzie” i ludzie powracali na fermę. Nie wszyscy znajdowali wtedy zajęcia, zakres prac niezbędnych w zimie zmniejszał się. W ciągu tylko jednej zimy miałam zatrudnienie na 1. fermie. Byłam wtedy wraz z jedną z sióstr stróżem w koszarze i pilnowałam owiec, by wilki ich nie atakowały. Było nam bardzo zimno, bo mróz był siarczysty i dochodził z pewnością do  $-40^{\circ}\text{C}$ . Leżałyśmy na skraju koszary pokryte sianem, a owce kładły się przy nas. Miałyśmy na sobie płaszcze i buty na nogach. Dotkliwie zimno sprawiało, że buty zdawały się parzyć stopy. Zimno nie pozwalało leżeć zbyt długo. Biegałyśmy co parę dłuższych chwil po wolnej przestrzeni i „zabijałyśmy” ręce o tułów. Stróżowanie nocne było męką, a czas dłużył się w nieskończoność. Przed świtem wypuszczało się woły i pędziło do rzeczno wodopoju. Tubylecy mieli na czas nocnego stróżowania długie do ziemi baranie kozuchy (szuby) z rękawami sięgającymi prawie do kolan i kołnierzami zakrywającymi niemal całą głowę. Na nogi wkładali *walonki*. W takiej odzieży łatwiej było spędzać noc z owcami przy mrozie sięgającym kilkudziesięciu stopni.

Zimą nie przywożono pracującym na fermie chleba, tak jak to było latem, ale należny *pajok* wydzielano w postaci dostarczanej co jakiś czas na fermę mąki. Wydawano jej bodaj po 200 lub 300 gramów na dzień. Ponieważ przywożono ją rzadko, powstawały zaległości w dostawie. W początkach pobytu liczyliśmy naiwnie na to, że kiedyś owe zaległości zostaną wyrównane, że trafi do naszych rąk wszystko, co się nam należy. Powstać mógłby wtedy krzepiący serce i żołądek zapas. Nasze

rachuby ani razu nie ziściły się. Nigdy nam niczego nie wyrównywano. Co jakiś czas, nieregularnie, dostawaliśmy bez ładu i składu po 2 lub 3 kg mąki na rodzinę. Nikt nie fatygował się wyjaśniać zasady rozdziału. Rozdzielający tłumaczyli się niewiedzą. Byłoby to rozbrajające, gdyby nie było groźne dla zdrowia i życia. Połowa normy mąki należała się osobom będącym na utrzymaniu pracownika, a więc nieletnim dzieciom oraz osobom starszym. Okradano nas bezczelnie z tego, co się nam słuszenie i według obowiązujących przepisów należało, a najbardziej przykre było to, że poskarżyć się nie było komu. Miejscowe *naczalstwo* udawało, że nie widzi problemu. Nikt też z nas nie próbował nawet zadawać pytań, które wprawdzie w ramach najszluszniejszego ustroju, ale przecież na obrzeżach cywilizowanego świata musiałyby zabrzmieć naiwnie... i pewnie nawet głupio. Nie było też wiadomo, czy nie pociągną takie pytania za sobą jakichś dodatkowych szykan. W naszym nowym otoczeniu panowało przeświadczenie, że pytania zwykle niczego dobrego ze sobą nie przynoszą.

Gdy zaczął padać śnieg, wróciliśmy wszyscy ze stepu na fermę. W naszym mieszkaniu, zajmowanym z rodziną Polaków złożoną z trzech osób, było zimno. Nie mieliśmy czym palić w piecu ani co jeść. Skończyły się przydziały chleba, zdani byliśmy na samych sobie. U miejscowych ludzi nie można było niczego do jedzenia kupić. Wyglądało na to, że sami są w potrzebie. Latem mieli do zbycia od czasu do czasu miseczkę mleka, ale na jesieni te możliwości się kończyły. Trzeba było gdzie indziej szukać ratunku, aby nie zginąć z głodu i zimna. Od Rosjan z naszej fermy wiedzieliśmy już, że „za górami”, tzn. po drugiej stronie znajdującego się na północ od naszej fermy pasma górskiego, w odległości 20–30 km, jest kolchoz Nowotroickoje zamieszkały przez Rosjan. Wybrałyśmy się tam po raz pierwszy z miejscową kobietą, biorąc ze sobą rzeczy przeznaczone do zamiany za żywność. Miałam na drogę 2–3 pieczone w popiele kartofle, ale zaraz za fermą zjadłam je, aby nie kusily i nie trzeba było wciąż o nich myśleć. Szłyśmy wytrwale cały dzień i pod wieczór stanęłyśmy w kolchozie, droga nasza prowadziła przez wysoki łańcuch gór. Z powodu stromizny trzeba było sobie pomagać przy wchodzeniu obiema rękami. Wspinanie się i schodzenie w dół było bardzo mozolne. Osada leżała w dolinie między dwoma pasmami gór, robiła wrażenie wsi, wzdłuż ulic stały niewielkie domy z podwórkami ogrodzonymi płotami, za domami ciągnęły się działki. Ludzie tak w czasie pierwszej wyprawy, jaki i w czasie kolejnych w przyszłości przyjmowali nas życzliwie, częstowali chlebem i smacznym *szczy*, tj. czymś w rodzaju rzadkiego kapuśniaku, chętnie także przyjmowali nas na noc. Spałyśmy na ciepłym piecu albo czasem na ławie. Kolchoźnicy woleli oddawać ziemniaki w zamian za odzież niż sprzedawać je za pieniądze, gotówka nie była wymarzoną ekwiwalentem w kontaktach handlowych. Regularnych sklepów w naszej okolicy nie było, na większe zakupy trzeba byłoby jechać daleko, bodaj do Alma Aty lub innych, także oddalonych miast. Prawdę mówiąc, pierwszorzędnym przedmiotem wymiany były ziemniaki. Wchodząca też w grę pszenica miała wysoką cenę i mało kto chciał się jej pozbywać. O słoninie czy mięsie mowy nawet nie było. Zdobyte ziemniaki, w ilości mniej więcej dwóch



pułów, wsypywało się do worka, przywiązywało do niego sznurki w taki sposób, że powstawał tobołek w rodzaju plecaka. Przez cały dzień maszerowało się potem przez góry ze zdobyczą do domu. Chowaliśmy również każdy kawałek chleba zdobywany w trakcie takich wypraw, aby zanieść go pozostałym w domu. Droga powrotna z ciężarem na plecach, który gniótł niemilosiernie, była bardzo ciężka. Im było bliżej fermy, tym bardziej brakowało sił, byliśmy zwykle złane potem, a przed oczami latały czerwone pląty. Odpoczynki były coraz częstsze i dłuższe, trzeba było dużego wysiłku woli, aby się zmobilizować do podjęcia dalszego, prawie nadludzkiego trudu. Bywało, że nawet i zimą kładliśmy się dla odpoczynku na drodze, gdyż nogi, plecy, w ogóle całe ciało odmawiało posłuszeństwa. Po powrocie z Nowotroickoje zjawiała się prawie zawsze silna gorączka, która po kilku dniach ustępowała.

Im sroższa była zima, tym trudniejsza była wyprawa do kołchozu. Z powodu braku stosownego obuwia, jak na tamtejsze warunki, gdzie mróz oscylował wokół  $-40^{\circ}\text{C}$ , trzeba było nogi dodatkowo okręcać jakimis szmatami. Zresztą głowę i ręce też należało okutać pilnie dostępnymi kawałkami materiału. Rosjanie w Nowotroickoje nadziwić się nie mogli, że wypuszczamy się w daleką drogę bez stosownie ciepłej odzieży. Do kołchozu chodziliśmy stosunkowo często. Z naszej rodziny najczęściej robiłam to ja, jako najstarsza z rodzeństwa, oraz Janeczka. Bezpieczniej było wypuszczać się zimą w dalszą drogę w większej gromadzie. Oczywiście były z nami jeszcze inne Polki. Największe niebezpieczeństwo stanowiła burza śnieżna, *buran*, jak ją nazywali miejscowi. Gdy już zdarzyła się, wiał silny wiatr, który tak miotał śniegiem, że powstawała mlecznobiała mgła i na odległość nawet dwóch metrów nie było nic widać. W czasie takiej śnieżycy łatwo było zejść z ubitej, z reguły wąziutkiej drogi i utopić się w głębokim śniegu. Tubylcy wyraźnie bali się *buranu*, pilnie obserwowali niebo i kierunek wiatru, a przewidując jego nadejście, gdy pojawiała się charakterystyczne według nich łśnienie powietrza, przestrzegali przed wybieraniem się w drogę. Zdarzało się, że gdy burza śnieżna zastała nas w nowotroickim kołchozie, ofiarowywano nam gościnę nawet na przeciąg kilku dni. Ceniliśmy sobie te przyjazne i bezinteresowne gesty.

W okresie zimy pojawiał się wyraźniej niż w innych porach roku problem wilków, zwykle głodnych. Było ich w okolicy bardzo dużo, z reguły poruszały się stadami. W okresie lata, gdy owce były na stepie, wilki nie stanowiły zagrożenia dla innych zwierząt i ludzi. Gdy były syte, potrafiły chodzić spokojnie wśród pasącego się bydła i można je było w roztargnieniu wziąć za psy. Gdy natomiast dokuczał im głód, podkradały się ostrożnie do owiec i porywały te sztuki, które były na obrzeżu stada. Nie mordowały ich jednak dla samego mordowania, ale dla niezbędnego zaspokojenia głodu. Nie miałam okazji nigdy wcześniej obserwować zachowania owiec w obecności wilków. Zwiertzywszy ich obecność, nie rzucały się do panicznej ucieczki przed siebie, jak to mają zwyczaj czynić inne zwierzęta. Bezgłośnie natomiast zbijały się w ciasną, stojącą prawie bez ruchu, jakby czekającą na coś gromadę. Wilki wydzierały naturalnie z gromady te, jak już powiedziałam, znajdujące się na jej obrzeżu.

Gdy zimą, już na Łaj-Bułaku, woziałam z innymi kobietami siano ze sterty na fermę (wyjeżdżałyśmy rano i wracałyśmy wieczorem), widziałam wilki igrające, baraszkuje i jakby przeskakujące jeden przez drugiego na drodze, którą miałyśmy jechać. Właściwie w ciemności nie było ich widać, jak małe latarki świeciły wilcze oczy, które zmieniały wciąż położenie. Wnosiłyśmy z tego, że skaczą i biegają. Wystarczyło wszakże kilka razy gromko krzyknąć, a światełka znikają. Czasem drapieżniki wdzierają się zimą do koszary przez niziutki dach i dokonywały rzezi wśród owiec. W nocy pilnował owce stróż, który musiał czuwać i słuchać, czy nie przebiegają z miejsca na miejsce. Takie ich zachowanie zwiastowało, że jest obcy wśród nich.

Na stepie żyły też lisy, na które Kazachowie polowali. Z ich wyprawionego futerka robili ładne i oryginalne czapki męskie, które zimą i latem nosili na głowach. Górna część takiej czapki uszyta była z kolorowego jedwabiu, długie sięgające ramion nauszники podbite były lisem. Z tyłu wykończona była zaokrąglonym trójkątem, sięgającym aż do łopatek. Oprócz wilków i lisów nie było w okolicach Tas-Bułaku żadnych dzikich zwierząt. Ptaki reprezentowane były przez skowronki i dudki.

Po większych opadach śnieżnych trzeba było przecierać drogi łączące fermy. Udeptywali je nogami metr po metrze ludzie i zwierzęta. Była to ciężka praca. Użyskany w ten sposób szlak komunikacyjny był wąski, tak wąski, że dwoje małych sanek nie mogło się w żaden sposób minąć. Jedne z nich zawsze musiały być zepchnięte w grząski, głęboki śnieg. Powrót na ubity trakt był bardzo trudny tak dla konia, jak i dla wołu, przerażone zwierzęta miały się w śnieżnej toni, pociły się i traciły cenne siły. Trzeba było dużych umiejętności i opanowania ze strony człowieka, by wyprowadzić je na twardy śnieg szlaku. Wzdłuż owego szlaku wbijano pionowo tyki. Na ich szczycie mocowano wiechcie słomy. Dzięki takiemu oznakowaniu można było w miarę bezpiecznie utrzymywać właściwy kierunek poruszania się szczególnie wtedy, gdy spadł świeży śnieg.

Przyniesione z ciężkim trudem z Nowotroickoje ziemniaki wysypywałyśmy pod prycze, starannie je okrywając, aby nie zmarzły. Miałyśmy w tym czasie prycze, tj. dwa kozły i kilka układanych na nich desek, odziedziczonych po naszych współlokatorach, którzy wyjechali do Urdżaru. Ziemniaki stanowiły, jak mówiłyśmy, nasze życie – i to w dosłownym znaczeniu. Raz na dzień przygotowywany był z nich posiłek, a mianowicie trzy duże ziemniaki ucierałyśmy na tarce. W takiej postaci rzucało się je na wodę, dokładnie na 5 litrów wody, bo było nas pięć osób. Czekaliśmy aż zawartość garnka zagotuje się. Czekać trzeba było czasem długo, bo pod pięciolitrowym kociołkiem paliło się małymi patyczkami ukradzionymi z płotu uplecionego z witek podobnych do leszczyny. Zwykle zmierzchało, gdy wreszcie nasz krochmal był gotowy. Chociaż bywał często nieosolony, jadłyśmy go z ochotą, gdyż byłyśmy zmarznięte i głodne. Po zjedzeniu, a raczej wypiciu „zupy”, gdy zaczęły działać kwasy żołądkowe, niezaspokojony w istocie głód tak się wzmacniał, że mówiąc niezwykle obrazowo „chciało się gryźć kamienie i wyć z rozpacz”. Wtedy z kolei wydawało się, że znośniej byłoby zupełnie nic nie jeść, niż znosić nieprzystojne pobudzenia żołądka i w istocie uczucie wzmożonego głodu.

Najlepszym wyjściem z sytuacji wydawał się sen, ale z powodu nieznośnego ssania w żołądku niełatwo było zasnąć. Jeden Bóg tylko wie, ile łoż do poduszki wylałyśmy w tym stanie. Gdy w końcu przyszedł sen, nie odczuwało się już przykrego uczucia z powodu głodu, ale śniło się często, że się jest na przyjęciu, że się je do sytości, że znika uczucie pustki w żołądku. Po przebudzeniu, do wieczornego posiłku na jawie, bez względu na jego jakość, było znośniej. Przeszkadzał natomiast wtedy kąsający chłód. Izba była naturalnie nieopalona, bo bezustannie brakowało drewna, na dworze srożył się mróz, na ścianach naszej izby rosły lodowe igły. Siedziałyśmy w postaci kompletnie ubrane we wszelką posiadaną odzież, a zimno dokuczało nadal.

Opał do paleniska zdobywałyśmy po zapadnięciu zmierzchu. Źródłem zdobyczego paliwa w tym czasie był pobliski, pogrążony w śniegu, oddalony może o 100 metrów niewielki płot. Widać go było, niestety, również z okien Kabija oraz Papazowa. Zdarzało się, że z hukiem i wrzaskiem wpadał do naszego mieszkania Kabij i rozwścieczony rozglądał się, usiłując dociec, gdzie ukryłyśmy ukradziony opał. Był pewnie i u innych Polaków, bo domyślał się, że zanikanie płotu jest naszą, polską sprawką. My natomiast urządziłyśmy się w ten sposób, że „zorganizowane” nieliczne patyki chowałyśmy pod materace od strony ściany. Tam Kabij nigdy jakoś ich nie szukał. Zwykle ograniczał się tylko do ogólnego rzucania okiem na w istocie prawie puste pomieszczenie. Jakoś, nie wiadomo dlaczego, dawał się zwieść pozorom.

Drugim miejscem, w którym zdobywałyśmy materiał do palenia pod kociołkiem, był wybieg dla owiec, gdzie wykładano im siano. Nie wszystkie jego składniki były jednak jadalne. Owce nie interesowały się zaplątanymi w sianie małymi krzaczkami i pokaźniejszymi twardymi łodygami traw. One to właśnie nadawały się znakomicie do palenia. Kazachowie zatrudnieni zimą przy owcach też zabierali do swych siedzib te, jak je nazywano, *objedki*. Trzeba było wykorzystywać moment, gdy nikogo z kazachskiej obsługi nie było w pobliżu, i spieszenie nagarnąć je do jakiejś płachty lub choćby chustki na głowę. Przy takiej akcji utraciłyśmy kiedyś ładny i będący w zupełnie dobrym stanie letni płaszczyk Janeczki. Odebrał nam go razem z *objedkami* któryś ze starszych Kazachów. Płaszcz tego mimo starań, nawet i u Papazowa, nigdy nie odzyskałyśmy. Strata była duża.

Gdy na przedwiośniu śnieg zaczął osiadać, na zboczu płaskowyżu, na którym leżała nasza ferma, zaczęły spod śniegu ukazywać się krzaki *karagaju*. Wybierałyśmy się po niego zwykle w południe, gdy robiło się cieplej. Problem opału w naszej sytuacji był niezwykle ambarasujący, trudny do pominięcia, bo przecież decydujący o przeżyciu. Wiele przemyślności i energii trzeba było angażować, by można było wyciągnąć ręce do krzepiących płomyków. Gdy już te ręce wyciągało się do owych płomyków, pojawiała się właściwie złudne, w naszej sytuacji nieracjonalne, ale jakże miłe uczucie pewnego bezpieczeństwa i chyba jednak optymizmu. Dziś myślę, że wtedy właśnie dawały o sobie znać atawistyczne elementy natury człowieka. Pewnie podobne do naszych były wrażenia pierwotnego człowieka, który przy ognisku w jaskini nie musiał martwić się przez moment o to, co dzieje się w groźnym mroku poza nią.

Zaraz po przyjeździe do Kazachstanu członkiem naszej rodziny został czarny, przeznaczony do zawieszania nad paleniskiem kociołek. Kupiliśmy go od Kazachów. Z lwowskiego mieszkania udało nam się niepostrzeżenie zabrać tylko jeden duży garnek, który służył nam za wiadro do noszenia wody z rzeki lub ze źródła.

Przez większą część zimy żywiłyśmy się, a raczej podtrzymywałyśmy w sobie życie krochmalowym roztworem z trzech utartych ziemniaków. Czasem jednak, gdy głód stawał się nie do zniesienia, szliśmy do Kazachów z prośbą o sprzedaż otrąb. Przykra to była misja i ogromnie niechętnie podejmowana. Trzeba było wchodzić do niemal kurnych, ciemnych, ciasnych, nie wietrzonych nigdy ziemianek, gdzie razem z ludźmi bytowały owce, a czasem i jakieś cielę. Ponieważ na początku zsyłki nie rozumialiśmy miejscowego języka, posługiwaliśmy się językiem rosyjskim. Nie wszyscy Kazachowie jednak zdradzali chęć rozumienia po rosyjsku, być może też rzeczywiście nie znali go. W znacznej więc mierze na migi starałyśmy się wytłumaczyć, o co nam chodzi. Sytuacja nie była miła, gospodarze zwykle rozmawiali między sobą, ciekawie przyglądając się przybyszowi. Często jakby sprzeczali się ze sobą i targowali. W końcu ta osoba, która potrafiła się z nami porozumieć, godziła się na sprzedaż miski otrąb albo kategorycznie odmawiała, co zdarzało się często, bo przeważała niechęć do zbywania tego dobra. Możliwe, że karmiono nim cielęta lub krowy, którym za jedyne pożywienie służyło siano. Otręby były duże i bardzo dokładnie wysiane, nie było na nich ani śladu mąki, były to same łuski. My jednak, jeśli tylko miałyśmy choć odrobinę mąki z przydziału, mieszałyśmy ją z otrębami i robiłyśmy zacierkę, którą wrzucało się do codziennego krochmalu z trzech ziemniaków. Odmiana jedzenia była mała, ale przecież choć przez chwilę cieszyła serce.

W pierwszym lub drugim roku naszego pobytu na 1. fermie zniesiono lub zmieniono zarządzenie władz ZSRR, ograniczające swobodę poruszania się Polaków po terenie zamieszkania. W związku z tym niektóre rodziny, zwłaszcza małe, wyjechały do Urdżaru, siedziby władz rejonu. My nie miałyśmy żadnego zapasu pieniędzy ani żywności, aby udać się w nieznaną. Byłyśmy przeświadczone, że wielce ryzykowny byłby taki wyjazd i mógłby skończyć się tragicznie. Wolałyśmy pozostać na fermie, gdzie miałyśmy w końcu dach nad głową, pracę i jakiś tam, choćby nieregularnie pojawiający się kawałek chleba, który jednak dawał nadzieję, że nie zginiemy z głodu. Nie wyobrażałam sobie, jak się urządzi w Urdżarze ci, którzy tam wyjechali. O ile było mi wiadomo (byłam w Urdżarze trzy razy) nie było tam żadnych miejsc, w których można by było znaleźć zatrudnienie. Mieszkanie też trzeba było wynajmować prywatnie. Urdżar nie robił wrażenia miasta ani nawet miasteczka, była to po prostu duża wieś, mająca klub, kino i bazar. Na bazarze można było sprzedać i kupić wszystko, a przede wszystkim żywność.

Po powrocie do Polski słyszałam, że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej przysłały dużą pomoc w postaci żywności i odzieży dla Polaków wywiezionych do ZSRR i że faktycznie w dużych skupiskach Polaków przydzielano ją w sporych ilościach.

Na naszą fermę przywieziono dwa razy takie dary. Raz na całą naszą rodzinę przypadła jedna para roboczych butów męskich i zrudziały płaszcz z wydartą

podszewką, również męski. Drugi raz zetknęliśmy się z darami amerykańskimi tuż przed wyjazdem do Polski. Obdarowano nas wtedy konserwami rybnymi. Przydały się w czasie podróży i stanowiły znaczną część naszych zapasów żywnościowych.

W związku z wyjazdem kilku rodzin polskich z 1. fermy do Urdżaru przydzielono nam, jak już wspomniałam, mieszkanie po jednej z nich. Wchodziło się do niego z tego samego korytarza, przy którym było mieszkanie dotychczasowe. Nowy lokal miał tylko jedno małe okno. Jego zaletą było to, że nie było w nim tak tragicznie zimno jak w poprzednim.

Po przeżyciu z wielkim trudem pierwszej zimy, przede wszystkim z powodu m.in. braku opału, do następnej starałyśmy się w miarę możliwości przygotować lepiej. Z przydzielonego nam nawozu krowiego zrobiliśmy *kiziak*. Produkowałyśmy go solidarnie wszystkie. Mamusia z Lalą pilnowały mieszania nawozu ze słomą. Składniki te mieszała, czy też raczej miesił, depczący je, chodzący po nich byk, o którego do tej pracy zabiegałyśmy u *naczalstwa*. Uzyskaną masę nakładało się do formy, wykladało się z niej zawartość na ziemię i suszyło się. Podpatrując i naśladując Kazachów, układałyśmy wysuszone kostki dokładnie w ciasne pryzmy i oblepiałyśmy te pryzmy krowim łajnem. Lala, która latem bywała częściej na fermie niż my obie z Janeczką, zbierała świeże placki łajna robione przez krowy kazachskie i suszyła je na słońcu. Zbiórka wymagała ostrożności i szybkości w działaniu, bo Kazaszki, w przypadku zauważenia niecnego procederu naszej siostry, z krzykiem protestowały i łajno starały się odebrać, często nie bez sukcesu.

W wolnych chwilach rąbałyśmy i znosiłyśmy z okolicy *karagaj*, a także przywoziłyśmy wozem suche badyle zebrane na okolicznym stepie. Od czasu do czasu, gdy nadarzała się okazja, podbierałyśmy po kilka kostek *kiziaku* z ogromnych pryzm przeznaczonych do ogrzewania biura *naczalstwa*.

Krótko po naszym zamieszkaniu na 1. fermie zorientowano się, że umiemy nie tylko mówić po rosyjsku, ale i pisać. W liceum pedagogicznym, do którego po ukończeniu gimnazjum uczęszczałyśmy obie z Helenką, uczono nas języka rosyjskiego. Potrafiłyśmy posługiwać się nim w mowie i w piśmie. Języka ukraińskiego uczyłyśmy się od trzeciej klasy szkoły podstawowej. Byłyśmy więc już od dziecka z tym językiem nie tylko osłuchane, ale i uczono go nas w sposób zorganizowany. Nauka obu tych języków odbywała się wszakże bez entuzjazmu z naszej i naszych rówieśników strony.

Zatrudniono więc Helenkę jako *uczotczyka* (rachmistrza) „na brygadzie”, a następnie wysłano na kurs buchalterów do Semipałatyńska. Gdy go ukończyła, została oddelegowana do Łaj-Bułaku, dokąd i my przeniosłyśmy się z 1. fermy. W Łaj-Bułaku Helenka pracowała w kantorze. Dla niej była to pomyślna okoliczność. Nie musiała harować fizycznie i smażyć się latem na słońcu w trakcie sianokosów. Siedziała w czasie upałów w pomieszczeniu względnie chłodnym, zimą zaś w ogrzewanym. Wynagrodzenie brała prawie takie, jakie i my otrzymywałyśmy, tzn. minimalne. Na tyle minimalne, że nie starczałoby jej na podstawowe, dostępne artykuły żywnościowe. Chleba przydzielano jej tyle, co nam, a może nawet mniej.



Na 1. fermie, najmniejszej, najuboższej i najbardziej wysuniętej na północ, położonej wysoko na płaskowyżu (co sprawiało, że zima trwała na niej dłużej niż na fermach południowych) mieszkaliśmy 3 lata, aż do jesieni 1943 roku.

Pracowałam latem przy sianokosach. Mianowano mnie *uczotczykiem*. Codziennie wieczorem obmierałam efekty działalności robotników i przedkładałam w biurze sprawozdania z wyszczególnieniem obszaru i rodzaju prac wykonanych ogółem, jak również przez poszczególnych pracowników. Moja praca, wymagająca chodzenia po stepie i obmierzania stepu skoszonego i zgrabionego, była nienormowana czasowo i dawała mi pewną swobodę w działaniu. Nikt na mnie nie pokrzykiwał ani nie ponaglał, pracowałam samodzielnie i na własną odpowiedzialność. Trochę trudności sprawiało mi obmierzanie przeogromnych stert siana, ale i z tym w końcu sobie poradziłam.

Do mnie też należało doręczanie *produktowozowi* (pracownikowi, który woził „na brygadę” chleb, ziemniaki i mięso) aktualnego wykazu robotników do wyliczenia dla nich ilości chleba i pozostałych artykułów żywnościowych. Pamiętam, że pierwszy raz przez omyłkę, a potem już celowo, umieszczałam na wykazie po kilka osób, których nie było w składzie pracującej na stepie brygady. W ten sposób uzyskiwałam dodatkowe porcje chleba, które rozdzielałam wśród Polaków, a także posyłałam przez Janeczkę naszej Mamusi, która pod opieką Lali leżała na fermie złożona ciężką chorobą, najprawdopodobniej malarią. Lala również była chora, miała silną gorączkę i opuchnięte stawy. Sztuczka z martwymi duszami udawała mi się przez całe lato, nikt moich machinacji nie odkrył.

Zanim obdarzono mnie funkcją *uczotczyka* byłam na 1. fermie przez poprzednie dwie kampanie sianokosów kucharką, *zaprawszczykiem*. Pracowałam też w miejscu zwanym Karaczylik (Czarne wiadro) przy oczyszczaniu zboża techniką wiania.

Praca kucharki „na brygadzie” polegała na zagotowaniu długo przed świtem ogromnego kotła wody z liśćmi dziko rosnącej na stepie truskawki, traktowanej jako surogat herbaty. Gdy „na brygadę” docierało mięso i ziemniaki, trzeba było wykroić kości z mięsa, zawsze prawie baraniego lub wołowego, a następnie w zależności od ilości pracowników uformować 40 lub więcej porcji. Pozostawało jeszcze obrać ziemniaki, które bardzo często były wielkości winogron, i na koniec ugotować wszystko w kotle mieszczącym ze 40, a może i więcej litrów, używając jako opału wysuszonego łąjna wołów lub suchych badyli.

Ilość ziemniaków jak i mięsa była dla każdego stołownika normowana. Norma była marna. Na obiad dostawało się litr wody, w której pływało parę kawałków ziemniaka i maleńki skrawek mięsa, dosłownie do włożenia na jeden raz do ust. Możliwe że na początku było tej żywności więcej, ale gdy uszczknął z niej troszeczkę każdy, kto się z nią zetknął w jej drodze na step, pozostawała dla pracowników „na brygadzie” w istocie humorystyczna jej ilość, ale przecież nieobojętna dla jedzących.

*Zaprawszczyk* miał za zadanie dbać o zaopatrzenie paliwowe do ciągników i kombajnów, prowadził ewidencję jego rozdziału dla poszczególnych traktorzystów i kierowców kombajnów. Przyjmował w istocie całość paliwa przywiezionego „na



brygadę” na swoje konto, a następnie kwitami rozchodowymi, które podpisywali traktorzyści, rozliczał się przed księgowym w biurze fermy. Aby uniknąć fałszerstw i przeróbek, odbiorcy paliwa mieli kopie podpisanych przez siebie kwitów.

Tankowanie odbywało się w najprymitywniejszy z możliwych sposobów. Paliwo lało się z beczek do wiadra, z niego z kolei przez lejek do zbiornika traktora. Wyjątkowo trudno było napełnić zbiornik dwustulitrowy ogromnego ciągnika gąsienicowego („stalińca”). „Staliniec” był bardzo wysoki. Górna gąsienica sytuowała się na wysokości głowy stojącego na ziemi człowieka, zbiornik był jeszcze wyżej. Trzeba było wspinać się z pełnym wiadrem na wysokość około dwóch metrów. Wspinaczkę z chlupoczącą zawartością należało powtórzyć dwadzieścia razy, zakładając, że wiadro miało pojemność 10 litrów. Z powodu wiatru, który wiał zawsze mniej lub więcej przy przetaczaniu zawartości beczki do wiadra i z wiadra do zbiornika, duża część paliwa, niesiona wiatrem, wylewała się bezpowrotnie na ziemię. Powstawały stąd niedobory masy paliwowej. Ponadto ludzie przy każdej nadarżającej się okazji zwyczajnie kradli ropę do kaganków, którymi oświetlali pomieszczenia. Dysponenta paliwa trapiła nieustanna obawa, że przy globalnym rozliczeniu ujawnione zostaną braki. Te, naturalnie bez wahania i wnikania w szczegóły, interpretowano jako efekt kradzieży i karano z biurokratyczną bezwzględnością. Rozchód olejów nie był oczywiście ewidencjonowany. Aby uniknąć kłopotów radziłam sobie w ten sposób, że dolewałam do beczki z ropą oleju, pokrywając w ten sposób braki w jej masie. Nigdy nie przyszło mi do głowy zastanawianie się, jakie konsekwencje dla silników rodził taki proceder.

W tym czasie przeżyłam niebezpieczną przygodę. Zaginęły mianowicie złożone przeze mnie w kantorze dokumenty rozchodowe na pobierane przez traktorzystów paliwo. Dokumenty te stanowiły zespół kartek, przeważnie jakiś starych druków. Pisało się na niezadrukowanej stronie, jeśli była czysta. Gdy brakowało takich kartek, pisało się na gazecie. Czystego papieru do pisania w czasach naszego pobytu w Tas-Bułaku i okolicach po prostu nie było. Co jakiś czas oddawałam do biura dokumenty rozchodowe paliwa porządnie pozszywane. Tworzyły zwykle spory plik. Leżałam w szpitaliku w centralnej osadzie po poparzeniu się w łaźni (w *bańce*), gdy odwiedził mnie zaniepokojony *dieduszka* Dołgich, księgowy fermy, i oświadczył, że nie ma dokumentów rozchodowania paliwa za czas tuż przed początkiem mojej niedyspozycji. Okoliczność ta miała mnie obciążać. Nie było paliwa i nie było dokumentacji obrazującej jego losy.

Bardzo się tą wiadomością przejęłam. Groziły mi konsekwencje w postaci zwrotu pieniędzy za radzieckie dobro strategiczne i ewentualnie kryminał, gdyby nie udało się ustalić, dokąd popłynęło to dobro. Zauważyłam już, że w radzieckim systemie prawnym nie było usprawiedliwienia dla czynu popełnionego nierozmyślnie, bez złej woli. Zawsze zakładano premedytację i złą wolę w stosunku do państwa i srodze karano. Przez cały czas pobytu na izbie chorych, a trwało to miesiąc, przeżywałam prawdziwe katusze, ponieważ przykuta do łóżka nie mogłam działać. Leżałam, srodze cierpiałam z powodu poparzenia parą w *bańce* i modliłam się gorąco o pomyśl-

ny obrót paliwowej sprawy. Wkrótce po moim powrocie do domu przyszedł znów do nas księgowy Dołgich, ale tym razem z radosną wiadomością. Dokumenty znalazły się. Leżały za piecem w kantorze, bo sprzątaczką, myśląc że są one niepotrzebne, przeznaczyła je na podpałkę.

## KARACZYLIK

Miejsce o takiej nazwie znajdowało się mniej więcej w odległości 12–15 km na północ od naszej fermy, na granicy sowchozów. Stał tam tylko spory budynek bez okien, jedynie pod dachem miał małe otwory bez ram i szyb, zbudowano go z dużych kamieni, dach pokryty był papą. W niedalekiej odległości od tej budowli, magazynu – jak się okazało – stała lepianka kazachska, w której mieszkała para starszych Kazachów z kilkunastoletnim dzieckiem. Kobieta była wyjątkowo brzydka. Miała nieproporcjonalnie dużą i płaską twarz, grube rysy, duże mięsiste wargi. Nazywałyśmy ją Cudna.

Przyjechałyśmy do Karaczyliku w piątkę, same polskie dziewczęta. Bardzo możliwe, że była z nami również Janeczka. Przywiózł nas Skak i objaśnił, na czym polegać ma nasza praca. Miałyśmy przewiać znajdujące się w magazynie zboże, przerzucając je z jednego końca budynku na drugi. Przywiozłyśmy ze sobą wydany nam na kilka dni chleb, parę kilogramów ziemniaków potrzebnych do gotowania zupy. Miałyśmy spać w magazynie, gotować jedzenie w garnku ustawionym na kamykach otaczających palenisko. Perspektywa pracy bez nadzoru bardzo się nam podobała. Skak odjechał zaraz na fermę, ale obiecał przyjechać za parę dni i przywieźć nowy prowiant. Zostałyśmy same. Wyznaczyłyśmy sobie dzienną normę oczyszczenia zboża, które okazało się owsem. Po wykonaniu tej normy gotowałyśmy sobie na stepie jedzenie i odpoczywałyśmy w słońcu, oddając się marzeniom o chlebie i potrawach, których w przeszłości nie lubiłyśmy, a które w naszej sytuacji byłyby bardzo pożądane.

Stałym tematem rozmów Polaków, gdy się już zeszli, było zawsze jedzenie. Ludzie zwierzali się, co chcieliby aktualnie zjeść, wspominali urządzone dawniej w domu przyjęcia, wyliczali dokładnie potrawy, które cieszyły się ich uznaniem, i te, którymi gardzili. O jedzeniu rozmawiali nie tylko zwykli, szarzy ludzie, ale i osoby z inteligencji, które w Polsce zajmowały wysokie stanowiska. Jednym słowem problem chleba tkwił głęboko w umysłach i sercach, drażnił na jawie i we śnie.

W okresie pracy w Karaczyliku znajdowałyśmy na okolicznym stepie piękne pieczarki, mające kapelusze wielkie jak talerze o grubości 3–4 cm. Wraz z ziemniakami stanowiły one doskonały materiał na zupę grzybową. Tę zupę jadłyśmy codziennie aż do znudzenia. Cudna, gdy to zobaczyła, pluła na ziemię raz po raz i długo coś tam po kazachsku z oburzeniem mówiła. Nie wiedziałyśmy, o co jej chodzi i co ją

gniewa. Dopiero po jakimś czasie dowiedziałam się od Rosjanek, że Kazachowie brzydzą się pieczarkami, nie jedzą ich, bo rosną na łajnie. Nasi kazachscy sąsiedzi z Karaczyliku poza tym, że brzydzili się pieczarek, wcale nie byli tacy źli. Ilekroć gotowali mięso, a byliśmy w pobliżu nich, mężczyzna, biorąc z tacy najtłustsze kawałki, kładł je nam na dłoń, co oznaczało przyjaźń i zyczliwość. Kobieta pozwalała nam na podpieczenie w swoim kotle kilku garści pszenicy, którą zaspokajaliśmy głód. Jedyną przeszkodą w sąsiedzkim współżyciu z tą rodziną kazachską było to, że jej członkowie nie rozumieli ani słowa po rosyjsku i rozmowa zawsze odbywała się na migi, co stwarzało nie tylko dodatkowe trudności, ale często stawało się źródłem śmiesznych sytuacji.

Po kilkuletnim pobycie w sowchozie przedstawiałyśmy sobą, tak zresztą jak i inni nasi rodacy, żalosny obraz. Część ubrań i bielizny, którą zabrałyśmy ze sobą, a nie było jej zbyt dużo, wymieniłyśmy w kołchozie głównie za ziemniaki, czasem za pszenicę. To, co nam pozostało, wycierało i niszczyło się stopniowo, tak że w końcu pozostało tylko to, co miałyśmy na sobie. Odzież używana codziennie do różnych prac niszczyła się bardzo szybko i trzeba ją było łątać, zszywać. Zwłaszcza moja spódnica była połatana różnymi łatami, i to tak gęsto, że nie było wiadomo, z jakiego materiału pierwotnie była uszyta. Dzięki darom amerykańskim, które do nas dotarły, miałyśmy jedną parę skórzanych roboczych butów męskich, w których chodziłyśmy zimą na wyprawy do kołchozów. Przypominam sobie, że doszły do nas bodajże dwie paczki od naszych profesorów z gimnazjum i liceum. Profesorka języka polskiego, dr Jadwiga Jarzębińska, była najprawdopodobniej ich inicjatorką, możliwe, że i inni profesorowie składali się na ich zawartość. Książdz dr Stanisław Bizuń, nasz prefekt z liceum, woził je ponoć do Kołomyi, skąd jedynie można je było wysłać do Kazachstanu. Wiadomości o tym dotarły do nas po powrocie do Polski, gdy Helenka spotkała się z naszymi koleżankami na zjeździe absolwentów naszej szkoły.

Pamiętam, że w jednej z tych lwowskich paczek były buciki wojskowe małego rozmiaru, na podeszwach gęsto nabijane ćwieczkami o bardzo dużych łebkach i wojskowa manierka tranu. Buty sprawiły nam najwięcej radości, były niemal naszego rozmiaru i stosunkowo lekkie. Miałyśmy dwie pary skórzanych butów, które oddały nam nieocenione usługi. Tranu oczywiście nie wypiliśmy, ale pamiętam, że na wielkie święta albo na imieniny Mamusi lub którejś z siostr smażyłyśmy na nim maleńkie placki z ziemniaków ścieranych razem ze skórą. Ogromnie nam smakowały.

Wszystkie byłyśmy zagłodzone, zabiedzone, chude i okryte szmatami, które trudno było nazwać odzieżą. Latem chodziłyśmy w mieszkaniu i na dworze boso, nawet Helenka chodziła do pracy w biurze boso. Tymi nieobutymi nogami wymachiwała niepoważnie pod stołem w trakcie poważnych biurowych zajęć. Latem „na brygadzie” na polecenie Skaka Kazachowie zrobili nam tzw. *bászmakí*. Wycinali mianowicie ze świeżo ściągniętej z wołu skóry kawałek w kształcie elipsy, nacinali otwory na brzegach tak, aby można było przeciągnąć przez nacięcia pasek skóry, którym ściągało się wycięty płat, wiązało się paski powyżej kostki i stopa tkwiła w początkowo mokrym worku. Owłosiona strona skóry była na zewnątrz. Tak wypro-

dukowane obuwie przedstawiało się obrzydliwie. Było mokre i śliskie, na początku wzdragałyśmy się nosić takie paskudztwo, ale ponieważ nie było w czym chodzić, zakładałyśmy *bászmaki* i byłyśmy zadowolone, że nie ropieją nam nogi od licznych ran i zadrapań. Chodzenie po stepie boso byłoby w istocie niemożliwe ze względu na suchy, kamienisty teren, liczne ostre i twarde trawy, które kaleczyły stopy, a także jadłowite żmije i pająki. Nasze obuwie wysychało na nogach w miarę podwyższania się temperatury, stawało się twarde i krótkie, a sfałdowania powstałe na skutek ściągnięć rzemieniem rznąły nogi jak nożem. Natychmiast po zejściu z pola moczyłyśmy je w źródlanej wodzie strumyka, oczywiście w dalszym jego biegu. Zdarzało się, że wygłodzony pies porywał z wody ten moczący się kawałek skóry i usiłował go zjeść, co mu się szczęśliwie dla nas nie udawało, a odebrać sobie go nie pozwalał.

By uzupełnić ubytki w rozpadającej się odzieży niektóre Polki, gdy tylko miały okazję, odkupywały od Rosjan lub Kazachów jutowe worki, z których szyły już to spódnice, już to sukienki. Worki te przywożono z Ałma Aty lub innego większego miasta, gdyż ani w Urdżarze, ani w Ajaguzie na bazarze ich nie było. Widziałyśmy często, jak Kazaszki, pilnując owiec na stepie, przędły wełnę przy pomocy wrzeciona z grzybkiem, który to grzybek ułatwiał i stabilizował ruch wirujący wrzeciona. Oczywiście grzybek zrobiony był ręcznie, a nie toczony maszynowo. Im był równiejszy, tym wrzeciono wirowało równiej i dłużej. Nie pamiętam, od kogo i jak je kupiłam. Od jakiegoś momentu byłam właścicielką takiego prostego urządzenia. Wełnę nie trudno było zdobyć, trzeba było tylko, kiedy nikt nie widział, zdjąć po prostu z pasącej się owcy te kępy, które wystawały ponad poziom pokrywającego ją runa. Owce bardzo często gubiły lub zostawiały wełnę na krzakach, obok których przechodziły. Rozpoczęłam w wolnych chwilach naukę przędzenia i po pewnym czasie miałam umiarkowane sukcesy. Na początku nić była dosyć gruba, ale stopniowo nabierałam wprawy i była ona coraz lepsza. Efektem moich pierwszych wysiłków dziewiarskich z wykorzystaniem wyprodukowanej przeze mnie nici była para ciepłych białych pończoch, z których jedna była trochę grubsza od drugiej. Moje umiejętności wszakże rosły z czasem. Dzięki rosnącej wprawie i szybkości w przędzeniu zrobiłam po jakimś dłuższym czasie z uprzedzonej wełny nie tylko sobie, ale Mamusi i siostrze ciepłe spódniczki, ładne swetry i bluzki z karczками i ażurami. Najpiękniejsza była bodaj śnieżnobiała spódniczka Helenki rozszerzona u dołu, która robiła wrażenie układanej w fałdy, i bluzeczka z okrągłym karczkiem oraz wrabianymi półkolistymi pasami brązowymi. Ponieważ nie było barwników do farbowania, wykorzystywałam do wrabiań wełnę w kolorze czarnym, pochodzącą z owiec o takim naturalnym kolorze runa. Była Helenka bądź co bądź pracownikiem biura i chciałam, by wyglądała porządnie, choć chodziła wciąż boso. Już w Łaj-Bułaku, dokąd wyjechałyśmy z 1. fermy, także i inne młode dziewczęta, jak ja wówczas, robiły na drutach, przypominały sobie stare wzory, komponowały nowe. Niektóre obdarowane talentem wyrabiały prześliczne rzeczy. Najpierw Rosjanki a potem Kazaszki, widząc jak ładne i pożyteczne rzeczy wychodzą spod palców Polek, przynosiły uprzedzoną wełnę, zamawiając swetry i szale. Ja również w wol-

nych od pracy chwilach robiłam cieniutkie szale z koziego puchu, ozdobione ładnymi, bogatymi koronkami na obwodzie. Taki szal w tamtych czasach był bogactwem i nie każda kobieta mogła go mieć. Zapłata za tę pracę wydawała się zawsze za małą. Przeważnie bywała to miska mąki, wiadro ziemniaków lub ledwie kilkadziesiąt rubli. Dobrze było i to, bo wydawało się, że nie siedzi się bezczynnie, ale ze swojej strony robi się wszystko, aby przetrwać i doczekać powrotu do Polski.

Niektóre co śmielsze i sprytniejsze Polki, mające karty do gry i umiejące się z nimi obchodzić, próbowały wróżyć z nich. Chciały, tak jak i inni rodacy, zajrzeć w przyszłość i zobaczyć, czy powrócimy do swojej ojczyzny, czy też przyjdzie nam marnie zginąć w objęciach głodu i w poniewierce na bezkresnych kazachskich stepach. Wszyscy pragnęli dowiedzieć się, choćby z kart, co dzieje się z naszymi aresztowanymi ojcami, mężami i braćmi. Najpierw wróżyły li tylko dla zaspokojenia własnej ciekawości, a po napaści Niemiec na Rosję, gdy rozgorzała krwawa wojna i wszyscy niemal Rosjanie poszli na front, wróżyły także innym, chętnym do poznania nieznanego, za co prawie zawsze mogły liczyć na kawałek chleba lub czarbkę mleka. Niemalą pociechą, bodaj na parę dni, było zapewnienie wróżbitki, „że jak mur stoi nam w kartach droga i że z całą pewnością pojedziemy do domu”. Był to zapewne zbieg okoliczności i czysty przypadek, ale jeśli idzie o naszego Tatę, o którym nic do owego czasu absolutnie nie wiedziałyśmy, to twierdziły te specjalistki od kart stanowczo, że żyje, ale jest mu bardzo źle i bliski jest śmierci. Takie wróżbiarskie zabiegi, choć nie na długo, podnosiły nas na duchu.

Muszę tutaj cofnąć się do naszego przyjazdu na 1. fermę, i wspomnieć rzecz ważną, mianowicie wydanie nam radzieckich dokumentów tożsamości. Otóż kilka miesięcy po naszym przyjeździe zbudzono nas ze snu w środku nocy i polecono natychmiast udać się do domu stojącego w pobliżu, w którym mieściła się kantora, by odebrać paszporty. Dokument nazwany paszportem okazał się dowodem osobistym i z chwilą jego otrzymania stawałyśmy się obywatelkami ZSRR. Starsi dwaj mężczyźni, którzy wśród nas byli na 1. fermie, wzbraniali się i nie chcieli tego paszportu przyjąć. My jednak po zastanowieniu się doszłyśmy do wniosku, że sytuacja nasza z paszportem czy bez niego i tak się nie zmieni, gdyż i tak jesteśmy w rękach ludzi radzieckich, daleko od naszej ojczyzny i całkowicie od nich zależne. Przyjęłyśmy więc wszystkie nowy dokument bez manifestowanego na zewnątrz sprzeciwu. Po powrocie do Polski dowiedziałyśmy się, że niektórzy Polacy kategorycznie odmówili przyjęcia dokumentów radzieckich. Tych aresztowano, sądzono i pakowano do więzień.

Gdy byłyśmy na 1. fermie, rozeszła się pogłoska wśród rodaków, że gen. Władysław Anders organizuje armię złożoną z Polaków przebywających na terenie Związku Radzieckiego i ma ona być skierowana do walki z Niemcami. Obóz, do którego powinni zgłaszać się chętni, miałby znajdować się w Iranie. Nie wiedziałyśmy, kto te wieści rozgłaszał i skąd je czerpał. Mówiono również po cichu, że w ten sposób Polacy mieszkający poza granicami ZSRR chcą ratować rodziny wojskowych deportowane na Wschód. Pogłoska mówiła, że członkom tych rodzin miałyby przysługiwać specjalne dokumenty na przejazd i jakaś pomoc w gotówce i żywności. Do grona ro-



dzin wojskowych należała na 1. fermie mieszkająca przed deportacją w Rzęśnie Polskiej pani Janina Ciupakowa z dwiema córkami. Krystyna Stecyszyn była córką wojskowego. Do formującej się armii polskiej pod dowództwem Władysława Andersa wyjechały z 1. fermy dwudziestoparoletnie Ala i Irka Dobrzańskie. Słyszałyśmy, że w Urdzarze i na niektórych fermach rodziny wojskowych faktycznie pakowały manatki i wyruszały w daleką, niepewną podróż do Iranu. Jak się potem okazało, te wyjazdy Polaków do Iranu miały mieć w naszym życiu doniosłe znaczenie. Dla naszej rodziny w tym potoku wyjeżdżających stała się znacząca w zadziwiający sposób jedna tylko osoba – Wanda Kaliszczak, siostra Danki, tej samej Danki, którą wypatrzyłam wtedy, gdy w kwietniu 1940 roku wiozący nas do Kazachstanu *eszelon* zatrzymał się w stepie po raz pierwszy. W Ajaguzie rozdzielono nas. Dostała przydział do innego miejsca pobytu. Po raz drugi natknęła się na nią Helenka, gdy jeździła z innymi pracownikami 1. fermy do sąsiedniego sowchozu po zboże. Wydaje mi się, że był to sowchoz Myn-Bułak. Przy okazji owego spotkania wymieniły się obie adresami, aby w razie potrzeby można było prowadzić korespondencję. Do korespondowania jednak nie doszło. Okazało się jednak potem, że młodszej siostrze Danki, Wandzie, udało się szczęśliwie razem z innymi dotrzeć do Iranu (sama Danka była jeszcze z matką w dotychczasowym miejscu pobytu w Kazachstanie). W obozie na granicy czatował na przybyłych z Kazachstanu nasz Ojciec, który wcześniej, po amnestii, dotarł tam i pilnie wypytywał o swoją rodzinę. Bóg zrzędził, że spotkał siostrę Danki, a ona знаła nasz adres.

W ten sposób Ojciec odnalazł nas. Napisał do nas list i wysłał pierwszą paczkę, a potem kolejne paczki. Wysyłał je, jak pisał w liście z 14 VI 1944 roku, na chybił trafił. W przyszłości paczek tych przyszło więcej. Były wysyłane także na koszt Ojca przez przedsiębiorstwa wysyłkowe, które prosiły o potwierdzenie przyjęcia przesyłki listownie lub telegraficznie. Prośba po rosyjsku lub po polsku znajdowała się na specjalnych blankietach w formie kartek-odkrytek przesyłanych do Tas-Bułaku.

O tym, że paczek wysyłanych było do nas wiele, dowiedziałyśmy się w przyszłości. Niektóre z nich miały cenniejszą zawartość niż ta pierwsza, ale nie wszystkie dotarły do naszych rąk. Mimo strat w ilości przesyłek skierowanych przez Ojca do nas wszystko to, co otrzymałyśmy w tamtych czasach, choć w minimalnej ilości, było dla nas wielką pomocą. Jako niezwykle wydaje mi się to, że zachowało się aż siedem zawiadomień o wysyłce paczek z różnych miejsc między marcem 1944 a listopadem 1945 roku. Zachowało się nawet jedno sprawozdanie finansowe dla Ojca porucznika Gusmana, kupującego zawartość paczek dla nas w lutym 1944 roku.

Tę pierwszą paczuszkę dostałyśmy na 1. fermie. Mianowicie pewnego dnia zawiadomiono nas, by z dowodem tożsamości, tj. obdarzonym nas przez władzę radziecką paszportem, stawić się na poczcie w centralnej osadzie po odbiór przesyłki. Jakaż była nasza radość i zdziwienie, gdy zorientowałyśmy się, że paczka pochodzi od naszego Ojca, którego właściwie uważałyśmy już za prawie utraconego. Objęły się bowiem o nasze uszy wieści, że władza radziecka bez litości niszczy obywateli, którzy zdradzili niechęć do nowego ustroju w słowie lub czynie, że obywatele ci są wysyłani

On Active Service  
 J. Huczkowski wachm.  
 Polish Forces M.C. 205.  
 M.p. Lwów 14.VI.1944

Wiekona Julenka!  
 Maryniu, Helu, Janini i Leci!  
 Pisalem już kichanasie parę temu do Was i obyłenas  
 radziej wiadomości miemam, Nicieiu ery jesteście tam  
 pod tym adresem i ery życie. Adres ten dostała mi  
 Kausła Kalinrakowca od której mi dowiedzieliem się  
 Solnick o naszym temu życiu

Fragment czwartego listu Ojca do nas, napisanego w nieoznaczonym miejscu 14 VI 1944 roku

do więzień bez sądu, skąd już nie wracają. Czego więc mogli spodziewać się Polacy od władzy radzieckiej, która tak postępowała ze swoimi ziomkami? Polski ustrój polityczny czynił Polaków winnymi wobec władzy radzieckiej. Miałymy słabą nadzieję, aby nasz Ojciec, pięćdziesięciojednoletni w owym czasie człowiek, miał znaczną szansę przetrwania. Wszak radziecki system łagrowy mocniejszych przywiódł do utraty życia. Z nadzieją myślałyśmy o tym, że przecież już od wczesnej młodości nieobce były Ojcu trudne warunki życiowe. Od osiemnastego bowiem roku życia służył w austriackiej marynarce. Przetrwał w tym rodzaju sił zbrojnych I wojnę światową, pływał na różnych jednostkach bojowych, należał między innymi jako sternik do 80-osobowej załogi storpedowanego w sierpniu 1916 roku niszczyciela SMS „Magnet”, a także do 188-osobowej załogi jachtu admirałskiego SMS „Lacroma”, który do 1906 roku był krążownikiem o nazwie „Tiger”.

Po I wojnie światowej Ojciec pełnił służbę w policji, a w trakcie II wojny światowej znalazł się wedle posiadanych kwalifikacji w żandarmerii andersowskich Polskich Sił Zbrojnych.

Szczęśliwie nasze obawy okazały się płonne.

Tymczasem paczka, jak się okazało po odebraniu jej na poczcie, była właściwie małą, bo zaledwie dwukilogramową paczuszką. Obszyta drobnym, starannym ścięciem w mocne białe płótno, na którym wyraźnie dużymi literami wypisany był adres naszej Matki oraz nazwisko i adres nadawcy, paczuszka wyglądała solidnie i spełniała tym samym wymogi stawiane przez radziecką pocztę w zakresie opakowania. Przesyłka nadana została w Teheranie. Wylewając łzy radości, długo i serdecznie płakaliśmy nad przesyłką sporządzoną rękami naszego odzyskanego Taty. Więcej cieszyła nas myśl, że żyje i że jest w bezpiecznym miejscu niż zawartość paczuszki, choć

**AMЕРИКЕН ДЖОИНТ ДИСТРИБЮШЕН КОММИТТИ ТЕГЕРАН** Почт. ящик № 167

Мы выслали Вам X.45 через фирму ПЕЛЬТУРС  
в Тегеране, посылку № 7-3014/940, содержащую:

Ботинки детск., Мыло гр. 300
Масло раст. гр. 1700, Суп. порош
гр. 454, Кофе гр. 900.

Получение вышеупомянутого № посылки просим немедленно подтвер-  
дить, по возможности телеграфно только по вышеуказанному адресу.  
В дальнейшем посылки будут высылаться только по получении под-  
тверждения.

” При недоставке посылки обратитесь непосредственно с зая-  
влением в бюро Рекламаций Московского Главного Почтамта. В заявлении  
укажите номер и дату отправления посылки и Ваш полный адрес, прило-  
жив справку местной почтовой конторы о неполучении посылки.  
Удостоверение, полученное из Москвы, пришлите нам для принятия соответствую-  
щих мер.

В случае изменения адреса просим сообщить новый с указанием прежнего  
Все расходы по посылке нами оплачены.

**Американ Джойнт Дистрибушен Коммитти**  
Тегеран.

UNION POSTALE UNIVERSELLE  
CARTE POSTALE DE L'IRAN

تعمیراتی مرکز  
3  
کارت پستال ایران  
СССР

امیرکین دجوینت دیستریبوشن کمیٹی  
تہران

Nom et adresse de l'expéditeur.  
(Indication facultative.)  
Американ Джойнт Дистрибушен Коммитти  
Тегеран

Каз. ССР. Семипалатинская  
обл. Узкарский р-н, с/з. Тас-  
Булак, серия 2.  
Юлия Жуковская.

Ce côté est exclusivement réservé à l'adresse.

در این صفحه فقط باید عنوان نوشته شود

Zawiadomienie z firmy Pelturs z X 1945 roku o wysyłce paczki do nas. Do Tas-Bułaku zawiadomienie dotarło 27 I 1946 roku

i ona miała dla nas w końcu dużą wartość. Zawierała bowiem artykuły żywnościowe, a między innymi herbatę, która była bodaj najcenniejsza, bo za łyżeczkę herbaty można było dostać od Kazaszek dosłownie prawie wszystko, chociaż w minimal-

Dnia 25.1. wymienitem 2 f.p. i 2 d. r., za które  
obrymowałam 512 rls.

Ima 10.11.49 r. za kawał 50 rls.

~~mydło 17 rls. (dla k...~~

I Paczka dla: Nuckowska Helena:

Cto wynosi:

Margaryna	212	-	37-25
Kawał	44		107-40
Mydło			10-70
inne			89

razem 244.55 rls.

II paczka dla Nuckowska Joanna:

Cto wynosi:

herbata	160	-	61.00
mydło			3.95
konserva			48.75
kawał			24.00
inne			67.00

razem 208.10

I Paczka dla Heleny Nuckowskiej: nadawa dat. 13.11.44  
opłata wysprawy 116 rls.

1172

nej ilości. Kazachowie byli jak mało kto smakoszami herbaty. Na zawartość paczki składał się ponadto cukier, ryż, kasza manna, troszeczkę mąki. Przydał się każdy element zawartości, ale najważniejsza była herbata. Za nią można było dostać różne ważne dla nas artykuły, owies nawet w znaczniejszej ilości.

Przesyłki od Ojca przychodziły dwa lub trzy razy w roku, była w nich żywność (herbata zawsze), a raz nawet były w jednej z nich sportowe nowe damskie pantofle, które wymieniliśmy w kolchozie na żywność. Otrzymanych artykułów żywności-



Paczka dla Jeminy Mickowskiej nadana dnia  
20.11.1944 r. opłata pocztowa 116 zł.

Rozliczenie

Obrymieniem kwoty	512 zł.
Za kakao	50 "
	<hr/> 562 zł.

Wydatkiem:

opłata cła i porzemi	244.55 zł.
" " " "	208.10 "
opłata pocztowa razem	232.00 "

razem:	<hr/> 684.65 zł.
--------	------------------

	562.00
--	--------

rozliczyć dopłatę

	<hr/> 122.65
--	--------------

	3.
--	----

	<hr/> 125.65
--	--------------

pro. Jusman

wych nie jadłyśmy, ale chowałyśmy na tzw. czarną godzinę. Godzina taka nadeszła, gdy nasza Mamusia zachorowała na tyfus plamisty. Była nieprzytomna, bredziła w gorączce, niczego nie mogła i nie chciała jeść. Wtedy właśnie przydał się ryż, kasza manna i biała mąka, z której robiłyśmy kluski na mleku. Karmiłyśmy chorą prawie przemocą, bo i ta delikatna stawa jej nie smakowała. Chorowała bardzo długo, wyglądała jak własny cień, potem tak samo długo była rekonwalescentką. Chodziła o kiju przy naszej pomocy, bo o własnych siłach utrzymać się na nogach nie mogła.



Mimo wszystko Bóg ją nam uratował, bo bardzo się o to modliłyśmy, choć sądząc po ludzku, nie było na Jej wyzdrowienie żadnej nadziei.

W pierwszym liście, który od Taty otrzymałyśmy, donosił nam, że wysłał na adres Mamusi paczuszkę, a gdy ta do nas szczęśliwie dotrze, postara się wysłać dalsze. Donosił, że jest zdrow i ma się dobrze, prosił też, aby listy kierować zawsze na jego nazwisko i na adres, który podał, choćby na nie odpisywał ktoś inny. Przypominam sobie, że w jednym z listów zawiadomił nas, iż paczki oraz listy będzie w jego imieniu wysyłał kolega. Prosił, by się tym nie niepokoić. Było dla nas jasne, że widocznie nie miał ustalonego miejsca stacjonowania, jak to bywa z żołnierzami w warunkach wojennych. Miejscem wszakże nadania korespondencji do nas był najczęściej Teheran.

Obraz naszego wegetowania na kazachskim wygnaniu nieźle może przedstawić opis codziennych utrapień na 1. fermie, na której przebywałyśmy do roku 1943. Warunki życia w istocie nie różniły się zasadniczo niczym od warunków na innych fermach sowchozu Tas-Bułak. Latem, gdy temperatura powietrza sięgała  $+40^{\circ}\text{C}$  i więcej, spanie w pomieszczeniach zamkniętych było niemożliwe, mimo że noce, jak to w klimacie kontynentalnym, były w stosunku do dnia o wiele chłodniejsze. Nagrzane w ciągu dnia ściany niewiele stygły. Przebywanie wewnątrz chat w gorącu i duchocie było nie do zniesienia. Podłogę latem polewano i zmywano kilka razy dziennie. Wszystko po to, by obniżyć temperaturę w pomieszczeniu.



Józef Nuckowski jako członek załogi austriackiego jachtu admirałskiego SMS „Lacroma”



Rok 1919. Józef Nuckowski jako kursant w polskiej żandarmerii



Józef Nuckowski jako wachmistrz żandarmerii  
w armii Andersa. Druga połowa roku 1943



Józef Nuckowski w randze starszego wachmistrza  
W.O. II – II 1952

Okna, choć okazałe, nie dawały się otworzyć. Spało się więc na wolnym powietrzu obok domu. Kazachowie urządzali sobie legowiska na płaskich dachach swoich lepianek. My spałyśmy przed naszym domem od południowej strony, gdzie rosło trochę mizernej, należącej już do stepu trawy. Z tej strony układali się również inni Polacy, mieszkańcy naszego domu. W sumie dziesięć rodzin. Spaliśmy na wyniesionych z domu materacach, okrytych prześcieradłem, na poduszkach i pod pierzynami. Noce były chłodne, trzeba było chować pod przykrycie ręce, bo nieznosnie marzły.

Jedzenie gotowali wszyscy pod gołym niebem. Rosjanki i Kazaszki budowały małe kuchenki z niewypalonej cegły własnej roboty z otworami na garnki, znosiły suchy nawóz bydłocy lub suche trawy i warzyły jedzenie na świeżym powietrzu. My, ponieważ niewiele miałyśmy do gotowania, nie budowałyśmy choćby i takich prymitywnych kuchenek, zadowalałyśmy się kociołkiem ustawionym na trzech kamieniach.

Dokuczały nam insekty. Najbardziej pluskwy. Pewne sukcesy miałyśmy w ograniczaniu pogłowia wszy. Pluskiew były tysiące; żyły w pęknięciach ścian, szparach, szczelinach, siedziały luzem na suficie, łążyły po podłodze. Żarłoczne i wiecznie głodne atakowały ludzi, ani na moment nie dawały spokoju, zwłaszcza w nocy i w mieszkaniu. Te, które pełzały po podłodze, miały łatwy dostęp do człowieka, gdyż szybko i sprawnie wchodziły na prycze i miejsca wyżej położone, inne urządzały się w ten sposób, że wpełzały na sufit i spa-

101

Мезерат 11. р. 10 IX 1943

Мой дорогой Елена; Ребента!

Пономчу Вам мо е жито і користем здоров  
Хотів били се довідати о вашим здоровю -  
я шевувати з васи жито і миграла і нескато  
мо ви одержали, в работано мо мо в намыі.  
Нитношо воана се канкаси і поездем дамоі.  
і обидли ея.

Посоравляю вас і милуно.  
Вам Мило і оловсе,  
Юзеф -

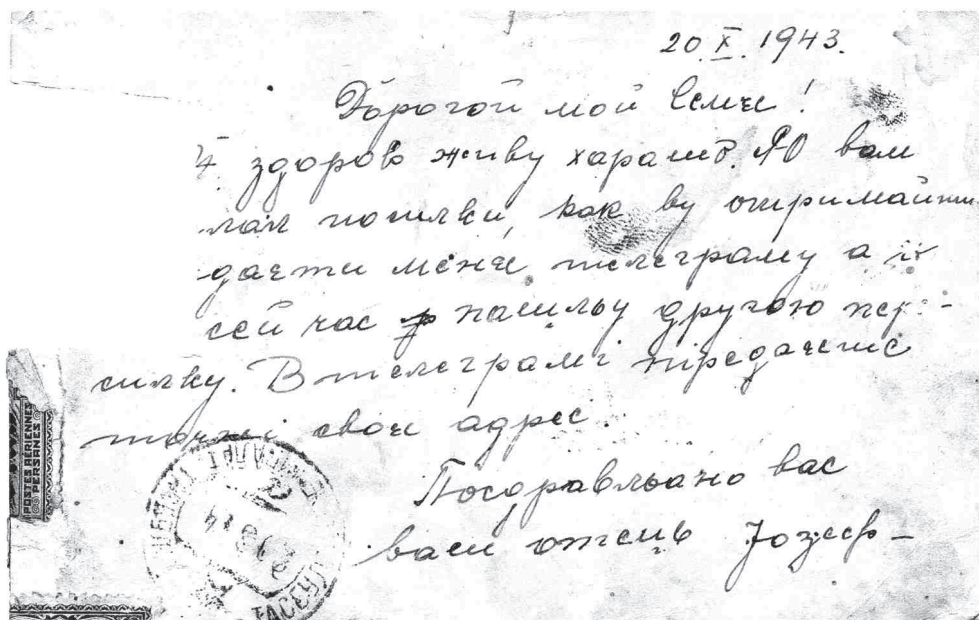
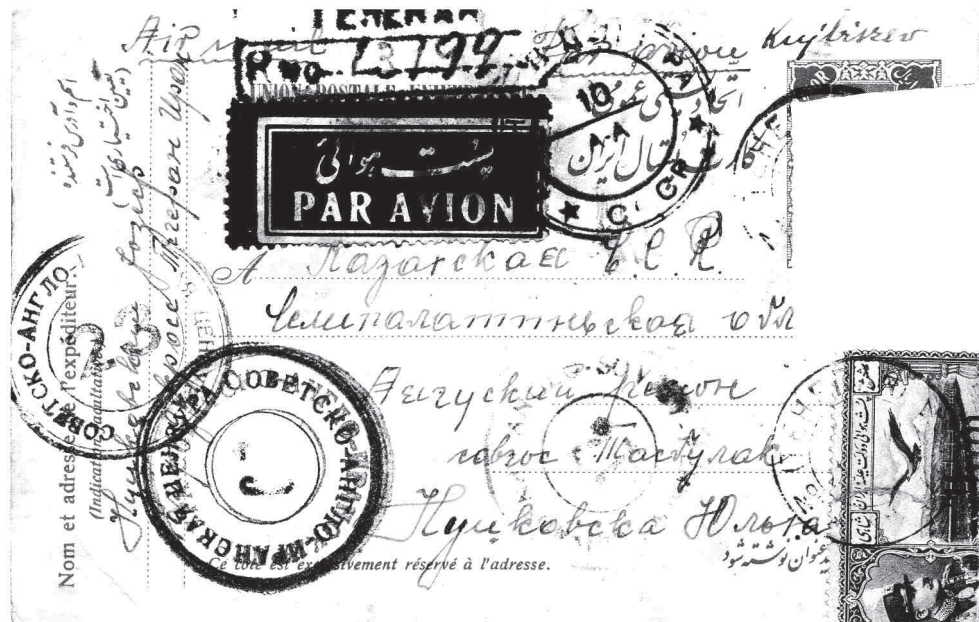
Pierwszy list Ojca z 10 IX 1943 roku

dały wprost na śpiących. Było ich tak wiele, że gdy zaświeciło się kaganek, uciekały całymi gromadami jak mrówki, a gdy zgarniało się je ręką po ciemku z poduszki, rozchodził się wokół obrzydliwy zapach rozduszonych pluskw, zaś cała poszewka poduszki poplamiona była smugami krwi. Ludzie właściwie nie walczyli z nimi, bronili się jedynie w ten sposób, że śpiąc na podłodze, zlewali ją wodą wokół przygotowanego legowiska.

Helenka, pracująca – jak już wspomniałam – w biurze, zaczęła skarżyć się w pewnym okresie, że w czasie pisania ręce od nadgarstków do łokcia swędziały ją nieznośnie, a na skórze zaczynały ukazywać się bąble podobne do tych, które powstają od poparzenia pokrzywą. Ilekroć spozrzała na rękę, nic na niej poza bąblami nie widziała. Na stole też niczego niepokojącego nie było, a ręka swędziała ją tak, że musiała się wciąż drapać. Wreszcie przyszło jej do głowy spojrzeć na blat stołu od spodu, a właściwie na miejsce, w którym był przymocowany do deski łączącej nogi stołu. No i zaświsnęła ze zdumienia. Ze szpary wystawały odwłoki znacznego stada pluskw, siedziały tam stłoczone jedna na drugiej, opite krwią. Stamtąd wychodziły na żer.

Pluskwki dokuczały nam tylko latem. Zimą mieszkanie ogrzewane było bardzo marnie, nikły płomień z małych patyczków pod kociołkiem nigdy nie był w stanie dać dostatecznego ciepła. Problem pluskw znikał. Powracały i zaczynały się mnożyć wiosną i latem.





Kartka pocztowa wysłana z Teheranu 20 X 1943 roku. Do Tas-Bułaku dotarła 20 III 1944 roku. Była to druga przesyłka pocztowa od Ojca, która do nas dotarła. Już w Polsce, po wojnie, została uszkodzona przez jakiegoś zbieracza znaczków pocztowych

Na terenie fermy, nieco na uboczu, była publiczna łaźnia, tzw. *bania*. Niewielki budynek z drewna, stojący na palach, mieścił trzy małe pomieszczenia. Jedno

z nich było szatnią, gdzie zdejmowało się i wieszano na kołkach odzież. Drugie, dość spore, służyło za miejsce mycia, w trzecim, najmniejszym, urządzono saunę. Pomieszczenie drugie zaopatrzone było w kilka drewnianych cebrzyków, sporych misek blaszanych i beczek. Tu można się było myć, a nawet kąpać w beczce, jeśli tylko nie miało się zbyt dużych gabarytów. Wodę wylewało się wprost na podłogę, która przez szczeliny w deskach wyciekała na ziemię. Na fermie był człowiek, którego obowiązkiem było na żądanie pracowników przygotować łaźnię do użytku. Musiał więc przy pomocy beczkowozu zaprzężonego w wołu nawozić z rzeki odpowiednią ilość wody do zbiorników, zagrzać wodę w ogromnym kotle wmurowanym w ogromny piec z olbrzymim wmontowanym weń kamieniem, na który chlustano wodę, aby wytworzyła się para. Naprzeciw kamienia zbudowane były drewniane schody, na których siadali lub układali się ludzie pragnący zażyć sauny. Przyznać trzeba, że to urządzenie, choć prymitywne i pozbawione komfortu, było jednak wykonane w miarę starannie i w zupełności spełniało swoją rolę. Pamiętam, że były tam też miotły do trzepania ciała, aby pobudzić obieg krwi. Latem nigdy nie korzystaliśmy z łaźni i kąpałyśmy się w rzece. Zimą myślałyśmy się w *bani* tylko wtedy, gdy mogłyśmy być w niej same.

Za rzeczką, która przepływała obok fermy z południa na północ, był na stepie cmentarz. Step właściwie w jego otoczeniu był taki sam jak gdzie indziej. Jedną wszakże cechą charakterystyczną były leżące tam, czy raczej stojące obok siebie, wielkie kamienie. Odkryłyśmy to miejsce, gdy chodziłyśmy szukać wspomnianych już wyżej ogromnych pieczarek. Podczas takiej wyprawy, w czasie przechodzenia przez miejsce, w którym gęsto stały kamienie, uwięzła mi nagle w gruncie noga. Musiałam się zatrzymać i zauważyłam szparę w ziemi, jakby między rozsuwającymi się obok siebie ułożonymi deskami. Gdyśmy się bliżej tej szczeliny przypatrzyły, zauważyłyśmy, że pod deskami jest pusto. Domyśliłyśmy się, że jest to cmentarz kazachski, na którym wykopane doły grobowe zakrywano deskami i przysypywano z wierzchu ziemią. W czasie naszego pobytu na 1. fermie raz lub dwa zetknęłyśmy się z pogrzebem kazachskim. Ponieważ było to latem, postawiono za osiedlem specjalną jurtę dla zmarłego, w której go złożono. Przez dwa dni trwał w niej głośny lament, a następnie mężczyźni zawieźli zmarłego na cmentarz, gdzie go pochowano. Kazachowie umieszczali swoich zmarłych w grobie ubranych na biało w pozycji siedzącej, zabezpieczali grób z wierzchu i ustawiali nad nim duży kamień.

Ani ja sama, ani nikt z nas nie uczestniczył w takim pogrzebie, ale podpatrywali jego przebieg mali chłopcy naszych sąsiadów Polaków.

Zimą, gdy ziemia głęboko zamarzała, a śniegi były nie do przebycia, zmarłych przetrzymywano zamarzniętych w obejściu aż do wiosny. Tak właśnie było na 2. fermie, na której zmarła żona naszego sąsiada, Niemca. Trumna z zamarzniętym jej ciałem stała całą zimę na sąsiednim ganku aż do ocieplenia.

Latem lub jesienią 1943 roku przywieziono na naszą fermę Niemców, którzy na terenie Rosji mieszkali już od setek lat. Wśród przywiezionych były Niemki z dziećmi lub Rosjanki, których mężowie byli Niemcami. Tych niemieckich mężów zabrano wcześniej do tzw. *trudarmii* (armii pracy), gdyż władze nie miały do nich



zaufania na tyle, by ich wcielić do regularnego wojska. *Trudarmii* bano się bardziej niż frontu i dlatego oplakiwano swoich najbliższych tak, jakby już nigdy nie mieli oni powrócić do swych rodzin. Powtarzano po kryjomu wiadomości o morderczych warunkach życia i pracy w tej formacji, panowało wokół nas przeświadczenie, że z *trudarmii* się nie wraca. Zmobilizowani do niej formalnie podlegali reżymowi wojskowemu, ale faktycznie pracowali w nieludzkich warunkach. I faktycznie, do maja 1946 roku z *trudarmii* nikt do swoich nie wrócił, z frontu zresztą też.

Na przełomie 1943 i 1944 roku z małego pokoju, który zajmowałyśmy same w dużym budynku bez dachu, przeniesiono nas do małej szopki czy też składziku, położonego naprzeciw domu, w którym mieściło się biuro. Był to budynek z niewypalanej cegły o grubych, gładkich i pobielonych ścianach. Miał on może ze 4 m szerokości i 5–6 m długości, dach był jednostronnie spadzisty, a ponieważ nie był wysoki i nie było sufitu, w miejscu, w którym dach osiągał swój największy spadek, było tak nisko, że leżąc na swojej pryczy nie mogłam swobodnie przewrócić się na drugi bok, bo sufit-dach miałam tuż nad głową. Były tam dwa szerokie i niskie okienka umieszczone dość wysoko pod dachem. Pomieszczenie zajmowałyśmy z panią Trupową, podeszłą w latach Niemką, i jej nieletnią córką. Trupowa była cichą i spokojną kobietą, żyłyśmy z nią w zgodzie. W mieszkaniu tym było nam najcieplej, bo Niemka solidarnie z nami starała się o opał i wspólnymi siłami jakoś ogrzewałyśmy pomieszczenie, choć w stopniu wielce niezadowolającym. Ta niemiecko-polska wspólnota mieszkaniowa trwała krótko, bo w niedługim czasie przeniosłyśmy się na 2. fermę, to jest do Łaj-Bułaku.

Nie mogę nie wspomnieć, że latem czy też jesienią któregoś roku (w przedziale lat 1940–1944) pracowałam w kuźni. Praca moja polegała na narzynaniu nowych nakrętek na śruby. Było to dość ciężkie, wymagające siły zadanie. Ponieważ nie dawano nam rękawic ochronnych ani zresztą żadnej innej odzieży roboczej, od naciśnięcia dłonią narzynki, którą wkrecało się w nakrętkę, porobiły mi się pęcherze. Jeden z nich mimo owijania dłoni szmatką pękł. Zanieczyszczona smarem i innym brudem dłoń zaczęła puchnąć, na skórze pojawił się intensywny rumień, ból był tak nieznośny, że po nocach nie mogłam spać. Aby móc pojęczeć i popłakać do woli, wychodziłam daleko w step. Po kilku dniach ropień pękł, wyciekło dużo ropy i krwi, ból zelżał. Na prawej dłoni w mięśniu przy dużym palcu powstał głęboki ubytek tkanki, na którego dnie widać było białą kość. Ani wtedy, gdy infekcja wzrastała, ani w czasie gojenia się głębokiej rany nie brałam żadnych leków, środków uśmierzających ból czy też przyspieszających gojenie. Ich po prostu nie było. Nie było też żadnych z prawdziwego zdarzenia środków opatrunkowych.

We wcześniejszym okresie przechodziłam też zapalenie okostnej szczęki. Czulałam się okropnie. Miałam 40°C gorączki i nie mogłam otworzyć ust, aby przełknąć choć kroplę ciepłej wody, nie mogłam mówić. Leżałam długo półżywa na pryczy, aż organizm sam dał sobie radę.

W czasie pobytu na 1. fermie chorowała też Lala, która miała wtedy 11 lat. Najwidoczniej na zapalenie stawów. Miała je mocno opuchnięte, niezmiernie bolesne,

a sama była słaba i chora. Płakała z bólu, ale nie leżała nawet, bo musiała obsługiwać chorą na silną malarię naszą Mamusię. Byłyśmy obie z Janeczką w tym czasie „na brygadzie”, daleko od fermy, i o tym, co dzieje się w domu, opowiadali mi ci, którzy mieli kontakt z osadą.

W centralnej osadzie niby był lekarz i mały dwupokojowy szpitalik, ale z powodu braku komunikacji i znacznej odległości ludzie nie korzystali z pomocy medycznej i zdani byli na łaskę losu oraz odporność własnego organizmu.

Jak już wspomniałam, zimą z 1944 na 1945 rok Helenka, która była pracownikiem umysłowym, została wedle rozporządzenia dyrektora Kazachanowa przeniesiona na 2. fermę, czyli do Łaj-Bułaku, gdyż brakowało tam rachmistrza. Pojechała najpierw sama, ale kiedy zorientowała się, że bez pomocy którejś z nas sobie nie poradzi, Mamusia posłała do niej Lale, aby jej pomagała. Mieszkały kątem u polskiej rodziny, składającej się z matki i dwóch dziewczyn mniej więcej w wieku Helenki. Ponieważ Helenka w biurze pozostawała w zależności od ilości pracy, często aż do wieczora, nie mogła postarać się o opał, tzn. naciąć *karagaju*. Nie miała więc czym palić a tym samym nie mogła zagotować sobie bodaj wody na herbatę, przyrządzić nawet byle jakiej stawy. Nie wiem dokładnie, skąd brała ziemniaki. Może z magazynu na podstawie „wypiski” dyrektora? W Łaj-Bułaku były państwowe ogrody i sadzono kartofle. Tak więc sytuacja spowodowana decyzjami dyrekcji sprawiła, że jakiś czas mieszkaliśmy w rozdzielaniu. Helenka i Lala na 2. fermie, a my na fermie północnej, czy też inaczej – na pierwszej.

Obie moje siostry nie czuły się w roli sublokatorek najlepiej, skoro Helenka rozpoczęła u dyrektora starania, aby sprowadzić do siebie resztę rodziny. Łaj-Bułak miał cieplejszy, przyjaźniejszy dla mieszkańców klimat. Jak się wydaje, było to efektem położenia w dolinie między dwoma pasmami gór. Nadto w Łaj-Bułaku przydzielano pracownikom dwuarowe ogródki, na których udawały się pięknie ziemniaki, kukurydza i warzywa, łącznie z pomidorami i arbusami.

Pewnego zimowego dnia Lala dołączyła do kilkuosobowej grupy skierowanej do centralnej osady na kurs traktorzystów. Miała przed sobą bardzo długą, czterdziestokilometrową drogę. Trzeba było najpierw dostać się do centralnej osady, zatrzymać się w niej na nocleg, a potem z centralnej dobrnąć do 1. fermy. Wyprawa miała trwać dwa dni. Kursanci mieli odbyć drogę z Łaj-Bułaku do celu na dwojgu saniach zaprzężonych w woły. Jedne z tych sań były w gestii *produktowoza* (Niemki). Ona też w tym wypadku była kierownikiem całego dwusaniowego zespołu. Pomędzy Łaj-Bułakiem i centralną osadą jedno ze zwierząt ustało w drodze z braku sił. Postanowiono zostawić je na drodze. Mniej więcej w tym czasie nadjechał też saniami ciągniętymi przez konia *wracz* Agiejew, zmierzający do centralnej osady. Niemka uprosiła go, by zabral ze sobą trzynastolatkę. Lala nie była wystarczająco ciepło ubrana na wyprawę, która miała się niespodziewanie wydłużyć. Okoliczności zaczęły też wymagać wysiłku, któremu słabo odżywiany organizm mógł nie sprostać. Niemka zaczęła się słusznie obawiać, że Lala może zacząć zamarzać. Przed wyjazdem z Łaj-Bułaku najmłodsza siostra wedle możliwości ubrała się najcieplej

jak tylko było można. Nie było to jednak odzienie odpowiednie do okoliczności. Nigdy zresztą takiego odzienia ani ona, ani my nie miałyśmy. W centralnej osadzie przenocowała u Polaków. Rano nikt nie chciał dać jej do dyspozycji wołu i sani, by mogła kontynuować wyprawę na 1. fermę. Zrozpaczona Lala postanowiła interweniować u dyrektora Kazachanowa. Sekretarka w ogóle nie chciała wpuścić jej do biura. Lala wdarła się więc do dyrektorskiego pokoju siłą i opowiedziała z płaczem dyrektorowi, co ją spotkało. Kazachanow spokojnie słuchał, a potem powiedział: „Nie płacz, idź do piekarni, tam jest *produktowoz* z 1. fermy. Z nim zabierzesz się do matki, ja dzisiaj jeszcze tam będę i tę sprawę załatwię”. Ledwie zdążyła Lala wrócić do miejsca zakwaterowania, gdy wezwano ją do kantory, w której był już dyrektor. W obecności Lali polecił kierownikowi dać podwodę na 1. fermę, i to natychmiast. W ten sposób pełna determinacji Lala załatwiła naszą przeprowadzkę do Helenki, choć miała 13 lat, wyglądała na 10-letnie dziecko. *Produktowozem* był Polak, Seweryn Patan, i on to, gdy pobrał chleb, gdy wyjechał z osady na drogę, oderwał spory kęs z bochenka jeszcze ciepłego chleba i podał Lali, która drżała z głodu i zima. Na kwaterze, gdzie spała, ludzie nie mieli się czym z nią podzielić.

W Łaj-Bułaku otrzymaliśmy do dyspozycji pokój w ładnym, dużym domu, pokrytym malowaną na czerwono blachą. Naprzeciw znajdował się drugi taki sam dom, a pomiędzy nimi rosły na trawniku dwa rzędy strzelistych topól, które sprawiały wrażenie, że wygląd osady nie był pustynny, ponury i beznadziejny. Aby wejść do naszego mieszkania trzeba było przejść przez pokój zajęty przez kilka rodzin Czeceńców, których właśnie przesiedlono z Kaukazu. Najtrudniej było wyjść z mieszkania nocą, gdyż trzeba było ostrożnie omijać śpiących pokotem na podłodze ludzi. Poza tą niedogodnością mieszkanie nasze było względnie porządne, było czysto wybielone, miało jasną podłogę z desek i duże okno, lecz nie do otwierania. Dziś wydaje mi się nawet, że nie było nam tak zimno w nowym miejscu, jak na 1. fermie.

Pierwszą moją pracą na 2. fermie było wożenie siana dla owiec ze stert ułożonych daleko na stepie. Codziennie rano, a właściwie nocą, i to w czasie, gdy do świtu brakowało jeszcze dużo czasu, budzono mnie. Brałam z koszary wołu, zaprzęgałam go do małych drewnianych sanek, poszerzonych przez boczne skrzydła, i wraz z kilkoma innymi kobietami (Kazaszki i Rosjankami) jechałam uprzednio ubitą drogą do sterty położonej często bardzo daleko na stepie. Wyjazd po siano zajmował nam cały krótki zimowy dzień. Wyjeżdżałyśmy jeszcze nocą i wracałyśmy już wieczorem. Nie tylko sam dojazd do sterty trwał długo, ale nakładanie siana było bardzo uciążliwe, ponieważ stóg bardzo często był całkowicie zawiany śniegiem. Trzeba było mozolnie dokopywać się do siana, a potem, posługując się rękami, wrywać to siano małymi porcjami i układać na saniach. Porządnych narzędzi w rodzaju widel było mało. Mnie przypadł w udziale wrak widel z jednym zębem. Był on zupełnie nieprzydatny do pracy. Przy jego pomocy siana ze sterty nie można było wyszarpywać.

Gdy wszystkie sanie zostały załadowane sianem, robiona była przerwa na posiłek. Wyjmowałyśmy z kieszeni płaszczy, szub, jak również z woreczków zawieszono-

nych na szyi i ukrytych na piersiach, zawinięte w szmatki kawałki chleba, *boursaki* i małe butelki mleka. Ja miałam również schowane na piersiach dwa albo trzy placuszki z siemienia bawełny zmieszanego z gotowanymi ziemniakami. Choć kiszki skręcały mi się z głodu, odchodziła mnie ochota do jedzenia, gdy spojrzałam na oliwkowego koloru, twardy jak podeszwa placek, który nie wyglądał na rzecz nadającą się do jedzenia. Bardzo często Kazaszka, która była moją partnerką, pytała mnie w swoim języku, dlaczego niczego nie jem, a potem wspaniałym okrągłym gestem podawała mi kawałek chleba i niedopitą butelkę mleka. Mówiąc po kazachsku „masz, jedz”, wręczała mi obie te rzeczy. Te placki z siemienia bawełny można było zjeść wtedy, gdy były jeszcze ciepłe. Były wtedy przynajmniej miękkie. Gdy ostygły, stawały się trudne do zjedzenia. Płytki prasowanego siemienia przywożono na opał do biura. My nielegalnie „brałyśmy je w posiadanie”, rozgrzewaliśmy na blasze, rozkruszone tłukłyśmy w móżdżerzu z cylindra traktorowego na mąkę, przesiewaliśmy przez sito, aby pozbyć się łusek, a potem gniotłyśmy tak otrzymaną zieloną mąkę z ciepłymi gotowanymi ziemniakami.

W okresie zimy przebiebrałam też w piwnicy ziemniaki przeznaczone do sadzenia na wiosnę. Na rozległym podwórzu fermy Łaj-Bułak pobudowane były piwnice, w których przechowywano ziemniaki z państwowych pól. Piwnice były dość głębokie. Miały małe okna i wygodne wejścia. Nadzorował je główny magazynier fermy Kisielow. Małomówny i skryty Kisielow, w wieku mniej więcej 50–60 lat, był człowiekiem niewielkiego wzrostu. Należał do partii. Z tego powodu był dla nas kreaturą podejrzaną i z definicji antypatyczną. Gdy był w pobliżu, unikało się wszelkich rozmów między sobą, a już szczególnie rozmów na temat naszej doli albo wspomnień.

Przy ziemniakach pracowałam z Janeczką i jeszcze jedną Polką, były też dwie Niemki. Zajęcie było dobre. W porównaniu z innymi lekkie. Nie trzeba się było przejmować kwestiami pogodowymi. Miało ono też inny interesujący dla nas walor. Można było dwa razy dziennie wynieść, naturalnie nielegalnie, po dwa dorodne ziemniaki w nogawkach spodni lub w zanadrzu. Działo się to wtedy, gdy szłyśmy na obiad i gdy kończyłyśmy dniówkę. Ta możliwość przesłaniała ewentualne zastrzeżenia co do warunków pracy. Swoją antyradziecki proceder uprawiałyśmy naturalnie w tajemnicy przed Kisielowem, bacznie się go strzegąc.

Pewnego razu, nie pamiętam szczegółowo okoliczności, przed naszym wyjściem do domu Kisielow tak jakoś przemówił: „kobiety, możecie każdy raz, gdy idziecie do domu, wziąć ze sobą po 2–3 ziemniaki, dobrze je ukrywając. Gdyby je przy was znaleziono, nie powołujcie się na mnie. Nic o tym nie będę wiedział?”. Zaskoczył nas Kisielow, wydając z siebie ludzki głos. Od tego momentu wstąpił w nas znacznie większy duch odwagi i brałyśmy po kilka największych ziemniaków, starając się pilnie, by jak najszybciej i najbezpieczniej dostać się do domu. Z przyniesionych kartofli utartych na tarce Mamusia robiła kluski, które rzucała na zupę. Zupa była przez to gęściejsza i miało się złudzenie, przynajmniej na początku, że jest sytniejsza.

W piwnicach stały też beczki z kiszonymi ogórkami. Właściwie nie były one kiszone, ale solone, jak mówili Rosjanie. Były tak zasolone, że wydawały się w smaku

aż gorzkie. Nie wiem, jak były jedzone przez tubylców – bez obróbki zmniejszającej zasolenie, czy też jak śledzie moczono je jakoś w wodzie. Co jakiś czas magazynier dawał jednej z nas, pilnując przy tym kolejności, po całym wiaderku tych ogórków. Nie pamiętam, jak je przyrządzałyśmy, ale z całą pewnością nie były wyrzucane. Tak więc ponury, podejrzany i antypatyczny komunista, jak się nam wydawało, okazał się w istocie człowiekiem dobrym i współczującym. Kisielow miał zawsze leżącą za zasłoną na piecu chorą żonę i miłą, zyczliwą córkę Iruszę, która była nauczycielką. Zwróciło to moją uwagę, że mimo obłożnej choroby gospodyni w mieszkaniu Kisielowych było idealnie czysto i porządkie.

Od czasu do czasu, gdy nie było pracy na fermie, chodziłam sama, a czasem w towarzystwie innej Polki, do kołchozu kazachskiego, który oddalony był od nas o jakieś 8 do 10 kilometrów. Jesienią, a nawet zimą, gdy kołchoźnicy mieli jeszcze trochę zboża, można było u nich wymienić odzież na pszenicę, a nawet kupić pszeniczne ziarno za gotówkę, choć było bardzo drogie. Pud pszenicy (16 kg) kosztował 600 rubli, co stanowiło wynagrodzenie jednej osoby za pracę czteromiesięczną.

Tej zimy, gdy przebieierałam ziemniaki, a właściwie już na przedwiośnie, wybuchła wśród Czeceńców epidemia tyfusu. Choroba ze względu na brak leków przebiegała ciężko. Półprzymorni chorzy leżeli na pryzkach pokotem, wielu z nich umierało. Wieczorem rozlegały się po fermie czeceńskie słyszane daleko lamenty i żałosne pieśni.

W naszej rodzinie na tyfus zapadła pierwsza Mamusia, o czym już wspominałam. Ja zachorowałam dopiero jesienią, kiedy kopano kartofle na działkach. Cały miesięczny czas choroby przeleżałam w większości nieprzytomna, zdana na opiekę otoczenia. Janeczka ani Lala na tyfus nie chorowały.

Wiosną, gdy pociępało na tyle, że można było rozpocząć pracę w polu, zwołano wszystkich mieszkańców osady na świeżo zaorane pole w pobliżu domów, aby podzielić je na kilkanaście dwuarowych spłachetków, które miały być zagospodarowane przez poszczególne rodziny jako przydomowe ogródki.

Pracę na naszym kawałku ziemi rozpoczęliśmy od rozbijania wielkich grud ziemi i wyrównywania powierzchni przeznaczonej pod uprawę. Nie było nasion marchwi, pietruszki, buraków, cebuli ani żadnych nasion roślin strączkowych. Posadziłyśmy więc tylko takie rośliny, których nasiona były dostępne, a więc kukurydzę, dynie, słonecznik i ziemniaki. One stanowiły nasze podstawowe pożywienie i na nich najbardziej nam zależało. Do obsadzenia sporej jakby nie było części naszego kawałka ziemi potrzeba było kilku wiader ziemniaków. By ograniczyć ilość wrzucanej do ziemi, a dla nas cennej masy każdego sadzeniaka, urządziłyśmy się w ten sposób, że sadziłyśmy grube obierki z oczkami, a środek bulwy przeznaczyłyśmy do jedzenia.

Ogródki położone były na terenie stopniowo obniżającym się, poniżej małego strumyczka, który płynął równolegle do nich. Latem można je było nawadniać wodą z rzeczki. Nawadnianie było koniecznością, bo deszcz padał raz albo dwa razy w ciągu lata. Ogródkiem właściwie zajmowała się nasza Mamusia i spędzała na nim sporo czasu, była tam zawsze tak długo, jak długo można było wytrzymać mimo



gorąca. Zdarzyło się pewnego razu, że wracając z ogrodu boso w porze południowej, poparzyła podeszwy stóp. Pokryły je ogromne pęcherze wypełnione chłonką. Wyglądały te pęcherze jak poduszeczki przyłączone do podeszwy.

Działki polewano się nocą w kolejności ustalonej na stosownej liście. W czasie nawadniania musiałyśmy być wszystkie, aby szybko rozprowadzać wodę zalewającą nasz „areal uprawny”. Szło nam to ciężko i działałyśmy niefachowo. Byłyśmy właśnie w trakcie nabywania wprawy i doświadczenia. W efekcie jedno miejsce były zalane nadmiernie, w innych wilgoci było mniej. Bardzo często kradziono nam wodę. Zapobiegliwi sąsiedzi budowali zastawkę w górnym biegu rzeczki, kierując wodę do swoich upraw. Materialne efekty naszej pracy podkradano nam bezlitośnie. Mimo wszystko plony były obfite.

Swego czasu zebrałyśmy i złożyłyśmy do wykopanej przed domem piwnicy tonę ziemniaków, sporo kukurydzy w kolbach i równie sporo dyń. Te ostatnie nie można było zbyt długo przechowywać. Trzeba było je zjadać szybko.

Taka znaczna ilość żywności, choć dawała gwarancję utrzymania nas przy życiu, jednak tylko częściowo zaspakajała głód i nie dawała upragnionej sytości. Bo czyż można być sytym bez chleba, mięsa i tłuszczu?

Ogórki, arbuzy i pomidory sprzedawano nam co jakiś czas z ogrodów państwowych. Bywało, że wypisano Helence w biurze kwit na zakup 250 kg arbuźów. Dostawało się dzięki temu kilka przeogromnych okazów ważących po kilkadziesiąt kilogramów każdy, które trzeba było rąbać siekierą, i to z wielkim wysiłkiem. Arbuzy lepiej niż ziemniaki zaspakajały głód, ponieważ zawierały dużo cukru. Jedliśmy je też do jakiej takiej sytości z odrobiną chleba. Były ogromnie soczyste i sok z nich lał się przy jedzeniu niemal strugą po rękach i ubraniu.

Po upływie mniej więcej roku kazano nam przenieść się z zajmowanego pomieszczenia do koszary dla owiec, przerobionej na izby mieszkalne, gdzie mieszkali już pozostali Polacy. Pomieszczenie było dość przestronne, mające małe okno i wąskie drzwi, zrobione prowizorycznie i naprędce. Nad głową miałyśmy stromiznę dachu. Zamiast podłogi miałyśmy polepę. W porównaniu z tym pomieszczeniem poprzednie nasze mieszkanie wydawało się nam luksusowe. Obecne mieszkanie miało jedyną zaletę, którą odkryłyśmy dopiero latem. Było w nim stosunkowo chłodno i nie trzeba było spać na dworze.

W czasie pobytu w Łaj-Bułaku pracowałam latem, tak jak Janeczka i Lala, „na brygadzie”. Najpierw jako *produktowoz* wozilałam codziennie z fermy „na brygadę” chleb, ziemniaki i mięso, a potem, tak jak na 1. fermie, miałam pracę lżejszą, polegającą na codziennym mierzeniu tego, co wykonały poszczególne brygady pracowników i składaniu pisemnych sprawozdań w biurze fermy.

Janeczka pracowała w tym czasie gdzieś przy zbożu z jedną tylko Kazaszka. Może przy siewie albo na toku, gdzie w czasie żniw zsypywano zboże z kombajnów. W każdym razie przynosiła z pracy do domu po kilkanaście garści zboża ukrytego w różnych częściach garderoby. Pszenicę tę zsypywała do woreczka coraz to większego, aż wreszcie po dłuższym czasie uzbierał się spory jej worek. Chowaliśmy go

na tzw. czarną godzinę. Wzorem roku poprzedniego posadziliśmy na działce ziemniaki i inne rośliny, których nasiona przechowyaliśmy z roku poprzedniego.

Jesienią przed zbiorami wykopałyśmy znów pod oknem naszego mieszkania sporą jamę-piwnicę, aby przechować w niej nasze zapasy. Mamusia z siostrami codziennie kopała i zносиła do piwnicy ziemniaki, ja w tym czasie leżałam chora na tyfus i o świecie bożym nie wiedziałam. Gdy wszystkie ziemniaki zostały zniesione do jamy, pod nimi ukryłyśmy worek z pszenicą. Wejście zostało wedle naszego wyobrażenia dobrze zamaskowane, aby nikt do zapełnionego spichlerza się nie dostał. Jakież było nasze zdumienie, żal i rozpacz, gdy jakiś czas potem stwierdziłyśmy brak pszenicy. Była to dla nas przeogromna strata, której nie mogłyśmy długi czas przeboleć. Jak z wieloma niepowodzeniami, tak i z tym po jakimś czasie przyszło nam się uporać.

W oddaleniu paru kroków od naszej koszary płynęła ze wschodu na zachód mała rzeczka, a właściwie strumyk, który w dalszym swoim biegu płynął powyżej przydziałowych ogrodów i służył nam, jak już wspomniałam, do nawadniania naszej działki. Strumyk ten w żadnej mierze nie przypominał rzeczki z 1. fermy, płynącej w głębokim jarze wśród bujnej roślinności. Woda w płytkim strumyku nie była kryształowo czysta i zimna, jak w rzeczce. Była natomiast mętna i miała słodkawy, wstrętny smak. Z braku studni i źródeł byłyśmy zmuszone korzystać z niej także do celów gospodarskich. Latem kąpały się w niej i wylegiwały świny, które chodziły luzem jak psy. Kazachowie moczyli w wodzie strumyka skóry bydłące, aby zesza z nich sierść.

Po wodę trochę czystszej chodziliśmy wczesnym rankiem daleko w górę rzeczki, gdy słońce jeszcze nie wzeszło. Wraz ze wschodem słońca wzrastała temperatura i w krótkim czasie dopadał nas upał. Wędrówka po wodę w górę rzeczki miała na celu ominięcie miejsca, w którym pojono zwierzęta. Zimą sytuacja była znacznie lepsza, gdyż woda płynęła pod lodem i trzeba było tylko pilnować, aby nabrać jej zanim zamrznie zrobiony przez Kazachów przerębel.

W niedługim czasie po naszym przyjeździe do Łaj-Bułaku na stanowisko *upraw-lajuszczo*, tzn. kierownika naszej fermy, został powołany wspomniany już Papazow. Był to dla niego niewątpliwym awans, ponieważ ferma była większa, pracownicy mogli mieć ogródki, których gdzie indziej nie było. Nie było ich, ponieważ nie było dostatecznej ilości wody. W Łaj-Bułaku szczęśliwie była woda z rzeczki do nawadniania upraw. Ponadto ferma leżała tuż przy szlaku komunikacyjnym. Łatwo było stąd dostać się do Urdżaru czy Ajaguza. Jednym słowem – było tu pod każdym względem lepiej niż na zagubionej w górach fermie północnej.

Jakoś w drugiej połowie zimy, bliżej przedwiośnia, uplanował sobie Papazow, żeby oddelegować mnie do pracy przy owcach na Granitnem. Granitne położone było w górach w odludnym miejscu i oddalone od Łaj-Bułaku o 10–15 km. Była tam jedna koszara dla owiec i jedna lepianka, w której mieszkała rodzina kazachska, opiekująca się zwierzętami. Nie uśmiechało mi się samotnie jechać samej do Kazachów i mieszkać z nimi w jednej izbie, nie wiadomo jak długo, bez możliwości

odwiedzenia rodziny. Ponadto miałam mizerne ubranie, nieprzystosowane do stróżowania w nocy albo stania cały dzień na wybiegu. Nie miałam też odpowiedniego obuwia. W bucikach, które miałam, można było całkowicie odmrozić nogi. *Czabani* i personel obsługujący owce otrzymywali na zimę *walonki* zwane *pimami*, których nam nie przydzielano. Nawet wtedy, gdy pracowałyśmy przy baranach. Ze względu więc na tę marną odzież postanowiłam bronić się do upadłego przed wyjazdem. Gdy więc wezwał mnie Papazow do biura, aby mi swoje polecenie zakomunikować, zdecydowanie odmówiłam realizacji jego pomysłu. Powiedziałam, że nie mam *pimów* i na Granitne boso nie pojadę. „Dobrze! Zobaczymy” – odpowiedział. Jakoż za kilka dni przysłał człowieka, aby nam wymontował okno i zabrał drzwi, choć wciąż była zima. Na miejscu zabranych drzwi powiesiliśmy koc, a otwór okienny wypełniłyśmy cegłami z *samanu*, pozostawiając niewielką szczelinę. Miało przez nią światło wpadać do pomieszczenia. Tak mieszkaliśmy jakiś czas. Ja byłam zadowolona, że zostawił mnie w spokoju, ale dotkliwie odczułyśmy wszystkie karę, którą na nas nałożył. Sprawa miała dalszy ciąg dopiero po kilku miesiącach. Było już lato, gdy przyjechało dwóch mundurowych pracowników NKWD. Zainstalowali się w kantorze. Długo na osobności rozmawiali z Papazowem. Po jakimś czasie zażyczyli sobie rozmowy ze mną. Rozmawiać mogli jednak tylko z pracującą w kantorze Helenką. Mnie na fermie nie było. Byłam w Urdzarze. Enkawudziści wypytywali o zimowe wyczyny Papazowa. Chcieli znać przebieg incydentu i jego źródło. Helenka opowiedziała im wszystko dokładnie i szczerze. Ku naszemu zaskoczeniu Papazowa wyrzucono z partii, stracił zajmowane stanowisko. Zachodziłyśmy w głowę, co się stało? Oto butny, nazbyt pewny siebie kacyk potknął się jednak. Wyjechał do Ajaguza i sprzedawał tam na bazarze prażone nasiona słonecznika odmierzane kupującym szklankami. Widać nieszczególnie mu się tam wiodło. Osobliwością okazało się jego przeświadczenie, że to nasza sprawa i nasza skarga do NKWD stała się początkiem jego niepowodzeń życiowych. O stanie jego ducha przekonaliśmy się w przyszłości, w Ajaguzie, gdy razem z innymi Polakami oczekiwaliśmy na podstawienie pociągu, który miał nas wieźć na zachód. Przy przypadkowym spotkaniu wycedził przez zęby pełne nienawiści pytanie: *eti zmieji Nuckowskie toże jedut?* My ze swej strony podejrzewałyśmy, że ktoś widocznie miał z nim na pieńku w związku z innymi jego sprawkami, napisał do NKWD, używając naszego przypadku jako ilustracji dziejącego się na fermie okrutnego bezprawia. Można więc powiedzieć, że bezwzględność Papazowa w stosunku do nas nie posłużyła mu i stała się w bliżej dziś nieokreślony sposób przyczyną zwichnięcia urzędniczej kariery naszego ciemniźciela.

Zimą, gdy nie było pracy na fermie, robiłam na drutach dla Kazaszek i Rosjanek swetry i szale. Pracy było dużo, ale zapłaty mało. Tak czy owak każde działanie było lepsze niż bezruch.

Kilka razy wyprawiałam się też do Urdzaru na bazar, aby kupić kukurydzy, którą tam można było dostać. Kupić można było jej tylko tyle, ile dało się unieść. Większy zakup wiązał się ze sporym kłopotem, bo nie było czym nabytego dobra przetrans-

portować na fermę. Między Ajaguzem a Urdżarem była komunikacja samochodowa. Jeździły wojskowe samochody ciężarowe, mijając leżący niedaleko od szosy Łaj-Bułak, woziły jakieś beczki, worki, czasem były prawie puste. Kierowca, który decydował się podwieźć ludzi czekających na skraju szosy brał 60 rubli za przejazd od osoby, co nie było wcale tanio, ale mnie zdarzało się, że kierowca nie chciał pieniędzy i podróż szczęśliwie odbywała gratis. Odległość od Łaj-Bułaku do Urdżaru wynosiła 60 km, jazda jednak ciągnęła się w nieskończoność, choć biorąc rzecz obiektywnie, samochód jechał stosunkowo szybko. Możliwe, że monotoność stepowego krajobrazu tak bardzo wydawała mi się nużąca.

W Urdżarze zawsze był problem z przenocowaniem i znalezieniem powrotnego transportu do fermy. U Rosjan nawet nie pytałam o nocleg, rozglądałam się za nim wśród Polaków. Ciężko zwykle takie starania szły. Ludzie nie mieli co podać do jedzenia, dlatego jak mogli uchylali się. Pamiętam, że raz nocowałam u Polki, która robiła wrażenie wariatki, ale tylko na pozór. Miała ona jedno czy dwoje małych jeszcze dzieci, które obdarłe i zasmarkane tuliły się do siebie na pryczy pod pierzyną bez powłoki. W mieszkaniu było zimno i nie było co jeść. Utlukłyśmy trochę ziaren kukurydzy i ugotowałyśmy zupę z dwóch ziemniaków.

Czasem w Urdżarze spotykało się Kazachów z którejś z naszych ferm. Ci pozwalali położyć tobołek na podwodzie i można było dojechać w pobliże Łaj-Bułaku, który oddalony był od szosy o jakieś 2–3 km, lub do niego samego.

Pojechałam pewnego razu z Helenką albo Janeczką do Urdżaru, kupiłyśmy cały worek kukurydzy, dowiozłyśmy go do Łaj-Bułaku, ale nie mogłyśmy dotransportować nabytku do centralnej osady, w której wtedy mieszkaliśmy. Zakup został więc u kierowcy, Rosjanina mieszkającego w Łaj-Bułaku. Dłuższy czas minął nim nadarzyła się okazja, gdy można było myśleć o wybraniu się po naszą kukurydzę. Wtedy okazało się, że rodzina kierowcy nie wytrzymała. Nasza kukurydza została zjedzona. Dostałyśmy za nią rzetelne pieniądze, ale one nie nadawały się do zjedzenia. Uczucia miałyśmy mieszane.

Przeżyłyśmy ciężki głód tej wiosny, mieszkając w koszarze. To *locum* zawsze kojarzyć będę z ukradzioną nam pszenicą. Ziemniaki, które miałyśmy na zimę, skończyły się, nie można było w kołchozie kazachskim kupić pszenicy, bo jeszcze nie było pory obsiewania pól. Ewentualni sprzedawcy nie mieli okazji, aby ją ukraść. Swoich indywidualnych zapasów nikt nie chciał sprzedaż uszczuplać z obawy, by z braku roztropności nie znaleźć się w potrzebie. Nie dowieziono mąki, którą zwyczajowo wydawano zamiast chleba. Zostawała więc nam jako pożywienie trawa – lebioda. Można już było wtedy trafić na stepie na skupiska młodziutkich pędów tej rośliny. Zbieraniem trawy zajmowała się nasza Mamusia, ponieważ ja byłam zajęta pracą na drutach, a siostry wykonywały roboty porządkowe na fermie. Mnie po kilkudniowym odżywianiu się samą lebiodą opuchła twarz, szyja, ręce i nogi. W takim też stanie razem z kilkoma osobami wybrałam się na bazar do Urdżaru, aby kupić coś do jedzenia. Na miejscu znajomi Polacy doradzili mi, abym poszła do przychodni po lekarstwo, bo wyglądam okropnie. Lekarz bez zbędnych pytań

dał mi jakiś lek, który sprawił, że efekty jedzenia lebiody zniknęły. Nie pamiętam, jak nazywał się ten specyfik. Po powrocie z Urdżaru sytuacja żywnościowa nieco się poprawiła. Chyba udało się coś wymienić (lub kupić) u Kazachów po siewach, a może otrzymaliśmy zaległy *pajok*. W każdym razie już nigdy potem nie jadłyśmy przez kilka dni z rzędu samej trawy, choć wciąż cierpiełyśmy głód.

## WYJAZD DO CENTRALNEJ OSADY

Wiosną roku 1944 zgodnie z zarządzeniem dyrektora sowchozu Kazachanowa przeniesiono Helenkę z 2. fermy do głównej kantory w centralnej osadzie. Opuściliśmy nie bez żalu ciepłą fermę 2., na której miałyśmy działkę i na której rosły arbuzy, pomidory i dynie. Wracałyśmy w góry. Było to miejsce, do którego przywieziono nas w 1940 roku i skąd odtransportowano nas później na 1. fermę. Tym razem dyrektor postarał się, by nasze tobołki zawieziono na miejsce nie na furmance zaprzężonej w woły, ale samochodem ciężarowym. Podróż odbyłyśmy szybko i sprawnie.

Mieszkanie dostałyśmy blisko kantoru, a może nawet w budynku, w którym ona się mieściła, jedynie w innej sieni. Dom był okazały, kryty dachówką, miał duże okna i robił ogólnie sympatyczne wrażenie. Duże pomieszczenie podzielone było na dwie części cienką, prowizoryczną ścianką niesięgającą sufitu. Za tym przepierzeniem mieszkała rodzina Rosjan. W przeznaczonym dla nas niewielkim pokoju były dwa okna, z których jedno wychodziło na wschód i z niego widać było całą osadę, gdyż dom zbudowany był na wzniesieniu. Izba była wysoka, świeżo wybielona. Miała podłogę zrobioną z desek.

Dwa podobne domy były obok naszego domu. W jednym z nich mieszkali Rosjanie, a w drugim był prawie zawsze zamknięty sklep. Tą szumną nazwą obdarzano pusty w istocie budynek, w którym pracującym sprzedawano według listy chleb.

Trochę dalej mieściła się mała piekarnia, w której kobiety domowym sposobem piekły chleb dla swojej miejscowości i dla 1. fermy. Pół kilograma chleba przysługiwało każdemu pracującemu.

W pewnym oddaleniu na północ wznosiły się charakterystyczne, półkoliste zabudowania warsztatów naprawczych traktorów i kombajnów.

Oprócz tych trzech większych domów był jeszcze duży budynek przeznaczony na klub. Stał on na przeciwległej stronie fermy. Resztę zabudowań stanowiły bardzo liczne lepianki kazachskie. Centralna osada była największą z wszystkich okolicznych ferm.

Zaraz po przyjeździe na nowe miejsce zamieszkania zaangażowano mnie do robotek ręcznych. Utworzono coś na kształt pracowni, w której wykonywało się szydełkiem bluzeczki z farbowanej i cienko uprzedzonej wełny. Kilkuosobową załogę pracowni stanowiły same polskie dziewczyny. Kierowniczką była o wiele od nas



starsza Rosjanka, której nazwiska nie zapamiętałam. Jej rola ograniczała się wyłącznie do pilnowania porządku i dyscypliny oraz do projektowania wyglądu bluzeczek, które miałyśmy zrobić. O technice wykonania zdecydowałyśmy my. Nie wiem, czy w ogóle nasza szefowa potrafiła posługiwać się szydełkiem. Oddawałyśmy jej gotowe bluzeczki, nie wiedząc dla kogo są przeznaczone. Sprawa zapłaty za wykonywaną pracę nie istniała. Jak niewolnicom kazano nam wykonywać określoną robotę, nie troszcząc się o nasze wynagrodzenie. Aura stworzona koło całego tego proceduru wskazywała, że byłoby wielkim nietaktem, a nawet bezwstydem dopytywać się o owo wynagrodzenie. W ogóle w czasie naszego pobytu w Kazachstanie sprawa zapłaty za pracę była czymś wstydlivym, dużym nietaktem było wspomnianie o tej zapłacie – to był temat tabu.

Niewolniczo zorganizowane szydełkowanie bardzo mi się nie podobało. Trzeba było od rana do późnego popołudnia, z przerwą obiadową co prawda, siedzieć na jednym miejscu w zamkniętym pomieszczeniu i poruszać bez ustanku rękami. Od długotrwałego siedzenia bolały mnie plecy, głowa i ręce. Choć siedziałam, czułam się znużona. Wydawało mi się wtedy, że wołałabym już pracować choćby z większym wysiłkiem na stepie, np. przy sianokosach. Miałam wrażenie, że uczucie głodu również bardziej dawało się przy szydełkowaniu we znaki. Jakoś nie zastanawiałam się wtedy, dla kogo pracujemy. Dziś jestem przekonana, że swoją darmową, egzekwowaną na warunkach niewolniczych pracę wzbogacałyśmy garderobę żon i córek sowchozowych kacyków. Na szczęście praca ta nie trwała długo, tyle tylko, ile trzeba było czasu, aby zaopatrzyć w ładne bluzeczki znaczniejsze osoby. Z chwilą rozpoczęcia sianokosów zostałam wraz z siostrami do nich przydzielona. Brygada stacjonowała w miejscach, w których nie było źródełek. Wodę przywożono z odległego miejsca w becze zaprzężonej w jednego słabego wołu. Było jej za mało, aby wszyscy mogli pić do syta. Zdarzało się, że w ogóle jej brakowało. Gdy bardzo dokuczalo pragnienie, czerpaliliśmy wodę z pobliskiego bajorka. Wydawała się czysta, chociaż czasem wchodziły w nią byki i również gasiły pragnienie. Przypominam sobie, że po jakimś czasie wydawało mi się, że nie tylko woda z bajora, ale również ta przywieziona ze źródła i zupa z niej zrobiona mają niesamowity smak i cuchną przepoconą sierścią bydłą. Doszło do tego, że w ogóle nic nie mogłam jeść – ani chleba, ani rzadziutkiej zupy. Straciłam zupełnie apetyt, pojawiła się też gorączka. Wtedy odesłano mnie na fermę, do domu. Wnet rozwinęła się typowa czerwotka z silnymi bólami jelit i całym zespołem innych dokuczliwych objawów. Wspomniałam już, że w centralnej osadzie był maleńki dwupokojowy szpitalik, a właściwie izba chorych, gdzie urzędował z pielęgniarką lekarz (*wracz*) Siergiej Afanasowicz Agiejew.

Wracz Agiejew był statecznym w średnim  
wieku, dobrze zbudowanym mężczyzną,  
+ waz miał okrągłą i dobrocluną, datego

przypomniał jowiatego więzkiego probosc  
 sene. Jak przystało na prawobitego teka  
 no, ustosunkowaleny był pło Polokiv był  
 zycslivie, a uavel pryjzicivie.

Kiedy się do niego zgłoszilem, dał mi długo  
 terenu rove volucivie, ale leżale u chlewu.

Do dziś pamiętam uporczywe bóle brzucha,  
 ogólny ciężki niełusoc, utratę do jedzenia  
 i silną gorączkę.

Nie pamiętam ustoleniści czy lekarz dał  
 mi jakieś lekarstwo, czy też ustody organizmu  
 uvalcał chorobę sam, co było bardzo  
 prawdopodobne, bo lekarz bardzo braco  
 vato, o czym wrentę Siegij Hfauzenovic  
 uóviti otvarcie.

Zdaje mi się, że chorowały również moje siostry, ale nie pamiętam, czy wszystkie.

W izbie, którą nam przydzielono w centralnej osadzie, nie mieszkaliśmy długo. Nie pamiętam, z jakiego powodu kazano nam zmienić tę naszą kwaterę. Przeniesiono nas do małej izby w tym samym domu, ale znajdującej się od północnej jego strony. Pomieszczenie miało jedno tylko okno wychodzące na północ. Nie potrafię dzisiaj wyjaśnić, dlaczego wydawało mi się ono smutne i nie dawało wrażenia przytulności odczuwanego w tym lokalu, z którego kazano się nam wynieść. Możliwe, że nie było w nim dość jasno, może ściany nie były wystarczająco białe. Miała natomiast ta izba dwie zalety: bardzo szczelnie dopasowane, wpuszczone jakby w ścianę niewielkie drzwi i małą piwnicę pod podłogą, do której wchodziło się, unosząc niewielką

klapę w podłodze. Właściwie nie była to piwnica w dosłownym znaczeniu, ale jama wykopana pod częścią podłogi, gdzie można było przechowywać żywność.

Ponieważ dom stał na wzniesieniu, północna jego ściana była jakby niższa i stąd okno było w niewielkiej odległości od ziemi. Widok z niego był raczej przygnębiający. Widziało się skrawek wyżej położonego stepu, a dalej wznosiły się nagie góry, których wierzchołki w okresie jesieni spowite były gęstymi chmurami. Patrzącemu na ten widok nadzieja marniała w oczach. Gdy nadeszła jesień i zima, kazano mi sprzątać biura. Zamiatalam codziennie, szorowałam co tydzień podłogi, skrobiąc je dużym nożem. Wymagane było, by wyglądały jak nowe. Co jakiś czas trzeba było myć okna. Zima przynosiła konieczność palenia w piecach.

Ogrzewanie pomieszczeń biurowych nie ograniczało się tylko do przyniesienia opału i napalenia w piecu. Musiałam sama narąbać przeznaczanego do spalenia *tału*, tzn. świeżo ściętych gałęzi leszczyny czy też innego podobnego krzewu. Nie był to dobry materiał palny. Bardzo trudno było rozpalić palenisko takim mokrym drewnem. *Tał* przywożono co jakiś czas, nawet i zimą. Składano go pod gołym niebem, był więc przemarznięty, a kiedy przyniosło się go do ogrzanego pomieszczenia – ociekał wodą. Wiele zachodu wymagało doprowadzenie do tego, aby ogień zaczynał buzować w palenisku. Przed biurem stała niewielka, oblepiona łajnem dla zabezpieczenia przed deszczem i śniegiem przyzma rżniętego w kostki suchego *kiziaku*. Był on przeznaczony wyłącznie dla biura. Z tej to przyzmy wyjmowałam po kolei kostki i używałam ich jako podpałki, polanej oczywiście zużytym olejem silnikowym lub ropą. Kiedy *kiziak* rozżarzał się, nakładałam do pieca zamarzniete kawałki gałęzi *tału*. Tak spreparowane paliwo spalało się pięknie, nagrzewając piec. *Tału* używaliśmy naturalnie do ogrzewania i naszych kwater. By go otrzymać legalnie, należało od *naczelstwa* otrzymać stosowny kwit i dopiero wtedy pobrać z miejsca składowania określoną wedle łaskawości tegoż *naczelstwa* ilość pożądanego *kazionnego* (państwowego) paliwa.

Przeżywałam wiele niepokoju, zmartwienia, a nawet rozpaczę z powodu niepowodzeń przy rozpalaniu biurowego paleniska. Bałam się wymówek dyrektora, a zwłaszcza *partkoma* (sekretarza komitetu partyjnego), który był bardzo wymagający i akuratywny. Tego szczególnie nie interesowały trudności, zainteresowany był natomiast bardzo dobrze grzejącym piecem. By zdążyć z odpowiednim nagraniem go na poranny moment rozpoczęcia pracy w biurze, musiałam wstawać i zaczynać rozpalanie zaraz po północy.

Jako sprzątaczką byłam również zobowiązana do pełnienia funkcji gońca. Chodziłam więc z polecenia dyrektora do różnych pracowników fermy. Obszar do wędrówek, jak już wspomniałam, miałam rozległy. Męczyły mnie te przechadzki, bo byłam wciąż głodna i słaba, a na wiosnę, gdy śnieg zaczynał tajać, moje marne buty wraz z nogami miałam permanentnie przemoczone. I jak w takich warunkach można było dbać o zdrowie, by coraz usilniej wspomagać naród walczący dzielnie z faszystami?

W czasie mojej nieobecności w domu, gdy wyjeżdżałam do Urdzaru lub miałam robotę na drutach, w pracy w kantorze zastępowały mnie siostry.

Po napaści Niemiec na Rosję, wszystkich mężczyzn, a nawet niepełnoletnich chłopców, powołano do wojska. Brakowało więc pracowników do obsługi sprzętu mechanicznego. Z tego powodu urządzono przyspieszony kurs traktorzystów i kombajnistów dla dziewcząt. Miały one zastąpić mężczyzn przy opuszczonym sprzęcie. Ziemia musiała być uprawiana.

Byłam już dorosła i pełnoletnia, zgodziłam się na szkolenie, gdy złożono mi propozycję, której nie mogłam odrzucić. Miałam być tym razem traktorzystką. Ukończyłam kurs z dobrym wynikiem, trudności miałam jedynie z podejżdżaniem tyłem do zaczepienia maszyny. Egzaminatorzy uważali widać, że opanowałam dobrze teoretycznie materiał, potrafię więc dać sobie radę z ciągnikiem, a podejżdżania tyłem nauczę się z czasem. Na kursie uczono nas działania poszczególnych elementów wchodzących w skład pojazdu. Wyjaśniano też dokładnie, jak usuwać drobne defekty zdarzające się najczęściej i jak unikać sytuacji, w których można trwale uszkodzić ciągnik. Wydaje mi się, że byłam jedyną Polką, którą wyznaczono do pracy na traktorze, resztę stanowiły Rosjanki i Niemki. W sowchozie Tas-Bułak w użyciu były średniej wielkości (tak jak teraz oceniam) traktory CzTZ (*Czelabinskij Traktornyj Zawod*) przeznaczone do pracy na gruncie miękkim, zaopatrzone w koła z kółkami.

Wśród sześciu albo siedmiu zwykłych, jak je nazywano, był jeden przeogromny ciągnik gąsienicowy zwany „stalińcem”, dwa albo trzy razy większy i oczywiście o wiele mocniejszy od naszych CzTZ. Prowadzenie takiego ciągnika wymagało dużej siły i zręczności. Respekt budził chrzęst i hałas, z którym poruszał się. Była to naprawdę i przede wszystkim ogromna masa żelaza. Na tym „stalińcu” pracowała Rosjanka Gala. Była to młoda, wysoka, dobrze i mocno zbudowana dziewczyna o wielkiej, jak na tak młodą osobę, sile. Potrafiła ona, gdy ładowałyśmy na przyczepę traktorową worki z owsem, brać pod każdą rękę jeden worek i jednym zamachem wrzucić je na platformę. My natomiast nosiliśmy jeden worek we cztery i dobrze musiałyśmy się nabiedzić, aby go wrzucić na tę samą platformę.

Na wiosnę, gdy ziemia wyschła na tyle, że można było wyjechać na pole, ruszyły traktory do pracy.

Przygotowywany pod uprawę zagon ciągnął się chyba kilka kilometrów. Pracowało na nim kilka ciągników. Jedne przy pomocy kilkuskibowych pługów orały, inne bronowały przy użyciu bron talerzowych lub zębatach. Praca była monotonna, było zimno, dał mroźny wiatr, w oczy mimo okularów (bardzo nieszczelnych) kłuł piasek i drobny żwir, który chmurą otaczał wolno posuwający się traktor. Drętwiałam z zimna, siedząc na odkrytym ciągniku. Odzież miałam lekką. Może gdybym miała waciak i porządne buty lub *walonki* byłoby mi cieplej. Ponadto byłam głodna i chyba z tego powodu tak straszliwie marzłam.

Co jakiś czas silnik traktora wśród detonacji z komina gasł. Trzeba było zejść na ziemię, zgrabiętymi rękami odkrywać maskę i szukać defektu, a następnie próbować go usunąć. Najczęściej zatykały się przewody doprowadzające paliwo. Siatka w lejku, przez który lało się je do zbiornika traktora, była zwykle nieodpo-

*Часть 2*

Совхоз \_\_\_\_\_ Совхозн. учет б. № 8  
 Отделение \_\_\_\_\_ Утверждено НКХ СССР 17/Х - 938 г.  
 Ферма \_\_\_\_\_

**ТРЕБОВАНИЕ-НАКЛАДНАЯ № 514** дата *30/11/44* г.  
 Склад *с хоз. части*

Пункт отправки \_\_\_\_\_  
 Кому отпущено (направлено) *Ишуровской*

Фамилия (шофера, водителя) \_\_\_\_\_ Автомобильна № \_\_\_\_\_  
 Назначение *за н/расчет*

Наименование	Сорт	Едн. измер.	Требуется	Отпущено		Принят	Цена	Сл. №
				колич.	вес			
<i>Кубовый (тип)</i>			<i>194</i>					<i>25,20</i>
			<i>Директор с/х-з</i>			<i>И. Бул</i>		

Затребовал \_\_\_\_\_ Выдал \_\_\_\_\_  
 Принял от склада \_\_\_\_\_

Сиз ЦСУ 66 26/1907-44 г. Т. 6000х75      подпись      Заказ № 2706

Kwit na tal wystawiony 30 XI 1944 roku

wiadająca potrzebom. Stanowiła zwykle coś w rodzaju swojej karykatury. Paliwo nie mogło więc być niezanieczyszczone. Kłopoty też sprawiały byle jak iskrzące świece. Najgorszą jednak rzeczą było uruchomienie ciągnika. Nie miał on rozrusznika i trzeba było go uruchamiać ręcznie korbą. Trzeba było szybko i długo tą korbą kręcić. Korba stawiała duży opór, bo duża była kompresja silnika. Prawdę mówiąc, jedna kobieta nie była w stanie uruchomić takiego silnika. Najczęściej w takich przypadkach wzywało się dziewczynę z sąsiedniego traktora i wspólnymi siłami uruchamiałyśmy maszynę. Dla Gali jednak nie była to żadna sztuka – jak mężczyzna po kilkunastu szybkich obrotach korbą wprowadzała motor w ruch. Dlatego też, gdy nasze wspólne wysiłki nie dawały efektu, a my złane potem byłśmy u kresu sił, wzywałyśmy Galę, aby nam pomogła, gdy tylko była gdzieś w pobliżu ze swoim „stalińcem”. Gala zawsze orała, jej ciężki i mocny traktor ciągnął wieloskibowy pług, defektów miała mało.

Największym jednak problemem było ugrzęźnięcie traktora w miękkiej, mokrej jeszcze, dobrze nieosuszonej ziemi. Takie miejsca trafiały się zwykle w zagłębieniach terenu. Traktor mimo metalowych kołców na napędzających kołach i mimo podkładania pod te koła starego waciaka lub kawałka deski, o którą było bardzo trudno, buksował, grzązał coraz bardziej, prawie zapadał się w błoto. Nie pozostało nic innego, jak prosić o pomoc Galę z jej ciągnikiem. Bez jej pomocy nie było sposobu wydobyć się z pułapki. Takie wezwanie działało na nią jak przysłowiowa



czerwona płachta na byka. Wybuchiała, z ust jej sypały się wymyślne, soczyste wyzwiska i przekleństwa. Prawdę mówiąc, nie można się było jej dziwić. Odrywała się wszak od swojej roboty, na której wykonanie wyznaczona była norma czasu i paliwa. Musiała przejechać spory kawałek, aby dotrzeć do utopionego w błocie ciągnika, a potem jeszcze szarpać go wielokrotnie i wywlekać z ziemnej mazi. Spalała paliwo, którego zużycie mogło być uzasadniane jedynie orką. Za przepała bez uzasadnionej przyczyny potracano traktorzyście z wynagrodzenia. Wyciąganie z błota innych traktorów nie było wedle przepisów dobrym uzasadnieniem przepała. Mimo wszystko Gala nigdy w potrzebie nie odmawiała pomocy, nigdy też nie odmówiła sobie wylania potoku bluzgów.

Nie dopracowałam na swoim traktorze do końca prac wiosennych. Zaczęłam mocno gorączkować, choć nic specjalnie mi nie dolegało, nie mogłam po prostu podolać pracy ponad moje siły, byłam za słaba. Ponieważ gorączka mnie nie opuszczała, poszłam znów do lekarza Siergieja Afanasowicza i przedstawiłam mu swoją sytuację. Chętnie dał mi zwolnienie lekarskie i zaświadczenie, że praca na ciągniku jest dla mnie nieodpowiednia. Nakazał przy tym leżeć w łóżku, choćby gorączka spadła, i nikomu się na oczy nie pokazywać. Skompromitowałam się wobec urzędników sowchozu skutecznie i uwolniłam się na zawsze od pracy na ciągniku.

Siergiej Afanasowicz Agiejew bywał w naszym mieszkaniu kilkakrotnie, przychodził pogawędzić sobie z nami. Twierdził, że był w czasie I wojny światowej w Polsce i pobyt ten mile wspomina. W czasie tych wizyt prosił, by dokładnie zasłonić okno. Wolał, by nikt go u nas nie widział. *Wracz* Agiejew miał żonę, którą znałam tylko z widzenia. Była to postawna, inteligentna kobieta, o której mówiono, że pochodzi z arystokratycznego rodu. Było to zupełnie możliwe.

Pewnego razu, gdy przyszła na nas ciężka chwila, bo nie miałyśmy co włożyć do ust, powiedziałyśmy Agiejewowi o naszej sytuacji. Zaofiarował się odstąpić trochę pszenicy czy też mąki, co było rzeczą raczej rzadką i niespotykaną, zważywszy, że ludzie zwykle mieli mało pożywienia w zapasie.

Pamiętałyśmy o Siergieju Afanasowiczu i jego dla nas życzliwości, gdy wyjeżdżałyśmy do Polski. Mamusia podarowała mu wtedy męski parasol naszego Ojca i drewniany szaflik. Z obu tych rzeczy był bardzo rad i nie ukrywał, że się cieszy.

Mieszkańcy Tas-Bułaku nie mieli ogrodów. Nie było w tym miejscu, jak w Łaj-Bułaku, dobroczynnej rzeczki. Sytuacja żywnościowa w Tas-Bułaku była taka, jak na 1. fermie, gdzie walczyłyśmy tylko o podtrzymanie życia w sobie. Fundamentem pożywienia był *pajok*, tzn. chleb, który sprzedawano pracującym w ilości ½ kg na dzień. Przeżycie latem było łatwiejsze, bo pracowałyśmy „na brygadzie”, gdzie zapewniało nam chleb oraz cienką zupę. Gorzej natomiast sprawa przedstawiała się zimą. W zimie nie wszystkich zatrudniano z powodu braku miejsc pracy, a niepracującym nic się nie należało. Tak więc każdy bezrobotny musiał sam znaleźć sposób na zdobywanie jedzenia.

Małe, bo ledwie dwukilogramowe, paczuski od Ojca przychodziły do nas co jakiś czas. Wyraźnie prosiłyśmy o przysyłanie herbaty. Ogólna waga przesyłki nie

Медсправка № 107  
 Дана г. Нучковской Марии /оздоровие  
 в период болезни от 15 до 17 III 1946 г.  
 по состоянию здоровья  
 15 III 46 г.

Врач: [Signature]

М. П. [Seal]

подготовить свои сведения на основании

Свободного  
 с 19 III 46 г. по 17 III 46 г.  
 по состоянию здоровья  
 15 III 46 г.

В Советском Союзе  
 М. П. [Seal]

Франции. В 1937 году  
 Турция, после в Греции,  
 то консула, советника по-  
 на в перапарационной комисии,  
 меня, врачом Трудового Рабочего За-  
 веном лечила, отягощен Рабочего За-

(ЛАС)

Медсправка nr 107, tj. zaświadczenie lekarskie nr 107 stwierdzające, że Maria Nuckowska z powodu choroby jest zwolniona od pracy w dniach 15–17 III 1946 roku, z rozszerzeniem na okres 18–20 III 1946 roku

mogła przekraczać wyznaczonych przepisami dwóch kilogramów. Poza herbatą pakował Ojciec inne artykuły żywnościowe wedle uznania. Robił to fachowo, był w łagrach i wiedział, co potrzeba człowiekowi czarnoraboczemu w kraju komu-

nistycznej akurataności. Za herbatę Mamusia dostawała od znajomych Kazaszek z 1. fermy owies. Chodziła do nich na piechotę i na plecach przynosiła cenny owsiany skarb. Odległość 15–17 km do przejścia była dla głodnego i słabego człowieka niebagatelna. Mamusia nie nocowała na 1. fermie, w ciągu tego samego dnia wracała do domu.

Z owsa robiłyśmy kisiel, który stanowił podstawę naszego pożywienia w centralnej osadzie. W móżdzierzu sporządzonym z tłoka traktorowego silnika tłukło się wysuszony owies tak długo, aż chude ziarno zostało zmiażdżone na mąkę. Zalewano się ją na noc wodą. Rano wyciskało się plewy przez szmatkę, a następnie odcisniętą ciecz gotowało się, ciągle mieszając. Po zagotowaniu otrzymywało się średniozawiesistą ciecz, która była leciutko zakwaszona. Czasem udało się nam kupić miarkę mleka, tzn. *kisiuszkę*, i zabielić kisiel. Danie owsiane uważałyśmy za nader smaczne i było ono z całą pewnością pożywnie. Jadło, a raczej piło się je bez żadnych dodatków. Czasem, gdy nie miałyśmy niczego do wymiany na owies, nękana głodem Helenka prosiła dyrektora o wypisanie jej z magazynu kilograma lub dwu tego zboża. Dyrektor Kazachanow nigdy nie odmawiał takiej prośbie, choć przecież mógł. Dwa lub trzy razy przyniosła też Helenka do domu po kilogramie mięsa wołowego, które sprzedawano pracownikom biura. Jesienią i zimą byki bardzo padały z głodu. Nie mogło być inaczej. Żywiono je wyłącznie mizernym sianem, które wydzielano im w niedostatecznej ilości. Gdy rano przychodziło się do koszary, w której nocowały, zawsze kilka sztuk leżało martwych. Ponieważ skóry zwierząt przedstawiały cenny surowiec, zdejmowano je nawet ze sztuk padłych, solono, a potem dostarczano do Ajaguza, skąd pociągami wywożono je gdzieś do garbarni. Skórowaniem zajmowali się przeważnie Kazachowie, którzy byli w tej dziedzinie niezwykle biegli.

Po przeciwnej stronie sieni w naszym domu mieszkała Rosjanka o nazwisku Putiatina, której męża traktorzystę powołano na front, a ona została z czwórką małych dzieci. Ta biedna kobieta robiła, co mogła, aby utrzymać przy życiu dzieci i siebie. Widziałam nieraz przez otwarte drzwi jej pustą izbę z jednym żelaznym łóżkiem i kupą różnych łachów, pod którymi tuliły się niemal gołe, usmarkane dzieci. Czasem, siedząc na podłodze, wyjadały coś rękami z czarnego żelaznego garnka. Pewnego zimowego mroźnego ranka ta sąsiadka zapukała do naszych drzwi i zaproponowała mi pracę przy skórowaniu padłych wołów. Kiedy wzbraniałam się, tłumacząc, że nigdy takiej pracy nie wykonywałam, a nawet nie widziałam, jak się to robi, uspokoiła mnie, że potrafi sama ją wykonać, a ja będę tylko jej pomocnicą. Zgodziłam się w końcu i obie poszłyśmy do koszary. Praca była ciężka, nieprzyjemna i w trudnych warunkach. Po wielu godzinach mozołu zdjęłyśmy wreszcie skórę, której nie byłyśmy w stanie ruszyć z miejsca. Zdałyśmy ją magazynierowi i wtedy Rosjanka zaproponowała wycięcie po kawałku mięsa z tylnej części byka. Mięso po przyniesieniu do domu ugotowałyśmy. Chociaż niesolone, bo soli nie było, zjadłyśmy je z apetytem.

Od tej pory regularnie chodziłam, nawet z siostrami, do zdejmowania skór. Chętnych do tej pracy było coraz więcej. Często długo czekałyśmy, aż zezwolą nam

na rozpoczęcie roboty, sama nie wiem, dlaczego ociągano się, wszystkie potrzebne władze były przecież na miejscu. Kiedy udało się nam dostać do martwego wołu, bo i tu była rywalizacja, zawsze po ukończeniu tej uciążliwej pracy przynosiliśmy do domu kawałek mięsa. Było ono nadzwyczajnie chude, woda podczas gotowania go burzyła się jak mleko i wypływała z garnka. Gdy inni chętni ubiegali nas w staraniach o dopuszczenie do skórowania padłych wołów, udawało się szereg razy wymienić ze szczęśliwcami, którzy mieli większą siłę przebicia, zdobyte przez nich mięso z padłych sztuk za herbatę. Tymi szczęśliwcami bywali najczęściej Kazachowie, bo jakże mogło być inaczej.

## WYJAZD Z CENTRALNEJ OSADY DO ŁAJ-BUŁAKU I DALEJ – DO POLSKI

Przez całą zimę na przełomie 1945 i 1946 roku dochodziły do nas wieści, że coś się dzieje w sprawie naszego powrotu do Polski. Wiadomości takie przywozili Polacy, którzy jeździli do Urdżaru na bazar po żywność. Na przedwiośniu, to znaczy w marcu 1945 roku, oficjalnie powiadomiono nas, że jest decyzja władz radzieckich zezwalająca na opuszczenie Kazachstanu. Wiadomość ta, prawdę mówiąc, nie wywołała w nas szału radości. Żywiołowa radość wypaliła się w trakcie nadchodzenia coraz prawdopodobniejszych pogłosek o zmianie naszego dotychczasowego statusu. W chwili, gdy powrotna podróż do ojczyzny stawała się rzeczywistością, niepokoiły nas trudy związane z przebyciem tak długiej drogi i lęk o pożywienie, które trzeba zdobyć na czas jej trwania. Ani przez moment nie przyszło nam do głowy liczyć na władzę radziecką.

Już jesienią 1944 roku dopuszczaliśmy się pospolitego wedle radzieckiego prawa przestępstwa, zbierając kłosa pszenicy pogubione na polu po akcji żniwnej. Wychodziłyśmy z domu zawsze ze strachem, że będziemy ukarane, i to tuż przed wyjazdem. Taką perspektywę niesło ewentualne spotkanie kogoś z *naczalstwa* w trakcie niecnego grabienia własności państwowej. Zgodne z prawem było gnicie pozostawionych na ściernisku kłosów, natomiast sprzeczne z prawem było zbieranie ich przez głodnych ludzi. Na płaskim stepie trudno było ukryć się. Zbierający widoczny był ze sporej odległości, ryzyko, że się będzie spostrzeżonym przez niepowołane oczy, było duże. Zdarzało się kilka razy w trakcie naszych zbierackich wypadów, że drogą, co prawda w oddaleniu od nas, przejeżdżał ktoś znaczny na koniu, ale szczęśliwie nie próbował rozeznawać, w jakim celu spacerujemy po ściernisku. Pewnie udowodniałybyśmy, że wracamy najzupełniej przypadkowo przez ściernisko stąd czy stamtąd do domu. Działając w taki sposób, ubierałyśmy po jakimś czasie spory worek pszenicy. Trzeba było wcześniej kłosa wykruszyć i odwiać na wietrze plewy. Nie bez obaw ziarno oddaliśmy do młyna, gdzie zmielono je na mąkę, a na-



stępnie w piekarni sowchozu pracujące tam kobiety upiekły nam chleb. Trzeba było bochenki pokroić na kromki i wysuszyć. Otrzymane w ten sposób suchary miały stanowić zapas jedzenia na czas podróży do Polski. Chociaż płaciłyśmy rzetelnie za usługę w młynie, otrzymałyśmy ilość mąki mniejszą niż się należało. Kolejny raz bezkarnie okradziono nas przy pieczeniu chleba. Suchary trzymałyśmy jako podróżną żelazną porcję. Chociaż głód bardzo często skręcał nam kiszki, nie pozwalałyśmy sobie na jej naruszenie.

Pewnego dnia zawiadomiono nas oficjalnie, że mamy przygotować się do wyjazdu, bo przydzielona zostanie nam podwoda i zostaniemy przetransportowane do punktu zborego zorganizowanego dla wyjeżdżających w Łaj-Bułaku.

Był marzec, a może i początek kwietnia, siarczyste mrozy zelżały. Słońce w południe zaczęło już nieco przygrzewać – rozpoczynały się roztopy. Leżał jeszcze co prawda śnieg prawie dwumetrowej grubości, ale w dzień sączyły się spod niego strugi wody. Był tak już miękki, że zwierzęta i ludzie zapadali się głęboko. Przemieszczanie się w terenie było bardzo utrudnione.

Spakowałyśmy do worków naszą pościel oraz pozostały mizerny dobytek. Czekaliśmy na dalszy bieg wypadków. Obiecana podwoda przez kilka dni nie pojawiała się. Siedząc na pakunkach, czekałyśmy coraz bardziej zaniepokojone i zniecierpliwione. W sprawie rychłego rzekomo wyjazdu zdecydowała się w końcu interweniować u dyrektora Kazachanowa Helenka. Była to interwencja skuteczna. Wnet, czyli około północy, gdy mróz utwardził śnieg, któryś z Kazachów przyprowadził „Miszkę” i „Griszkę”, dwa wierzchowe konie dyrektora ze stajni znajdującej się we wschodniej części osady i powiedział, byśmy na nie załadowały nasz dobytek. Powiązane sznurkami nieliczne worki z naszymi ruchomościami zostały przerzuczone przez grzbiety końskie i wisiały po obu ich stronach. Do jednego z końskich grzbietów przytroczony był *czemadan* ofiarowany nam przez powołanego do armii Żorkę. W tym *czemadanie* były nasze skarby – suchary. Ruszyłyśmy po twardniejącym śniegu po raz ostatni do Łaj-Bułaku. Z płaczem żegnała nas sąsiadka Putiatina. Helenka przed wyruszeniem poszła jeszcze pożegnać się z Abramową, swoją koleżanką z biura. Taki scenariusz ustaliły wcześniej. Inni Rosjanie, współmieszkający z nami w jednym domu, mieli łzy w oczach. Wydaje mi się nawet, że byliśmy w tym czasie jedyną polską rodziną w centralnej osadzie. Inni nasi rodacy, a było ich przecież dość sporo, wyjechali wcześniej do Urdżaru czy też do Łaj-Bułaku.

W Łaj-Bułaku, do którego dotarliśmy koło południa, zastałyśmy już Polaków z innych ferm. Siedzieli stłoczeni w izbach po kilka rodzin razem. Miano nas transportować zaraz dalej, tzn. do stacji kolejowej w Ajaguzie, oddalonej od Łaj-Bułaku, jak nam podawano, o 120 km. Pobyt na 2. fermie zaczął się przedłużać. Samochody, którymi mieliśmy jechać dalej, jakoś nie nadjeżdżały. Jak zwykle w wielkim komunistycznym państwie robotników i chłopów szwankowała mocno organizacja przedsięwzięcia. Ona była dziwnie dobra, gdy nas wleczono na Wschód. Kto tylko z oczekujących mógł, zgłaszał się do pracy oraz wyruszał do kołchozów, aby przetrwać jakoś czas oczekiwania, zarobiwszy na utrzymanie. Helenka wróciła do pracy



w biurze. Janeczka i Lala zaczęły pracować „na brygadzie”. Zaczęłyśmy nadwyreżać zapas sucharów, a także konserw rybnych, które w dość znacznej ilości otrzymaliśmy jako pomoc amerykańską na drogę powrotną. Siedziałyśmy jak wszyscy inni w Łaj-Bułaku dosyć długo, z niecierpliwością oczekując na wyjazd, ale nic się nie działo. Wreszcie jakaś energiczna Polka w średnim wieku, której dotąd nie znałam, zebrała nas wszystkich i powiedziała, że wyjazd do Ajaguza musimy sobie zorganizować sami, bo inaczej nigdy nie wydostaniemy się z tego chwilowego ponoć miejsca postoju. Zaproponowała wejście w nieformalne porozumienie z kierowcami samochodów, które kursowały między Urdżarem a Ajaguzem, na zapłacenie podróży i umówienie się co do daty wyjazdu. Plan został zaakceptowany i przystąpiono do jego wykonania. Po kilku dniach podjechały ciężarówki, oczekujący zaczęli wpłacać kierowcom dolę za przysługę, ładowano bagaże. Westchnęłyśmy z ulgą, gdy nasz samochód zaczął toczyć się po drodze. Wnet minęliśmy Taskesken i pojazdy skręciły na północ, do Ajaguza. Jakże inaczej wyglądał w tym momencie nasz stan ducha w porównaniu z rokiem 1940, gdy zmierzaliśmy ku nieznanemu w przeciwnym kierunku. Pewnie realna nadzieja na lepszą przyszłość sprawiała, że podróż na odkrytej skrzyni samochodów wydawała się nam krótsza. W Ajaguzie złożyliśmy nasze bagaże pod budynkiem stacyjnym, spodziewając się naiwnie, że niebawem nadjedzie przeznaczony dla nas pociąg i bez zbytej zwłoki ruszymy w dalszą podróż.

## POBYT W AJAGUZIE

Wnet okazało się, że żadnego pociągu dla nas nie ma i w najbliższym czasie nie będzie, ponieważ ostatnim odjechali Żydzi, którzy zorganizowali się szybciej niż my. Na pytanie, kiedy będzie następny, odpowiadano nam, że nikt tego nie wie i że trzeba czekać. Koczowaliśmy przy budynku stacyjnym kilka dni i nocy aż do chwili, kiedy niebo zachmurzyło się i zaczął padać drobny deszcz. Kilka też razy zakradali się do tobołków złodzieje, ale ludzie byli czujni i skutecznie ich przepędzili. Po czyjejś interwencji kazano nam przenieść się do pustego budynku szkoły. Trafiliśmy pod dach. W pomieszczeniach tej szkoły pobudowano kuchnie. Dziwny widok w budynku szkolnym. Dla nas był to dobry widok i krzepiąca okoliczność. Trzeba było jeszcze tylko pozbierać z torów pogubiony bodaj przez parowozy węgiel i można było parać się działalnością kulinarną, jeśli tylko udało się zdobyć coś, co można było do tej działalności wykorzystać.

Ajaguz był dość sporą osadą z bazarem, na którym można było handlować wszystkim. Można było sprzedawać. Można było kupować, o ile się miało naturalnie pieniądze. W Ajaguzie dotarła do nas paczka od Ojca zawierająca herbatę. Ta herbata dopomogła nam przeżyć kolejne parę dni. Była produktem cennym i poszukiwanym. My ją akurat miałyśmy. Wymieniałyśmy jej porcje na ziemniaki i kukurydzę.

W Ajaguzie spotkałyśmy byłego naszego *uprawlajuszczego* Papazowa sprzedającego na bazarze prażone ziarno słonecznika, *siemiczki*. Był to marny rodzaj handlu i trudnili się nim ludzie o marnym statusie finansowym. Widziałyśmy go z daleka. On zresztą też, gdy zorientował się, skąd przybyli na stację wyjeżdżający, rozpytywał ludzi – jak już wspominałam – o „Nuckowskie, te żmije”. Zapadłyśmy mu w pamięć, ale czy musiałyśmy? Wystarczyło, by kiedyś tam dał spokój drzwiom i oknom w kwaterze, w której mieszkaliśmy. Zaszkodziła mu zbyt duża pewność siebie.

## PODRÓŻ DO POLSKI

Po kilkunastu jednakowoż dniach wtoczył się wreszcie na stację pociąg, kazano nam pakować nasze tobołki i zajmować miejsca w wagonach. Na osi podłużnej każdego z wagonów, w częściach buforowych były podwójne, szerokie i wedle naszych skromnych potrzeb wygodne półki, tzn. znajome nary.

Tym razem jechaliśmy już jako ludzie wolni. Drzwi wagonu były otwarte. Nikt nie próbował fundować nam uzbrojonych konwojentów. Gdy robiło się ciepło, otwieraliśmy wrota do wagonu po obu stronach, na przestrzał. Podczas dłuższych postojów, które trwały niekiedy od dwóch do trzech godzin, ludzie ustawiali przy torze na kamykach garnki i czajniki, gotowali zupę bądź herbatę. O postojach i ich długości informowaliśmy się u maszynisty i na ogół nie było wypadku, aby nas zawiódł. Chodziłyśmy także czasem, dość rzadko, na bazy, gdy pociąg zatrzymywał się w ich pobliżu, kupowałyśmy przeważnie chleb. Właściwie były to bułki, które były dla nas bardzo drogie. Miałyśmy mało pieniędzy. Wspominałam już, że za pracę w sowchozie płacono nam bardzo mało. Nie miałyśmy już nic stosownego do sprzedania czy wymiany. Co było do wymiany, zostało już dawno wymienione na żywność. Jadłyśmy więc swoje rozmoczone w wodzie suchary z konserwami rybnymi i popijałyśmy tym, co nazywałyśmy herbatą.

Zdarzyło się kilka razy, że ktoś z naszego wagonu nie wrócił na czas, chociaż z lokomotywy dobywał się ostrzegawczy gwizd, i musiał dopędzać nasz transport innym pociągiem. Odbywało się to bez specjalnych emocji, bo kolejarze informowali spóźnialskich, którym pociągiem i gdzie dopadną nasz transport. Nie żądano też żadnych opłat za ten przejazd. Podróż schodziła nam szybciej i w znacznie lepszym nastroju niż przed sześcioma laty. Nie pamiętam też, abym specjalnie cierpiała z powodu głodu. Często siadałyśmy w czasie jazdy na podłodze w otwartych drzwiach wagonu i śpiewałyśmy różne piosenki.

W czasie podróży zrobiłam sobie z pojedynczej przędzy przyniesionej skądś przez chłopców, rzekomo z opakowania broni, ładną garsonkę, w której po osiedleniu się w Drawsku chodziłam do kościoła.



Autorka rok po przyjeździe do Polski

Aby obniżyć temperaturę, gdy było gorąco, zmywało się podłogę w wagonie i zlewało ją często wodą. Było czysto i świeżo. Jak w roku 1940 pociąg biegł w dzień i w nocy, tyle że postoje były dłuższe.

Im bardziej zbliżaliśmy się do ojczyzny, tym większe ogarniało nas wzruszenie. Na granicy pierwsi witali nas kolejarze. Jeden z nich wyszedł na peron, w krótkich serdecznych słowach powitał nas, a potem w otwarte ramiona brał każdego znajdującego się w pobliżu. Możliwe, że był to zawiadowca stacji. Ludzie płakali, całowali ziemię i głośno błogosławili Boga, że dał łaskę powrotu.

Do Polski zbliżaliśmy się, przejeżdżając przez Kowel. Dalej trasa naszej podróży wiodła przez Chełm, Lublin, Łódź, Kalisz, Jarocin i Poznań. W Jarocinie staliśmy dłużej. Zapadło mi w pamięć to, że przychodzili do naszych wagonów mieszkańcy Jarocina i zapraszali chętnych na poczęstunek do swoich domów. Czułam się nieswojo. Z jednej strony wiedziałam, że jesteśmy pożałowania godni w tych naszych wagonach przybyłych z końca świata, ale jakoś urażało mnie to, że ta nasza nędzna kondycja była aż tak jawna dla naszego otoczenia...

W czasie przejazdu przez tereny polskie ludzie z naszego transportu wysiadali, aby zobaczyć się z krewnymi mieszkającymi w pobliżu, względnie osiedlić się w ich pobliżu.

Na granicy przeniesiono nas do polskich wagonów towarowych. Jechaliśmy teraz po węższych torach. Dotychczasowe zespoły zasiedlające wagony, które wyruszyły z Ajaguza, przemieszały się. Pewna samotna młoda kobieta z naszego wagonu, wysiadając w Łodzi, gdzie miała ciotkę i wujka, podarowała mi skórzane, podniszczone pantofle pokojowe na miękkiej podeszwie. Był to dar ogromnej wagi, bo wszystkie byłyśmy bose w dosłownym znaczeniu. Miałyśmy wprawdzie w tobołku jedną parę butów wojskowych i jedną parę ogromnych, roboczych trzewików męskich z darów amerykańskich, ale było już zupełnie ciepło. Buty więc były z innej bajki. W pantoflach tych chodziłam w niedzielę do kościoła w Drawsku. Były przecież słabe i nie nadawały się do permanentnego chodzenia po ulicy. Wkrótce podeszwa oddzieliła się od wierzchu. Ratując pozór, że jestem obuta, kawałkiem drutu przymocowałam do noska podeszwę (na pięcie trzymała się jeszcze). Tak reanimowane pantofle ratowały przez jakiś czas pozory względnej kultury i względnej mojej zamożności.

Nie pamiętam, jak prędko moje siostry zdobyły jakieś obuwie. Mamusia w każdym razie chodziła do kościoła boso i kryła się za filarami, aby jak najmniej widzieli ją ludzie.

Z Poznania jechaliśmy w kierunku Szczecina. W ówczesnym Starogardzie (dziśniejszym Stargardzie Szczecińskim) pociąg skręcił na wschód i zaczął zmierzać do Chojnic. Dojechał do Szczecinka. Tutaj pasażerowie dowiedzieli się, że skład rozpocznie jazdę w przeciwnym kierunku. Według nowej marszruty miał dotrzeć do Wrocławia. Szczecinek jako ewentualne miejsce osiedlenia nie spodobał się nam, gdy obejrzałyśmy go stosunkowo pobieżnie. Stacja kolejowa była zbyt daleko od centrum. Postanowiłyśmy jechać dalej. Po drodze był jeszcze godny zainteresowania Złocieniec, ale i on ostatecznie nie przypadł nam do gustu. Wysiąść postanowiłyśmy w trakcie następnego postoju – w Drawsku.

# **WSPOMNIENIA HELENY**





W nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku ktoś ostro zapukał do drzwi wejściowych, a potem w okno naszego domu. Mieszkaliśmy na przedmieściu Lwowa, w gminie Rzęsna Polska przy ul. 11 Listopada nr 21, w domu, który z trudem i kosztem różnych wyrzeczeń wybudowali moi rodzice. To pukanie w tak nieoczekiwanej porze zerwało nas z łóżek na równe nogi i trochę przeraziło. W domu była nasza Mama i my, czwórka dziewcząt w wieku od 19 do 10 lat: Marysia, ja, Janeczka i najmłodsza Łucja, zwana przez nas Lalą. Rosyjskie pokrzykiwanie: *atkroj!* oraz ukraińska mowa mieszały się ze sobą przed drzwiami. Mama usiłowała rozpoznać znajdu-



Józef Nuckowski z Marysią (po prawej) i Helenką (po lewej) na lwowskiej ulicy w 1934 roku

jących się pod drzwiami, dyskretnie zaglądając przez okno zza firanki. Niewiele zobaczyła, jedynie sylwetki uzbrojonych mężczyzn. Wobec niesłabnącego stukania, a właściwie dobijania się do drzwi, zmuszona była je otworzyć. Do mieszkania wszedł umundurowany enkawudzista wraz z miejscowym policjantem. Wyjął jakieś papiery i odczytał nakaz przesiedlenia nas. Jestem przeświadczona, że padło wówczas zdanie, które słyszeli tej nocy i inni lwowianie „zagrożający” najeźdźcom: *So-wietskaja vlast' prisuzdajet was k' pieresielenju na Wostok*. Zdanie to, wygłoszone przez funkcjonariusza okupacyjnej władzy, zrujnować miało dramatycznie na kilka następnych lat nasze dotychczasowe życie. Enkawudzista nie omieszkął poza tym dodać tyle uspokajająco, co kłamliwie: „pojedziecie do Rosji i tam spotkacie się z *bat'kiem*”, tj. Ojcem, którego aresztowano w miejscu pracy, w piekarni Gorcza-ka, już we wtorek 10 kwietnia. Dowiedziałyśmy się o tym aresztowaniu od „pod-opiecznych” Ojca z czasów, gdy nie był on jeszcze emerytowanym przodownikiem policji, byłym komendantem posterunku policji w Rzęśnie Polskiej. W prokuraturze lwowskiej próbowaliśmy bezskutecznie zasięgnąć informacji na temat losów Ojca. Dopiero po latach dowiedziałyśmy się, że po śledztwie w Czernihowie i Kijowie został skazany na 10 lat łagrów i znalazł się w rejonie Workuty.

Tymczasem enkawudzista z ekipy nadzorującej nasze przygotowania do deportacji doradzał, byśmy pakowały jak najwięcej rzeczy, bo „będą potrzebne”. Sugerował pośpiech, ponieważ komisarz, który miał przyjść, mógł ponoć zabronić zabierania czegokolwiek.

Dziś wiem, że władza radziecka po zgromadzeniu taboru kolejowego wykorzystywanego w trakcie pierwszej deportacji obywateli polskich na Wschód, przeprowadzonej w nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku, przystępowała właśnie do kolejnego etapu deportacji, realizując decyzję Rady Komisarzy Ludowych ZSRR z 2 marca 1940 roku i instrukcję do niej z 10 kwietnia tegoż roku. Znalazłyśmy się wśród 22–25 tysięcy rodzin przewidzianych do wysiedlenia do Kazachstanu. Były to rodziny aresztowanych przez władze radzieckie podoficerów, oficerów wojska i policji, działaczy politycznych, społecznych, gospodarczych, urzędników państwowych, przemysłowców, a także nauczycieli szkół różnego szczebla i uczelni wyższych.

Moja Mama zupełnie straciła głowę. Jak gdyby nic się nie stało, zajęła się przygotowywaniem śniadania. Wydawać by się mogło, że przestała reagować na zaistniałą nieprawdopodobną sytuację i po prostu zaczęła wykonywać swoje rutynowe, codzienne czynności. Starsza siostra, Marysia, przypominała sobie, że miała odebrać od szewca, który mieszkał w Rzęśnie Polskiej, odległej kilka kilometrów, sandałki wcześniej oddane do naprawy. Rosjanin okazał się tak łaskawy, że pozwolił pójść po nie – oczywiście w asyście policjanta. W takiej sytuacji pospołu z Janeczką musia-łam zająć się pakowaniem naszych rzeczy.

Nad ranem przyszedł komisarz. Nie pozwolił nam wziąć drewnianego kufra zdjętego ze strychu, w którym można by zmieścić jak najwięcej rzeczy. Nie pozwolił też wziąć worka mąki zdjętego ze stryżku nad werandą, gdzie był ukryty.



Ks. Jan Tomaszewski  
27 XII 1906 – 1 X 1958

Mama poleciła nam pakować rzeczy do worków, których w domu było kilka. Walizkę mieliśmy tylko jedną. Bez szczególnego układania szybko zapakowałyśmy bieliznę osobistą, pościelową, ubrania Ojca, ubrania nasze, ba, nawet firanki, na które zwrócił nam uwagę enkawudzista, poza tym pościel, materace. Zapakowałyśmy skromne zapasy żywności, a więc trochę mąki, kaszy, fasoli, sucharów z chleba, bułek. Wzięłyśmy też przetwory owocowe, soki i konfitury. Janeczka wrzuciła do worka garnki i inne przybory kuchenne.

Śniadanie zostało przez Mamę przygotowane, ale żadnej z nas nie przyszło do głowy, by go zaczynać jeść. Marysia zdążyła wrócić od szewca. Powiedziała, że dom na zewnątrz jest obstawiony i pilnowany. Enkawudzista zrobił protokół-spis zostawianych przez nas

ruchomości, przede wszystkim mebli. Powiedział też, że potrzebny jest świadek, najlepiej sąsiad, w którego obecności powinien być ten spis podpisany.

W bliskości naszego domu mieszkali sąsiedzi, z którymi raczej nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów. Ojciec przyjaźnił się i współpracował z księdzem Janem Tomaszewskim, który był proboszczem nowo wybudowanego kościoła dla rejonu naszego zamieszkania i dla przysiółka Batorówka, robotniczego osiedla należącego również do gminy Rzęsna Polska.

Ustaliłyśmy, że Marysia pójdzie poprosić ks. Tomaszewskiego o przyjęcie do nas. Poszła w towarzystwie policjanta. Prawdę mówiąc, nie byli to funkcjonariusze regularnej formacji, planowo i fachowo wyszkoleni i umundurowani, a ochotnicy nieumundurowani, przeważnie uzbrojeni Ukraińcy z czerwoną przepaską na ramieniu.

Przyszedł ksiądz Tomaszewski, protokół został podpisany przez Mamę, przez księdza Tomaszewskiego jako świadka oraz przez enkawudzistę. Jeden egzemplarz spisanego protokołu nam wręczono. I już trzeba było iść... Jeszcze tylko w jednym z tobołków umieściłyśmy zdjęty ze ściany prosty, drukowany w Dreźnie w 1899 roku obrazek Najświętszego Serca Pana Jezusa. Przetrwał on z nami deportację, wrócił do Polski i wciąż istnieje, choć już, prawdę mówiąc, w nienajlepszym stanie.

Tymczasem przed dom zajechał wóz-platforma zaprzężony w parę koni, załadowałyśmy nasz naprędce spakowany dobytek i same prawie w kompletnym milczeniu

usadowiliśmy się na wozie. Nastąpiły słowa pożegnania. Ksiądz błogosławił nas na drogę, kreśląc w powietrzu znak krzyża, i my również znakiem krzyża, w imię Boże rozpoczynałyśmy naszą podróż w nieznane. Była godzina 5.30.

W tragicznych dla nas chwilach nikt z nas nie uronił łzy, nie było jakichś dantejskich scen. Wiedziałyśmy, że nasi wrogowie, może ci sami, którzy aresztowali naszego Ojca, patrzą na nas, cieszą się z naszej niedoli i chętnie napawaliby oczy widokiem naszej rozpacz. Na skutek tych przeżyć dostałam temperatury. Zdawałam sobie sprawę, że nie jedziemy na wycieczkę krajoznawczą, ale na tułaczkę i poniewierkę. Przecież pierwsza, lutowa deportacja, działa się na naszych oczach. Byłam wtedy wraz z Marychną u wujostwa we wsi Lipniki. Władza radziecka usuwała wtedy daleko na Wschód budzące w niej grozę „elementy społecznie, politycznie wrogie i niebezpieczne”, do których zaliczono bodaj przede wszystkim już to polskich osadników wojskowych (dawnych żołnierzy z okresu wojny polsko-radzieckiej), zbiorowość silnie związaną z państwowością polską i polskością w ogóle, składającą się z osób jak na tamtejsze warunki stosunkowo zamożnych i w dużej części polityczno-społecznie aktywnych, już to osadników cywilnych. Była jeszcze, jak wiadomo, trzecia fala wywózek. Zrealizowano ją w nocy z 29 na 30 czerwca 1940 roku.

Gdy wóz ruszył, raz jeszcze ogarnęłyśmy wzrokiem nasze domostwo. Zamknięty w piwnicy szczekał nasz pies „Centor”, mieszaniec foksteriera i jamnika. Tymczasem wóz zaczął podskakiwać na nierównościach janowskiej szosy, prowadzącej do Lwowa. Minęliśmy stację Lwów-Kleparów, cmentarz przy ul. Janowskiej, dalej jechaliśmy w kierunku dworca głównego-towarowego. Panował na nim ogromny ruch. Co chwilę ciężarówki albo zaprzęgi konne podjeżdżały do długiego zestawu wagonów towarowych i przywoziły ludzi z ich niewielkimi tobołami. Ruchem dyrygowali rosyjskojęzyczni wojskowi. Pojazdy i ludzie brnęli w gęstym, głębokim wczesnowiosennym błocie. Otwarto drzwi wagonu, wyładowałyśmy nasze rzeczy z platformy. Wagon był już prawie pełen ludzi. Po obu stronach wagonu, na jego osi podłużnej, były po dwie głębokie półki, na których siedzieli lub leżeli ludzie w ubraniach. Dla nas znalazło się miejsce na górnej półce. Rzeczy nasze i innych zajmowały środek wagonu. W półmroku rozpoznałam niektóre znane mi osoby, wśród nich pana Wojciechowskiego – organistę z kościoła w Rzęśnie Polskiej z żoną i dwiema córkami. Został wzięty dlatego, że syn jego pracował w policji (czy może był w wojsku?). Byli starsi państwo Antonowowie. Ich syn, podejrzany o działalność patriotyczną, został poprzednio aresztowany. Była pani Gorylukowa z córką. Mąż jej pracował jako strażnik więzienny. Była pani Mazurczakowa z małymi dziećmi (i z kurami, które zabrała ze sobą z gospodarstwa w Rzęśnie Polskiej). Jej mąż był chyba strażnikiem więziennym. Była pani Brzezińska z kilkumiesięcznym dzieckiem, żona policjanta. Panią Ciupakową z dwójką dzieci – córeczkami Basią i Renią – spotkał los ten sam co nas dlatego, że jej mąż był zawodowym wojskowym. Pozostałych osób nie znałam. Ludzie ci mieszkali w Rzęśnie Polskiej lub „na Batorówce” (tak się wtedy mówiło). Cały dzień trwała akcja zwożenia ludzi, którzy z powodu



niezadowolenia czy wrogiego nastroju, z powodu wcześniejszego uwięzienia przez radzieckiego najeźdźcę najbliższego członka ich rodziny, mogli stać się niebezpieczni. Do wieczora dowożono kolejne grupy ludzi i doładowywano wagony. Do naszego wagonu przybyło jeszcze kilka rodzin. Dobrowolnie, by podzielić los swoich rodziców, zgłosiła się pani Marylka Antonowna. Pani Marylka nie mieszkała z rodzicami na Batorówce, ale we Lwowie. Widziałyśmy przez okienko wagonu, jak rozmawiała z kilkoma wojskowymi. Zabiegała, by wpuszczono ją do wagonu, w którym byli już jej rodzice i pozwolono im towarzyszyć. Pilnujący nas wyraźnie nie mogli pojąć, jak to możliwe, by młoda osoba na własne życzenie chciała pozbawić się wolności, skazywać się na opuszczenie rodzinnego miasta li tylko dlatego, by towarzyszyć rodzicom zakwalifikowanym do deportacji na Wschód. Po jakimś czasie jednak pani Marylka dostała zgodę *naczalstwa* transportu i z dużym koszem-kufrem plecionym z wikliny została wpuszczona do naszego wagonu. Po południu na dworzec towarowy przybyli jacyś państwo, by pożegnać panią Marylkę. Jak się okazało, byli to jej pracodawcy. Pracowała ona w prywatnej firmie, będącej własnością Polaka, obywatela szwajcarskiego. Ci państwo jakoś bez trudu zostali przepuszczeni przez otaczające rejon dworca posterunki. Na pożegnanie pani Marylka otrzymała od nich niewielką kolorową poduszkę.

Wiele osób usiłowało przedostać się bliżej wagonów, by odszukać swoich bliższych, pożegnać ich, ale rozstawione posterunki wojskowe były nieustępliwe tak, że nie dopuszczano nikogo z usiłujących. Niektórzy, jak pracodawcy pani Marylki, wiadać mieli wyjątkowe szczęście albo umieli sprawę odpowiednio załatwić, osłabiając opór stosowną *wziatką*, czyli najzwyczajszą łapówką. Byłyśmy przeświadczone, że niewinna poduszeczka od pracodawców zawierała przydatną w każdych warunkach odprawę pieniężną.

Widziałyśmy naszą ciotkę Anielę Dzielendziakową, siostrę Ojca, która mieszkała w Rzęśnie Polskiej, niedaleko stacji kolejowej, jak usiłowała przedostać się przez kordon pilnujących, by podejść do wagonów. Miała dwa bochenki chleba. Chciała dać je nam na drogę. Gdy próbowała podejść do pociągu, żołnierz odtrącał ją. Płakałyśmy, bałyśmy się, by nie zrobił jej jakieś krzywdy. Wołałyśmy przez okienko, machałyśmy do niej rękoma. Podziwiałymy jej odwagę. Dokonała sporego wyczynu. Przyjechała na dworzec, odnalazła nasz transport i szukała możliwości zbliżenia się do nas. Jakiś czas stała z daleka spokojnie, jakby czaiła się i czekała na odpowiedni moment. Taka chwila nadeszła, kiedy pilnujący naszego wagonu żołnierz czymś zajął swoją uwagę. Przybiegła i podała nam przez okienko te chleby, trochę smalcu i 150 rubli. To było całe nasze finansowe wyposażenie na drogę.

Wagony, w których zostaliśmy zamknięci, stały jeszcze długo na dworcu towarowym. Ruszyliśmy dopiero następnego dnia, tj. w niedzielę 14 kwietnia 1940 roku o godz. 12.30. Niemal wszyscy skupili się przy okienkach (było ich cztery), gdy pociąg zaczął mijać zabudowania przylegające do dworca kolejowego i dalsze rejony Lwowa przy torach kolejowych. Staraliśmy się rozpoznawać przedmieścia. W pewnym momencie zobaczyłyśmy księdza, który stał na nasypie kolejowym i że-

gnał przejeżdżające obok niego wagony wielkim znakiem krzyża kreślonym ręką w powietrzu. Niewątpliwie wiedział doskonale, kto jedzie tymi wagonami, wiedział, że to naród polski wysyłany jest masowo na nędzę i poniewierkę. Bóg wie dokąd...

Była właśnie trzecia niedziela po Wielkanocy, która w 1940 roku wypadła 24 marca. Organista, jakby w ramach jakiegoś niezauważonego paradoksu, zaczął śpiewać aktualną pieśń dla tego okresu roku kościelnego – „Wesoły nam dziś dzień nastał”, ale nie przeszkadzało to nikomu, wszyscy śpiewali i modlili się. Chyba było nieco lżej...

W wagonie zrobiło się ciepłej. Było nas około pięćdziesięciu osób, czyli więcej niż przewidywała instrukcja Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRR *O trybie przesiedlenia osadników z zachodnich obwodów USRR i BSRR*, zatwierdzona do wykonania przez Radę Komisarzy Ludowych ZSRR w dniu 29 grudnia 1939 roku. Stwierdzała ona, że w wagonie ma jechać 25–30 osób. Zgodnie z innymi wytycznymi w niej zawartymi, pociąg (Rosjanie mówili – *eszelon*) miał się składać z 55 wagonów, w tym 49 wagonów towarowych, przystosowanych do przewożenia ludzi, wagonu osobowego eskorty, 4 wagonów do przewożenia większych gabarytowo ładunków oraz wagonu sanitarnego. W każdym więc *eszelonie* miano więc transportować 1250–1500 osób, nad którymi opiekę medyczną powinien był sprawować felczer i dwie pielęgniarki. Deportowanym miał przysługiwać raz dziennie gorący posiłek, do tego 80 dekagramów chleba na osobę. Taka była teoria.

Pasażerowie załadowani do wagonów towarowych musieli załatwiać potrzeby fizjologiczne. Ubikację zastępowała lejowato zwinięta blacha wpuszczona w dziurę wyciętą w podłodze wagonu przy drzwiach, które się nie otwierały. Miejsce to było niczym nieoddzielone od reszty wagonu. Ktoś pomysłowo zasłonił je rozwieszonym prześcieradłem tak, że załatwianie potrzeb fizjologicznych było mniej krępujące. Jednak specyficzny zapach unosił się wokół tego miejsca i na to nie było rady. W dniu 15 kwietnia nasz transport minął Tarnopol, a po południu był na granicy w Podwołoczyskach. Tu urządzono nam dłuższy postój. Przy torach zebrało się sporo ludzi, którzy byli zorientowani, jaki to transport. Wrzucali nam przez okienko bochenki chleba, o ile mieli sposobność. Pozdrawiali nas, machając rękoma, i płakali.

Jakiś mężczyzna wydostał się z wagonu i uciekał biegiem w pola, które rozciągały się po przeciwnej stronie wagonów niż stali ludzie. Niedługo cieszył się wolnością. Samotnie biegnącego zauważyli strażnicy (pociąg był konwojowany przez żołnierzy). Jeden z nich puścił się za nim w pogoń. Ponieważ ciężko mu było biec w butach z cholewami, usiadł na polu i zdjął je. Uciekiniera dopadł na bosaka. Sprowadził go z powrotem do wagonu. A tak wszyscy chcieli, by ta ucieczka powiodła się.

W dniu 16 kwietnia byliśmy już w Kijowie, gdzie znowu mieliśmy dłuższy postój. W nocy po raz pierwszy otrzymaliśmy gorący posiłek. Żołnierz otworzył wagon, wezwał dwóch mężczyzn z dwoma wiadrami. Dobrze, że znalazły się w naszym wago-



Helena Nuckowska wśród koleżanek z klasy IIIb gimnazjum ss. Nazaretanek. Druga od lewej siedząca najniżej. Lwów 1937 rok

nie wiadra. Okazało się, że restauracja dworcowa przygotowała posiłek. Była to zupa, a mianowicie *szczy* z kawałkiem chleba. W innych miejscach była to przegotowana, gorąca woda z kawałkiem chleba i cukru. Gorącą zupę otrzymywaliśmy w przyszłości kilkakrotnie. Dopiero 17 kwietnia, w środę rano, opuściliśmy Kijów, 18 kwietnia minęliśmy Kursk i Woroneż, 19 kwietnia Miczurińsk, 20 kwietnia Saratow. Miasto tonęło w powodzi świąteł. W nocy przejeżdżaliśmy most na Woldze. W dniu 21 kwietnia dotarliśmy do Uralska i przekroczyliśmy granicę między Europą i Azją. Była to kolejna niedziela. W europejskiej części Rosji było zimno. Jeszcze zima całkiem nie minęła. Tu i ówdzie leżały resztki śniegu. Widywani ludzie, przeważnie robotnicy kolejowi, ubrani byli w watowane spodnie i kurtki. Nosili ciepłe czapy. Ubrania te były ciemne, szare, wyszmelcowane jak świat, w który byli jakby wtopieni ludzie je noszący. W dniu 22 kwietnia osiągnęliśmy Aktiubińsk, 23 kwietnia, we wtorek, towarzyszył nam krajobraz górski. Przekraczaliśmy pasmo Mugodzhar. Następnego dnia jechaliśmy przez pustynny step, minęliśmy Jezioro Aralskie. W dniu 25 kwietnia dojechaliśmy do stacji Kyzł-Orda i tu zafundowano nam kolejny dłuższy postój.

Okolica była stepowo-pustynna. Pozwolono nam wyjść z wagonów. Mogliśmy rozejrzeć się, kto jedzie w innych wagonach. Spotkałam moje koleżanki z Prywatnego Żeńskiego Gimnazjum Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu nr 638 z ul. Unii Lubelskiej 9: Dankę Skringerówną, Dankę Kaliszczak i Alę Bober, a także Krysię Stecyszyn, z którą wraz z Marychną chodziłyśmy od 1938 roku do II

Państwowego Liceum Pedagogicznego na ul. Sakramentek 7. Z Alą Bober chodziłyśmy zarówno do gimnazjum Nazaretanek, jak i do II Liceum Pedagogicznego<sup>1</sup>.

Konwojenci naszego transportu zmuszeni byli zatrzymać się w tym miejscu, by pogrzebać osoby, które zmarły w czasie dotychczasowej podróży. Wśród nich była matka mojej koleżanki Krysi Stecyszyn. Pani Stecyszynowa była sparaliżowana, wzięto ją z domu na fotelu. Krysia została sama w drodze do niewiadomego.

Jedni mówili, że jedziemy do jakiegoś miasta, by tam pracować i spotkać się z naszymi bliskimi, których wcześniej aresztowano i wywieziono w głąb Rosji. Inni przewidywali najgorsze – dowodzili, że wiozą nas jak zesłańców na Sybir. My jednak z panią Marylką, przy pomocy kieszonkowego atlasu, który wzięła ze sobą, śledziłyśmy dotychczasowy kierunek jazdy i wywnioskowałyśmy, że nie zmierzamy na Sybir. Kierowaliśmy się na południe. Robiło się coraz cieplej. W naszym wagonie coraz bardziej śmierdziało, także z powodu kur, które wiozła pani Mazurczakowa.

Byliśmy niemyci przez tyle dni. Kubek wody przeznaczony na herbatę, a zużyty do mycia, niewiele załatwiał. Pojawiły się, niestety, wszy. Odczułam to na własnej skórze. Dostałam dziwnej wysypki – jak od oparzenia pokrzywą. Moja Mama poradziła mi przeszukać osobistą bieliznę. No i znalazła się sprawczyni. Jadący z nami ludzie, oczywiście niektórzy, musieli być zaniedbani już w swoich własnych domach. A był to dopiero początek wojny. Nigdy dotąd nie widziałam wszy bytującej w odzieży.

W dniu 26 kwietnia zobaczyliśmy wysokie góry. Minęliśmy stację Czymkent. Następnego dnia została za nami stacja Ługowoj. I znów góry. Do Ałma Aty dojechaliśmy 28 kwietnia, w niedzielę. Poprawił nasze samopoczucie widok Ałma Aty, leżącej wśród zielonych drzew oświetlonych słońcem, kojąca wydała się biel jej budynków i wznoszącego się nad nią niemal do pięciu tysięcy metrów ośnieżonego Ałatau Zailijskiego, stanowiącego część Tienszanu.

Obok naszego transportu przez chwilę stał pociąg relacji Ałma Ata – Moskwa. Jakiś jadący nim cywil, ogorzały i dość sympatyczny z wyglądu, usiłował nawiązać z nami rozmowę, podrzucił nam kilka garści suszonych daktyli. W dniu 29 kwietnia jechaliśmy obok jeziora Bałchasz, i dalej na północ. W ciągu dnia notowałam miejscowości, przez które przejeżdżaliśmy. W nocy trzeba było spać. Następnego dnia, tj. 30 kwietnia (był to wtorek) nasz transport po siedemnastodniowej podróży zatrzymał się na stacji Ajaguz. Rozeszła się wiadomość, że dojechaliśmy do miejsca przeznaczenia. Postanowiliśmy pakować się, póki jeszcze było widno. Była godz. 19.00, gdy zauważyliśmy podjeżdżające do wagonów ciężarówki. Rozpoczął się rozładunek przybyłego do celu składu. Nie tak szybko jednak przyszła kolej na

<sup>1</sup> Ala w ramach wychodzącej w Kolbuszowej serii *Varia Kolbuszowskie* opublikowała w roku 2005 swoje wspomnienia z lat 1940–1944 pod tytułem *Życie autorem*. Doszłam do przekonania, że może ciekawe byłoby włączenie (za zgodą Ali) w niektórych miejscach mojej relacji tych fragmentów jej opowieści, które obrazują jej spojrzenie na przebieg naszej wymuszonej podróży do Kazachstanu, fragmentów opisujących wydarzenia od momentu wpakowania jej wraz z jej rodziną do trzydziestego ósmego wagonu, należącego do pięćdziesięcioosmowagonowego składu, który miał z nami wyruszyć na wschód.

nasz wagon. Minęła noc. Z naszych obserwacji wynikało, że połowę transportu już gdzieś wyekspediowano. Następnej nocy ciężarówki podjechały pod nasz wagon. Zaczęłyśmy ładować nasze toboły na jedną z nich, gdy stała się rzecz nieoczekiwana. Żołnierz, który dyrygował załadunkiem, nie pozwolił naszej rodzinie wejść na samochód łącznie z naszymi rzeczami. Janeczka z Lalą zostały przydzielone do innego samochodu. Nic nie pomogły nasze tłumaczenia, gesty, że jesteśmy jedną rodziną. Przeżyłyśmy wielką trwogę, że zostałyśmy rozdzielone. Przewidywałyśmy najgorsze. Bałyśmy się, że zawiozą nas do oddalonych od siebie miejscowości i nie zobaczymy się nigdy. Rozpaczaliśmy całą drogę. Z nami jechało jeszcze kilka osób. Jechaliśmy przez całą noc. Rano dojechaliśmy do jakiegoś osiedla. Już z daleka białe ściany domów rozświetlone przez wschodzące słońce. Tu i ówdzie strzelały w niebo wysokie drzewa. Był to Łaj-Bułak<sup>2</sup>. Tu spotkałyśmy się z Janeczką i Lalą. Zaczynał się ciepły i słoneczny dzień – środa, 1 maja 1940 roku<sup>3</sup>.

## SOWCHOZ TAS-BUŁAK

Łaj-Bułak był 2. fermą należącą do sowchozu Tas-Bułak (o osadzie Tas-Bułak mówiono też, posługując się określeniem „centralna osada” czy też „centralna ferma”, ponieważ na jej terenie znajdowało się centrum administracyjne sowchozu). Łaj-Bułak leżał na równinie pokrytej skąpą roślinnością. Od strony północnej, w oddali, ciągnął się łańcuch gór należących do pasma Tarbagataj. Ferma składała się z ośmiu dużych obielonych domów krytych blachą malowaną na bordowo. Obok nich, porozrzucane i jakby przycupnięte do ziemi, straszyły swoim wyglądem lepianki. Poza tym były długie budynki gospodarcze, na które składały się owczarnie i magazyny, również wzniesione z gliny.

W jednym z większych domów mieściła się świetlica, w której rozlokowano przywiezionych Polaków. Byliśmy nie lada widowiskiem dla miejscowej ludności,

<sup>2</sup> Po kazachsku: Kozi klucz. Na znaku drogowym wskazującym kierunek przy szosie Ajaguz – Urdżar napis w 2003 roku miał dwojaką postać: wyżej ЛАЙ БУЛАК i niżej LAY-BULAK.

<sup>3</sup> Relacja Ali Bober (s. 15): „Po dziewiętnastu dniach pociąg zatrzymał się na stacji Ajaguz, nad rzeką. Wydano nam żywność, okropną kaszę i wodę; trzy butelki wody na wagon. Postój trwał długo. Przed wieczorem konwojenci zdejmowali sztaby, rozsuwali drzwi i pod przewodnictwem oficera NKWD sprawdzali zesłańców. Nazajutrz kazachskie furmanki, zaprzęgnięte w woły, zbiorą bagaże, głównie pasażerów z części tylnej pociągu, który liczył pięćdziesiąt osiem wagonów. Ten długi pociąg ciągnęła jedna lokomotywa z przodu, a pchała inna; z tyłu. Coraz więcej zesłańców opuszczało stację. Było późno, gdy po nas przyjechał samochód ciężarowy. Po paru godzinach znaleźliśmy się w jednej z ferm sowchozu Tas Bułak; nazywała się Łaj Bułak. Noc spędzimy pod gwiazdami, przy tobołach, wśród tubylców, którzy gromadzili się, aby nas obejrzeć. Świątowali już 1 maja i nie było mowy o żadnym spaniu. Rankiem zjechały podwoły, załadowano bagaże i ruszyliśmy – sto osób – do fermy centralnej, pożegnawszy zostawionych”.



przeważnie skośnookich, mających ciemną karnację i wystające kości policzkowe Kazachów. Ich kobiety miały białe, płócienne ubrania z długimi rękawami. Starsze na głowach miały zawoje z białego płótna. Młodsze ubrane były inaczej – w kolorowe długie spódnice, jasne bluzki z długimi rękawami, na bluzki miały założone kolorowe serdaczki. Mężczyźni mieli na sobie spodnie, często drelichowe, białe płócienne koszule, drelichowe bluzy, a na głowach nosili małe, okrągłe piuski. W przypadku chłopców to nakrycie głowy było przyozdobione kolorowymi, naszytymi na obwodzie tasiemkami. Włosy dziewcząt były splecione w kilkanaście warkoczyków. Małym dzieciom na czapczkach i bluzkach czy serdaczkach ponaszowano nieduże monety.

By nas obejrzyć, starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni wraz z małymi dziećmi, zgromadzili się przy wejściu do budynku, w którym nas kwaterowano. Chcieli z nami rozmawiać. Gestykulowali, dużo mówili. Niewiele jednak byliśmy w stanie zrozumieć. Mieliśmy wrażenie, że szczególnie mężczyźni są do siebie tak podobni, że nie ma możliwości ich rozróżnienia.

Gospodarze Łaj-Bułaku postarali się o posiłek dla nas. Każdy zgłaszający się ze swoim naczyniem do kuchni, otrzymywał porcję baraniego, gotowanego mięsa w rosole z makaronem. Rosół na baraninie miał specyficzny smak i zapach, mimo to był z zapałem zjadany. Głód był silniejszy niż upodobania czy przyzwyczajenia smakowe. Odpoczywaliśmy w owej świetlicy chyba jeden dzień. Tak więc w czwartek 2 maja po południu kazano nam szykować się do dalszej drogi. Tym razem środkiem transportu były wozy, a siłą pociągową woły. Pierwszy raz w życiu widziałam takie zaprzęgi. Najważniejszą częścią zaprzęgu było jarzmo, które zakładano bykowi na głowę. Z wozem łączył je dyszel. Lejc nie używano. Woźnica pokrzykiwał *cob, cebe*, co oznaczało komendę do zwrotu w prawo lub w lewo. Poświstując przez zęby, strzelał on z długiego, starannie plecionego rzemiennego biczyska, osadzonego na krótkim drewnianym uchwycie. Nie lada sztuką było kierowanie wolim zaprzęgiem w warunkach górskich, gdy droga biegła raz pod górę, to znów stromo w dół.

Nasze rzeczy załadowałyśmy na dwa wozy i same usadowiłyśmy się na wierzchu. Karawana składała się z kilkunastu wozów. Słońce miało się już ku zachodowi. Wyjechaliśmy z fermy polną drogą w kierunku gór. Po jakimś czasie dotarliśmy do rzeczki przecinającej drogę. Na rzeczce był mostek, z którego Kazachowie nie skorzystali. Woleli przejeżdżać przez wodę. Nie wiem, czy nie mieli zaufania do mostka, czy woły przyzwyczajone były raczej do pokonywania przeszkód wodnych wpław, czy może dlatego, że robiło się już ciemno i wskazany był pośpiech. Gdy Kazachowie nieoczekiwanie skierowali wozy wprost do rzeki, ludzie, którzy szli pieszo przy wozach znajdujących się na przedzie, wskakiwali, wdrapywali się na nie w pośpiechu. Ci, którzy szli przy dalszych wozach, widząc, że rzeczka nie jest w istocie głęboka, zdejmowali buty i przekraczali rzeczkę, brodząc w zimnawej wodzie na bosaka. Wreszcie nastąpiła przeprawa przez pasmo gór. Niejeden raz miałyśmy serce w gardle ze strachu, wtedy mianowicie, gdy ostro zjeżdżaliśmy w dół ze sporej zwy-

kle pochyłości. Woźnice jednak umieli sobie radzić. Dzikim pokrzykiwaniem zmuszali zwierzęta do wysiłku, gdy droga wspinała się do góry. Słońce już zaszło, gdy wjechaliśmy na jakiś płaskowyż. Tu Kazachowie uwolnili woły z uprzęży i pozwolili paść się im w gęstej i soczystej w owym miejscu trawie. Sami legli na ziemi i wnet posnęli. Robiło się coraz zimniej. Oni ciepło ubrani w watowane ubrania i ciepłe czapy nie odczuwali chłodu nastającej nocy. My musiałyśmy szukać w naszych rzeczach ciepłych okryć. Nikt prawie nie spał. Dreptaliśmy w miejscu, łącząc się w grupki i rozmawiając, w oczekiwaniu na dalszy bieg zdarzeń. Tematem rozmów był naturalnie nasz dalszy niepewny los.

Gdy zaczęło świtać, Kazachowie odszukali puszczone wolno zwierzęta, zaprzęgli je do wozów i pojechaliśmy dalej. Byliśmy wszyscy bardzo zmęczeni. My z Mamą siedziałyśmy na wozach i drzemałyśmy. Oczy zamykały się nam same, jednocześnie chciałyśmy widzieć i wiedzieć, co się dookoła dzieje. Droga na tej równinie zaznaczała się dość wyraźnie, ponieważ nie porastały jej trawy, a przynajmniej w miejscach, gdzie ziemię ugniatały koła i zwierzęce kopyta. Nie było w pobliżu żadnych drzew ani krzewów. Było płasko i pusto.

Na horyzoncie, daleko przed nami, rysowały się jak we mgle góry. Także z lewej i prawej strony, choć odległość była mniejsza, widoczne były większe wzniesienia. Jechaliśmy dość długo, gdy w pewnym momencie przed nami rozpostarła się dolina. Na jej dnie ujrzałyśmy sporej wielkości osadę. Wielce ryzykowny wydawał się nam zjazd do osady z miejsca, w którym byliśmy. Oczywiście zeszyliśmy z wozów i z trudem radziłyśmy sobie z pochyłością. Woły umiały hamować. Ustawiały się prawie prostopadle do dyszła, przysiadając prawie na tylnych nogach. Wtedy Kazachowie podkładali kamienie pod koła i sprowadzali zwierzęta do prawidłowej pozycji. W przeciwnym wypadku żelazne pręty przy jarzmach, tzw. *zanoski*, mogły wyskoczyć i uwolnić woły, a wóz stoczyłby się i rozbiłby się zapewne gdzieś niżej w drobny mak. Bardzo denerwujący był ten zjazd w dół, ale jednocześnie był to pokaz opanowania przez woźniców sztuki kierowania pojazdami i zwierzętami w tak prymitywnych warunkach. Kazachowie wyładowali tu całą swoją energię: krzyczeli, gwizdali, spluwali, strzelali z biczów, biegali wokoło wozu, by panować nad sytuacją. Odetchnęliśmy, gdy wozy zajechały przed długi budynek z wieloma oknami i centralnie umieszczonym wejściem. Okazało się, że jest to klub, w którym mamy się zatrzymać. Nie wiedziałyśmy, czy na stałe, czy tylko na okres przejściowy<sup>4</sup>. Zastałyśmy w klubie już wiele polskich rodzin przywiezionych tu dzień czy dwa wcześniej. Pomieszczenie było bardzo duże, miało drewnianą podłogę i scenę. Przyniosłyśmy nasze toboły i poskładałyśmy na jeszcze niezajętym

<sup>4</sup> Relacja A. Bober (s. 15-16): „W odległym o dwadzieścia kilometrów [od Łaj-Bułaku] Segizbaju [kazachska nazwa Tas-Bułaku] trafiamy do klubu. Izba posiadała stół, dwie ławki, scenę. Zajmowaliśmy miejsca pokotem, nam udało się szczęśliwie, bo przy ścianie. Urządzono dla Polaków kąpiel w łaźni, zresztą jedyny raz. Na poczcie podano nam adres: Sowchoz Tas Bułak, Centrala, rejon Urdżar, okręg Semipałatyńsk. Pozwolono pisywać, nawet depeszować do Lwowa, z czego liczni korzystali [...]. Małe osiedle przypominało wieś ulicówkę, z niby placem pomiędzy klubem a pocztą, za którą przycupnęła łaźnia. Daleko na północy widać było – pasmo gór Tarbagataj”.

miejscu, tj. pod oknem, nieopodal drzwi. Dobrze, że wzięliśmy z domu materace, które służyły nam jako wspaniałe legowisko. Prócz tego miałyśmy dwie pierzyny i poduszki oraz kołdrę<sup>5</sup>.

Jak się okazało, byliśmy w sercu sowchozu Tas-Bułak. Tu były biura, poczta, telefon, telegraf, sklep, piekarnia, szpital, warsztaty naprawcze parku maszynowego, magazyn zbożowy, szkoła podstawowa, koniusznia, kilka owczarni, prócz tego wiele lepierek kazachskich i kilka dużych *kazionnych* (państwowych) domów. Teraz byliśmy zdane na siebie, jeśli chodzi o wyżywienie. Jak kto mógł, tak się żywił.

Niejedni mieli pieniądze i kupowali niektóre artykuły żywnościowe w sklepie, a niektóre od Kazachów czy ruskich (bo niewielka ilość Rosjan też tu mieszkała). Przeważnie było to mleko i jaja. Inni, jak my, mieli jeszcze trochę żywności z domu i z niej korzystali. W klubie nie było kuchni. Musiałyśmy nawiązać kontakt z miejscowymi ludźmi, by uzyskać dostęp do ich kuchni. Pierwsza pani Marylka zawarła znajomość z żoną naczelnika poczty, Rosjanką<sup>6</sup>. Budynek pocztowy stał naprzeciw klubu<sup>7</sup>. My też gotowałyśmy u naczelnikowej raz na dzień zazwyczaj zupę z kaszy i fasoli. Muszę przyznać, że Rosjanki, a wśród nich „nasza” naczelnikowa, były do nas dość przychylnie ustosunkowane i raczej nam współczuły. Pamiętam, że zaprosiła nas do siebie inna Rosjanka, może pięćdziesięcioletnia. Prosiła byśmy jej ofiarowały medalik lub inną tego rodzaju rzecz, że nie chce jej darmo. Zapłaci, ile trzeba. Miałyśmy akurat taki medalik, który mogłyśmy jej dać. Gdyśmy do niej przyszły z tym medalikiem z wizerunkiem Matki Bożej, opowiedziała, że przygotowała się do naszej wizyty i przekazania daru jak do uroczystości: wykapała się, włożyła czystą bieliznę i ubranie, uważając, że wydarzenie ma charakter świąteczny.

<sup>5</sup> Relacja A. Bober (s. 16): „«Śliczna gwiazdo miasta Lwowa, Maryjo!», «Zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy!». Te pieśni miałam nadal w uszach oprócz uporczywego stukotu pociągu, zanim usnęłam na podłodze, pomiędzy cicią i mamą. Tato odgradzał mamę od innych. Pokotem zaś cisnęły się Nuckowskie, Marysia i Helenka, moje koleżanki najpierw z gimnazjum nazaretanek, a potem liceum pedagogicznego; tuż obok ich matka z młodszymi córkami, Janką i Lucią. Dalej legowiska rodzin policjantów. Cesia Szakalska, którą opiekowali się Dudkowie, Jaś i Miła, studenci medycy, ich brat, Kazik, szesnastolatek; aresztowani przy łożu konającego rodzica. Sąsiadowali z panią Bokotową, jej synami i z babcią.

Inne osoby rozpoznawało się w kolejności. Pani Nowakowa Anna z Dziunią sześciioletnią i młodszym Jerzykiem. Samotne panie: Korzeniewska, Jaworska, Białkowska, Ostrowska, pani Nowakowa starsza z Daną w moim wieku, Kazikiem i jedenastoletnią Ireną. Dalej pani Schmalowa z Lalą i Marysią, Grześ Bader z matką, pani Kasprzak z Ludwikiem. Rodziny: Espenhanów, Baczyńskich, Czupkiewiczów, Stadnickich. Kilka rodzin żydowskich z drobnymi dziećmi. A potem stadła Tabaczyńskich, Wojciechowskich, Goryluków, Rogala, Mańkowska z pięciorgiem drobiazgu, Sochaccy, Łabęccy. I cała rzesza na środku: Marchutowie, Kijanowskie, Lubuśkowie”.

<sup>6</sup> Wg A. Bober (*Życie autorem*, s. 20): naczelnikiem poczty był niejaki Mielnikow, zaś listonoszem był Misza.

<sup>7</sup> Relacja A. Bober (*Życie autorem*, s. 17): „W klubie odwiedzali nas tubylcy, starając się dogadać po rosyjsku i po kazachsku, albo na migi. Wszystkiego dotykali, łącznie z odzieżą na nas, cmokając z podziwem. Pani Nuckowska wskazała mamie Rosjankę, z którą uzgodniła dostawę mleka; ta również obiecała nam litr dziennie”.

W klubie mieszkaliśmy do 9 maja. Tu odwiedzały nas całe procesje tubylczej ludności. Mała sowchozowa poczta stała się teraz centrum naszych zainteresowań. Polacy wysyłali dużo listów i telegramów do swoich bliskich, którzy zostali w Polsce, dużo też przesyłek otrzymywali. Na pewno nigdy nie było przepływu takiej ilości korespondencji i innych usług pocztowych, jak wówczas, gdy przywieziono tu Polaków.

Do klubu trafili Polacy z innych wagonów. Wśród nich starszankowie, ludzie młodzi, dzieci, bogaci i biedni. Obiło mi się o uszy nazwisko Baderów, właściciele wielu sklepów we Lwowie. Dwoje ich, matka z synem, reprezentowało tę rodzinę. Otrzymywali bardzo dużo paczek.

Jacyś kazachscy urzędnicy ciągle nas spisywali, pytali o zawód i specjalność.

W dniu 9 maja znów pod klub podjechały podwozy, czyli znane nam zaprzęgi wole, by zawieźć nas jeszcze dalej na północ, do Dżyłdykary, czyli 1. fermy, oddalonej osiem kilometrów od centralnej osady<sup>8</sup>. Wprawdzie na oficjalnych radzieckich mapach widnieje nazwa Żiłdykara lub Żełdykara, ja pozostanę przy nazwie, która powszechnie używana była przez miejscowych, no i naturalnie przez nas.

## DŻYŁDYKARA

Do Dżyłdykary droga wiodła wśród stepu, który pięknie zielenił się wiosną 1940 roku. Trawy były soczyste. Od Tas-Bułaku zjeżdżało się z góry. Przywitały nas cza-bańskie psy. Centralnymi obiektami w Dżyłdykarze były kuźnia, koniusznia, biuro zwane kantorem, magazyn gospodarczy, sklepik i dwa wysokie, pobielane *kazionne* domy. Jeden z nich miał dach w całości kryty blachą, na drugim brakowało części pokrycia dachowego. Widocznie zabrakło inwestorom blachy, bo nic nie wskazywało na to, że budowa była jeszcze w toku.

Fermę okalał strumyk. Podwieziono nas przed lepiankę, zdjęliśmy z wozu rzeczy i zaczęliśmy wnosić je do wnętrza. Zobaczyliśmy niewielką izbę z małym okienkiem. Sufit tworzyły pręty gałęzi.

Lepianki budowane były z tzw. *samanu*, tj. dużych cegieł sformowanych z gliny zmieszanej ze słomą i łajnem zwierzęcym, suszonej na słońcu. Dach kryty był *talem*, tj. gałęziami, na które nakładano grubą warstwę gliny mieszanej ze słomą i łajnem. Co roku dachy tego typu budynków, również owczarni, trzeba było latem

<sup>8</sup> Relacja A. Bober (s. 17): „W klubie udostępniono kuchenkę. Paliło się w niej gałęzmi z krzewów, rosnących trzy kilometry za osiedlem. Pozwolono je łamać. Karczowanie było niedozwolone. Wiązało się chrust sznurkiem i dźwigało na plecach, ile kto uniósł. A potem w kuchence każdy chciał własny opał oszczędzić, a do cudzego dołączyć swój garnek. Mama przeżywała inną biedę. Dotychczas pożyczła garnek od pani Nuckowskiej, z którą się przyjaźniła. Teraz – po przeniesieniu Nuckowskiej z kilkoma rodzinami na pierwszą fermę – musiała pożyczać od innych pań, co ją kępowało”.

pokrywać nową warstwą osobliwie dla nas na początku wyglądającej mieszanki, bowiem śnieg, deszcze, odwilże rozmywały częściowo glinianą strukturę tych dachów. W lepiance tej poza zrujnowanym piecem nie było niczego. Prawdę mówiąc, nie był to piec, ale ulepione na ziemi (bo podłogi nie było) palenisko podłączone do komina.

Z nami przyjechała też pani generałowa Baczyńska z dwiema córkami, Marylką i Zosią, które były starsze od nas. Sytuacja wydawała się tragiczna. Tylko usiąść, płakać i rwać włosy z głowy. Pani Baczyńska usadowiła swoje córki na walizkach, okryła je pledami, bo było chłodno, i biadoliła. Wyglądała na osobę na duchu kompletnie załamana.

Nasza Mama, rozejrzawszy się po otoczeniu, postanowiła rozpocząć przystosowywanie otrzymanej kwatery do użytku. Powiedziała, że musi od nowa ulepić palenisko, że czynność ta nie wymaga jakiejś precyzji. Obok lepianki znalazła glinę, rozrobiła z wodą. My wokół szukałyśmy kamieni. Wtykając kamienie w glinę, Mama zrekonstruowała palenisko. Nie było jedynie żelaznej płyty do przykrycia paleniska. Kazachowie w takie palenisko wbudowywali kocioł, który im służył do gotowania mięsa, zupy, mleka, a nawet mycia głowy. Nie miałyśmy takiego kotła. Poszłam wówczas do „centrum”. Koło kuźni stały pod gołym niebem jakieś rolnicze maszyny. Zauważyłam kawał blachy. Bez pytania kogokolwiek o zgodę wzięłam go i Mama dostała materiał na pokrycie kuchni. We czwórkę wyruszyliśmy w przylegający do lepianki step, by nazbierać jakiegoś materiału opałowego. W pobliżu nie było żadnych krzewów. Sterczały jedynie mało obiecująco dość wysokie kępy zeszłorocznej, zeschniętej trawy. Twarda była na tyle, że ścinałyśmy ją nożami. Dużo tej trawy trzeba było do ugotowania zupy. Starczyło jej wtedy na poczęstowanie pań Baczyńskich. W tej lepiance odwiedziła nas młoda dziewczyna – Polka, która obok pasła barany. Wyglądała trochę groteskowo. Ubrana była mianowicie w elegancki płaszcz z lisem pod szyją. Była dobrej myśli. Uważała, że wybrała zajęcie najlepsze z możliwych. Była to Irena Dobrzańska. Potem przyszedł trzynastoletni chłopak, też Polak – Fredek Lubuško. Opowiadał, że pracuje w polu.

Nazajutrz przybiegł do nas jakiś Kazach w asyście dwóch innych. Cała trójka była bardzo wielomówna: mówili, krzyczeli, pokazywali na blachę pokrywającą naszą kuchnię. Wyglądało na to, że blacha jest niezbędna do czegoś znacznie ważniejszego niż nasze palenisko. Po dłuższym występie słownym Kazach bez ceremonii wyrwał blachę, obdarzając nas wspomnieniami po kuchni. W tym czasie już przyswoiłam sobie kilka niezbędnych słów kazachskich. Bez namysłu ruszyłam w ślad za najeżdźcą, energicznie tłumacząc mu słowem i ciałem, że *pieczka* jest nam niezwykle potrzebna. No i odniosłam sukces. Rozsierdzony Kazach złagodniał i wyszukał wśród dostępnego mu złomu kawałek innej zardzewiałej i dziurawej blachy, która musiała zastąpić tę nam zabraną.

Zielone Świątki, przypadające w 1940 roku na 12 maja, spędziłyśmy w jako tako urządzonej lepiance.

W dniu 15 maja 1940 roku, w środę, zostałyśmy przeniesione do nowej kwatery w dużym domu. Mieszkałyśmy w nowym miejscu razem z panią Ciupakową i jej



dwójką dzieci, z trzyosobową rodziną państwa Antonowów. Panie Baczyńskie za wszelką cenę chciały wrócić do Tas-Bułaku, w którym była poczta, była łączność ze światem, i wywalczyły sobie tę zmianę miejsca.

Jeśli ktoś miał w Polsce bliską, zamożną rodzinę i mógł liczyć na pieniądze oraz paczki, nie ginął z głodu ani chłodu, mimo że nie pracował.

W pierwszych dniach pobytu, gdy widziałyśmy coraz wyraźniej, że kończy się nam jedzenie, wysłałyśmy pierwsze listy do naszej rodziny z prośbą o wsparcie pieniężne, względnie paczki żywnościowe, do cioci Dzielendziakowej, do wuja Michała, do stryja Marcina. Zwróciliśmy się też do państwa Matwijów, do ks. Tomaszewskiego. We Lwowie siedlisko Matwijów znajdowało się nieopodal naszego domu. Pan Matwij pracował w przedsiębiorstwie zaopatrującym miasto w wodę. Po jakimś czasie otrzymałyśmy pieniądze od rodziny, a także od księdza Tomaszewskiego. Przyszły również paczki. Jak się dowiedziałyśmy później, wysyłający paczki do Związku Sowieckiego mieli wielkie kłopoty, bo na wysyłkę trzeba było mieć ponoć zezwolenie radzieckiej władzy. Poza tym przyjmowała je tylko jedna poczta przy wschodniej granicy Polski.

Pisałam też do koleżanek: do Oli Dietzius, Danki Pachulicz, Marysi Chmiel. Z Olą i Danką byłyśmy uczennicami w tej samej klasie gimnazjum. One kontaktowały się z naszymi nauczycielkami. W dniu 22 maja 1941 roku napisała do nas jedna z nauczycielek, polonistka, doktor Jadwiga Jarzębińska. Wspólnie z Danką Pachulicz wysłała nam jeszcze w marcu paczkę, w której między innymi był tran. Doktor Jarzębińska dowiedziała się od Danki, że Marychna, czyli moja starsza siostra, ma z powodu awitaminozy bardzo osłabiony wzrok, że o zmroku nie widzi, że ma po prostu kurzą ślepotę. Tran był dobrym środkiem na tego rodzaju kłopoty. Prawdę mówiąc, gdy wspominam tu o liście towarzyszącym tranowi, wybiegłam w przyszłość, zaburzając nieco chronologię.

Na sobotę 18 maja 1940 roku wyznaczyłyśmy wyprawę do kołchozu Nowotroickoje. Wyruszyłyśmy pod przewodnictwem pani Marylki Antonowny. W Nowotroickoje mieścił się *sielsowiet*, czyli wiejska rada, do której terytorialnie należał sowchoz Tas-Bułak. Nowotroickoje od Tas-Bułaku dzieliło pasmo gór. Mieszkańcami kołchozu byli Rosjanie, niewielu stosunkowo Kazachów, a także Bułgarów, którzy pochodzili z Besarabii. Jakoś nie zainteresowałyśmy się, jakim sposobem znaleźli się oni w Kazachstanie. Pracownicy kołchozu mogli mieć ograniczoną ilość owiec, krowę, świnie i działkę przyzagrodową. Za przepracowane na rzecz kołchozu dniówki otrzymywali ekwiwalent w naturze w zależności od urodzaju (po odliczeniu ilości należnej państwu), tzn. mąkę, mięso, wełnę itp. Można było od kołchoźników kupić lub wymienić posiadane przez nas rzeczy na produkty żywnościowe. Do pani Marylki dołączyło jeszcze kilka pań. Około trzydziestoletnia Marylka była młodą, wysportowaną osobą, w pełni sił i zdrowia, pełną pomysłów i inicjatywy. Jak opowiadała, urlopy i wszelkie dni świąteczne spędzała często w górach, w których była zakochana. Była zakochana w wycieczkach na łono natury. W owym czasie przekonała nas, że z busołą w ręku poprowadzi nas do Nowotroickoje przez góry,

1.  
 Proszę Marysiu: Dowiedziatam s. że pośrednic-  
 twem Danki o nabyciu Twojego wrochu; jest to  
 skutkiem braku witamin W tydzień warunkach naj-  
 lepszym, skłonię nam na to lekarstwo. Jest to olej,  
 który ci wosnie w zółci. miał. ma więcej pożytku.  
 Oczyszczenia ciała, iż przesunie niechaj do tego lekar-  
 stwa, jaka dłoń żywie <sup>(zgrzewanie)</sup> ~~nie~~ drzewi i sk.  
 latnia ze 2 razy dziennie w wieczornych porach  
 to zaryjes. Nadto <sup>in thymie</sup> ~~zobacz~~ witaminę A, które  
 1 raz na dzień po 5-6 kropek równocześnie  
 będzie przyjąć. z tranem może być podobnie  
 ze siostrą, bo to w Koryzie wstrząchał ścieł  
 przez nabycie i ledygu.

Rochania: Wiem o Koryzie brach i pracy przez  
 Dankę, z którą w marcu wystąpiły do was  
 prochy. Czy jwi właśnie doświada? Jak ty, mien-  
 cie obecnie moja Hoci? Najbardziej nie, na-  
 tliowa myśli. Nam a niewie powiem i niechaj  
 się z Was ciada, by Nam Bóg stał kły do

List nauczycielki języka polskiego, dr Jadwigi Jarzebińskiej, do Marii Nuckowskiej wysłany ze Lwowa do Kazachstanu 22 V 1941 roku. Karta recto

na przełaj. Wzięłyśmy sobie na drogę jakieś pożywienie i kilka rubli. Okazało się jednak, że przedsięwzięty przez nas marsz przełajowy miał być trudniejszy, niż to sobie wyobrażałyśmy. Zanim dostałyśmy się do gór, upłynęło sporo czasu. Góry

przemianom tego czasu próby i oświecenie Was ojezy-  
 iście i nam. Wtedy radzie i imażenie oświe-  
 Tam siły, ulwa, on. Bole tal, je palne  
 energii i zapoda vermiciecia się do budowania  
 nowego życia w ojezywie. Tamżeć takie usode-  
 takie byścieś zdrowe, spokojuca, zuchastowane  
 moralnie moene. To baczycia, je tal baczycia,  
 wieca, o to niwielwicenie, bole ten was  
 pnieć. Moie jwi niwielwicę. Pamięćcie  
 o słonie Krasickiego: Podłość ery psycha to  
 jednakić sunicie "kioze z brzyjor psycha  
 "lode drzyjorwiew". Niech Bóg ma Was  
 o swej opiece, teisham Ciabia i siowca  
 z wasz serce. Wasz Jozef biłk  
 22. V. 1941,

ВИШЕ ГОРИЧЕГО  
 РАСНИЦКА

List nauczycielki języka polskiego, dr Jadwigi Jarzębińskiej, do Marii Nuckowskiej wysłany ze Lwowa do Kazachstanu 22 V 1941 roku. Karta verso

porośnięte były krzewami. W dolinkach szumiały potoczki. Nie tak łatwo było prze-  
 dzierać się przez napotykaną często zarośla. Na którymś kolejnym szczycie spo-  
 tkaliśmy Kazacha pasącego owce. Wywiad z nim w sprawie dalszej marszruty nie

przysporzył obiecujących wskazówek. Nasz informator, wyraźnie zbulwersowany, łapał się za głowę, machał rękami, nie cofnął się wszakże przed pokazaniem nam kierunku. Wierchołków górskich piętrzących się przed nami było zbyt dużo. Po naradzie, której przewodniczyła pani Marylka, dałyśmy za wygraną. Postanowiłyśmy zawrócić i ponowić wyprawę, ale drogą uczęszczaną, choć na podstawie opowiadania świadomych rzeczy Rosjan wydawała się nam okrężna i wymagająca nader długiego marszu.

Na 1. fermie, w wysokim dużym domu z drewnianą podłogą, mieszkali tylko Polacy. W tej samej sieni, w kwaterze przechodniej, pani Patanowa z córką Lusią i synem Sewerynem oraz pani Zalewska z synową Janką. Dalej, za izbą przechodnią, pani Dobrzańska z córkami Alą i Ireną, a także pani Jaworska. Wejście do naszej kwatery było na wprost drzwi wejściowych do sieni i w zimie bardzo nam wiało. Z prawej strony sieni była jeszcze jedna pojedyncza kwatera, w której mieszkali państwo Lubuśkowie z trójką dzieci: Wandą, Adamem i Fredkiem. Pan Lubuśko pracował we Lwowie w Urzędzie Wojewódzkim. Młodzież była w wieku 12–16 lat. W następnej sieni rozkład mieszkań był podobny, z tym, że po lewej stronie nie było dwóch łączonych kwater, natomiast naprzeciw drzwi wejściowych była bardzo duża kwatera. Mieszkała w niej pani Różewiczowa, żona policjanta, z Krysią, maleńkim, kilkumiesięcznym niemowlęciem, pani Otrębska z trzema synami w wieku 8–12 lat, pani Nowakowa z dwójką dzieci: chłopcem i dziewczynką od 15 do 17 lat, pani Korzeniewska, samotna, pani Weisowa z córkami Stasią i Wandą oraz synem Tadeuszem. Kwaterę po prawej stronie sieni zajmowała pani Mazurowa z córkami Zosią, Weroniką i Marysią oraz synami Jankiem i Stasiem. Młodzież była starsza wiekiem od nas, z wyjątkiem Marysi. Kwaterę z lewej strony zajmowała pani Duszkiewiczowa z córką Janką, synami Kazikiem (14 lat) i Zbyszkiem (1,5 roku). Najstarszymi ludźmi w naszym otoczeniu byli państwo Antonowowie. Przypuszczam, że każde z nich miało ponad 60 lat, państwo Lubuśkowie mieli około 50 lat. W podobnym wieku były panie Patanowa i Zalewska. Nasza Mama była czterdziestoosmolatką<sup>9</sup>, moja starsza siostra Marysia, urodzona 25 marca 1921 roku, miała 19 lat, ja ukończyłam 17 lat (ur. 14 stycznia 1923), Janeczka 15 (ur. 24 października 1924), zaś Łucja, zwana przez nas Lalą, 9 lat (ur. 21 listopada 1930 roku). Byłyśmy w wieku szkolnym. Ja jako sześciolatka rozpoczęłam naukę w jednoklasowej szkole powszechnej im. abpa Józefa Bilczewskiego na Batorówce, nieopodal naszego miejsca zamieszkania. Po jej ukończeniu rodzice zapisali mnie do żeńskiej siedmioklasowej Publicznej Szkoły

---

<sup>9</sup> Wg świadectwa urodzenia i chrztu podpisanego przez Piotra Piętę, wystawionego 12 sierpnia 1919 w Lipnikach i opatrzonego okrągłą pieczęcią parafialną (na podstawie informacji zawartych w tomie 3, na stronie 87 i pod numerem kolejnym 13 księgi urodzonych i ochrzczonych), Mama (Julianna Maria, nazywana później Julią) urodziła się 20 maja 1893 roku w domu pod numerem 99 w Lipnikach, wsi leżącej w powiecie Mościska, ochrzczona 1 czerwca 1893 roku przez księdza Michała Konekę. Rodzicami Mamy byli Franciszek (syn Karola i Konstancji zd. Nuckowskiej) oraz Anna zd. Hano, córka Antoniego i Katarzyny zd. Stachurskiej. Jako chrestnych wymieniono Ludwika Kaczorowskiego, posiadacza ziemskiego i Marię, żonę Wojciecha Patryna, nauczyciela.



Powszechnej im. św. Anny nr 18 we Lwowie. Po ukończeniu szóstej klasy zdałam egzamin wstępny do mieszczącego się przy ulicy Unii Lubelskiej 9 wspomnianego już czteroletniego Prywatnego Żeńskiego Gimnazjum Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu. Gimnazjum to ukończyłam w roku 1938. Zostałam następnie przyjęta do II Państwowego Liceum Pedagogicznego. Wybuchła wojna. Byłam w drugiej klasie. W trakcie drugiego półrocza, po wycofaniu się Niemców, wkroczyli do Lwowa Sowieci. Rozpoczął się czas nowych porządków nowego okupanta. Przerwałam naukę.

Kazachskiemu kierownictwu fermy zależało na ludziach zdolnych do pracy, a tych było niewiele. My nie chciałyśmy pozwolić, by Mama była zmuszana do pracy na fermie. Wolałyśmy, by zajmowała się przygotowaniem posiłków dla nas, reperacją naszej odzieży, praniem itd. Nie pracowały też na fermie inne osoby: panie Patanowa, Zalewska, Dobrzańska, Zofia Lubuškowa, Antonowowa, Mazurowa, Weisowa. Ze względu na stan zdrowia nie mógł ciężko pracować pan Lubuško. Małe dzieci, które wymagały opieki, nie pozwalały pracować paniom Nowakowej i Ciupakowej.

W niedługim czasie za zgodą kierownika fermy wyjechały do Tas-Bułaku panie Nowakowa i Korzeniewska. Uważał on, że robotnicami one nie będą i nie będzie też miał z nich żadnego pożytku.

Z czasem nastąpił przymus pracy. *Uprawlajuszczy*, tj. kierownik fermy, Fiodor Dymitrowicz Papazow, mieszkający wcześniej w Nowotroickoje Bułgar, zebrał na podwórku wszystkich Polaków i miał do nich mowę w języku rosyjskim. Poradził mianowicie słuchającym, aby bez ociągania się brali się do pracy, bo do Polski powrotu już nie ma. Perorował, że trzeba o Polsce zapomnieć. Trzeba pobudować domy. Wskazywał, że miejsca i gliny jest dużo. Można uprawiać działkę, sadzić ziemniaki. Prawił, że nikt nie będzie Polaków niańczył, że należą oni już do państwa radzieckiego i państwowego gospodarstwa...: „Tu macie żyć, bo wasi ojcowie, mężowie, synowie zostali rozstrzelani” – wołał. Bardzo nas przygnębiła ta jego przemowa. Trudno ją było w naszej sytuacji bagatelizować. Wciąż jednak liczyliśmy na to, że Zachód upomni się o nas, że wrócimy, skąd przybyliśmy, i to jeszcze przed zimą, bo przecież Rosjanom nie może ująć bezkarnie takie bezprawie i taki ogrom szyskan za wydumane jakieś przestępstwa, karane w ramach odpowiedzialności zbiorowej. Dalszy bieg czasu pokazał, jak naiwne było takie myślenie.

Wśród kobiet jedne opowiadały sobie rano prorocze sny, inne wróżyły z kart. Zawsze jakąś dobrą nowinę miała pani Lubuškowa. Ludzie pocieszali się i oszukiwali, jak mogli. Byle mieć nadzieję.

Ala i Irena Dobrzańskie zaczęły paść owce. Traktowały swoje zajęcie raczej jako relaks. Z parasolkami chroniącymi od słońca, w barwnych sukienkach, na tle soczystej zieleni, wśród stada owiec wyglądały interesująco. Były o kilka lat starsze od nas. Kokieterią starały się polepszyć sobie los, co zresztą im się udawało. One pierwsze dały przykład, że się pracy nie boją.

Nam brakowało pieniędzy i jedzenia. Moja starsza siostra Marysia i ja wybrałyśmy się więc z panią Marylką do Nowotroickoje. Wzięłyśmy tym razem jakieś



rzeczy do zamiany. Wybór w naturalny sposób padł na te nasze ruchomości, które wydawały się mniej nam niezbędne. W przyszłości selekcja w takich wypadkach wyglądała identycznie. Za ubranie, obuwie, bieliznę, ręczniki lub obrusy starałyśmy się dostać przede wszystkim mąkę, ziemniaki, słoninę.

Droga do Nowotroickoje prowadziła w kierunku Tas-Bułaku. Nie dochodząc do niego, trzeba było skręcić na północ, w kierunku gór. Długi czas maszerowałyśmy przez góry, aż wreszcie ukazała się dolina, a w niej duża osada zabudowana samymi lepiankami. Dotarłyśmy do celu przed południem. Chodziłyśmy od chałupy do chałupy, pokazując, pytając, spodziewając się, że ktoś kupi przyniesione przez nas rzeczy. Budziłyśmy ogromne zainteresowanie tubylców. Kobiety chętnie oglądały nasz towar. Jednak gdy wymienialiśmy równoważnik wymiany, np. wiadro (tj. 8 kilogramów) mąki, wiadro ziemniaków, mówiły, że nie są zainteresowane transakcją. Chodzenie od jednej chałupy do drugiej zajmowało bardzo dużo czasu i było bardzo przykre. Modliłyśmy się w duchu, by wreszcie ktoś zechciał nasze dobra zamienić na żywność. Było już po południu, gdy znalazłyśmy wreszcie nabywcę i zdobyłyśmy upragnione artykuły żywnościowe. Pani Maryla szybciej niż my załatwiła swoją transakcję. Mąkę wsypałyśmy do płóciennego woreczka, by następnie włożyć go do dużego worka, a ten uzbroić tak sznurkami, by spełniał rolę plecaka. Ziemniaki również w ten sam sposób niosłyśmy na plecach. Najtrudniej było wydostać się z kołchozu i pokonać bardzo stromą ścieżkę wspinającą się na płaskowyż, który musiałyśmy minąć. Co chwilę przystawaliśmy, a ziemniaki wgniatały się nam niemiłosiernie w plecy. Pot spływał ciurkiem zewsząd. Brakowało tchu. Tymczasem słońce chyliło się ku zachodowi. Gdy pokonałyśmy stromiznę, było już lżej. Minęłyśmy góry, gdy słońce zupełnie zaszło i zrobiło się ciemno. Szczęśliwie nie zmyliłyśmy drogi. Znalazłyśmy się w pobliżu Tas-Bułaku. Znaczyło to, że pokonałyśmy około dziesięciu kilometrów. Do Dżyłdykary było jeszcze osiem kilometrów. Usiadłyśmy przy drodze w nadziei, że może trafi się jeszcze jakiś spóźniony wóz jadący w kierunku fermy. Odpoczęłyśmy trochę. W oddali zobaczyłyśmy światelko. Podeszłyśmy do niego, zbaczając z drogi w step. Rozpoznałyśmy w gęstniejącym mroku wóz bez zaprzęgu. Obok dogasało ognisko. W jego świetle zauważyłyśmy Kazacha, który przykryty jakąś derką drzemał na trawie pod wozem. Usiłowałyśmy go prosić, by zechciał nas zawieźć do Dżyłdykary. Kazach usiadł i okazało się, że jest nagi. Nasze przerażenie było tak wielkie, że przestałyśmy czuć zmęczenie, zniknął od dłuższego czasu dokuczający nam ból w nogach. Pośpiesznie, prawie biegiem, zaczęłyśmy się oddalać od tego miejsca w obawie, że roznegliżowany tubylec może nas gonić. Nie wiedziałyśmy, czy gdzieś w pobliżu nie ma więcej Kazachów, których by mógł wezwać do pościgu za nami. Panienki zupełnie nie były przygotowane do spotykania nagich Kazachów o zmierzchu, objuczone ponadto zdobyczą z Nowotroickoje.

Utrudzone, już w nocy, dotarłyśmy do fermy. Bałyśmy się, by nie zaatakowały nas *czabańskie* psy. Szczęśliwie przeszłyśmy obok kazachskich chałup i znalazłyśmy się wśród swoich, którzy z niepokojem nas oczekiwali. Rano nie mogłyśmy się ruszyć z legowiska. Taki był efekt chodzenia po górach bez odpowiedniego trenin-

gu i noszenia wielce niewygodnych ciężarów. Ból pochodzący od zmaltretowanych mięśni i ścięgien dokuczał nam przez kilka kolejnych dni.

Jeszcze wielokrotnie chodziliśmy do nowotroickiego kołchozu w różnych porach roku, również z naszą Mamą. Najgorzej było w zimie. Po jakimś czasie znaliśmy zamożniejszych kołchoźników, już to Rosjan, już to Bułgarów, u których można było coś sprzedać, a właściwie dokonać zamiany towaru. Parę razy zmuszone byliśmy nocować, oczywiście nie był to nocleg na miękkim łóżku, pod ciepłą kołdrą, ale na twardej ławie albo na glinianym, nadbudowanym podeście, zajmującym prawie połowę izby, gdzie rzędem spała cała rodzina. Za poduszkę służyła naturalnie własna ręka, a pościel stanowiło nasze ubranie. Czasami gospodyni częstowała nas kolacją. Była to najczęściej jakaś zupa z kawałkiem chleba. Takie gesty zawsze przyjmowane było z zadowoleniem, bo głód ściagał nas bez ustanku.

Po jakiś czasie, gdy zaczęliśmy pracować, należał się nam odpowiedni przydział żywności. W przypadkach gdy tylko jedna z nas miała pracę, malała ilość należnych nam artykułów żywnościowych. Według notatki, która mi się zachowała z tamtych lat, wynika, że np. dla całej rodziny za styczeń 1941 roku otrzymałam: 14 kilogramów owsa, 24 kilogramy pszenicy. Za luty: 12 kilogramów mąki, 9 kilogramów pszenicy, 8 kilogramów owsa. Za produkty te trzeba było płacić. Chleba ani innej żywności nie otrzymywałyśmy. Wydaje mi się, że kartka z notatką dotyczy miesięcy po roku 1941, a więc dla Sowietów wojennych, bo na początku otrzymywaliliśmy mąkę, a w tym przypadku dawano ziarno. Może nie było transportu, by zboże dowieźć do młyna i zemleć na mąkę? Dla mnie wyprawy do Nowotroickoje były bardzo przygnębiające. Były to wyprawy w istocie żebracze. Chodziło się od chałupy do chałupy, prezentując swoje rzeczy, a jednocześnie prosząc o zamianę, jak o łaskę. Druga łaska spotykała nas, gdy decydowano się zanoćować nas bez stosownej zapłaty z naszej strony. Niektóre Polki z Tas-Bułaku dawały gospodyniom za nocleg jakieś upominki. Widocznie były w lepszej od nas sytuacji materialnej. Dla tych ludzi, którzy nas nocowali, do dziś mam wielkie uznanie. Oni bezinteresownie bardzo nam pomagali i starali się wejść w nasze marne położenie.

Kiedyś, gdy zabrakło nam jedzenia, wypadło iść do tego kołchozu w zimie, tuż przed Bożym Narodzeniem. Pamiętam, że szła wówczas moja Mama, Marychna i ja. Nogi wraz z butami okręciłyśmy i obszyłyśmy szmatami pochodzącymi z podartych worków. W stronę Nowotroickoje szło się nam niezłe. Droga była utarta. Gdy miałyśmy wracać do domu, niebo zasnuło się ciemnymi chmurami, zaczął tego dąć wiatr, skłębiony śnieg przesłonił wszystko. Zerwała się burza śnieżna, *buran*. W taką pogodę niebezpiecznie było wychodzić z domu, nawet niedaleko, bo można było nie trafić z powrotem i zamarznąć dosłownie nieopodal ludzkiego siedliska. Na szczęście znalazłyśmy ciepły kąć i trochę gorącej strawy. Na drugi dzień sytuacja nie uległa zmianie. Minęła Wigilia i pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Dopiero na trzeci dzień wiatr ucichł, wyszło słońce, śnieg skrzył się tak, że trudno było patrzeć dookoła siebie. Zawiane śniegiem drogi znikły bez śladu. Wiedziałyśmy, że w godzinach rannych drogą przez góry przewożono na grzbiecie końskim pocztę

z sowchozu Tas-Bułak do Nowotroickoje i odwrotnie (szlak pocztowy biegł przez Nowotroickoje). Stało się wedle naszych oczekiwań. Pocztowy koń jakoś przebrnął przez bezdroże. Była to pomyślna dla nas okoliczność. Noga za nogą wędrowaliśmy przetartym szlakiem do Dżyłdykary. Byliśmy okutane w różne szaliki, chustki. Kije w rękę ułatwiały przedzieranie się przez kopny śnieg. Wkoło była nieskazitelna biel. Wypatrywałyśmy przed sobą czarnych punktów, które mogłyby okazać się wilkami. Nietrudno je było spotkać. Nie tyle jednak zagrażały ludziom, co zwierzętom. Na fermach były owczarnie, w których w zimie na wolnym powietrzu karmiono w dzień i pojonu owce. Wilki, wpadłszy często do stada, odrywały od niego kilka lub kilkanaście sztuk i mordowały je. Zdarzało się to również i w lecie, gdy owce były na wypasach w wyższych partiach gór. Stada owiec mogły liczebnością oscylować koło tysiąca sztuk. *Czabanom*, czyli pastuchom, pomagało zwykle dwóch lub trzech mężczyzn, nie licząc rodziny *czabana*, tj. żony i ewentualnie syna lub synów. Psy towarzyszące *czabanom* były średniej wysokości, sierść miały długą, żółtawo-brunatną z domieszką czarnej. W zimie spały na śniegu. Bywało tak, że padający śnieg pokrywał i zasypywał je całkowicie. W obronie owiec walczyły z wilkami do upadłego. Ofiarnie pilnowały stada, by się nie rozpierchło.

Innym razem, a było to po dwuletnim pobycie w Dżyłdykarze, zaplanowałyśmy wyprawę do Nowotroickoje wozem. Chciałyśmy, jak Kazachowie czy inni Polacy (np. państwo Mazurowie), zaopatrzyć się hurtowo na zimę w ziemniaki, mąkę i nie chodzić przez góry w zimie. Poprosiłyśmy *zawchoza* (*zawiedujuszczonego choziaj-stwem*), czyli Kabija Tiulebajewa o zezwolenie na wzięcie wozu, dwóch wołów roboczych i owsa dla ich karmienia w drodze. Pozwolił. Załogę tego pojazdu stanowiła nasza Mama, moja starsza siostra Marychna, młodsza siostra Janeczka i ja. Z wołami byłyśmy już obyte. Znikła początkowa obawa, która potrafiła sprawić, że leżące w stepie stado obchodziliśmy z daleka. Tak naprawdę były to pracowite i niegroźne zwierzęta. Jechałyśmy zupełnie inną, kołową drogą, tj. przeznaczoną dla wozów. W swoim czasie dowiedziałyśmy się, że taka istnieje. W przyszłości jeździłam tą drogą przez góry z Kazachami.

Wyjechałyśmy wczesnym rankiem. Woły dobrze się sprawowały. W górach schodziłyśmy z wozu, by zwierzętom było lżej, a także ze względu na bezpieczeństwo. Droga w górach miała mniejsze i większe stopnie nachylenia. Niejednokrotnie musiałyśmy woły prowadzić, a właściwie ciągnąć na powrozie. Jakoś szczęśliwie dojechałyśmy do celu. U znajomych już kołchoźników postawiłyśmy wóz, wypręglyśmy woły, dałyśmy im do jedzenia część zabranego na wyprawę owsa i wodę do picia. Potem musiałyśmy zająć się handlem, trzeba było pochodzić, popytać, zorientować się, kto ma do sprzedania ziemniaki. Tym razem miałyśmy pieniądze i kupiłyśmy kilka worków ziemniaków. Za pracę w sowchozie płacono nam nędzne wynagrodzenie. Nie mogłyśmy za nie nic kupić prócz *pajoku*, tj. przydziałowej mąki czy chleba. Postanowiłyśmy spieszyć się z transakcjami. Uważałyśmy, że powrót wolim transportem będzie szybszy, niż gdybyśmy szły pieszo. Miałyśmy nadzieję na powrót do domu przed nocą. Póki droga wiodła przez równinę, wszystko było

w porządku. Trudności zaczęły się, gdy w miarę zbliżania się do gór pojawiły się nierówności terenu. Woły przystawały, nie chciały iść. W pewnym miejscu dałyśmy im resztę owsa i pozwoiliłyśmy im odpocząć. Znow ruszyły naprzód. Nie było mowy, by któraś z nas usiadła na wozie. Woły ustawały. Wreszcie zaczęłyśmy wóz popychać. Rwałyśmy trawę i dokarmiałyśmy nią wciąż głodne zwierzęta. Była jesień. Zrobiło się chłodno i już księżyc wyszedł zza chmur, a my wciąż byłyśmy jeszcze w górach. W pewnym momencie woły położyły się na drodze. Byłyśmy bliskie rozpaczy. Co robić? Czy pozostawić w górach część naszego cennego ładunku, naszej żywności na zimę? Byle przygodny Kazach, nawet jadący wierzchem na byku, będzie w stanie zabrać dwa worki ziemniaków, zarzuciwszy je na grzbiet swego zwierzęcia. Za wszelką cenę postanowiłyśmy nasz ładunek dowieźć w całości. Zaczęłyśmy się modlić. Odczekaliśmy trochę, aż nasze woły odpoczną. Tymczasem narwałyśmy, ile się tylko dało, trawy. Owsa już nie było. Krzykiem, pogwizdywaniem chciałyśmy zmusić woły do wstania. Nareszcie, gdy podniosły się z ziemi, nadzieja wstąpiła nam w serca. Szłyśmy krok za krokiem. Pogodziłyśmy się z faktem, że jesteśmy zdane na ich możliwości. Już nawet nie wywijaliśmy biczem nad nimi, bo wiedziałyśmy, że to nie na wiele się zda. Doszłyśmy do wniosku, że dano nam najslabsze woły. Łatwo było sobie wyobrazić kazachskie intencje: „niech się Polaczki pomęczą, jeśli chcą jeździć wołami”. Późno w nocy, zmęczone na równi z nieszczęsnymi wołami dotarłyśmy nareszcie do naszego domu.

W przyszłości już nigdy więcej na własną rękę nie używałyśmy wołów. Było dla nas jasne, że eskapady z ich udziałem nie były na siły kobiet takich jak my. Okazało się też, że trzeba mieć odpowiednią wiedzę, by prawidłowo ocenić użytkową wartość przydzielanego do dyspozycji zaprzęgu.

W okresach letnich do Nowotroickoje i dalej, do oddalonego od Nowotroickoje o kolejne bodaj 15 kilometrów na południowy wschód Błagodatnoje, chodziła z Mamą Lala, o ile ta nie pracowała. Wielokilometrowy marsz, zwykle w upale, był ciężki. Potem następowała upokarzająca peregrynacja po domach i szukanie sposobu sprzedania lub wymiany przyniesionych rzeczy na żywność. Trzeba przyznać, że Rosjanki, widząc towarzyszące Mamie dziecko, często litowały się nad utrudzonymi komiwojażerkami i częstowały je jakimś barszczem czy inną zupą, kawałkiem chleba czy gotowanym jajkiem. Pewnego razu, przed wymarszem z Nowotroickoje do Błagodatnoje, nakarmiła je na śniadanie nowotroicką gospodyni kawałkiem chleba z kwaśnym mlekiem, w którym pływały, niestety, muchy. Mama muchy wyłowiła i wyrzuciła, a mleko naturalnie wypięła. Lala nie dała się namówić na mleko, bo odstręczyły ją dopiero co pływające w nim skrzydlate stworzenia. Wtedy i później, czyli zawsze, brzydziła się potraw, do których wpadały jakieś żyjątka. W pewnym momencie, już w trakcie długiego marszu, Mama bardzo źle się poczuła. Dostała wymiotów i biegunki, bardzo osłabła. Obie dotarły do rzeki, którą trzeba było przejść w pław. Mama bez sił usiadła na brzegu. Zrozpaczona Lala nosiła w dłoniach wodę z rzeki i poila Mamę. Po jakimś dopiero czasie sytuacja poprawiła się na tyle, że mogły przekraczać rzekę, trzymając się za ręce. Po noclegu w Błagodatnem

u jakiejś gospodyni i kupieniu czegoś do jedzenia ruszyły w wielokilometrową drogę powrotną. Na stromiznie opadającej od strony Nowotroickoje w kierunku Tas-Bułaku spotkały panią Lubuśkową, idącą w tym samym kierunku co one. Niosła w jednej ręce butelkę z wodą. Popijała z niej tę wodę skąpymi łykami. W drugiej ręce niosła wiadro, w którym roztopiło się jej w upale masło. W tym maśle pływały jak na ironię kawałki chleba. Lala tę ironię, odczuwaną wtedy po dwudziestokilkukilometrowym marszu, czuje nawet do dzisiaj.

## PRACA

Gdy przywieziono nas do Dżyldykary, był maj. Na stokach gór leżał jeszcze śnieg, zwłaszcza w załomach skalnych, ale na fermie zaczynały się już roboty polowe. Trwały orki, siewy zbóż. Do tych prac polowych nie byliśmy angażowane, natomiast zatrudniano nas do prac na terenie samej fermy. Najczęściej chodziło o uszczelnianie i konserwację dachów obór, składów i różnych innych budynków gospodarczych. Praca polegała w pierwszej fazie na przygotowaniu odpowiedniej zaprawy wykorzystywanej podczas wykonywania tych zadań. Otóż zgromadzoną wcześniej glinę, łajno wołów i krów oraz trochę słomy należało zmieszać razem, dolewając wody. Mieszadłem był prowadzony wkoło po przygotowanych składnikach jeden albo dwa woły. Gdy mieszanka uzyskała odpowiednią gęstość, nabierałyśmy ją do wiader i wynosiłyśmy na dach. Po uprzednim zwilżeniu go wodą nakładałyśmy nową warstwę owej mieszanki.

Mężczyźni otrzymywali inną pracę. Pan Antonow pracował w koniuszni. Było kilka koni, których używali *uprawlajuszczy*, weterynarz, zootechnik, ogniomistrz, *poliwod*. Tymi końmi trzeba było się zająć, gdy powracały z terenu, a rano przygotować je do wyjazdu, osiodłać.

Pan Janek Mazur został sprzedawcą. Przywoził różnorakie rzeczy z Tas-Bułaku i sprzedawał je w Dżyldykarze. Przede wszystkim była to przydziałowa żywność: mąka, chleb, ziarno pszenicy. Oczywiście nie od razu został sprzedawcą, a po upływie dłuższego czasu od naszego przyjazdu. Dobrze było to jego zajęcie. Miał bezpośredni dostęp do deficytowego artykułu, dla nas strategicznego – do żywności. Na pewno można powiedzieć, że on i jego rodzina nie traciła na tym.

Seweryn Patan był pomocnikiem kowala.

Inną pracą, przy której można było zarobić, było strzyżenie owiec. Owce należało pozbawić zimowej wełny przed wyjściem na letnie wypasy w góry. Do akcji przystępowano na początku maja, albo i wcześniej. Nie brali w niej jednak udziału Polacy, z wyjątkiem niektórych osób. W Dżyldykarze zdolnościami strzygacza wykazała się pani Irena Dobrzańska, która dorównywała sprawnością Kazachom, a nawet prześcigała ich. A byli oni w tej dziedzinie mistrzami, zarówno mężczyźni,



jak i kobiety. Jak wyglądała ta praca? Otóż owce zapędzano do prowizorycznych zagród. Obok, ze specjalnymi nożycami, ustawiali się rzędem strzygacze. Obsługa stada dbała o to, by strzygaczom w porę dostarczać owce i zabierać je po ostrzyżeniu. Owce były sprawnie krępowane sznurkiem, by w spokoju wytrzymały operację. Tymczasem strzygacze pocili się, przybierając różne pozycje, by szybko i dokładnie pozbawić owce runa, a więc kucali, siadali, przysiadali, klękali itp. Patrząc z daleka, można byłoby sądzić, że są w trakcie jakiegoś tańca przy skrępowanych zwierzętach. Wszystko odbywało się pod gołym niebem przez co najmniej 8 godzin.

Dla uchronienia się od naciągnięcia ścięgien, przeważnie prawej ręki, większość pracujących krępowała najczęściej narażony na urazy przegub prawej ręki paskiem skóry lub materiału. Akcja *strizki* trwała kilkanaście dni, póki nie ostrzyżono wszystkich owiec.

W akcji strzyżenia owiec brała też udział Lala, nie mając naturalnie takich osiągnięć, jakie mieli dorośli. Była to dla niej praca bardzo ciężka, na granicy możliwości fizycznych. Sama przecież musiała zwierzę powalić na ziemię, unieruchomić, usiadłszy na nim, i potem misternie strzyc runo, bacząc, by owcy nie pokaleczyć prymitywnymi nożycami. Prędko tworzyły się na jej dziecięcych rękach pęcherze, powstałe od operowania tymi nożycami. Miejsca skaleczeń smarowała, jak wszyscy, kreoliną.

Gdy tylko skończyły się wiosenne roboty w polu, przygotowywano się do sianokosów. Wokół fermy rozciągał się step pokryty, zwłaszcza na wiosnę i w lecie, piękną, soczystą trawą przetykaną wspaniałymi, barwnymi kwiatami. Sianokosy odbywały się przy pomocy mechanicznych kosiarek (*sienokosilek*) ciągniętych przez traktor. Cztery sprzężone urządzenia koszące (*kosilki*) przymocowane do traktora stanowiły agregat. Koszono też przy pomocy kosiarek, do których zaprzęgano dwa woły. Siano zgarniane było następnie grabiami ciągniętymi przez traktor. Ciągnął on zwykle za sobą zespół takich grabi, składający się z kilku sztuk. Zgrabione siano ręcznie układano w kopki. Te z kolei zwożono na jedno miejsce i układano w ogromną stertę.

Na czas sianokosów organizowano tzw. brygadę, tj. grupę ludzi wyposażoną w odpowiedni sprzęt. Zespół ten operował w promieniu od kilku do kilkunastu kilometrów od fermy, bazując zawsze przy jakimś źródle, rzeczce czy strumieniu. Centralne miejsce takiej ruchomej bazy zajmowała spora buda dla traktorzystów. Jej prymitywne wyposażenie stanowiły przede wszystkim wielkie półki z desek, na których spali traktorzyści i ewentualnie inna męska część brygady. Ważne było to, że buda miała dach, który chronił przed deszczem. Inna mała budka przeznaczona była dla kucharki i na przechowanie artykułów żywnościowych. Pani Janina Zalewska miała etat kucharki. Był w grupie *wodowoz*, który dowoził do pracujących w polu traktorów wodę, a także *zaprawszczyk*, który odpowiedzialny był za zaopatrzenie traktorów w paliwo. Znaczną część grupy stanowili tzw. maszyniści, obsługujący sprzęt współpracujący z traktorami. W naszym przypadku były to polskie dzieci, dziewczęta i chłopcy, w przedziale wiekowym od 9 do 13 lat, którzy siedzieli na *sienokosilkach* lub grabiach. W przypadku grabi musiały one dobrze synchronizować

działania poruszających się w tym samym kierunku, jeden za drugim, dwóch rzędów grabi. Drugi rząd musiał zrzucić zgrabione siano dokładnie w miejscu zrzucenia go przez pierwszy rząd. Powinno były powstawać w ten sposób długie i równe wały zgrabionego siana. Grabie miały pedał, który trzeba było nacisnąć, by podnieść ciągnięte po ziemi zęby zgarniające skoszoną i wyschniętą trawę. Bywało, że pedał, wymagający sporej siły do efektywnego naciśnięcia go, był zepsuty. Wtedy trzeba było użyć działającej z takim samym skutkiem dźwigni, sterzącej pionowo z prawej strony siodełka operatora. Dźwignię można było uruchamiać tylko prawą ręką, bo lewą trzeba się było mocno trzymać siodełka, by nie spaść z będącego w ruchu wehikułu. Wielokrotnie powtarzające się i wymagające użycia sporej siły czynności, były dla młodocianych (i zwykle głodnawych) operatorów mocno wyczerpujące. Na zęby grabi często nabijały się węże i żmije, gadów tych było dużo. Obsługujący grabie sami musieli podtrzymywać ich sprawność, smarować, dokręcać śruby. Traktorzysta, grający rolę szefa, nie interesował się serwisem sprzętu towarzyszącego. On zajmował się przede wszystkim zaganianiem rano do pracy podległej mu gromadki nieletnich współpracowników. W czasie obiadu, jako ten najważniejszy, dostawał najwcześniej swoją zupę. Obsługujące jego grabie dzieci często nie zdążyły zjeść swojej porcji, bo albo misek brakowało, albo łyżek... itd. Nikt nie przejmował się, że potem do zmroku, z pustawym żołądkiem, musiały podskakiwać na twardych siodełkach w rytm podskakujących na kamieniach grabi.

Były też kobiety, które stawiały kopki ze zgrabionego siana. Tak zwana *wołokusza* ścigała te kopki w jedno miejsce dla ułożenia sterty. Ostatnim etapem było stertowanie (*skirdowanie*). Tym zajmowali się zazwyczaj Kazachowie, ale do pomocy mieli oczywiście polskie kobiety i dziewczęta.

Przez pewien czas Janeczka z Lalą stanowiły zespół. Miały do dyspozycji kosiarkę i ciągnące ją cztery woły. Janeczka obsługiwała kosiarkę, siedząc na niej, a Lala jechała na oklep na jednym z ciągnących maszynę wołów. Pewnego razu, wobec nadciągającej szybko burzy, inni kosiarze zaczęli wymontowywać ze swych urządzeń elementy tnące, które trzeba było, nawiasem mówiąc, dać codziennie wieczorem Kazachowi, mieszkającemu w jurcie z synem traktorzystą, żoną i kozą, i zajmującemu się ich ostrzeniem. Lala zaproponowała Janeczce ucieczkę ze stepu, ale ta nie zamierzała tego robić, ponieważ jeszcze nie pojawił się przecież deszcz. Gdy wreszcie lunął deszcz, wymontowały element tnący, wsiadły na oklep na jednego z wołów i ruszyły do miejsca postoju brygady, poganiając przed sobą pozostałe trzy byki. Nagle rozpętało się prawdziwe piekło, deszcz zgęstniał, grzmiało niemal bez przerwy, błyskawice rozświetlały co chwilę step. W pewnym momencie błysnęło i rąbnęło koło nich potężnie. Obie spadły z byka na ziemię. Lala zawołała do Janeczki: „Czy my jeszcze żyjemy?”. Ta odrzyknęła: „Głupia, no pewnie, że żyjemy!”. Zaraz potem zaczęły czołgać się po mokrym gruncie w kierunku postoju brygady. Woły zostawiły na stepie, ale nie zapomniały o wymontowanym z kosiarki elemencie tnącym. Byłaby awantura, gdyby przepadł. Wszyscy byli gruntownie przemoczeni, wszystko zamokło. Brygada dostała dwa dni wolnego. Sianokosy były zwykle

czasem ogromnych upałów. Chodzenie boso łatwo mogło skończyć się poparzeniem skóry stóp. W nocy było natomiast chłodno, jak na pustyni.

Nad pracą całej brygady czuwał *poliwod*, który prawie co dzień konno przyjeżdżał z fermy. Pracą traktorzystów kierował brygadzysta. Traktory przez zimę remontowane i przygotowywane były do sezonu przez warsztaty naprawcze w Tas-Bułaku. Pozostały natomiast sprzęt remontowany i przygotowywany był do użytku przez kowala na fermie. Istniało jeszcze stanowisko tzw. *uczotczyka*, który odpowiedzialny był za ewidencję wykonanej przez każdego traktorzystę pracy i za listę obecności innych pracowników. *Uczotczyk* mierzył wielkość skoszonych powierzchni i wielkość ustawionej sterty siana. Co dzień podawał raport w tej sprawie do Tas-Bułaku.

Wszyscy ludzie należący do brygady nocowali na stepie pod gołym niebem, z wyjątkiem tych, którzy mieli możliwość spać w budzie. My stawialiśmy szałas z gałęzi i słomy. Budulec ten bywał „na brygadę” przywożony. Początkowo nie wiedzieliśmy, jak się zabrać do budowlanego dzieła, ale pokazano nam i stanął szałas na miarę naszych możliwości. Należało okryć go słomą i nią także wymościć wnętrze. Wtedy dopiero można było rozłożyć pościel. W jednym szałasie spało kilka dziewcząt. Takich szałasów było kilkanaście. „Na brygadę” zabierałyśmy z domu koldrę, ponieważ noce bywały chłodne, zabierałyśmy nocną bieliznę, jakieś cieplejsze okrycie na chłodne dni, przybory toaletowe. Tyle można i trzeba było zabrać ze sobą na step.

Sianokosom towarzyszyła zazwyczaj upalna i słoneczna pogoda, ale czasem zdarzał się też okres deszczowy. Takie przypadki były dla nas rodzajem klęski. Woda wpływała do szałasu, słomiany dach rychło zaczynał przeciekać. Trzeba było szybko pakować przede wszystkim i chronić przed zamoczeniem pościel. Po deszczu zwykle pojawiał się wiatr i na szczęście szybko suszył mokrą słomę.

Codzienną pracę zaczynało się, gdy tylko zaczęło się rozwidniać. Kucharka rozpałała pod kociołkiem ogień. Ten kociołek z lanego żelaza, przykryty drewnianą pokrywą, wbudowywano w ziemię tak, by można było przy nim usiąść i w wygodny sposób pilnować ognia. *Zaprawszczyk* roznosił w wiadrach paliwo (*kierosin*) i tankował traktory, zmierzwszy uprzednio miarką, ile paliwa zostawało w zbiornikach po minionym dniu pracy. Musiał bowiem każdemu traktorzyście wpisać do karty ilość pobranego paliwa. Paliwo w beczkach dowożone było na brygadę z bazy w Ajaguzie, należącej do sowchozu Tas-Bułak. Obie te miejscowości odległe były od siebie o ok. 140 kilometrów. Sowchoz miał dwa ciężarowe samochody (marki ZiS-5 i GAZ AA), które przeznaczone były do transportu różnych materiałów z Ajaguzy. Miejscem przeładunku była ferma nr 2, czyli Łaj-Bułak. Latem samochody mogły przejechać 20 kilometrów drogą przez góry od Łaj-Bułaku do Tas-Bułaku, czyli centralnej osady całego sowchozu, który od niej wziął swoją nazwę, natomiast zimą nie. Tylko saniami ciągniętymi przez woły można było transportować ładunki przez góry, i to tylko w pogodne dni.

Brygadzysta chodził rano od szałasu do szałasu i budził nas, zapraszając na herbatę, co brzmiało w następujący sposób: „*podjom, dawaj wstawaj na charoszyj*”

*czaj*”. Ten jakoby smakowity *czaj*, sporządzany był z liści poziomek. Cukier do niego stanowił marzenie, ale z całą pewnością należał ten napój do napojów gorących. Każdy pracujący otrzymywał pół kilograma chleba, przywożonego „na brygadę” przez *produktowoz*a na zaprzężonej w wołu dwukółce. Odważał on każdemu przysługujący przydział i wpisywał skrupulatnie ten fakt do swojego wykazu. Na końcu miesiąca podsumowywał ów wykaz i przekazywał do kantoru, czyli biura fermi. Tam wartość pobranego chleba potrącano z zarobku. Dokonywał tego *szczetowod*, czyli księgowy fermi.

W zależności od systemu odżywiania się każdy inaczej swój chleb zjadał. Albo dzielono go na trzy części, by mieć na śniadanie, obiad i kolację, albo na dwie części, na śniadanie i kolację. My starałyśmy się jeść niewiele chleba, by stworzyć sobie zapas i choć niewielką jego część zanieść Mamie i młodszej siostrze, które pozostawały w domu na fermie. Nie były zatrudniane, więc były niepracujące, skoro były niepracujące, nie mogły otrzymać przydziałowego chleba. Innego systemu dystrybucji chleba nie było, nie można go było formalnie zdobyć w inny sposób. Komunistyczne państwo robotników i chłopów aż do bólu starało się być logiczne wobec swoich obywateli. Podobnie jak my, oszczędności starali się robić też inni. Pół kilograma przydziałowego chleba to była wizualnie niewielka gruda, bo ów chleb był bardzo ciężki, niewypieczony. Bochenek chleba był bardzo duży. Ważył cztery kilogramy. W okresie wojennym chleb był właściwie nie do zjedzenia. Pieczono go z mąki pszennej mieszanej z nasionami piołunu. Był tak gorzki, że mimo głodu z niesmakiem się go przełykało. Mieszano do wypieku chleba również mąkę jęczmienną z pszeną. Jęczmienia bodaj nie czyszczono, bo chleb najeżony był kłującymi ościami. Ości potrafiły wbijać się w śluzówkę gardła. Przydarzyło się coś takiego Lali i trzeba było pójść do punktu sanitarnego, żeby owe ości jęczmienne usunąć przy pomocy dostępnych tam narzędzi. Taki chowany przez nas chleb dla Mamy kiedyś nam ukradziono. Przechowywałyśmy go pod poduszką. Wielka przykrość nas wtedy spotkała i jeszcze większa strata. Nic jednak nie można było na nią poradzić. Rano opuszczałyśmy brygadę i szłaś, by dopiero w południe wrócić na obiad, a potem z kolei na kolację. Czasem, zdarzało się to bardzo rzadko, przywożono „na brygadę” prócz chleba jeszcze coś innego do jedzenia, np. wędzone ryby i po kilka sztuk rozsprzedawano pracownikom.

My, obsada *sienokosilek*, pracowałyśmy z traktorzystami, do których byłyśmy przydzielone, np. ja do Kołbasina. Zawsze trzeba było odczekać aż trawa obeschnie z rosy. Zaniechanie tej zwłoki prowadziło do zacinania się kos. Naszym zadaniem było wypatrywanie wszelkich nierówności terenu, kretowisk itp., by w porę unieść kosę czy nawet wyłączyć maszynę. Poza tym do nas należało dokręcanie śrub i smarowanie olejem łożysk. Lubiałam nawet tę pracę. Skoszona trawa bardzo pięknie pachniała. Była to mieszanina różnych zapachów, zapachów macierzanki, mięty i innych aromatycznych ziół. Czasem traktorzysta wypatrzył w trawie poziomki. Zatrzymywał traktor, pozwalając nam uezierać i pojeść trochę pachnących owoców. Traktorzystami byli zarówno Rosjanie, jak i Kazachowie. Wszyscy oni charaktery-

zowali się ogromną ordynarnością w słowach. Ich przekleństwa były niesamowite. Przeklinali wszystko, co się dało. W swym impecie nie oszczędzali nikogo i niczego, poczynając od świętości, rodziców, rodziny bliższej i dalszej, kończąc na wnętrznościach, śrubach itp. Najbardziej kłął Tiereszczenko, i jemu też zresztą w pracy wiodło się najgorzej. Drugim mistrzem rugania był wspomniany już niejaki Kołbasin. Mniej od nich kłął najczęściej uśmiechnięty Kazach Batakanow, który miał mało przestojów i sporo dobrej pracy. Słyszając tyle przekleństw, miało się wrażenie, że uszy puchną. Panienki początkowo były zdegustowane bardzo, ale z czasem trzeba było otepieć i wrażenia przestały być nadmiernie przykre. Nastąpiło przystosowanie się do folkloru. Sprawdzało się powiedzonko *zawiedujuszczonego hoziajstwem* Kabija Tiulebajewa, który mówił, gdy ktoś miał kłopoty z adaptacją: *niczoho, prywykniosz*. Trudniej było wtedy, gdy za przewinienie rzeczywiste czy ubzdurane strumień przekleństw lał się na głowę któregoś z nas.

Bardzo bałam się przegapiać te przeszkody, które zagrażały zwłaszcza tzw. *kosogonowi* (targaczowi), drewnianej części łączącej *gonok* z kosą. Trzeba było w porę wyłączyć maszynę. Zdarzyło się jednak tak, że kilka razy pod rząd u mnie zламаł się ten *kosogon* i traktorzysta musiał go wymieniać. Gdy nie miał już zapasowego, musiał iść „na brygadę” po nowy. Czasem kilka kilometrów. Krzyczał, kłął wtedy niemiłosiernie i energicznie dawał mi za przykład dwóch kazachskich chłopców, którzy lepiej sobie radzili. Prawda, że na skutek tak przebiegających awarii tracił czas i zarobek. Wnet byłam uczulona na owe nieoczekiwane przeszkody zagrażające łamliwemu targaczowi i starałam się być niezwykle uważna, by nie słuchać przekleństw, które miotał na moją głowę rozwścieczony traktorzysta.

Gdy słońce już dobrze dogrzewało, traktor był zatrzymywany i szło się „na brygadę”, na obiad. Kucharka przy kotle miała ułożone łyżki i miski. Każdemu wlewała dwie chochle zupy. Przeważnie była to zupa z wkładką, tj. kawałeczkiem baraniego mięsa, z makaronem lub ziemniakami. Nie było żadnej włoszczyzny. Taki kształt jadłospisu nie zmieniał się w zasadzie przez lata. Czasem, co zdarzało się bardzo rzadko, zupa bywała zaprawiona pomidorami. Na fermach południowych, tj. w Łaj-Bułaku i w Tiki-Bułaku, uprawiano pomidory, udawały się obficie arbuzy i melony. Nie było jednak transportu, by owoce te przewozić do ferm położonych w górach, na których owoce nie rosły. Bywało wszakże tak, że mniej więcej raz w sezonie przywożono pomidory i trafiały one do kuchni. Bywało, że przywożono też ogórki.

Najprzyjemniejszym momentem w ciągu dnia był jednak obiad, o którym myślało się właściwie już od rana. Zbliżając się z miską do kotła, miałam zawsze życzenie, by dostała mi się gęsta zupa. Z tą gęstością bywało różnie, dla jednych była gęsta, innym zdarzała się zawsze rzadka. Pani Zalewska wyraźnie faworyzowała mężczyzn, wychodząc z założenia, że oni ciężko pracują i przede wszystkim oni powinni zjeść trochę lepiej. W tym przypadku gęściej. W porze obiadowej przybyły *produktowoz* i zarazem sprzedawca rozdzielał nam należny przydział chleba. Korzystał przy okazji z zawartości przygotowanej w kotle dla brygady. Był w trakcie naszego pobytu w Kazachstanie czas, że *produktowozem* była Marychna, a zaraz po niej Lala, której przydzielono do



wozu starego i słabego wołu. Gdy słabł, stawał i nie chciał iść. Tymczasem brygada oczekiwała na jedzenie. Tylko jeden sposób skutecznie zmuszał biedne zwierzę do kontynuowania marszu. Trzeba było mu skręcić i zacisnąć ogon.

Gdy przebieg sianokosów nie wydawał się zadowalający, tj. odbiegał od planu, na brygadę przyjeżdżał kierownik, czyli *uprawlajuszczy* fermy, ze stosowną asystą: z głównym sekretarzem partii, agronomem sowchozu, miejscowym *poliwodem* i urządzał zebranie wszystkich pracujących na brygadzie, by zmobilizować ich do wydajniejszej pracy, do koszenia większej ilości hektarów każdego dnia i przysposabiania na zimę dostatecznej ilości siana dla hodowanych zwierząt. Siano wszak było podstawową i najważniejszą paszą.

Po obiedzie nie było wypoczynku, ale nie na wniosek traktorzystów, którzy zwykle wyraźnie ociągali się z przystąpieniem do czynienia swej robotniczej powinności. My maszyniści musieliśmy stosować się do czasu pracy traktorzysty. Traktorzysta „podawał krok”. Godziny popołudniowe wydawały się dłuższe niż dopołudniowe. Po południu zwykle pojawiał się ból płynący od bardzo szlachetnej części ciała, mającej od rana kontakt z twardym, metalowym, profilowanym siodełkiem. Podskakiwało się wszak na nim wraz z grabiami ciągniętymi za traktorem. Siodełko miało na swej powierzchni okrągłe otwory niewiadomego dla mnie do dziś przeznaczenia, bo chyba nie po to, by przecierały i darły się na nich w zastraszającym tempie nasze spódniczki. Moja przedstawiała sobą mozaikę łat.

Staraliśmy się raz w tygodniu uzyskać zezwolenie brygadzysty na opuszczenie brygady i wypad na fermę. Chodziło przede wszystkim o zanieśenie chleba naszej Mamie i Lali, trzeba było wykapać się, zmienić ubranie. Oficjalnie należało przebywać „na brygadzie” bez wychodnego czy też innej namiastki urlopu. Wracać na fermę „z brygady” oficjalnie można było dopiero po skończeniu akcji sianokosów.

Codzienny rytuał pracy na stepie był monotony. Zazwyczaj późnym wieczorem, dobrze po zapadnięciu zmroku, wracaliśmy „na brygadę” z miejsca, gdzie był koszony step. Traktorzysta jechał traktorem, w którym trzeba było uzupełnić paliwo. Wodę do chłodnicy ciągnika wożono w beczkowiezie na miejsce, gdzie on aktualnie w ciągu dnia pracował.

Na kolację był *czaj* z chlebem. Po kolacji szukałyśmy daleko od naszej bazy miejsca nad strumieniem czy rzeczką, gdzie po całodziennej pracy i poceniu się, czasem w kurzu, można było umyć się, niestety, w zimnej wodzie. Potem trzeba było myśleć już tylko o spaniu. Bywało, że przed snem wywiązywały się rozmowy z współtowarzyszkami z szałas. Najczęściej mówiło się o jakimś dobrym jedzeniu, o możliwościach powrotu do Polski. Potem był pacierz i po chwili zapadała cisza.

Jeśli otrzymywałyśmy zgodę na pójście do domu, na fermę, to zaraz po kolacji wyruszałyśmy w drogę. Czasem było daleko. Trzeba było przejść 8–9 kilometrów. Nie było to trudne zadanie. Nie szłyśmy, ale „płynęłyśmy” biegiem w powietrzu, byle prędzej znaleźć się w naszej dzielonej z kilkoma rodzinami kwaterze. Było późno, gdy uzbrojone w kije dochodziłyśmy do fermy. Jakaż radość była ze spotkania z Mamą i najmłodszą z nas, Lalą. Umawiały się z nami na pójście na fermę

i inne dziewczęta, różnie wtedy było iść w nocy, a potem rano, skoro świt, wracać „na brygadę”. Kąpiel, o której wspominałam wyżej, prawdziwa kąpiel pozostawała w sferze marzeń. „Kąpałyśmy się” jako tako po kawałku nad miednicą w wodzie, którą Mama musiała długo grzać w garnku na rozpalonym naprędcie palenisku.

Podczas pracy „na brygadzie” Lala, gdy kiedyś dołączyła do nas, w pewnym momencie dostała gorączki i Janeczka odstawiła ją na fermę, do Dżyldykary. Gorączka była bardzo wysoka. Została jej zaaplikowana chinina, którą przywieźli ze Lwowa nasi ziomkowie. Był to bardzo życzliwy gest z ich strony. Gorączka nie ustępowała. Mama odwiozła ją do centralnej osady, gdzie była tylko pielęgniarka, a to, co nazywano szpitalem, stanowiło cztery izby, w których nie podawano leków. Wśród pacjentów tego szpitala była wtedy ciocia Ali Bober, bardzo jęcząca z powodu bólu pochodzącego od obrzękniętych stawów. Lalę karmiono kluskami gotowanymi na wodzie. Dostawała też kawałek chleba. Nie miała apetytu. Klusek nie jadła, a chleb starała się ukryć przed wzrokiem postronnym i zachować dla Mamy. Litowała się nad nią sprzętająca szpital Rosjanka, któregoś dnia przyniosła jej ze swego domu kubek mleka. W końcu Lala nie wytrzymała. Pewnego dnia wymknęła się bez wiedzy pielęgniarki z pokoju i uciekła ze szpitala. Zabrała się do Dżyldykary z przyjeżdżającym codziennie do centralnej osady po chleb Sewerynem Patanem. Jeszcze nim ustąpiły po jakimś czasie stany podgorączkowe u Lali, dostała gorączki Mama. Osłabła i nie mogła nawet wstać z legowiska zwanego przez nas łóżkiem. Lala przynosiła ze źródelka wodę w garnku, trzymając go za sznurek przywiązany do jego uch. Była też słaba długo i z trudem niosła zaimprovizowane wiaderko. Potem gotowała mąkę zmieszaną z wodą. Od czasu do czasu Marychna wpadała na noc „z brygady”, niosąc im obu kawałek chleba. Rano wracała na step, do pracy. Mama jakoś szybciej wyzdrowiała, jej organizm bronił się lepiej. Lala chorowała dłużej. Po kolei obrzękały jej duże stawy, płakała bardzo z powodu bólu pochodzącego od tego obrzęku. Dla ochrony przed chłodem Mama owiazywała stawy Lali szalikami. Te kłopoty stawowe trwały dość długo.

Wypadałoby tu opisać dokładniej warunki życia w naszym mieszkaniu na fermie, nazywanym często „domem”.

Izba stanowiąca nasze mieszkanie, ale niezajmowana wyłącznie przez nas, miała kształt prostokąta. Na dłuższej ścianie były dwa okna z pojedynczymi ramami, oszklone, zabite na glucho. Nie przewidziano otwierania ich. Na przeciwległej ścianie był pośrodku ściany piec, drzwi usytuowane były bliżej rogu. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli. Sufit znajdujący się na wysokości 3 metrów wykończony był belkami drewnianymi. Ściany i sufit pobielono wapnem. Była kuchnia pokryta blatem z blachy, z boku miała otwór na drzwiczki. Odległość paleniska od blachy była tak wielka, że trzeba by dużej ilości opału, by można było cokolwiek gotować na tej blasze. Był to bubel konstrukcyjny, biorąc pod uwagę możliwości użytkowników zaopatrywania się w dostateczną ilość opału. Twórca kuchni musiał działać po pijanemu. Gdyby był trzeźwy, łatwo zdałby sobie sprawę, że użytkownicy jego dzieła będą mieli kłopoty z chwaleniem go jako mistrza sztuki zduńskiej. Do palenia zbierałyśmy *karagaj*, tj. gałązki krzewów, które rosły nad rzeczką i na zboczach gór.

Tymi ciętymi nożem patykami paliliśmy pod samym garnkiem, ustawiając go na dwóch kamieniach w palenisku. Przyspieszało to gotowanie, ale nie dawało żadnego ciepła pomieszczeniu, bo blacha na kuchni nie rozgrzewała się. Spałyśmy na podłodze, na materacach z końskiego włosia, czyli bardzo dobrych i trwałych. Leżałyśmy jak śledzie w beczce, jedna obok drugiej, ponieważ miejsca nie było wiele, a i materaców też przydałoby się więcej. W miejscu, gdzie kończyły się nasze materace, stał kufer Antonowów. Przymocowany był do podłogi gwoździami. Odwracając się w nocy na drugi bok, co musiałyśmy robić wszystkie jednocześnie, mogłyśmy przesunąć kufer, umniejszając w ten sposób przestrzeń do spania przeznaczoną dla państwa Antonowów, tj. 3 osób. Legowiska rozłożone były przy krótszej ścianie, oddalonej od drzwi, czyli za piecem.

Stęsknione biegłyśmy „z brygady” do tego domu na spotkanie z Mamą. Miałyśmy Jej dużo do opowiedzenia, mówiłyśmy o aktualnych wydarzeniach na stepie, o kłopotach itd. Ona z kolei informowała nas, co działo się w ostatnim czasie na fermie i w Tas-Bułaku u Polaków, bo zawsze ktoś starał się pójść do centralnej osady, by zasięgnąć języka w sprawie aktualnego *kursu dzieł*. Pewnego razu okazało się, że uciekła pani Brzezińska z małym dzieckiem. Zapomniałam jej nazwiska po mężu. W centralnej osadzie znalazła sobie kwatere u jakiejś rosyjskiej rodziny. Kiedyś, gdy ją spotkałam, mówiła mi, że nie zamierza w nieskończoność pędzić wygnanego życia, że ucieknie tam, skąd ją przywieziono, że ma dwa garnitury męża, że pieniądze z ich sprzedaży powinny starczyć na podróż. Obawiała się o los dziecka w kazachskiej głuszy. Jak więc powiedziała, tak też i zrobiła. Podziwialiśmy jej przedsiębiorczość i odwagę.

Zaczynało szarzeć, gdy Mama budziła nas. Zwykle spałyśmy bardzo krótko. Zabierałyśmy ze sobą czystą bieliznę. Mama wsuwała nam do dłoni po kawałeczku chleba lub placka. Inne dziewczęta, jeśli tylko były towarzyszkami wypadu, lekko pukały do naszej kwatery, sygnalizując, że są gotowe do wymarszu. Wtedy wypadał czas na słowa pożegnania, krzyżyki na czole kreślone matczyną ręką i szłyśmy z powrotem „na brygadę”. Tu trafiałyśmy akurat na *charoszyj czaj*.

Trawę można było kosić długo, prawie do końca lata. Zaczynały się żniwa, gdy jeszcze trwały sianokosy. Powstawała nowa brygada – *chlebouboroczna*. W Dżyldykarze uprawiano pszenicę i owies. Zboża koszone przy pomocy kombajnów, których nie było wiele. Jak się zorientowałam, kombajny te kolejno pracowały na południowych fermach. W Dżyldykarze widziałam dwa kombajny. Jeden z nich od razu się zepsuł i musiał być naprawiany przez mechaników z centralnej osady. Zawsze jednak żniwa były kończone w normalnym czasie lub tylko nieco się przedłużały. Do brygady *chlebouborocznej* angażowano mniej ludzi.

Zebrane zboże kombajn wyładowywał do podjeżdżających wozów ze szczelnymi skrzyniami ładunkowymi, zaprzężonych w woły. Było ono następnie odwożone na tzw. *tok*, tj. oczyszczony z trawy plac. Takich *toków* bywało kilka. Ziarno leżakowało na placu, póki nie było przetransportowane do magazynów zbożowych znajdujących się w centralnej osadzie. Do tego potrzebny był transport, a w czasie żniw

wozy zaprzężone w woły potrzebne były zdaniem *naczelstwa* przede wszystkim do odbierania ziarna z kombajnów i zwożenia go na *tok*. Marnie sprawa składowisk przedstawiała się, gdy padał deszcz. Niezabezpieczone dachem, pozostawione były swojemu losowi. Ogromne pryzmy zamakały coraz głębiej. Był to smutny widok, który jakoś nie wywoływał dramatycznych reakcji kierownictwa sowchozu. Naturalnie starano się przerzucać na *toku* ziarno z miejsca na miejsce i suszyć je takim chałupniczym przewiewaniem. Można to było jednak czynić dopiero wtedy, gdy opady zanikały. Nikt nie pytał o normy zawilgocenia zboża, nikt nie próbował ich dotrzymywać, o ile w ogóle były jakieś normy.

Wozakami byli przeważnie Kazachowie. Oni również byli stróżami zboża na *toku*. Z czasem funkcje tę sprawowali Polacy. Nie całe zboże odwożono do magazynu w centralnej osadzie. Ziarno owsa składowano w starej, nieczynnej owczarni w Karaczyliku. Potem został tam zbudowany w ciągu następnych lat magazyn. Karaczylik znajdował się nieopodal ornych pól w odległości 12 kilometrów od Dżyldykary i do niej należał. Obok czterech kazachskich lepianek były tam owczarnie. Zimowały w nich stada owiec, a w lepiankach mieszkała kazachska obsługa, a nawet jednego roku także Rosjanin, Ceculin z rodziną. Obok zabudowań płynął mały potoczek.

Mieliśmy wrażenie, że Kazachowie stanowili jakby jedną rodzinę. Chociaż pracowali na różnych stanowiskach roboczych, byli życzliwi ze sobą. Chętnie pracowali w transporcie, bo mieli do dyspozycji woły, które nie tylko można było zaprzęgać, ale używać do jazdy wierzchem, a nawet objuczać jak konie ładunkami po obu stronach grzbietu. W tej dziedzinie byli mistrzami. Po skończonym dniu pracy, np. przy zwożeniu ziarna wymłóconego przez kombajny, woły wyprzęgano i oddawano pod opiekę pastuchowi, który gnał je na step, by się pasły i wypoczywały. Na noc pastuch wracał „na brygadę”. Bardzo wczesnym porankiem wyruszał wierzchem na jednym z pozostawionych do swojej dyspozycji wołów w step, by odszukać pasące się przez noc woły, przygnać je „na brygadę” i oddać w ręce wozaków. Rok po przyjeździe z Polski takim pastuchem była przez krótki czas najmłodsza z nas – Lala. Kiedyś nie mogła rano odnaleźć dwóch zwierząt, które powędrowały gdzieś w step. Należały one do zaprzęgu starszej od Lali o 18 czy 19 lat Kazaszki. Zamiast zagubionych Lala przygnała jej dwa młode woły zapasowe, które naturalnie trochę gorzej sprawowały się. Kazaszka nie zaakceptowała takiego rozwiązania. Domagała się „swoich” wołów. Zrobiła się nielicha awantura. Stał się kombajn, bo nie było komu odebrać z niego wymłóconego zboża. Tymczasem niespodziewanie nadjechał Sauken Kazachanow, dyrektor sowchozu. Kazaszka zaczęła energicznie skarżyć się na Lalę. Zdenerwowany postojem kombajnu Kazachanow nakazał napastliwej Kazaszce natychmiastowy odjazd do pracy młodymi wołami, zaś poszukiwaniem konno zbiegłych zwierząt miał się zająć *poliwod*, również natychmiast. Jedenastoletnia Lala nie usłyszała od dyrektora ani słowa reprimendy. Biorąc pod uwagę inne życzliwe gesty wykonane przez niego w przyszłości wobec Lali, można powiedzieć, że najwyraźniej jakoś lubił on naszą najmłodszą siostrę.

НК Связи СССР		194 г.		Янв. Февр. Март. Апр. Май Июнь Июль Авг. Сент. Окт. Ноябрь. Дек.											
12/XII 1944 г.		на 1945 г.		Январь Февраль Март Апрель Май Июнь Июль Август Сентябрь Октябрь Ноябрь Декабрь											
ПРИНЯТА ПОДПИСКА НА:		газета журнал		Колич. экз.											
от Косих Зинаида Николаевна		КВМТАНЦИЯ		Сумма											
на 2 руб. 80 коп.		№ ЭУ 18560		Место вых. авт.											
подписку и деньги		Куда Савхоз Тар-Булак		Место вых. авт.											
принял Марья		Кому Нуцкаевская													

Kwit z 12 XII 1944 roku na prenumeratę

Pracujące „na brygadzie” woły Kazachowie często wypożyczali sobie dla prywatnych potrzeb. Wystarczyło umówić się z pastuchem i zwrócić zwierzęta skoro świt. Kazachowie byli u siebie i byli panami sytuacji.

Był okres, w którym Lala spełniała funkcję wodowoza. Dostała do dyspozycji beczkę na dwukołowym wózku i zaprzęgniętego do tego pojazdu o specjalnym przeznaczeniu wołu. Jeździła do źródelka, napełniała połowę wiadra wodą. Tylko taką ilość płynu mogła unieść i wlać do beczki. Musiała wielokrotnie wykonać tę męczącą czynność, by zapełnić całą beczkę. Pewnego razu wół niespodziewanie szarpnął i beczka w niebezpieczny sposób z pozycji poziomej przybrała pozycję pionową. Lala o własnych siłach nie była w stanie przywrócić jej zwykłej pozycji. Musiała szukać pomocy u pracujących na pobliskim stepie traktorzystów, ci naturalnie niechętnie przerywali swoją pracę. Musieli jednak ją przerwać, bo dowóz wody był konieczny dla ludzi i wołów.

W pierwszym roku pobytu w Kazachstanie prawie wszystkie młode dziewczęta polskie i chłopcy, a także dorośli, pracowali przy sianokosach. Słońce tak nas opaliło, że większości dziesiąta skóra schodziła z odkrytych na ciele miejsc, przede wszystkim z nosa. Bardzo zniszczyło się nasze nie dość mocne obuwie, podniszczyła się znacznie nasza odzież używana jako odzież robocza. Nie było żadnych widoków na zastąpienie zużytych siłą faktu jej sztuk. Nasze zarobki były minimalne po potrąceniu kwoty za wyżywienie. Robiło się coraz chłodniej. Kończono układanie stert, jako ostatni etap prac przy sianokosach.

Po uszy miałyśmy bytowania w stepie w odcieciu od świata i swoich bliskich. Tym „światem” była naturalnie centralna osada z pocztą, radiowęzłem i gazetami, które nawet można było zaprenumerować na poczcie, np. „Priirtyszewskaia Prawda” i inne. Gazety oraz wszelakie formularze, nawet spożytkowane do siebie właściwych celów, używane były jako papier kancelaryjny. Niezadrukowany papier stanowił niewątpliwą osobliwość.

Wnet miałyśmy się przekonać, jak trudna będzie do przetrwania zima i jak uciążliwa będzie dla nas praca w warunkach zimowych. Nim nadeszła owa zima wysłano



kilka polskich dziewcząt z Marylką Antonówną na czele do Karaczyliku, do czyszczenia składowanego tam ziarna. Sypialiśmy na swoich kocach czy kołdrach rozłożonych na hałdach owsa, które usypano w bardzo dużej owczarni. Przywieźliśmy ze sobą trochę wyfasowanego chleba, mąki i mięsa. Nie miałyśmy natomiast żadnego kociołka czy też innego naczynia, w którym można byłoby gotować jedzenie. Na migi porozumiałyśmy się jakoś z kazachską kobietą, która z mężem mieszkała w lepiance obok „naszej” owczarni. Pozwoliła nam gotować w swoim kotle. Wydelegowałyśmy jedną z nas do gotowania zupy. Do pracy dano nam *wiejalkę*, tj. urządzenie wprawiane w ruch przy pomocy korby obracanej ręcznie. Wsypywało się do niego owies, który kolejno spadał na kilka sit będących w ruchu. Na sitach tych odbywało się oddzielanie ziarna od zanieczyszczeń i pośladu. Plewy natomiast, wytwarzanym w urządzeniu podmuchem, odwiewane były na sporą odległość. Wyczyszczone ziarno przenosiłyśmy na drugi koniec owczarni, a plewy i zanieczyszczenia wynosiłyśmy na zewnątrz. Miesiąc, a może i dłużej, trwała nasza praca przy *wiejalce*. Od czasu do czasu przyjeżdżał z fermy Kabij Tiulebajew, by sprawdzać, jak postępuje praca. Kiedyś pod wieczór zaczął padać deszcz. Ułożyłyśmy się już do snu. Początkowo słyszałyśmy padanie kropli na dach, potem zaczęłyśmy czuć ich spadanie. Stało się jasne, że dach jest dziurawy. Pojedyncze krople w niedługim czasie zamieniły się w strugi. Trzeba było szybko wstawać, związać legowisko i szukać miejsca pod dachem, gdzie woda nie lałaby się na głowę. Rozpoczęła się wędrówka po hałdzie owsa zgromadzonej w owczarni. Chciałyśmy w końcu chronić już tylko naszą pościel. Takiego miejsca nie było. Usiadłyśmy na zwiniętej pościeli i mokłyśmy beznadziejnie, nie mogąc w żaden sposób znaleźć recepty na zaistniałą sytuację. Nie było parasolki, ani nawet worka, którym można byłoby się nakryć. Do dyspozycji miałyśmy jedynie łopaty i żelazne wiadro, tzw. *pudowkę* (można było nim odmierzyć pud, czyli 16 kilogramów produktów sypkich). Przed wszystkim panowały jednak kompletne ciemności. Wprawdzie miałyśmy zapalki, ale nie miałyśmy ani latarni, ani bodaj świeczki. Żadna z nas nie zmrużyła oka. Wraz z nocą skończył się deszcz, rano wyjrzało słońce, zaczęło suszyć nas i owies.

Mama od czasu do czasu wysyłała do nas z jedzeniem Lale. Raz przywiezła nam prawdziwy luksus – pierogi. Przyjechała wtedy jakimś przygodnym transportem i nocowała z nami na zbożu w owczarni.

Często nawiedzała nas kazachska kobieta, u której gotowałyśmy. Była w wieku około 50 lat. Twarz miała jakby prostokątną, pomarszczoną. Na głowie nosiła biały zawój, ubierała się w długą białą suknię z płótna, która utraciłszy swój pierwotny kolor, była właściwie szara. Mąż jej, jak zorientowałyśmy się, był stróżem państwowego mienia w Karaczyliku, tj. pustych w owym czasie lepianek i owczarni. Kobieta coś tłumaczyła nam po kazachsku, gestykulowała. Zrozumiwałyśmy, że chce, by dać jej owsa. Przyszła z dużą tacą. Miała kury i cielę, które wskazywała wciąż palcem. Wygarniała dotąd spod drzwi owczarni tyle owsa, ile się tylko dało. My nie mogłyśmy jej dać owsa z zasobów zgromadzonych w owczarni. Nie wiedziałyśmy, czy nie mamy do czynienia z prowokacją. Kiedyś przyniosła nam miseczkę krowiego mle-

ka. Nie wiadomo było, czy jest wyrachowana, czy szuka przyjacielskiego zbliżenia. Często siadywała przed swoją lepianką i śpiewała, zawodząc charakterystycznie. Jednocześnie płakała. Gdy znalazła się okazja, tłumaczyła nam po swojemu, że ma jedynego syna, który jest w armii. Nazywałyśmy ją Cudna.

Noce były coraz chłodniejsze, a niebo jakby bardziej gwiaździste. W to niebo wpatrywałyśmy się wieczorem, myśląc, że łączy ono nas i naszego Ojca, który, jeśli gdzieś żyje, ogląda je jak my, a wtedy myśli o nas. Mimo woli rodziło się modlitewne westchnienie do Boga, by pozwolił nam kiedyś odzyskać Ojca.

Nasza praca skończyła się, kierownik gospodarstwa uznał, że owies został oczyszczony. Przyjechała podwoda i zabrała nas z rzeczami na fermę.

Pod koniec października zaczął padać śnieg i to był początek zimy. Opady były duże i mrozy tęgie. W zimie oprócz pracy przy owcach zgromadzonych w owczarniach na fermie i w Karaczyliku oraz przy zwożeniu siana nie było innego zajęcia. Zdarzały się natomiast dorywcze prace: jakiś transport, praca w magazynie lub przy odrzucaniu lub utwardzaniu śniegu na ciągach komunikacyjnych. Szczególnie ciężka była praca *sienowozów*. Siano pozostawiane było w stertach w rejonie skoszenia, tj. w promieniu 10–12 kilometrów od fermy. Nie było ustalonych dróg bitych do tych stert. Drogi te trzeba było w śniegu zrobić. Pędzono więc luzem kilka wołów roboczych, za nimi postępowała kolumna kilku nieobciążonych sań zaprzęzonych w woły. Każde sanie ciągnął jeden wół. Kazach jadący na saniach co jakiś czas wbił w śnieg gałęzie, by zaznaczyć przebieg wytyczanego szlaku. Następnego dnia można już było jechać po siano. Przy większych odległościach takie torowanie drogi mogło trwać dwa, a nawet trzy dni, szczególnie wtedy, gdy woły były w złej kondycji, a śnieg głęboki. Wobec krótkości dnia w zimie grupa *sienowozów* wyjeżdżała już nocą, by dowieźć siano do fermy w porze porannej. Wybieranie siana ze sterty też nastęrczało wiele trudności. Była ona z reguły mocno zawiana śniegiem. Ten trzeba było z mozołem odrzucić. Potem był spory problem z zestaloną, oblodzoną powierzchnią warstwą siana. Przez zrobiony w niej zwykle z trudem wylom siano trzeba było wydzierać i układać na saniach. Zwykle starano się, by w pobliżu fermy stworzony był zapas siana na czas, gdy dojazd do stert stawał się ze względów pogodowych niemożliwy.

Z nadejściem zimy nastąpiły dla Polaków ciężkie dni. Nie było dla nich pracy, a więc nie należał się im ani chleb, ani mąka zamiast niego. Działo się to wedle reguły komunistycznej pragmatyki społecznej:  *kto nie robotajet, tot nie iest* (kto nie pracuje, ten nie je). Dlatego też musiałyśmy odwiedzać kolchoz nowotroicki w poszukiwaniu żywności. Otrzymałyśmy co prawda kilka paczek od wujka Michała (np. z mąką), ale ich zawartości nie starczyło na długo dla pięciu osób.

Dokuczalo nam dotkliwie zimno. Nasze kwatery były albo nieopalone w ogóle, albo w stopniu dalece niedostatecznym. Nie mieliśmy opału. *Uprawlajuszczy* zarządził, by przywieziono Polakom opał, ale to, co dostarczono, nie nadawało się do palenia. Były to bowiem świeżo ścięte nad rzeką gałęzie wiklinowe. My starałyśmy się ciąć je nożem na krótkie patyki, które trzeba było jeszcze porozszczępiać.

Otrzymane w ten sposób cienkie drewnienka podsuszało się na rozgrzanej blasze kuchni podczas gotowania zupy. Bez takiej procedury ociekały wodą i nie chciały się palić. Wedle zarządzenia *uprawlajuszczo* przywieziono nam jedne czy dwoje niewielkich sań owych gałęzi i zaraz potem sumienie urzędników sowchozu zostało uspokojone, ale czy taka ilość opału mogła zaspokoić potrzeby tylu rodzin w czasie długiej i ciężkiej kazachskiej zimy?

Broniąc się przez zimnem, chwytałyśmy się różnych sposobów. My robiłyśmy skoki na opał w trakcie największych zawiei śnieżnych. Otóż około 100 metrów przed frontem domu, w którym mieszkaliśmy, były kojce z plecionymi z wikliny ogrodzeniami. W tych kojcach przeprowadzane były na wiosnę kąpiele owiec w środkach chemicznych. Kiedyś w trójkę, tzn. Marychna, Marylka Antonowna i ja, brnąc wśród zamieci w śniegu po kolana, wylamywałyśmy gałęzie z płotu i znosiłyśmy do naszej kwatery. Układałyśmy je tak, by dla wchodzącego do izby były niewidoczne. Gdyby je spostrzegł jakiś Kazach przychodzący rano, by wołać na przykład pana Antonowa do pracy, nie można byłoby przekonująco wytłumaczyć obecności suchego opału w pomieszczeniu. O naszym pomysle na zdobycie wysuszonego opału nie opowiadałyśmy ziomkom, którzy celowo lub przypadkowo mogliby wygadać się przed *uprawlajuszczym*. Robiłyśmy też polowania na *objedki*. Tak nazywano twarde łodygi traw, a nawet jakby niewielkie zdrewniałe krzewy, które pozostawały z siana danego do jedzenia owcom. Najmłodsza z nas, mało zauważalna Lala, biegła z jakąś płachetką na miejsce, gdzie był wybieg dla owiec. Tam były cenne dla nas *objedki*. Te doskonale nadawały się do palenia. Trzeba je było czymś szybko zgrabić, ile się tylko dało, ułożyć na kawałku płachty i szybko biec do domu, by nie wpaść w oko *czabanowi* lub komuś z pracującej aktualnie przy zwierzętach obsługi, która z reguły też gustowała w dobrze palących się *objedkach*. Kiedyś takie *objedki* Lala zawinęła w należący do Janeczki przeciwdeszczowy płaszcz, który kupili jej rodzice, gdy zaczynała naukę w gimnazjum. Zamierzała uchodzić ze zdobyczą, ale nakrył ją *czaban* i zarekwirował nie tylko patyki, ale także płaszcz. Ten wprawdzie nie był nowy, ale był cennym nakryciem i skutecznie chronił przed deszczem. *Czaban* mimo naszego upominania się płaszcz nie zwrócił. Poza upominaniem się nie miałyśmy innego sposobu rewindykacji. Mama poszła prosić o interwencję *uprawlajuszczo* Papazowa, ale ten, ironizując, odesłał ją z przysłowiowym kwitkiem. W końcu trzeba było przyjąć do wiadomości fakt słabo uzasadnionego rabunku. Banalne kiedy indziej i gdzie indziej wydarzenie było dla nas w kazachskiej głuszy powodem do upokarzającego uczucia niesprawiedliwości. Zrabowano nam jedną z rzeczy niezwykle przydatnych, należących do naszego skromnego wyposażenia. Na dobitkę przecież Kazachowie mieli ciepło w swoich lepiankach, bo palili energicznym *kiziakiem*, a nie nędznymi *objedkami*.

W trakcie zimowego pobytu owiec w owczarni tworzyła się gruba 30–40-centymetrowa warstwa podłoża z mocno udeptanych ich odchodów. Dopiero na wiosnę, gdy owce wypędzano na step i obory pustoszały, Kazachowie zabierali się do czyszczenia koszar i usuwania zbrylonego, udeptanego nogami zwierząt, nasiąk-

niętego moczem owego podłoża. Była to owcza forma *kiziaku*. Z tego *kiziakowatego* podłoża wykrawano kostki cennego opału. Owczarnia podzielona była na działki między Kazachów. Każdy z nich eksploatował swoją działkę, ładował kostki na wóz i składał je obok swojej lepianki. Tu też odbywało się suszenie wilgotnego paliwa. Dalej opiekowała się nim żona Kazacha. W letnim upale *kiziak* wysychał i wówczas wymagał oblepienia go świeżym krowim łajnem. Kobieta kazachska nie omijała żadnej okazji do zbierania łajna. W sprzyjających okolicznościach starała się podstawić krowie pod ogon jakiegokolwiek naczynie i zaraz potem złapaną zawartość z impetem rzucała na stos *kiziaku*, póki go nie pokryła całkowicie. Łajno, zasychając, tworzyło niezawodną, ochronną skorupę, która nie przepuszczała ani deszczu, ani śniegu. W zimie w takim stosie robiony był niewielki otwór, przez który z wnętrza owego zabezpieczonego przed wpływami atmosferycznymi stosu wyciągane były kawałki *kiziaku*. Pilnie starano się nie naruszyć skutecznej warstwy ochronnej i zachowywano ją do czasu zużycia zapasu paliwa. Warstwę pokrywającą zużywano na końcu. Kazachowie, którzy nie mieli szczęścia partycypować w podziale nawozu z owczarni, musieli sami robić sobie *kiziak*. Warunkiem było posiadanie krowy i Kazachowie mieli zwykle po jednej krowie. *Kiziak* stanowił mieszaninę słomy, łajna krowiego i wody. Na podwórku rozrabiano łajno z wodą, by miało rzadką konsystencję, i mieszano je ze słomą lub plewami. Do mieszania takiej masy używali albo nóg chodzącego po niej wołu albo mieszały masę, chodząc po niej własnymi nogami. Wkładali ją potem do drewnianej formy bez dna, uprzednio polewając ją wodą. Po jakimś czasie, po podniesieniu formy, na trawie pozostawały kostki, schnące następnie na słońcu przez najgorętsze letnie miesiące. Takie dokładnie wyschnięte kostki Kazachowie układali w sterty, stosy i w wieżyczki. Kazaszki oklejały je łajnem i miały *kiziakowy* opał, ale innego rodzaju niż opał pochodzący z odchodów owczych. W następne lata i my musiałyśmy się zaopatrzyć w tego rodzaju opał, by przetrwać zimę. Nawóz otrzymywałyśmy z sowchozu, jak również słomę. Do materiału musiałyśmy dolożyć własną pracę. Formę pożyczył nam Kazach. Łopatką zagarniałyśmy napotkane świeże łajno, niezagospodarowane przez Kazachów, by okleić na zimę nasz stosik *kiziaku*. Kiedyś Lala ze swoją rówieśnicą, małą Niemką, usiłowały zebrać rękami napotkane „złoto”. Zobaczyła to Kazaszka i ruszyła w ich stronę, by odebrać im zdobycz. Lala i Niemka rzuciły się do ucieczki, zaś cenny materiał paliwowy przeciekał im między palcami. *Kiziak* był dobrym opałem. Pewnie jego wartość energetyczna zbliżona była do wartości energetycznej torfu. Zdumiewające było dla nas to, że *kiziak* przy spalaniu nie wydzieliał żadnego zapachu, a przecież ze względu na skład mógł sugerować coś niezdrowego dla nosa.

Nie miałyśmy odpowiedniego na kazachskie mrozy ubrania i obuwia. Mrozy były duże. Nie miałyśmy termometru, by określić spadki temperatury w stopniach Celsjusza. Opady śniegu w zimie były obfite, deszczów zaś w innych porach roku mało. Kazachowie na zimowy czas mieli kozuchowe spodnie i kurtki. Tych nie wyprawiano starannie, ale z grubsza. Wyglądały tak, jakby były na nich rdzawe ślady krwi. Farbowane nie były. Mężczyźni na głowach nosili czapy lisie z wiszącym do

połowy pleców półkolistym płatem. Te czapy doskonale chroniły od wiatru i zimna. Niektórzy Kazachowie w zimie zajmowali się amatorsko polowaniem z sokołem na lisy. Oczywiście sokół trzymany był na ręku na drewnianym stelażyku i miał kapturek na głowie. Kazach jadący z sokołem konno, gdy miał już lisa w polu widzenia, zdejmował ów kapturek sokołowi z głowy. Samego polowania nie widziałam, ale często spotykałam Kazacha jadącego z sokołem. Niemal wszyscy Kazachowie w naszym otoczeniu mieli lisie czapy. Nawet my też przed wyjazdem z ZSRR kupiliśmy u Kazacha lisią skórkę, która choć wyprawiona niedokładnie domowym sposobem, służyła za kołnierz do zimowego palta.

Najstosowniejszym obuwiem na kazachskie warunki zimowe były *walonki* nazywane też *pimami*. Wszyscy tamtejsi ludzie mieli ten rodzaj obuwia z nakładanymi często na okolice stóp kaloszami. Te kalosze wydatnie przedłużały żywot *walonkom*. *Walonki*, rodzaj butów z cholewami, sporządzone były z usztywnionego wojłoku. Praktyczne były jedynie w przypadku suchego śniegu. W wilgotnym środowisku, niestety, przemakały bardzo szybko. Wtedy niezbędne były, jako uzupełnienie, kalosze.

Niektórzy ludzie z naszego otoczenia zimą i latem chodzili w baranich skórkach i grubych wełnianych skarpetkach robionych ręcznie na drutach. Był taki Rosjanin – Mikołaj Szewcow, który pracował w lecie przy sianokosach w Dżyldykarze, czyli 1. fermie, jako *prycepszczyk*, tj. asystent traktorzysty do obsługi urządzeń towarzyszących, np. przy zgarnianiu siana *wołokuszą*, czy też jako operator innych maszyn w trakcie akcji siewnych lub żniwnych. Zarabiał ze wszystkich zatrudnionych najwięcej, nie licząc traktorzystów czy kombajnistów. W lecie i w zimie nosił kozuchowe spodnie, kufajkę, zaś na głowie ciepłą czapę. W tym ubraniu roiło się od insektów. Kiedyś pan Antonow zaofiarował się, że swoją maszynką zgoli Szewcowowi włosy na głowie. Gdy golenie zostało ukończone, okazało się, że głowa Szewcowa pokryta była strupami stanowiącymi efekt działalności wszy. Podobnymi strupami pokryte zresztą było całe ciało Szewcowa. Człowiek ten był wyjątkowo zaniedbany. Chyba nie miał żony. Mieszkał kątem u jakiegoś Kazacha. Miesiącami się nie mył i nie golił, był za to najlepszym pracownikiem. Wykonywał 100% normy. Gdy mu się podarły spodnie, świecił gołymi pośladkami. Nie budziło to ani zdziwienia, ani zgorzenia. Nie budził też swym widokiem zainteresowania traktorzysty czy inny robotnik w podartej koszuli albo w spodniach błyszczących od smarów. Taki widok był czymś normalnym. U Kazachów też nie brakowało wszy. Kazachskie kobiety, siedzące w lecie w kolejce przed sklepem, oczekując na przywiezienie towaru, urządziły jedna drugiej polowanie we włosach na wszy przy pomocy noża, na którym je zabijały. Wszystko to działo się publicznie na oczach przechodniów i nie budziło żenady. My, niestety, też musiałyśmy doświadczyć roli żywicieli wszy. Było to kolejnej zimy, gdy kilka kobiet, nas oraz Niemkę, Olę Bifeld, i Seweryna Patana oddelegowano do Karaczyliku do czyszczenia ziarna. Tym razem ziarno było w magazynie, który tam w czasie ubiegłego lata wybudowano. Był to już okres, gdy zaczęła się wojna niemiecko-radziecka. Na fermę przywieziono kolejnych przesiedleńców, tzn. Niemców rosyjskich znad Wołgi. Z tej grupy właśnie



pochodziła Niemka, która była wraz z nami zaangażowana do prac przy ziarnie. W Karaczyliku nie było jakiegoś oddzielnego pomieszczenia nadającego się na kwatery dla nas. Zostaliśmy wtłoczeni do izby Kazacha już nam znajomego, pełniącego funkcję stróża. Jak już wspomniałam, mieszkał on tylko z żoną. Do izby wchodziło się przez obórkę dla krowy. Tak widocznie było lepiej i cieplej. W izbie było tylko łóżko i piec z wbudowanym kotłem. O ścianę oparty był okrągły stół na bardzo niskich nóżkach, jak się wydaje, chyba niewykorzystywany. Przy takim małym i niskim stole Kazachowie siadali po turecku na rozłożonych wołokowych matach i jadali posiłki. My rozłożyliśmy na polepie (bo podłogi nie było) słomę, na której rozścielaliśmy sobie do spania koce. Było też miejsce dla Seweryna Patana.

Zwykle wieczorem, po kolacji, którą przygotowywała pani Zalewska, urządzaliśmy przegląd naszej dziennej bielizny. Tłukliśmy gnieźdzące się w niej wszy. Kazachowie robili to samo. Co wieczór czynność ta, niestety, musiała być powtarzana. Skąd brały się u nas wszy? Czy tak pełno ich było w tej chałupie, że pieszo wędrowały do naszej słomy i dobierały się do naszych ubrań i do nas? Nie wiem. Można było odnieść w tamtym czasie wrażenie, że te insekty stanowiły niezbędny element kulturowy społeczeństwa, do którego rzucił nas los.

Po powrocie na fermę, do domu, nasze odzienie musiało powędrować do kotła z wrzącą wodą, a głowę trzeba było poddać szczegółowemu i długotrwałemu przeglądowi. Na fermie można się było gruntownie umyć i wyszorować. W Karaczyliku nie było żadnej możliwości uprawiania rozwiniętej toalety. Można było umyć jedynie twarz i ręce pod strumyczkiem wody płynącej z przechylonego kubelka.

Ferma miała drewnianą łaźnię, ale rzadko ją uruchamiano. Nie było czym palić. Po wodę do picia i gotowania trzeba było chodzić około 200 metrów do źródła na skraju naszego *chutoru* (osiedla). Natomiast wodę do kąpieli można było przynieść z rzeczki, która płynęła w dolinie. Dojście do niej było niełatwe, a z wodą w wiadrach trzeba się było piąć pod górę.

Pewnego razu, po skończonych robotach polowych, Polacy postanowili wykąpać się w łaźni. Był to mały budynek, a w nim niewielkie pomieszczenie, w którym najważniejszy był piec. W piecu paliło się na zewnątrz budynku. Natomiast wewnątrz był kocioł z wodą, która się ogrzewała. Poza tym w ścianie pieca, wewnątrz pomieszczenia, był niewielki otwór, zaś naprzeciw niego rodzaj drewnianych schodów.

Przyszła kolej na naszą kąpiel. Byliśmy już obie z Marychną umyte, gdy obsługująca łaźnię pani Otrębska zaproponowała nam procedurę parową kąpieli. Zaraz potem lunęła wiadro wody w otwór pieca. Zasyczało okrutnie. Buchnęła para, niestety, wprost na Marychnę, która siedziała nago naprzeciw pieca. Wydarzenie trwało moment, ale wystarczyło, by Marychna doznała oparzenia dużej części ciała. Gdy przyszła do domu, miała bąble na piersiach, brzuchu, rękach, nogach i twarzy. Mama smarowała ją tłuszczem, dmuchała, ale niewiele to pomagało. Marychna i Mama nie spały całą noc. Rano Marychna miała temperaturę. Pani Marylka Antonowna poradziła, by odwieźć ofiarę poparzenia do szpitala w Tas-Bułaku. Mama poszła

do *uprawlajuszczego* prosić o podwodę. Ten dał nawet *tielezkę*, tj. lekki wózek, do którego zaprzęgano konie. Był to pojazd najszybszy spośród dostępnych. Powoził młody Kazach. Do szpitala przyjęła Marychnę lekarka. Naturalnie szpital ów nie był placówką na miarę ośrodka leczniczego w centrum wielkiego skupiska mieszkańców w tak zwanym cywilizowanym świecie, miał on zaledwie kilka łóżek przygotowanych dla ewentualnych pacjentów. A jak leczono w nim rozległe oparzenia? Ano poprzecinano wszystkie pęcherze, a następnie posmarowano uwolnioną od chłonki warstwę skóry roztworem nadmanganianu potasu. Po takim zabiegu piekący ból był nie do zniesienia, z jego powodu Marychna nie mogła się powstrzymać od krzyku. Nie nakrywano jej żadną pościelą, natomiast miała zainstalowaną na całej długości łóżka budkę z wikliny, która okryta była kołdrą. Myślałyśmy, że po takim oparzeniu będą olbrzymie blizny, tymczasem wydarzenie nie pozostawiło żadnego śladu na skórze. Trzeba przyznać, że zastosowana metoda terapeutyczna okazała się bardzo skuteczna. Marychna pozostawała pod opieką lekarza w szpitalu blisko półtora tygodnia.

Generalnie Polacy w zimie nie pracowali, bo nie było dla nich pracy, jednak bywały odstępstwa od tej zasady. Czasem zależało kierownikowi fermy na wykonaniu jakiejś pracy i chcąc zmobilizować ludzi do jakiegoś niewdzięcznego zadania wymyślał zachętę. Kiedyś na przykład taką zachętą dla ewentualnych uczestników wyprawy do przetransportowania zboża z sowchozu Myn-Buлак była możliwość otrzymania należnego przydziału mąki jak za cały miesiąc, choć wyprawa miała trwać tylko trzy lub cztery dni. Kierownik Kabij Tiulebajew chodził od kwatery do kwatery i starał się wymusić udział w tej wyprawie. Nie było do niej chętnych. Obiecywał usilnie w nagrodę dodatkowy *pajok*. Po rodzinnej naradzie ustaliliśmy, że pojedą ja – i tak też się stało. Odziałam się w ojcowskie spodnie bryczesy i buty z cholewami. Buty były na mnie o kilka numerów za duże. Okręciłam więc nogi szmatami, szmatami też obszyłam buty na zewnątrz, by zatrzymać w nich jak najwięcej ciepła. Na głowę włożyłam wełnianą pilotkę i chustkę, a na ręce rękawiczki włóczkowe.

Wyjechaliśmy z fermy w konwoju składającym się z 12 sań. Każde sanie ciągnął jeden wół. Sanie były łączone parami. Do pierwszych sań przywiązany był wół z następnych sań, do sań trzecich przywiązany był wół czwartych, piąte sanie sprzężone były z szóstymi itd. Osoba kierująca siedziała na pierwszych saniach każdego zespołu. Potrzeba więc było sześciu osób i taką też grupę udało się zebrać Kabijowi. W jej skład wchodził czterech Kazachowie, wspomniana Olga Bifeld oraz ja. By dotrzeć do sowchozu Myn-Buлак, musieliśmy przebyć dystans około 70 kilometrów. Droga, którą jechaliśmy, nie była bita, nie jeździły nią samochody, a tylko sanie zaprzężone w woły lub konie. Łączyła nieliczne osady, *chutory*, leżące w znacznym oddaleniu od siebie. Gdy jechaliśmy „tam”, choć przejeżdżaliśmy rzeczki wpław (ponieważ nigdzie nie było mostów), choć nie zawsze dobrze widoczna była droga i zimno nam dokuczało, nie było najgorzej. Kazachowie wynajdywali takie miejsca, w których woda nie sięgała powyżej sań i nie lała się nam do butów. Co jakiś czas zatrzymy-

wali się w napotykaną chałupie na *czaj*, a także w takich kazachskich chałupach nocowaliśmy. U Kazachów był zwyczaj, że każdego potrzebującego noclegu czy odpoczynku podróznego przyjmowano jako gościa, częstowano herbatą podawaną przez kazachską gospodynię w bardzo niewielkich ilościach w małych, drewnianych czy porcelanowych (w zależności od zamożności gospodarzy) miseczkach z dodatkiem mleka, bez cukru. Do herbaty najczęściej podawany bywał placek pieczony tak jak chleb lub *boursak*, albo też suszone serki owcze. *Boursak* to smażone na baranym łożu drożdżowe ciasto w kształcie kulek wielkości włoskiego orzecha. Goście i gospodarze siedzieli z nogami skrzyżowanymi po turecku przy niskim, okrągłym stole na podłodze zasłanej matami. Pani domu urzędowała przy piecu, z którego wygarniała na polepę żarzące się jeszcze kawałki *kiziaku*, na nich ustawiała czajnik, by mieć na bieżąco wrzącą wodę do zaparzania kolejnych porcji herbaty. Wypijano nawet po kilkanaście czarek.

Gdy oczywiście tacy przygodni goście trafiali na ostatni posiłek przed nocą, a był on bardzo obfity, wtedy byli częstowani i zupą na baranym rosolu (*kożq*). Na gotujący się rosół rzucane były kawałki ciasta. Potem podawano gotowane mięso baranie wyłożone na misę. Gospodarz domu jako pierwszy, zwykle najstarszy w rodzinie, ogryzał kości, następnie w dowód poważania podawał je do dalszego ogryzania najważniejszemu czy najstarszemu gościowi. Ten przekazywał je kolejnym biesiadnikom. Po ceremonii z kością zabierano się do pozostałego mięsa i jedzono je rękami. Ręce przed jedzeniem myto pod strumieniem wody z czajnika. Jedzeniu towarzyszyło głośnie wciąganie do ust mięsa ociekającego rosolem. Na zakończenie pito *czaj*. Nie było osobnego miejsca do spania. Zasypano tam, gdzie siadano na wojłokowej podściółce. Ubrań nie zdejmowało się, chyba, że mocno wzrastała temperatura. Kazachowie rozbierali się do koszuli i gatek. Obie z Olgą Bifeld w chałupie kazachskiej, gdzie stanęliśmy na nocleg, przesiedziałyśmy pod oknem na matach całą noc, nie zmrużywszy oka. Nie zdjęłyśmy obuwia, bo nie wyschłoby. W pomieszczeniu nie było zbyt ciepło. Miałymy z sobą trochę jedzenia, tj. kilka mącznych placków pieczonych na blasze. Tymi plackami dożywiałyśmy się. Pozostawanie wyłącznie na *czaju* używanym przez Kazachów na trasie naszej wyprawy byłoby nader słabym sposobem oszukiwania uczucia permanentnego zgłodnienia. Kazachowie, nasi towarzysze z konwoju, też mieli swój chleb zwany *nan* i gotowaną baraninę. Gdy dojechaliliśmy do Myn-Bułaku, Kazachowie odszukali magazyn zbożowy, w którym załadowaliśmy nasze sanie workami pszenicy. Na każdych saniach zmieściło się cztery do pięciu worków.

Droga powrotna okazała się trudniejsza. Zaczął padać śnieg i wiać wiatr. Żółtim krokiem nasza karawana posuwała się po śnieżnym bezkresie. Woły ledwo ciągnęły nałożone ciężary, choć droga była raczej bez większych wzniesień. Ciągnęliśmy doliną między dwoma pasmami gór. Znów wstępowaliśmy do kazachskich chałup. Popijaliśmy *czaj*, nasi Kazachowie za każdym razem wiedli ożywione rozmowy z gospodarzami. Wyglądało na to, że dawno się znają. Znów nocowaliśmy. Olga i ja tym razem byłyśmy bardziej zmarznięte i przemoczone. Próbowaliśmy suszyć obu-

wie, licząc na ciepło w chacie. Nasi Kazachowie nie przejmowali się daleką drogą ani złą pogodą. Najgorszy był odcinek w drugiej połowie drogi, gdy woły zupełnie osłabły. Z sań słabych wołów przerzucono worki na sanie, przy których woły wydawały się silniejsze. Dwa zaprzęgi okazały się do niczego. Szliśmy pieszo, brnąc w śniegu. Wiatr zasypywał nam zupełnie drogę śniegiem, przesywał nas jakby na wylot, smaگاł twarz bezlitośnie. Musieliśmy wydeptywać drogę przed zaprzęgami. Wielokrotnie woły nie trafiały na twarde podłoże, zapadały się w śnieg. Trzeba było je wyciągać. Wszystko to opóźniało jazdę. Miałam mokre i zamrożone na nogach buty, mokre rękawiczki. Pomyślałam, że muszę iść. Gdybym choć na trochę usiadła, odmroziłabym nogi. Wzdychałam w duchu do Boga, bym mogła dojechać do swoich bliskich szczęśliwie, choć wydawało mi się to wówczas prawie niemożliwe. Przed nami biel śniegu i śnieżna zamieć groźna dla życia. Dobrze, że byli z nami Kazachowie, którzy przecież przyzwyczajeni byli do tego żywiołu burz śnieżnych. Wyraźnie nie tracili orientacji i okazywali się odporni fizycznie i psychicznie. Nie dojeżdżając do fermy, gdy mieliśmy jeszcze może piętnaście kilometrów do celu, spotkaliśmy jadących nam naprzeciw konno *uprawlajuszczo* Papazowa i *zawchoza* Tiulebajewa. Byli zaniepokojeni tym, że długo nie wracamy. Jakoś raźniej zrobiło mi się na duszy i wstąpiła we mnie wiara, że pokonamy trudności i być może jeszcze w tym samym dniu będziemy w domu. *Uprawlajuszczy* rozmawiał po kazachsku z Kazachami. Właściwie to ci konni nie mogli nam wiele pomóc w transporcie. Można było zdecydować się na pozostawienie części ładunku na drodze do następnego dnia. Na to się jednak nie zdecydowano. Mieliśmy natomiast znaczącą pomoc z ich strony w trakcie przeprawy przez rzeczkę, była ona rzeczywiście sporym problemem. Po obu stronach rzeczki ustawili się Kazachowie i swoim specyficznym krzykiem na całe gardło dopingowali woły do wysiłku, by nie stanęły pośrodku rzeczki lub nie przystały w połowie podejścia po przebyciu wodnej przeszkody. Ten sposób był wypraktykowany przez Kazachów i rzeczywiście zwierzęta jakby zwielokrotniły swój wysiłek i osiągnęły drugi brzeg.

Można powiedzieć, że na siłę dowlekliśmy się do fermy. Byłam u kresu wytrzymałości psychicznej i fizycznej. Postanowiłam za żadne obiecywane skarby nie wybierać się więcej na poniewierkę i morderczy wysiłek. Olga Bifeld lepiej zniosła wyprawę ode mnie. Była lepiej odżywiona i lepiej ubrana.

Gdy wybuchła wojna niemiecko-sowiecka w 1941 roku, zabrano do wojska mężczyzn. Wojenna siła wyższa w sposób dramatyczny zabrała sowchozowi wykwalifikowaną siłę roboczą. *Naczalstwo* zmuszone zostało do szukania uzupełnień braków. Rozpoczęło się szkolenie w przyspieszonym tempie nowych kadr. Zorganizowano kurs traktorzystów, na który między innymi zwerbowano młodzież polską obojga płci. Z Dżyldykary na kurs trafiły pani Marylka Antonowna i Marychna, moja siostra. Szkolenie odbywało się w Tas-Bułaku, kursantów zakwaterowano w internacie (*obszczeżytu*), zapewniono wyżywienie. Wykładowcą był Rosjanin, kierownik bazy remontowej (*mastierskoj*), z wykształcenia inżynier-mechanik. Program obejmował teorię i zajęcia praktyczne. Co tu dużo mówić, stało się wnet jasne, że do zajęcia traktorzysty sposobniejsi byli mężczyźni. Gdyby chodziło o samo kierowanie trak-

torem, kobiety poradziłyby sobie, ale chodziło również o różne bieżące naprawy, wymagające sporego wysiłku fizycznego przy podnoszeniu niejednego ciężkiego elementu. Traktorzysta musiał w większości wypadków sam dbać o bieżący serwis swojej maszyny. Marylka Antonowna szczęśliwie nie była w końcu zmuszona pracować jako traktorzystka. Sowchoz w inny sposób wykorzystał jej przeszkolenie. Zaproponowano jej pracę magazyniera w warsztatach naprawczych traktorów i innych maszyn rolniczych w Tas-Bułaku. Marylka oczywiście przyjęła tę propozycję (z zawodu była księgową). W związku z tym rodzina Antonowych przeniosła się do Tas-Bułaku. Tam również przeniosła się pani Ciupakowa z małymi córeczkami, Renią i Basią. Basia miała zniekształcone stopy, wymagała specjalnego obuwia i opieki, choć tego i tak jej nikt nie mógł zapewnić w sowchozie.

Marychna na wiosnę próbowała pracować jako traktorzystka, ale efekt jej usiłowań był mizerny. Ewentualne sukcesy w znacznej mierze zależały od traktora, na którym miała pracować. Wśród przydzielanych bywały takie, które wyłącznie doznawały awarii.

W trakcie sianokosów Marychna miała być *zaprawszczykiem*, gdy do wojska miał być powołany Kazach, który pracował na tym stanowisku. Praca polegała na zaopatrywaniu traktorów w paliwo płynne. *Zaprawszczyk* był materialnie odpowiedzialny za obrót paliwem (tzn. *kierosinem*) na brygadzie. *Kierosin* był dowożony z Ajaguzza bezpośrednio na brygadę, gdzie naturalnie nie było wagi i nie można było stwierdzić, ile jest go faktycznie w docierających na step beczkach. *Zaprawszczyk* zdany był wyłącznie na informacje kierownika bazy w Ajaguzie. Kierownik ten zapisywał kredą na beczkach ich wagę brutto, netto, uwzględniając też tarę. Jasne było, że zapisane dane należało przyjąć jako wygodną dla owego kierownika propozycję magazynową, której w żaden sposób na stepie nie można było zweryfikować. Kierownik miał swój sposób radzenia sobie w życiu, powinien też być znaleźć swoją receptę na życie *zaprawszczyk*. Z całą pewnością należało dążyć do bezpiecznego porządku w papierowej sprawozdawczości. Marychna stan początkowy paliwa przyjęła według protokołu swego poprzednika i starała się wywiązać z obowiązków, które na siebie wzięła. Rzecz nie należała do łatwych. Często pomagałam jej w tej pracy. Paliwo nalewało się z beczki do wiadra, tocząc ją nad dołek, w którym to wiadro należało ustawić. Rzecz wymagała precyzji. Trzeba było beczkę w trakcie toczenia ustawić tak, by otwór w niej wypadł dokładnie nad wiadrem. Gdy wiadro było pełne, cofało się beczkę i unieruchamiała, podstawiając pod nią kamień czy coś innego. Z wiadrem trzeba było dojść do miejsca, gdzie ustawione były traktory. Trzeba było przebyć sporą przestrzeń, ustaloną przez przepisy przeciwpożarowe, następnie wspiąć się na traktor i zmierzwszy uprzednio stan paliwa w zbiorniku miarką, dolać do pełna. Ilość dolanego paliwa *zaprawszczyk* każdemu traktorzyście wpisywał do karty, zapis potwierdzał swoim podpisem traktorzysta. Na końcu miesiąca *zaprawszczyk* sporządzał sprawozdanie z obrotu paliwem: przychód, rozchód i stan wynikający z odejmowania. Po zakończeniu prac polowych resztę paliwa odwożono do Tas-Bułaku, gdzie była przyjmowana według wagi przez tamtejszy



magazyn. Był to moment rozliczania się Marychny z prowadzonego przez nią obrotu paliwem. Rozliczenie przedłożyła księgowemu fermy Dżyldykarza, czyli *szczetowodowi*. Stanowisko to piastował w Dżyldykarze Rosjanin, Kondrat Siemionowicz Dołgich. Muszę przyznać, że ten nawet sympatyczny *dieduszka* miał jakby słabość do Polaków. Sympatyzował z nami. Rozumiał naszą sytuację i starał się nam pomóc, o ile oczywiście mógł, chociażby dobrą radą. Widać było po nim, że wiele w życiu przeszedł i z niejednego pieca chleb jadł. Miał na pewno 60 lat. Otóż *dieduszka* po przeanalizowaniu dokumentów i rozliczenia Marychny oświadczył, że doliczył się dużego niedoboru paliwa i sprawa jest bardzo poważna, bo grozi sądem. Rodziło się naturalne w tej sytuacji pytanie: gdzie podziało się paliwo? Konstatacja była prosta – nastąpiło sprzeniewierzenie państwowego dobra. Bardzo przejęliśmy się zaistniałą sytuacją. Marychna tłumaczyła Kondratowi Siemionowiczowi, jak komuś dobru, na jakiej zasadzie odbywało się przyjmowanie paliw. Beczki z jednej strony nigdy nie miały z całą pewnością fakturowej wagi, z drugiej strony na brygadzie nikt nie nadzorował dostępu do nich (szczególnie nocą). Dołgich doskonale o tym wiedział. Nietrudno było wymyślić, że *kierosin* był na potęgę kradziony, ponieważ ludzie tak w Tas-Bułaku, jak i na przyległych fermach, tj. na fermie 4 (tj. bodaj Aktopraku) i w Dżyldykarze, napełniali w swoich domostwach lampy właśnie tym *kierosinem*, a przecież nie był to produkt dostępny w oficjalnej sprzedaży. Część więc strategicznego produktu musiała zniknąć już w bazie w Ajaguzie (wszak kierownik miał swoje potrzeby życiowe do zaspokojenia). Z całą pewnością kolejna porcja zawartości beczek ulatniała się, gdy transportowali je na brygadę furmani, a wreszcie ludziom pracującym aktualnie „na brygadzie” też potrzebne było paliwo do lamp oświetlających ich izby przez długie zimowe miesiące. Być może byłoby jakoś inaczej, gdyby w *kierosin* można było zaopatrzyć się w jakiś legalny sposób. *Dieduszka* okazał się nadzwyczajny. Znalazł wyjście z podbramkowej, a właściwie tragicznej sytuacji. Stwierdził bowiem, że *zaprawszczyk*, od którego Marychna przejęła paliwo, miał nadwyżkę i to według jego wyliczenia dużą. Przypuszczam, że *dieduszka* wykazałby ciągłość w obrotach paliwem „na brygadzie”, zaliczając tę nadwyżkę Marychnie, ale był warunek, by posiadać kopię protokołu zdawczo-odbiorczego, która była w rękach kazachskiego poprzednika mojej siostry. Marychna miała oryginał tego protokołu i przekazała go ze sprawozdaniem *dieduszce*. Okazało się, że Kazach był na komisji wojskowej i jeszcze do wojska nie poszedł. Był „na brygadzie”, bo jeszcze trwały prace. Dla ratowania swojej skóry wytropiliśmy, gdzie Kazach trzymał interesujące nas papiery. Gdy opustoszała budka, w której Kazach miał swoje rzeczy, dobraliśmy się do tych rzeczy, odszukałyśmy kopię protokołu i bezceremonialnie zabraliśmy, by okazać ją *dieduszce*. Gdy oba dokumenty znalazły się obok siebie, *dieduszka* zniszczył oryginał, a my kopię. Marychna została uratowana. Oczywiście przyrzekliśmy sobie nawzajem nie wyjawiać nikomu naszych machinacji. Gdy przywieziono kiedyś wódkę do *ławoczki* (tj. sklepu), postanowiliśmy kupić pół litra tego kontrowersyjnego napoju, a nasza Mama ofiarowała go *dieduszce* w podziękowaniu za przysługę. Prawdę mówiąc, nie wiedziałyśmy dokładnie, jaką karę wymierzyłby sąd

za dopuszczenie do „roztrwonienia” majątku państwowego. Być może potraktowano by sprawę jako kradzież i niedopełnienie swoich obowiązków, a być może zakwalifikowano by ją jako sabotaż gospodarczy. Jakkolwiek by się nie stało, byłoby źle.

Z kolei ja po jakimś czasie zostałam *uczotczykiem*. Miałam dokumentować pracę wykonaną przez każdego pracownika zatrudnionego „na brygadzie”. Nie było to zajęcie tak ciężkie jak stawianie stert siana (bo i to robiłam) czy też inna praca fizyczna. Trzeba było natomiast czasem trochę pochodzić z miarką w kształcie litery A o dwumetrowej rozpiętości „nóg” (czyli z jakby drewnianym cyrklem o unieruchomionych ramionach) i zmierzyć płaszczyznę skoszonego stepu. Całą dokumentację przekazywałam do biura *szcztowodowi* na fermie, czyli *dieduszcze* Dołgich.

W zimie zostałam zatrudniona przy pilnowaniu owiec. Całe stado owiec, a właściwie było ich kilka, zimowało już to w owczarniach Dżyłdykary, już to w Karaczyliku. Moim zadaniem było pilnowanie stada w jednej owczarni w Dżyłdykarze. Owczarnia była bardzo duża, mieściła około 1000 owiec. Z dwóch stron szczytowych była przegrodzona. Z jednej strony umieszczone były woły robocze, te mianowicie, które chodziły w zaprzęgu po siano. W kilku miejscach stały skrzynie zdjęte z wozów. Rozkładano w nich siano. Woły uwiązane były do słupków przy skrzyniach i karmiły się sianem nałożonym do tych skrzyń. Z tej strony też było wejście do owczarni. Poza tym w każdej długiej ścianie były wielkie wrota otwierane w ciągu dnia. Wyprowadzano przez nie na zewnątrz owce. Z drugiej strony szczytowej była przegroda dla wołów roboczych młodszego stada. Co wieczór, gdy ściemniało się, a w zimie zmrok zapadał bardzo wcześnie, musiałam iść do tej owczarni na całą noc. Uważałam się za skazańca, który odbywa karę i musi wyznaczoną pracę wykonywać bez względu na warunki i nieodwołalnie. Jakże nie chciało mi się opuszczać naszej gromadki. Ociągałam się zawsze z wyjściem. Najczęściej wychodziłam wtedy, gdy rodzina sposobila się do spania lub przychodził po mnie czaban. Zabierałam ze sobą z domu koc, bo w owczarni nie było ciepło, a ubranie miałam wiatrem podszyte. Czasami dyżurowały ze mną dla towarzystwa siostry – albo Marychna, albo Janeczka, albo Lala. W części, gdzie uwiązane były woły, wysoko na słupie paliła się naftowa latarnia, rozjaśniając nieco panujące ciemności. Oświetlała otoczenie na tyle, że widać było dokładnie, jak rozłożyły się do spania woły. Pierwszą rzeczą, gdy wchodziłam do owczarni, było zabezpieczenie wrót. Przywiązywałam więc sznurkiem zamykane na haczyk drzwi, by nie można ich było bezszelestnie sforsować. Owce i woły były pilnowane, by ich ktoś nie ukradł. Choćby na przykład wróg komunizmu albo bodaj czaban czabanowi. Po drugie nadzór był potrzebny, by nie dopuścić do inwazji wilków do owczarni. Zastanawiałam się czasem, co mogłabym zrobić wtedy, gdyby przez dach (ta droga była najprawdopodobniejsza) dostały się wilki i zaczęły swym wilczym sposobem mordować owce, które zapewne tratowałyby się w panice, biegając po zagrodzie. Doszłam do wniosku, że użyłabym jedynej dostępnej broni, to jest krzyku. Problem w tym, że krzyk wydobywający się ze ściśniętego przerażeniem gardła byłby pewnie bliższy bzykania owada niż ryku lwa. Może wymyśliłabym bieg do lepianki *czabana*, by szukać u niego pomocy. Oczami wyobraźni widziałam pozagryzane przez

wilki psy *czabańskie*, czuwające przy owczarni. W tych scenariuszach domniemanych wydarzeń jakoś zapomniałam o wołach, które zapewne nie zachowywałyby się biernie wobec wilków. Jakoś nie wyznaczyłam im stosownej roli z użyciem na przykład rogów. Ale na szczęście wilki nie wdarły się do owczarni, choć, prawdę mówiąc, był taki przypadek gdzieś w okolicznych sowchozach. Znając kiepską staranność miłujących komunizm tubylców, nie było trudno domyślać się, że widocznie w lecie dachy zostały źle wzmocnione albo zgoła źle je zbudowano. Ja tymczasem sadowiłam się w jednej ze skrzyń, zbierałam zwykle resztki niezjedzonego przez woły siana i mościłam stanowisko dla siebie. Owijałam się kocem i drzemałam chwilami, modląc się do Boga, który w swej wszechobecności czuwał ze mną. Czasem ktoś targnął drzwiami. Wyskakiwałam ze skrzyni i rzucałam w przestrzeń raczej niespokojne pytanie: kto tam? Okazywało się zwykle, że to *czaban* przychodził kontrolować, czy jestem na stanowisku pracy, zdarzało się też, że nawiedzał owczarnię nawet i sam *owcowod*, czyli główny specjalista od spraw chowu owiec i bydła. *Czaban* wchodził do zagrody owiec i pogwizdywaniem zmuszał je do wstania. Był to chyba rodzaj terapii przy jakiegoś rodzaju schorzeniach, może reumatycznych. Owce leżały na podłożu stworzonym przez ich własne odchody, często wilgotnym. Nie miały żadnej podściółki. Nie lubiłam tych kontroli, bo były zawsze niespodziewane. Obawiałam się, by kontrolujący nie znalazł mnie śpiącej. Zazwyczaj wsłuchiwałam się w odgłosy zwierząt. Owce dziwnie pokasływały czy kichały. Woły pracowicie przeżuwały pokarm. Jeśli w te odgłosy nie wdzierał się jakiś niepokojący dźwięk, znaczyło to, że wszystko w porządku. Niemal w środku nocy zaczynali bębnić do drzwi *sienowozy*. Był to sygnał, że powinnam otworzyć wielkie szczytowe wrota owczarni, odwiązać woły i wyprowadzić je z ich stanowisk, a następnie pognać do wodopoju, tj. do rzeczki, która płynęła w dolince za owczarnią. W zimie rzeczka była naturalnie zamrznięta, więc Kazach szedł ze mną, by zrobić przerębłę. Gdy woły były napojone, wtedy gnałam je z powrotem w kierunku owczarni. Czekali przy niej Kazachowie, którzy zabierali woły i zaprzęgali je do sań. W owczarni pozostawałam do świtu, czyli do czasu zjawienia się dziennej obsługi owiec.

Gdy miało się ku wiosnie, od wczesnych godzin rannych w pomieszczeniach wydzielonych u wejścia do owczarni urzędowała ekipa *wietfelczera*, czyli fermowego weterynarza. W zespole tym zatrudniona była jedna z pań Dobrzańskich. Nie wnikałam w szczegóły jego pracy. Wiedziałam, że zespół zajmował się sztucznym zapładnianiem owiec. W niewielkich odstępach czasu Kazach Ajdabuł chwycił owcę i wprowadzał do tego pomieszczenia zajmowanego przez *wietfelczera*. Wśród stada tymczasem krążyło cały czas kilka kozłów z podwiązanyimi ścierkami podbrzuszkami i wydającymi specyficzne pomruki. Tak Ajdabuł, jak i niektórzy Kazachowie, zwłaszcza zajmujący się hodowlą owiec, mieli jakieś szczególne fizjonomie, bo mocno nawiązujące do fizjonomii owiec. Stanowili oni na mój взгляд jakąś taką owczą odmianę fizjonomii ludzkiej. Bez nadmiernego generalizowania nietrudno było odkryć, że ci *czarnoraboczy* ludzie byli raczej ograniczeni umysłowo.

Najmilszym momentem był powrót z nocnej służby w owczarni do domu. Czasem wchodziłam jeszcze pod miłą pierzynkę, by trochę pospać. Po pierwsze, w kwaterze było bardzo zimno. Zamarzała z reguły woda w wiadrze. Po drugie, nie trzeba się było spieszyć do jedzenia, bo nie było z czego przyrządzać śniadania. Przespany czas skracał oczekiwanie na posiłek.

Dzięki temu, że pracowałam, należał mi się przydział żywności, tj. mąki na jednego pracującego i dwie osoby będące na utrzymaniu. A to już było coś, co nie dawało nam zginąć z głodu.

Jedną ofiarę głodu już wtedy pochowaliśmy. Było nią dziecko pani Różewiczowej, która mieszkała w kwaterze razem z panią Otrębską, Nowakową, Korzeniewską i Weisową. Jak opowiadały współmieszkanki, pani Różewiczowa jakoś marnie zajmowała się tym dzieckiem. Co prawda ono już siedziało, ale nie było należycie odżywione i pielęgnowane. Co dzień panie, za każdym razem inna, dawały mamie garnuszek zupy dla dziecka. To jednak nie wystarczyło. Zimą dziecko zmarło. Wydarzenie było bardzo przykre. Nim zostało pochowane w ziemi, która była głęboko zmrożona, leżało nagie za oknem na mrozie, w jego włosach tkwiły widoczne wszy, które zamarzyły po wystawieniu zmarłego dziecka na mróz. Lala do dziś wspomina, że był to dla niej, też dziecka, widok wstrząsający. Gdy ziemia zmiękła, obdarty jak zwykle Rosjanin Szewcow wykopał na naszą prośbę dół na pagórku, na którym Kazachowie grzebali swoich zmarłych. Wspólnie z panią Marylką zaniostaliśmy w zdobytej gdzieś skrzynce zwłoki tej dzieciны i pochowałyśmy w miejscu przygotowanym przez Szewcowa. Brnęliśmy w głębokim śniegu do oddalonego od *chutoru* cmentarza...

Zapewne pani Różewiczowa nie miała możliwości kupienia u Kazachów mleka, jajek itd. Nie mogła regularnie pracować, pewnie trudno jej było odejść od wprowadzie siedzącego, ale przecież jeszcze niemowlęcia. Próby natomiast pracy dorywczej na fermie najwyraźniej nie dały szczęśliwego rezultatu. Lala pamięta, że Różewiczowa biła małą Krysę *zanoską*, drewnianym prętem, stanowiącym element zaprzęgu. Gdy już dziecka nie było, po jakimś czasie, Różewiczowa związała się z Kazachem z fermy i zamieszkała u niego. Rezydował on w tej samej lepiance, w której my mieszkaliśmy na początku naszego pobytu w Dżyldykarze, chyba już jakoś lepiej zabezpieczonej i wyposażonej. Kazach robił wrażenie człowieka bardzo prymitywnego. Nie wiem, czy umiał czytać i pisać. Dziwiłyśmy się trochę, jak mogła pani Różewiczowa szukać opieki u takiego prymitywa. Różewiczowa nie wróciła z Kazachstanu do Polski i pewnie została w tej zapadłej dziurze, do której przywłókł ją okrutny los. Mama nie pozwalała nam rozmawiać z nią, szczególnie wtedy, gdy okazało się, że jeździ na zastrzyki z arsenu, zaraziwszy się chorobą weneryczną.

Małego syna Zbyszka miała też ze sobą pani Duszkiewiczowa, miał półtora roku, a może dwa lata, i był chyba jakoś mniej podatny na zagrożenia związane z niedostatkiem żywności i surowością warunków życia. Pozostawał często w opiece starszych dzieci, wśród nich Lali, która jakoś nie lubiła wykonywać przy nim charakterystycznych dla tego wieku dziecka czynności higienicznych. I po-

myśleć, że nieco ponad dwadzieścia lat później mieniła się matką trojga swoich dzieci...

Wracając jeszcze do naszej pracy do wojny niemiecko-sowieckiej, muszę wspomnieć o bezwzględności, z jaką nas przymuszano do pracy.

Był okres, gdy byliśmy obsypane wrzodami, szczególnie na nogach. Bez wątpienia były one wynikiem pokłucia nóg ścierniskiem przy sianokosach i zainfekowania powstałych w ten sposób zranień. Nie miałyśmy naturalnie ani środków dezynfekcyjnych, ani opatrunkowych do chronienia się przed kłopotami. Blizny na naszych ciałach po owrzodzeniach z tego okresu w przyszłości nie zniknęły. Marychnie potworzyły się duże rany na nogach. Butów już nie było. Pracujący dostawali w sezonie letnim kawałek surowej skóry z wołu, nacinali na obwodzie tego kawałka otwory, przez które dookoła przeplatany był rzemyk. Po ściągnięciu rzemyka na wysokości kostki powstawał rodzaj kierpca. Taki kawałek skóry musiał trafić na nogę, gdy był mokry. Schnąca w ciągu dnia skóra układała się na stopie. Na noc trzeba było włożyć skórę do strumyka, by rankiem następnego dnia była plastyczna i gotowa do użycia. Lala i Janeczka musiały kiedyś gonić psa, który porwał moczący się w strumieniu półprodukt na „buta”. Gdy rabusia dopadły, okazało się, że nie ma przy nim porwanej skóry. Widocznie gdzieś ją upuścił, biegnąc. Strata była spora. W sezonie tylko raz wydawano materiał na „buty”.

Gdy *uprawlajuszczy* polecił nam stawianie kopek z siana, i to na takim terenie, na którym pozostałe po skoszeniu trawy ściernisko było bardzo ostre i twarde, odmówiliśmy wykonania tego polecenia, tłumacząc, że mamy rany na nogach. Było je zresztą widać gołym okiem. *Uprawlajuszczy* wściekł się. Zaczął ryczeć, wyzywać nas, kłać, odgrażać się, że za odmowę pracy poda nas do sądu. Wykrzykiwał coś o kontrewolucji, sabotażu, nazywał nas *buntowszczykami* agitującymi innych do porzucenia pracy. Nazajutrz po awanturze Marychna nie poszła do pracy, a wybrała się do szpitala w Tas-Bułaku, by szukać pomocy lekarza w związku z trapiącymi ją wrzodami. Dostała jakąś maść, ale okazała się ona nieskuteczna. Po kilku miesiącach Marychna otrzymała wezwanie do stawienia się w Tas-Bułaku na sesji wyjazdowej sądu. Poszła więc i uczestniczyła w „rozprawie” jako oskarżona. Chodziło oczywiście o odmowę pracy. Takich przewinień pracowniczych było w sowchozie kilkanaście. Nie było żadnych przesłuchań ani tłumaczeń. Sąd zasądził potrącenie pewnego procentu z zarobków. Przez rok Marychnie potrącano bodajże 25% zarobków z tytułu wyroku sądowego za łamanie dyscypliny pracy. Działo się to wtedy, gdy *uprawlajuszczym* w Dżyldykarze był bezwzględny, nieludzki i zarozumiały Fiodor Dymitrowicz Papazow. Jakiś czas później zarządzeniem dyrektora sowchozu Papazow został odwołany z Dżyldykary i jego miejsce zajął pochodzący z Tas-Bułaku Rosjanin Liebidiew, człowiek starszy wiekiem i z całą pewnością łagodniejszy. Często pozwalał on Lali jeździć do miejsca stacjonowania brygady *tieleżką*, to jest lekkim wozem konnym.

Z powodu niemiecko-rosyjskiej wojny urwał się nam listowy kontakt z Polską, z rodziną, ze znajomymi. Zniknęły gazety. Wiadomości o przebiegu wojny otrzy-



mywał przez telefon tylko naczelnik poczty. Kondrata Siemionowicza Dołgich, „naszego” *dieduszkę*, przeniesiono na stanowisko kasjera centralnego biura, a na jego miejscu zaczęła pracować młoda dziewczyna, komsomołka z Semipałatyńska, bo wówczas, gdy zabrakło kadr, do pracy w sowchozach kierowano różnych aktywistów, oczywiście partyjnych. Choć nie należałam do partii, zaproponowano mi wyjazd na kurs buchalterów, *szchetowodów* fermowych, do Semipałatyńska. Po rodzinnej naradzie zostało ustalone, że mam skorzystać z tej oferty. Spodziewaliśmy się, że nabyte przeze mnie umiejętności i uprawnienia ułatwią nam życie. Wciąż doskwierał nam głód.

Do *uprawlajuszczego* Papazowa czuliśmy urazę za jakąś wyrządzoną nam kolejną krzywdę. Dziś już nie pamiętam szczegółów. W ramach odwetu za nią Marychna wpadła na pomysł, by ukraść mu kurę. Pora była zimowa. Kury siedziały w starej budce używanej na brygadach przez traktorzystów do spania. Budka stała w odległości 20 metrów od domu, w którym mieszkał *uprawlajuszczy* i inni specjaliści, widać ją było z okien ich kwater. Niedaleko budki usytuowany był ustęp (z powodu kształtu i konstrukcji nazwano by go „sławojką”). W domu obok mieszkaliśmy wraz z innymi Polakami. Gdy było już zupełnie ciemno, Marychna poszła na akcję z naszą Mamą. Otworzyły drzwi budki zamknięte tylko na haczyk. Na straży, bacząc na otoczenie, stanęła Marychna. Mama, jako bardziej obyta z ptakami grzebiącymi, chwyciła sprawnie w ciemności kurę. Ta wydała jakiś dziwny odgłos, jakby zaskrzeczała. Mama, niewiele myśląc, sprawnie ukreśliła jej łeb. Obawiała się, by pozostałe ptaki nie podniosły rwetusu. Budka została zamknięta, a Marychna z Mamą przybiegły zdyszane do naszej kwatery z kurą schowaną pod połą palta. Pod wpływem obawy, by nie spotkać świadka wydarzenia, a także podenerwowane dokonany mordzie, dłuższą chwilę dygotały. Wówczas mieszkaliśmy już same. Nie było już państwa Antonowych ani pani Ciupakowej. Gdyby byli, być może nie donieśli o zaistniałym fakcie *uprawlajuszcemu*, ale mogliby być zgorzseni naszym było nie było niecnym postępkim. Przy świetle *koptilki* kura została oczyszczona, wypatroszona i bezzwłocznie ugotowana. *Koptilką* nazywano napełnioną olejem napędowym buteleczkę zamkniętą korkiem zrobionym z ziemniaka. W tym korku umieszczony był knot ze sznurka. Przy *koptilce* urządziłyśmy też ucztę. Kura i rosół zostały zjedzone, pióra trafiły do paleniska i opuściły pomieszczenie przez komin, zaś wnętrzności i kości skrupulatnie zakopałyśmy.

Zaraz z samego rana do naszej kwatery i kwater przylegających stukał kierownik gospodarstwa, tj. *zawchoz* Tiulebajew. Bardzo często chodził on w asyście Kazachów od jednej do drugiej polskiej kwatery, zaglądał do naszych garnków, jeśli stały na kuchni. Oglądano nas jak dziwowisko zwłaszcza tuż po naszym przybyciu. Tym razem Tiulebajew wszedł, przez chwilę rozglądał się wkoło, podniósł nakrywkę na garnku, który z wodą stał na kuchni, sprawdził jego zawartość i wyszedł bez słowa. Znałyśmy przyczynę tej jego porannej wizyty. Zapewne *uprawlajuszczycha* zauważyła brak kury i wszczęła alarm. Jakże słuszna okazała się więc skrupulatność przy zacieraniu śladów naszych nocnych działań odwetowych.

W tym okresie Lala była w centralnej osadzie. Mama zgodziła się, by opiekowała się ona w ramach zabaw cztero- czy pięcioletnią córką mieszkającą tam Rosjanki, która była szefową kuchni przygotowującej jedzenie dla pracujących. Wedle umowy z Mamą Rosjanka miała dbać, by Lali nie brakowało jedzenia. Okazało się jednak, że było ono wydzielane bez spodziewanej szczodrości. Nie dotrzymywała też przyrzeczenia, że Lala będzie się wyłącznie z ową córką bawić. Mimo że Lala była mała i wątła, wnet została zaangażowana do mycia podłóg, noszenia wody z przerebli itd. Któregoś więc dnia ubrała się i uciekła od owej szefowej kuchni, korzystając z przyjazdu Seweryna Patana, *produktowoz*a z Dżyldykary. Ten nakarmił ją, dał jej chleba i przywiózł ją do nas. Wróciła akurat po uczcie z mięsem kurzym w tle. Mama wielce żałowała, że ten powrót wypadł już po zatarciu śladów akcji odwetowej.

W drugiej takiej żywnościowej kradzieży brałyśmy udział z Sewerynem Patanem w Karaczyliku. Było to wtedy, gdy czyściliśmy tam ziarno. Kwaterowaliśmy u Kazacha. Miałam okazję już o tej naszej obecności w Karaczyliku wspominać. W lepiance obok naszej kwatery mieszkał Rosjanin Fiodor Ceculin, który był *czabanem*. Któregoś wieczoru Seweryn Patan poszedł do Ceculina porozmawiać. Przyjechali też do gospodarza konno jacyś Kazachowie i byli gośćmi Ceculinów. Ci świetnie mówili po kazachsku. Jak się później dowiedzieliśmy, Ceculin dostał wtedy wezwanie do wojska. W związku z tym jego żona upiekła z białej mąki drożdżowe placuszki, które umieściła w worku powieszonym w sieni. Worek należał do ekwipunku Ceculina na drogę. Seweryn, wychodząc, zauważył worek i wymacał w nim placuszki. Przełożył je niezwłocznie do swoich kieszeni. Czy przełożył wszystkie, nie wiem. Nam dostało się niewiele, bo zaledwie po jednym. Otóż po kolacji, gdy siedziałyśmy na słomie pod ścianą w kwaterze Kazacha, przyszedł Seweryn i powiedział, byśmy ręce trzymały za plecami i zajmowały się dalej rozmową, by nie zwracać na siebie uwagi gospodarzy. Miało nam coś do tych rąk wpaść. No i zaczęły być przekazywane metodą „podaj dalej” placuszki. Zaraz potem kładłyśmy się do spania i już po ciemku, pod kocem, zjadałyśmy przyniesione przez Patana smakołyki. O ich pochodzeniu dowiedziałyśmy się później. Rano Ceculina przybiegła do pani Zalewskiej z wielkim lamentem, że ktoś ukradł jej placuszki przygotowane na drogę dla Fiodora, prosiła, by pani Zalewska, zajrzawszy do kart, wyświetliła sprawę zniknięcia drożdżowych wyrobów. Karty naturalnie zasugerowały, że strata związana jest z *kunakami*, czyli gośćmi, którzy zatrzymali się u Ceculinów na *czaj* ubiegłego wieczora. Ceculina musiała po raz drugi piec placuszki. Dobrze, że miała z czego.

Gdy z Dżyldykary wyjechała do Urdżaru rodzina Lubuśków, podjęłyśmy starania, by przenieść się do ich kwatery, bo była mniejsza i w związku z tym łatwiejsza do ogrzania w zimie, były też w niej prycze do spania (deski rozłożone na kozłach). Te stanowiły godny uwagi komfort. Wysiłki zostały uwieńczone sukcesem, ale nie był on trwały. Przeniesiono nas do lepianki stojącej naprzeciw domu, w którym mieszkało kierownictwo fermy. Mieszkałyśmy w tej lepiance z Niemką Trupową i jej córkami. Ów duży dom, w którym poprzednio mieszkaliśmy wraz z innymi

Polakami, miał poważne mankamenty. I miał dach i jakby go nie miał. W zamyśle miał być dwuspadowy. Budowniczowie poprzestali na pokryciu deskami tylko jednej spadzistości. Z drugiej strony więźba dachowa nie została pokryta. Skutku takiego stanu rzeczy doświadczyliśmy którejs nocy. Ułożyliśmy się do spania na leżących na podłodze materacach. Mieszkałyśmy wówczas z państwem Antonowymi. Jeszcze nie usnęłyśmy, gdy usłyszałyśmy odgłosy spadających kropel. Zapaliłyśmy *koptilkę* i wtedy stało się jasne, że kapie na nas woda z belek sufitowych. Zaczął po prostu padać deszcz. Podstawiliśmy w odpowiednie miejsca jakieś naczynia. Z czasem kapanie stało się coraz bardziej rześiste i zamakać zaczęła coraz większa powierzchnia sufitu. Zaczęły być zraszane coraz intensywniej nasze legowiska. Trzeba się było prędko pozbierać, złożyć i zabezpieczyć, na ile się dało, naszą pościel oraz zabrać się za usuwanie do naczyń wody z podłogi. Pracowałyśmy całą noc, byłyśmy do cna przemoknięte. Pospołu z nami walczyli z żywiołem państwo Antonowowie. Po deszczu pan Antonow postarał się u *zawchoza* o drabinę i wszedł na dach, by go dokładnie obejrzeć. Była na nim warstwa gliny, która miała izolować zamieszkane przez nas wnętrza od niespodzianek atmosferycznych. No i nie izolowała. Doszliśmy do wniosku, że jest widocznie za cienka. Zaczęliśmy więc wynosić glinę i popiół na dach, a drabina przez dłuższy czas musiała być przystawiona do budynku.

Byłam kiedyś świadkiem, jak Kazach przyszedł do biura i powiedział *uprawlajuszczemu*, że nie ma drewna, by naprawić wóz. *Uprawlajuszczy* napisał kartkę do *zawchoza*, że zezwala na zdjęcie jednej deski z dachu tego budynku, w którym mieszkaliśmy. Zrozumiałam wówczas, że spełnia on funkcję podręcznego magazynu desek na awaryjne przypadki. Znaczyło to, że proces rozbiórkowy naszej kwatery będzie miał charakter postępujący. Zanik desek z dachu nad nami był więc tylko kwestią czasu. Zabiegałyśmy więc usilnie o zezwolenie na przeniesienie się do kwatery po Lubuśkach, bo nad nią był jeszcze kompletny garnitur desek na dachu.

W trakcie naszego pobytu w Dżyldykarze przyjeżdżali enkawudziści i wzywali nas do kantoru, często w nocy, by po raz któryś z rzędu spisywać nasze personalia. Ta aktywność wydawała się nam dziwaczna i jałowa, zdawała się świadczyć na pierwszy rzut oka o jakimś bałaganie. W trakcie jednej z takich wizyt, naturalnie w nocy, zakomunikowano nam, że oto przestałyśmy być obywatelkami polskimi. Bez interesowania się naszymi preferencjami obywatelskimi wręczono nam raźnie paszporty. Byłyśmy bezradnie wzburzone. Narzucała się myśl, że nasza bezbronność staje się z chwili na chwilę coraz większa. Administracyjnie, w nocy, z pozycji mocniejszego, wtapiano nas w komunistyczne otoczenie, które narzucano nam siłą. Wyglądało na to, że nie znajdzie się siła, która się o nas upomni. Perspektywą było ginięcie w kazachskiej głuszy. Protesty na nic by się zdały. My w każdym razie nie widziałyśmy sensu protestowania. Ot, władzom przyszło do głowy wydać *prikaz*, który trzeba było wykonać ze stuprocentowym brakiem entuzjazmu.

## WYPRAWA DO URDŻARU

Urdzar był miasteczkiem rejonowym, oddalonym około 60 kilometrów na wschód od sowchozu Tas-Bułak. Szereg polskich rodzin z naszego otoczenia wyjechało do niego. Stanowiąc największe w okolicy skupisko ludzi, Urdzar rodził nadzieje na łatwiejsze znalezienie pracy. Dalej na wschód było już tylko Makańdzi, inne rejonowe miasto, leżące tuż przy granicy chińskiej. W jakimś momencie doszliśmy do przekonania, że warto byłoby wybrać się do tej miejscowej „metropolii” i spróbować sprzedać coś z naszych rzeczy. Liczyliśmy na większe pieniądze z transakcji niż ewentualnie uzyskane w Nowotroickoje lub Błagodattoje. Do sprzedania przeznaczone zostały dwie piękne pluszowe narzuty na łóżka. Marychna i ja podjęłyśmy trud wyprawy. Był początek lata, pora przed sianokosami. Narzuty zostały dobrze zapakowane. Mama upiekła nam na drogę po parę placków. Wyruszyliśmy pieszo rankiem przez Tas-Bułak i góry do fermy Łaj-Bułak. Przeszliśmy około 30 kilometrów. Zatrzymałyśmy się w Łaj-Bułaku u Polaków, których wcześniej nie znałyśmy. Nocowałyśmy w kwaterze, w której mieszkała pani Bałębina z córką i synem, a także pan Szenderowicz, który był redaktorem jakiegoś pisma we Lwowie. Wydawało się nam, że ludzie ci mają lepsze warunki życia na tej fermie, niż my w Dżyldykarze. Poczęstowano nas nawet zupą na obiad oraz herbatą na kolację i śniadanie. Rankiem wyszliśmy na szosę wiodącą z Ajaguzi do Urdżaru, i dalej, do Makańdzi. Kursowały po niej od czasu do czasu ciężarowe samochody. Nie liczyliśmy specjalnie na nie, bo nie miałyśmy pieniędzy, by zapłacić kierowcy za podwiezienie. Wzięłyśmy z domu zaledwie kilka rubli, które były bardzo marnym zabezpieczeniem finansowym. Szłyśmy pieszo. Nie wiem, ile kilometrów uszłyśmy. Byłyśmy bardzo zmęczone, a nogi odmawiały nam posłuszeństwa. W końcu potworzyły się na nich pęcherze i dalszy marsz stawał się coraz bardziej problematyczny. Odpoczywałyśmy coraz częściej, bezradnie patrzyłyśmy na chylące się ku zachodowi słońce. Nie bez oporów postanowiłyśmy w końcu zatrzymać pierwszy zmierzający w kierunku Urdżaru samochód, który ukaże się na horyzoncie. Gdy nadjeżdżał, z bijącym sercem podniosłyśmy ręce. Ciężarówka stanęła. Przedstawiłyśmy swoją prośbę kierowcy, a ten zgodził się nas zabrać. Kazał nam wejść na pakę, na której leżało kilka metalowych beczek z jakimś płynem. Wydawało się nam, że z olejem napędowym. Przycupnęłyśmy w takim miejscu, by na nas nie wiało i na tyle bezpiecznym, by nie przetoczył się po nas przewożony ładunek. Byłyśmy szczęśliwe, że jedziemy. Nie wiedziałyśmy, jak załatwić sprawę wynagrodzenia kierowcy, który nie wiedział, że właściwie nie mamy pieniędzy. Modliłyśmy się, by udało się nam jakoś wybrnąć z nieprzyjemnej sytuacji. Było już ciemno, gdy dojeżdżałyśmy do

Urdżaru. Zastukałyśmy w kabinę kierowcy, ciężarówka zatrzymała się. Zeszliśmy z paki na szosę i wtedy musiało się wydać, że nie mamy czym płacić. Nasze przeprosiny chyba nie trafiały na podatny grunt. Staraliśmy się usprawiedliwić jakoś, tłumacząc, że zamierzamy sprzedać wiezione rzeczy i liczymy na pieniądze uzyskane z udanych transakcji. Wtedy dopiero będziemy mogły zadośćuczynić zobowiązaniom. Kierowca mamrotał coś pod nosem. Był chyba wściekły. Nie widziałyśmy jego twarzy, bo było ciemno. Pewnie kłął siarczyście. Wybąkałyśmy *balszoje spasiba, do swidanija* i od razu wzięłyśmy nogi za pas, biegnąc przed siebie w ciemność. Zwolniłyśmy po dłuższej chwili. Skręciłyśmy w jakąś wąską uliczkę po obu stronach zabudowaną domami. Szłyśmy właściwie bez określonego celu. Nikogo w Urdżarze nie znałyśmy i nie bardzo wiedziałyśmy, w którą stronę się zwrócić. W pierwszym momencie chodziło o to, by szybko znaleźć się jak najdalej od samochodu i jego kierowcy, który mógł jednak wpaść na pomysł dopadnięcia nas i egzekwowania zapłaty. Pora zrobiła się późna. Pogasły światła w oknach domów. Wypatrzyłyśmy jeden, w którym widać było przez okno nikłe światelko. Zdesperowane postanowiłyśmy zapukać do tego domu w nadziei, że dostaniemy nocleg lub bodaj informację o kwaterach jakichś Polaków. Pomalutku weszłyśmy na podwórko. Nie było na nim psa. Weszłyśmy do izby, w której paliła się lampa. Okazało się, że trafiliśmy do jakiegoś zajezdnego domu. W izbie na glinianym podium i na podłodze spali leżący pokotem ludzie w ubraniach. Nikogo nie obudziliśmy. Przystaliśmy na niezajętej przestrzeni w pobliżu drzwi. Siedziałyśmy tak bezsennie do momentu, gdy zaczęło szarzeć na dworze. Wtedy wyszłyśmy z tej niezwyklej gospody czy też hotelu. Wszyscy jeszcze dobrze chrapali i nikt w istocie nas nie zauważył. Gdyby gospodarz miejsca pofatygował się sprawdzać stan osobowy gości, zapewne próbowałby wyegzekwować od nas opłatę za korzystanie z dachu nad głową. I pewnie znowu byłby kłopot. Wciąż byłyśmy niewypłacalne. Rozwidniało się coraz bardziej, pojawili się ludzie, zaczęłyśmy rozpytywać o drogę na bazar. Znalazłyśmy go łatwo. Urdżar wydał się nam miasteczkiem dość rozległym. Miał glinianą, parterową zabudowę. Tylko parę budynków było piętrowych. Na bazarze spotkałyśmy panią Lubuńskową, znajomą z Dżyldykary. Była to bardzo fortunna okoliczność. Pani Lubuńskowa obejrzała nasze narzuty, oszacowała je, doradziła, jaką rozsądną cenę powinnyśmy na nie wyznaczyć. Pouczyła nas, jak mamy handlować, by nie dać się oszukać. Naturalnie nie od razu znalazł się kupiec na te nasze narzuty, ale w końcu sprzedałyśmy je, i to nawet nieźle. Pani Lubuńskowa zaprosiła nas do siebie, ofiarowała nocleg. Zrobiło się prawie pięknie. W spokoju ducha zwiedziłyśmy Urdżar. Spotkałyśmy jeszcze kilka znajomych polskich rodzin. Wydało się nam, że ludzie ci nieźle sobie radzili. Nie wyglądali na zabiedzonych pod względem moralnym, na zaszczytanych, jak my. Mieszkali u prywatnych właścicieli domków z *samanu*. Nikt im do garnka rano czy też w innej porze dnia nie zaglądał. Nikt nie walił pięścią w drzwi, nikt ich nie pędził do roboty. Byłyśmy nawet w restauracji, jedynej w Urdżarze, w której całkiem tanio można było zjeść zupę z kluskami i smażoną ikrę z ziemniakami.



W Urdzarze zatrzymałyśmy się parę dni, by wykurować nasze nogi i kupić mąkę. Kierowcy samochodu, który nas dowiózł do Urdzaru, nie spotkałyśmy. Wracając do Dżyłdykary, już śmiało skorzystałyśmy z możliwości przewozowych okazyjnymi samochodami ciężarowymi. Tym razem mogłyśmy zapłacić kierowcy z góry ustaloną kwotę. Stanowiła ona jego dodatkowy do pensji zysk. Przecież nie było transportu prywatnego, kierowcy jeździli w ramach obowiązków służbowych.

Sprawnie i bez przygód dojechałyśmy do Łaj-Bułaku. Tu przy okazji odwiedziłyśmy Polaków, by opowiedzieć, jak żyją i co robią nasi ziomkowie w Urdzarze. Pozostał jeszcze dwudziestoośmiokilometrowy marsz po terenie górzystym do Dżyłdykary. Miałłyśmy na plecach pokaźne, jak na nasze możliwości, szesnastokilogramowe worki z mąką. Dzięki przywiązanim do tych worków sznurkowym szelkom można je było nieść jak plecaki. Sypka zawartość stosunkowo dobrze układała się do kształtu pleców. Wznoszący się odcinek trasy do Tas-Bułaku pokonałyśmy bez specjalnego trudu, potem dłuższy marsz po płaskowyżu i dość strome zejście do Tas-Bułaku.

Wyprawę uznałyśmy za niezwykle udaną. Przywiozłyśmy trochę prowiantu, a co najważniejsze, została nam po transakcjach niewielka kwota pieniędzy. Zdołyłyśmy też, co nie było bagatelką, wieści z „wielkiego” świata. Dla nas godnym uwagi źródłem wiedzy był leżący przy szosie Łaj-Bułak. Przy naszych punktach odniesienia Urdzar nabierał wymiaru metropolii. Zazdrościłyśmy tym ludziom, którzy znaleźli w sobie dość determinacji, by wyrwać się z sowchozu i szukać lepszej szansy w Urdzarze. Poza panią Lubuńską spotkałyśmy między innymi i odwiedziłyśmy rodzinę Wojciechowskich. Pani Wojciechowska, niestety, zmarła i tam pozostał jej grób zapomniany, a może już i śladu po nim nie ma, jak po wielu innych polskich grobach. Pan Wojciechowski wraz z córkami, Felą i Elą, walczył o przetrwanie. Pani Fela zarabiała na życie robieniem swetrów czy pledów na drutach z powierzonej wełny. Pan Wojciechowski miał też jakieś dorywcze prace u tamtejszych Rosjan. Inni Polacy z różnym sukcesem znajdowali sobie prace odpowiadające ich umiejętnościom, możliwościom, zamiłowaniom, wyuczonemu zawodowi.

## **KURS BUCHALTERÓW W SEMIPAŁATYŃSKU**

Była jesień 1942 roku, kiedy dyrekcja sowchozu Tas-Bułak wydelegowała mnie na kurs buchalterów sowchozów do Semipałatyńska. Otrzymałam delegację (*komandировkę*) i przydział na wykupienie kilku kilogramów chleba. Jak się dowiedziałam, na ten sam kurs skierowana została córka zastępcy dyrektora sowchozu, Żenia Skitowa. Miałam więc skierowaną na kurs nieco młodszą ode mnie koleżankę z tej samej miejscowości. Nieco później okazało się też, że do Semipałatyńska wyjeżdża Kława, dziewczyna, która przez komsomół czy partię była oddelegowana do

pracy w naszym sowchozie. Dyrekcja sowchozu zawiadomiła mnie, kiedy mam się stawić w kantorze w Tas-Bułaku, skąd miano nas odtransportować do Łaj-Bułaku. Odcinek drogi pomiędzy Łaj-Bułakiem i Ajaguzem miałyśmy przejechać samochodem. Przed wyjazdem wykupiłam przydziałowy chleb, z którego Mama zrobiła mi suchary. Od przyjeźdnego młodego Rosjanina, który pracował na sianokosach, odkupiłyśmy kiedyś *czemadan*, sporą drewnianą walizkę zamykaną na kłódkę. Przydał się ten rekwizyt na mój wyjazd. Nigdy nie przypuszczałabym, że będę z nim gdzieś wyjeżdżała, a tym bardziej do Semipałatyńska. Do pakowania nie było wiele. Zawartość *czemadana* częściowo miały stanowić przybory do mycia, dwa ręczniki, jakaś bielizna na zmianę, dwie bluzki, spodnie Ojca. Resztę wolnego miejsca wypełniały suchary z chleba.

Żegnana przez Mamę i siostry wyruszyłam z Dżyldykary drabiniastą dwukółką zaprzęzoną w woły. Powoził młody Kazach. Zameldowałam się w biurze sowchozu, gdzie oczekiwały mnie dwie dziewczyny. Niedługo potem podjechały podwozy, które miały kurs do Łaj-Bułaku. Były to wozy z wolim zaprzęgiem, obsługiwane również przez Kazachów. Do celu dotarliśmy już o zmierzchu. Samochód do Ajaguzza miał odjechać następnego dnia rano. Trzeba było gdzieś przenocować. Rosjanki poszły do swoich ziomek, ja naturalnie do Polaków, tj. do pani Bałębiny i pana redaktora Szenderowicza. Zostałam życzliwie przenocowana, poczęstowana herbatą. Chleb miałam swój. Porozmawialiśmy, pobiadoliliśmy, próbowaliśmy dostrzec też jakieś jasne punkty naszego położenia. Pan Szenderowicz bardzo przeżywał śmierć żony, którą musiał pochować na wzgórzu nieopodal fermy. Rok po naszym wyjeździe z Polski na teże fermie zmarła Danka Skringerówna, młodsza koleżanka, a może nawet i z tej samej klasy w gimnazjum Nazaretanek we Lwowie. Pan Szenderowicz był starszym człowiekiem. Nie pracował. Żył ze sprzedaży rzeczy, które udało mu się zabrać z lwowskiego domu. Co dzień, bez względu na pogodę, około godziny jedenastej szedł na wzgórze odwiedzić grób żony. Pani Bałębina miała dwoje dzieci. Córkę Halinę i syna Stasia. Mile ich wspominam. Po noclegu sowchozowa ciężarówka, która bazowała przy domu kierowcy w Łaj-Bułaku, zabrała nas w dalszą drogę. Po kilku godzinach jazdy na pace bez plandeki dojechaliśmy do Ajaguzza. Złożyło się tak szczęśliwie, że nie było zbyt zimno, a mogło być, bo pora roku sprzyjała chłodowi.

Zajechaliśmy do bazy. Był to punkt przeładunkowy towarów i materiałów sprowadzanych dla sowchozu koleją. Tutaj też dostarczano płody rolne, wełnę z sowchozu, zwierzęta rzeźne i inne dobra należne państwu. W bazie był duży, ogrodzony plac. Stał na nim budynek, w którym mieszkał kierownik bazy. Poza mieszkaniem kierownika w owym budynku było pomieszczenie dla noclegowania różnych delegowanych, rodzaj pokoju gościnnego, wyposażonego w dwa łóżka z pościelą, stół, krzesła, umywalkę z miednicą i dzbankiem na wodę, a także piec. Każdy pracownik sowchozu wyjeżdżający służbowo w jakąś podróż koleją, względnie przyjeżdżający „ze świata” do sowchozu, zatrzymywał się w tej kwaterze. Myślałam z aprobatą o istnieniu tego „apartamentu”.

Uplęło kilka dni zanim dowiedziałyśmy się, kiedy mamy pociąg i zgłębiłyśmy tajniki korzystania z komunikacji kolejowej. Naiwnie myślałyśmy, że rychło, a może nawet następnego dnia po przyjeździe z Łaj-Bułaku uda się nam wsiąść do pociągu. Bardzo prędko stało się jasne, że karmiłyśmy się mrzonką. Otóż istniał ustalony przepisami porządek sprzedawania biletów kolejowych. Był to okres wojenny. Cywile nie mieli prawa jeździć pociągami. Pierwszeństwo miało wojsko, dalej instytucje związane z wojskiem, tzn. pracownicy wojska, inwalidzi wojenni, kolejarze, a na samym końcu pracownicy delegowani. Bilety sprzedawała kasa na ściśle określonej, wolnej ilości miejsc w pociągu. Kolejkę przed kasą ustawiał kolejarz, pracownik stacji. Przez kilka dni chodziliśmy, by uwieńczyć sukcesem próby kupienia biletu. Przy kolejnych podejściach do kasy okazywało się, że nie ma już dla nas miejsc w pociągu. Już, albo dopiero, po tygodniu wpadłyśmy na pomysł, by skorumpować kolejarza formującego kolejkę. Wydało się nam, że kolejarz skorumpowany wydzielanym na kartki chlebem, którego niedostatek wszyscy odczuwali, ani zipnie i stanie się powolny naszym usiłowanym. Szczęśliwie kierownik bazy na czas naszego przedłużającego się pobytu w Ajaguzie postarał się dla nas w administracji miasta o kartki na chleb. Musiałyśmy z tej zdobyczy wydzielić część na łapówkę. Dzienny przydział dla nas wynosił po trzydzieści dekagramów. Chleb był ciężki, zwykle niedopieczony, objętościowo stanowił mały kawałek. Poza nim nie miałyśmy nic pewnego do jedzenia. Ze dwa razy zjadłyśmy zupę w kolejowej restauracji, którą otwierano, gdy przyjeżdżał pociąg. Można było wtedy do niej wejść, można też było kupić i zjeść zupę. Kolejarzowi przygotowaliśmy pajdy o wadze około sześćdziesięciu dekagramów. Wsunęłyśmy mu zawiniątko w łapę, a potem na uboczu wytłumaczyłyśmy, o co chodzi. *Żeleznodoróżnik* zmieknął dziwnie i nasz problem zniknął. Wnet kupiłyśmy bilety, wsiadłyśmy do pociągu i przyjechałyśmy bez dalszych trudności do celu naszej podróży.

Semipałatyńsk stanowił centrum administracyjne *oblasti* (obwodu), rozpościerał się na znacznej powierzchni, miał zabudowę raczej parterową i raczej drewnianą. Wyższych, murowanych budynków było niewiele.

Natychmiast po wyjściu z dworca ruszyłyśmy do miasta, by szukać miejsca, do którego przyjechałyśmy. Musiałyśmy dowiedzieć się, kiedy ostatecznie rozpoczyna się kurs i gdzie będziemy zakwaterowane. Tachałam pracowicie mój *czemadan*. Komunikacji miejskiej Semipałatyńsk nie miał. Odszukałyśmy „Trest Sowchozów”, instancję nadrzędną nad sowchozami. Skierowano nas do ośrodka szkoleniowego. Gdy do niego dobrnęłyśmy, dowiedziałyśmy się, że są jakieś trudności i kurs rozpocznie się z dużym, kilkutygodniowym opóźnieniem. Powiedziano nam, że będziemy musiały poddać się badaniom lekarskim. Nikogo nie obchodziło, gdzie będziemy mieszkać do czasu rozpoczęcia kursu i co będziemy jeść. Wracająca z nami z Łaj-Bułaku Rosjanka Kława dała nam w trakcie podróży adres swego zamieszkania w Semipałatyńsku. Wobec zaistniałej sytuacji postanowiłyśmy z Żenią szukać Kławy i prosić ją, by pomogła nam w jakiś sposób wybrnąć z sytuacji. Kława mieszkała z matką na drugim końcu miasta w jednej z małych izdebek niewielkiej chałupy. Drugą izdebkę tejże chałupy zajmowała inna rodzina.

Kława przedstawiła swej matce nasze położenie i ta zgodziła się przyjąć na kwaterę jedną z nas. Padło na mnie. Żenia Skitowa trafiła do rodziny obok. Korzystałyśmy tylko z kąta na nocleg. Kława z matką nie miały dodatkowej pościeli, z której mogłabym ewentualnie korzystać. Musiałam zadowolić się twardą ławą i swoim płaszczem zamiast kołdry. Całodzienne moje wyżywienie stanowiły suchary przepiekane trzy razy dziennie. Przepiekałam je, tzn. moczyłam w wodzie i powtórnie podsuszałam. Jeden suchar równał się jednej kromce chleba. Mama Kławy pracowała. Kława pozostawała w domu. W dzień nie nudziłyśmy się. Chodziłyśmy kawał drogi do lasu, by zbierać gałęzie na opał. Ich wiązki nosiłyśmy na plecach do domu. Czasem chodziłyśmy do miasta dowiadywać się, czy zaistniały jakieś fakty związane z kursem. Upłynęły prawie trzy tygodnie. Żenia Skitowa bardzo chwaliła sobie swoją gospodynię, z którą się zaprzyjaźniła. Ja byłam przede wszystkim bardzo niezadowolona z sytuacji, w której się przymusowo znalazłam. Nie lubiłam i do dziś nie lubię zawikłanych, niejasnych spraw. Nic jednak nie mogłam zrobić w obliczu fuszerki organizacyjnej „Trestu Sowchozów”. Zdawało mi się, że Kława z mamą ledwie już mnie tolerują i czułam się jak intruz czy piąte koło u wozu w ich otoczeniu. Nie zmieniało to ani o jotę faktu, że byłam im głęboko wdzięczna za przygarnięcie pod dach. Chciałam jak najszybciej przenieść się do jakiegoś internatu.

Któregoś wreszcie dnia dowiedziałyśmy się, że kurs wnet się zacznie. Dostałyśmy oczekiwane skierowanie na badania. Te ograniczono do zewnętrznych oględzin i osłuchania płuc. Wydano nam zaświadczenie, które było wymagane przy przyjęciu do internatu. Obejrzałyśmy ten internat. Był to parterowy, duży, drewniany dom. Wewnątrz mieściły się dwie duże sale, w których gęsto ustawiono żelazne łóżka. Było ich po trzydzieści na każdej sali. W suterenie usytuowano umywalnie. Wody bieżącej w nich nie było. Na drewnianym stojaku pozawieszano na pewnej wysokości blaszane zbiorniki z wodą, zaopatrzone u dołu w otwór zatkany czymś w rodzaju gwóźdź z łebkiem tkwiącym w zbiorniku. Powolne uderzanie w ten zwisający gwóźdź powodowało wyciek strumienia wody, pod którym należało się myć. Woda z mycia spływała do znajdującej się poniżej rynny i dalej do kratki odpływowej. Oczywiście była to zimna woda. Sale ogrzewane były ceglanymi piecami z płytą. Paliwem do nich było drewno, które kursantki mieszkające w internacie przygotowywały sobie same. Miałyśmy do dyspozycji długą, taśmową, ręczną piłę, którą cięłyśmy pnie drzew na mniejsze kawałki i dużą siekierę do rąbania tych kawałków na mniejsze szczapki. Na podstawie skierowania na kurs oraz zaświadczenia lekarskiego zostałyśmy przyjęte do internatu. Rozpoczęły się zajęcia na kursie, który odbywał się w jednej z sal w „Treście Sowchozów”. Wykładowcą był główny buchalter trestu – Iwan Stiepanowicz Kozłow. Wydano nam kartki żywnościowe na chleb (trzydzieści dekagramów na dzień) oraz kartki na obiady. Postanowiłam swoje rzeczy przenieść od Kławy do internatu. Również Żenia zabrała swoje rzeczy od sąsiadki Kławy. Zostawiłam jedynie swoją walizkę z sucharami, ale nie u Kławy, a u jej sąsiadki. Kława zaczęła pracować i często nie było u niej nikogo w domu. Walizkę zamknęłam na kłódkę. Nie chciałam brać wszystkich sucharów do interna-

tu, ponieważ obawiałam się, że ktoś może się na nie połakomić bez mojej wiedzy. Wyobrażałam sobie, że u sąsiadki Kławy będą bezpieczne, że będę mogła zachodzić do niej i brać je na swoje potrzeby partiami. Po kilku dniach zajęć, w niedzielę, gdy miałam wolny czas, poszłam z Żenią odwiedzić nasze znajome rodziny. Chciałam jednocześnie wziąć część sucharów. Jakież było moje zaskoczenie czy wręcz przerażenie, gdy stwierdziłam, że *czemadan* jest pusty, a kłódka zniknęła. Gospodyni wcale się nie usprawiedliwiała. Powiedziała całkiem zwyczajnie: „Wiesz, byliśmy głodni, a nie było chleba, więc zjedliśmy suchary”. Zaniemówiłam, myślałam, że się rozpłaczę. Oczekiwałam z jej strony jakiejś deklaracji rekompensaty za cenne dla mnie suchary, które miały stanowić żelazną rezerwę żywności na wypadek zawsze możliwych trudności aprowizacyjnych płynących z nieprzewidywalnego sposobu działania radzieckich instytucji, ustanowionych rzekomo dla pożytku miłującego komunizm obywatela. W prostocie mojego ducha nie mogłam pojąć, jak sąsiadka Kławy mogła pozbawić mnie chleba i zjeść go do ostatniej kruszyny bez mojej wiedzy. Przecież nie było wiadomo, czy będę miała co jeść w drodze powrotnej do sowchozu. Zgnębiona zabrałam pusty *czemadan*. Wyszłam ze ściśniętym gardłem, nie byłam w stanie powiedzieć ani jednego słowa. Zostałam okradziona z rzeczy niezwykle cennej, z sucharów. A przecież tak pocziwie wyglądała ta sąsiadka Kławy...

Żenia nie była zadowolona z warunków bytowych stworzonych nam w internacie. Pomieszczenia były dramatycznie niedogrzone, piece grzały źle. Tylko na jednym z nich można było zagrzać czy zagotować wodę. Na mycie głowy grzałyśmy wodę w wiadrze. Głowę w trakcie mycia polewało się nad innym wiadrem. Jedna z dziewcząt miała czajnik, w którym można było zagotować wodę do popicia chleba na kolację czy na śniadanie.

Sypiałam w spodniach i w skarpetkach.

Okazało się, że Żenia ma w Semipałatyńsku ciotkę. Niezwykle uciążliwe warunki bytowania w internacie sprawiły, że zdecydowała się ją odszukać i zrobić wywiad, czy nie mogłaby u niej zamieszkać. Nie wiem, dlaczego od razu tego nie zrobiła, lecz tułała się po obcych ludziach i po upiornym w istocie internacie.

Byłam dość pojętą kursantką. Język nie sprawiał mi żadnych trudności. Na ten sam kurs uczęszczały tak dziewczęta, jak mężczyźni zdemobilizowani z armii na skutek inwalidztwa w zasadzie nierzucającego się w oczy. Wszyscy trafili na kurs jako delegowani ze swoich sowchozów.

Z wyżywieniem było niewesoło. Obiady mogliby z powodzeniem jeść chorzy, którym przepisano bardzo ścisłą dietę. Zupy były bardzo cienkie. Drugie dania należały do słabiotkich, na przykład były to dwie łyżki gęstowanej dyni. Ziemniaki zaliczały się do luksusu, bywały bardzo rzadko. Jeśli już były, miały wielkość orzechów włoskich lub czegoś niewiele większego. Przed podaniem talonu w okienku stolówki wzdychałam w duchu do Boga, by mi przypadła w udziale chochła gęstszej zupy. Najczęściej było to pobożne życzenie. Suchary na pewno przydałyby się, bo przydziałowe 30 dekagramów chleba na kolację i śniadanie nie starczało do zapewnienia uczucia sytości.






Uczestnicy kursu buchalterów sowchozowych. Semipałatyńsk 25 I 1943 roku. Helena Nuckowska najbliższa lewego dolnego rogu. Główny księgowy „Trestu Sowchozów” w Semipałatyńsku Iwan Stiepanowicz Kozłow siedzi trzeci od lewej w drugim rzędzie od góry. Na prawo od niego znajduje się trzech weteranów frontowych. W niższym rzędzie od prawej dwie dziewczyny, które brały udział w działaniach przeciw Niemcom

Gdy nastały mrozy, były siarczyste. Aż cud, że czegoś sobie nie odmroziłam. By uniknąć dłuższego przebywania na mrozie, zawsze biegiem pokonywałyśmy drogę z internatu do stołówki czy też do „Trestu Sowchozów”, a i tak nogi marzły mi nie-licho.

Na jednym z domów zauważyłam kiedyś szyld: Związek Patriotów Polskich. Przyszło mi do głowy, by sprawdzić, co kryje się pod tym szyldem. Był to okres, w którym zaczęły z Zachodu napływać dla Polaków w ZSRR dary. Miałam wrażenie, że przede wszystkim z Ameryki. Któregoś dnia wybrałam się do lokalu ZPP. Spotkałam sporą grupkę Polaków czekających na osobiste spotkanie z szefem placówki. Każdy z interesantów zamierzał przedstawiać swoje sprawy w nadziei na pomoc. Odniosłam osobliwe wrażenie, jakbym trafiła do grupy ludzi niezbyt życzliwych dla siebie. Oczekujący popatrywali na siebie bez zaciekawienia i byli nader nierozmowni. Wreszcie przyszła moja kolejka. Opowiedziałam, że jestem w Semipałatyńsku na kursie, że przyjechałam z dalekiego sowchozu. Sugerowałam, że przydałaby mi się ciepła bielizna czy wręcz jakakolwiek odzież. Nie kryłam, że miałabym satysfakcję nie tylko duchową, otrzymawszy pomoc żywnościową, która wzmacniałaby moje marne internatowe menu. Człowiek słuchający mego wywodu zareagował uwagą,



**ЦЕНТРАЛЬНОЕ СТАТИСТИЧЕСКОЕ УПРАВЛЕНИЕ  
ГОСПЛАНА СССР**

Управление подготовки кадров счетных работников  
*Казахский* Учебный комбинат

**УДОСТОВЕРЕНИЕ**

Тов. *Луцковская Г.Ю.* рожд. *1925* окончил *а*  
*3* февраля 1943 г. полный курс обучения на отделе-  
нии подготовки *Бухгалтеров Совхозов*  
филиала *Семипалатинского Казахского*  
Учебного комбината Управления подготовки кадров счетных  
работников ЦСУ Госплана СССР.

Выпускная комиссия Учебного комбината  
(протокол № *30* от *3* февраля) присвоила  
тов. *Луцковской Г.*  
квалификацию *Бухгалтера технического*

*3* февраля 1943 г. № *2825* *директора*  
Директор учебного комбината  
Зам. директора по учебной работе  
Директор филиала  
М. П. *А. П.* *гор. Семипалатинска*

*Г. Луцковская*  
личная подпись  
Бкз ЦСУ 2а5 461-8 (16-01) У. 065. 4. 41 г. т. 1500 ф. № 10 (40-41)

Тов. *Луцковская Г.* № *10* выполнил  
учебный план и сдал испытания по следующим дисциплинам:

Пор. №	Наименование дисциплин	Количе- ство часов по плану	Оценка успеваемости
1	<i>Спец. учет</i>	<i>100</i>	<i>Отм.</i>
2	<i>Бухгалтерский</i>	<i>100</i>	<i>Отм.</i>
3	<i>Основы труд. законод.</i>	<i>30</i>	<i>Отм.</i>
4	<i>Основы машр. в. совх.</i>	<i>36</i>	<i>Отм.</i>
5	<i>Животноводство</i>	<i>58</i>	<i>Хор.</i>
6	<i>Организ. совхоз пр-ва</i>	<i>20</i>	<i>Отм.</i>
7			
8			
9			
10			

*Визиница*  
*Петухова*  
подпись

МН 4730 Типография «Красное Знамя» 2138-42 Тираж 12300

Dyplom ukończenia w dniu 3 II 1943 roku w Semipałatyńsku kursu buchalterów sowchozowych

że w miejscu zamieszkania powinnam otrzymać jakąś pomoc. Zaczęłam mieć wrażenie, że tracę czas. Wyglądało na to, że mam przed sobą jakiegoś niezorientowanego w kazachskich warunkach urzędnika, który nie wie lub nie chce wiedzieć, jak w otaczających nas realiach wygląda kwestia realizowania tego, co być powinno. A jednak zdobyłam się na replikę. Powiedziałam, że w moim sowchozie nie działa organizacja, od której można byłoby się spodziewać pomocy, a miasto rejonowe jest oddalone o sześćdziesiąt kilometrów. Coś jednak ruszyło ziomka z ZPP, bo dostałam ciepły podkoszulek z rękawami i dwie małe konserwy z masłem. Nie miałam powodu do kompletnej desperacji. Konserw nie otworzyłam. Postanowiłam zawieźć je do Tas-Bułaku. W przyszłości agenda ZPP powstała w Tas-Bułaku, a funkcji przedstawiciela podjęła się pani Marylka Antonowna. Cała aktywność ZPP na terenie naszego sowchozu ograniczyła się wówczas do wydania legitymacji. Być może w samym Urdzarze Polakom lepiej wiodło się w ramach kontaktów z ZPP, to znaczy mogli liczyć na dary żywnościowe i odzieżowe. W sowchozie Tas-Bułak te interesujące artykuły nie pojawiały się. Przynajmniej my ich nie widziałyśmy. Tymczasem trwał kurs, a ja dawałam się wprowadzać w tajniki działalności finansowej, gospodarki materiałowej, księgowości i rachunkowości obowiązującej w sowchozie.

Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok 1943 spędziłam w Semipałatyńsku. Bożego Narodzenia tu nie świętowali, tylko Nowy Rok. Uczestnikiem kursu był Kazach Abdraszytow z sowchozu Myn-Bułak. Mieszkał u swoich krewnych w Semipa-

łatyńsku. On to w porozumieniu ze swym kolegą, Rosjaninem, i przy jego pomocy, postanowił urządzić w prywatnym domu noworoczne spotkanie dla kursantów. Zaprosił wszystkich. Poszliśmy tam też obie z Żenią. Dom był drewniany, na wysokiej podmurówce. Izba, w której odbywało się przyjęcie, była dość obszerna. Pomieściło się w niej swobodnie ponad dwadzieścia osób zgromadzonych wokół dużego stołu. Ten nakryty był białym obrusem i zastawiony jedzeniem. Ono interesowało mnie najbardziej. Została podana zupa, bodaj *szczy*, pieczone pierożki nadziewane podrobami, sałatka z kwaśnej kapusty, oczywiście chleb (Rosjanie do każdej zupy jedli chleb), jakaś ryba. Była też, a jakże, wódka. Prawdę mówiąc, tego jedzenia nie było za wiele, ale tyle, by nie trzeba było wznosić toastu na pusty żołądek. Przyznam, że przyjęcie było na poziomie. Młodzież zachowywała się wzorowo. Rozmawiano o wojnie, partyzantce itp. Wzniesiono nawet toast za mój szczęśliwy powrót do ojczyzny. Dobrze to sobie zapamiętałam. Nie zapanowałam przy jednym z toastów nad kieliszkiem, który w jakiś nieopatrzny sposób wysunął mi się z palców, upadł na podłogę i rozbił się. Nie udało mi się pochwycić go, gdy już leciał ku swemu przeznaczeniu. Na usprawiedliwienie miałam jedynie to, że właściwie po raz pierwszy miałam do czynienia z tym naczyniem jako konsument. Byłam bardzo speszo- na wydarzeniem. Gospodyni miejsca, Rosjanka, szybko zrobiła porządek, a kolega, który urządzał imprezę, powiedział, że zdarzenie jest pomyślną wróżbą dla mnie i na pewno wrócę do Polski. Słuchałam naturalnie tych zapewnień z aprobatą i rodzajem wdzięczności. Po paru godzinach rozeszliśmy się. Żenię i mnie odprowadził do internatu któryś z kolegów. Często później myślałam o tym towarzyskim spotkaniu noworocznym. Było ono czymś niezwykłym w szarzyźnie kolejno mijających dni i wśród mozolnej walki o przetrwanie. Do dziś zastanawiam się na przykład, skąd ci nasi dwaj koledzy, Kazach i Rosjanin, wzięli pieniądze na artykuły żywnościowe i w ogóle organizację przyjęcia, gdy niektórzy, wcale nie tak nieliczni, przymierali zwyczajnie głodem i myśleli, jak na co dzień w elementarny sposób napelnić pusty żołądek. Przecież brakowało chleba, w ogóle innej żywności też. Była wojna. Te moje rozważania nie zmieniają jednak faktu, że to błahe pewnie kiedy indziej i gdzie indziej wydarzenie nagle, na moment rozjaśniło otaczającą mnie smutną rzeczywistość: chłód, głód i tułaczkę. Z drugiej strony bardzo ładnie świadczyło o kolegach innych narodowości i wyznań to, że zauważali mnie, jedyną Polkę na tym kursie. Wydaje się, że tworzyliśmy jednak jakąś solidarną społeczność, choć Rosjanie zdradzali sporą niechęć do Kazachów i w gniewie nazywali ich, ponoć bardzo obraźliwie, *kalbitami*. Do dziś nie wiem, czy jest to słowo kazachskie, ale za publiczne użycie tego przezwi- ska, skierowanego do konkretnej osoby, płaciło się ponoć wysoką grzywnę.

Przy końcu stycznia 1943 roku miał się odbyć egzamin kończący kurs. Na jego początku zrobiliśmy sobie wspólne, grupowe zdjęcie. Niezależnie od tego musiałam zrobić zdjęcie do zaświadczenia, że zostałam przeszkolona na tym kursie. Egzamin odbył się zgodnie z planem i wypadł dla mnie bardzo dobrze.

Nadchodził moment powrotu do sowchozu. Znowu ważnym dokumentem podróżnym miała być *komandirowka*. Poruszanie się bez niej było niemożliwe. Była

obowiązkowa. Drugim nieodzownym dokumentem było zaświadczenie z *sanobrabotki*. By dokument ten zdobyć, należało poddać się sanitarnym zabiegom polegającym na oddaniu swojej odzieży i bielizny do sterylizacji w wysokiej temperaturze. O ile dobrze pamiętam, było to konieczne dwukrotnie. Po raz pierwszy przed zameldowaniem się w internacie. Przedłożone zaświadczenie miało świadczyć o tym, że ani we włosach, ani w bieliźnie nie miało się żadnych insektów. Za drugim razem, gdy poszliśmy z Żenią do tego ośrodka dezynfekcyjnego przed wyjazdem, okazało się, że jest on nieczynny. Zastaliśmy tylko osobę, która informowała i reprezentowała administrację ośrodka. Wyglądało na to, że po prostu wśród zimy i trzaskających mrozów brak było ludzi do pracy i brak było opału niezbędnego do funkcjonowania tej, jak ją powszechnie nazywano, odwszalni. Pojawił się istotny dla nas problem. Tylko z zaświadczeniem z odwszalni można było przystępować do operacji kupowania biletu kolejowego. Skorumpowałyśmy więc dziesięcioma rublami pracownika informującego, że instytucja nie działa, i wtedy okazało się, że jednak można nieoficjalnie dostać od niego zaświadczenie ze stosownymi pieczęciami i podpisami o przebytej *sanobrabotce*.

Wiedziałyśmy już, jaką taktykę zastosować wobec kolejarza pilnującego kolejki do kasy i sprawa kupna biletu od razu weszła na właściwe tory. Kilogramowa porcja chleba, którą tym razem dałyśmy kolejarzowi, sprawiła, że natychmiast i bez komplikacji mogliśmy myśleć o kupowaniu biletu. Zostałyśmy ustawione na czele kolejki do kasy. Tymczasem zaczął nam zaglądać w oczy głód, bo zostałyśmy prawie bez chleba. Szczęśliwie udało się dotrzeć do stacji w Ajaguzie. Tutaj w stacyjnej restauracji miałyśmy prawo kupić i zjeść zupę. Zrobiliśmy to bezzwłocznie po opuszczeniu pociągu. Potem poszliśmy do bazy sowchozu i zgłosiłyśmy się do kierownika. Miał on kontakt telefoniczny z Tas-Bułakiem, znał terminy przyjazdów samochodów z naszego rejonu, a być może nawet i zameldował ojcu Żeni, że wróciliśmy z Semipałatyńska i oczekujemy na transport. W końcu przede wszystkim wracała do domu córka zastępcy dyrektora sowchozu. Bez wątpienia mną samą i moimi problemami transportowymi nikt nie zajmowałby się z jakąś szczególniejszą pieczołowitością. W niedługim czasie, tj. w ciągu trzech dni, przyjechał ciężarowy samochód bez plandeki.

Z wyżywieniem jakoś radziłyśmy sobie. Ogromnie sprzyjająca była okoliczność, że nie musiałyśmy zbyt długo pozostawać w Ajaguzie. Chodziłyśmy pilnie na stację w terminach przyjazdów pociągów, by móc wejść do restauracji i zjeść serwowaną wtedy zupę. W dniu naszego wyjazdu świeciło nawet słońce. Było stosunkowo ciepło. Żenia Skitowa usiadła w kabinie obok kierowcy. Czowała się pewniej niż ja. Wiadomo, ojciec u władzy, stąd nawet wybór lepszego miejsca potwierdzał jej uprzywilejowaną sytuację. Ja trafiłam na pakę, gdzie podłoga wymoszczona była słomą, w której zakopałam nogi. W Semipałatyńsku udało mi się kupić ciepłą czapę z obszytymi futerkiem klapkami na uszy i z obszyciem, które można było opuszczać dookoła twarzy, gdy było bardzo mroźno. W trakcie jazdy na pace ta czapa bardzo mi się przydała. Miałam wspaniałą ochronę przed wiatrem i zimnem. Odwróciłam



się plecami do kierunku jazdy i tak skurczona we dwoje, ruszając wciąż palcami u nóg, szczęśliwie przejechałam 140 kilometrów. Była pierwsza dekada lutego. Moje obawy, że droga może być zawiana śniegiem, okazały się płonne. Samochód też nie zawiódł.

Dotarliśmy szczęśliwie do Łaj-Bułaku. Skorzystałam z gościnności Polaków. Choć mieli niewiele do jedzenia, podzielili się litościwie tym, co mieli. Żenia została zaproszona przez kierowcę do jego mieszkania. Z moimi znajomymi Polakami dzieliłam się wrażeniami z kursu i z pobytu w Semipalatyńsku. Sama z kolei słuchałam opowiadania pani Bałębiny o rezygnacji pana Szenderowicza z wyjazdu na południe, do armii polskiej, która się tam organizowała. Przyjechał do Łaj-Bułaku już zmobilizowany do armii polskiej jego syn, który jakimś zrządzeniem losu dowiedział się o miejscu pobytu ojca. Miał dla niego bilet i chciał go zabrać z sobą. Pan Szenderowicz oczywiście

cieszył się bardzo ze spotkania z synem, ale odmówił wyjazdu, uzasadniając swoją decyzję tym, że nie może zostawić bez opieki grobu żony. Nic nie pomogły tłumaczenia i perswazje. Zdania nie zmienił. By wykorzystać więc przeznaczony dla Szenderowicza seniora bilet, zabrała się z Szenderowiczem juniorem młoda Polka, córka sąsiadki mieszkającej obok kwatery Szenderowicza seniora.

W roku 1942, a może i wcześniej, słyszałam kiedyś w Tas-Bułaku, że gdzieś na południu organizuje się armia polska, że wiele osób z Urdzaru wyjechało do punktu zbornego. Nie tylko mężczyźni, ale i kobiety w wieku poborowym. Wyjeżdżały całe rodziny, wyjeżdżali ludzie w wieku emerytalnym, starsi. Nikt z naszych ziomeków mieszkających w Dżyлдыkarze czy w Tas-Bułaku, z którymi utrzymywaliśmy kontakty, nie wiedział, na jakiej zasadzie można opuścić dotychczasowe miejsce pobytu i bez problemów stwarzanych przez władze wyjechać do formującej się polskiej armii. Nie wiedziałyśmy, gdzie w istocie znajduje się punkt zborny. Uważałyśmy, że trzeba mieć wiele szczęścia oraz znajomości w sferach wojskowych, i to wysokiego szczebla, by zmilitaryzowany specjalny wysłannik, jak wtedy zdarzało się, przyjechał po jakąś rodzinę z gotowymi biletami wojskowymi. Nie było żadną tajemnicą, że osoby cywilne nie mogły w okresie wojny swobodnie podróżować.



Od lewej: Maria Nuckowska, Ala Bober, Helena Nuckowska. Rok 1938, Lwów, koło rodzinnego domu przy ul. 11 Listopada 21



Przeprawa przez góry z Łaj-Bułaku do Tas-Bułaku nie nastęrczała większych trudności, ponieważ była niezła pogoda i utarta droga. Zabrały nas podwozy, które jechały z Łaj-Bułaku do Tas-Bułaku po produkty żywnościowe. W Tas-Bułaku byłam gościem państwa Antonowych. U nich też przenocowałam, by następnego dnia wypatrywać *produktowoz*a, który prawie co dzień przyjeżdżał z Dżyldykary do Tas-Bułaku. Właściwie byłam zdecydowana podróżować z kimkolwiek. Przyjechał pan Jasio Mazur, który w tym okresie był *produktowozem*. Z nim podjęłam powrót do Dżyldykary. Taszczyłam swój żaloszny *czemadan*, który ze względu na swoją konstrukcję był trudny do niesienia.

W domu, na fermie, naturalnie nie było granic radości z mego powrotu. Musiałam szczegółowo opowiedzieć moje kursowe dzieje od samego początku. Najbardziej zaprzętała nam umysły sprawa armii polskiej, która jakby powtórnie, aczkolwiek spóźniona, wróciła i drażyła naszą świadomość. Co jakiś czas dochodziły wieści, że ta czy inna rodzina wyjechała. Niektórzy, i to bardzo liczni, wyjeżdżali z sowchozu do Urdżaru, może i do Ajaguza i dalej, zaraz po przywiezieniu nas z Polski. Na początku 1943 roku dawno już nie było w Tas-Bułaku tych Polaków, z którymi mieszkaliśmy na początku w klubie, zwłaszcza młodych mężczyzn i ich najbliższych. Młodzi byli bardziej przedsiębiorczy niż starsi, bardziej pomysłowi i skłonni do podejmowania ryzyka. Znamienny był przypadek pani Brzezińskiej, której udało się jednak zaraz po przywiezieniu nas do Tas-Bułaku uciec do Polski wraz z dzieckiem w wieku niemowlęcym. Jak słyszałyśmy, jakiś czas po jej ucieczce odbyła się wyjazdowa rozprawa sądowa przeciwko niej w Tas-Bułaku. Nie pamiętam już dziś, jak dowiedziałam się, że szczęśliwie dotarła z dzieckiem do Lwowa. Wróciła do rodziców i swego domu. Dopóty cieszyła się wolnością w miejscu zamieszkania, dopóki sprawa jej powrotu z Kazachstanu nie stała się głośna. Wieść o wydarzeniu musiała dotrzeć do władz, bez wątpienia do NKWD. No i aresztowano uciekinię ponownie. Tym razem bez dziecka. Nie wiem, jaki wyrok dostała za swoją niesubordynację i dokąd tym razem ją wywieziono.

Ktoś przywiózł wiadomość z Tiki-Bułaku, czyli z 3. fermy, że trafiła tam zwolniona z więzienia siostra Ali Bober, Wanda. Ala i Wanda wyjechały i zacięgnęły się w szeregi wojska polskiego. Dowiedziałyśmy się o tym później. Znając realia naszego bytowania, byłyśmy wielce zaciekawione, co trzeba było zrobić, by zrealizować pomysł opuszczenia Tas-Bułaku. Skąd nasze koleżanki i ich rodzice zdobyli pieniądze na drogę, skąd wiedziały, że zostaną przyjęte do formującej się armii, gdzie załatwiały formalności związane z wyjazdem z Tas-Bułaku.

Gdy zastanawiałyśmy się nad pójściem w ślady Boberów, gdy rozpatrywałyśmy nasze możliwości, zwłaszcza finansowe, warunki podróżowania itd., doszłyśmy do wniosku, że stoimy wobec zbyt dużej ilości niewiadomych. Nie miałyśmy pieniędzy, nie miałyśmy zapasów żywności dających nadzieję na przeżycie podróży, byłyśmy słabo ubrane do wyruszenia na daleką trasę w warunkach zimowych, byłyśmy w każdym calu uzależnione od sowchozu. W przypadku podjęcia decyzji wyjazdu potrzeba byłoby dużo czasu na gromadzenie zapasów, przede wszystkim żywności-

wych, a przecież wciąż brakowało jedzenia wedle bieżących potrzeb. Pieniądzy za pracę w sowchozie, gdy ta praca była, dostawałyśmy zawsze z dużym opóźnieniem niedostateczną ilość, jakby *pro forma*. Wiedziałyśmy już wówczas, że w Urdzarze działał Związek Patriotów Polskich, ale śladów jego obecności w interesującym nas zakresie nie doświadczyłyśmy. No, przynajmniej z perspektywy Tas-Bułaku, gdzie byłyśmy *czarnoroboczym* narodem, zwykłą *swołoczą*, jak nas określał *uprawlajuszcz*y Papazow, ślady te były absolutnie niewidoczne.

## ŁAJ-BUŁAK, CZYLI FERMA NR 2

Ukończenie kursu księgowych nie mogło być realizacją sztuki dla sztuki. Po powrocie do sowchozu otrzymałam polecenie objęcia funkcji *szczetowoda* w Łaj-Bułaku. Nie protestowałam, ale postawiłam warunek, że do Łaj-Bułaku ma być również przeniesiona moja rodzina. Ten warunek został zaakceptowany. Nie czekając na pełną jego realizację, wyjechałam do Łaj-Bułaku. Zatrzymałam się u pani Bałębiny. *Uprawlajuszcz*y Garmaszow obiecał dać dwie podwozy do transportu Mamy i sióstr z Dżyłdykary. Przy okazji miały one dowieźć do Tas-Bułaku uczestników kursu traktorzystów. Lala była wśród nich. Jak się okazało, woły osłabły w drodze. Jeden z wołów nie był w stanie spełniać swej roli. Ledwie trzymał się na nogach. Trzeba go było zostawić na szlaku. Kursanci przełożyli swoje rzeczy na drugie sanie. Było bardzo zimno. Lala miała bardzo nieodpowiednie, cienkie bucięta. Musiała iść pieszo. Bucięta przemoczyła. Zmarzła. Robiło się coraz ciemniej. Nadjechał zdążający w tym samym kierunku zaprzężonymi w konie saniami lekarz Agiejew. Rosjanki, które były woźnicami wolicz zaprzęgów, prosiły go, by zabrał do swych sań Lale. Obawiały się, że może ona zamarznąć. Rosjanin okazał się uczynny. Zabrał Lale. Z nim dojechała do Tas-Bułaku. Poszła przemocować do Polaków. Rano udała się do sowchozowej stajni, by szukać zaprzęgu przybyłego z Łaj-Bułaku i holować go dalej do Dżyłdykary, ale go nie znalazła. Wówczas zdecydowała się pójść do kantoru i szukać pomocy u Kazachanowa, dyrektora sowchozu. Sekretarka nie chciała jej wpuścić do dyrektorskiego pokoju. Lala nie dała za wygraną i energicznie wdarła się do pomieszczenia. Dyrektor nie tylko zniósł jej wyczyn, ale na dobitkę, uważnie wysłuchawszy jej, zapewnił, że będzie w Dżyłdykarze i osobiście poleci tamtejszemu kierownikowi fermy, by dał transport do przeprowadzki. Podniesiona na duchu Lala chciała jak najprędzej dostać się do domu, czyli do odległej od Tas-Bułaku osiem kilometrów Dżyłdykary. Zabrała się szczęśliwie z *produktowozem*, który prawie codziennie bywał w Tas-Bułaku. Dyrektor Kazachanow okazał się słowny i załatwił sprawę z kierownikiem fermy tak, że ten dał dwoje sań, które przewiozły nas z naszymi tobołkami do Łaj-Bułaku. Z tym przeniesieniem wiązałyśmy nadzieję na poprawę warunków życia. Nadzieja ta nie była płonna. Otrzymałyśmy kwatere

w dużym domu krytym blachą, mającym normalne drzwi i okna. Stanowiły tę kwaterę w zasadzie dwa pomieszczenia. Z ganku wchodziło się do jednego z nich, z tego z kolei do następnego. Właśnie w tym następnym zamieszkałyśmy. Nie miałyśmy żadnych sprzętów, by umeblować dwa pomieszczenia. Pierwsze, przylegające do ganku, było puste. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że w magazynie są jakieś sprzęty, które można wypożyczyć. Były to przedmioty znajdujące się w ewidencji księgowej fermy, przeznaczone do użytkowania przez pracowników. Za pokwitowaniem otrzymałam żelazne łóżko, małą szafkę, która służyła nam za stół, dwie drewniane skrzynie i pięć desek, które ułożone na skrzynkach stanowiły drugie łóżko. Ważne było to, że była w tej kwaterze drewniana podłoga, niezły piec kuchenny i okno, które wychodziło na zadrzewiony i zakrzewiony ogród.

Łaj-Bułak był znacznie większy od Dżyldykary, szczególnie pod względem ilości zamieszkujących go ludzi. W Łaj-Bułaku było technikum hodowlane, stanowiące jednostkę z wydzielonym budżetem. Na jego czele stał dyrektor niezależny administracyjnie od sowchozu. W Łaj-Bułaku garażowały dwa ciężarowe samochody, które przewoziły różne materiały z bazy w Ajaguzie. Te były później transportowane dalej do ferm północnych, w kierunku gór. W Łaj-Bułaku był punkt medyczny, którego fachową obsadę stanowiła pielęgniarka Pudowoczkina, była też szkoła podstawowa z nauczycielką Iriną Kisielową, która prowadziła nauczanie początkowe w zakresie klas 1–4, tu mieszkał sekretarz partii. Była też *lawka* (sklep), w którym już to wydawano, już to sprzedawano w ubogim asortymencie rzeczy przydatne do codziennego użytku, przeważnie jednak przydziałową żywność.

Do Łaj-Bułaku zima przychodziła półtora miesiąca później, a wiosna o półtora miesiąca wcześniej niż w Dżyldykarze. Bardzo nam odpowiadała taka okoliczność. Fortunne było też to, że na tej fermie bardzo dobrze udawały się arbuzy, melony, pomidory, ogórki i dynie, oczywiście pod warunkiem nawadniania. W lecie pracownicy mogli za gotówkę kupić owoce. *Naczalstwo* powierzyło mi funkcję kasjera. Kupujący owoce płać w kantorze, a potem z kwitem musiał maszerować po nie do magazynu.

Do mnie należało sporządzanie list wypłat na podstawie raportów dostarczanych przez pracowników funkcyjnych: kierownika gospodarstwa, kierownika robót polowych (*poliwoda*), kierownika hodowli. Z tymi listami miałam zwykle wiele kłopotów. Nie było papieru. Listy płacy musiałam sporządzać na gazetach zszytych tak, że stanowiły broszurę w formacie A4. W nagłówku były komórki z dyspozycjami potrzebnymi do uwidocznienia naliczonych płac, potrąceń, kwoty do wypłaty. Te nagłówki wyrysowane były na wewnętrznych, górnych częściach okładek. Blok fascykułu był tak przycięty, że odsłaniał nagłówki i zawarta w nich treść odnosiła się do kolumn wyrysowanych na kartkach fascykułu. Kolumny były poliniowane poziomo, tworząc tabele. Za atrament służył rozwodniony rdzeń chemicznego ołówka. Często przesiedziałam w domu całą noc, by uzgodnić listę płacy, tj. podsumować wszystkie rubryki tak, by się bilansowały (naliczenie minus potrącenia równa się sumie do wypłaty). Każdą kolumnę liczyłam zwykle po kilka razy, bo często kolejne zliczania

dawały inny wynik. Błędy z całą pewnością stanowiły efekt zmęczenia. Nie byłam wprawiona w liczeniu na liczydłach. Często źle odczytywałam cyfry, które zlewały się z drukiem gazetowym.

To właśnie w tym mieszkaniu przy *tumboczce* oświetlanej *koptilką* ślęczałam do rana. Nauka jednak w las nie szła. Zgłębiłam i przyswoiłam sobie sztukę liczenia na liczydłach. Poza tymi czynnościami pisałam również różne sprawozdania, protokoły, rozliczenia magazynowe itp.

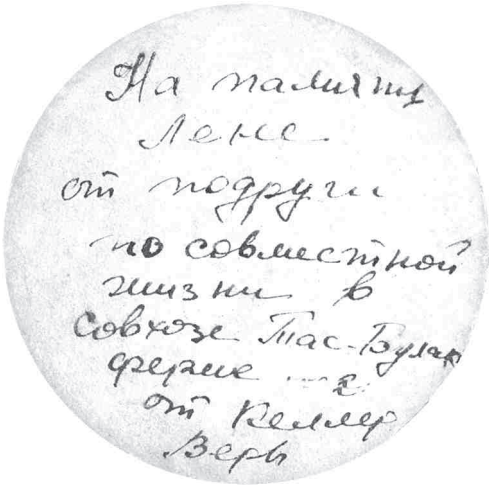
Jak i innym Polakom, tak i nam przydzielono działkę pod uprawę ziemniaków. Trzeba było jednak wiele trudu, by niewielki w istocie kawałek ziemi skutecznie zagospodarować. Przede wszystkim trzeba było wiedzieć, którego Kazacha należy molestować w sprawie wypożyczenia wołu, który niezbędny był do ciągnięcia pługa w trakcie orki. Ten pług, rodzaj jakiejś iście przedpotopowej sochy, można było wypożyczyć tylko z zasobów „maszynowych” fermy. Trzeba było podpatrzeć i jako tako posiąść sztukę efektywnego orania. Wprawdzie woły były ułożone do pracy, ale nam skiba wychodziła początkowo raczej mało fachowo. Był problem z równym prowadzeniem wołu. Do tych prac agrotechnicznych angażowała się najpełniej nasza Mama. Ziemniaki sadiło się łopatą. Nie były to w istocie ziemniaki, a *wierchuszki*, czubki bulw, czyli tego obszaru, na którym znajdowało się najwięcej oczek. Sama bulwa w większości była przez nas zjadana. Sadiłyśmy więc tylko niezbędną dla agrotechnicznego sukcesu część ziemniaka i oczekiwałyśmy pozytywnego efektu trudu w postaci plonu. Rosjanki zapewniały, że będzie on niechybny, choć trochę oryginalnie, tak się nam wydawało, przygotowywany.

Wnet nadchodziło upalne lato i nie można było poletka zostawić bez nawadniania. Prawdę mówiąc, niewiele wiedziałyśmy, jak powinnyśmy to robić.

Nieopodal poletek płynęła woda z rzeki poprowadzona głębokim *arykiem*, czyli rodzajem rowu. Należało przed naszą działką zatamować wodę i skierować jej bieg na nasze poletko. Trzeba ją było umiejętnie rozprowadzać, by nie zdewastowała zasiewu, płynąc zbyt wartko. Pole położone było na pochyłym terenie. By łyknąć niezbędnej wiedzy hydrotechnicznej, nasza Mama i my kolejno chodziłyśmy podpatrywać, jak to robią nasi sąsiedzi. O *arykową* wodę nie było łatwo, ponieważ w pierwszym rzędzie przeznaczona była na potrzeby sowchozowego ogrodu w Łaj-Bułaku, w którym, jak już wspominałam, uprawiano ogórki, pomidory, dynie, arbuzy, melony itd. W ciągu dnia stróż, Kazach, obserwował poletka pracownicze, by zapobiec kradzieżom wody na prywatne potrzeby. Miała ona płynąć tam, gdzie znajdowały się *kazionne* grządki, i miała płynąć bez przeszkód. *Grazdanie* mogli korzystać z wody na swoje prywatne potrzeby jedynie nocą. Naturalnie nie mogło się w tym zakresie obyć bez trybu kolejkowego. Teoretycznie, bez względu na okoliczności, terminy poboru wody były dla poszczególnych zainteresowanych ściśle określone. Naturalnie zbyt długie odstępy w terminach podaży wody, ze względu na sporą ilość zainteresowanych, mogły grozić życiu roślin. Korupcja łamała więc grafiki. My naturalnie też próbowałyśmy z niezłym skutkiem znaleźć sposób na Kazacha i mieć dzienną dostawę wody. Mama, piekąc na blasze placki z wody i mąki,



Wiera Keller, Niemka, pielęgniarzka na 2. fermie



Dedykacja Wiery Keller dla Heleny Nuckowskiej

pewną ich ilość wydzielała, z doraźną szkodą dla nas, dla kazachskiego strażnika życiodajnego składnika przyrody. Skutek był natychmiastowy. Kazach sam kierował część wody na nasze poletko. Oczywiście swych machinacji dokonywał wtedy, gdy nikogo nie było w pobliżu i żadne oczy nie widziały łamania zakazów i faworyzowania Polaków. Takie nawadnianie musiało się powtarzać, gdy tylko ziemia wysychała. Prócz tego trzeba było ziemniaki opielać kilka razy w okresie wegetacyjnym. Okazało się, że nasze zabiegi nie poszły na marne. Miałyśmy niezły zbiór ziemniaków na zimę. Miałyśmy również dynie, słoneczniki i kukurydzę. Dobra te zasilły naszą spiżarnię o dodatkową, jakby wyczarowaną żywność. Jakoś zaaklimatyzowałyśmy się w Łaj-Bułaku. Lepiej przedstawiała się nasza sytuacja społeczna. Nie czułyśmy już takiej nagonki na Polaków, jaka miała miejsce w Dżyлдыkarze. Tam, gdy zaczynały się na wiosnę roboty polowe, nie dawano nam spokoju. Całe *naczalstwo*, z wyjątkiem *uprawljuszczego*, co dzień rano chodziło po kwaterach, by pędzić nas do pracy. Ci *czynownicy* (kierownik gospodarstwa, ogrodnik, zootechnik i jeszcze bodaj jakiś spec od baranów) wchodzili gromadnie do kwatery. Jeden z nich agitował, podnosząc

przy tym nakrywki na garnkach lub oglądając jakiś przedmiot dotąd nigdy przez niego nie spotykany. Inni stanowili asystę i gapiów. W Łaj-Bułaku nie stosowano takich metod. Owszem, przychodził jakiś brygadzysta czy kierownik gospodarstwa raczej z propozycją pracy, i bez nużącej nachalności. Może zarządzający mieli do dyspozycji wystarczającą ilość kazachskich i rosyjskich rąk do pracy? *Uprawljuszczym* był starszy wiekiem, ewakuowany z Ukrainy Rosjanin, Głowaczow. Dziś wydaje mi się, że jego rzeczowość i spokój były być może powodem odwołania go z zajmowanego stanowiska. Poza tym zmiany przyniosła wojna niemiecko-sowiecka. Do wojska została powołana większość mężczyzn. Odpowiedzialne stanowiska



w administracji sowchozu przypadły teraz w udziale kobietom. W Łaj-Bułaku kierownikiem hodowli owiec (*owcewodem*) była Rosjanka, bojowa dziewczyna, Natasza Zubienkowa. Jeździła konno w odległe miejsca, w których zimowały konie i owce. Były to tereny gdzieś daleko na południu, gdzie były nieprzysypywane przez śnieg trawy; ponoć niedaleko jeziora Ałakol, które w pogodny dzień można było dojechać jako błyszczący, lustrzany skrawek. Widać go było ze szczytów gór okalających Łaj-Bułak od północy. Natasza jeździła zawsze z *wietfelczere*m, jakimś *czabanem* czy *uprawlajuszczym*. Często w kantorze snuła mi opowiadki o tych wyprawach i ich uczestnikach, o noclegach w jurtach lub pod gołym niebem. W moim bliskim otoczeniu była następczyni pielęgniarki Pudowoczki, również pielęgniarka, Wiera Keller, Niemka znad Wołgi, z którą się zaprzyjaźniłam. Kiedyś podarowała mi swoje zdjęcie.

Przyjaźniłam się też z Iriną Władimirowną Kisielową, Rosjanką, która była nauczycielką.

W tym czasie, tj. na wiosnę, Marychna i Janeczka pracowały przy przebieraniu fermowych ziemniaków w piwnicach. To była dobra praca, bo zawsze za pazuchą przynosiły do domu parę ziemniaków, kiszone ogórki czy pomidory. Kiszono je jesienią z myślą o potrzebach mieszkańców.

W lecie natomiast Marychna wozila na brygadę produkty żywnościowe, a Janeczka pracowała przy zbiorze pszenicy. Koszono ją kombajnami. Janeczka co dzień przynosiła do domu w kieszeniach niewielkie ilości ziarna. Dbała, by były niewielkie. Łatwo można byłoby wytłumaczyć komuś zbyt spostrzegawczemu, że nie dzieje się jakieś naganne zagarnianie strategicznego dobra państwowego, lecz jest to przypadkowe wypełnianie się ziarnem zakamarków odzieży roboczej. Tej „przypadkowości” było tyle, że udało się nią napełnić dwa worki. Schowałyśmy je w piwnicy pod ziemniakami. Ta była przed domem, w którym mieszkaliśmy. Ziemniaki pochodziły z naszego poletka. Ich ilość została pilnie przez nas policzona i rozdzielona na dzienne racje. Taką racją łączną dla nas, czyli pięciu osób, był niewielki rondel, w którym gotowałyśmy „zupę” składającą się przede wszystkim z wody i rozgotowanych w niej kilku ziemniaków, do tej „zupy” wsypywałyśmy tłuczoną pszenicę lub zagęszczaliśmy ją zaprawką z mąki. Niekiedy dodawało się do zupy kawałek suszonego pomidora. Suszyłyśmy je latem. Lala zazwyczaj doglądała procesu suszenia nie tylko pomidorów, ale także melonów. Czasem przypiekałyśmy na patelni nasiona kukurydzy albo ziarna pszenicy, które potem pogryzałyśmy, gdy robiło się głodno.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej nasz los podzielili nowi zesłańcy. Byli to przywiezieni z Kaukazu w znacznej grupie Czeczeńcy, do których Rosjanie stracili zaufanie, podobnie jak do Niemców nadwołżańskich, szczególnie wtedy, gdy zaczął się zbliżać front. Niemcy też stali się dla władzy *niebłagonadiożni*. Przywieziono do nas właściwie same Niemki. Ich mężów i synów powołano do *trudarmii*, zmobilizowano ich, ale nie dano do ręki broni. Mieli być siłą roboczą w różnych przedsiębiorstwach świadczących usługi dla armii czy też na budowach o znaczeniu strategicznym

na tyłach frontu. Czecheńskie rodziny były nieuszczuplone liczebnie, składały się z mężczyzn, kobiet i dzieci. Członkowie czecheńskiej społeczności byli stosunkowo dobrze ubrani. Kobiety nosiły złote kolczyki. W Łaj-Bułaku do zakwaterowania Czecheńców wykorzystano wszelkie wolne pomieszczenia. Wśród nich niezamieszkaną, przylegającą do wyjścia izbę w naszej kwaterze. Została ona przydzielona licznej rodzinie czecheńskiej. W tym pozbawionym jakichkolwiek sprzętów pomieszczeniu przybysze spali oczywiście na podłodze, na jakichś rozścielonych na czas spoczynku matach. Gdy się poukładali do snu, miałyśmy znacznie utrudnione opuszczanie naszej izby. Leżący zajmowali całą powierzchnię podłogi, slalom pomiędzy nimi nie należał do przyjemności, nieuchronnie potracani też nie mogli mówić o komforcie. A jednak nie miałyśmy z tymi współtowarzyszami niedoli żadnych zadrażnień czy kłótni. Niemniej rosła w nas świadomość, że raczej wolałybyśmy mieszkać bez sąsiedztwa, które było dla nas powodem skrępowania.

Następstwa tego wspólnego zamieszkania okazały się fatalne. Czecheńcy wnet po przyjeździe zaczęli chorować na tyfus plamisty. Leżeli pokotem w pierwszej izbie, a my musiałyśmy nad nimi przechodzić do naszej izby. Początkowo nie orientowałyśmy się, że jesteśmy świadkami ataku tyfusu. Jakież było nasze przeżenie, gdy pewnego dnia złapałyśmy dorodną wesz maszerującą po drzwiach dzielących nas od Czecheńców. Niebawem okazało się, z czym przywędrowały do nas czecheńskie wszy. Jako pierwsza zapadła na tyfus nasza Mama. Miała bardzo wysoką gorączkę, majaczyła, zrywała się z posłania, usiłując gdzieś iść. Siedziałyśmy przy niej, nie pozwalałyśmy opuścić posłania. Nie było żadnych leków. Modliłyśmy się w naszej bezsilności, poiłyśmy Mamę kwaśnym mlekiem, które kupowałyśmy u Kazachów.

W tym czasie dostałyśmy niespodziewanie z poczty w Tas-Bułaku zawiadomienie, że jest do odebrania jakaś paczka. Rzecz w naturalny sposób była powodem naszego dużego zaintrygowania i domysłów. Wydelegowałyśmy po odbiór przesyłki najmłodszą z nas – Lalę. W towarzystwie jednej z Polek, pani majorowej Bieszczaninowej, pojechała drabiniastym wozem ciągniętym przez woły. Gdy urzędniczka pocztowa zapytana przez Lalę o nadawcę paczki odpowiedziała, że jest nim Józef Nuckowski, Lala z emocji zaślabła. Cucąca ją pani Bieszczaninowa dopytywała się, co się stało, kim jest Józef Nuckowski. Lala naturalnie skwapliwie odpowiedziała i pani Bieszczaninowa już więcej nie pytała. Niespokojnie oczekiwałam ich powrotu, popatrując często w kierunku gór. Wróciły przed wieczorem. Lala ostatni odcinek dzielący ją od miejsca rozstania się z majorową do domu prawie przebiegła. Okazało się, że przyniosła aż czterokilogramową paczkę, która przysłała z Palestyny, od naszego Ojca. Była adresowana jego ręką. Była to w istocie druga paczka. Pierwszą, wysłaną niejako na próbę rzetelności sowieckiej poczty, otrzymałyśmy w Dżyldykarze. To w niej były półbuciki. Paczka ważyła dwa kilogramy. Jej nadawcą był jakiś pan Nawrot, którego nie znałyśmy, ale przypuszczałyśmy, że działał on na zlecenie Ojca. Jak się później okazało, Nawrot był właścicielem firmy wysyłkowej. Paczka była przede wszystkim świadectwem, że Ojciec żyje.

Do dziś zachowało się siedem zawiadomień o nadaniu paczek do nas. Ze stempli pocztowych wynika, że w większości wysyłano je z Teheranu. Dotyczyły (i wciąż dotyczą) one przesyłek ekspediowanych do nas w latach 1944–1945. Zawiadomienia docierały do Tas-Bułaku przeciętnie w przeciągu 3–8 miesięcy od momentu wysłania. Świadczą o tym daty na stemplach pocztowych. Tak samo działo się z paczkami, o ile nie „zawieruszały się” w drodze. Bywało, że zawartość niektórych z nich, wysyłanych przez różne firmy (np. B. Kruka z Tel Awiwu), nie do końca była dla nas przydatna. Wypatrywałyśmy przede wszystkim żywności, znajdowałyśmy aparaty do golenia... Jeszcze w lutym 1946 roku dostałyśmy zawiadomienie z Teheranu, że wysyłana jest do nas paczka z mydłem (750 g), herbatą (1000 g), powidłem (1000 g), mlekiem w proszku (500 g), kawą (400 g) i cukrem (500 g). Zarówno w tym przypadku, jak i w pozostałych, nadchodzące z daleka paczki miały znaczenie krzepiące raczej dla naszego morale. Przede wszystkim świadczyły o tym, że Ojciec żyje, że myśli o nas, że stara się ile sił w absurdzie stworzonym przez los dziejowy pomóc nam. Miałyśmy w trudnej niezwykle chwili znak realnej obecności Ojca, fizycznie nie było go z nami, ale wiedziałyśmy, że myśli o nas, a przesłane przez niego produkty trafiały do nas jakby na zawołanie, wprost cudownie, choć prawdę mówiąc, przecież nawet i dwukrotnie cięższa pod względem zawartości paczka nie była w stanie realnie zaspokoić potrzeb dietetycznych pięciu głodnawych ciągle kobiet.

W przesyłce przyniesionej przez Lalę były puszki: z masłem, z żółtym serem, z mlekiem, było opakowanie herbaty, kawy, było kakao, puszka szynki, puszka sardynek, mydło. Chwilę wielkiej radości miałyśmy tego dnia.

Po paru dniach otrzymałyśmy pocztówkę od Ojca, w której pisał, że wysyła nam paczkę. Herbatę od razu zaczęłyśmy wymieniać porcjami u Kazachów na mleko. Za jedną łyżeczkę herbaty dostawałyśmy litr mleka. Bardzo przydała się nam ta przecież niewielka porcja luksusowego jedzenia. Mogłyśmy choć w minimalny sposób pomagać organizmowi Mamy.

Na kartce pocztowej pisanej w Tas-Bułaku<sup>10</sup> 20 kwietnia 1944 roku donosiłam Ojcu:

Kochany Tatusiu!

Paczki dwie z Iranu, jedną od Tatka, a drugą ot[!]jakiegoś Towarzystwa otrzymałyśmy. Zawartość paczek bardzo trafnie dobrana. Wspominałyśmy Tatka na słodko.

---

<sup>10</sup> Na stronie czołowej kartki, w adresie nadawcy, wymieniona jest ferma nr 2, a więc Łaj-Bułak, gdy tymczasem przy tekście skierowanym do Józefa Nuckowskiego wymieniony został Tas-Bułak. Na stronie czołowej obok dwóch okrągłych pieczęci cenzorskich (rosyjskiej i angielskiej) jest też okrągła pieczęć z datą 12 czerwca 1944. Adresat z lewej jej strony zapisał: 16 XI 44. Był to zapewne dzień, w którym kartka dotarła do jego rąk. Nad pieczęcią ktoś napisał kopiaowym ołówkiem: 7 szw[adron] żand[armerii] 1892/16. W prawym dolnym rogu notatka (ołówkowa, słabo czytelna, obwiedziona od lewej strony i z góry czerwonym ołówkiem, od lewej strony strzałką): W komp[anii] przejściowej m[...]. Wraz ze znaczkiem został przez kogoś usunięty odcisk pocztowej pieczęci z datownikiem. Kartka zachowała się w dokumentach Józefa Nuckowskiego.

U nas już wiosna, wszystkie już pracujemy, z wyjątkiem Mamci i Lali. Marysia z Janą na czarnej robocie, a ja jestem buchalterem fermy, na której mieszkamy. Faktem, żeśmy się nawzajem odnaleźli, byliśmy bardzo ucieszone, płakałyśmy cały dzień z radości, uważamy to niemal za cud, a mimo to ciągle jeszcze nie dowierzamy naszemu szczęściu. Ciekawe jesteście ogromnie, jakie były koleje Tatkowego losu, jakie Tatko ma zajęcie obecnie, w jaki sposób dowiedział się o miejscu naszego pobytu?

Marzeniem naszym razem się złączyć i zobaczyć. Tylko to już zależy ot[!] wielu rzeczy, sytuacji itd.

Całujemy Tatka nieskończoną ilość razy.

Julia, Marysia, Hela, Jana, Lala.

Ze względu na krytyczny stan zdrowia Mamy żywnościowa zawartość paczki została w całości zarezerwowana dla niej. Gdy po kilku dniach nadszedł przełom choroby i mordercza temperatura ciała spadła, odetchnęłyśmy. Organizm Mamy wytrzymał. Kamień spadł nam z serca. Zaczęło do Mamy docierać, że luksusowa żywność, którą z zaciekawieniem oglądała, została przesłana nam dzięki staraniom Ojca. Gdy trawiła ją tyfusowa gorączka, była przecież nieprzytomna. Opatrzność Boża była dla nas łaskawa.

Mama z wolna zaczęła wracać do zdrowia. Wypadły jej włosy. Mieszkańcy fermy, którzy bezpośrednio nie stykali się z Czeceńcami, nie chorowali na tyfus. Ratunek przed kolejnymi kłopotami upatrywałyśmy więc w odseparowaniu się od nieszczęsnego źródła infekcji. Taka okazja nadarzyła się, gdy zwolniła się kwatery w baraku przystosowanym do celów mieszkaniowych z owczarni. Kiedyś na tym miejscu mieszkali Polacy. W baraku zamiast podłogi było klepisko. Nie było też sufitu. Małe okienko wpuszczało niewielką ilość światła, ponieważ dolna jego krawędź dotykała powierzchni ziemi, zaś górna była ocieniana okapem dachu. Dodatką stroną tej kwatery było to, że nie musiałyśmy jej z nikim dzielić. Poprosiłam *uprawiajuszczego*, był nim wtedy odesłany z frontu po doznanej kontuzji Ukrainiec Garmaszow, by zezwolił mi przeprowadzić się z rodziną do tej kwatery. Bez oporów ze strony kogokolwiek udało mi się sprawę przenosić załatwić pomyślnie. W sąsiedztwie nowego miejsca zamieszkania była kiedyś piekarnia, w której rozmnożyły się karaluchy i pluskwy. Naturalnie nie miały one najmniejszego powodu, by omijać naszą izbę. W lecie ich natarczywość nie pozwalała spać w pomieszczeniu. Nie było sposobu zwalczenia ich. Trzeba się było poddać. Wynosiłyśmy więc nasze pośłania z pomieszczenia mieszkalnego i spałyśmy pod gołym niebem w pobliżu okna naszego domu.

Od tyfusu jednak nie uciekłyśmy. Jeszcze w izbie sąsiadującej z izbą Czeceńców dopadł on Marychnę, a potem, już na nowym miejscu, mnie. Objawy choroby miały wprost podręcznikowy obraz. Wysoka gorączka nie opuszczała nas przez szereg dni. Organizmy musiały sobie same radzić. Dziś pewnie osłanianio by je antybiotykami. W czasie choroby Mamy przychodził odważnie do nas w odwiedzinach pan Szenderowicz i przynosił krople digitalisu. Zabrał je ze sobą, gdy wyjeżdżał ze

Lwowa. Miały wzmacniać serce Mamy. W czasie naszej choroby już go nie było. Wyjechał do Ajaguza, wyjechała też pani Bałębina, która chorowała na tyfus przed naszą Mamą.

Czczący chorowali masowo. Były wśród nich przypadki śmiertelne, zmarła też jedna z Rosjanek. Wśród Polaków do takich dramatycznych wydarzeń nie doszło, ja w każdym razie o nich nie słyszałam.

W Łaj-Bułaku pojadłyśmy sobie do syta różnorakich owoców, najwięcej arbu-zów, których można było kupić nawet sto kilogramów. Jeden arbu-z mógł ważyć cztery czy pięć kilogramów. Były one soczyste, słodkie. Ich miąższ aż się srebrzył. Doskonale gasił pragnienie. Małe kazachskie dzieci biegały w lecie nagie, ale zaja-dały się arbu-zami. Sok z arbu-za służył im nie tylko po brodzie, ale też po brzuchu i dalej jeszcze. Nikt nie dbał, by wycierać im buzie, brzuchy, podudzia, stopy. Tak zroszone bawiły się potem w pyle, który osiadał i przyklejał się do wilgotnych frag-mentów ciała. Wyglądały niesamowicie, ale nikt się tym nie przejmował.

Melony były jeszcze wspanialsze. Żółte, niewielkie, do jednego kilograma wagi. Miały nęcący zapach, który kojarzył się z gruszkami, a smak jakby gruszki skrzyżo-wanej z ananase. Z naszego poletka miałyśmy dynie. Były słodsze od hodowanych w Polsce. Kawałki dyni kładłyśmy na kuchenną blachę, by się piekła. Woda wypa-rowywała, choć jej ilość była i tak znikoma, a dynia stawała się słodsza i smakowa-ła doskonale. Te rozkosze podniebienia były dostępne dla nas tylko w Łaj-Bułaku, gdzie uprawami ogrodowymi zajmował się Rosjanin Ziejow. Wobec niedowładu transportowego powodowanego stałym brakiem wołów, wozów, ludzi, a pewnie też przysłowiowego czasu oraz atlasu, z urodzaju owocowego nie mogli w pełni korzy-stać ludzie z ferm leżących na północ od Łaj-Bułaku.

Do kasy Łaj-Bułaku wpływało sporo pieniędzy ze sprzedaży owoców. Bar-dzo często główny księgowy sowchozu Sizow, jadąc z Tas-Bułaku do Ajaguza czy Urdzaru, pobierał w Łaj-Bułaku pieniądze na koszty swoich podróży. Dziwiło mnie to i ciekawiło. Czyżby w centralnej kasie znajdującej się w Tas-Bułaku nie było dość pieniędzy? Wziąwszy je ode mnie, każdorazowo zostawiał mi pokwitowanie. Po za-kończeniu miesiąca rozliczałam sprzedaż owoców, przychód oraz rozchód gotówki, przedkładając sprawozdanie do głównej księgowości w Tas-Bułaku.

Jak już wspominałam, doczekałyśmy się liczącego kilka worków plonu ziem-niaczanego z naszej działki. Potrzebna była jakaś piwnica do przechowywania tego cennego dobra. Poszukiwane pomieszczenie znalazłyśmy u *czabanów*. Wykopali je sobie kiedyś w przeszłości, ale nie używali, bo nie zimowali na fermie. Za małą rekompensatą stałyśmy się jej właścicielkami. Ciągłe jednak miałyśmy obawy, żeby nam ktoś nie kradł ziemniaków. Nie miałyśmy kłódki, by piwnicę choć jako tako zamykać. Prymitywny skobelek z drewnianym kołeczkiem był raczej szamańskim gestem i trochę zabawnym objawem naszej wiary w to, że bliźni nie pochyli się po złodziejsku nad naszymi skarbami. No i stało się. Złodziej nie zasnął. Jeden worek ziemniaków zniknął z naszej piwnicy. Strata była wielka. Może nawet była to kłę-ska! Tyle jedzenia przepadło! Złodziej wszakże, trzeba to przyznać, litościwy był



na swój sposób. Ograniczył się do zabrania jednego worka. Trzeba było ratować to, co pozostało. Zawartość worków porozdzielaliśmy na mniejsze porcje i polokowaliśmy w różnych kątach naszej kwatery. Po jakimś czasie nasza Mama wytropiła pusty już worek u Czeczeńca i dokonała jego rewindykacji. Na worku było wypisane nasze nazwisko. Wyglądało na to, że złodziejskiemu procederowi nie oparli się Czeczeńcy.

Pewnego dnia przyszedł *prikaz* dyrektora sowchozu, że mam być przeniesiona do pracy w księgowości głównej, mieszczącej się w Tas-Bułaku. Zbliżała się zima i bardzo nie na rękę były dla nas przenosiny. Temat wałkowałyśmy z wypiekami na twarzy. W Łaj-Bułaku miałyśmy zgromadzone zapasy żywności na zimę i ogólnie lepsze od spodziewanych w Tas-Bułaku warunki przetrwania. Uradziłyśmy, że pojedę sama. Miałam nadzieję, że uda się może zamieszkać kątem u Polaków, którzy jeszcze nie wyjechali. Jako *szużaszczej* (tzn. zatrudnionej w biurze) należało mi się przydziałowe trzysta gramów chleba lub sto pięćdziesiąt gramów mąki dziennie. Ziemniaki miałam wziąć z domu. Tak też się stało. Od polecenia dyrektora nie było odwołania.

Zamieszkałam u pani Nowakowej, która miała dwie córki mniej więcej w moim wieku. Trochę starsza ode mnie była Danuta, zaś z Ireną byłam chyba równa wiekiem. Syna Rosjanie powołali do Armii Czerwonej zanim zaczęła tworzyć się armia polska.

Miejsce do spania dostałam na stole dostawionym do płyty kuchennej. W porze obiadowej jadłam zawsze zupę, której parę łyżek łykałam też na kolację. Śniadania nie było. Lala, korzystając okazyjnie z kursujących pomiędzy Tas-Bułakiem i Łaj-Bułakiem wozów przewożących zaopatrzenie do Tas-Bułaku, przyjeżdżała do mnie i przywoziła to i owo do jedzenia. Raz były to jakieś placki, innym razem trochę ziemniaków. Kiedyś przywiozła nawet kawałek mięsa wieprzowego. A skąd go wzięła? Ano w Łaj-Bułaku hodowałyśmy świnkę. Hodowla ta wedle standardów znanych nam z Polski była raczej niekonwencjonalna. Nasz chrumkający osobnik wraz z innymi, należącymi do Rosjan (ci przeważali liczebnie nad Kazachami), uganiał się bez skrepowania po terenie fermy, sam zaopatrując się w pożywienie wygrzebywane i wynajdywane, gdzie się dało. Pewnie tak zdobywana karma nie zawsze była najwłaściwsza. Trudno z drugiej strony było dogadzać świńskiemu podniebieniu, gdy same nie miałyśmy co jeść. Czasem udało się nam kupić trochę otrąb w piekarni lub w sklepie. Najczęściej jednak serwowałyśmy świnie obierki z ziemniaków, łupiny arbuźów, dyń, ogórków, pokrzywę. Bywało też, że podjadała z korytek, w których Rosjanki karmiły swoje świnię. Odganiano ją, ale uparcie wracała. W zimie nasza świnka jadła gotowane mięso z owiec padłych z głodu lub z powodu brucelozy. To mięso zdobywały w owczych koszarach Janeczka i Lala. Chlewika dla świnki nie miałyśmy. W istocie była ona chudziwą. Wobec wzmagających się trudności ze zdobyciem dla niej karmy, Niemiec o nazwisku Szeffler pozbawił ją życia akurat wtedy, gdy pełniłam swoją urzędniczą misję w Tas-Bułaku. Oprawcy za jego trud trzeba było zapłacić kawałkiem mięsa z naszej świnki. Ja, jak już wspomniałam, też je dostałam.

Wracając jeszcze do mojej pracy w Łaj-Bułaku, muszę wspomnieć, że dwudziestokilometrowa droga przez góry z Łaj-Bułaku do Tas-Bułaku dała mi się mocno we znaki. Przebywałam ją raz w miesiącu, wioząc rozliczenie finansowe z działalności fermy. W miarę znośnie było w okresie letnim. Gorzej było jesienią i zimą. Środki transportu zawsze były okazyjne i byle jakie. Do Tas-Bułaku jeździła również sprzedawczyni (*prikazczyk*), by złożyć sprawozdanie ze sprzedaży w sklepie księgowemu. Pewnego jesiennego dnia wypadło mi jechać właśnie z ową sprzedawczynią, Rosjanką, Dusią Fominą. *Uprawlajuszczy* polecił wydać nam konia zaprzężonego do dwukołowego wózka. Koń był stary, spracowany. Szedł w zaprzęgu wolno, jak na spacer. Gdy wyjeżdżałyśmy z fermy przed południem, zaczął kropić deszcz. Fomina powoziła. W rękę miała jakieś pożyczone biczyisko i usiłowała bezskutecznie pogonić konia. Staruszek konsekwentnie ignorował ją. Gdy zaczęło się ściemniać, dotarliśmy dopiero do gór. Niebo spochmurniało. Nasz koń i my z trudem dobrnęliśmy do płaskowyzu, na którym siąpiący deszcz przeszedł w śnieg. Koń słabł coraz bardziej. Nie chciał iść. Zaczął zapadać zmrok. Musiałyśmy zatrzymać się parę razy, schodzić z dwukółki, by sprawdzić, czy jesteśmy na szlaku. Śnieg był bardzo mokry, przechodził w chlupoczącą breję. Wydawało się nam, że jesteśmy niedaleko rozwidlenia drogi, na którym do Tas-Bułaku trzeba było skrócić w lewo. Droga w prawo prowadziła do 4. fermy. W tym miejscu miały zacząć się pola z ustawionymi na nich stertami słomy. Oddałam inicjatywę mojej towarzyszce. Rzeczywiście zauważyłyśmy obniżający się teren, ale wciąż nie widziałyśmy rozwidlenia. W pewnym momencie zauważyłyśmy jurkę kazachską. Dusia Fomina doskonale znała język kazachski, więc poszła zapytać o drogę. Wcześniej sondażowałam ją, czy nie zaryzykowałaby noclegu w jurcie, gdyby gospodarze okazali się znajomymi czy gościnnymi i zaproponowali nam nocleg. Fomina powiedziała, że w żadnym wypadku nie zamierza zatrzymać się w jurcie, ponieważ ma przy sobie dużo pieniędzy z utargu i boi się, by Kazachowie nie okradli jej, a potem nie zamordowali nas obu. Kazach coś jej wyjaśniał. Wedle jego zapewnień byłyśmy niedaleko celu. Było już zupełnie ciemno. Nagle usłyszałyśmy zrazu dalekie, niewyraźne, potem coraz bliższe i coraz wyraźniejsze wycie wilków. To tu, to tam pokazywały się nam w ciemności świecące wilcze ślepie. Zaczęłyśmy krzyczeć co sił w piersiach. Koniem nie kierowałyśmy. Zdałyśmy się na jego instynkt. Zaczął on dziwnie pochrapywać i wyraźnie przyspieszać. Nas opanowywał coraz większy strach. Modliłam się, by Bóg wywiódł nas z tych tarapatów i pozwolił wreszcie dojechać przynajmniej w pobliże ludzkich siedzib. Paniczny strach był tuż tuż. Dookoła była też gęsta ciemność, brak pewności, czy jesteśmy na właściwym szlaku, niedołączna, człapiąca w istocie noga za nogą szkapa. Czułam wzrastające zagrożenie. Wilki krążyły dookoła nas. Koń, który w naszej wyobraźni powinien galopować, szedł właściwie resztkami sił. Byłam przemoknięta od stóp do głów. Trzęsłam się z zimna i strachu. Nagle usłyszałyśmy dalekie szczekanie psów. Potem dojrzałyśmy nagle światło. Oczekiwałyśmy znajomego widoku zabudowań Tas-Bułaku. To, co zobaczyłyśmy, nie przypominało Tas-Bułaku. Dusia w końcu zorientowała się, gdzie jesteśmy. Do-

tarłyśmy do zabudowań 4. fermy. Nigdy na niej nie byłam. Dusia szczęśliwie miała tu znajomych, oczywiście Rosjan. Zdecydowała się pójść do nich i poprosić, by nas wpuścili do izby, bo niepodobna było czekać na dworze do rana. Zostałyśmy zaproszone do ciepłego i bezpiecznego pomieszczenia. Rozścielono nam jakieś derki na przypiecku. Przemoczone ojcowskie buty z cholewami z trudem dały się zdjąć z nóg. Porozwieszałyśmy, gdzie się dało, naszą odzież i jednak zdrzemnęłyśmy się trochę do rana. Zdaje się, że była północ, gdy dotarłyśmy do tej fermy. Gospodarz litościwie umieścił konia w stajni i dał mu siana do jedzenia. Ledwo zaczęło się rozwidniać, Dusia urządziła pobudkę. Musiałam moje mokre, niewyschnięte buty znów wkładać na nogi. Dobrze, że skarpety mi podeschły. Nie poprosiłyśmy ani o herbatę ani o *kipiatok*. Pojadłyśmy w biegu to, co zabrałyśmy ze sobą z domu. Ja miałam kawałek pieczonego na blasze kuchni placka. Wyruszyłyśmy do Tas-Bułaku, który był oddalony cztery kilometry od 4. fermy. Tylko tyle w nocy chybiłyśmy. Dość wcześnie stanęłyśmy u celu. W księgowości złożyłam swoje sprawozdanie. Wpłaciłam do kasy pieniądze z utargów w Łaj-Bułaku i już przed południem byłam gotowa do powrotu. Dusia Fomina też zdążyła pozłatwiać swoje sprawy. Nie było jeszcze południa, gdy wyjechałyśmy w drogę powrotną. Śnieg przestał padać. Przed zmrokiem mijałyśmy jurte. Na płaskowyżu nasza szkapa szła równo, czując pewnie, że wraca do domu. Już było ciemno, gdy zaczęłyśmy zjeżdżać z płaskowyżu. Koń posuwał się naprzód noga za nogą. Nawet z górki nie chciał podbiec. Była noc, gdy dojechałyśmy do Łaj-Bułaku. Wyprawa z Dusią Fominą zapadła mi w pamięć szczególnie. Mogła się marnie skończyć.

Innym razem, również w zimie, musiałam skorzystać z okazynego transportu z Łaj-Bułaku do Tas-Bułaku. Było to sześć sań łączonych po dwie sztuki. Woźnicami były dwie Niemki i jedna Rosjanka. Przewoziły ziarno w workach. Zaprzęg stanowiły woły. Woły szybko się zmęczyły. Sunęły noga za nogą. Kobiety co jakiś czas przerzucały ładunek na sanie, przy których woły wydawały się silniejsze, próbowały dać odpocząć słabszym. W końcu i te silniejsze osłabły. My dreptałyśmy pieszo za każdym zaprzęgiem. Zapadła noc. Było ciemno. Minęłyśmy góry i znalazłyśmy się na płaskowyżu, który jakby nie miał końca. Zdawało się, że zjeżdżamy z płaskowyżu i teren się obniża. Centralna osada zdawała się być w pobliżu. Rozpoznawałyśmy kontury jakichś stert. Nasze rozeznanie terenu było trafne. Nagle usłyszałyśmy zrazu bardzo dalekie, a potem już coraz bliższe wycie. Dla mnie było ono znajome. Niedługo potem zaczęły się pokazywać w ciemności rozjaśnionej śniegiem, całkiem blisko nas, świecące ślepia wilków krążących wokół naszego zespołu sań. Wyglądało na to, że zaczyna nas otaczać jakaś spora wataha. Zaczęłyśmy krzyczeć. Wilki utrzymywały stały dystans od nas. Woły stały się niespokojne, wyczuwając niebezpieczeństwo, resztką sił próbowały przyspieszać kroku. Mnie wyobraźnia podsycana strachem zaczęła podsuwać obrazy krwawego ataku wilków na nas i nasze woły. Jego scenariusz miałam z chwili na chwilę coraz wyraźniej przed oczami. Już widziałam, jak wilki dobiegają do sań i przystępują najpierw do zagryzania, a potem do rozszarpywania naszych wołów. Plastikowe obrazy atakujących z jednej strony i broniących się z drugiej strony zwierząt były prawie realne. Mniej ja-

koś widziałam w tym scenariuszu nas. Wizualizując potencjalny bieg zdarzeń, byłam skłonna przyjąć jako rzecz niemal naturalną, że wilki powinny zostawić nas poczciwie w spokoju i konsekwentnie zając się zagryzionymi wołami. Zaczęłam zastanawiać się, czy wilki dałyby nam umknąć w stronę Tas-Bułaku, jeśli do jakiegoś umykania byłybyśmy zdolne. Jedna z nas miała zapalki, ale nie było niczego, co można by było zapalić i straszyć drapieżniki. Można było tylko krzyczeć ze wszystkich sił aż do ochrypnięcia. W tym wszystkim myśl pobiegła mi do Tego, który rządzi światem i jest wszechmocny, by nas z tej ambarasująco groźnej sytuacji wybawić raczył. Ostatecznie wilki nie atakowały. Widocznie nie były aż tak głodne. Być może odwiedziły już 4. fermę, gdzie były owczarnie, które z całą pewnością nęciły buszujące po stepie wilki. Przejeżdżając ten rejon w ciągu dnia w kierunku Tas-Bułaku, zwłaszcza w zimie, często widziało się biegnące w oddali grupy wilków, mających charakterystyczne sylwetki, wyraźnie inne niż psy domowe. Było to moje drugie spotkanie z wilkami w tym samym miejscu.

Musiałam zatrzymać się w Tas-Bułaku dwa dni, bo tego wymagała tym razem procedura przekazywania sprawozdania. Nie mogłam więc wracać do Łaj-Bułaku tym zespołem sań, którym przybyłam do Tas-Bułaku.

W kantorze spotkałam Kazaszkę Lidię Bindebajewą, składającą sprawozdanie księgową z 3. fermy, czyli Tiki-Bułaku. Przyjechała ona saniami zaprzężonymi w konia i miała jechać z powrotem do domu przez Łaj-Bułak. By dojechać do Tiki-Bułaku, trzeba było, dojechawszy do Łaj-Bułaku i szosy Urdżar-Ajaguz, skrócić w prawo, w kierunku Ajaguza. Bindebajewa przyjechała ze swym małym dzieckiem. Nie pytałam jej, dlaczego zdecydowała się podróżować w niepewnych warunkach z dzieckiem. Jej postępowanie wydawało mi się osobliwe, choć przecież wiedziałam, że Kazachowie to naród koczowniczy, że nie zrażają się prędko pogodą, odległościami czy ewentualnymi niedogodnościami w trakcie przemieszczania się z miejsca na miejsce, że są zahartowani i swoje dzieci też starają się hartować. Bindebajewa zaproponowała mi, bym jechała z nią. Chętnie przystałam na tę propozycję. Myślałam, że koń to szybsze zwierzę niż wół i warto skorzystać z okazji sprawniejszego podróżowania. Jak się okazało, ku mojemu zaskoczeniu, Kazaszka nie miała wielkiego doświadczenia w powożeniu koniem. W połowie drogi spotkałyśmy sanie, które jechały w przeciwnym do naszego kierunku. Był do nich zaprzężony wół. Musiałyśmy się z tym zaprzęgiem minąć. Ustąpiłyśmy nieco z drogi, umożliwiając przejazd saniom kierowanym, jak się okazało, przez Kazacha. W tym momencie nasz koń, który nieco zszedł ze szlaku, zapadł się po brzuch w śniegu. Bezskutecznie próbowałyśmy skierować go na ubity wąski szlak. Szamoczące się zwierzę zapadało się coraz głębiej w śnieg.

Kazach, widząc, że jesteśmy w tarapatkach, zatrzymał swoje sanie i przyszedł nam z pomocą. Przede wszystkim wyprzągnął naszego konia, któremu po tej operacji bez trudu udało się wrócić na szlak. Oddzielnie zostały przez nas wyciągnięte na ten szlak sanie. Kazach zaprzęgnął też do nich konia. Były to czynności, z którymi w istocie obie z Lidką na pewno nie dałybyśmy sobie rady. Trzeba było mianowicie wiedzieć, jak biegnące od sań dwa dyszle powiązać rzemieniami z łukowatym

drewnianym pałakiem, zwanym *dugą*, biegnącym wysoko nad głową konia i jak tę konstrukcję zespolić z resztą uprzęży.

Kazachowie spotykani w drodze, nawet nieznani, potrafili być prawdziwymi dżentelmenami i nie stronili od pomocy, o ile taka była komuś potrzebna. W normalnych okolicznościach, bez względu na płeć spotykających się, wymieniane były pozdrowienia, a potem padały niemal rytualne pytania o cel podróży, o zawód, o rodzinę. W zależności od pory roku pytania mogły dotyczyć już to upraw, już to hodowli itd. Zagadnięty miał też prawo do zadania serii pytań na interesujący go temat. Ot, taka prawie instynktowna uprzejmość koczowników w przypadku niespodziewanego spotkania dwóch osób na bezkresnym stepie.

A nam po przygodzie związanej ze spotkaniem Kazacha jechało się nawet nieźle, ale do czasu. Zaczęliśmy z płaskowyżu zjeżdżać w dół. Koń zaczął przyspieszać bieg. Wyrzucał śnieg tylnymi nogami wprost na nas. Uderzał też nimi o przednią część sań, które zdawały się sunąć szybciej niż on biegł. Te uderzenia przyjmował być może jako popędzanie go, być może też wywoływały jego coraz większy przestach. Zaczął galopować, jakby chciał uwolnić się od czegoś, co mu przeszkadzało i sprawiało ból. Kazaszka bezskutecznie ściągała lejce. Ja popadałam w coraz większy przestach, popatrywałam niespokojnie, czy nie zgubiłyśmy dziecka, które leżało z tyłu sań pozawijane w jakieś chusty. Myślałam, że koń za chwilę rozwali sanie i zostaną z nich drzazgi. Obawiałam się, byśmy nie zaczepiły o znajdujące się przy drodze skały. Sprężyłam mięśnie, zamarłam i czekałam na uderzenie, które niechybnie powinno wyrzucić nas w powietrze. Kazaszka przestała hamować konia, który kompletnie ją ignorował. Galopował do końca spadzistości drogi, nie uznając kobiecej ręki trzymającej lejce. W rezultacie poobijał sobie nogi i uszkodził sanie. Najadłyśmy się strachu i miałyśmy sporo szczęścia.

Jakoś w tym czasie w Łaj-Bułaku ze stanowiska *uprawlajuszczego* odwołano Garmaszowa. Na jego miejsce został wyznaczony Papazow. Ten sam, który wcześniej był *uprawlajuszczym* w Dżyldykarze. Nie miałam dla niego absolutnie żadnej sympatii. Znałyśmy go już. Był złośliwy, bezwzględny, nieludzki. Zaraz na początku swojego urzędowania polecił wyznaczonym pracownikom przeszukać kazachskie chałupy w poszukiwaniu zboża, które zostało ukradzione z sowchozowego pola. Gdy Mama i siostry mieszkające w Łaj-Bułaku usłyszały, co się święci, bardzo się przejęły, bo w piwniczce miały ukryte przed okiem ludzkim dwa worki pszenicy. Ale jakoś do przeszukania naszej piwniczki nie doszło. Papazow widać oceniał, że niepożorne kobiety nie są w stanie ukraść z pola i przetransportować niepostrzeżenie parę worków pszenicy. Co innego, jeśli szło o Kazachów, którzy mieli środki i sposoby sprawnego zawłaszczania rzeczy niezbędnych, a będących we władaniu państwa. Po jakimś czasie akcja rewizyjna zamarła, zaś Papazow znalazł inny powód do szykanowania naszej rodziny. Wezwał kogoś razu Marychnę i polecił jej jechać na Granitne do pilnowania zimujących tam owiec. Oczywiście musiałyby tam mieszkać kątem u Kazachów, których tryb życia, jak na nasze odczucia, był deprymująco prymitywny. Pracowali solidarnie przy stadach owiec, obsługując je na wszystkich



etapach hodowli. Byli dobrze wdrożeni do swych zadań, zgodnie z koczowniczą tradycją. Wiedzieli, jak czerpać profity ze swego zajęcia mimo różnych restrykcyjnych i niewątpliwie grabieżczych pomysłów władzy radzieckiej. Korzystali latem z mleka i serów owczych. Sprawnie kradli wełnę, podskubując owce. Tworzyli podaż mięsa na swoje potrzeby, sprytnie ukrywając narodziny owiec lub powodując ich zgony. Przypuszczam, że mieli też sposoby, by zapewnić sobie przychylność *owcewodów* czy *wietfelczerów*, którzy urzędowo musieli nadzorować zmiany ilościowe w stadach owczych. Urzędnicy też musieli jeść, musiał być rodzaj zdroworozsądkowej sytuacji neutralizującej idiotyczne wymogi opresyjnego państwa komunistycznego. Tylko w ramach codziennej solidarności ludzi obsługujących owce możliwe było jako tako bezpieczne działanie systemu. W przypadku jakiegoś zacięcia się maszynierii stosunków międzyludzkich istniała możliwość wkroczenia wymiaru sprawiedliwości i wtedy był czas wyciągania konsekwencji, zwykle niewspółmiernie surowych w stosunku do winy.

Jak już wspomniałam, Marychna nie zgodziła się jechać do Granitnego. Zostało to przyjęte jako odmowa pracy. Papazow wezwał naszą Mamę do kantoru i zażądał opuszczenia przez nas zajmowanej kwatery. Domagał się, byśmy niezwłocznie przenieśli się do Tas-Bułaku, gdzie ja pracowałam. Nie mogło być tak, jego zdaniem, że niepracująca rodzina blokuje kwaterę. Mama naturalnie odmówiła, argumentując, że zbliżająca się pora roku nie jest dobra do przeprowadzek. Poza tym nikt nie dawał gwarancji, że w Tas-Bułaku będziemy miały jakieś *locum*. Była jesień 1944 roku. *Uprawlajuszczy* chciał dopiąć swego i okazać się prawdziwym gospodarzem na swoim terenie. Następnego dnia po rozmowie podjechały dwie podwoły zaprzężone w woły i kazano się wyprowadzać, ale odpowiedź Mamy i sióstr była kategoryczna: Nie! Podwoły odjechały. *Uprawlajuszczy* nie zdecydował się na użycie przemocy. W kwestii odmowy wyjazdu nieobojętna była dla nas sprawa *kiziaku*, który miałyśmy przygotowany na zimę. Nikt z całą pewnością nie woziliby go za nami. Miałyśmy zapas ziemniaków i nie miałyśmy pewności, czy byłoby je gdzie składować w hipotetycznym mieszkaniu w Tas-Bułaku. *Uprawlajuszczy* następnego dnia wystąpił z szykanami. Przysłał rankiem do mieszkania Mamy i sióstr dwóch Kazachów. Ci, powołując się na polecenie Papazowa, przystąpili do usuwania drzwi i oszklonej ramy okiennej. Słowne protesty okazały się bezskuteczne. Można było próbować rozstrzygnięć przy pomocy pięści, ale z całą pewnością takie rozwiązywanie problemu nie prowadziłyby do sukcesu. Niezaprzeczalnie wysłannicy Papazowa mieli przewagę fizyczną. Drzwi zastąpił więc wiszący na ich miejscu koc, a otwór okienny wypełniły *samanowe* cegły. Między tymi cegłami trzeba było zostawić niewielki otwór, by przez niego mogło wpadać do mieszkania choć trochę światła. Otworem tym naturalnie oprócz światła wpadał chłód.

Gdy przyjechała do Tas-Bułaku Lala, przywożąc mi trochę jedzenia, dowiedziałam się o wyczynie Papazowa. Postanowiłam interweniować u dyrektora sowchozu Kazachanowa. Opowiedziałam mu o wydarzeniach w Łaj-Bułaku i prosiłam, by powstrzymał chuligańskie wybryki sadystycznego Bułgara. Kazachanow pisemnie

zadysponował, że moja rodzina ma pozostać w Łaj-Bułaku do dalszych jego dyspozycji. Kartka rzeczywiście wystarczyła i Papazow odczepił się od Mamy i sióstr, ale drzwi i okno przez długich kilka tygodni nie zostały wprawione. Zrobiono to wtedy, gdy nastąpiły chłody. Zanim pojawiły się drzwi, ktoś w nocy ukradł nam koc zasłaniający otwór drzwiowy i teczkę skórzaną, leżącą co prawda w izbie, ale zbyt blisko otworu drzwiowego. Trudno zaprzeczyć, że Papazow, jak mógł, tak nam pogrywał na nerwach. Do dziś nie wiem, dlaczego tak wrednie się zachowywał. Prawda, że ignorowałyśmy go, nie próbowałyśmy komplementować, jak to czyniły niektóre Polki, wszak nie krył, że uważa się za człowieka przystojnego i godnego uwagi...

## PONOWNIE W TAS-BUŁAKU

W biurze sowchozu powierzono mi dział operatywny, zajmujący się sprawozdawczością z działalności sowchozu. Co dekadę miałam obowiązek przekazywać jednostce nadrzędnej dane z wykonania planu agrotechnicznego, planu zbiorów płodów rolnych, a także polityki hodowlanej, dotyczącej bydła, owiec i koni. Otrzymywałam meldunki z poszczególnych ferm, weryfikowałam je i łączyłam w uporządkowaną całość. Ten wynik moich trudów przekazywałam sekretarce dyrektora. Podpisane przez dyrektora sprawozdanie trafiało za pośrednictwem wspomnianej sekretarki tak do „Trestu Sowchozów” w Semipałatyńsku, jak i do komitetu partii stosownego szczebla. Jasne, że przekazywane przeze mnie dane były częstokroć księżycowego pochodzenia. Ich zadaniem było pasować, jak ulał, do planu. Wskazówek i danych do takich konstrukcji sprawozdawczych udzielał sam dyrektor z prawdziwą czy wydumaną nadzieją, że papierowe sukcesy uda się w końcu kiedyś ziścić jakimiś nadwyżkami. Fikcyjnie dużo zaorywano pól, fikcyjnie dużo z nich zbierano, a naga prawda skrzeczała wtedy, gdy zgłaszano zapotrzebowanie na rzeczy, które były stuprocentową fikcją. Nigdy nie dowiedziałam się, jak dyrektor tłumaczył się, szczególnie w zimie, z niemożności sprostania przysyłanym zamówieniom. Fikcja goniła fikcję.

W początkowej fazie grudnia zaczynał się okres bilansowy. Wcześniej, pod koniec listopada, inwentaryzowano stan faktyczny, konfrontowano go ze stanem księgowym, odbywało się wyjaśnianie niedoborów i nadwyżek. Przy czasochłonnej weryfikacji różnych kont pojawiała się konieczność pracy w godzinach nadliczbowych, za które naturalnie nie płacono. Główny księgowy, Rosjanin Wasilij Daniłowicz Sizow, starał się organizować jakąś kolację, gdy pracowaliśmy na przykład do godz. 21.00. Nie wiem, jakimi machinacjami posługiwał się, by przez kilka tygodni akcji bilansowej nawiedzała naszą szóstkę czy siódmkę żona weterynarza, Zoja Tuzowska, taszcząca swoje garnki i miski. Serwowała doskonałą zupę na baraninie (z chlebem!) albo *pielmieni*, czyli pierożki z mięsem. Ja byłam usatysfakcjonowana.



Tasbulak 6/XII. 1944 roku

- 1 Дезаев Георгий Константинович
- 2 Касымов Сауке 15 Тилебаев Кобий
- 3 Сизов Иван Димитриев 16 Захарьев Закип
- 4 Сизова Татьяна Сергеевна 17 Саржаков.
- 5 Паул Мила Эдуардовна
- 6 Пиндебайева Лидия
- 7 Абрамова Ольга Эдуардовна № 9 Елена
- 8 Усатова Антониана Трофимовна Д. Усатова
- 10 Скоркина Зоја Александровна
- 11 Козипев Абай
- 12 Кызкыч Татьяна Дмитриевна
- 13 Парасковья Татьяна
- 14 Марья Александровна

Pracownicy biurowi, specjaliści oraz *uprawiający* w Tas-Bulaku, 6 XII 1944 roku

Chleb był na co dzień reglamentowany, na przydział, a tu poza reglamentacją mogłam zjeść miskę zupy z jedną lub dwiema kromkami chleba. Zoja mieszkała obok kantoru. Wydaje mi się, że był to okres, kiedy opuścił ją mąż, by związać się z Polką, Alą D. Zoja miała dwóch synów w wieku do dwunastu lat. Zapłata za jej trud było to, że z naszego kociołka mogła żywić siebie i swoją rodzinę.

Główny księgowy sowchozu, Sizow, niedługo był moim przełożonym. Otóż gdy wyjechał przedłożyć okresowe sprawozdanie bilansowe do Semipałatyńska, na jaw wyszły nadużycia związane z jego działalnością zawodową. Mianowicie jacyś Kazachowie przyszli z żalami, że nie otrzymali wynagrodzenia za pracę przy remontach sowchozowych obiektów. Za sprawdzanie list płac zabrał się Georgij Konstantynowicz Rezancow, który wcześniej pracował w zaopatrzeniu sieci sklepów. Zaczął sprawdzać podpisy kwitujących odbiór pieniędzy. Okazało się, że wśród podpisów istniejących pracowników są podpisy martwych dusz. Pobieraniem pieniędzy na wypłaty i nadzorem nad wypłatami zajmował się prowadzący roboty niejaki Kusznieluk, chyba Polak, który trafił do sowchozu, ale nie z nami. Nie wiem, skąd pochodził i w jakich okolicznościach znalazł się w Tas-Bułaku. Przy okazji wyszło też na jaw, że pieniądze pobierane przez Sizowa z kasy w Łaj-Bułaku nie były ewidencjonowane. Nie było jasne, czy Kusznieluk dzielił się z nim pieniędzmi wypłacanymi martwym duszom. Tak czy inaczej obie okoliczności rzutowały ujemnie na opinię Sizowa, głównego księgowego i członka partii. Być może kierowano pod adresem Sizowa jakieś inne zarzuty, o których nie wiedziałam. W każdym razie po powrocie z delegacji został on zwolniony, aresztowany i wykreślony z partii. Rozpoczęło się śledztwo. Przyjechał biegły księgowy z innego sowchozu, by zbadać bilans i zweryfikować stawiane w akcie oskarżenia zarzuty. Następcą Sizowa został Rezancow.

Po upływie jakiegoś czasu milicja przywiozła Sizowa do Tas-Bułaku, znalazł się w biurach dyrekcji i pozwolono mu poruszać się po nich bez milicyjnej asysty. Niegdyś nie zastanawiałam się nad tą okolicznością. Dziś postępowanie milicjantów wydaje mi się dziwaczne. Czyżby nie obawiali się, że aresztant Sizow będzie próbował mataczyć? A może nawet byli z nim w zмовie i miał on za jakąś tam cenę dokonać prowokacji na niekorzyść byłych swych współpracowników? Sizow znalazł się w biurach księgowości w ciągu zwyczajnego dnia pracy. Pojawił się też w pokoju zajmowanym przeze mnie wraz z kilkoma innymi osobami. Zdarzył się jednak taki moment, że w pokoju byłam tylko ja, ponieważ inni akurat dokądś wychodzili. Wtedy Sizow podszedł do mnie i poprosił o moje rozliczenia kasowe, w których uwidoczniony był przychód gotówki ze sprzedaży owoców i jej rozchód, między innymi były też uwidocznione sumy pobrane za pokwitowaniem przez Sizowa. „Elena, wyjmij moje pokwitowanie i daj mi” – powiedział.

Czyżby wyobrażał sobie, że z nieświadomości czy z atencji dla niego ukręć bicz na swoją głowę, że może będę spokojnie patrzyła, jak on niszczy dokumenty, a ja potem będę pokrywała niedobory zrobione przez niego wstawianiem fikcyjnych danych? Być może mniemał, że nie zdając sobie sprawy z jego nadużyć i machinacji

dam się łatwo podejść. Dokumentów nie dostał nawet do obejrzenia. Był sądzony i dostał kilka lat więzienia, bo pieniądze zdefraudował sporo.

Dopiero na wiosnę 1945 roku, gdy drogi obeschły, odroczone przez Kazachanowa przeprowadzka Mamy i siostr do Tas-Bułaku nabrała realnych kształtów. Postarałam się o pismo dyrektora sowchozu nakazujące, by Papazow dał dwie podwozy. Kwaterę przydzielono dla nas w dużym domu krytym blachą. W tym samym korytarzu, ale skręcając do drzwi na prawo, mieszkała Rosjanka z czwórką dzieci. Jej mąż był traktorzystą, zmobilizowano go do armii.

Podłogę w naszym lokalu miałyśmy drewnianą, piec z blachą, duże dwa okna. Dom, stojąc na wzgórzu, górował nieco nad osadą. Miałyśmy z jednego z okien widok na część zabudowań i rzeczkę. Z drugiego okna widać było step i w dali górzysty teren dzielący Tas-Bułak od Nowotroickoje. Chodziłyśmy często na step w poszukiwaniu poziomek. Jadłyśmy je, choć były niedojrzałe. W naszym mniemaniu nie pozostawało to chyba bez następstw, bo dziwnie zaczęły nas boleć brzuchy, pojawiła się męcząca biegunka. Okazało się, że to krwawa dyzenteria, czyli czerwotka. Poprosiłyśmy doktora Agiejewa, bardzo grzecznego, życzliwego Rosjanina o poradę. Przyszedł zbadać nas. Dał jakiś lek, który pomógł.

Tym razem Mama nie chorowała. Z jedzeniem było bardzo źle. Staraliśmy się wymienić u Kazachów na owies *kirpicznyj czaj*, tj. prasowaną herbatę, którą raz jedyny udało się nam kupić. Kazaszki mówiły, że jest to lekarstwo na ból głowy. Ten owies był głównym naszym pożywieniem. Mama podpiekała go na płycie kuchennej, by dobrze wysechł. Tłukło się go następnie w móżdzierzu zrobionym z traktorowego silnikowego tłoka. Z utłuczonego owsa usuwało się plewy, a wieczorem zalewało się go chłodną wodą, by rano odlać gromadzące się na wierzchu nieczystości i resztę plew. Owsianą zawiesinę zagotowywało się. Plewy trzeba było jeszcze przepłukać kilkakrotnie wodą, by wypłukać resztki rozartego na mączkę ziarna. Kisiel otrzymany z mączki owsianej jadłyśmy raz, czasem dwa razy dziennie. Gotowany był w żelaznym, niewielkim kociołku, który kupiłyśmy od jakichś Kazachów. Kisiel, który zwykle przywarł do kociołka, był dokładnie wyskrobywany. Wnętrze kociołka dzieliło się sprawiedliwie na pięć części, by każda z nas mogła sobie wskrobać swoją część. Skrobałyśmy pilnie, ale zawsze wydawało się, że przydałoby się więcej powierzchni do skrobania... Mało skomplikowane menu miałyśmy w tym okresie.

Co jakiś czas odmianą w menu była zupa, tj. zacierka z mąki rzucana na wodę. Tylko ja, jako osoba pracująca, miałam prawo do otrzymywania przydziału mąki dla siebie, Mamy i Lali. Marychna i Janeczka nie miały prawa do przydziału, bo nie pracowały.

Postanowiłyśmy kupić małą kózkę z założeniem, że w przyszłości będziemy miały od niej mleko. Akurat znalazł się chętny do sprzedania zwierzęcia w preferowanym przez nas wieku. Nie pamiętam, czy transakcja odbyła się w ramach jakiegoś handlu wymiennego, czy posłużyłyśmy się pieniędzmi. Kózka okazała się zwierzęciem przemiłym. Nocowała razem z nami w kwaterze. Miała swoje miejsce tuż przy



drzwiach na wyścielonym sianem kawałku podłogi. Była zwierzęciem wyjątkowo schludnym. Nie siusiała, gdzie popadnie, gdy natomiast zdradzała chęć siusiania, dawała sobie podstawić blaszany pojemniczek. Jej bobki były raczej konsystencji suchej. Padały na siano, które następnego dnia było wyrzucane. Koza nazywała się „Zinka”. Przybiegała z oddali, gdy ją wołałyśmy. Urodziła nam dwoje kozłat, które, niestety, zjadłyśmy. Gdy opuszczałyśmy na zawsze Tas-Bułak, wyjeżdżając do Polski, sprzedałyśmy „Zinkę” nauczycielce, Niemce.

Marychna nauczyła się prząść wełnę owczą przy pomocy wrzeciona i robić na drutach różne elementy odzieży. Przyjmowała zlecenia od kobiet, które lubiły sprawić sobie nowy detal ubrania i były w stanie służyć jakimś ekwiwalentem za wykonaną pracę. Wraz ze zleceniem dostawała już to wełnę do uprzedzenia już to gotową przędzę. Rosjanki gustowały na przykład w różnego rodzaju szalach, skądinąd bardzo praktycznych w czasie mrozów. Marychna w zasadzie nie brała pieniędzy po wykonaniu zamówienia, natomiast chętnie przyjmowała ratujące nas produkty żywnościowe w postaci mąki, tłuszczu czy ziemniaków. Szczególnie Rosjanki obstalowujące zamówienia były zasobne w interesujące nas dobra. Tych kontrahentek, stanowiących kapitałową elitę, było jednak niewiele. Jedną z nich była piekarka. Piekła chleb dla pracowników Tas-Bułaku, Dżyldykary i może Aktopraku. Bez wątplenia gospodarowała powierzoną sobie mąką tak, by starczyło jej dla rodziny i by dostatecznie dużo zostawało jej na wymianę, na przykład za zrobienie szala czy też jeszcze za inną usługę. Drugą była magazynierką w magazynie zbożowym i też umiała sobie radzić w życiu. Nic dziwnego, że chleb był ciężki jak ołów i ledwo dał się zjeść. Miał osobliwą konsystencję i smak. Pakowane do niego jakieś składniki zastępcze miały maskować ubytek pełnowartościowego składnika, co zresztą dla nas głodnych permanentnie było obojętne. Liczyło się to, że jest cokolwiek do jedzenia. Ziarno zbożowe też było zawsze zanieczyszczone grubo ponad normę, ale liczyła się przecież przede wszystkim jego waga.

Co roku na wiosnę miałyśmy nadzieję, że może jest to ostatnia wiosna, którą musimy oglądać na ziemi kazachskiej. Liczyłyśmy, że nie trzeba się będzie z mozołem przygotowywać do kolejnej zimy, czyli okresu, w którym nasze możliwości zdobywania jedzenia bardzo marniały. Z trudem pielęgnowałyśmy nadzieję, że stanie się jakiś cud i układ powojennych sił pozwoli nam na powrót do Polski, do Lwowa. Właściwie wbrew nadziei miałyśmy nadzieję, że jeszcze przyjdą dla nas lepsze czasy. Wiadomości o wojnie były bardzo skąpe, a jeśli już były, to takie, jakie pozwolił ujawnić aparat walczącego państwa. Trudno było dopatrzeć się zwiastunów jakiegoś korzystnego dla nas rozwiązania z perspektywy Tas-Bułaku, czyli świata zabitego deskami, leżącego bardzo daleko od przysłowiowej szosy.

Gdzieś tam na zachodzie zbliżał się koniec wojny, a my 1 kwietnia 1945 roku pisałyśmy do Ojca z Tas-Bułaku. List ten doszedł do adresata i zachował się do dziś, zachowało się też kilka innych listów w papierach Ojca, więc mogę je przytoczyć i zreprodukować w całości:

[*Moją ręką:*]

Kochany Tatusieńku!

Dziś u nas Wielkanoc zawitała do naszego domu wielka radość, otrzymałyśmy list od Tatusia z 22 XI [19]44 z wiadomością, że pierwsza nasza kartka doszła do celu. Proszę się nie martwić, wszystkie paczki otrzymałyśmy, prócz tego z Palestyny 4 i z ryżem jedną – 4 listy od Tatusia i od p[ana] Nawrota<sup>11</sup> kartkę. Poczta bardzo długo chodzi, na jeden list trzeba czekać 7 miesięcy. Paczki nam bardzo pomogły, zwłaszcza herbata, tłuszcz, mydło i inne produkty pierwszej potrzeby. Pierwsza paczka przyszła w czasie, kiedy Mamcia była chora na tyfus, leżała nieprzytomna, dlatego dużo o Mamci w tej kartce nie wspomniałam.

Od pięciu lat żyjemy dzień po dniu z małymi wyjątkami jak prawi katolicy w Suche Dni, dlatego najbardziej się zmieniła Mamcia, na nas młodych nie tak się to odbija. Powierze tu górskie, co nam sprzyja, na nasze nieszczęście dodaje jeszcze apetytu.

Całuję Tatusieńku nieskończoną ilość razy.

Hela.

[*Niżej ręką Marii:*]

Kochany Tatusiu!

To piszę ja, Marysia. Wanda Kaliszczyk mówiła Tatкови o tem, że sparzyła sobie twarz przy traktorze, właściwie to było trochę inaczej. Poparzyłam się ciężko parą w łaźni, leżałam trzy tygodnie w szpitalu i dwa tygodnie w domu. Mimo małej nadziei wyszłam cała i nie mam żadnych blizn.

Kiedyś, zdaje mi się, że w [19]41 r[oku], odmroziłam sobie całą twarz, ale to też nie pozostawiło żadnych śladów. Obecnie wszystkie jesteśmy zdrowe i, jak wszyscy jednogłośnie orzekli, bardzo urodziwe. Jesienią tego roku byłam chora na tyfus i Lalka ostrzygła mi włosy do gołej pałki, ale już porastają i Lalka twierdzi, że zaczynają się kręcić. Tyle o sobie. Teraz, kiedyśmy się z Tatkiem skomunikowały, spodziewamy się nowych posyłek od Tatka, jeżeli oczywiście fundusze na to pozwalają. Ciągłe tu krążą wieści o re[e]wakuacji nas na teren Polski, ale nie wiadomo, kiedy to nastąpi.

[*Niżej ręką Janiny:*]

Najukochańszy Tatusiu!

Jak możemy, tak żyjemy, ja sprawuję fu[n]k[c]ję gospodarza t.z. mężczyzny. Jeśli trzeba naprawić coś z gospodarskich narzędzi, wszystko potrafię. Nawet umiem orać na bykach. Żał mi bardzo, że nie mogę się uczyć. Tatusiu! Tatuś by mnie nie poznał, bo bardzo wyrosłam, jestem najwyższa w rodzinie i mam długie warkoczki.

Całuję Tuśka w buziak.

Janka

[*Niżej ręką Mamy:*]

---

<sup>11</sup> Właściciel firmy ekspediującej paczki.

Kochany Józieńku!

Jestem zadowolona ogromnie, że wiemy o sobie nawzajem. Popłakałyśmy się nad Twoim listem z radości, całowałyśmy Twój list, dzieło Bożej opatrności, zawsze modliłyśmy się o to. Chowam nasze dzieci jak kwiatuszki, ładne, jak z kamienia bite i prawdziwie dzielne, szczycą się dobrą sławą między pannami. Oby wszyscy wytrwali w dobrym do końca. Helunia jest dobrym buchalterem, Marysia z Janą pracują na czar-nych robotach. Lala pomaga mi w domu, ona zuch dziewczynka, śmiała i odważna. Ja jestem zdrowa, mam dobry apetyt, tylko zaspokoić nie mam czym.

Całuję Twego słodkiego buziaka.

Twoja żona Julia.

[*Niżej ręką Lali:*]

Całuję Tatusiowi rączki i ściskam jak umię[!] najsilniej.

Lalka.

Któregoś jednak dnia dotarła do sowchozu, aczkolwiek ze sporym opóźnie-niem, radosna wiadomość o zakończeniu wojny. Lotem błyskawicy rozniosła się po całym osiedlu. Rosjanki i Kazaszki rozpoczęły oczekiwanie na powrót z wojska mężów, synów.

Pod koniec maja pisałyśmy do Ojca:

Tas-Bułak 26 V 1945<sup>12</sup>.

[*Ręką Janiny:*]

Kochany Tatusiu!

Niedawno otrzymałyśmy list, w którym Tatuś donosi, że dostał od nas telegram. Jesteśmy bardzo szczęśliwe, że jednak korespondencja nasza doszła do celu. 9 V został ogłoszony koniec wojny, ale o naszym powrocie nie wiemy nic pewnego, choć od dawna chodzą słuchy, że już niedługo. My pragniemy jednego, by złączyć się z Tatusiem, gdzie by to nie było, nawet w Iranie, gdyby tylko było to możliwe. Uplywa dzień za dniem, rok za rokiem, ale my nie tracimy nadziei, z cierpliwością czekamy lepszego jutra i wiemy, że przed jutrzeńką noc najciemniejsza. Z Polski piszą nasi krewni, że będą wyjeżdżać do Łodzi. Marjan już wyjechał, a ciotka Aniela i wujka[!] Stacha[żona stryja Marcina] rów-nież się wybierają. Wujek Michał nam nie pomaga, a podobno powodzi mu się nieźle. Stryk Marcin też sobie radzi, do tej pory nie napisał do nas ani jednego listu. Tacy to są nasi krewni, tylko ciotka Aniela została się nam wierna.

Kończę swoje bazgroty, zasyłam Tatusiowi najczulsze pocałunki, tagże[!] Mamcia, Marysia, Hela i Lalka.

Jana

---

<sup>12</sup> Ręką Heleny.

[*Dopisek moją ręką:*]

PS. Wujko Michał i inni z Lipnik też zarejestrowali się na wyjazd na zachód. Nam teraz trochę lepiej żyć pod materialnym względem. Wszystkie obecnie mieszkamy razem. Jana przędzie wełnę, Marysia robi sweterki, a ja pracuję w biurze. Mamcia z Lalą gospodarzą. Życzymy sobie, by przez cały czas pobytu tutaj tak nam było.

Całuję Tatusia mocno.

Hela

W czasie trwania wojny wiadomości o jej przebiegu przekazywane były najszybciej telefonicznie, najwcześniej trafiały na pocztę, potem do komórek partyjnych. Ludzie z tych miejsc wiedzieli najwięcej. Do kantoru sowchozowego aktualne wieści trafiały od naczelnika poczty. Rosjanie pracujący w kantorze zaznaczali sobie na mapie szpilkami linię frontu i z chwilą otrzymania nowych meldunków o ruchach wojsk systematycznie uaktualniali jej kształt. Patrzyłam na tę mapę i ja.

Koniec wojny wzmógł nasze nadzieje, że być może dostaniemy szansę definitywnej zmiany losu, że skończy się wreszcie nasz trwający od kilku lat niezasłużony, koszmarny sen. Wszakże tuż po nadejściu entuzjastycznych wiadomości wszystko zdawało się wracać w utarte tory codzienności. Nasze nadzieje współzawodniczyły z wątpliwościami. Miałyśmy obawę, że poddający się euforii zwycięstwa decydencki łatwo zapomną o nas i nam podobnych, poumieszczanych w jakichś skupiskach nędznych domów i lepianek w Tas-Bułakach, Łaj-Bułakach, Tiki-Bułakach, Taskekenach czy innych nawet Urdżarach. Wolałybyśmy też natychmiast zbierać owoce zwycięstwa. Wydawało się nam, że oto władze polskie, zaprzątnięte dotąd sprawami wagi zasadniczej, zechcą pochylić się i nad naszym losem.

Tymczasem nadchodziło lato 1945 roku. Trzeba było przewidująco myśleć o zimie i niezbędnym w czasie jej trwania *kiziaku*. Nic nie wskazywało na to, że będziemy ją spędzały gdzie indziej. Zaczęłam starać się o nieodzowną do produkcji *kiziaku* słomę, plewy, łajno i woły robocze. Pożyczyłam formę do modelowania go w kostki. Gdy wszystko było przygotowane, sprawiłyśmy się nie gorzej od Kazachów. Miałyśmy paliwo co najmniej do przygotowywania jedzenia.

Nieopodal domu, w którym mieszkaliśmy, były jeszcze trzy takie same domy. W jednym z nich zostało zwolnione jednoizbowe mieszkanie. Mieszkał w nim stolarz, który włożył wiele trudu, by wprowadzić w nim wiele udogodnień i usunąć niedoróbki komunistycznej sztuki budowlanej. O tym interesującym fakcie powiadziła mi Olga Edwardowna Abramowa, koleżanka z pracy, zastępca głównego księgowego, mieszkająca w tym domu. Doradziła mi, bym poszła do dyrektora i poprosiła o pozwolenie na przeniesienie naszej rodziny do mieszkania po *plotniku*. Sama zapewne nie wpadłabym na ten pomysł. Skorzystałam chętnie z rady, poszłam do dyrektora i przedstawiłam mu swoją prośbę. Kazachanow, jakkolwiek Kazach (i na dobitkę dziobaty), jeszcze raz dał dowód, że nie był złym człowiekiem. Zgodził



J. M. J. A.

1 IV 1945 r.

Kochamy Tatusiuku! Tasbulak

Dziś u nas wielka radość, otrzymaliśmy list od Tatusia z 22. XI. 44. z wiadomością, że pierwsza nasza partka doszła do celu. Proszę się nie martwić, wszystkie partki otrzymaliśmy, prócz tego z Tatusiny i z ryżem jedną — listy od Tatusia i od p. Mierosa partkę. Partka bardzo długo chodziła na jednym liście, trochę więcej niż miesiąc. Partki nam bardzo pomogły zafarować herbata, tłuszcz, mydło i inne produkty pierwszej potrzeby, pierwsza partka przydała się w czasie kiedy Mamecia była chora na tyfus, leżała śpiączkoma, dlatego dużo o Mameci w tej kartce nie wspomnieliśmy.

Od jesieni lat zimy dzień po dniu z naszymi wystrzaskami jak prawi Katalina w Suchedniu, dlatego najbardziej się zmieniła Mamecia, na nos wiodących nie tak się to odhija. Pamiętaj tu górskie co nam sprzyja i na nasze mieszczysca dodaje jeszcze apetytu. *Całyś Tatusiuku wielkocieżny, toń rary Hela.*

Kochamy Tatusiu!

To pisze ja Marysia. Hauda Kaliszczak mówiła Tatkowi o tem, że sparzyłam sobie rękę przy traktorze, dlatego to było trochę inaczej, poparzyłam się uleto parę w Jarui, leżałam trzy tygodnie w szpitalu, i dwa tygodnie w domu mimo mały naciski wyszłam celo i ma mam radnych bliźni.



Kiedys zdaje mi sie, ze w 41 r. w zimie odurzo-  
 tam sobie cala Tawra ale, to leci nie porosta-  
 wito zadnych sladow. Obecnie wszystkie jestesmy  
 zdrowe i jak wysocy jednoglosnie orzekli  
 bardzo wrodbie. Jesienia tego roku bylismy  
 chore na tyfus i Lalka ostrzygla mi wlosy  
 do golej patki, ale już porastaja i Lalka  
 Twierdzi ze zaczynaja sie kracie i Tyle o sobie.  
 Teraz kiedysimy sie z Tatkiem skomunikowaly  
 spochybiscimy sie lwoych posytek od Tatka, jeseli  
 opytasz sie funkcje na to pozwalaja.  
 Ciagle tu kraja wiezi o rewakacji nas  
 na teren polski, ale nie wiadomo kiedy to  
 nastapi.

Najukochanoszy Tatusiu!

Jaki mozemy taki zyjemy, ja sprawozdj funkcje gospodarza  
 i f. mezczyzny, jest trzeba naprowie nas z gospoda-  
 rskich nozadz, wszystko patrzaj, ~~konieczne~~  
 orac na bykach, dol mi bardzo ze nie mogz sie  
 ucyje. Tatusiu! Tatus by mnie nie poznal bo bardzo  
 wyroslam jestem najwyzsza w rodzinie i latuje  
 warkocze ~~latuje~~ Tuzka w buniach ~~gankaj~~

Chochoy gorienku! Jestem radowolna  
 ogromnie ze wiemy o sobie nawrajem,  
 poplakatyśmy sie nad Tupim listem z radoci-  
 catowatyśmy Twój list dzieło dobrej opatrzności  
 rownie modlitwy sie do. Chowanie nasze dzieci jak  
 kwiatunki, ładne jak i kamienia bite i prozdziure  
 dziełne szycia sie dobra slawa między pannami  
 oby wysocy wytwali w dobrym otokonia i Helunia  
 jest dobrym wachallem Marysia i Jana pracuja  
 na czarnych robotach. Lala pomaga mi w domu  
 ona rudi dziewczynka smiata i odwarza. Ja jestem  
 zdrowa mam dobry apetyt tylko naspokoić nie mam czym  
 caluje Twego dobrego braciaka Twoja siona Julia  
 caluje Tatusiowi naczki  
 Jak umię najsilniejs Lalka ściśkam

List Heleny, Marii, Janiny, Julii i Lucji do Ojca napisany 1 IV 1945 roku w Tas-Bulaku. Karta verso





się, że defraudacja zostanie odkryta i będziemy miały rewizję w mieszkaniu. Akcja „organizowania” odbywała się z ubezpieczeniem. Zwykle Mama albo Janeczka sprawdzały, czy na krótkim odcinku pomiędzy biurem i naszym mieszkaniem nie pojawia się jakaś niepożądana osoba, jakiś ewentualny świadek niedopuszczalnego prywatyzowania *kazionnego* mienia. Gdy „powietrze było czyste”, *kiziak* zmieniał właściciela. Wszystko naturalnie odbywało się pod osłoną nocy. Walczyłyśmy w dostępny nam sposób o życie. Dziś takie uzasadniające sformułowanie brzmi prawie górnolotnie. W sposób podobny jak my postępowali wszyscy, od zwykłego robotnika począwszy, a na dyrektorze skończywszy. Wszyscy zwyczajnie kradli. Ważne było, by nie dać się złapać. Zawsze zastanawialiśmy się, skąd na przykład Kazachowie mają permanentnie mąkę do pieczenia tych swoich chlebków drożdżowych zwanych *nan*. No i znalazłyśmy odpowiedź. Oni po prostu byli dobrze zorganizowani, solidarni i naprawdę dobrze kradli. Kiedyś nawet los przypadkowo wmieszał mnie w ich machinacje, zachowałam się odruchowo nieco po europejsku i sprowadziłam trochę zamieszania w miejscowe konwencje. Otóż kiedyś, jeszcze w Dżyldykarze, wracając w okresie wiosennym z brygady do domu, chciałam sobie skrócić drogę. Postanowiłam przejść na przelaj przez napotkaną *debrę*, czyli głęboki parów. W pewnym momencie natknęłam się na zamaskowane w rozpadlinie skalnej pięć czy sześć worków pszenicy. Byłam zaskoczona odkryciem. Powiedziałam o swoim znalezisku *poliwodowi*, uczciwemu i solidnemu Kazachowi Skakowi Owgumbajewowi, który polecił wysłać ludzi z fermy po ukryte wśród skał zboże. Okazało się, że gatunkowo była to ta sama pszenica, którą właśnie zasiewano pola. W przyszłości Kazachowie dali mi do zrozumienia, że w swojej poczciwości niepotrzebnie wywlekałam na światło dzienne kwestię „zawieruszonej” w stepie pszenicy. Omawialiśmy tę sprawę między sobą i doszliśmy do wniosku, że należało właściwie ją przemilczeć. Przecież możliwy był taki scenariusz, w którym *poliwod* wiedział o wszystkim, natomiast za sprawą mojej prostoduszności poniósł z innymi ewentualnymi chętnymi do podziału łupu stratę, gdy ja „rozlałam mleko”, i jednocześnie dla zachowania twarzy musiał zachować się jak gorliwy i akuratny urzędnik. Wszyscy zainteresowani mogli potem szukać na mnie odwetu. Na szczęście jednak nic takiego się nie stało. Potraktowano mnie widać jakoś ulgowo.

Jesienią 1945 roku, a dokładnie w niedzielę 21 października, pisałam z Tas-Bułaku do Ojca:

Kochany Tatusiu!

Wczoraj właśnie otrzymałyśmy długo oczekiwaną wiadomość od Tatusia. List był napisany 14 VI [19]45, a doszedł do miejsca 20 X [19]45. Stosunkowo krótko podróżował.

Nie mając już z[!] maja żadnych od Tatusia wiadomości, sądziłyśmy, że Tatusz pewnie wyjechał już do Polski. 9 VII [1945] w gazetach był ogłoszony tekst umowy między Rosją i Polską dotyczący powrotu do ojczyzny polskich obywateli w Rosji i ruskich obywateli w Polsce. Zgodnie z tym my powinniśmy go[!] 1 I [19]46 roku znaleźć się już na terytorium Polski.

Powoli czynimy przygotowania do wyjazdu. Zdrowie nam dopisuje, apetyt także. Najgorzej, że nie wiemy, kiedy nastąpi ten wyjazd. 4 IX oddaliśmy swoje ruskie dokumenty dla obmiany[!] na zagraniczne paszporty. Teraz czekamy dnia, kiedy nam je oddadzą, ten moment będzie niejako hasłem do wyjazdu.

[s. 2:] W przeciągu tego roku otrzymaliśmy już 9 paczek z Palestyny, włącznie z jedną żywnościową paczką, zdaje się, że z Iranu. Oczywiście ogromnie nam te paczki pomogły, zwłaszcza herbata, którą tu bardzo cenią Kazacy[!] jako narodowy napój.

Krewni nasi przestali do nas pisywać, ostatnio prawie wszyscy przygotowawali się do wyjazdu na zachód. Ktoś ze Lwowa przysłał nam wyzew [!], na podstawie którego można by wyjechać, ale o ile mamy jechać jako zorganizowana grupa na koszt państwa, na wyzywy [!] nie dają przepustek.

Proszę nie myśleć, że my ograniczyliśmy się do napisania tego jednego listu, pisałyśmy ciągle. Jeden może być tylko powód, dla którego zostały one zatrzymane: koperty własnoręcznego wyrobu, tj, niedostatecznie eleganckie, by je można posłać za granicę. Pisałam nawet kilka listów do Czerwonego Krzyża w Iranie. Widocznie jednak one

[s. 3:] nie doszły do celu. Wątpimy, czy ten nasz list zastanie Tatusia na miejscu, no mimo wszystko piszemy.

My żyjemy obecnie w wielkim napięciu, oczekując chwili wyjazdu. U nas na razie pogoda, jak na tutejszy klimat tego roku osobliwie ciepła jesień. W przeszłe lata o tej porze tutaj już leżał śnieg. Prosimy zawsze Boga, by pozwolił nam jeszcze zebrać się razem po tak długim rozdziale, szczęśliwie dowiódł do naszej ziemi.

28 X. Ponieważ ani Mamcia, ani Marysia nie mają czasu się dopisać, ja postanowiłam kończyć. Wczoraj wypadł pierwszy śnieg, co zepsuło nam dobry nastrój, ponieważ my jeszcze siedzimy na miejscu. Istnieją przepuszczenia, że do miesiąca powinnyśmy wyjechać. Ja pracuję na starym miejscu, Marysia sprząta w sowchozowym biurze, Jana nie pracuje. Mamcia gospodarzy z Janą i Lalą w domu, powoli przygotowując się do wyjazdu.

Ze Lwowa i Lipnik wszyscy mieli wyjechać na zachód.

Tatusiu, tego roku otrzymaliśmy 9 paczek. Więcej proszę przestać wysyłać, bo nas tu już nie będzie.

Kończę na tym. Całujemy Tatusieńka mocno, mocno, z Mamcią na czele. Marysia, Hela, Jana, Lala.

*[Poniżej dopisek ręką Mamy:]*

Całuję Cię Józiu. Twoja żona Julia.

Niemal dokładnie miesiąc później pisałam:

Tas-Buлак 19 XI [19]45

Kochany Tatusiu!

Już równo mija miesiąc jakżeśmy otrzymały list Tatusia napisany w czerwcu. Ogromnie dużo radości weszło razem z nim w nasz dom, względnie izbę. Zaraz też pośpieszyłam odpowiedzieć. W tym czasie miałyśmy ogromnie dużo nadziei, że do 1 XII [1945]

nas tu już nie będzie. Tymczasem sprawa się przeciąga. Wyjazd przewiduje się zimą lub wczesną wiosną. To dla nas nieprzygotowanych do zimy jest wprost fatalne. Ufamy jednakowoż w Opatrzność, która nas zawsze z ciężkich sytuacji wybawiała. W tym miesiącu znowóż spodziewamy się paczki od Tatusia, ona by nam ogromnie pomogła. Od początku tego roku otrzymałyśmy już 9 paczek z Palestyny – odzieżowych, jedną z Iranu prowiantową. Ogólnie biorąc, z odzieżą, tj. bielizną, stoimy nieźle.

Dzięki Bogu wszystkie jesteśmy zdrowe. Ja pracuję nadal w biurze. Marysia także pracuje. Jana z Mamcią i Lalą gospodarzą w domu na naszym miniaturowym gospodarstwie. Jana oczywiście też mogłaby pracować, ale nie ma odpowiedniego obuwia.

U nas już w listopadzie, w pierwszych dniach miesiąca upadł śnieg. Zima zaczęła się stosunkowo dość surowa. Najgorsze [jest] to, że nie wiemy, kiedy nastąpi termin tego wyjazdu.

Kochany Tatusiu, proszę o nas tak źle nie myśleć, że my nie piszemy. My ciągle piszemy, nie wiemy tylko, dlaczego nasze listy nie dochodzą do celu. Prawda, że najwięcej ja mam zawsze pod ręką papier, pióro, atrament.

Na przykład na list Tatusia z czerwca piszę już drugą odpowiedź. Chcę donieść, że my jeszcze do 1 I [19]46 roku zostajemy na miejscu, a to może i dłużej, a w poprzednim liście myśmy się zaawansowały, sądząc, że do 1 grudnia wyjedziemy. Zawsze Tatusieńku modlimy Boga o Twoje i nasze zdrowie, byśmy się mogli jeszcze w całości razem zejść.

Całujemy Tatusia mocno, mocno.

Julia, Marysia, Hela, Jana, Lala.

[*Dopisek ręką Mamy:*]

Kochany Józiu!

Często pisałyśmy do Ciebie, dzieci i ja. Najczęściej pisze Hela, bo ona ma wszystko pod ręką. Jestem zdrowa i czuję się dobrze pomimo częstych chorób. Ach! jakbym rada była, żebyśmy się już razem zobaczyli. Dzieci i ja tak bardzo tęsknimy za Tobą. Będziemy sobie opowiadać różne przygody. Z Twego listu widzimy, że tylko jaki list przychodzi do nas i do Ciebie. Serdecznie Ci dziękuję za posyłki, które nas ratują.

Kończę, całuję Cię serdecznie po niezliczone razy. Twoja żona Julia.

[*Dopisek ręką Janiny:*]

Kochany Tatusiu!

Całuję rączki i buzię mocno, mocno. Tatusiu, my nigdy nie zapomnimy o swoim kochanym Ojczulku. Proszę o nas nie zapomnieć. Zawsze kochająca Tatusia córka Jana.



## SPRAWA PAPAZOWA

W Tas-Bułaku nastąpił finał szykan, których z niewiadomych powodów dopuszczał się wobec naszej rodziny Papazow. Dowiedziałam się pewnego dnia, że w kantorze, w biurze sekretarza partii, pojawił się jakiś przedstawiciel prokuratury czy też wręcz sam prokurator z Urdżaru. Przyjęłam wiadomość beznamiętnie, bo nie spodziewałam się, że prokurator będzie chciał ze mną rozmawiać. Niedługo potem główny księgowy, Rezancow, powiedział mi, że mam iść na rozmowę z tym prokuratorem. Zaczęłam błyskawicznie analizować przyczynę wezwania. Z jakiego powodu podpadłam? Serce miałam w gardle, gdy stanęłam oko w oko z prokuratorem. Zapytał mnie o nazwisko, poprosił uprzejmie, bym usiadła i bez straty czasu na jakiś wstęp zaczął mnie wypytywać o Papazowa. Chciał wiedzieć, kiedy po raz pierwszy spotkałam Bułgara, jaki okres pracowałam pod jego kierownictwem. Odpowiadałam, unikając ujemnych określeń i sądów. W końcu zostałam zapytana wprost o naszą przeprowadzkę z Łaj-Bułaku do Tas-Bułaku i wyczyny Papazowa z nią związane. Opowiedziałam najdokładniej jak umiałam o przebiegu zdarzeń. Nie ukrywałam niczego. Nie koloryzowałam. Prokurator słuchał i wszystko skrzętnie notował. Gdy skończyłam moją relację, przeczytał spisany przez siebie protokół, zapytał, czy akceptuję jego treść. Miałam go podpisać w przypadku braku zastrzeżeń. Podpisałam. Gdy wychodziłam, zobaczyłam Papazowa, który już czekał na przesłuchanie. Miał raczej rzadką minę. Przeszłam obok niego jakby był powietrzem. Miałam czekać. Gdy skończyło się przesłuchanie Papazowa, zostałam powtórnie wezwana przed oblicze prokuratora. Tym razem musiałam powtórzyć swoją opowieść w obecności Papazowa. Ten, indagowany o potwierdzenie szczegółów mej opowieści, wszystkiemu zaprzeczał. Oskarżał mnie o złą wolę, mówił, że jestem zupełnie, zwyczajnie wredna, i to bez powodu. Wyszłam z tego przesłuchania, czy też raczej konfrontacji, przekonana, że będę niechybnie wraz z całą rodziną prześladowana nie tylko przez Papazowa, ale też przez jego zauszników, popleczników i Bóg wie kogo jeszcze. Scenariusz przyszłych wydarzeń nie wyglądał optymistycznie. W domu w podeksycytowaniu i z wypiekami na twarzy dyskutowaliśmy o wydarzeniu całe popołudnie i cały wieczór.

Tymczasem wszystko potoczyło się inaczej. W niedługim czasie po przesłuchaniu Papazow został zdjęty ze stanowiska, wyrzucono go z partii. Musiał opuścić Łaj-Bułak. Dowiedziałam się, że wyjechał do Ajaguza. Niektórzy Polacy z Dżyldykary i Tas-Bułaku, będąc w Ajaguzie, kontaktowali się z nim, żegnali się z nim, gdy wyjeżdżali do Polski. No cóż, im widać był szczególnie drogi. Dla nas byli to wazeliniarze.

Z całą pewnością nie my i nie nasza sprawa była przyczyną upadku kariery Papazowa. Musiał on mieć na terenie sowchozu znacznie mocniejszych od nas niezadowolonych z jego poczynań. Nasz przypadek musiał dobrze obrazować butę i bezwzględność tego człowieka. Wiadomo było, że naraził się mocno Kazachom w Łaj-Bułaku, u których przeprowadzał bezprawnie rewizje w poszukiwaniu pszenicy. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, komu przede wszystkim zależało na wyeliminowaniu Papazowa i kto doniósł władzy o szykanach stosowanych wobec nas. Nie mieliśmy nigdy wątpliwości, że Papazow zasłużył sobie na infamię i karę, która go spotkała. Podobnie widocznie sądzono w naszym otoczeniu, bowiem nie spotkał nas nawet cień represji za świadczenie przeciw niemu.

## ZIMA 1945/1946

Zima z przełomu roku 1945 i 1946 okazała się dla nas bardzo ciężka. Nie tylko my nie mieliśmy co jeść, bo nie udało się zgromadzić zapasu ziemniaków, również sowchoz znalazł się w wielkim kryzysie. Nie było karmy zarówno dla owiec, jak i wołów. Masowo padały z wycieńczenia. Kazachowie obsługujący je mieli mnóstwo pracy, bo każdą sztukę trzeba było obedrzeć ze skóry. Skóry te mieściły się również w planie dostaw dla państwa. Marychna dowiedziała się, że za pomoc przy zdejmowaniu skór można dostać kawał mięsa z padłego zwierzęcia. Pomyśleliśmy, że jeśli Kazachowie i Rosjanie żywią się tym mięsem, to i my możemy włączyć je do naszego menu. Naturalnie w każdym wypadku korzystanie z mięsa zwierząt, które zginęły z wycieńczenia, było nielegalne. W stosownym protokole spisywanym wtedy, gdy zwierzęta padały, było wyraźne stwierdzenie, że po zdjęciu skóry mięso zakopano w ziemi. To wykrojone w czasie zdejmowania skóry trzeba było ukradkiem wynosić z obory. Robiła to Marychna, która zdobyła zaufanie Kazachów i została dopuszczona do zespołu zajmującego się zdejmowaniem skór z padłych sztuk. Jakoś w końcu poradziła sobie z uczuciem wstrętu, które utrudniało jej wdrożenie się do tego rodzaju pracy. Z całą pewnością motywacyjną rolę spełniał nieustanny deficyt jedzenia, uczucie stałego wygłodnienia, obawa, że jutro, pojutrze w ogóle nie będzie co do ust włożyć. A tu Marychna przynosiła kawał tego wołowego „zdechłego – jak je nazywałyśmy – mięsa” i zabierałyśmy się do gotowania go. Marzeniem były jakieś jarzyny, które można byłoby dorzucić do garnka z gotującym się mięsem. Jediną przyprawą do warzonego dania rosółowego, w którym nie pojawiała się ani jedno oczko tłuszczu, była odrobina soli. Wymagania smakowe były dla nas zbędnym luksusem. O jeden krok odsuwało się uczucie głodu. Jakże wdzięczne byliśmy Kazachom, że dawali nam nielegalną wedle prawa sowieckiego szansę przetrwania. Mięso brane przez nas uszczuplało przecież ich pulę.

Przy końcu lutego 1946 roku kobiety z Tas-Bułaku (głównie Polki i Rosjanki) rozpoczęły, jak co roku zresztą, peregrynacje do stert słomy ustawionych na stepie w czasie minionych żniw. Znaczne odległości do przejścia nie odstraszały. Trzeba było wyruszyć dobrze przed świtem. Każda z kobiet zaopatrzona była w sporej długości drut zakończony haczykiem. Sprawnie i bezpiecznie szło się tylko po zmarzniętym śniegu. Gdy pojawiało się słońce, śnieg rozmiękał i bardzo utrudniał wędrówkę. Wyprawa do sterty mogła być i kilkunastokilometrowa, licząc drogę tam i z powrotem. Po dojściu do sterty trzeba było na sporej przestrzeni odgrzebać ją ze śniegu tak, by można było z niej wyciągać słomę, słomę z niewymłóconymi kłosa-  
mi pszenicy. Te niewymłócone kłosa były powodem naszych wędrówek. Nie było lekko. Wierzchnia warstwa słomy na stercie była zamrznięta. My byliśmy słabe i nie miałyśmy w istocie odpowiednich narzędzi do dobierania się do głębszych warstw sterty i wyciągania suchych, niewielkich garści słomy. Do ich wyciągania na tzw. *kluczkę* służyły przynieszone owe druty zagięte na końcach w rodzaj haczyka. Przy pomocy takiego haczyka można było chwycić za jednym razem kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt słomek. Chwyty był szczęśliwy, gdy słomki okazały się być zwieńczone pełnymi kłosa-  
mi. Te kłosa wkładało się następnie z pieczołowitością do płóciennego woreczka, by przypadkiem nie uronić ani jednego ziarenka. Wyprawa należała do udanych, gdy z kłosów można było wykruszyć kilka mniejszych lub większych garści ziarna pszenicznego. Szczęśliwie nigdy nie natknęliśmy się na jakichś urzędników państwowych, którzy mogliby nas zadenuncjować komunistycznemu, ludowemu wymiarowi sprawiedliwości. Przypadki takich denuncjacji w odniesieniu do Polaków zdarzały się na początku naszego pobytu na kazachskiej ziemi. Przyłapani na zbieraniu kłosów na polu zaraz po żniwach byli oskarżani o kradzież sowchozowego mienia, oddawani pod sąd i skazywani. Po upływie pięciu lat sytuacja była inna. Na zewnątrz niewiele różniliśmy się od tubylców. Byliśmy najczęściej niemiłosiernie obdarci lub połatani tak, że trudno było się domyślić, jaki był pierwotny fason i kolor noszonego przez nas odzienia. Z reguły byliśmy wynędzniali. W mniejszym lub większym stopniu wtopieni byliśmy w tło, byliśmy mniej obcy dla tubylców, którzy z mniejszymi oporami dopuszczali nas do swoich spraw. Siłą faktu byliśmy już częścią miejscowej społeczności, jeśli nie akceptowaną, to z całą pewnością jako tako tolerowaną. W szeregu wypadków można było mówić o życzliwości, a może nawet i o przyjaźni. Dawało się odczuć, że miejscowi już jakoś żyli się z nami i przywykli do naszej obecności. Razem klepaliśmy tę samą biedę.

Wracając zaś do naszych zbożowych zdobyczy, trzeba przyznać, że człowiek ma wielką zdolność przystosowania się do otaczających go warunków. Otóż, by można było pszenicę przerabiać na mąkę, Czecczeńcy zajęli się konstruowaniem żaren, naturalnie bardzo prymitywnych, ale jakże skutecznych. W okolicznych górach kamieni było dużo. Zaczęło się tropienie takich, które nadawałyby się na żarna. Wytypowane egzemplarze trzeba było poddać zwykle niewielkiej obróbce, by przy ich pomocy można było ścierać ziarno na kaszę, a nawet na mąkę. W ramach jakiejś niewielkiej

wymiany zdobyłyśmy dwa takie kamienie tworzące żarna. Roztarte w znacznej części ziarno przesiewałyśmy, oddzielając mąkę od drobin ziarna niedokładnie startych. W ten sposób uzyskiwałyśmy i mąkę i kaszę. Oba asortymenty były bardzo przydatne do zagęszczania naszych nieskomplikowanych zup z roztartych ziemniaków. Wyprawy po kłosa były niemal codziennie, dopóki służyła pogoda i do czasu likwidacji stert, jako że słomę zużywano do celów gospodarczych.

Staranie o jakiegokolwiek pożywienie spędzało nam sen z powiek i zaprzętało całą naszą świadomość. Raz czy dwa udało mi się wyprosić u Kazachanowa, dyrektora sowchozu, wypiskę na poślad pochodzący z czyszczenia pszenicy. Można było z niego odsiać jeszcze parę ładnych garści połamanych wprawdzie, ale zawsze przecież ziaren pszenicy.

W ciągu całego pobytu z sowchozie Tas-Buлак dopiero w czasie zimy z 1945 na 1946 rok udało się nam kupić jedną parę *walonek*. Okazało się, że sklep miał do sprzedania kilkanaście par *walonek*, ale nie każdy mógł je kupić. Dyrektor sowchozu decydował, komu mogą one przysługiwać. Pierwszeństwo mieli robotnicy pracujący na powietrzu w warunkach zimowych: wozacy, obsługa owiec, bydła itp., następnie pracownicy funkcyjni w zarządzie sowchozu: kierownicy, *uprawlajuszczy*. Sądziłyśmy obie z Marychną, jako pracujące w kantorze, że mamy już prawo ubiegać się o możliwość kupienia bodaj jednej pary tego, jakże przydatnego w zimie, obuwia. Nasze, to przywiezione ze Lwowa, już się w istocie po pięciu latach intensywnego używania kompletnie rozsypało. Latem chodziłyśmy boso, ale w zimie trzeba było jednak mieć coś odpowiedniego na nogi. Byłam zaskoczona, gdy dowiedziałam się, że zabiegi nasze odniosły skutek i dyrektor, już nie wiem na czyj wniosek, umieścił nasze nazwisko w spisie osób mogących kupić *walonki*. Tak więc choć jedna osoba w rodzinie mogła nie bać się mrozu. Jakiś czas później, gdy w sklepie pokazały się spódniczki, znowu znalazłam się w spisie osób mogących kupić jedną spódniczkę. Była czarna, uszyta z mocnego materiału. Musiałam ją przerabiać, bo była za duża na mnie. Chodziłam w niej po powrocie do Polski jeszcze kilka lat.

Na identycznych zasadach rozdzielany był kiedyś z okazji pierwszego maja cukier. Na naszą rodzinę przypadło ćwierć kilograma wedle wykazu zatwierdzonego przez dyrektora. Zsypałyśmy to niesłychane dobro luksusowe do pochodzącej jeszcze ze Lwowa puszkę po herbacie. Postawiłyśmy ją na półce. Zawartość była przeznaczona do zużycia w przypadku jakiejś choroby, gdyby taka którąś z nas dopadła.

W zimie na przełomie 1945 i 1946 roku zaginął bez wieści Kondrat Siemionowicz Dołgich, kasjer sowchozu. Zaginięcie to związane było z wydarzeniem, które miało miejsce późną jesienią w roku 1945. Otóż Dołgich wraz z głównym księgowym Rezancowem udali się do banku w Urdzarze po odbiór obligacji dla całego sowchozu. Pojechali saniami zaprzężonymi w konie. Odebrali kilka worków obligacji i ruszyli w drogę powrotną. Jeden z nich powoził końmi, drugi powinien był pilnować worków, które zostały luzem umieszczone na saniach. Nie wpadli na pomysł, by je przymocować do sań.

Gdy już wyjeżdżali z Urdzaru, Dołgich spostrzegł, że brakuje jednego worka. Bardzo się tym przejął, jako że to on kwitował w banku odbiór walorów i on jako kasjer miał je rozprowadzać wśród pracowników. A obligacje, to równowartość pieniężna w rublach. Zawrócili z drogi z powrotem do banku, patrząc po drodze pilnie, czy gdzieś w śniegu nie leży zgubiony przez nich worek. Pojechali do radiowęzła i prosili, by przekazano mieszkańcom wiadomość o zgubie wraz z prośbą do znalazcy o zwrot worka. Swój pobyt w Urdzarze przedłużyli o jeden dzień, licząc, że może ktoś się zgłosi. Obligacje się nie odnalazły. Bardzo zmartwieni powrócili obaj do Tas-Bułaku. Dołgich pracował jeszcze jakiś czas, łudząc się, że milicja być może trafi na trop obligacji, ale niestety. W świetle prawa Kondrat Siemionowicz Dołgich stawał się coraz wyraźniej z dnia na dzień przestępcą gospodarczym. Groziło mu całkiem realnie aresztowanie, sąd i wyrok. Miał więc powód, by uciekać i ukrywać się. Pewnego razu nie przyszedł do pracy. Goniec posłany do jego domu przyniósł wieści, że żona nie wie, gdzie się podział. Oddała przy tym klucz od kasy, który był w domu. Dwa czy trzy dni później przyjechała milicja, by Kondrata aresztować. Zastanawiałam się, kiedy Dołgich zrozumiał, że nieuchronnie zajmie się nim milicja. A może miał w Urdzarze jakichś przyjaciół, którzy go w porę ostrzegli. Osobiście szkoda mi było tego podeszłego w latach, życzliwego dla otoczenia człowieka. Zastanawialiśmy się, czy wyjechał do jakiegoś większego miasta, czy może ukrywał się gdzieś w pobliskich górach? Może przystał do kryjących się w górach dezertów, o których krążyły opowieści, że porywają krowy w ramach aprowizacji.

## WIOSNA 1946 ROKU

Nadchodziła nieodwołalnie upragniona i wyczekiwana wiosna. Nie mogliśmy sobie wyobrazić realnego sposobu wyjazdu do Polski. Nie miałyśmy ani żywności na drogę, ani pieniędzy. Nie bardzo wiedziałyśmy, jakim trybem dałoby się załatwić transport do stacji kolejowej, skąd można byłoby wyruszać w długą drogę powrotną do Polski. Sowchoz przecież systematycznie zalegał z wypłatą wynagrodzenia dla pracowników po kilka miesięcy. Pieniądze pojawiały się jesienią, po wykonaniu planowych dostaw dla państwa. Na dostawy te składało się zboże, wełna, mięso itd. W maju, czerwcu, lipcu i sierpniu sowchoz mógł korzystać jedynie z kredytów bankowych i z nich wypłacać pieniądze za pracę. W praktyce bywało rozmaicie.

Analogicznie niesolidnie nie wydawano w zimie systematycznie i wedle przydziału mąki pracownikom i osobom na ich utrzymaniu. Stanowiła ona ekwiwalent za chleb. Trzeba było naturalnie za ten ekwiwalent płacić. Wymóg realizacji przydziału był, ale nie było stosownej puli tej mąki do dzielenia. Nie czekałam na realizację ogólnego wymogu, ale przedsiębrałam działania indywidualne u dyrektora sowcho-



zu. Nie było co jeść i trudno było nie wykorzystać większej łatwości dostępu do dyrektora z racji pracy w administracji sowchozu. Zachowała mi się nawet dyrektorska karteczka dla magazyniera z poleceniem wydania mi przydziału od pierwszego dnia miesiąca.

Co dzień modliłyśmy się o powrót do Polski, prosiłyśmy Boga, by zechciał w swojej łaskawości usunąć znane i nieznane nam okoliczności opóźniające ten powrót. Czas wszakże mijał i żadnych zwiastunów zmian nie było widać.

W sowchozie częściej zaczęły pojawiać się gazety, docierały do nas ze sporym opóźnieniem w stosunku do dnia ich ukazania się. Kiedyś główny księgowy wyczytał, że już w lipcu 1945 roku między Sowietami a Polską została zawarta umowa w sprawie repatriacji osób pochodzenia polskiego i żydowskiego z ZSRR do Polski. Miałyśmy wreszcie czarno na białym, że nasze sprawy zmierzają w dobrym kierunku. Miałyśmy dowód na to, że niechybnie lada dzień będziemy mogły rozpocząć pakowanie się do niezłomnie oczekiwanej tyle lat podróży. Przecież już miesiące mijały od zawarcia umowy i nawet najdłuższe procedury biurokratyczne powinny się skończyć. Duchowo byłyśmy coraz bardziej przygotowane do powrotu. Nasze koleżanki Rosjanki, przesiedlone również przymusowo do Kazachstanu z różnych części Rosji Sowieckiej, zazdrościły nam. Zazdrościła nam na przykład moskwianka Nata Kryłowa czy też deportowana z Soczi z tytułu swego niemieckiego pochodzenia Olga Abramowa, a także szereg innych osób.

Przed wyjazdem do Polski postanowiłam zaopatrzyć się w różnego rodzaju zaświadczenia tak z sowchozu, jak i z *sielsowietu* (wiejskiej rady narodowej), że pracowałam w sowchozie Tas-Bułak itp. Deficyt papieru do celów urzędowych był rozpaczliwy. Wystawiono więc te zaświadczenia na dostępnym w danym momencie skrawku papieru, a więc już to na znalezionym akurat kawałku gazety, już to na jakimś druku, który nawinał się pod rękę, bo nie było akurat innego papieru, na którym można byłoby umieścić stosowny tekst.

Księgowy Rezanow pouczał mnie, że czas pracy w sowchozie będzie być może zaliczony mi kiedyś w Polsce do wymiaru emerytury. Poza tym ogromnie mnie agitował, bym się zapisała do związku zawodowego pracowników sowchozów *owcewodczeskich* (zajmujących się hodowlą owiec). On też zajmował się rozprowadzaniem legitymacji. Sądząc z jego zaangażowania perswazyjnego, miał chyba jakieś profity ze zdobywania nowych członków związku. Dla świętego spokoju zgodziłam się i nawet sama wypełniłam tę legitymację. Zaraz potem hurtem opłaciłam składkę za styczeń i luty, po sześć rubli za miesiąc. Dwa ruble wpłaciłam za marzec.

Jakoś w tym czasie sowchoz otrzymał depezę z *rajsowietu* (rejonowej rady) z decyzją o uporządkowanej ewakuacji Polaków do ich ojczyzny. Rezanow przyniósł mi tę nowinę. Jego stosunek do mnie był zawsze przyjazny. Byłam jedyną Polką w jego zespole pracowniczym. Rezanow Polakami interesował się z wielką życzliwością. Podobny był pod tym względem do dyrektora Kazachanowa, który też zresztą jak najlepiej zachował się w pamięć-

ci naszej rodziny z powodu szeregu przyjaznych gestów. Niektóre z nich miałam już okazję wspominać. Jego decyzje w odniesieniu do niektórych Polaków z Tas-Bułaku były czasem oceniane jako kontrowersyjne, szczególnie w stosunku do tych, którzy nie pracowali. A przecież najczęściej nie chodziło o jakąś gnuśność. Wiele osób nie pracowało z powodu podeszłego wieku, słabego zdrowia, braku przydziewku, a w szczególności obuwia. *Naczalstwo* wolało nie zagłębiać się w przyczyny absencji pracowniczej Polaków. W ramach czegoś w rodzaju retorsji przesiedlono kilka rodzin do okolicznych ferm, między innymi Alę Bober z rodziną (do Tiki-Bułaku leżącego przy szosie Urdżar – Taskesken).

W związku z otrzymaną depeszą o – jak to określano – reewakuacji Polaków, dyrektor Kazachanow wydał decyzję o przeprowadzeniu ze mną rozliczenia. Był to prezentowany niżej *prikaz* nr 104 z 12 kwietnia 1946 roku. Od tej chwili zostałam zwolniona z pracy.

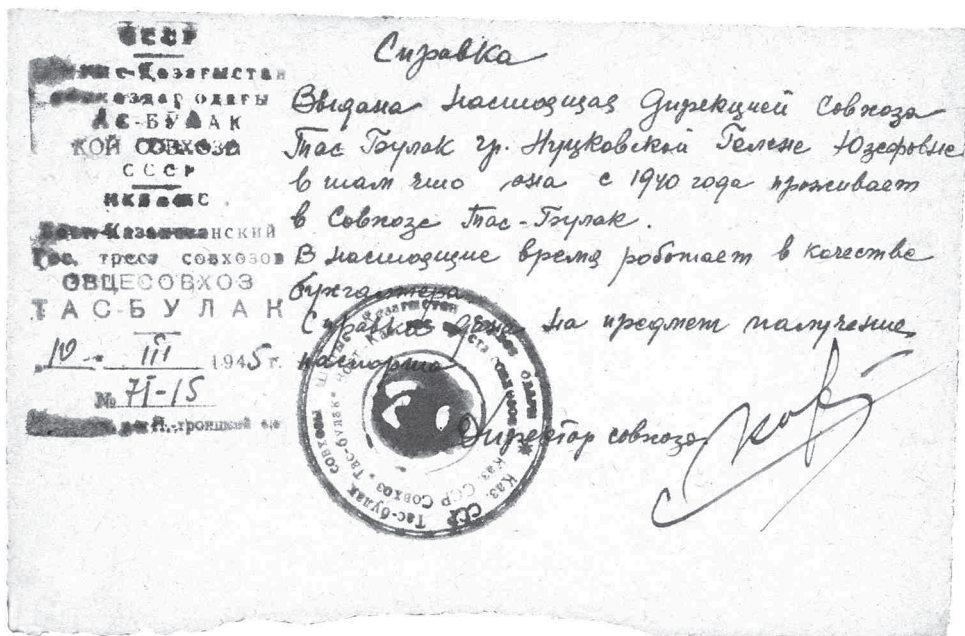
Wyjazd do Polski zaczynał nabierać coraz realniejszych kształtów. Zaczęłyśmy się pakować. Okazało się, że Polacy mieszkający w baraku już wyjechali. Zaczynała nas ogarniać gorączka podróży. Zdawało się nam, że nie zdążymy zebrać się na czas, że wszyscy odjadą, a my zostaniemy.

Wiosna w tamtejszych warunkach klimatycznych nie była najlepszą porą do podróży. W Tas-Bułaku były jeszcze w zasadzie warunki pogodowe zimowe (w Łaj-Bułaku było już sucho), ale śnieg w ciągu dnia miękł znacznie w promieniach słońca. Nogi grzęzły w nim głęboko aż do ziemnego podłoża, gdzie tworzyła się i zalegała kilkunastocentymetrowa warstwa wodnistej, śnieżnej bryi. Saniami już nie dało się jechać, a wozem jeszcze nie można było się poruszać. Pozostawała jazda wierzchem na koniu. To rozwiązanie z kolei wydawało się nierealne. Wykluczone przecież było, by ktoś przydzielił każdej z nas konia na przejazd z Tas-Bułaku do Łaj-Bułaku, czyli do szosy, którą można było dostać się do stacji kolejowej w Ajaguzie. W sowchozie tylko *naczalstwo* i specjaliści mogli poruszać się konno, i to prawie wyłącznie służbowo. Wydawało się nam, że sprawa zaczyna przybierać dramatyczny obrót. Wystąpiłam z prośbą do dyrektora Kazachanowa, by przydzielił nam konia na dojazd z Tas-Bułaku do Łaj-Bułaku. Dyrektor poszedł mi na rękę i polecił, by na ustalony dzień przygotowano dla nas dwa konie: „Miszkę” i „Griszkę”. Oddając pisemne polecenie zarządzającemu stajnią, dowiedziałam się, kto będzie nam towarzyszył do Łaj-Bułaku. Ten ktoś miał odprowadzić konie na powrót do Tas-Bułaku. Znalazłam wyznaczonego Kazacha i umówiłam się z nim, że będziemy czekać na niego zaraz po północy. Zaczęłyśmy ostatni etap pakowania naszego skromnego dobytku. W pewnym momencie skonstatowałyśmy, że nie mamy żadnego powroza czy też bodaj jakiegoś mocniejszego sznurka, którym można byłoby powiązać nasze tobołki przed objuczeniem nimi koni. Konsternacja powiększała się z upływem czasu. Nie miałyśmy pod ręką niczego, co mogłoby zastąpić banalny, a przecież w owym momencie kluczowy detal operacji odwracania się karty naszego losu. Wyruszyłyśmy na poszukiwanie tego detalu. Opatrzność łaskawie podsunęła rozwiązanie. Spotkałyśmy lekarza Agiejewa, zaczęłam mu opowiadać o naszej ra-

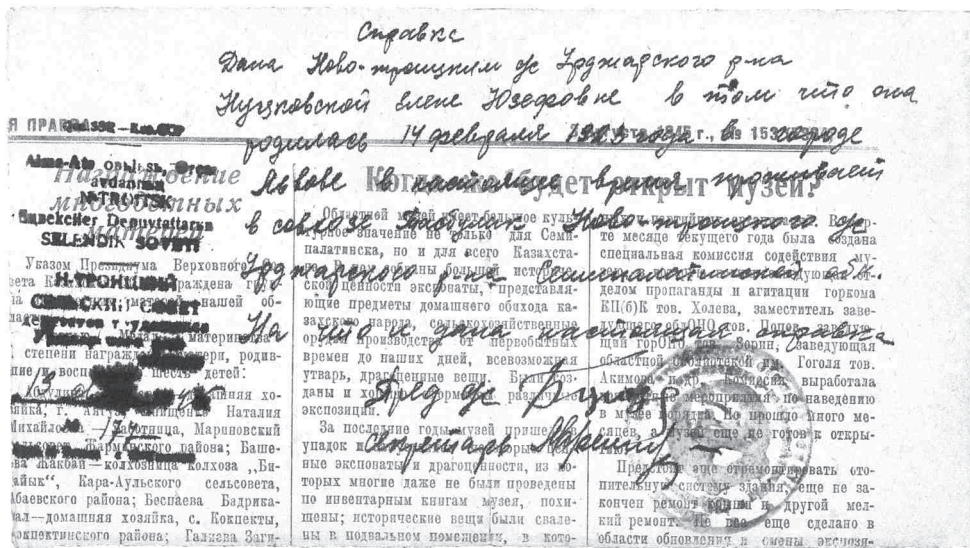
Магазин  
 Багайет. Кушкетев  
 До Директора Саек  
 28/IV/51

Polecenie wydania ze sklepu przydziału mąki wystawione przez dyrektora sowchozu Saukena Kazachanowa w dniu 28 IV 1945 roku

dości i oczywiście o kłopotcie. On zaraz ofiarował swoją pomoc, zapewniając, że w gospodarstwie szpitalnym powinien się znaleźć odpowiedni powróż. Prosił tylko na wszystkie świętości, by przez kogoś pewnego zwrócić ten sznur z powrotem. Wydaje mi się nawet, że doktor sam go nam przyniósł. No i znalazło się wybawienie z kłopotu. Lubiliśmy Agiejewa jeszcze bardziej niż zwykle. Ten grzeczny niezwykle Rosjanin w starszym wieku trafił zdaje się też karnie do kazachskiej głuszy. Jego żona jakiś czas była sekretarką dyrektora. W sposób wyraźny wyróżniała się na tle innych mieszkańców Tas-Bułaku. Na pierwszy rzut oka widać było jej inteligenckie pochodzenie. Przede wszystkim zwracał uwagę dystyngowany sposób bycia, zdradzający chęć utrzymania godnego dystansu do narzuconego sposobu i miejsca życia. Było dla nas jasne, że też ugina się pod ciężarem przymusowej sytuacji życiowej, o której nie może lub nie chce z nikim rozprawiać. Rozmawiała zawsze tylko na tematy dotyczące i związane z jej pracą.



Zaświadczenie wystawione przez sowchoz Tas-Bulak 10 III 1945 roku (nr 71-15), potrzebne do otrzymania dowodu osobistego



Zaświadczenie wystawione przez sowchoz Tas-Bulak 19 VIII 1945 roku (nr 177)

Największy balast w naszym bagażu stanowiły materace. Jakkolwiek miały bardzo sfatygowane pokrycie, były bardzo dobre, bo zrobione z końskiego włosia. Bar-



Справка			
Дана Ново-мещинским с/х колхоза			
г-на Шурковетой Елене Васильевне			
в том что она родилась 14/II-1923 года			
в поселке Шолохи, в настоящее время			
проживает в колхозе Шолохов Ново-			
мещинского с/х колхоза г-на по			
14 августа 1945 г. с/х. полностью сугубая.			
121 - На что и дана настоящая справка			
Сред с/х Топуз			
секретарь Шурковетой			
К. КАКОВЫ	ЗАЯВЛЕНИЕ НА ИМЯ	ИМЯ НА ПОКРЕ	ИМЯ
КРАТКОЕ СОДЕРЖАНИЕ МАТЕРИАЛА			ИМЯ
Название предмета			

Zaświadczenie wystawione przez sowchoz Tas-Buлак 14 VIII 1945 roku (nr 121)

dzo nas ratowały przez całą naszą tułaczkę. Układałyśmy je na podłodze i spałyśmy na nich do czasu, gdy doczekałyśmy się pryczy. Za nic nie chciałyśmy ich zostawić, bo nigdy nic nie wiadomo było, co nas może po drodze spotkać, szczególnie przed przekroczeniem granicy z Polską.

Czekając na Kazacha, który miał przyprowadzić konie, nie spałyśmy. Spakowane siedziałyśmy, spoglądając już to na siebie, już na znajome ściany i nieliczne sprzęty. Noc była niezwykle pogodna. Księżyc świecił metalicznie nad uśpionym Tas-Bułakiem. W końcu dało się słyszeć skrzypienie śniegu i dwa cienie końskie zamigotały przed oknem. Zaczęłyśmy wynosić rzeczy. Starczyło ich na objuczenie dwóch koni. Według umowy poszłam zastukać do okna Olgi Edwardowny Abramowej, sąsiadki, z którą pracowałam. Była ona zastępczynią głównego księgowego. Miałam jej dać znak, że opuszczamy kazachski grajdół. Konie ruszyły. My wraz z nimi. Śnieg skrzypiał pod nogami. Był przymrozek. Ze znakiem krzyża rozpoczynałyśmy powrotną drogę do ojczyzny, do Polski. Mijałyśmy sowchozowe domy. Wreszcie zaczęliśmy się wspinać drogą wwyż, na płaskowyż. Posyłałam ostatnie spojrzenia miejscu, w którym przez długi czas przeżywałyśmy różne niedole. Dziękowałyśmy Bogu, że możemy wyjechać. A jednak to wielkie, niedosiężne, wyśnione, wywrózone, wymarzone, prawdziwe pragnienie naszych serc i umysłów w ciągu tych sześciu lat spełniało się i stawało się faktem. Cicho było. Nie odzywał się żaden ze szcękających o tej porze psów.



ПРОФЕССИОНАЛЬНЫЙ СОЮЗ РАБОЧИХ  
ОВЦЕВОДЧЕСКИХ СОВХОЗОВ

**ЧЛЕНСКИЙ БИЛЕТ**  
**№ 164634**

ФАМИЛИЯ Нужковская  
ИМЯ, ОТЧЕСТВО Тельма Юзифовна  
ГОД РОЖДЕНИЯ 1923  
ПРОФЕССИЯ бухгалтер  
ПРОИЗВОДСТВЕННЫЙ СТАЖ с 1940  
ГОД ВСТУПЛЕНИЯ В СОЮЗ 1946  
ГОД ВСТУПЛЕНИЯ В ДАННЫЙ СОЮЗ 1946  
ПОДПИСЬ ЧЛЕНА СОЮЗА Тельма Юзифовна  
НАИМЕНОВАНИЕ ПРОФОРГАНИЗАЦИИ Совхоз

МЕСТО  
ФОТО  
КАРТОЧКИ

Имя Тельма  
ДАТА 23 февраля 1946  
ПОДПИСЬ Тельма

И. П.

ҶОИ СОВХОЗДАРЬ ҚУМБАСҶАРАБЫҢ  
P R O F S O I U Z Ъ

**МУСЕЛЖК БЕЛЕТ**  
**№ 164634**

ҒАМИЛИЯ  
ӨЗІНІҢ САНА ӨКЕСІЛІҢ АТҒЫ  
ТУОҒАН ҚЫЛЫ  
ПРОФЕССИЯСЫ  
ӨНДІРІСТІК СТАЖЫ  
СОІУЗДАҒА ҚЫРҒЕН ҚЫЛЫ  
ОСЫ СОІУЗДА ҚЫРҒЕН ҚЫЛЫ  
СОІУЗ МҮСЕСІЛІҢ ҚОЛЫ  
ПРОФСОІУЗ ҮЙІМБЫҢ АТҒЫ

УАҒАТЫ

ҚОЛЫ

И. П.

1 9 4 6

Оқпнар Январь	Феврал Февраль	Март Март	Апрел Апрель
ВСПС ЕДИНАЯ СОВХОЗ ЧЛ.ВЗНОС 6 руб.	ВСПС ЕДИНАЯ СОВХОЗ ЧЛ.ВЗНОС 6 руб.	ВСПС ЕДИНАЯ СОВХОЗ ЧЛ.ВЗНОС 2 руб.	
Май Май	Үлел Июнь	Июль Июль	Ақпс Август
Сентлр Сентябрь	Өктлр Октябрь	Ноллр Ноябрь	Деклр Декабрь

Муселжк гарна уе аи солъ теленесе, муселжк белет  
јске аспалде

При неуплате членских взносов в течение трех  
месяцев членский билет недействителен

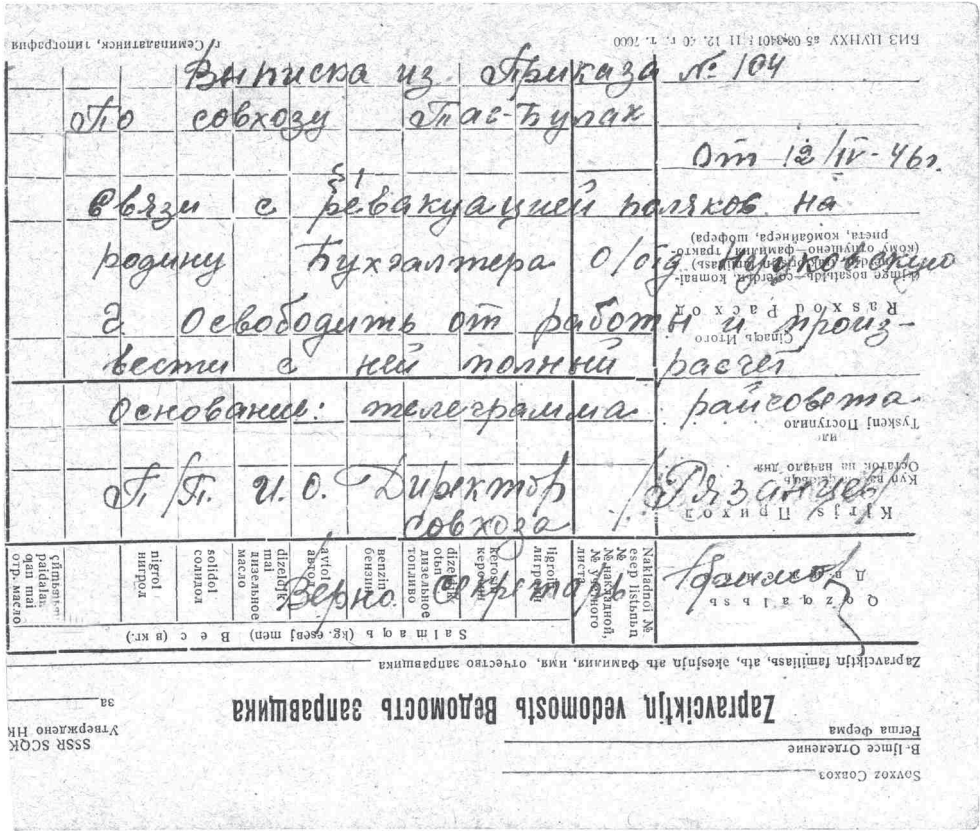
1 9 4 6

Оқпнар Январь	Феврал Февраль	Март Март	Апрел Апрель
Май Май	Үлел Июнь	Июль Июль	Ақпс Август
Сентлр Сентябрь	Өктлр Октябрь	Ноллр Ноябрь	Деклр Декабрь

Муселжк гарна уе аи солъ теленесе, муселжк белет  
јске аспалде

При неуплате членских взносов в течение трех  
месяцев членский билет недействителен

Legitymacja związku zawodowego pracowników sowchozów hodujących owce wystawiona dla Heleny Nuckowskiej w dniu 23 II 1946 roku wraz z potwierdzeniem wpłaconych składek od stycznia do marca 1946 roku



Wypis z zarządzenia nr 104 dla sowchozu Tas-Bulak z 12 IV 1946 roku zwalnającego Helenę Nuckowską z pracy w związku z reewakuacją Polaków do ich ojczyzny

Kazach prowadził jednego konia za uzdę, drugiego prowadziła jedna z nas. Powoli, noga za nogą, nasza karawana posuwała się do przodu. Śnieg był na tyle twardy, że nie było żadnych komplikacji. Konie tylko czasem zapadały się w śnieg. Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się dłuższą chwilę, by trochę wypocząć. Nasza Mama na drogę przygotowała dla każdej z nas po placku pieczonym na blasze. Dla Kazacha również. Na następnym postoju urządziliśmy sobie kolejny posiłek na siedząco. Każdy odpoczywał na jakimś kamieniu. Wstawał już świt, gdy dobrnęliśmy na skraj płaskowyzu, a znajoma droga wiodła między górami w dół. Było widać coraz więcej znamion wiosennej aury. Śnieg krył się już tylko w załomach skał. Coraz wyraźniej pachniało wiosną. Po kilkugodzinnym marszu stanęliśmy w Łaj-Bułaku. Zdjęliśmy z pomocą Kazacha swoje tobołki z koni. Ułożyliśmy je pod jednym z domów. Kazachowi przekazałyśmy sznury dla doktora Agiejewa i podziękowałyśmy za konwojowanie.

W Łaj-Bułaku koczowało już kilka rodzin polskich, które wcześniej od nas przybyły z północnych ferm. Nikt nie wiedział, jak będzie organizowany dalszy transport



do stacji kolejowej w Ajaguzie. Nie było możliwości skomunikowania się ze Związkiem Patriotów Polskich w Urdżarze. Nikt na nas nie czekał, nikt nie wiedział, co powinniśmy dalej robić. Sowchoz Tas-Bułak nie miał z jakiegoś powodu do dyspozycji samochodów, z których mogłybyśmy skorzystać odpłatnie. Stało się jasne, że trzeba będzie zatrzymać się w Łaj-Bułaku nie wiadomo jak długo, że trzeba będzie przenocować może nawet kilka nocy. Nie byliśmy tu wszakże obcy. Zlitowała się nad nami siostra Nataszy Zubienkowej, Tania Sotnikowa, która mieszkała z czwórką dzieci. Jej mąż był powołany do armii. W kącie jej izby mogłyśmy rozłożyć nasze materace.

Nic nie zmieniło się w ciągu następnych dni, nie było wiadomości, co mamy dalej czynić. Zrozumiałyśmy, że inicjatywa należy do nas, że nikt nam niczego nie załatwi. Uradziliśmy wysłać delegację do Urdżaru. Mieliliśmy nadzieję, że ktoś tam będzie wiedział, co powinniśmy robić, by ruszyć w dalszą drogę. Mijał już któryś z rzędu dzień naszego pobytu w Łaj-Bułaku. Zjadłyśmy to, co było przygotowane na drogę: suchary, tłuczoną pszenicę. Nie ruszyliśmy jednak puszek ze zgęszczonym mlekiem i konserw rybnych, których miałyśmy kilka, chyba po jednej na głowę. Otrzymałyśmy je w Tas-Bułaku jako dar zagraniczny rozprawadzany przez Związek Patriotów Polskich.

Delegaci, którzy wrócili z Urdżaru, nie przywieźli dobrych wiadomości. Dowiedzieli się, że część Polaków już wyjechała z Urdżaru, a ci, którzy pozostali, nie wiedzieli, kiedy będzie transport kolejowy z Ajaguzą na zachód. Do Ajaguzy trzeba było najwyraźniej dojechać na własną rękę.

Któregoś dnia przyjechał do Łaj-Bułaku główny księgowy Rezancow i zdziwił się, że jeszcze nie wyjechałyśmy. Zaproponował mi pracę na umowę w biurze fermy, do czasu wyjazdu. Chętnie zgodziłam się. Podczas dwutygodniowego oczekiwania zarobiłam kilkadziesiąt rubli. Udało mi się kupić po cenie urzędowej trochę ziemniaków, parę kilogramów mąki, jako przydział za te dwa tygodnie, by przeżyć ten martwy czas i uzupełnić zapas na drogę. Nasza Mama ususzyła trochę makaronu uprzednio zrobionego z tej mąki. Utłukłyśmy też trochę pszenicy do pogryzania w przyszłości i odpędzania uczucia głodnienia.

Znów radziliśmy pospołu w naszej polskiej grupie, jak dostać się do Ajaguzy. Coraz bardziej niepokoiliśmy się, że możemy nie zdążyć do podstawionego dla Polaków pociągu i zostać w urdżarskim rejonie do końca życia.

Rosło w nas z dnia na dzień przeświadczenie, że nikt się naszym losem nie interesuje, że trzeba wziąć sprawy w swoje ręce. Spakowaliśmy więc swoje manatki i kilka osób poszło na szosę z zamiarem zatrzymania jakiejś ciężarówki zmierzającej z Urdżaru do Ajaguzy i zaproponowania kierowcy łatwego do zarobienia grosza za podwiezienie kilku polskich rodzin do stacji kolejowej. Po jakimś czasie pojawiły się tumany kurzu wzniesane przez trzy ciężarówki zdążające w kierunku fermy. Stało się jasne, że sprawy idą we właściwym kierunku. Negocjacje z kierowcami w sprawie zapłaty za przewiezienie nas przebiegły sprawnie. Sprawnie też zrobiliśmy zrzutkę. Kwota rozłożona równomiernie między nas nie była nader wygórowana. Kie-

rowcy nie zamierzali stracić łatwego grosza, my zaś byliśmy chętni do płacenia, by wreszcie stracić z oczu Łaj-Bułak. Już widzieliśmy nas wsiadających bez problemu do pociągu, który tylko patrzeć, jak podejźdza i zaraz potem odjeżdża wprost do Polski. Wnet miało się okazać, jak dalece byliśmy w błędzie. Tymczasem szybko załadowaliśmy bagaże i kolumna ruszyła. Jakże miły był widok zbliżających się zabudowań stacji, do których mieli nas dowieźć kierowcy, jakaż radość. Nasze tobołki wyładowaliśmy przy budynkach stacyjnych. Do poczekalni nas nie wpuszczono. Otwierano ją wtedy, gdy odbywał się ruch pociągów. Tymczasem, jak się okazało, nie spodziewano się w najbliższym czasie ani towarowego, ani tym bardziej osobowego pociągu, którym moglibyśmy odjechać. W Ajaguzie było wielu Polaków, którzy ściągnęli w tym czasie na stację, oczekując okazji do podjęcia dalszej podróży do Polski. Na razie polokowali się kątem już to u Rosjan, już to u Kazachów i żywili nadzieję...

Przy stacji przyszło nam koczować około dwóch tygodni. Dzieliłyśmy los wielu polskich rodzin wegetujących w pieskich warunkach pod gołym niebem, wystawionych na bezpośrednie działanie słońca, wiatru, kurzu i w końcu deszczu. Nie można było w jakichś cywilizowanych warunkach zadbać o higienę osobistą. Nikogo z władz nie obchodziło, że nie mieliśmy gdzie załatwiać naszych potrzeb fizjologicznych. Aż dziw, że nie wybuchła jakaś zaraza... Raz dziennie gotowałyśmy zupę w garnku ustawionym na dwóch kamykach. Miserne palenisko było między nimi. Nieustannie byłyśmy głodne. W nocy koczujący musieli wystawiać czuwającą straż, by złodzieje nie zajęli się tobołkami, wśród których przecież spało się. Ot, były to takie ludzkie hieny wśród ludzi walczących o przeżycie.

Nasza kilkudziesięcioosobowa społeczność wyłoniła spośród siebie grupę przedstawicielską. Udała się ona do władz, by zdobyć dla nas jakieś środki żywności. Udało się. Dano nam kartki na minimalne porcje chleba i kaszy. Było to i tak nie mało. Poza tym udostępniono nam budynek kolejowy nieopodal stacji, zanedbaną, brudną wewnątrz ruderę bez okien. Przed jej zajęciem wszyscy solidarnie wzięli się do porządkowania pomieszczeń, do mycia podłóg, drzwi itp. Przyszło w niej żyć ze dwa tygodnie. Komfortem było to, że mieliśmy ochronę przed deszczem, przed złodziejami. Nie będąc nieustannie na widoku publicznym, można się było jakoś choć częściowo umyć, łatwiej było o spokojniejszy sen i sprawniejsze przygotowanie nędżnych posiłków.

Modne było wśród nas wzajemne pocieszanie się, podtrzymywanie na duchu, utwierdzanie się w nadziei, że wreszcie nadejdzie czas wyjazdu.

Utkwił mi w pamięci epizod z tego okresu, dotyczący jednej z Polek, Marii Klimczakowej, która związała się z Kazachem Muchomadiewem, traktorzystą z Tas-Bułaku. Gdy dowiedział się on, że Polacy wracają do ojczyzny, głośno i często deklarował, że swojej kobiecie do Polski odjechać nie pozwoli. Ta jednak uciekła od niego, dojechała do Ajaguzu i tu ukryła się w jakiejś kazachskiej chałupce, nie zdradzając się ze swoją tragiczną sytuacją. Potem dowiedzieliśmy się, że Muchomadiew przyjechał do Ajaguzu i szukał uciekinierki. Ponoć odgrażał się, że ją zabije. Nic takiego się nie stało, bo jej nie znalazł, a do grupy Polaków

dołączyła tuż przed odjazdem pociągu repatriacyjnego. Jakoś w połowie lat sześćdziesiątych dostałam od niej list z Łodzi. Wyszła za mąż i nosiła nazwisko Ptaszek. Naturalnie odpisałam jej. Odpowiedzi na mój list nie dostałam. O przyczynie braku odpowiedzi dowiedziałam się dziesięć lat później. Otóż gdy mój list nadszedł do adresatki, ona akurat wyjechała na urlop. List przyjęła sąsiadka i zaraz potem, niestety, umarła. Po latach znalazła go w rzeczach zmarłej jej córka i przekazała do właściwych rąk.

A w Ajaguzie wciąż czekaliśmy, znów wysłaliśmy naszych przedstawicieli do Semipałatyńska, by dowiedzieli się, kiedy mamy spodziewać się jakiegoś środka transportu kolejowego. Okazało się, że podobno trwa remont wagonów i dopiero po jego ukończeniu będzie można sformować pociąg z takim utęsknieniem oczekiwany przez nas w Ajaguzie.

Podczas oczekiwania w Ajaguzie otrzymałyśmy przywiezione z Semipałatyńska karty repatriacyjne, które potwierdzały naszą polską narodowość i były podstawą do powrotu do Polski. Wystawione zostały 16 maja 1946 roku w Semipałatyńsku. Jednocześnie oddałyśmy dokumenty rosyjskie, według których byłyśmy obywatelkami Związku Radzieckiego. Blankiety wydrukowano po polsku i wypełniono po polsku, podstemplowano zaś pieczętkami z napisami w języku rosyjskim. W nagłówkach kart repatriacyjnych napisano: Polsko-Radziecka Komisja Mieszana do Spraw Ewakuacji Osób Narodowości Polskiej i Żydowskiej na podstawie *Umowy* z dnia 6 lipca 1945 roku<sup>13</sup>.

I w końcu stało się. W dniu 26 maja 1946 roku, w niedzielę, na stację w Ajaguzie wtoczył się skład wagonów towarowych przystosowany do przewozu osób. Znałyśmy już te wagony z głębokimi półkami do spania po obu stronach wagonu na jego osi podłużnej. Poznałyśmy je sześć lat wcześniej. Oczekujący z nieopisaną radością, wśród sporego rozgardiaszu zaczęli ładować i sadowić się w wagonach. Jakże inaczej tym razem wyglądał nasz *eszelon*. Żadnych konwojujących żołnierzy, żadnych bagnetów i komend, nikt nie miał zamiaru ryglować drzwi wagonu. Nikt nas nie pilnował. Tym razem nie było w wagonie prowizorycznych toalet. Potrzeby fizjologiczne w trakcie podróży mieliśmy załatwiać podczas postojów pociągu tuż przy wagonie. Był wieczór, gdy parowóz szarpnął. Nasz pozarozkładowy pociąg ruszył i rozpoczął się jego bieg do Polski.

Gdy przyznam oczy dziś, kilkadziesiąt lat od tamtego momentu, wciąż widzę niektórych pasażerów naszego wagonu, a więc Kysię Stecyszyn, naszą klasową koleżankę, która okres deportacji spędziła sama. Jej poruszająca się na wózku inwalidzkim matka zmarła przecież w drodze do Kazachstanu. Byli państwo Lubuśkowie, była pani Weisowa z dwiema córkami. Starsza z nich wyszła za mąż w Dżyldykarze za mało urodziwego Rosjanina Emilianowa, który został zmobilizowany do armii sowieckiej i zginął w trakcie działań wojennych. Córce pani Weisowej towarzyszyła mała dziewczynka pochodząca z tego związku. Była pani Czupkiewiczowa z córką Izą, która miała wyjść w przyszłości za mąż, już w Drawsku, za Bronisława Kiew-

<sup>13</sup> Zaświadczenie wystawione dla Mamy i nieletniej Lali otrzymało numer ГЭ 22163.



laka. To małżeństwo po jakimś czasie skończyło się rozwodem. Bodaj przy końcu lat 50. lub tuż na początku lat 60. Iza wyjechała do Anglii, do ojca. Wcześniej do pana Czupkiewicza wyjechała z Polski jego żona. Była Lusia Patan (matka umarła w Dżyldykarze) z bratem, była pani Żulińska z dwiema córkami, pani Janina Ciupakowa z córkami Renią i Basią, pani Duszkiewiczowa z dwoma synami i córką Janką. Janka umarła już w Drawsku. Była pani Wąsowiczowa z synem Poldkiem, pani Jadwiga Bieszczaninowa z synem, był pan Kmita z dzieckiem i żoną Lubą, Rosjanką z Urdzaru, która w późniejszych latach pracowała jako pielęgniarka w drawskim szpitalu. Z panem Kmitą tuż po powrocie z Kazachstanu jakiś czas mieszkaliśmy w sąsiadujących mieszkaniach na ul. Kaliskiej 4 w Drawsku. Na deskach nar wagonowych obok nas gnieździła się pani Otrębska ze swoimi trzema synami oraz pani Zawratyńska z synem, poznana przez nas bliżej w Łaj-Bułaku. Powtarzając w poprzednich zdaniach wielokrotnie słowo „była”, „byli”, mam wrażenie, że wtedy, przed kilkudziesięciu laty, gdy patrzyłam na żalostną gromadkę nędzarzy w wagonie, słowo to miało formę czasu teraźniejszego i stanowiło element istotny w wyrażanej na apelowych zgromadzeniach konstatacji: „jest”, „jest”, „jest”, „są”, „są”, „są”... Przecież nie wszyscy wracali. Niektórzy spośród tych, których konwojenci *wygruzili z eszelonu* na ajaguskiej stacji w 1940 roku, zostali w kazachskiej ziemi na zawsze. Myślałam: „Boże, nie do wiary, a jednak udało się, wracam, wracamy, wracamy...”.

W dniu 28 maja przejeżdżaliśmy przez Ałma Ate. Dzień później byliśmy w Dzambule, 30 maja w południe mijaliśmy Czymkent. Niedługo potem skręciliśmy na pustynny szlak wiodący z Taszkontu do Aktiubińska i cały dzień 31 maja zmierzaliśmy na północny zachód. Kyzył Orde, niegdysiejszą stolicę Kazachstanu, mijaliśmy 1 czerwca. Po lewej stronie szlaku kolejowego pojawiło się koryto i wody Syr-darii. Przejeżdżaliśmy przez Kazalińsk. W dniu 2 czerwca dojechaliliśmy do stacji Aralsk. Aktiubińsk mijaliśmy 4 czerwca rano. Wjeżdżaliśmy w coraz bardziej zaludnione tereny, pociąg zmierzał ku Uralowi, zbliżając się do Europy. Granicę kontynentów mijaliśmy o godzinie 1.30 w nocy. W nocy przejechaliśmy przez most na Wołdze i 6 czerwca dotarliśmy do Saratowa. Mijaliśmy kolejne miejscowości: 8 czerwca Ptiszewo i Tambow, 9 czerwca Miczurińsk (o 3.00 nad ranem), Griazi. W dniu 10 czerwca długo staliśmy na jednej ze stacji pod Woroneżem. Na samej stacji w Woroneżu też wypadł dłuższy postój, na tyle długi, że postanowiłyśmy wyruszyć do miasta, by spróbować kupić chleb. Marychna i ja miałyśmy tramwajem pojechać z dworca na znajdujący się w mieście bazar, na duży bazar dużego miasta. Zobaczyłyśmy mnóstwo straganów i dużo różnych rzeczy, których nie mogłyśmy kupić. Interesował nas chleb i niepokoiła myśl, czy starczy na niego rubli przed opuszczeniem granic komunistycznego państwa robotników i chłopów. Do tej pory widywałyśmy przy mijanych stacjach małe bazarki, na których można było kupić podstawowe artykuły żywnościowe, chleb czasem.

Już znalazłyśmy sprzedających chleb, uzgodniłyśmy cenę ze sprzedającym, już wyciągałam rękę, by przekazać pieniądze i wziąć oferowany bochenek, gdy stała się rzecz nieoczekiwana. Niedaleko nas rozległ się huk sporej eksplozji. Kupowany

przez nas bochenek wypadł sprzedawcy z rąk. Zrobiło się zamieszanie, ludzie zaczęli biec, po ziemi toczyły się inne bochenki chleba powypuszczane z rąk przez sprzedawców. Usiłowałam w locie złapać nasz bochenek, ale chybiłam. Tłum w popłochu walił na oślep na nas. Zaraz potem zostałyśmy powalone na ziemię. Szczęśliwie nie odniosłyśmy żadnych obrażeń. Skończyło się właściwie na strachu. Po chwilowym zamieszananiu nastąpiło uspokojenie, gdy okazało się, że powód popłochu był na swój sposób prozaiczny. Ekspłodował mianowicie prymus, najzwyczajniejsza kuchenka do gotowania na benzynę. Sprzedający zaczęli wracać na swoje stanowiska. Ot, było zbyt blisko wojny i huk kojarzył się ludziom raczej z ostrzałem.

Rozpoznałyśmy naszego kontrahenta od chleba i dokończyłyśmy transakcję. Na stację wracałyśmy również tramwajem. Dzierżąc zdobycz z bazaru, mogłyśmy skupić się na oglądaniu miasta. Z dużym zaciekawieniem przyglądałyśmy się ludziom, ruch na ulicach wydawał się wielkomięjski, prawie pachniało Europą. Odetchnęłyśmy głęboko, gdy stwierdziłyśmy, że nasz *eszelon* nie odjechał. Jakże miła była swoboda poruszania się w miejscach, w których się on zatrzymywał i stał dostatecznie długo.

Przyjął się zwyczaj, że gdy tylko pociąg stawał przed sygnałem lub na jakiejś stacji, biegło się do maszynisty pytać, jak długi będzie postój, czy dość długi, by można się było zabrać za gotowanie zupy na palenisku zmontowanym *ad hoc* przy torach lub zrobić wypad na bazar, jeśli postój wypadł w jakiejś miejscowości. Czynności fizjologiczne załatwiała się natychmiast, gdy tylko pociąg stawał na przykład pod semaforem i dało się wywnioskować, że starczy czasu. Ludzie rącho wyskakiwali z wagonów, odbiegali nieco od pociągu i sadowili się zależnie od potrzeb twarzą względnie tyłem do pociągu. Najczęściej nie było żadnych zarośli, które zapewniałyby minimum intymności. Okoliczności siłą faktu stępiły odruchy zażenowania. Na stacjach były drewniane wychodki. Niekiedy kilkanaście kabiniek usytuowanych naprzeciw siebie, do których wchodziło się z dzielącego je wspólnego przejścia. Kabiniki naturalnie nie miały drzwi, więc załatwiający swoje potrzeby widzieli się wzajemnie. Trzeba było ogromnie spieszyć się, bo inni czekali na swoją kolej, bo pociąg mógł niespodziewanie odjechać. Nie było czasu na wzajemne przyglądanie się sobie.

Często na stacjach można było dostać gorącą, gotowaną wodę (*kipiatok*). Zwykle z budynku wystawał na zewnątrz kran, którego odkręcenie umożliwiało napełnienie podstawionego naczynia wrzątkiem. Bywało, że wrzątku nie starczało, gdy ustawiła się dłuższa kolejka chętnych i zużywała istniejący zapas. Oczekiwanie na zagrzanie się nowej porcji wody było denerwujące, transport mógł ruszyć bez reflektanta na *kipiatok*. Takie sytuacje mocno stresowały.

Dostęp do *kipiatoku* bardzo sobie chwaliłyśmy. Z jednej strony miałyśmy względny rodzaj gwarancji, że nie zawlecjemy do organizmu jakichś paskudnych bakterii, z drugiej strony miałyśmy niezbędną bazę do posiłków. Do wrzącej wody wlewałyśmy trochę skondensowanego amerykańskiego mleka i w ten sposób miałyśmy, co prawda rozwodnione, ale przecież mleczne danie z kawałkiem chleba na śniadanie. Dla odmiany jadłyśmy też chleb z konserwą rybną i popijałyśmy gotowaną wodą. Na obiad czy kolację starałyśmy się ugotować zupę, najczęściej z kaszy

zabielonej mlekiem. Przygotowanie dania nie wymagało wielkich zabiegów. Gdy tylko pociąg zatrzymywał się na dłuższy czas, montowałyśmy tuż przy wagonie prymitywne palenisko z kamieni, na kamieniach stawiałyśmy garnek. O opał nie było trudno. Na torowisku leżały zazwyczaj kawałki drewna, czasem węgla. Gdy było tego dobra więcej, zabierałyśmy go do wagonu, do wykorzystania w nieszczęśliwym przypadku braku stosownego paliwa innym razem.

W dniu 11 czerwca 1946 roku minęłyśmy Kursk, 12 czerwca Lgow, Woróżbę, Konotop, Nieżyn, 13 czerwca dotarliśmy do Kijowa. Dzień później mijaliśmy Rokitno i Sarny. Do Kowla dotarliśmy 15 czerwca. W Kowlu stał nasz transport przez cały następny dzień, następnie ruszył, by 17 czerwca dojechać do granicznej w powojennych realiach stacji Jagodin (Jagodzin przed przesunięciem granicy na zachód). Zabroniono nam wychodzić z wagonów, jednakowoż wysiadł pan Lubuśko, jako nasz przedstawiciel, by przywitać się z polskimi kolejarzami. Gdy witał się z nimi, a oni serdecznie całowali go, nam ze wzruszenia łzy spadały z policzków jak groch. Można powiedzieć, że to nasze pierwsze spotkanie z kolejarzami na granicy było instytucjonalnym spotkaniem z Polską, do której w ciągu ostatnich tygodni biegł nasz *eszelon*.

W Jagodinie przesiadliśmy się do polskiego pociągu, który miał mniejszy rozstaw kół, stosowny do szerokości toru obowiązującej w Polsce. Nawet ten polski przecież zwyczajny kolejowy tor wyglądał rozczulająco sympatycznie...

Z chwilą przekroczenia granicy dostałyśmy zupę z chlebem. Ach, jaka to była uczta! Chleb prezentował wszystkie wymarzone smaki. Pachniał i rozpyływał się w ustach. Zupa też pod każdym względem bliska była walorami tym zupom, które jadałyśmy w lwowskim rodzinnym domu. Pewnie znaleźliby się tacy, którzy wzruszyliby ramionami. Ot, zwykła zupa. Dla nas była to pierwsza zupa na polskiej ziemi po sześciu latach niedostatku prawdziwych zup.

W dniu 17 czerwca minęliśmy Chelm. W dniu następnym pociąg dotarł do Lublina, w którym przy dworcu było duże targowisko pełne kramów, straganów i innych jeszcze budek z różnorodnym pieczywem, jarzynami, owocami. Tyle jedzenia. Przejechaliśmy potem przez Puławę, Dęblin i Radom. W dniu 19 czerwca znaleźliśmy się w Skarżysku-Kamiennej. Następnego dnia przejeżdżaliśmy przez Kalisz i dotarliśmy do Jarocina. W Jarocinie był dłuższy postój. Tu odszukał nas nasz znajomy, Bolek Klucznik, którego rodzice pochodzili ze wsi Lipniki, tak jak i nasi rodzice, i byli z naszymi rodzicami zaprzyjaźnieni. Rodzice Bolka mieszkali w Kozienicach koło Lwowa, ojciec zarządzał majątkiem ziemskim. Kilka razy wraz z rodzicami odwiedzałyśmy ich. Za każdym razem była to całodniowa wyprawa. Podróżowaliśmy furmanką wynajętą najczęściej u pana Kanera z Rzęsny Polskiej. Dla nas była to ogromna frajda. Bolek wtedy uczęszczał do gimnazjum. Gdy zobaczyłyśmy go w Jarocinie, był w mundurze wojskowym i nosił dystynkcje porucznika Wojska Polskiego. Spotkanie było niezwykle. Otóż gdy nadjechał pociąg z repatriantami z Kazachstanu, przyszło mu do głowy, by popytać o nas. Chodził więc od wagonu do wagonu i pytał. W końcu trafił na nas. Był to jeden z tych

przypadków, które zwykle nie wydarzają się, bo ich prawdopodobieństwo równa się prawdopodobieństwu trafienia głównej wygranej w grach losowych. Ucieszyliśmy się bardzo z tego spotkania, choć odruchowo jakoś odczuwałyśmy rodzaj speszenia i zakłopotania. Z jednej strony urodziwy młody człowiek w mundurze, z drugiej my wynędzniałe, wygłodniałe i obdarte. Serdecznie przywitaliśmy się. Okazało się, że miał on w Jarocinie przesiadkę i wnet czekała go dalsza podróż. Korzystałyśmy z okazji i wypytywałyśmy go o polskie realia. Pytałyśmy między innymi, gdzie opłaca się szukać pracy, gdzie najlepiej płacą itd.

Nasze niespodziewane i przypadkowe spotkanie z Bolkiem nie umknęło uwagi naszych towarzyszy podróży. Wzbudziło żywe zainteresowanie. Pytano, skąd i w jaki sposób znalazłyśmy znajomego wojskowego. Z Bolkiem, towarzyszem naszych młodszych lat, już więcej nie spotkałyśmy się. Żadna korespondencja nie wyniknęła z jarocińskiego spotkania. Po jakimś czasie dowiedziałyśmy się od krewnych z Przemysła o jego śmierci. Umarł na gruźlicę płuc. Wcześniej też na gruźlicę umarła jego żona, Nela z Kapuścińskich.

W czasie postoju w Jarocinie kończyły się nam zapasy jedzenia. Lala z Janeczką wybrały się do miasta, zamierzając zrobić zakupy. Była to akurat niedziela w oktawie Bożego Ciała i naturalnie niczego nie można było kupić. Jacyś ludzie zaprosili je do mieszkania, obdarowali chlebem i sporym kawałkiem szynki. Ta szynka była ewenementem, luksusem i zadziwiającym zjawiskiem. Pierwsza szynka po tylu latach najczęściej niedostatku jedzenia, a w szeregu wypadków, niech to zabrzmi jeszcze raz – zwyczajnego głodu. Nasza Mama błogosławiła tych ludzi za okazane serce, a przede wszystkim życzyła im pomyślności życiowej. Ja do dziś mam ich we wdzięcznej pamięci. Przecież nie musieli tego robić, nie musieli...

W dniu 21 czerwca nasz pociąg dotarł do Poznania. Wyszłyśmy razem z innymi repatriantami na peron. Jacyś ludzie robili nam zdjęcia. Z Poznania zaczęliśmy zmierzać na północny zachód, w kierunku Ziemi Odzyskanych, bo 22 czerwca byłyśmy w Choszcznie, 23 czerwca w Starogrodzie. Nazwę tę później zmieniono na Stargard Szczeciński. 24 czerwca przejechałyśmy przez Drawsko zwane później Drawskiem Szczecińskim i obecnie Drawskiem Pomorskim. Pociąg biegł do Szczecinka. W Szczecinku wysiadła spora grupa osób zamierzających na własną rękę dostać się szlakiem kolejowym przez Piłę do centralnej Polski. Nasz pociąg zaczął wracać w kierunku Starogardu, by ostatecznie dotrzeć aż do Wrocławia. My wysiadłyśmy 25 czerwca 1946 roku w Drawsku. Nie była to łatwa decyzja. Nie miałyśmy ani pieniędzy, ani zapasu jedzenia, nie miałyśmy żadnych znajomych w pobliżu trasy przejazdu naszego transportu ani tym bardziej rodziny, która byłaby punktem oparcia na czas zaczynania nowego życia. Ubrania miałyśmy tyle w istocie, co na sobie. Nasz cały dobytek ukryty w naszych ubogich tobołkach dał się transportować w rękach. Jacyś urzędnicy, którzy zjawili się przy nas, gdy pociąg powtórnie zatrzymał się na stacji, zachęcali do osiedlenia się. Marychna poszła do centrum miasta na rekonesans.

Powojenne Drawsko, czyli przedwojenny Dramburg, zostało zdobyte 4 marca 1945 roku przez 11. Pułk Piechoty, wchodzący w skład 4. Dywizji Wojska Pol-



skiego im. Jana Kilińskiego. Po oczyszczeniu z oddziałów niemieckich teren zarządzany i rabowany był przez tymczasowe władze radzieckie. Władze te działały, posługując się urzędnikami niemieckimi pozostałymi na swoim terenie po przejściu frontu. Urzędnicy ci, m.in. burmistrz oraz wójtowie w okolicznych wsiach, zostali złożeni z urzędu już w maju 1945 roku. W maju też pojawił się polski burmistrz. Z końcem czerwca zaczęło się przymusowe wysiedlanie ludności niemieckiej. W sierpniu erygowana została i obsadzona przez zmartwychwstańców katolicka parafia Zmartwychwstania Pańskiego. Od września rozpoczęło działalność czteroklasowe gimnazjum i dwuklasowe liceum, dysponujące początkowo czworgiem nauczycieli. W czwartej klasie gimnazjum od września miała rozpocząć naukę Janeczka. We wrześniu też rozpoczęła od pierwszej klasy edukację gimnazjalną Lala. Ustalonym trybem dotarły kolejno poprzez liceum do matury. Janeczka zdawała ją w roku szkolnym 1948/1949, zaś Lala w roku szkolnym 1950/1951. Nieodległe terminy matur wzięły się stąd, że Lala, jak to często bywało w przypadku młodzieży ocalałej z wojny, realizowała przyśpieszony tok programu nauczania.

POLSKO-RADZIECKA KOMISJA MIESZANA  
DO SPRAW EWAKUACJI  
osób narodowości polskiej i żydowskiej  
na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

**ZAŚWIADCZENIE № 1322165**

Ob. *Muczkowska  
Helena c. Józefa*

zamieszkały (a) w *Urzędzińskiego s.cj.  
5-2 Sos-Bulwar  
Semipalat. obw. Kar. S.S.R.*

daje się wraz z członkami swej rodziny

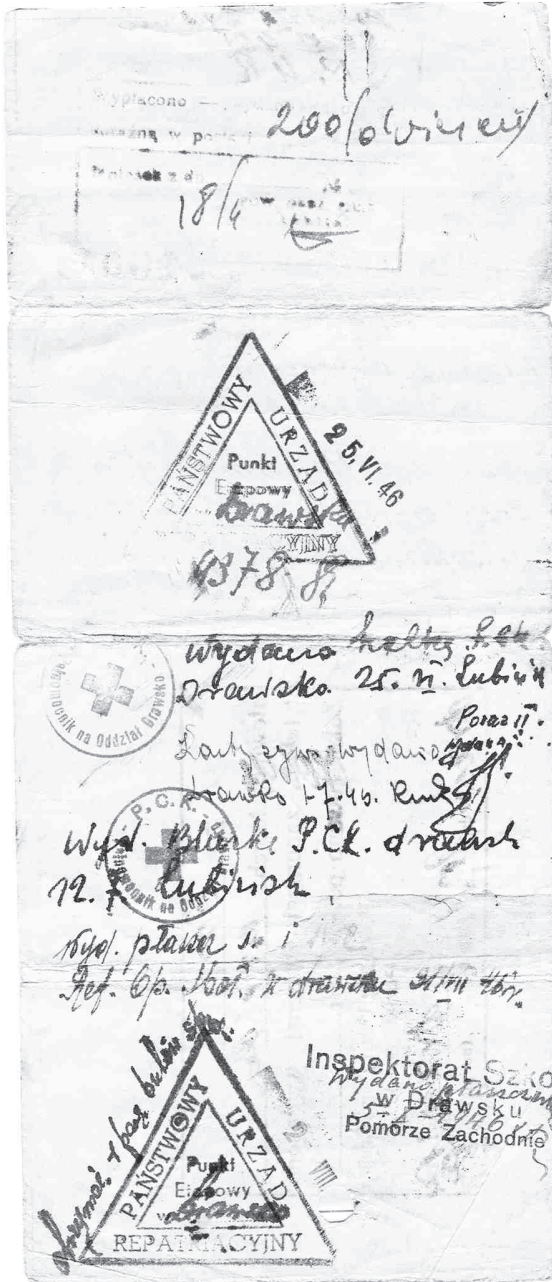
a stały pobyt do Polski na podstawie Umowy  
Polsko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r.

Państwowy Urząd Repatriacyjny  
Polskiej Delegacji

1946

Zaświadczenie repatriacyjne wystawione w Semipalatynsku 16 III 1946 roku z pieczętkami świadczącymi o skali materialnej pomocy doraźnej uzyskanej od Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, Polskiego Czerwonego Krzyża i Inspektoratu Szkolnego w Drawsku. Karta *recto*





Zaświadczenie repatriacyjne wystawione w Semipałatyńsku 16 III 1946 roku z pieczętkami świadczącymi o skali materialnej pomocy doraźnej uzyskanej od Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, Polskiego Czerwonego Krzyża i Inspektoratu Szkolnego w Drawsku. Karta verso

Janeczka zaraz po maturze w roku 1949 podjęła studia na szczecińskim zamiejscowym oddziale poznańskiej Akademii Handlowej. Akademia, utrzymywana przez fundację, nie miała statusu szkoły państwowej. Studenci musieli płacić czesne. Upaństwowienie wraz ze zmianą nazwy nastąpiło w roku 1950. Trzyletnie studia kończyła więc nasza Janeczka już w Wyższej Szkole Ekonomicznej, uzyskując status ekonomisty. Zaraz potem podjęła pracę w Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych w Poznaniu.

Lala ze świadectwem maturalnym wyruszyła do Szczecina, by zostać medykiem. W dokumentach, które powędrowały za nią z drawskiego liceum, umieszczono niestety informację stanowiącą w owych czasach piętno trudne do zbagatelizowania przez gremia kwalifikujące poprawność społeczno-polityczną do studiów wyższych. Tym brzydko stygmatyzującym piętnem była notatka, że Ojciec kandydatki pozostaje wciąż na Zachodzie, a więc w domyśle co najmniej biernie kolaboruje z wrogimi ludowej ojczyźnie imperialistami. Dyskwalifikująca rola notatki okazała się bardzo skuteczna. Lala zmuszona więc była obniżyć aspiracje i rozpoczęła naukę w 3-letniej szkole felczerskiej. Ukończyła ją

w roku 1953. Wtedy to bardzo nielicznej grupie absolwentów szkoły zezwolono w formie nagrody za uzyskane znakomite wyniki w nauce na zapisanie się na drugi rok studiów lekarskich na Pomorskiej Akademii Medycznej. Lala znalazła się w tej grupie. Z tego fortunnego gestu tzw. czynników mogła skorzystać tylko pod warunkiem usunięcia z dokumentów odrażającego dla władzy stygmatu związanego z paskudną postawą Ojca nadal pozostającego na Zachodzie. Niosący realne utrudnienia życiowe w komunistycznej rzeczywistości kawałek papieru zniknął więc w stosownym momencie za sprawą przedsięwziętych przez Lale machinacji i dzięki temu rok 1957 był dla niej rokiem ukończenia studiów lekarskich. Tak miało być w przyszłości.

Tymczasem do stojącego w 1946 roku na drawskim dworcu kolejowym pociągu wróciła z misji rozpoznawczej do miasta Marychna. Opowiedziała o swoich wrażeniach i spostrzeżeniach, o spotkanych ludziach. Wszystko wskazywało na to, że nawała wojenna poczyniła stosunkowo niewielkie zniszczenia w mieście. Widziała sklepy, zakłady rzemieślnicze, restauracje, kawiarnie i piwiarnie. Dziejopisowie lokalni w przyszłości zanotowali, że już w październiku 1945 roku było kilka masarni i sklepów mięsnych, było dwadzieścia jeden sklepów spożywczych, dwa sklepy rowerowe, sklep galanteryjny i sklep papierniczy, cztery restauracje i dwa hotele, a także dziewięć piekarni. Otóż te piekarnie zwróciły uwagę naszej zwiadowczyni, która pilnie zadbała o to, by zasięgnąć języka w sprawie ceny chleba. Dowiedziawszy się, oceniła, że jest tani. I ta taniość chleba stała się koronnym argumentem za pozostaniem w Drawsku. Podnoszona przez Marychnę taniość chleba była na tyle dla nas sugestywna, że dałyśmy się jej uwieść. Tylko Mama oponowała, wolałaby osiedlić się w większym mieście, w którym my miałybyśmy większą szansę awansu społecznego, szansę rychłego uzupełnienia wykształcenie itd. Do mnie stanowisko Mamy przemawiało, a jednak uległam impetowi Marychny. Zostałyśmy w Drawsku. Przewieziono nas i nasze rzeczy do Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, mieszczącego się w kilkupiętrowym budynku, stojącym na rogu dzisiejszej ulicy Chrobrego i pl. Elizy Orzeszkowej, sąsiadującym przez ulicę Chrobrego z bankiem. Na naszych zaświadczeniach postawiono trójkątne pieczętki z napisem: Państwowy Urząd Repatriacyjny. Punkt Etapowy w Drawsku. Obok nich przy pomocy datownika umieszczono datę: 25 VI 46. W siedzibie PUR-u było schronisko dla przyjeżdżających do Drawska repatriantów. Mieszkałyśmy w nim przez kilka dni, oczekując przydziału na jakieś mieszkanie, w którym mogłybyśmy się na dłużej zadomowić.

Na podstawie karty repatriacyjnej każdy jej posiadacz otrzymywał 200 złotych zapomogi. Mama w ramach pomocy doraźnej dostała 150 złotych, nowy płaszcz, jedną spódnicę, pierzynę, sukienkę, karty żywnościowe dla siebie i dla Lali. W schronisku dostawałyśmy darmowe obiady. Pamiętam, że nasza Mama starała się być użyteczna, pomagała kucharkom obierać ziemniaki.

W końcu przydzielono nam mieszkanie na parterze jednopiętrowego, stojącego do dziś przy ul. Kaliskiej 4 bliźniaka. Mieszkanie na piętrze w naszej części przyznano przybyłemu z nami w transporcie panu Kmicie z żoną Lubą i dzieckiem. Nasze mieszkanie składało się z trzech niewielkich pokoi i kuchni. Dom miał piwnice

i strych. Po przeciwnej stronie podwórka stał budynek gospodarczy. Sanitariaty były na zewnątrz domu. Byłyśmy zaskoczone obszernością otrzymanego *locum*. Miałyśmy do naszej wyłącznej dyspozycji aż cztery izby. Dodać trzeba, że nieumeblowane, dokumentnie wyczyszczone ze sprzętów i wyposażenia przez szabrowników. Mając w pamięci zatłoczone pomieszczenia mieszkalne w kazachskich lepiankach, doznawałyśmy czegoś w rodzaju uczucia nieestosownego nadmiaru. Nawet ludzkie odchody w znacznej ilości, szczególnie w piwnicach, pozostawione przez stacjonujących w domu przy ul. Kaliskiej Rosjan, nie stanowiły powodu do przerażenia. Ostatnie oddziały radzieckiej dywizji stacjonujące na terenie Drawska wyjechały w sierpniu.

Zaczęłyśmy się rozglądać za jakimiś meblami. W mieście funkcjonował Urząd Likwidacyjny, który magazynował meble po Niemcach przymusowo wyjeżdżających na zachód. Z takiego magazynu otrzymałyśmy po uprzednich staraniach trzy łóżka, stół, kredens, szafę. Były to przedmioty stare, sfatygowane. Każda ich sztuka była z innej bajki. Najważniejsze było jednak to, że były i że spełniały swoje funkcje. Odważyłyśmy się chodzić w towarzystwie pana Kmita do opuszczonych przez Niemców i niezabezpieczonych mieszkań, by, jak się wtedy mówiło, wyszabrować jakiś przydatny grat. Z mieszkań tych wszystko, co wartościowe, zabrał Urząd Likwidacyjny lub fachowi szabrownicy, którzy wywozili swą zdobycz do centralnej Polski. My zastawaliśmy już to, czym wzgardzili nasi poprzednicy. Pan Kmita był zręcznym człowiekiem, przysłowiową „złotą rączką”. Jedne rzeczy naprawiał, do innych to i owo dorabiał i odzyskiwały one swoją wartość użytkową lub polepszała się ich funkcjonalność. Nawet szmaciane letnie sandałki potrafił zrobić pan Kmita.

My byłyśmy bardzo biedne. Z Kazachstanu wróciłyśmy w resztkach bielizny. To, co miałyśmy, uszyte było z jakichś niebieliźnianych resztek. Każda z nas miała po jednej polatanej sukience. Ja miałam używaną do pracy w biurze sowchozu czarną spódniczkę i bluzkę z wełny, robioną na drutach przez Marychnę. Nasze zimowe płaszcze dawno potraciły fason i jednolitą fakturę materiału, tu i ówdzie wystawały trudne do opanowania strzępy. Pościel miałyśmy w szczątkowej postaci. Pieniądze otrzymywane jako zapomoga przeznaczone były prawie w całości na jedzenie. Z jednej strony nie było ich dużo, z drugiej strony jeszcze przez długi czas czułyśmy niedosyt jedzenia. Nasza Mama wciąż chodziła pomagać kucharkom. Za tę pomoc dostawała zupe, do której trzeba było jeszcze dokupić chleb. Marnie było, ale o niebo lepiej w porównaniu z kazachskim okresem.

Obie z Marychną zaczęłyśmy szukać jakiejś pracy. By jako tako funkcjonować, musiałyśmy mieć pieniądze. Poszłyśmy zapytać w restauracji, czy przypadkiem nie potrzebują kogoś do zmywania naczyń. Była to raczej podrzędna knajpa i tylko przy nadmiarze uprzejmości można było ją nazwać restauracją. Gdy robiłyśmy wywiad na interesujący nas temat, przysłuchiwało się naszej rozmowie kilku stojących obok mężczyzn. Jeden z nich zagadnął nas, skąd pochodzimy, jakie mamy wykształcenie. Okazało się, że był to sekretarz Miejskiego Komite-

tu Polskiej Partii Robotniczej, niejaki Stefan Aniołkowski. Po chwili rozmowy z nami zaproponował, byśmy w sprawie pracy zgłosiły się do biura partii mieszczącego się przy ul. Świerczewskiego. Byłyśmy zbulwersowane tym, że mamy mieć coś wspólnego z komunistyczną partią. Gdy to nasze zbulwersowanie nieco zelżało, doszłyśmy do wniosku, że trzeba przynajmniej sprawdzić, czy przypadkiem nie dałoby się ewentualnych propozycji zaakceptować. Było nie było znajdowałyśmy się w tarapatkach i w prawdziwej potrzebie. Zebrałyśmy się na odwagę i poszłyśmy do siedziby komitetu następnego dnia. Sekretarz, rozmawiając z nami, tytułował nas per „towarzyski”, następnie skierował do Starostwa Powiatowego oraz Zarządu Miasta. W Zarządzie Miasta pracy dla nas nie było, natomiast zostałyśmy zatrudnione w starostwie jako urzędniczki. Miałyśmy nadzieję, że na chleb zapracujemy. Przez długi czas nie mogłyśmy sobie pozwolić na posmarowany jakimś tłuszczem chleb. Do pracy w biurze nosiłam na śniadanie dwie nieposmarowane niczym kromki chleba złożone razem. Na smalec, czy tym bardziej masło, nie było mnie stać. Czułam się tym zażenowana i zdeprecjonowana w stosunku do otoczenia. Ot, choćby drobiazg, który obecnie z pewnością będzie wyglądał niewiarygodnie (ale jakie to ma w istocie dziś znaczenie). Bywało, że idąc przez rynek, łakomie patrzyłam na sprzedawane jabłka i choć sześć lat ich nie jadłam, nie mogłam sobie ich przez długi czas kupić. Potrzeb było bardzo wiele. Można było kupić różne potrzebne do codziennego użytku rzeczy na targowisku, najczęściej polnieckie i naturalnie używane, ale długi czas nie było nas na nie stać. Doskwierała nam na przykład banalna rzecz. Nie miałyśmy zasłonek na oknach i nawet nie chodziło o jakąś estetykę, ale o poczucie intymności. Nie byłyśmy już w sytuacji przymusowej, nie trzeba było tłoczyć się z jakimiś obcymi ludźmi w jednej izbie. Niby byłyśmy we własnym mieszkaniu, a jednak jakby na ulicy... Były i inne drobiazgi, które znosiłyśmy, dobrze jednak zdając sobie sprawę, że dookoła nas było mnóstwo ludzi z podobnymi lub wręcz takimi samymi jak my problemami.

Trochę najniezbędniejszych rzeczy dostałyśmy z Polskiego Czerwonego Krzyża, który prowadził dystrybucję darów otrzymywanych z Zachodu. Trzeba było do biura PCK chodzić wiele razy, by wyprosić to czy owo – a to jakąś płaszczyne, a to spódniczyne. Takie dobijanie się o to czy owo, napraszanie się, mające znamiona żebraniny, było dla nas bardzo upokarzające. Tym bardziej, że osoby sprawujące rozdzielnictwo nie ukrywały swego poczucia wyższości wobec nas. Fakt odebrania przydzielonego ciucha, jak już o tym wspominałam, był odnotowywany na zaświadczeniu repatriacyjnym.

Obserwując otoczenie, widziałyśmy kontrast między naszym losem wyzutych ze wszystkiego biedaków a sytuacją życiową ludzi przybyłych na Ziemię Zachodnie z centralnej Polski. Miałyśmy wrażenie, że skutki wojny jakoś mniej ich dotknęły. Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Koleżanka i kolega, którzy pracowali ze mną w biurze, chodzili przyzwoicie, bardzo ładnie ubrani. Na śniadanie jadali bułki z różnorodną wędliną. Prosperowały w mieście rzemieślnicze sklepy, a także sklepy należące do Spółdzielni Spożywców „Społem”. Było około dziesięciu piekarń, z całą pewnością powyżej pięciu zakładów przerabiających i sprzedających mięso, ponad

dwadzieścia sklepów spożywczych, działały bodaj trzy kawiarnie, jakaś piwiarnia, były nawet sklepy rowerowe, sklep z galanterią i artykułami papierniczymi. Gdyby nie miały zasobnych jako tako w grosz klientów pewnie by nie prosperowały.

My należałyśmy do najbiedniejszej warstwy przybyszów na tak zwane Ziemie Odzyskane. Do takiej warstwy zaliczają też nas dzisiejsze opracowania naukowe mówiące o tamtych czasach. Z tego też zapewne powodu dziś najlepiej i najżywiej pamiętam te sklepy z żywnością. Globalnie spoglądając na ówczesną rzeczywistość, jasne i zrozumiałe było (i jest) z jednej strony to, że wojna wielu pozbawiła wszystkiego, że wielu okrutnie pokaleczyła, że nie byliśmy jakimiś szczególnymi wojennymi rozbitkami, z drugiej strony miałyśmy do czynienia z naszą rzeczywistością lokalną, że na co dzień było dookoła nas małe miasteczko i jego małe problemy, z którymi z takim trudem zmagaliśmy się.

Po przyjeździe do Polski urwał się nam kontakt z Ojcem. On nie znał naszego nowego adresu, my nie wiedziałyśmy, jak mu go przekazać, bo przecież też zmienił swoje miejsce pobytu.

Francuszczyzną nabytą w lwowskiej szkole napisałam do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie z prośbą o odnalezienie naszego Ojca i podanie nam jego adresu, naszego zaś jemu. Centrala Comité International de la Croix-Rouge w Genewie 6 listopada 1946 roku wystosowała pismo poszukiwawcze<sup>14</sup> do Delegatury Polskiego Czerwonego Krzyża w Kairze<sup>15</sup> z prośbą w imieniu naszej Matki z 26 września 1946 roku o poszukiwanie i o przekazanie informacji o naszym Ojcu, urodzonym 29 marca 1892 roku we wsi Lipniki, leżącej w powiecie Mościska, synu Jana i Salomei, ostatnio przebywającym pod adresem CMF 606, Polish Forces, Téhéran/Iran, o którym ostatnie wiadomości pochodziły z 20 października 1945 roku<sup>16</sup>.

Gdy jechałyśmy przez Polskę, widziałyśmy na stacjach kolejowych ponaklejane na tablicach i ścianach kartki z adresami, kartki z informacjami dla ewentualnych poszukujących. Rozproszeni przez wojnę Polacy usiłowali znaleźć drogę do siebie. W swoich nadziejach na nawiązanie kontaktu utraconego z Ojcem po opuszczeniu sowieckiej ziemi nie zawiodłyśmy się. Pewnego dnia nadeszła z Genewy przesyłka. Była w niej informacja o aktualnym londyńskim adresie Ojca, który również został powiadomiony o miejscu naszego aktualnego pobytu. Popłakałyśmy sobie – z radości.

Kilkuletnia wojenna epopeja zakończyła się dla naszej rodziny dopiero za kilka lat. Po nieprawdopodobnej tułaczce nasza rodzina w komplecie spotkała się w końcu w Polsce. Nie była to Polska taka, o jakiej marzyliśmy. Stało się to wtedy, gdy Ojciec wrócił z Anglii do nas 14 grudnia 1957 roku. Nie mógł wcześniej. Oceniał przecież rzeczowo swoje położenie. Był wszak przed wojną burżuazyjnym lwowskim policjantem, a po uwolnieniu z sowieckiego Gułagu na podstawie układu Sikorski-Majski z 30 lipca 1941 roku w strukturach brzydkiego andersowskiego korpusu słu-

<sup>14</sup> Oznakowane: Service Polonais DP 71031/tp.

<sup>15</sup> 30, Sh. Mansour – CAIRO, tel. 52978.

<sup>16</sup> Data 22 NOV. 1946, umieszczona w dolnej części pisma datownikiem, zdaje się wskazywać, że tego dnia mogło być ono ekspediowane.





Zdjęcie ślubne Heleny Nuckowskiej i Kazimierza Orzechowskiego.  
Drawsko Pomorskie 17 VII 1954 roku

żył jako żandarm. Każda z tych zaszłości osobno bardzo łatwo mogła stać się przyczyną poważnych kłopotów, a nawet bardzo poważnych kłopotów. W przypadku Ojca te zaszłości stanowiły na dobitkę kumulację, rodzącą (siłą faktu) komunistom ideowy niesmak. Komuniści w owym czasie mocno nie lubili życiorysów tak niesmacznie ukształtowanych. Klimat do powrotu stworzyły dopiero wydarzenia polityczne w Polsce w 1956 roku.

Mama nasza niedługo cieszyła się z powrotu Ojca. Tuż przed tym powrotem zaczęła chorować. Zmarła 6 czerwca 1958 roku o godzinie 20.45 w klinice Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie. Została pochowana 9 czerwca 1958 roku na cmentarzu w Drawsku Pomorskim. Ojciec osiadł od tego czasu ma dobre w Poznaniu. W dniu 1 października 1958 roku po latach wraz z Lalą odwiedził w Nysie księdza Jana Tomaszewskiego, pełniącego wówczas funkcję rektora w miejscowym seminarium duchownym. Wizyta przebiegła w atmosferze nadzwyczajnej serdeczności. Niebawem okazało się, że zapowiadane i umówione kolejne spotkanie nie odbędzie się, bowiem ksiądz Tomaszewski mający od jakiegoś czasu kłopoty ze swoim sercem zmarł następnego dnia po wizycie u niego Ojca i Lali. Dla nas wszystkich była to bardzo smutna wiadomość – straciliśmy wypróbowanego przyjaciela naszej rodziny.

Rok 1958 przyniósł jeszcze inne rodzinne zmiany. Lala zaraz po ukończeniu studiów w szczecińskiej Pomorskiej Akademii Medycznej, po odbyciu stażu w Poznaniu, dostała pracę w Słupsku. Janeczka wyjechała do Londynu, do męża, jako że już w 1957 roku, gdy pojechała towarzyszyć wracającemu do Polski po wojennej tułaczce Ojcu, wyszła za mąż za Bolesława Karasińskiego, kolegę Ojca z wojska. Tylko Marychna, od 1947 roku żona Henryka Obrębskiego, została w Drawsku Pomorskim.

Ja już od 7 lipca 1947 roku znalazłam pracę jako księgowa w krochmalni i płatkarni, tj. w niewielkim zakładzie przemysłowym, przerabiającym ziemniaki w Jankowie, leżącym nieopodal Drawska przy szosie prowadzącej do Stargardu Szczecińskiego i dalej – do Szczecina. Siedem lat później wyszłam za mąż za pochodzącego z Ostrowca Świętokrzyskiego głównego księgowego w tym zakładzie, Kazimierza Orzechowskiego. Zostałam panią Orzechowską. Przenieśliśmy się z Drawska do mieszkania w budynku należącym do krochmalni w Jankowie. Rok później zostałam mamą Orzechowską, jako że 19 lipca 1955 roku urodziła się starsza córka Elżbieta Maria. W roku następnym naszą rodzinę powiększyła kolejna córka – Maria Małgorzata, urodzona 16 sierpnia.

W 1958 roku przeprowadziliśmy się do Słupska w wyniku służbowego przeniesienia Kazika do tamtejszych Zakładów Przemysłu Ziemniaczanego. Zostałam w nich zatrudniona i ja. Pracowałam na różnych stanowiskach w dziale finansowo-księgowym.

W roku 1967 konieczność zaopiekowania się tracącymi coraz bardziej sprawność życiową i posuwającymi się w latach rodzicami Kazika spowodowała przeniesienie się naszej rodziny do Ostrowca Świętokrzyskiego. Mieszkając w pobliżu teściów, mogliśmy służyć im realną pomocą. Kazik pracował kolejno w kilku firmach jako główny księgowy. Ja znalazłam pracę w księgowości w cukrowni „Częstocice”. Pracę zawodową skończyłam w 1979 roku jako główna księgowa cukrowni. Żywoć przedwczesnej emerytki rozpoczęłam z powodu złego stanu zdrowia. W dniu 12 lipca 1986 roku pożegnałam Kazika na ostrowieckim cmentarzu... Jest rok 2011, a ja wciąż trwam.



# **PAMIĘTNIK ŁUCJI**





## **NOTA INFORMACYJNO-EDYTORSKA**

### **DO PAMIĘTNIKA ŁUCJI NUCKOWSKIEJ**

Przedstawiany tekst prezentuje notatki zgromadzone w trzech poszytach. Pierwotnie zapiski prowadzone były na luźnych kartkach. Kartki te w późniejszym okresie zostały zszyte bez dbałości o chronologiczny układ. W szeregu wypadków w zapisie polskim użyte zostały litery alfabetu rosyjskiego. Wśród notatek Łucji są też zapiski robione rękami jej starszych sióstr: Heleny i Janiny. Poszyty 1. i 3. mają okładki. Poszyt 2. jest bez okładki. Stan obecny poszytów wygląda następująco:

#### **POSZYT 1.** [Notatki 24 XII 1943-24 XII 1945].

Stanowi go zespół 39 kartek zszytych ręcznie białą i czarną nitką. Zostały one po-foliowane zapewne ręką autorki. Karty w zdecydowanej większości to druki rozlicze-niowe: „Учётный лист конных и ручных работ” oraz „Учётный лист тракторных работ”. Brak karty foliowanej 19 (bez śladu wyrywania), wyrwana jest natomiast karta foliowana 23. Między kartami foliowanymi 37 i 38 znajduje się karta niefolio-wana z teksem napisanym ręką Janiny Nuckowskiej po stronie *recto* i *verso*. Po karcie foliowanej 41 znajduje się jedna karta niefoliowana, zaś po niej ślad po wyrwanych czterech kartach. Po kartach usuniętych umieszczono kartę tekturową. Na jej stronie *recto* wpisano obliczenia matematyczne z zakresu mnożenia. Na stronie *verso* ołów-kowy rysunek domku z jednym oknem i kominem, z którego wydobywa się dym. Nad domkiem napis: хорошо Тут живет[!] Баба Яга. Pod domkiem napis: Baba Jaga na lopacie jeździ. Okładki z cienkiej tektury obłożone zostały lichym, białym papierem. Na okładce dolnej od strony poszytu schematyczny rysunek kuli ziemskiej z zaznaczonymi strefami geograficznymi: холод [biegun północny], жарко [strefa równikowa], экватор, умирное[!] [strefa umiarkowana południowa], холод [biegun południowy]. Notatki wykonywano atramentem czarnym i czerwonym.

**POSZYT 2.** [Notatki 9 I 1946–10 I 1946].

Stanowi go zespół 12 kartek z zielonego papieru zszytych ręcznie czarną nitką, foliowanych ręką autorki. Kartki to w istocie pasy dolnych fragmentów tego samego wzoru druków stosowanych w zootechnice. Na stronach *verso* nieznaną osobą prowadzila w roku 1941 notatki biurowe w języku rosyjskim atramentem brązowym i ołówkiem. Brak okładki górnej i dolnej.

**POSZYT 3.** [Notatki 29 XII 1946 *recte* 1945–29 III 1946].

Poszyt ma 14 kart foliowanych. Była jakaś karta przed k. 1. Pomiedzy kartami 6 i 7 jest karta nienumerowana. Istnieje ślad, że była po niej jeszcze jedna karta, która została wyrwana. Wyrwana też została karta znajdująca się pomiedzy kartami 10 i 11. Jej brak nie zaburza foliacji. Identyczna sytuacja występuje między kartami 12 i 13. Notatki robione były atramentem niebieskim, czarnym i ołówkiem na odwrotnych stronicach dokumentów sowchozu z roku 1941, dotyczących kwestii zootechnicznych. Okładki górna i dolna z cienkiego, lichego i poźółkłego kartonu.

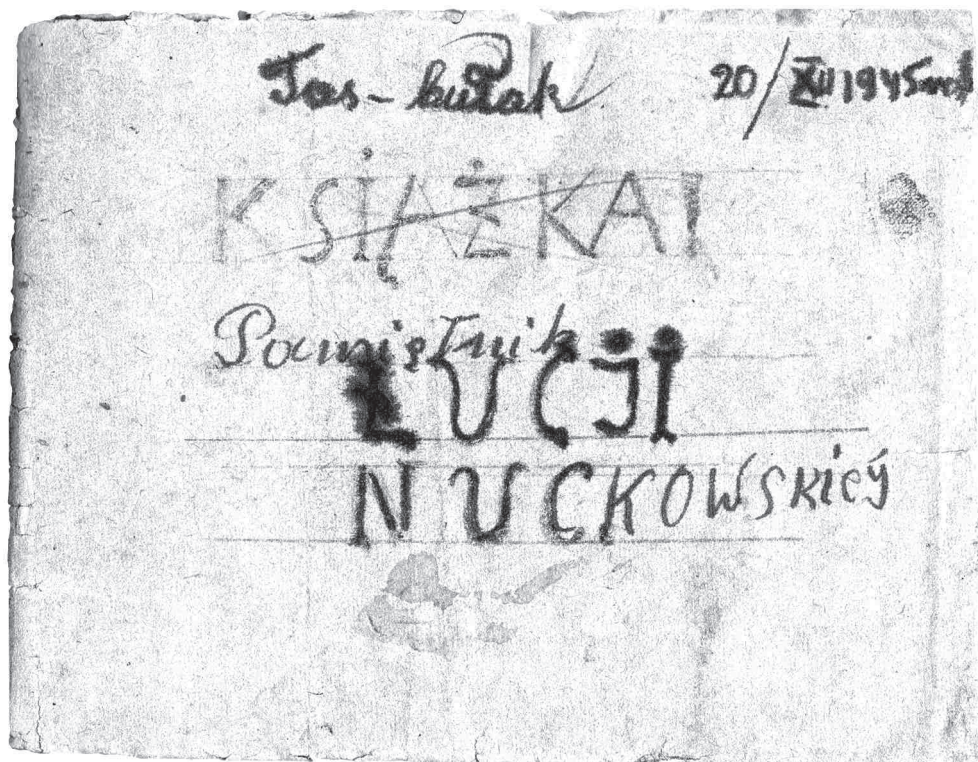
Występująca w pamiętniku Mamcia to Julia Nuckowska (20 IV 1893–6 VI 1958), matka Marii, Heleny Janiny i Łucji, zaś Ojciec Marii, Heleny, Janiny i Łucji – to Józef (29 III 1892–10 II 1966).

W tekście rozmyślnie i nie bez rozterek starano się zachować występującą w oryginalnym zapisie ortografię i interpunkcję wyrazów polskich, również i w tych przypadkach, w których użyte zostały błędnie litery alfabetu rosyjskiego zamiast odpowiednich liter polskich.

Tu i ówdzie występują charakterystyczne dla gwary lwowskiej formy końcówek, na przykład: „«buran» dosypi jeszcze śniegu”, „ona jutro co przyniesi”.

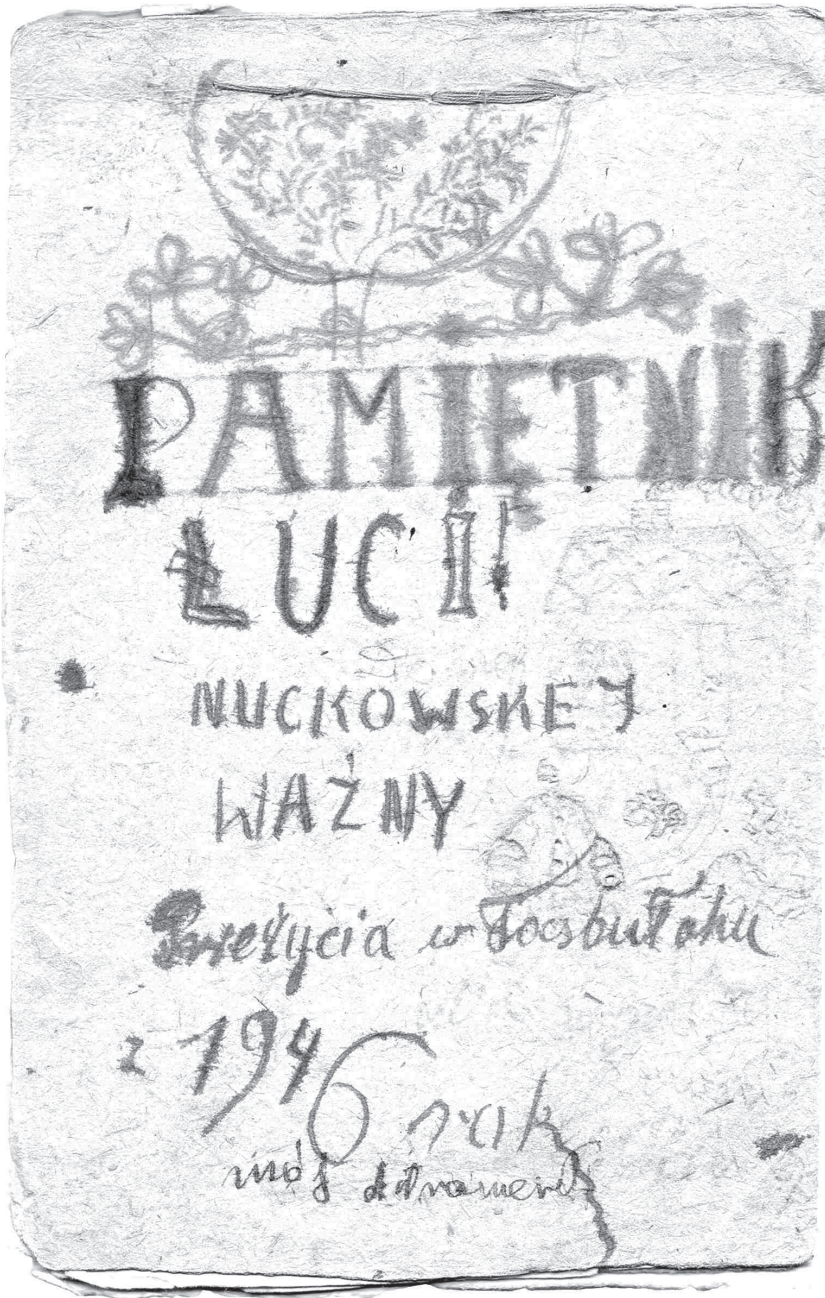
W nielicznych przypadkach wprowadzono brakujące w oryginale litery, ułatwiające dziś czytanie i rozumienie zapisu.

Poszyty jako całość nie dają się ułożyć chronologicznie wedle opisywanych w nich wydarzeń. W celu dokonania systematyzacji chronologicznej wydarzeń trzeba było owe wydarzenia wybierać z poszczególnych poszytów i układać w nową, jednolitą całość.



Poszyt 1





**ROK 1943**

Tasbułak 24/XII [19]43 r.

Wigilja

Wigilja Polaków na wygnaniu.

Wtedy byliśmy wszystkie w domu był barszcz kut[i]a z cukrem i placek kukurożanej mąki i wszystko Polacy przychodzili z szopką wszystko było bez ukochanej osoby Oj[c]a naszego tak jest bardzo ciężko nam na swiecie.

Łnuckowska.

Pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia

Rano była zupa z przynicy z kartoflami na objat oczekiwane przez wszystkich pierogi po (10) sztuk i po (2) pieroszki wieczur 5 plackuw i zupa kartoflana z zacierką.

Koniec dn[i]a.

Polacy na wygnaniu

2 dzień S[wiąt] B[ożego] N[arodzenia].

Rano nie było sniagania<sup>1</sup> na objat jedna kromeczka chleba 3 placki kartoflane i zupa z kaszą. Na kolację ja poszłam i u derektora poprosiłam mięsa b zarzneli byka on dał 1<sup>500</sup> gr. teraz gotuje się kolacja z mięca<sup>2</sup> i z kaszy przeniczej która Mamusia natłukła na stęp[i]e.

Łucja

**ROK 1944**

Tasbułak 24 XII/ [19]44

---

<sup>1</sup> Litera d według alfabetu rosyjskiego.

<sup>2</sup> Litera s według alfabetu rosyjskiego.



## Wigilja

Wigilja Polaków na wygnaniu.

Heli nie było w domu ona była 20 kilometrów od domu, woda w rzece nie ciekła więc lodem gotowaliśmy i ja poszłam po lut i zgubiłam chustkę i była ch[r]yja z powodu tego, był Polski barszcz kut[i]a z cukrem bulbennik<sup>3</sup> kwaszone ciasto cukszony ploczek.

Heli to wszystko posyłałyśmy na miejsce. konie[c].

Nuckowsk Lucj.

**ROK 1945**

[*Ręką Janiny Nuckowskiej:*]

Dyktat [tj. dyktando] 10/XI [19]45.

[*Ręką Lucji Nuckowskiej:*]

Dykata 14 XI 1945 rok Tas – Bułak  
Wstał wczesny ranek.  
Dyktat 14 XI [19]45 r.  
Wstał wczesny ranek  
Lazurowe niebo.  
było bez chmurki  
Wielkie miasto.  
budziło się ze snu.  
Już otwierano mie-  
jską remizę wy wszy-  
stkich kierunkach  
rozjechały się  
tramwaje.



Rok 1936. Janina w ogrodzie i Lucja na płocie



Rok 1937. Lucja w pierwszej klasie szkoły powszechnej św. Anny we Lwowie

<sup>3</sup> Bulbennik był potrawą z pieczonych ziemniaków.

[*Ręką Janiny Nuckowskiej:*]

Jaki jest dzisiejszy dzień? Po burzy zawsze nadchodzą pogodne dni, tak i dziś, choć nie była to<sup>4</sup> burza, to był to tak zwany „buran”, czyli śnieżna burza. Ranek był cichy i ciepły, białe obłoczki stały cicho jak by zasłuchane. Wkoło jak okiem sięgniesz białą przestrzeń śnieżną gdzie niegdzie wiatr naniósł<sup>5</sup> wydmy zdzierając śnieg z drugiego miejsca. Cały dzień ludzie biorykają się z śniegiem, dróg zupełnie nie ma<sup>6</sup>, co gorsza zaczyna znów polatywać śnieg jak na „buran” dosypi jeszcze śniegu.

na nie            nie mógł            nie ma

nie była        nie polska

wyrzuty

na nim

Platon filozof Grecki

Cycero

Rzeź Pragi 1795

Unja Lub 1569 r

### Litewski dwór

Stary litewski dwór dziś w odświętnym wyczekiwaniu, to pewnie jakie rodzinne święto, tak to dziś imieniny pani domu. Zjechali się goście z daleka i bliska by nie odmówić zaproszeniu. Cały tydzień trwały przygotowania bito prosięta drób i zwierzyne w lesie. kucharzy piekli pieczenie sarnie smażyli nadziewali i sosem zalewali. W wielkich piekarskich piecach piekły się pierniki kołaczki i słodkie placki z nadziewką. Ruch i gwar panują we dworze kuchciki rozcierają jaja z cukrem biją pianę, trą mak z miodem mielą ser na serniki wynoszą ze spiżarni coraz nowe garnki z mlekiem smietaną i masłem które pachnie już z daleka. Przez wielki się nie ulatuje z kuchni mocny zapach wanilii i innych kuchennych korzeni. Ja siedzę i patrze a ślina leje się mnie po kolanach.

[*Ręką Łucji Nuckowskiej:*]

Podeszła ciężka ciężka zima my raz dziennie jemy tylko objat i strasznie cierpienie tak czekać od jednego dnja do drugiego.

Polacy na wygnaniu 15 XI [19]45 r  
opis Nuckowskiej Łucji

---

<sup>4</sup> Wiersz podkreślony przez Janinę Nuckowską. Kreską pionową zaznaczono rozdzielność *nie* od *była*.

<sup>5</sup> Wiersz podkreślony przez Janinę Nuckowską.

<sup>6</sup> Wiersz podkreślony przez Janinę Nuckowską.

Литовский двор  
 Станы литовский двор обрисован  
 & njm wykreiwaniu, to jest w  
 jakie modrinne i wigo, to jest  
 dno imieniny pami domu. Jacek  
 ci wosie z dołka i bliska, to  
 adnawic rozprezeniu, to jest  
 twody przyprawienie i to jest  
 drob i niedrzym w lewej  
 niaki preczene sarnie i w  
 modniowki i sorem sarnie  
 H i wolkich niakanki w  
 niaki sie niemiaki koto  
 i stopkie placki w modniowki,  
 kich i sorem niemiaki w  
 kacharki rozprezeniu jaja  
 bija niemiaki, to jest w  
 niemiaki w modniowki  
 w modniowki w sarnie  
 modie ganki w mlekiem sarnie  
 pang i modniowki koto  
 sarnie i dołka. Paser wolkie  
 nie ulotuje z kuchni mozem  
 sarnie w modniowki i inych  
 niemiaki koto. Ja sarnie  
 i w modniowki a sarnie niemiaki

К Т И Ч  
 С К И  
 Е Р Д М  
 Л Е Н О  
 В Л Е Н  
 Т Н Е Р  
 А Х

1947 г.  
 1948 г.  
 1949 г.  
 1950 г.  
 1951 г.  
 1952 г.  
 1953 г.  
 1954 г.  
 1955 г.  
 1956 г.  
 1957 г.  
 1958 г.  
 1959 г.  
 1960 г.

Утверждено НКВД СССР 17/11 1938

Совхозучет № 1

Przyszła zima sroga nie oczekiwana my nie przygotowani balismysię tej srogiej zimy. śniegi zaczęły zasnuwać nam okna, i z drogi<sup>7</sup> wiec już trzeci dzień siedzimy o śniegowej wodzie pijąc, rozpacz przenikała nasze serca Królowa Polska nie dała nam zginąć. Więc drogi poczęły się ucierać i oczekiwane słońce przejrzało w norę<sup>8</sup> okna, straszna radość ogarnęła biednych polaków wygnania. I wstąpiła otucha ze wrucimy na Ojczyznę swoją.

Łucja Nuckowska.

[*Ręką Janiny Nuckowskiej:*]

15 listopada [1945?]

To dzień borykania się w śniegu. My czekamy Marysi kiedy ona przyjdzie. Czy co przyniesie. Boże jak ciężko jest żyć na takim odludziu. Nigdzie się nie dostaniesz nawet nie wychylisz nosa życie tak życie. Tylko się trzymaj byś nie zwątpił w swoją gwiazdę. koniec koniec i jeszcze raz koniec.

[*Ręką Łucji Nuckowskiej:*]

Zamknięto 29/XI 1945 rok

Właśnie dziś rano została zamknięta waliska z sucharami na drogę i teraz nawet nie powąchasz biedny człowiecze i nie popatrzysz na nie i nie ugryziesz ani jednego, tylko one ciebie gryzą w myśli że one są a ty jesteś głodny. Klucz został powieszony na gwoździu na oknie i wsio cha cha cha cha cha cha !!!!!!![!] suchary zamknięte i wsio cha cha cha cha cha !!!!![!]

ŁNuckowska<sup>9</sup>

[*Ręką Janiny Nuckowskiej:*]

Psalmy Henryka Gizeli.

Wśród mej ciernistej drogi  
Niejeden dosięgnął mnie grot  
Trwoga i męka i rozpacz  
Podcięły mej duszy lot,

<sup>7</sup> W wyrazie grupa dr- została wpisana czarnym atramentem na grupie gr-.

<sup>8</sup> Wyraz „norę” został czarnym atramentem napisany na wyrazie pierwotnie należącym do zdania i brzmiącym zapewne „nasze”.

<sup>9</sup> Prostopadle do powyższego tekstu, tuż przy grzbiecie, równoległe do grzbietu ręką Janiny Nuckowskiej tytuł odnoszący się do tekstu na stronie 35<sup>1</sup>: *Psalmy Henryka Gizeli*.



Więc kresu tylko pragnę,  
 By ujść już dalszych mąk  
 Tak straszniem z mordowany,  
Jakbym świat przebiekł w krag<sup>10</sup>  
 Nie wolno mi przedwcześnie  
 myśleć o odlocie,  
 Niedługo jednak wytrwam  
 W chwilowym mym namiocie<sup>11</sup>  
 Stęskniona moja dusza  
 Do swej ojczyzny śpieszy  
 Tam Ojciec mie niebieski  
Przytuli i pocieszy.<sup>12</sup>  
 Po burzach ziemskich i gromach  
 Wieczyste mi świta słońce  
 U Chrysta rajskich ogrodów  
 Anielskie czekają mie gońce.

Uwaga!  
 Zostały się policzone dni do wyjazdu!  
 nareszcie spełniło się nasze pragnienie  
 wrócimy do naszych ojczystych stron.  
 Co czeka nas tam! jakie niespodzianki  
 Czy już zupełnie będziemy się czuć szczęśli  
 aż tam ułoży się nasze dalsze życie, ta  
 będą nasze dalsze losy.

Jak dobrze nam  
 zdobywać chmury  
 i młodą piersią chwytać  
 wiatr  
 Ta ra ra ra  
 i ta zabyta  
 pra mem [!]

O Jeruzalem, ty święty grodzie  
 Dusza ku tobie rwie się, ulata  
 Pątnik nużony tęskni do Ciebie,  
 Obce już dla mnie są sprawy świata  
 Prorocy, patryjarchowie,  
 Co tu dla krzyża cierpieli  
 Teraz w boskiej kroczą chwale,  
 Święci Pańscy i anieli.  
 czy ja mam wyrobione pismo.

<sup>10</sup> Wiersz podkreślony przez Janinę Nuckowską.

<sup>11</sup> Wyraz *namiocie* nadpisany nad słowem *odlocie*.

<sup>12</sup> Wers podkreślony przez Janinę Nuckowską.



[*Ręką Łucji Nuckowskiej:*]

Jana nasza jest poetka.

[*Ręką Janiny Nuckowskiej:*]

Lalka ma wyrobione pismo  
bardzo pięknie pisze.

[*Ręką Łucji Nuckowskiej:*]

zato Jana bzytko pisze  
ezeli ja ładnie piszę  
Njskobska [Nuckowska].

[*Obok rysunku umieszczonego w lewym górnym rogu stronicy, przedstawiającego raczej latarnię morską, wykonanego ołówkiem, tekst napisany ręką Janiny Nuckowskiej:*]

To jest wodny młyn  
tu się miele smaczna  
maka. Niestety!  
my nie jemy z tej  
mąki chleba bo  
jego nie ma.  
Kiedy nastaną  
te błogosławione  
dni by my i nasi  
rodzice jedli chleb do syta  
choćby ta jak najprędzej  
była  
Daj daj Boże<sup>13</sup>

Nasza Lalka się rozchytrzyła  
ona bardzo lubi to słowo  
ale ono pochodzi od ruskiego.

---

<sup>13</sup> Wiersz podkreślony przez Janinę Nuckowską.

[Ręką Łucji Nuckowskiej:]

6/XII [19]45 r.

Najukochońszy Tatusiu!

Tatusiu by Tatuś wiedział jak my się męczymy nasza męka nas zrobiła starami pokryła zmarszczkami nasze twarze choć jesteśmy młode jednak nema wesołości w naszych twarzach tylko smutek się rysuje. i przegnębene. Tatusiu ten pok<sup>14</sup> był szczęśliwy bo było co jeść na św. Mikołaja, następny nie wiadomo jaki będzie, tak to nie wiadomo.

Łnuckowska.

Sw. Mikołaj Tas bułak

1945 rok 6/XII

Właśnie dziś święcimy świętego Mikołaja speklismy po dwa placki z nadziewką z kartofli i malenke (placki z nadziewką z) charbuza a teraz właśnie siedzimy i gryziemy słonecznik. Marysi nie ma w domu poszła pieszo 22 kilometry<sup>15</sup> kupić coś do jedzenia. Na stole świecą się dwa kaganki. Taki jest św. Mikołaj u wygnancu w Polskich<sup>16</sup>.

Tas bułak

13/XII [19]45 года

Moe imieniny

Moja kochana Mamusia dała mi troszkę mąki i zrobiła mi placka i troszkę przeniczy i oto obchodziłam 15 imieniny Wszystkim dałam po kawaleczku.

Łnuckowska.

Dzisiejszy dzień 16/XII [19]45 r.

Dzis w kantoze ukradli lampę i my bardzo płaczemy i rozpaczamy co będzie czy się znajdzie czy się nie znajdzie musi się znaleźć.

Łnuckowska

Dziś dostałam *pimy* 22/XII [19]45

Dziś dostałam *pimy* spoczątku ja nie byłam zadowolona ale teraz jest ciepło i można chodzić kosztują 130 rubli Cieszę się bardzo.

Łnuckowska.

<sup>14</sup> Zamiast litery polskiej r użyta została litera rosyjska.

<sup>15</sup> Najprawdopodobniej poszła do Nowotroickoje.

<sup>16</sup> Po tekście z 6 XII 1945 osobliwa zapiska bez daty zrobiona ręką Heleny Nuckowskiej, zawierająca pomieszanie alfabetu rosyjskiego i polskiego: Пёка = 62 см – без выкладки = длина 47" ширина в пасе 75"[!] овсиwот[?] руки = 7".

Dziś 23/XII 1945 rok  
 Przygomowujemy[!]17 do Świąt Bożego Narodzenia pobieliliśmy w mieszkaniu i wymyły pogłogę18 i my się wymyjemy i będziemy czyste choć nie ma co jeść.  
 Łnuckowska.

[*Ręką Janiny Nuckowskiej:*]

Spis książek które przeczytałyśmy w ZSRR

[...]głowa  
*Spekulant*  
*Pan Tadeusz*  
*Krzyżacy*  
*Dolina ludzi milczących*  
*Niedobra miłość*  
*Perła Szaghaju*  
*Wiktoria*  
*stara baśń*  
*Wilki stepowe*  
*Wilk larsen*  
*Kurtyna bezpieczeństwa*  
*Miłość i paragraf*  
*Na fali życia*  
*Dom nad zatoką*  
*Swienta i jej blazen*  
 [...]bogini  
*Potop – Pan*  
*Magnat*

Wigilja 24/XII [19]45

Tasbułak

Wigilja Polakow na wygnaniu! Zasiadliśmy do19 stołu był bo kapusniak a potem kutia z charbuzem dlatego ze nie było cukru zjedliśmy to, wspominając tatusia i wszystkich krewnych co oni teraz robją następnie kolędownaliśmy wszystkie kolędy jakie umiemy Hela poszła do wieczornej pracy20.

jutro takie wielkie Święto a ja muszę iść pracować21. Chodzie hołubiłam[!] turkom służyć to nie Bóg22 nowo Narodzony23 nas zbawi ot tego, Następny rok będziemy w swojej Polsce ukochanej i z swoim Tatusiem. Ja zrobiłam dżewko z jednej gałazki

<sup>17</sup> Zamiast litery polskiej t użyta została litera rosyjska.

<sup>18</sup> Zamiast litery polskiej d użyta została litera rosyjska.

<sup>19</sup> Litera d poprawiona z g.

<sup>20</sup> Była to praca przy owcach.

<sup>21</sup> Palić w piecu i sprzątać w kantorze.

<sup>22</sup> Spółgłoska k poprawiona czerwonym ołówkiem na g.

<sup>23</sup> Dużą literę N napisano na małej literze n.

iodły i powiesiłam z białego papieru kilka ozdób<sup>24</sup>.

ŁNuckowsk...

Te Świeta są pewnie ostatnie tu na wygnaniu Rosyjskim bez tatusia na drugie będzia[!] razem w domu Tak to przyjsć musi tak to tak będzie.

27/XII [19]45 rok

Polacy na wygnanu rodzina N u c k o w s k i c h :

Zły dzień Otóz dzis ja zgubiłam *Partkomski*<sup>25</sup> klucz i strasznie się boję strasznie płacząc że asz bok cały boli. nagle Kazachanow mówi zeby palić ja w płacz on się pyta co takiego ja mu opowiadam i.t.d. On mówi że płakać niema co zeby siekierą otwożyć, a potem ja swoją kłudką zamknęłam. I on przyjechał ja znowu się boję on się bardzo nieźłościł tylko mówił ze trzeba mnie *zakolatit*, teraz Sezomów<sup>26</sup> ma zrobić klucz, dzis jestem zmęczona.

<sup>27</sup>Dzis Mamcia nabiła mnie skrzydłem gęsim mam gułę na głowie, to nie jestem zdrowa dzis się dowiedziałam ze 31 przyjedzie Marysia. Ja teraz pracuję woznym w biuże Rocyschum[?] więc u mnie się znachodzą wszystkie klucze. R. cha, cha, cha., cha, cha, cha.

Tasbułak<sup>28</sup>

Dzisiejszy dzień 28/XII 1945 rok

Dzis Marysia poszła do Urdżaru i znowu nie będzie pogody dlatego że snieg, ja chodziłam do *mielnicy* za naftą i nie dostałam. Ja rano wstałam i<sup>29</sup> piekłam placki na drogę Marysi i malenkiego placka dałam Janie bo 27 były jej imieniny i Mamcia od siebie dała jej jednego. Potem się kłuciłam z Zojką Skokową o wodę<sup>30</sup> i nazwałam ją krowami.

Hela się bała jej pyska<sup>31</sup>. Boże co się opiekujesz wszystkimi stwozeniami zmiłuj się nad nami.

[*Kontynuacja zapiski z 28 XII 1945 roku?:*]

<sup>24</sup> Ostatnia spółgłoska zapisana w sposób niejasny. Na p napisano b lub odwrotnie.

<sup>25</sup> Należący do *partkoma* – sekretarza komitetu partyjnego.

<sup>26</sup> Mieszkaniec Tas-Bułaku, Rosjanin, rzemieślnik.

<sup>27</sup> Nie ma pewności, że notatka poniższa jest kontynuacją z poprzedniej strony, z dnia 27 XII 1945 roku. Jak bowiem ma się informacja w niej zawarta, że „Marysia przyjedzie 31 [1945?]”, skoro na tej samej stronie, w notatce z 28 XII 1945 roku wpisano, że Marysia poszła do Urdżaru? Być może pierwsza informacja stanowi fragment tekstu, dotyczący innych okoliczności, a kartka z obu informacjami została wszyta pomyłkowo w miejscu, w którym się obecnie znajduje i autorka[?], później, dokonując foliacji, nie zauważyła pomyłki?

<sup>28</sup> Ołówkiem.

<sup>29</sup> Następuje skreślona grupa: chodziłam o.

<sup>30</sup> Literę e poprawiono na ę.

<sup>31</sup> Poprawiono ołówkiem na: pyskiej.



Rok 1936. Rodzina Nuckowskich we Lwowie, na ogrodzie przy domu przy ul. 11 Listopada 21. Od lewej: Julia, Łucja (z psem „Centorem”), Janina, Helena (wychyla się zza Janiny), Maria, Józef

I daj żeby Marysia przywiozła wszystko co ma. Tak Bóg<sup>32</sup> nam dopomoże, Dzisiaj Abramowa<sup>33</sup> dała nam dwa zebra i kawałeczek polędwicy, to marna zapłata za zrobienie chustki. Dała nauczycielka<sup>34</sup> za sweter 250 rubli i go wzięła

On był bardzo ładny.

Lalka

Tasbułak 29 XII [19]46[!]<sup>35</sup>

Spoczątku ja nie pisałam bo byłam głupiotka a teraz piszę bo przezywam ciężkie chwile w swoim życiu mam 15 lat teraz ja pracuję dlatego mi tak ciężko na duszy. Ojca przynas niema wiec same się gźeb[i]emy jak możemy.

Łucja.

1945 jest widać dobry kiedy przeżyliśmy  
n[i]ech 1946 będzie lepszy żebyśmy pojechali do domu!

<sup>32</sup> Poprawiono ołówkiem literę k na g.

<sup>33</sup> Pochodziła z rodziny niemiecko-rosyjskiej. Kupiła od Nuckowskich kozę „Zinkę”. Była urzędniczką. Chustkę wielkości 1.20 m×1.20 m Marysia zrobiła z nici wysnutej z runa owczego i obramowała koronkami wykonanymi na drutach.

<sup>34</sup> Nie udało się ustalić, o którą nauczycielkę chodziło.

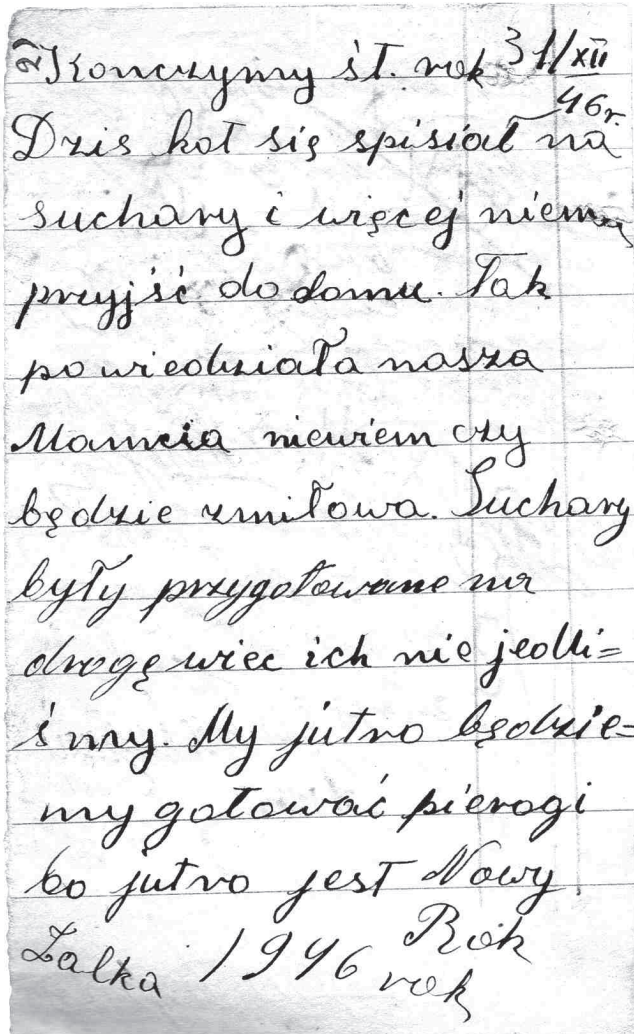
<sup>35</sup> Pomyłona data roczna. Notatkę zapisano z całą pewnością w 1945 roku.



Konczymy śt[ary] rok 31/XII [19]46 r.<sup>36</sup>

Dzis kot się spisał na suchary i więcej niema przyjść do domu. Tak powiedziała nasza Mamcia niewiem czy będzie zmiłowa[nie]. Suchary były przygotowane na drogę wiec ich nie jedliśmy. My jutro będziemy gotować pierogi bo jutro jest Nowy Rok 1946.

Lalka



Konczymy śt. rok 31/XII  
 46r.  
 Dzis kot się spisał na  
 suchary i więcej niema  
 przyjść do domu. Tak  
 powiedziała nasza  
 Mamcia niewiem czy  
 będzie zmiłowa. Suchary  
 były przygotowane na  
 drogę wiec ich nie jedli-  
 śmy. My jutro będziemy  
 gotować pierogi  
 bo jutro jest Nowy  
 Rok  
 Lalka 1946 rok

<sup>36</sup> Pomyłona data roczna. Notatkę zapisano z całą pewnością w 1945 roku.

## ROK 1946

Nowy Rok 1946 I I

Dziś ja ybrałam czysty sweter ze sierści który ja sobie sama naprzedłam. Potem śniadanie złożone s zu. kartoflanej s kaszą przeniczną i kawałeczek sucharka na objad pierogi z razowej mąki, na wieczór zupa jak zwykle, jeszcze na trzech Króli się zostaje kaw[atek] tykwy<sup>37</sup>. Marysi niema w domu poszła 60 k[i]<sup>38</sup>, zeby coś kupić coś [!] do jedzenia.

Lalka.

6/I 1946 Tasbułak<sup>39</sup>.

Dziś się nic nie wydadzyło przywieźli<sup>40</sup> towar pewnie coś dostaniemy. My teraz źle zjemy bo niema co jeść, ja źle piszę muszę się ćwiczyć.

Sowchoz Tasbułak

Dzisiejszy dzień 9/I 1946 rok

Dziś Mamcia poszła do Łajbułaku bo ma przyjechać Marysia z Urdzaru Mamcia wzięła kartkę ot zam derektora zeby Tabalin otprawił niewiem czy nie na darmo. Mamcia poszła z Danką Nowak. Dzis Mironenko pożyczyla 71 rubli i Hela wzięła spodniczkę w sklepie jest bardzo duża to nic

Dzis derektora nie było i *partkoma* tagże to dobre.

potpis

Łnuckowska.

My teraz źle jemy k[...]<sup>41</sup>.

Kochany Tatusiu 10/I 1946

Tatusiu zeby tatuś wiedział jak my się męczymy teraz jestem trochę sytsza jak zawsze bo zjadłam zupy z azatek[!] jenczniennych. Mamusi niema w domu choć słaba poszła 22 kilometry po Marysię bo ona poszła pieszo 75 kilometr. i ma przyjść do miejsca gdzie mamusia czeka co one na plecach przyniosą najwyżej 16 kila kukupuzy<sup>42</sup> to straszne dla

---

<sup>37</sup> Bani.

<sup>38</sup> Celem marszu był Urdzar.

<sup>39</sup> Ten wyraz napisano ołówkiem.

<sup>40</sup> Ołówkiem poprawiono literę z na ż.

<sup>41</sup> Jeden wyraz trudny do odczytania.

<sup>42</sup> Wyraz rosyjski z wyjątkiem jednej litery zapisany alfabetem łacińskim.

nas niewiem czy przeżyjemy tę straszną zimę która zaskoczyła nie przygotowanych.  
Tatusia najmłodsza curka Łucja Nuckowska.

[Powyższy zapis znajduje się w poszycie 2 na karcie 12.]

Sowchoz Tasbułak 11/I 1946 r

Dzis *topki* nałamali, Mamcia nie przysłała my zjadłyśmy po 1 cukierku Mamcia przyjedzie będzie zła ale my byłyśmy bardzo głodne i nam to wybaczą mąka się kończy co my zrobimy jemy samą wodę prawie a nie zupełne jest nasze życie, ja jestem w wielkim nastrojeniu bo jestem strasznie głodna.

potpis Łnuckowska.

Nowy Rok 1946 II  
Dziś ja ybrałam czysty sweter ze sierści  
który ja sobie sama naprzedłam. Potem  
śniadanie złożone z su. kanto flanej s kawy  
przeniczną i kawałeczek sucharka na obiad  
pierwogi z warowej mąki, na wieczór zupa  
jak zwykle, jeszcze na trzech. Strali się zostaje  
kaw. tykwy Marysi niema w domu poszła 60 zł  
zeby coś kupić coś do jedzenia.  
Lalka

Sowchoz tasbułak 12/I 1946 rok

Dziś *topki* narąbali jest dużo wezmę sob[i]e. Mamcia nie przyjechała maszyny nie chodzą Ja prosiłam azatek[!] on powiedział że nie ma u nas mąki tylko na jutro co będzie dziś w nocy pomyłam podłogę spać poszłam o drugiej godzinie ludzi przyjeżdżają z Tasbułaku i muwją że maszyny nie chodzą a mamcia tam siedzi jeść nie ma co co Bók da to będzie to będziemy jeść.

potpis Łnuckowska.

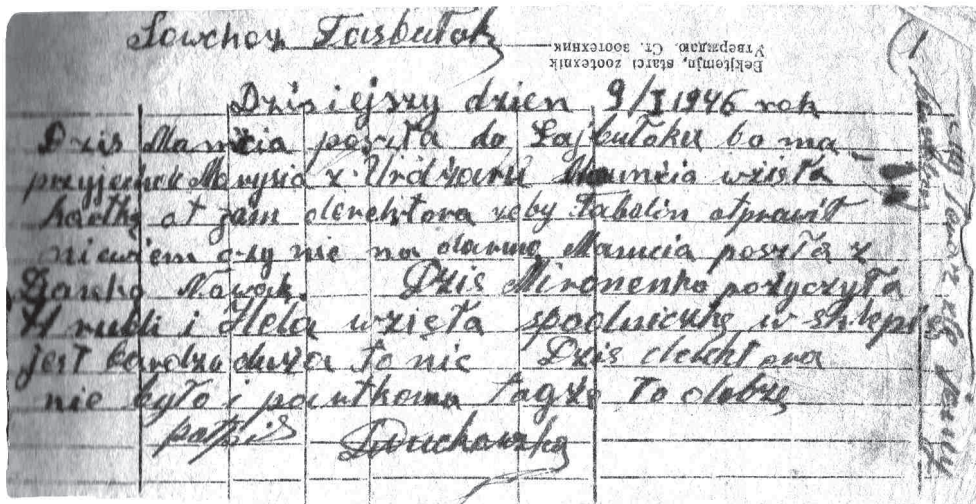
Tasbułak 13/I 1946 rok

Przysłała Mamcia przysłała z Łajbułaku i przyniosła 4 placki z jenczmiennej mąki z powodu tego była wielka radość na kolację miałyśmy cherbate i po 1 plackowi. *Topki* nie wzięłam bo klucza nie miałam ja potem myłam podłogę i belilałam piec. byłam cały dzień w domu nie chodziłam do kantoru wieczur się najadłam plackem z *czajem* i z cukrem.

Łnuckowsk.

Tas-bułak 14/I 1946 rok

Rano wstałam dzis i zato nosiłam dżewa. nie nadarmo wstałam ja wzięłam nawty 5 kila dla kantory a 3 litry dla nas. Dzis przyjechało przez Łajbułak trzydzieści maszyn może Marysia przyjechała niewiem to byłoby brdzo dobrze, dzis *partkom* złamał klucz ot swego gabietu i jest bardzo zły jak pies Jutro rano jedzie do Urdżaru żeby prętko nie przyjezdzał Łnuckowsk.



Tas-bułak 15/I 1946

Dzis przyszła Marysia i my się cieszymy na wieczur była kutia z cukrem była dobra kolacja, poechał *partkom* do Urdżaru Pozatem nic nowego drzewa<sup>43</sup> nosiłam z kantoru Marysia przyniosła kukurudzy 1 wiadro i w Łaj-bułaku 11 wiader kukuruzy będziemy jedli. koniec Łnuckowsk.

Tasbułak 16/I 1946

Dzis przyszła kretyczna chwila bo byliśmy bardzo głodne i zaczęliśmy jeść suchary. była bapka Abramowa<sup>44</sup> Marysia zaczęła wiązać szal Mołoczkiniej. Ma wziąć robotę ot Emy Filipownej spodniczkę i ot Zojki Skakowej [*recte*: Skokowej] sweter niewiem czy my cos zarobimy ja wciąszą[!] za Marysię pracuję konczę.  
Łnuckowsk.

Tas-bułak 17/I 1946 rok

Wieczur przyszedł do nas *wracz* i obei[ż]ał jęczmieniuz[!] muj policzek gożej spuch Marylka się opominała o 25 rubli to wstyt

<sup>43</sup> Pierwsza litera napisana alfabetem rosyjskim.

<sup>44</sup> Litera b napisana alfabetem rosyjskim.

kon[i]jec  
Łnuckowsk.

Tas-bułak 18/I 1946 rok

Dziś się nic ważnego nie zdażyło<sup>45</sup>

Był Rezacow zły ze się nie wyczyściło sien, potem ja wyczyściłam teraz Hela poszła po mąkę ja byłam w *bolnicy* i *wracz* muwił ze trzeba jechać do chirurga ale potem zajadynował i muwił ze to przejdzie tylko zeby było w cieple.

Łnuckow.

Tas-bułak 19/I 1946 rok<sup>46</sup>.

sowchoz Tasbułak

Dzisiejszy dzień 10<sup>47</sup>/I 1946 rok

Dzis dostałyśmy *pimy* są ładne i grube Mamcia nie przyjechała dzis może jutro przyjedzie *talu* nie rembją trzeba jutro rano łamać *topkę* bo *Partkom* przyjechał, dzis ja na objat zupy nie jadłam bo się zgotowała pluskwa i siedziałam głodna do wieczora wieczur zjadłam zupę z odchoduw jenczmiennych, trzeba myć podłogę mnie się niechce co będzie mnie już nadojadło chcę by przyjechała Marysia i wtedy ona będzie!

ŁNuckowska podpis.

Ciąk dalszy następuje

Opis 10/III [19]46 rok.

Teraz są dobre wiadomości ze mamy jechać pierwszy raz mówila p Szymanska<sup>48</sup> zeby się przygotować do drogi bo pojedziemy w tych dniach

9 III 1946 rok znowu mówila przez telefon<sup>49</sup> ze pojedziemy przy koncu Marca.

One w Ajaguście maja dary na drogę obuwie i produkty. my teraz nic niemamy na drogę nawet chleba.

Niedziela Tasbułak.

Dzis 17/III 1946 rok

Dziś się nic nie zdażyło, tyle ze sprawiałyśmy Tatuśia imieniny więc było na kolację, kasz sprzenicy i placki s żytniej mąki po 3 plac. Jana z Hela chodziły za *karagajem* na obiad był kisiel s owsa, ma śniadanie kukurydzy prażonej po trzy łyżki i woda zago-

<sup>45</sup> Litera d napisana alfabetem rosyjskim.

<sup>46</sup> Brak innych notatek.

<sup>47</sup> W poszycie kartka ze stronką zawierającą poniższy wpis została umieszczona po sekwencji kartek z zapisami od 9 I 1946 do 19 I 1946. Podana więc w notatce data 10 I rodzi graniczące z pewnością przypuszczenie, że chodzi o 20 I.

<sup>48</sup> Nie udało się ustalić bliższych szczegółów dotyczących Szymańskiej.

<sup>49</sup> Dzwoniono z Ajaguza.



towana. Marysia leży<sup>50</sup> bo jest chora<sup>51</sup> i *sprawka*<sup>52</sup> się skończyła trzeba nowa.  
Lalka.

[poniższy trzywersowy tekst stanowi końcowy fragment zapisu, który był zapewne na kartce poprzedzającej, została ona wyrwana:]

i tu na miejscu niemamy co jeść do tego czasu

był *partkom* u nas ja płakałam bo bardzo bolała mnie głowa on wziął[!] swoje papiery które mu Hela zostawiła i poszedł.

Poniedział. Dzis 18/III 1946 rok Tasbułak

Dzis wstałam wcześniej i wydusiłam kisiel teraz się gotóje na obiat będziemy jeść

Teraz ma przyjść *wracz* do marysi bo ona pracowała potem zachorowała i jeżeli niema się *sprawki* to do sądu posyłają że się zostawiło robotę on ma przyjść dać *sprawkę* więc my czekamy. On przyszedł i dał *sprawkę* na trzy dni teraz dobrze będzie przyszły gazety Polskie są tam wazne zeczy trzeba czytać.

Na kolację zupa była bardzo zadka i my jesteśmy głodnie[!].

Lalka.

Tasbułak wtorek

Dzis 19/III 1946 rok

Dzis są tatka imieniny więc rano na tę intencję spiekłyśmy placek s owsianej mąki którą ja stłukłam w móżdziezu, potem dostała Hela pieniądze za listopad 196 rubli i mąki 4 kg. zytniej, już jeść niemelismy nic, jutro się wybieramy iść<sup>53</sup> 10 kilometrów<sup>54</sup> by przemienić<sup>55</sup> owsa na *czaj* i będziemy jeszcze troszkę żyć. Pewnie wnet przyjedzie Zalewska<sup>56</sup> z Ajagusa z darami na drogę ciekawa jestem czy prętko pojedziemy czy nas nie uszukają znowu sojusznicy może Boża da że pojedziemy do domu.

Lalka

Tasbułak środa 20/III 1946 rok

---

<sup>50</sup> Po powrocie z Urdzaru.

<sup>51</sup> Była to grypa.

<sup>52</sup> *Sprawka* (tj. zaświadczenie) zachowała się i w październiku 1991 roku posłużyła jako dowód pobytu w ZSRR w ramach starań o prawa kombatanckie Marii Nuckowskiej. Zwolnienie było wystawione na trzy dni, następnie przedłużone na kolejne 3 dni.

<sup>53</sup> Następuje skreślenie: 10 ki.

<sup>54</sup> Chodziło o 1. fermę (Dżyłdykarę).

<sup>55</sup> Zamienić u Kazachów.

<sup>56</sup> Janina Zalewska była tega, śmiała i wygadana. Miała teściową. Była bezdzietna. Na początku była na I fermie. Miała 30–35 lat. Ze szkodą dla Polaków chętnie faworyzowała pod względem jedzenia Kazachów. Lubiała śpiewać sprośne ukraińskie piosenki.

Dzisiaj

Chodiliśmy na pierwszą fermę i mieniałyśmy<sup>57</sup> cherbatę za owies przyniosłyśmy cztery wiadra jesteście rade. Tam polacy strasznie zyją są jak szkielety czy dożyją do wyjazdu dzis na kolację jest legomina zupa z kluskami na wodzie my się cieszymy bardzo że taka kolacja.

Lalka.

Tasbułak czwartek

Dzisiaj 21/III 1946 rok

Dzis [t]łuczemy owies na kiśiel by było co jeść rano nic nie jadłyśmy bo nie było co na objad jadłyśmy kaszę z jenczmienia, jęczmien się obtłuka s łup a potem się wjeje i praży się, i tłocze wstęp[i]e i gotować ech dobry. Zrobiłam sobie *baczmaki* s byczej skury ona jest mokra i z włosami eżeli ją wyprawić to byłyby jak u nas krepćie góralskie teraz będą chodzić na *karogaj*. to znaczy za *topką*.

Katka[Katia] N[i]jemka jest *uborszczycą* zgodziła się być n[i]ą, Maryś kączy sweter kazaczki i poniesie go co za to dostanie [ołówkiem:] Marysia nie chodziła do Kazaczki pujdzie ona jutro co przyniesi. My jutro znowu idziemy na 1 fermę po owies za cherbatę czy coś przynieśliemy czy nie.

podpis Lalka.

Tasbułak 22/III [19]46 rok

piątek

Fatalny dzień!

Dzis rano mamćia s Marysią poszła 10 kil<sup>58</sup> za owsem awdomu zostałam się ja z Janą i przyszła żydówka za spodniczką i dała tylko 50 r[ubli] za robotę, powinna była dac 90 r[ubli] i my dałyśmy jej potem<sup>59</sup> boimy się strasznie mamći i przychodzi mamćia my mówimy o tem zdażeniu mamćia biła Janę. Przyniosły one owsa pułtora wjadra owsa wiec jeszcze trzy dni żyjemy więcej.

sobota Tasbułak 23/III [19]46

Wstałyśmy wczesnie i Marysia s Janą poszły po *karogaj* my z mamcią wzięłyśmy młynek i meliłyśmy owies na placki potem zgotowałyśmy kisielu i one przyszły zjadłyśmy, i nakwaśiły placki z owsa i objad był z chlebem to jest s plackami na kolację kisiel i konczy się dzień<sup>60</sup>.

Lalka.

<sup>57</sup> Następują jakieś dwie litery skreślone.

<sup>58</sup> 10 km w jedną stronę.

<sup>59</sup> Następuje skreślony fragment[?] formy: bały.

<sup>60</sup> Fragment ten stanowi niewątpliwie dalszy ciąg jakiegoś tekstu, usuniętego, sądząc po śladach, wraz z kartką, na której był zapisany.

Tasbułak 24/III [19]46 r

Niedziela

Zaczęła się tak Hela do pracy neposzła wiec wiec długo spałyśmy potem zgotowałyśmy kiśiel owsiany gdysz nic niema innego w domu, potem na objad niebyło co jeść ja miałam schowane trochę mąki owsianej i wyciągłam ją ona była przeznaczona na Marysiny imieniny.

wszyscy byli głodni  $\frac{1}{2}$ <sup>61</sup> puł litry potem poszłyśmy do kazaczki i przyniosłyśmy zdechłego mięsa będzie na jutro na rano. Mówiłyśmy różaniec wieczur będziemy mówiły Droge Krzyżową

Lalka.

Tasbułak 25/III 1946 rok

Szczęśliwy dzień!

Dzis są imieniny naszej Marysi na rano był kisiel na objad było zdechłe mięso i zrobiliśmy placek z żytniej mąki, bo dostałyśmy w *kopyracji*<sup>62</sup> 3 kg. wiec był bał:

Na kolację będzie kasza z owsianej mąki. Przyszła Polska gazeta ze my wnet pojedziemy niewiem jak dojedziemy, gdyż ne drogę nic niemamy.

Lalka.

Tasbułak 26/III [19]46 r.

Dzis my będziemy prac na drogę. Pieżemy dzien jecm<sup>63</sup> ładny niewiem czy jutro będzie ładny dzien. Hela przyniosła 4 kg. mąki my gotójemy bołtuchi<sup>64</sup> będziemy syte.

Lalka.

Tasbułak 27/III 1946 r.

My się martwimy bo niema co jeść w domu. Marysia z Janą przywiozły *karagaju* dwie wiązki. Nikiaczow nieprzyjechał jeszcze z Urdzaru O wyjeździe nic niesłychać Zalewska nie przyjechała.

Lalka.

Tasbułak 28/III [19]46 r

Zmartwienie

U nas w domu zostało się tylko owsa na jutro rano i nic niema anie[!] pieniędzy co

---

<sup>61</sup> W tekście napisany został ułamek, w którego liczniku znalazła się cyfra 2, w mianowniku natomiast cyfra 1. Może chodzi o dwa i pół litra, co też może wynikać z kontekstu – choć osobliwie. Może chodziło o wyrażenie informacji, że chodzi o półtora litra?

<sup>62</sup> Ros. *kooperacja* – spółdzielnia.

<sup>63</sup> Dwie ostatnie litery alfabetem rosyjskim.

<sup>64</sup> To znaczy bołtuchę. Bołtuchę stanowił zagotowany wodny roztwór mąki i startych na tarce ziemniaków.

będzie Boże my tak strasznie się męczymy teraz nikt nawet niewieźyłby. Boże jak się zakonczy nasz tragedia kiedy my pojedziemy żeby się niemęczyć jak się zakonczy jutro zobaczymy. Świat jest taki piękny my tego niewidzimy my jesteśmy niezdolni by to widzieć jesteśmy smutne przygnębione swoją męczarnia kiedy to się skonczy. Sześć lat przeszło jak kamień w wodę wzucony. Hela kupiła mięsa 4 kg. świnskiego przypadkowo. Dostała pieniądze.

Lalka

Tasbułak 29/III [19]46 r.

Hela poszła bić drogę Dyrektor jej wypisał 3 kg. przenyicy i poszła potem kupiliśmy 25 kg. prz[enicy] i ja przyniosłam zdech[łego]<sup>65</sup> mięsa mamy co jeść. Marysia z Janą do Nowotroicka, kupją kartofli i do wyjazdu Bóg nas nieopuści przyniosły wjadro kartofli po 50 r za czaj puł (litra?).

Lalka.

13 IV [1946] W[y]ja[z]d

Oto dzień który był dniem wywozu do Rosii teraz jest dniem szczęśliwy przysła telegrama że jedziemy jechaliśmy wjeszczem na koniach

14 i 15 odjazd z mjejs

14 wyruszyliśmy w drogę do łajbułaku w nocy bo były straszne roztopy noc była gwiazdzista śliczna a nasza pją[ka] z przewodnikiem<sup>66</sup> robiliśmy pjerwsze kroki do kraju.

14 VI[!] z łaj bułak.

Ajaguz 26 [VI 1946]

wjazd

pociągiem.

Przejechana puł...



Lucja, 16 VIII 1947 rok

<sup>65</sup> Chodzi o mięso pochodzące z padłego bydła.

<sup>66</sup> Z przewodnikiem.

**RELACJA Z WIZYTY W TAS-BUŁAKU,  
ŁAJ-BUŁAKU I URDŹARZE W ROKU 2003  
ANDRZEJA OBRĘBSKIEGO,  
SYNA MARII Z NUCKOWSKICH,  
I MICHAŁA MEISSNERA,  
SYNA ŁUCJI (LALI) Z NUCKOWSKICH**





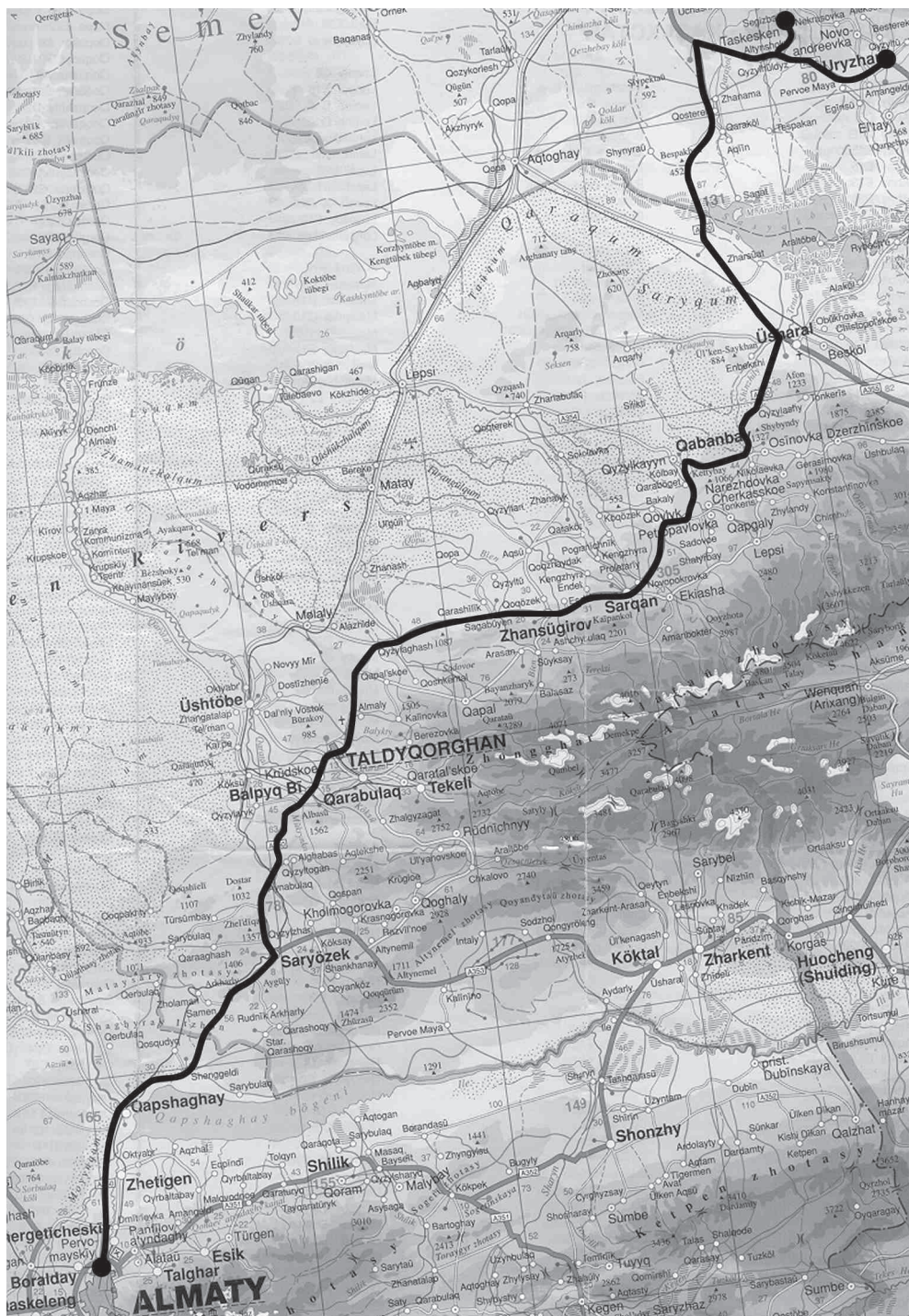
W pierwszych dniach czerwca 2002 roku, dzięki inicjatywie i logistycznemu patronatowi Michała Meissnera, syna najmłodszej z sióstr Nuckowskich, mogła odbyć się sentymentalna wizyta Heleny Orzechowskiej zd. Nuckowskiej, Łucji Meissnerowej zd. Nuckowskiej, a także Andrzeja Obrębskiego, syna najstarszej z sióstr Nuckowskich, we Lwowie i w domu rodzinnym sióstr na obecnej ulicy Brzuchowickiej 31, z którego 13 kwietnia 1940 roku enkawudziści wyprowadzili żeńską część rodziny Nuckowskich, by wyprawić ją na poniewierkę do Kazachstanu.

Jakiś czas po tym wydarzeniu Michał zaproponował mi: „Andrzej, pojedźmy też do Tas-Bułaku, Łaj-Bułaku i do Urdżaru”. Naturalnie bezzwłocznie zgodziłem się, choć wiedziałem dobrze, że pod każdym względem, niestety, będę wyłącznie konsumentem pożytków płynących z wyprawy. W owym czasie nie mogłem być dla Michała partnerem wnoszącym wymierny, materialny udział. Mogłem być jedynie towarzyszem podróży pełnym wdzięczności.

Mój kuzyn w tamtym czasie był dyrektorem sprzedaży firmy „Mars” LLC z siedzibą w podmoskiewskim Stupino, dyrektorem odpowiedzialnym za sukcesy tejże firmy na terenie Wspólnoty Niepodległych Państw. Swą funkcję pełnił jako obywatel USA. Od kilku lat miał już bowiem obywatelstwo amerykańskie i mieszkał na stałe w Fort Wayne w stanie Indiana.

W połowie kwietnia 2003 roku zawiadomił mnie, że mam zarezerwowane bilety lotnicze na podróż z Warszawy do Alma Aty i z powrotem. Pod koniec pierwszego tygodnia maja otrzymałem je z Fort Wayne w przesyłce pocztowej na mój krakowski adres. Musiałem pojechać do ambasady Kazachstanu w Warszawie po wizę. Dostałem ją bez specjalnych problemów. Wśród wrażeń wyniesionych z ambasady zapamiętałem osobliwą opryskliwość większości urzędników, z którymi zetknąłem się.

Samolotem PLL „Lot” do Frankfurtu wyleciałem 16 maja 2003 roku o godz. 6.45. We Frankfurcie okazało się, że źle wpisano na moim bilecie *gate* dla lotu z Frankfurtu do Alma Aty. Wynikła z tego potrzeba poszukiwań przyczyny błędu w stanowisku informacyjnym. Po wędrówce między dwoma stanowiskami okazało się, że zamiast *gate* 'u B59 został wpisany *gate* B54. Szczęśliwie było dość czasu na korygowanie nieścisłości. Udało mi się nawet wypić spokojnie kawę. We Frankfurcie



Z Alma Aty do Uryzha





Alma Ata 17 V 2003 roku, obok hotelu Hyatt. Stoją od lewej: Andrzej Obrębski, Marat Serikow, Anwar Izmajłow, Achmed Akrarow

*boarding time* wyznaczony był na 10.45. Start samolotu Lufthansy odbył się zgodnie z planem o godz. 11.30. Przylot do Alma Aty nastąpił o godz. 23.00 miejscowego czasu. W sali przylotów czekał już Michał, a na przyległej do portu lotniczego ulicy Achmetowa samochód firmy z kierowcą. Z ulicy Achmetowa wjechaliśmy na większą ulicę Mailina i po przejechaniu piętnastu kilometrów dotarliśmy do pięciogwiazdkowego Hyatt Regency Almaty Rahat Hotel na ulicy Akademika Satpajewa 26/9. Michał, który wcześniej przyleciał z Moskwy, miał już wynajęty w tym hotelu za jakieś 200 USD dwuosobowy pokój (nr 1007). W tym samym pokoju czekało też miejsce i dla mnie.

Wstaliśmy następnego dnia tuż po 7.00. Po śniadaniu, nieco przed 9.00, pojawili się nasi towarzysze podróży do rejonu urdzarskiego wraz z samochodem wynajętym za kwotę 700 USD, braną wcześniej pod uwagę przez Kazacha Kamila Nuralina, almaackiego współpracownika Michała.

Wymeldowaliśmy się z hotelu na jedną dobę. Zapowiadał się ciepły słoneczny dzień. Byliśmy gotowi do odjazdu parkującym już przed hotelem minibusem typu Mercedes Sprinter. Michał zrobił zdjęcie na podjeździe do hotelu. Ustawiliśmy się mniej więcej na tle maski minibusu: Achmed Akrarow (Uzbek), Anwar Izmajłow (Uzbek), Marat Serikow (pół Uzbek, pół Kazach) i ja (Polak). Kierowca Siergiej Tkaczew i nasz ochroniarz Igor Kuzenko nie dali się zaprosić przed obiektyw aparatu. W przypadku Igora widać było, że to człowiek na służbie, bo przy jego pasie wisiała pusta kabura na pistolet. Trochę mnie ta pusta kabura bawiła. Gdy usiłowałem nazywać go naszym *tielochronitelem*, wyraził wolę, by go nazywać raczej *secret service*. Nie miałem wyjścia. W samochodzie zgromadzony został, dzięki za-

pobiegliwości Natalii Katunkiny z ałmaackiego biura „Marsa” LLC, stosowny zapas suchego prowiantu na czas wyprawy oraz spora bateria butelek z piwem.

Tuż po 9.00 ruszyliśmy szosą A350 z Ałma Aty na północny-wschód. Świeciło słońce i robiło się coraz cieplej. Za Szanggeldi dojechaliśmy do granicy rejonu. Trzeba było w skalistym wąwozie zatrzymać się przed szlabanem. Staliśmy sporą chwilę. Przed nami było kilka pojazdów. Umundurowani ludzie na tym punkcie kontrolnym przystąpili do sprawdzania naszych dokumentów. Zebrali je nasz kierowca i milicjant. Wzięli też oni na siebie problem kontaktu z mundurowymi. Rozmowa toczyła się poza samochodem. Sprawdzający żadnych zastrzeżeń nie przedstawili. Przekraczany punkt kontrolny łatwo skojarzył mi się z granicą państwa. Widać było, że nasi uzbekcy i kazachscy koledzy traktują procedurę kontrolną poważnie i funkcjonariuszy gotowi są traktować z respektem. Nam kazali siedzieć cicho. A przecież to była tylko granica dzieląca sąsiadujące rejony... Bez afiszowania się zrobiliśmy kilka zdjęć.

Jechaliśmy w kierunku Saryozek. Miejscami, w niejakim oddaleniu od szosy, widać było spore skupiska domów, które z oddali wyglądały jak polskie osiedla przeważnie jednopiętrowych domów jednorodzinnych. Jednak na pierwszy rzut oka widać było, mimo oddalenia, że są one opuszczone i znacznie zdewastowane. Achmed i Marat objaśnili mi, że mieszkali w nich Niemcy, których do Kazachstanu przede wszystkim z terenów nadwołżańskich przesiedlił po 1941 roku Stalin, że dotychczasowi mieszkańcy opuszczonych i niszczących osiedli emigrowali ostatnio do Niemiec po rozpadzie sowieckiego raju. Jeszcze raz z kontrolą dokumentów i żywym zainteresowaniem mundurowych spotkaliśmy się kilkaset kilometrów dalej, w pobliżu jeziora Sasykol, przekraczając granicę ałmaackiego i wschodniokazachstańskiego obwodu.

Jadąc w kierunku Tałdykurganu, kilka razy przejeżdżaliśmy przez tory szlaku kolejowego prowadzącego z Ałma Aty na północ, do Ajaguza. Do miejscowości Ajnabułak szlak ten biegnie już to z prawej, już to z lewej strony szosy. Jak my, jadąc, widzieliśmy ten szlak, tak drogę, po której jechaliśmy, musiały widzieć transportowane *eszelonem* 29 lub 30 kwietnia 1940 roku Nuckowskie i inni deportowani ze Lwowa. Momentami musiałem usilnie upewniać się, że ja naprawdę widzę to, co widziała dookoła w jakże odmiennej sytuacji sześćdziesiąt trzy lata wcześniej Marysia Nuckowska, moja Mama; że widzę to, co próbowałem sobie wyobrazić, gdy słyszałem już od bardzo wczesnego dzieciństwa opowieści o Jej kwietniowej jeździe w mroczne nieznanne.

Pomiędzy Saryozek i Tałdykurganem napotkaliśmy na usytuowany dosłownie kilkanaście metrów od lewej krawędzi jezdni spory *mizar* – muzułmański cmentarz. Pierwszy raz widziałem taki cmentarz w Kazachstanie. Poprosiłem Sierozę, by zatrzymał busa. Poszedłem w kierunku grobów z Achmedem. Teren tego *mizaru* nie był ogrodzony. Niektóre grupy grobów otoczono metalowymi płotkami tworzącymi kwadrat lub prostokąt. Na niektórych grobach były kwiaty. Przed wejściem na teren nekropolii, wyglądającej generalnie na zaniedbaną (wedle moich standardów), zapytałem Achmeda, czego nie powinienem robić i jak powinienem się zachowywać,



by ewentualnie nie urazić czymś wyznawców Allacha. Zostałem poinstruowany i weszliśmy na teren *mizaru*.

W Tałdykurganie zatrzymaliśmy się nieco dłużej. Michał i jego współpracownicy dokonywali zdaje się w sklepach, do których wstępowaliśmy, jakiejś handlowej inspekcji. Wszedłem z nimi zaledwie do kilku placówek handlowych, które miały zdaje się ambicje bycia wielkopowierzchniowymi marketami. Według mnie wyglądały raczej jak duże polskie sklepy z czasów geesowskiego sznytu w peerelowskiej Polsce. Michał i reszta kompanii kierowali się przede wszystkim do stoisk spożywczych. Sprawdzali, czy są w nich sprzedawane i jak eksponowane są produkty firmy „Mars” LLC. Było to zrozumiałe, bo wszyscy oni pracowali wówczas dla tej firmy i nasza podróż miała też najwyraźniej dla nich cel marketingowy. W jednym ze sklepów wypatrzyłem kumys. Napój ten znałem naturalnie teoretycznie. Postanowiłem skosztować go praktycznie. Chyba byłem mało ostrożny, godząc się, by sprzedawczyni nalała go do miseczki z jakiejś stągwi. Do identycznej miseczki nalała też Maratowi, który wyraził chęć towarzyszenia mi w konsumpcji mitycznego dla mnie do owego momentu napoju. Wypiłem całą zawartość mojej miseczki, czyli *piali* (czy też *kese*). Marat ledwie zamoczył w naczynku usta. Za chwilę zacząłem podejrzewać, że obawiał się widać ewentualnych efektów żołądkowych wywołanych degustacją tak mało zabezpieczonego przed niekontrolowaną fermentacją alkoholizatu. Trochę później objaśniono mi, że bezpieczniej jest pić kumys butelkowany, uprzednio pasteryzowany. Miałem chyba szczęście, bo wypity w Tałdykurganie kumys nie powalił mnie swoimi nieoczekiwanymi dla Europejczyka możliwościami. Wróciłem sam do busa i zadzwoniłem do Polski, do współpracowników z krakowskiej Biblioteki Jagiellońskiej. W trakcie rozmowy sugerowano mi, bym kupił i przywiózł do Krakowa dostępne rodzaje kumysu. Przed odlotem do Polski kupiłem więc po dwie butelki kobylego i wielbłądziego specjału za 1500 tenge (w 2003 roku była to równowartość 10 USD).

Po wyjeździe z Tałdykurganu wyruszyliśmy na ponad trzystukilometrowy odcinek szosy A350, czyli do miejsca, w którym krzyżuje się ona z biegnącą od strony miejscowości Uszaral szosą A355. Zauważyłem, że w kaburze naszego ochroniarza pojawił się pistolet typu Makarow. Wyglądało na to, że skończyły się żarty. Za chwilę mieliśmy opuścić jako tako cywilizowany obszar i wjechać na prawdziwy step.

Za miastem wnet straciły swoją przydatność nasze telefony komórkowe. Znaleźliśmy się poza zasięgiem stacji przekaźnikowych. Odzyskaliśmy łączność ze światem dopiero w drodze powrotnej – właśnie w Tałdykurganie. Jechaliśmy tymczasem wzdłuż piętrzącego się po prawej stronie szosy w bliższej i dalszej oddali Ałatau Dżungarskiego, który w sporej części swej około 450-kilometrowej długości stanowi granicę Kazachstanu z Chinami. Jego szczyty wznoszą się do wysokości prawie czterech i pół tysiąca metrów. Po lewej stronie szosy rozciągał się widok na zieleń i pachnący piołunem step. W wielu miejscach rozpościerały się wśród niezbyt gęstej trawy łąny lilaróżowych kwiatów na kilkucentymetrowych łądkach, łąny wyglądające na pierwszy rzut oka jak różnokształtne, przyjemne dla oka ko-

bierce. Mijaliśmy kolejne większe miejscowości: Zansuguirow, Sarkan, Kwabanbaj. Dobrych kilka razy przystawaliśmy na otwartym, zielonym i pachnącym ziołami stepie. Krótkie postoje zdarzały się także w mijanych miejscowościach. Za Zansuguirow zjechaliśmy z szosy do grupy drzew i krzewów pokrytych młodymi liśćmi. W trakcie dłuższego postoju zjedliśmy wśród zieleni większy posiłek. W Sarkanie zostały uzupełnione zapasy piwa.

Gdy dojechaliśmy do skrzyżowania z A355, nasza szosa A350 skręciła na północ. Wjechaliśmy w pusty step. Po obu stronach prostej przeważnie jak strzała szosy pojawiały się od czasu do czasu mniejsze i większe jeziora czy też większe bajora, nad brzegiem których czasem ciągnęły się różnej szerokości białe pasma. Nasi towarzysze podróży mówili, że to wykrystalizowana sól. Zbliżając się do jeziora Sasykol, przecięliśmy szlak kolejowy zmierzający na północny-zachód od miejscowości Kazachstan do Aktogaju, leżącego na trasie linii z Ałma Aty do Ajaguzu – tej linii, którą przemierzał w 1940 roku *eszelon* z deportowanymi ze Lwowa Polakami. Od miejsca, w którym szosa biegnie w niewielkiej odległości od jeziora zostało nam do celu podróży około stu pięćdziesięciu kilometrów. Szosa miejscami była w żalonym stanie. Nawierzchnia wyglądała jak niewątpliwie niechlujnie rozlana na ziemnym podłożu struga wyboistego asfaltu. Zniszczenia miejscami były tak duże, że nasz *woditiel* Sieroża zmuszony był permanentnie jechać zyg-zakiem po fragmentach jezdni jako tako niegroźnych dla podwozia naszego mercedesa. A i tak co chwila rozlegał się łomot podwozia. Koła raz po raz wpadały w wyrwy w jezdni. Starania Sieroży były mało skuteczne, bo dziur w zmierzwionym asfalcie było zbyt wiele.

Z rzadka mijaliśmy pojazdy, przeważnie ciężarowe. Chwilami, jak okiem sięgnąć po odległy horyzont, nie widać było żadnych śladów życia człowieka. Zaledwie kilka razy mijaliśmy rozstawione w pewnym oddaleniu od szosy jurty. Gdyby nie fakt, że do zmierzchu nie było daleko, należałbym pewnie na Michała, by przynajmniej raz podjąć próbę odwiedzenia mieszkańców takiej egzotycznej dla mnie siedziby. Również kilka razy w pobliżu mijanego jeziora Sasykol napotykalśmy pojedyncze osoby powiewające w kierunku naszego samochodu w geście zachęty czymś, co wyglądało na jasne deszczułki kilkudziesięciocentymetrowej długości. Moi uzbeccy i kazachscy towarzysze podróży patrzyli na te deszczułki z rodzajem jakiejś odrazy i wyrażali wobec osób stojących przy drodze komentarze dalekie od uprzejmości. Gdy zapytałem, o co chodzi, objaśniono mi, że jesteśmy zachęcani przez przydrożnych oferentów do kupienia suszonych ryb. Sądząc po minach i komentarzach naszych Uzbeków te ryby byłyby ewentualnie ostatecznością, gdyby trzeba było szukać czegoś do jedzenia. Na szczęście staraniem Natalii Katunkiny mieliśmy w busie bliższe naszym gustom zapasy jedzenia.

Późne popołudnie jasnego, słonecznego dnia mijało, gdy dojeżdżaliśmy do skrzyżowania z szosą A356 prowadzącą do Taskeskenu, Urdżaru, Makańci, Bacht i pobliskiej już właściwie granicy z Chinami. Zatrzymaliśmy się przy Taskeskenie, który rozciągał się po lewej stronie szosy i prezentował się jak spora wieś. Było jesz-



Hotel „Daur” w Urdzharze przy ul. Dżambuła 20

cze tyle światła dziennego, że można było zrobić zdjęcia. Ciekawie popatrywałem na prawo od szosy, wiedząc z opowieści Mamy, że powinienem zobaczyć góry Tarbagataj. No i zobaczyłem nawet spore, niezalesione, zielone wzniesienia o łagodnej bardzo rzeźbie, trudne do nazwania ich zaraz górami. Do Urdzharu, w którym mieliśmy zarezerwowany nocleg, zostało jeszcze kilkadziesiąt kilometrów.

Do celu po całodziennym podróży dotarliśmy w gęstniejącym zmierzchu. Sieroża znał dobrze drogę do hotelu „Daur” położonego w centrum miejscowości, na ulicy Dżambuła 20. Był to samotnie stojący niepozorny jednopiętrowy budynek z jednym wejściem od frontu. Samochód został wprowadzony na ogrodzone wysokim ceglany murem spore podwórze usytuowane za budynkiem. Część podwórza zajęta była przez dwa szeregi kilku drewnianych chatek-altan z dachami pokrytymi czymś w rodzaju strzechy. Gdy przyjechaliśmy, w altanach nie było już nikogo z miejscowych konsumentów. Najwyraźniej czekali na nas. Natalia Katunkina zarezerwowała jednoosobowy pokój dla Michała za 750 tenge i sześć dwuosobowych pokoi za 500 tenge dla każdego z pozostałych członków naszej grupy. Licząc w amerykańskiej walucie, trzeba było zapłacić za nasz nocleg 25 USD. Jednoosobowy pokój miał standard „lux”. Tak ów „lux”, jak i pozostałe pokoje, kojarzyły mi się z pomieszczeniami, które w Polsce były oferowane w siermiężnych czasach gomulkowski na poziomie uboższego powiatu. Oprócz pokoi czekała też na nas kolacja. W jednej z pustych altanek zasiedliśmy do jedzenia przy płynących z magnetofonu dźwiękach dość hałaśliwych piosenek rosyjskich w rytmie disco polo.



Na zapleczu hotelu „Daur”. Od lewej: milicjant Igor Kuzenko, Andrzej Obrębski

Od kogoś z kilkuosobowego personelu dowiedzieliśmy się, że kilka dni przed naszym przybyciem w hotelu zakwaterowana była grupa Japończyków, którzy krążyli po okolicach Urdżaru i zbierali w formie próbek już to do mniejszych, już to do większych pojemników ziemię, drewno, wodę z otwartych zbiorników, zeskrobywali nawet tu i ówdzie tynk z budynków. Miejscowi najwyraźniej traktowali tych Japończyków jako dziwnych ludzi, choć z całą pewnością zdawali sobie sprawę, że przybysze w swoich laboratoriach, wykorzystując pobrane próbki, będą badać wpływ na środowisko umiejscowionego przez Rosjan w Kazachstanie i zamkniętego w roku 1993 poligonu nuklearnego, na którym przeprowadzono 513 prób z użyciem energii nuklearnej.

Jeszcze przed kolacją próbowaliśmy dociec, czy można skorzystać w hotelu z łazienek. Prędko okazało się, że łazienka musi pozostać w sferze marzeń. Bez przekonania proponowano nam przygotowanie *bani*, czyli łaźni parowej. Chętni nie znaleźli się. Zapewne dlatego, że ablucje musiałyby skończyć się dobrze po północy.

Po kolacji Michał i ja wyszliśmy z hotelu, by rozejrzeć się po okolicy. Było późno. Okazało się, że tylko bliskie otoczenie „Dauru” oświetlały dwie latarnie. Dalszy przyległy teren tonął właściwie w ciemności, robił wrażenie wymarłego i nie zachęcał do zwiedzania. Nie było sensu brnąć po ciemku w nieznaną. Zawróciliśmy. Poszliśmy do swoich pokojów. Mój miał okno wychodzące na ulicę bez utwardzonej nawierzchni przed frontem budynku.



Wczesnie rano 18 maja Michał poszedł na rekonesans po Urdzarze. Ja przestałem na wyjściu na ulicę przed hotel i zrobieniu mu zdjęcia od strony fasady. Gdy wracałem do swojego pokoju, zauważyłem przez okno od strony podwórza naszych towarzyszy podróży, stojących w towarzystwie dwóch nieznanymi osobników. Za chwilę dołączyłem do nich, wyciągnąłem rękę i zacząłem witać się po kolei z obecnymi. W pewnym momencie moja ręka nie została podjęta przez jednego ze skośnookich nieznanymi. Zamiast uścisku usłyszałem dość obcesowo zadane po rosyjsku pytanie: „Dokumenty masz?”. „Jakie dokumenty” – zapytałem zaskoczony, trzymając nadal przed siebie wyciągniętą rękę. Rozmówca patrzył z miną nieprzejednanego urzędnika. „No, paszport” – odpowiedział. Opuściłem wreszcie wyciągniętą do powitania rękę. „To milicjant” – objaśnił mnie zdaje się nasz kierowca Sieroża. „Oczywiście że mam paszport, ale w pokoju. Mogę zaraz przynieść” – odpowiedziałem. Powędrowałem do swojego pokoju po ów dokument. Na klatce schodowej spotkałem Michała, który wrócił z przechadzki po Urdzarze i właśnie przez okno przyglądał się mojemu spotkaniu z miejscową władzą. Wróciłem na podwórze z paszportem. Policjant pilnie studiował go przez dłuższą chwilę, a następnie wytknął mi brak śladów zameldowania, które powinno być dokonane w ciągu trzech dni od momentu przybycia do Kazachstanu. „Ależ towarzyszu milicjancie” – odrzekłem mimo wszystko niezmiernie – „wczoraj przyleciałem do Kazachstanu i jeszcze trzy dni nie minęły. Wracamy dziś do Ałma Aty i jutro wszystko będzie jak należy, w hotelu na ul. Satpajewa formalności zostaną dopełnione”. Widziałem wyraźnie zawód malujący się na twarzy nieumundurowanego milicjanta, który, mówiąc prawdę, nie pokazał mi żadnego dokumentu poświadczającego jego status. Najwyraźniej spodziewał się, że obłoży mnie i w dalszej kolejności Michała jakimś słonym mandatem za niedopełnienie formalności. Dostałem mój paszport z powrotem. Potwierdzało się nasze przypuszczenie, że miejscowa władza ma oko na przybyszów do hotelu, a szczególnie na cudzoziemców.

Po śniadaniu wyruszyliśmy z powrotem w kierunku Taskeskenu. Przy pięknej słonecznej pogodzie zmierzaliśmy do leżącego po lewej stronie asfaltowej szosy Łaj-Bułaku, odległego mniej więcej 43 kilometry od Urdzaru. Po dotarciu na miejsce znaleźliśmy się na nieutwardzonej drodze biegnącej wśród zabudowań usytuowanych tak, że raczej robiły wrażenie bezładu przestrzennego. Wokół domostw zbudowanych najwyraźniej z *samanu* było sporo różnogatunkowych drzew i krzewów. Wiejski charakter miejscowości nie budził moich wątpliwości. Wjechaliśmy w głąb wsi i w dość znacznym oddaleniu od szosy zatrzymaliśmy się na sporym kwadratowym placu otoczonym niezbyt gęsto zabudowaniami gospodarskimi. Podeszliśmy do grupy starszych Kazachów. Ci zaczęli wypytywać nas, skąd i w jakim celu przyjechaliśmy do Łaj-Bułaku. Za chwilę podeszli do nas i inni mieszkańcy, tym razem młodszy. Przy zrujnowanym, prymitywnym stole, obok sporego pnia drzewa jeszcze stojącego i dwóch wysokich pniaków po niechlujnie ściętych innych drzewach siedział, a potem stał, starszy Kazach, koło którego w naturalnym odruchu przystanęliśmy. Kazach trzymał ukryty w prawej dłoni palący się papieros i co chwilę zaciągał się



dymem z niego. W lewej ręce, siedząc, a potem stojąc, trzymał sięgający mu do pasa gruby kostur zrobiony z nie dość jeszcze wyschniętego fragmentu gałęzi. Na głowie miał charakterystyczną czapeczkę bez daszka. W jego ubiorze zwrócił moją uwagę i zainteresował mnie osobliwy w swoim kontekście szczegół. Mianowicie przy i na klapach bardzo sfatygowanej i źle utrzymanej marynarki umieszczone były rzucające się w oczy baretki odznaczeń i ordery. Z lewej strony baretki, z prawej strony ordery. Taki widok bardzo pasował mi do wyobrażenia o zapomnianym radzieckim weteranie.

Szczególnie aktywnym naszym rozmówcą był wysoki, wyglądający na czterdziestolatka inny mieszkaniec Łaj-Bułaku. Jego imienia, niestety, nie zapamiętałem. Samorzutnie zaproponował, że pokaże nam Łaj-Bułak, chętnie zaczął odgrywać rolę przewodnika.

Ze swojej strony usiłowałem naturalnie rozpoznać punkt, w którym mogła mieszkać Mama przed sześćdziesięciu laty. Przecież tyle razy słuchałem Jej opowieści o różnych aspektach pobytu w tym miejscu. Moje usiłowania pozostały bez sukcesu.

Bardzo nalegałem na naszego przewodnika, by pokazał mi *kiziak*. Niezwykle go dziwiło to moje zainteresowanie takim banałem. Śmiał się i pytał, dlaczego to łajno tak mnie interesuje. Odpowiedziałem, że bardzo wiele dobrego o *kiziaku* słyszałem od Mamy, że jego walory pozostały w opowieściach jako niezwykle cenne, a ta cenność szczególnie wyrazista była w zimie. Dotarliśmy w końcu do jakiejś dość niechlujnie utrzymanej zagrody (prawdę mówiąc, dobrze utrzymanych zauważyłem bardzo niewiele) i przewodnik wskazał na ponad dwadzieścia grubych dysków, które stały ustawione niemal na sztorc przed nader niestarannie skleconym pomieszczeniem dla owiec. „Andriej, smotri – wot on” – objaśnił nie bez pewnej emfazy. Natychmiast naturalnie zrobiłem zdjęcie.

W sąsiedniej zagrodzie koło sporego kwitnącego krzaka bzu siedziało dwóch starszy Kazachów. Zapytałem ich, czy może wiedzą coś o Saukenie Kazachanowie, który w czasie wojny był dyrektorem sowchozu. Wyraźnie byli zadziwieni. „O kurde, ty znasz Kazachanowa?” – dopytywali się. „Ależ nie” – odpowiedziałem – „moja Mama, która mieszkała tutaj w Tas-Bułaku ponad sześćdziesiąt lat temu opowiadała mi o nim jako o porządnym człowieku”. Twarze im się wydłużyły i zaczęły kiwać głowami. „Nie ma już Kazachanowa, umarł pięć lat temu” – powiedzieli prawie jednocześnie. „A może wiecie coś o *wraczu* Agiejewie?” – dopytywałem się dalej. „I *wracza* Agiejewa też znasz?” – popadli kolejny raz w zdumienie... „On również nie żyje” – i kolejny raz kiwać zaczęły głowami. Zaraz potem jeszcze raz kazali sobie dokładniej tłumaczyć, skąd ja właściwie przyleciałem do Kazachstanu.

Udało mi się obok *kiziaku* łatwo ustalić jeszcze jeden element krajobrazu znany z opowieści. Był to płynący przez Łaj-Bułak strumyk, który w pewnym momencie przekraczaliśmy po drewnianej kładce. Mama opowiadała, że w zimie zamarzał prawie całkowicie, a wyrąbywany z niego lód zużywany był już w płynnej postaci wedle codziennych potrzeb mieszkańców. Gdy przechodziłem nad tym strumykiem,



Szosa z Taskeskenu do Urdżaru. Skrzyżowanie z drogą do Tas-Bułaku

wyglądał raczej jak kanał ściekowy i w żaden sposób nie mogłem go sobie wyobrazić jako rezerwuuar wody do codziennego użytku dla ludzi.

Czas naglił, trzeba było jechać do Tas-Bułaku. Nasz starający się samozwańczy przewodnik dostał honorarium w wysokości 3000 tenge, czyli równowartość 20 USD. Pewnie było to dla niego sporo, bo zęgnął się z nami wylewnie.

Wyjechaliśmy znowu na asfaltową szosę. Bardzo prędko dojechaliśmy do pobliskiego skrzyżowania, na którym należało skrócić z szosy na prawo, na gruntową drogę prowadzącą do odległego o 18 kilometrów Tas-Bułaku. Na skrzyżowaniu zatrzymaliśmy się, by zrobić zdjęcia.

Po bardzo krótkim postoju zjechaliśmy z szosy i ruszyliśmy wznoszącym się, czasem znacznie, nieutwardzonym traktem. Był słoneczny ciepły dzień. Chwilami z powodu złej nawierzchni drogi jechaliśmy bardzo powoli. Wypatrywałem opisywanego mi przez Mamę pola z przeogromnymi głazami, z których jeden, łatwo rzucający się ponoć w oczy podróżującym, miał do złudzenia przypominać formą monstrialnego żółwia z wgłębieniami na pancerzu. Faktycznie, zaraz po prostym odcinku drogi prowadzącym od szosy, w dość szerokim wąwozie, spostrzegłem po lewej stronie pole z głazami. Szukałem wzrokiem „żółwia”, ale go właściwie nie znalazłem. Owszem, jeden z ogromnych kamieni mógł przy znacznej dozie wyobraźni pasować do opisu Mamy. Ja nie byłem jednak w stanie wykrzesać w sobie poziomu wyobraźni podobnego do poziomu wyobraźni mojej rodzicielki. W pewnym momencie wjechaliśmy na płaskowyż, zaczęliśmy łagodnie zjeżdżać w dół szerokim



Szosa z Taskeskenu do Urdżaru. Skrzyżowanie z drogą do Tas-Bułaku. Od lewej: Andrzej Obrębski, Michał Meissner

w tym miejscu szutrowym traktem. Dojechaliśmy w końcu do wysokiego uskoku, z którego widać było dość rozległą dolinę i ciągnące się wzdłuż niej zabudowania Tas-Bułaku. Zatrzymaliśmy się, by na zdjęciach utrwalić panoramę doliny i piętrzące się za nią wzniesienia należące do pasma Tarbagataju. Patrząc na to pasmo dość wysokich, zielonych i bezdrzewnych wzniesień, odczułem znowu rodzaj zawodu. W opowiadaniach Mamy Tarbagataj był wyższy...

Droga skręciła w lewo i dość ostro zaczęliśmy zjeżdżać po zboczu doliny w kierunku zabudowań. Zatrzymaliśmy się, jak nam się wydawało, w centrum osady, w pobliżu sklepu. Naturalnie nie omieszkałem wstąpić do niego, by zobaczyć, co sprzedaje się w miejscu na pierwszy rzut oka „zapomnianym przez Boga”. Pomieszczenie swoimi rozmiarami i wyglądem przypominało charakterystyczne dla okresu peerelowskiego geesowskie wiejskie sklepy, w których znaleźć można było artykuły spożywcze, odzież, rowery, gwoździe, kosy, osełki, czyli szwarc, mydło, powidło i różne delikatesy. Moją uwagę zwróciła sprzedawczyni, była bardzo ładna, szkoda tylko, że bardzo siermiężnie odziana.

Gdy skończyłem lustrację *ławki*, czyli sklepu, a Michał i nasi koledzy rozglądanie się po najbliższej okolicy, zaczęliśmy konnego Kazacha i Marat zapytał go, gdzie może mieszkać Małkora. Najwyraźniej nasi koledzy zainteresowali się wydarzeniami, które miały miejsce w Tas-Bułaku ponad sześćdziesiąt lat wcześniej. Opowiedziałem im o tych wydarzeniach po wyjeździe z Ałma Aty.

Otóż Mama opowiadała mi, że w trakcie pobytu w Tas-Bułaku najwyraźniej wpadła w oko „nawet” przystojnemu Kazachowi, który nazywał się Małkora. Kazach nękał Mamę zapewnieniami o swoim szczególnym afekcie do Niej, oświadczał się na różne sposoby, malował wspólną przyszłość jak najróżowiej. Mama, nieco ponad dwudziestoletnia wówczas panna, niezmiennie odmawiała, wytaczając najrozmaitszego kalibru przeszkody i mówiła namolnemu absztyfikantowi generalnie: nie! W opowieściach ustnych Mamy żył, ale w relacji spisanej nie został wspomniany. W dniu 18 maja 2003 roku zdarzała się jedyna w swoim rodzaju okazja do podjęcia próby ewentualnego spotkania z niefortunnym zalotnikiem.

Ku mojemu zaskoczeniu zagadnięty przez Marata konny Kazach kazał jechać dalej drogą, po której właśnie poruszaliśmy się wzdłuż niezbyt gęstych zabudowań. Dojechaliśmy prawie do zachodniego krańca Tas-Bułaku i Marat wszedł przez furtkę na teren wskazanego przez Kazacha gospodarstwa. Dłuższą chwilę bawił wśród zabudowań. Niezmiennie ciekaw jestem, o czym w istocie rozmawiał z gospodarzami. Gdy on spełniał rolę naszego posłańca, ja oglądałem od zewnątrz zaniedbane otoczenie obejścia. Marat wyszedł na drogę i zaprosił nas na podwórze. Przywitaliśmy się z dwójgim starszych ludzi. Jak się po niedługiej chwili okazało ponad osiemdziesięciolatków. Mężczyzna nie miał lewej ręki, amputowano ją przy ramieniu. Małego chłopca, który był przy nich, niezwłocznie obdarowaliśmy batonikami „Mars”. Słodkości widać spodobały mu się, bo za chwilę zaczął sobie i nam coś podśpiewywać. Marat krótko opowiedział o Michale i o mnie, a także o tym, że przyjechaliśmy obejrzeć miejsce, w którym w latach czterdziestych były nasze matki. Rozmowna okazała się kobieta. Po niedługiej chwili Marat zwrócił się do mnie, bym opowiedział swoją historię. Bodaj w tym momencie do nas i do siedzących na ławeczce pod ścianą domu podeszło jeszcze troje znacznie młodszych ludzi, niewątpliwie kolejnych członków rodziny. Gdy zacząłem opowiadać, bezręki Kazach przeniósł się na inną pobliską ławkę opartą o płot małego ogródka. Ja starałem się opowiadać jak najlepiej umiałem, stara Kazaszka słuchała z zainteresowaniem, Kazach też słuchał, ale w jego oczach nie widziałem przyjaznych uczuć. Miałem wrażenie, że patrzył na nas raczej wrogo. Kilka razy nawet starałem się zajrzeć mu w oczy i byłem coraz pewniejszy, że sympatii u niego nie znajdę. Przed rozpoczęciem opowieści jeszcze raz przedstawiłem się. Kazach nie zrewanżował się podaniem swego imienia. Dopiero później, już w trakcie drogi powrotnej do Ałma Aty, dowiedziałem się od Marata, że Małkora ma na imię Asanbaj. Natomiast żona Asanbaja powiedziała nam, jak ma na imię, i nawet zdradziła, że ma już 84 lata.

Gdy skończyłem, Asanbaj nie zaprzeczył faktom zawartym w mojej opowieści, nie próbował też jej ewentualnie jakoś skorygować. Powiedział tylko, że nie jego,



ale jego brata dotyczą fakty, o których opowiedziałem. Brat, którego imienia zresztą nie wymienił, miał umrzeć w 1957 roku. Próby wydobywania jakichś bliższych szczegółów o tym bracie speliły na niczym. Asanbaj po prostu przestał się odzywać. Po polsku zgodziliśmy się z Michałem, że nie ma sensu drażnić tematu, bo możemy zrobić jakichś kłopotów. Asanbaj miał coraz chmurniejsze spojrzenie. Z jego punktu widzenia musiała się dziać jakaś rzecz niesłychana. Oto z Europy, z odległości kilku tysięcy kilometrów, pokonując trasę z Ałma Aty, zjawia się pięćdziesięcioletni syn Marusi, którą brat w latach czterdziestych chciał uczynić jego bratową, i wypytuje o kontekst spraw dawno pewnie wyblakłych... Marat w drodze powrotnej do Ałma Aty powiedział mi o swoim przeświadczeniu, że to właśnie Asanbaj był starającym się o względy mojej Mamy, lecz z jakichś powodów owe starania przypisał swojemu bratu. Tak czy owak w drodze powrotnej byłem powodem rozbawienia dla pasażerów busa, którzy próbowali dowcipkować: „Andrzej, ty z tej Polski przyleciałeś w końcu tych parę tysięcy kilometrów, by poznać swojego tatusia, ha, ha, ha”.

Po wizycie u Małkory przejechaliśmy na przeciwległy, wschodni kraniec Tas-Bułaku. W pewnym oddaleniu od zabudowań mineliśmy najpierw usytuowany po lewej stronie drogi dość duży *mizar*, potem, nieodległy od niego niewielki cmentarz prawosławny, na którym ostatnie pochówki dokonano w latach 70. XX wieku. Zatrzymaliśmy się na pokrytym niekoszoną trawą płaskim terenie wyglądającym jak duża łąka. W oddali na zboczach gór widać było tu i ówdzie łachy śniegu. Widok gór nieco zasłaniały nam wysokie podmurówki jakiejś niewątpliwie długiej budowli, której realizację porzucono niedługo po rozpoczęciu. Te podmurówki są widoczne na obrazie satelitarnym również obecnie, w 2011 roku. Trochę się zachmurzyło. Marat i Anwar rozpoczęli wyjmowanie z samochodu pojemników i pudełek z naszymi zapasami. Była cisza, którą zakłócał tylko *udod*, czyli dudek, swoim niskim, dobrze słyszalnym „up-up-up”. Innych ptaków nie było słychać.

Ruszyłem na pokrytą trawą przestrzeń pomiędzy cmentarzami. Na chwilę musiałem zostać sam, by porozmawiać... Po śmierci Mamy w 2001 roku nawet w najbardziej szalonych marzeniach nie przyszło mi do głowy, że będę w miejscu, o którym tyle wiedziałem z opowieści rodzinnych, z opowieści Mamy.

Nie wracałem najkrótszą drogą do miejsca, z którego odszedłem. Idąc, kłuczyłem po północnej części płaskowyżu więcej niż kilkadziesiąt kroków od miejsca, w którym zatrzymaliśmy się. W pewnej chwili dostrzegłem leżący w dość wysokiej trawie zmurszały niewielki krzyż. Obejrzałem go uważniej. Z całą pewnością nie był to krzyż zrobiony przez prawosławnych. Rozejrzałem się dookoła i spostrzegłem, że wśród trawy znajdują się niewielkie, niewidoczne z daleka, usypane niewątpliwie planowo kopczyki. Niewielki krzyż, akurat taki, jaki stawia się na katolickich mogiłach, dał mi powód do myślenia, że stoję na miejscu, w którym grzebano lwowian deportowanych i zmarłych w Tas-Bułaku. Niewątpliwie znajdowałem się na cmentarnej w szerszym sensie części Tas-Bułaku. Świadczyły o tym dwa pobliskie, widoczne z daleka cmentarze. Mogło to być zatem miejsce pochówku między innymi znanej mi z opowiadań owej sześciolatniej dziewczynki chorej





Zapewne cmentarz deportowanych w Tas-Bułaku

w zaawansowanym stadium na gruźlicę, załadowanej wraz z matką do *eszelonu*, być może stałem nad grobem zmarłej właśnie w Tas-Bułaku ciotki Ali Bober... Zastanawiałem się, czy był tu już ktoś z deportowanych w 1940 roku, czy też może ktoś z potomków deportowanych, ktoś taki, jak Michał, jak ja. Zastanawiałem się, czy znajdzie się jeszcze ktoś, kto tu kiedyś zajrzy.

Po zbyt krótkim dla mnie postoju (żałowałem, że nie było już czasu na odwiedzenie Dżyldykary) i zjedzeniu kolejnej porcji zapasów przygotowanych przez Natalię ruszyliśmy w drogę powrotną do Alma Aty. Tuż przed wjazdem na szosę A356 na wertepach drogi z Tas-Bułaku nasz minibus stracił tylny błotnik. Na piechotę wróciliśmy, by go poszukać. Z odzyskanym *bumperem* wracaliśmy koło przydrożnego źródła i rosnącego przy nim sporego krzaka przypominającego krzak wierzbowy. Jego gałęzie przystrojone były licznymi, różnokolorowymi gałgankami. Widok był osobliwy. Naturalnie zapytałem o przyczynę takiej strojności. Powiedziano mi, że przyczyna leży w wierze miejscowych. Otóż wedle powszechnego przeświadczenia źródło ma niewątpliwe właściwości czarodziejskie. Zawiązanie gałganka na gałęzi krzaka daje szansę osobie przywiązującej ów gałganek na spełnienie określonego życzenia. Bezwzględnie podarliśmy więc mój podkoszulek na paski i ozdobiliśmy tymi paskami gałęzie.

Do hotelu w Ałma Acie po dwudniowej wyprawie do urdzarskiego rejonu przyjechaliśmy krótko przed północą. Michał i ja pożegnaliśmy się z Sieriozą i Igorem. Z pozostałymi mieliśmy spotkać się następnego dnia.

Wczesnie rano 19 maja Michał poszedł wypełniać swoje służbowe obowiązki, a mnie jego firma oddała do dyspozycji samochód wraz z kierowcą. Mogłem przez kilka godzin poruszać się po mieście wedle własnej marszruty. Poprosiłem kierowcę, by mi pokazał starą część Ałma Aty. Potem przejeżdżaliśmy przez ulice, przy których obok starej zabudowy widać było realizowane w różnym stopniu zaawansowania liczne inwestycje znacznie odbiegające swą wielkością i rozmachem budowlanym od otoczenia. Kierowca nie bez pewnego sarkazmu skwitował te widoki stwierdzeniem: „tu nasi «nowi Kazachowie» budują swoje pałace”. Mówiąc o „nowych Kazachach”, miał na myśli rodaków, którym udało się zrobić karierę po roku 1991, czyli od momentu rozpadu Związku Radzieckiego i powstania Republiki Kazachstanu. W trakcie niezwykle interesującego dla mnie objazdu różnych miejsc w mieście wstąpiliśmy do supermarketu, w którym kupiłem kumys dla koleżanek z pracy. Gdy komentowałem wyposażenie i różnorodność oferowanych w tym supermarkecie towarów, towarzyszący mi kierowca powiedział, że nie odwiedza takich miejsc, ponieważ „nie są one na jego kieszeń”. A przecież powszechnie utrzymuje się, że w supermarkecie kupuje się taniej niż gdzie indziej. Gdy przy okazji pytałem go o warunki pracy i wynagrodzenie, zechciał wymienić tylko jeden pozytywny składnik swego zajęcia. Wymienił mianowicie jego stabilność. O innych najwyraźniej nie chciał mówić, więc nie nalegałem na zwierzenia.

Poprosiłem mojego przewodnika i kierowcę w jednej osobie, by mnie zawiózł do Kazgradu, czyli do kampusu Kazachskiego Narodowego Uniwersytetu im. Al-Farabiego. W piętnastopiętrowym głównym gmachu zwiedziłem przede wszystkim fakultet filologiczny. Wnętrze monumentalnej budowli kojarzyło mi się swoim wystrojem z polskimi wieżowcami z lat 70. XX wieku. Niezapomnianych wrażeń doznałem przy okazji wizyty w losowo wybranej, ogólnodostępnej wielokabinowej toalecie. Po raz pierwszy widziałem tak brudny i zrujnowany tego rodzaju przybytek, który przeznaczono dla odwiedzających i na co dzień korzystających z bądź co bądź głównego obiektu uniwersyteckiego (i o którym zbyt długo niewątpliwie zapomiano). Budynek kampusu pięknie prezentowały się pod oświetlonymi ostro promieniami słońca ośnieżonymi szczytami Ałatau. Nie omieszkałem obejrzeć z bliska pomnika Al-Farabiego stojącego przy stosunkowo rozległym placu przed głównym budynkiem. Po południu wraz z Michałem i jego niektórymi współpracownikami odwiedziliśmy kilka charakterystycznych miejsc zaliczanych do ałmaackiego i kazachskiego folkloru.

Następnego dnia rano, tj. 20 maja, wraz z Natalią Katunkiną, która spełniała rolę opiekuńczej przewodniczki, odwiedziłem jeden z wydziałów urzędu miejscowej administracji, by kupić jakieś dokładniejsze mapy rejonu urdzarskiego. Byłem trochę zaskoczony, gdy uprzejmie zaczęto pokazywać mi wycofane z użytku służbowego arkusze map sztabowych opublikowanych nawet w 90. latach XX wie-

ku. Wybrałem kilka takich arkuszy, za które zapłaciłem ledwie parę tysięcy tenge. Byłem bardzo zadowolony z zakupu. Gdyby nie obecność w Ałma Acie, zapewne o tych wojskowych mapach mógłbym tylko marzyć.

Po wczesnym obiedzie pojechaliśmy należącym do „Marsa” samochodem do leżącego na wysokości 2260 m n.p.m., oddalonego od centrum Ałma Aty o 25 kilometrów na południe ośrodka narciarskiego Czym-Bułak. Był z nami oprócz kierowcy Jewgienij Suprunenko. Szczęśliwie była bezchmurna i słoneczna pogoda. Patrząc w dół doliny, w kierunku Ałma Aty, widzieliśmy obiekty należące do „Medeu” – kompleksu stadionowego służącego łyżwiarstwu. Za nami błyszczały w słońcu ośnieżone szczyty Ałatau Zajlijskiego.

Nieco po północy 21 maja zostałem odwieziony samochodem na lotnisko. Towarzyszył mi Michał, który miał zostać w Ałma Acie do następnego dnia. Czekał go lot do Moskwy, czyli do kwatery głównej jego ówczesnego miejsca pracy. Po pożegnaniu się z Michałem, w trakcie całkiem gładko przebiegających formalności przed lotem, musiałem opędzać się od dwóch osobników, którzy już w sali odpraw (jak się dostali do tej części strzeżonego budynku?) nachalnie oferowali mi swoją pomoc przy wypełnianiu deklaracji celnej. Szczęśliwie zdołałem uwolnić się od nich przy pomocy 5 USD. Wyglądali, prawdę mówiąc, na takich, którzy mogą mieć większy apetyt walutowy.

Samolot Lufthansy wystartował o godz. 4.15. We Frankfurcie byłem o godz. 6.20. Po kilkudziesięciu minutach, o godz. 7.15, innym samolotem tejże Lufthansy odleciałem do Warszawy. Lądowanie odbyło się o 8.50.

Satysfakcję z wizyty w Tas-Bułaku, którą do dziś gotów jestem w niektórych aspektach traktować jak pielgrzymkę, umniejszał mi fakt, że zebranymi wrażeniami nie mogłem podzielić się z Mamą, która umarła za wcześnie.

*Andrzej Obrębski*



# **POSŁOWIE**





W zasiedlonym wnet po przyjeździe z Kazachstanu do Drawska mieszkaniu przy ulicy Kaliskiej 4 (przy wydatnej pomocy przybyłego również z Tas-Bułaku przedsiębiorczego i empatycznego pana Kmity) panie Nuckowskie nie mieszkały długo. Jesienią 1947 roku przeniosły się z wschodniego krańcu Drawska na zachodni, do większego lokalu, usytuowanego na parterze jednopiętrowego budynku na ulicy Starogrodzkiej 21/1, przy szosie wylotowej w kierunku Szczecina i Kalisza Pomorskiego.

Wśród córek Julii zabrakło w tym nowym mieszkaniu Marii, która jeszcze latem, 16 sierpnia (ślub cywilny 20 sierpnia 1947 roku), wyszła za mąż za trzy lata starszego od siebie Henryka Obrębskiego. Pracowała wtedy w drawskim starostwie powiatowym, w referacie aprowizacji.



Rok 2011. Dom przy ul. Kaliskiej 4 w Drawsku Pomorskim



Dom przy ul. Starogrodzkiej 21 w październiku 1951 roku



Dom przy ul. Starogrodzkiej 21 w lipcu 2010 roku

Henryk, syn Aleksandra (24 września 1892 – 9 września 1964 roku) i Feliksy z d. Gałęckiej, według dokumentów urodził się 16 września 1918 roku w Serocku nad Narwią. Uczył się w Serocku, a także w Warszawie, poma-



Zdjęcie ślubne Marii Nuckowskiej i Henryka Obrębskiego. Drawsko Pomorskie 16 VIII 1947 roku. Siedzą od lewej: Julia Nuckowska, Maria Nuckowska, Henryk Obrębski, Helena Nuckowska. Stoją od lewej: Edward Nuckowski, Janina Nuckowska, Łucja Nuckowska (Lala), Tadeusz Nuckowski

gając wraz z rodzeństwem rodzicom na 10-hektarowym gospodarstwie rolnym. Po śmierci Feliksy Aleksander ożenił się powtórnie – z Józefą. Henryk w roku 1938 został powołany do wojska i znalazł się w 4. Pułku Ułanów w Wilnie. W trakcie kampanii wrześniowej w 1939 roku trafił w Brześciu nad Bugiem do niewoli niemieckiej. Gdy armia sowiecka wkroczyła na tereny polskie, Niemcy zwolnili jeńców i Henryk mógł powrócić do Serocka, z którego tuż po wojnie, w czerwcu 1945 roku, wyruszył na Ziemię Odzyskane. Znalazł pracę w ówczesnej gminie Czanowo, należącej do powiatu gryfińskiego (Czanowo obecnie nosi nazwę Zdroje i stanowi dzielnicę Szczecina). Działał w strukturach gminnego aparatu aprowizacyjnego. Niemal rok później przeniósł się do Drawska, mianowicie w maju 1946 roku zaczął pracę w miejscowym Okręgowym Oddziale Spożywczym „Społem”. W roku 1949 „Społem” w Drawsku przeszło pod zarząd Powiatowego Związku Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. W tej instytucji Henryk przepracował do przejścia na rentę chorobową w roku 1971. Nie dane mu było dożyć sześćdziesięciu lat. Umarł na skutek powikłanej choroby układu krążenia 13 lutego 1973 roku i został pochowany na drawskim cmentarzu komunalnym.

Po ślubie Henryk i Maria zamieszkali na ul. Gdyńskiej 3/6, stanowiącej trasę wylotową z miasta na północ, do Świdwina i Kołobrzegu. Podczas powikłane-

go porodu w dniu 19 lipca 1948 roku umarło ich pierwsze dziecko, Janina. Takie imię zostało wpisane do metryki. W pamięci matki i pozostałego rodzeństwa miała pozostać jako Jola. Dnia 1 października 1949 roku urodził się w Drawsku Andrzej Maria, 8 marca 1952 roku w Stargardzie Szczecińskim Ewa Małgorzata, zaś Bogumił Piotr przyszedł na świat w Drawsku 26 września 1953 roku.

W roku 1955 zaczęło pustoszyć mieszkanie Nuckowskich na ul. Starogrodzkiej 21. Julia wyjechała do Poznania, gdzie zamieszkała u Janeczki, która po studiach znalazła zatrudnienie w poznańskiej dyrekcji Polskich Kolei Państwowych. Helenka po wyjściu za mąż (17 lipca 1954 roku) przeniosła się do nowej siedziby swojej rodziny w pobliskim Jankowie. Łucja studiowała medycynę i mieszkała faktycznie w Szczecinie na ul. Heleny 22. Lokal po Nuckowskich został decyzją Miejskiej Rady Narodowej z 8 października 1955 roku przydzielony Marii i Henrykowi Obrębskim.

Maria do czasu przejścia na wcześniejszą emeryturę w październiku 1978 roku pracowała w kilku drawskich instytucjach. Po odejściu ze starostwa była zatrudniona między innymi kolejno w Powiatowym Przedsiębiorstwie Budowlanym, Drawskich Zakładach Przemysłu Terenowego oraz w Wojewódzkim Zarządzie Inwestycji Rolniczych z siedzibą w nieodległym Złocieńcu. Zmarła na skutek niewydolności krążenia w dniu 20 grudnia 2001 roku w drawskim szpitalu. Pogrzeb odbył się w sobotę 22 grudnia 2001 o godz. 13.00 na miejscowym cmentarzu komunalnym. Trudności komunikacyjne z powodu obfitych opadów śniegu uniemożliwiły siostrze – Helenie z Ostrowca Świętokrzyskiego i Łucji z Bydgoszczy – przyjazd na ceremonię pogrzebową.



Henryk Obrębski jako ułan 4. Pułku Ułanów. Wilno  
3 I 1939 roku



Janeczka, która pojechała do Anglii, by towarzyszyć wracającemu do Polski po wojennej tułaczce ojcu, wyszła w Londynie za mąż 30 listopada 1957 roku za Bolesława Karasińskiego (ur. 11 grudnia 1913 roku). Powracając do męża, który od wojny nie brał pod uwagę możliwości przyjazdu do Polski, wyjechała z Poznania na





Janina Nuckowska i Bolesław Karasiński w dniu ślubu

stała do Londynu 15 sierpnia 1958 roku. W dniu 4 czerwca 1962 roku urodziła syna Jacka Pawła. W listopadzie tego roku odwiedzili ją ojciec i najstarsza siostra Maria. Mieli uczestniczyć w uroczystości chrztu nowo narodzonego. Przyjechali do Londynu autobusem linii obsługującej połączenie tego miasta z Poznaniem. Z powrotem podróżowali 2 grudnia pociągiem z Londynu przez Hoek van Holland. W dniu 1 lutego 1966 roku przyszła Karasińskim na świat córka Marta.

Z powodu choroby nowotworowej Janeczka zmarła w wieku 64 lat w dniu 16 listopada 1988 roku w Londynie. Pogrzeb odbył się 25 listopada na cmentarzu Gunnersbury. Na pożegnalny obrzęd przyleciała samolotem z Polski tylko jedna z sióstr – Helenka.

Bolesław przeżył żonę o kilka lat. Zmarł 31 marca 1995 roku. Na pogrzebie w dniu 12 kwietnia 1995 roku, również na Gunnersbury, była Helenka, a także Michał, syn najmłodszej siostry – Lali.



Lala po ukończeniu w 1958 roku studiów medycznych na wydziale lekarskim w szczecińskiej Pomorskiej Akademii Medycznej odbyła staż w Poznania. Start do

wieloletniej pracy zawodowej miał miejsce 1 marca 1959 roku w Szpitalu Wojewódzkim im. Janusza Korczaka w Słupsku. Lala w przyszłości pracowała kolejno w różnych miejscach w Polsce: w Szpitalu Wojewódzkim im. Mikołaja Kopernika w Koszalinie (od 1 lipca 1965 roku); w Uzdrawisku Świeradów-Czerniawa jako ordynator sanatorium (od 1 sierpnia 1968 roku); w Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Szczytnie, jako dyrektor Państwowego Powiatowego Inspektoratu Sanitarnego (od 1 lipca 1970 roku); w Szpitalu Zakaźnym im. Tadeusza Browicza w Bydgoszczy (od 1 lutego 1971 roku); w Szpitalu Wojewódzkim im. Mikołaja Kopernika w Koszalinie (od 1 grudnia 1974 roku jako ordynator oddziału zakaźnego); w Obwodzie Lecznictwa Kolejowego w Bydgoszczy (od 1 lutego 1979 roku). Na emeryturę przeszła w lutym 1992 roku, ale jeszcze do czerwca 1999 roku pracowała jako lekarz zakładowy w bydgoskich Kolejowych Zakładach Łączności.

Niemal dokładnie dwa lata po osiedleniu się w Słupsku Lala wyszła za mąż za lekarza, Michała Janusza Meissnera, urodzonego w Nowogrodzku absolwenta Akademii Medycznej w Poznaniu. Ślub cywilny odbył się 25 lutego 1961 roku, zaś kościelny 29 kwietnia tegoż roku. Trójka ich dzieci przyszła na świat też w Słupsku: Katarzyna Joanna (31 października 1962 roku), Michał Józef (30 września 1963 roku) i Anna Bogusława (30 sierpnia 1966 roku). Obecnie, tj. w roku 2011, Lala wraz z mężem mieszka w Bydgoszczy.



Zdjęcie ślubne Łucji Nuckowskiej i Michała Janusza Meissnera. Słupsk 29 IV 1961 roku

## INDEKS OSOBOWY

- Abdraszytow, Kazach z sowchozu Myn-Bułak 147
- Abramowa Olga Edwardowna, deportowana z Soczi, zastępczyni głównego księgowego sowchozu Tas-Bułak 80, 168, 174, 186, 190, 225
- Abramowa, matka Olgi Edwardowny 229
- Agiejew Siergiej Afanasowicz, lekarz 62, 71–72, 76, 152, 170, 187–188, 192, 230, 246
- Ajdabuł, Kazach 133
- Akrarow Achmed, współpracownik Michała Józefa Meissnera 239–240
- Ala D., deportowana 169
- Anders Władysław, gen. 50–51
- Aniołkowski Stefan, sekretarz Miejskiego Komitetu Polskiej Partii Robotniczej w Drawsku 204
- Antonow Maryla, deportowana 15, 91, 94, 98, 101, 104–106, 121, 123, 126, 129–130, 134, 147, 168
- Antonow, ojciec Maryli, deportowany 15, 110, 123, 138
- Antonowowa, matka Maryli, deportowana 105
- Antonowowie, deportowani 90, 101, 104, 118, 130, 136, 138
- Baczyńscy, deportowani 98
- Baczyńska Maryla, deportowana 100
- Baczyńska Zofia, deportowana 100
- Baczyńska, generałowa, deportowana 100
- Baczyńskie, deportowane 101
- Bader Grzegorz, deportowany 98
- Baderowa, matka Grzegorza, deportowana 98
- Baderowie, deportowani 99
- Bałęba Halina, deportowana 142
- Bałęba Stanisław, deportowany 142
- Bałębina, matka Haliny i Stanisława, deportowana 139, 142, 150, 152, 160
- Batakanow, traktorzysta 115
- Białkowska, deportowana 98
- Bieszczaninowa Jadwiga, majorowa, deportowana 157, 196
- Bifeld Olga, Niemka 125, 127–129
- Bindebajewa Lidia, Kazaszka, księgowa w Tiki-Bułaku 164, 168
- Bizuń Stanisław, dr, ksiądz, prefekt w liceum we Lwowie 48
- Bober Alicja, deportowana 17–18, 93–95, 97, 117, 150–151, 187, 251
- Bober Wanda, siostra Alicji, deportowana 151
- Bober, ojciec, deportowany 98
- Boberowa, matka Alicji i Wandy, deportowana 98–99
- Boberowie, deportowani 151
- Bokotowa, deportowana 98
- Brzezińska, żona policjanta, deportowana 15, 90, 118, 151
- Ceculin Fiodor, Rosjanin, *czaban* 119, 137
- Ceculina, żona 137
- Chmiel Maria, deportowana 101
- Ciupak Barbara, deportowana 90, 130, 196
- Ciupak Renata, deportowana 90, 130, 196
- Ciupakowa Janina, matka Barbary i Renaty, żona wojskowego, deportowana 51, 90, 100, 105, 130, 136, 196
- Cudna, Kazaszka w Karaczyliku 47, 122
- Cycero Marek Tulliusz, mówca, filozof rzymski 217
- Czupkiewicz, ojciec Izy, deportowany 196
- Czupkiewicz Iza, córka, deportowana 195
- Czupkiewiczowa, matka Izy, deportowana 195
- Czupkiewiczowie, deportowani 98

- Dietzius Aleksandra, koleżanka szkolna Marii i Heleny Nuckowskich 101
- Dobrzańska, matka Ali i Ireny, deportowana 105
- Dobrzańska Ala, deportowana 51, 104, 105
- Dobrzańska Irena, deportowana 51, 100, 104, 105, 110
- Dobrzańskie, deportowane 133
- Dołgich Kondrat Siemionowicz, kasjer sowchozu Tas-Bułak 21–22, 30, 46–47, 131–132, 184–185
- Dudek Jan, deportowany 98
- Dudek Kazimierz, student medycyny, deportowany 98
- Dudek Mila, studentka medycyny, deportowana 98
- Duszkiewicz Janina, deportowana 104, 196
- Duszkiewicz Kazimierz, deportowany 104
- Duszkiewicz Zbigniew, deportowany 104, 134
- Duszkiewiczowa, matka Janiny, Kazimierza i Zbigniewa, deportowana 104, 134, 196
- Dzielendziak Aniela, siostra Józefa Nuckowskiego 16, 91, 101, 173
- Emilianowa, nazwisko starszej córki Weisowej po mężu, Rosjaninie z Dżyldykary 195
- Espenhanowie, deportowani 98
- Filipowna Ema, mieszkanka Tas-Bułaku 229
- Fomina Dusia, Rosjanka, ekspedientka w Łaj-Bułaku 162–163
- Gala, Rosjanka, traktorzystka 74–76
- Garmaszow, Ukrainiec, *uprawlajuszczy* w Łaj-Bułaku 152, 159, 165
- Geib Juliusz, nadinspektor Policji Państwowej 7
- Gizela Henryk 219
- Głowaczow, Rosjanin, *uprawlajuszczy* w Łaj-Bułaku 155
- Gorczak Grzegorz, chrzestny Łucji Nuckowskiej, piekarz 11, 88
- Gorylukowa, żona strażnika więziennego, deportowana 90
- Gorylukowie, deportowani 98
- Gusman, porucznik, 2. Korpus Polski 51
- Hano Antoni, ojciec Anny Nuckowskiej, dziadek macierzysty Julii Nuckowskiej 104
- Hano Katarzyna zd. Stachurska, matka Anny, babka macierzysta Julii Nuckowskiej 104
- Hryniewski Rafał, autor fotografii *tiepluszki* z Białegostoku 14
- Izmajłow Anwar, współpracownik Michała Józefa Meissnera 239
- Janka, synowa Zalewskiej, deportowana 104
- Jarzębińska Jadwiga, dr, polonistka we Lwowie 48, 101–103
- Jaworska, deportowana 98, 104
- Kaczorowski Ludwik, posiadacz ziemski, chrzestny Julii Nuckowskiej 104
- Kaliszczak Danuta, deportowana 17, 51, 93
- Kaliszczak Wanda, deportowana 51, 172
- Kaner, Żyd z Rzęsny Polskiej 198
- Karasińska Marta, córka Bolesława i Janiny zd. Nuckowskiej 261
- Karasiński Bolesław, mąż Janiny zd. Nuckowskiej 207, 260–261
- Karasiński Jacek Paweł, syn Bolesława i Janiny zd. Nuckowskiej 261
- Kasprzak Ludwik, deportowany 98
- Kasprzakowa, matka Ludwika, deportowana 98
- Katia, Niemka, sprzętaczką w Tas-Bułaku 232
- Katunkina Natalia, Kazaszka z Alma Aty 240, 242–243, 251–252
- Kazachanow Sauken, dyrektor sowchozu Tas-Bułak 29, 62–63, 70, 78, 80, 119, 152, 161, 166, 168, 170, 174, 184–188, 224, 227, 234, 246
- Keller Wiera, Niemka, pielęgniarka w Łaj-Bułaku 155–156
- Kiewlak Bronisław, mąż Izy zd. Czupkiewicz 195–196
- Kiewlak Iza, zd. Czupkiewicz 195–196
- Kijanowskie, deportowane 98
- Kisielow, główny magazynier fermy Łaj-Bułak 64–65
- Kisielowa Irina Władimirowna, Rosjanka, nauczycielka w Łaj-Bułaku 153, 156
- Klimczakowa Maria, konkubina traktorzysty Muchomadiewa, Kazacha 194
- Klucznik Bolesław, por. Wojska Polskiego 198–199
- Klucznik Nela zd. Kapuścińska, żona Bolesława Kluczniaka 199
- Kława, komsomołka 141, 143–145
- Kmita, mąż Luby 196, 202–203, 257
- Kmita Luba, Rosjanka z Urdzaru, żona Kmity 196, 202
- Kołbasin, traktorzysta 114
- Konekwa Michał, ksiądz 104
- Korzeniewska, deportowana 98, 104–105, 134
- Kozajew Abaj, mieszkaniec Tas-Bułaku 168

- Kozłow Iwan Stiepanowicz, wykładowca w Semipałatyńsku 144, 146
- Kruk B. z Tel Awiwu, właściciel firmy wysyłającej paczki do deportowanych 158
- Kryłowa Nata, moskwianka, mieszkanka Tas-Bułaku 186
- Kusznieruk, Polak (?), współpracownik Sizowa Wasilija Dymitrowicza 169
- Kuzenko Igor, policjant 239, 244, 252
- Kyszczij Tatiana Dymitriewna, mieszkanka Tas-Bułaku 168
- Lebiediew, *uprawiający* w Dżyldykarze 135
- Lubuško Adam, deportowany 104
- Lubuško Fredek, deportowany 100, 104
- Lubuško Wanda, deportowana 104
- Lubuško, ojciec Wandy, Adama, Fredka, pracownik Urzędu Wojewódzkiego we Lwowie, deportowany 104–105, 198
- Lubuško Zofia, matka Wandy, Adama, Fredka, deportowana 105, 110, 140–141
- Lubuškowie, deportowani 98, 104, 137–138, 195
- Łabęccy, deportowani 98
- Majski Iwan, ambasador ZSRR w Londynie 205
- Małkora Asanbaj, mieszkaniec Tas-Bułaku 249–250
- Mańkowska, deportowana 98
- Marchutowie, deportowani 98
- Maryłka 229
- Matwijowie, sąsiedzi Józefa i Julii Nuckowskich 101
- Mazur Jan, brat Zofii, Weroniki, Marii i Stanisława, deportowany 104, 110, 151
- Mazur Maria, siostra Zofii, Weroniki, Jana i Stanisława, deportowana 104
- Mazur Stanisław, brat Zofii, Weroniki, Marii i Jana, deportowany 104
- Mazur Weronika, siostra Zofii, Marii, Jana i Stanisława, deportowana 104
- Mazur Zofia, siostra Marii, Weroniki, Jana i Stanisława, deportowana 104
- Mazurczakowa, żona strażnika więziennego(?), deportowana 90, 94
- Mazurowa, matka Zofii, Weroniki, Marii, Jana i Stanisława, deportowana 104–105
- Mazurowie, deportowani 108
- Meissner Anna Bogusława, córka Michała Janusza i Łucji zd. Nuckowskiej 262
- Meissner Katarzyna Joanna, córka Michała Janusza i Łucji zd. Nuckowskiej 262
- Meissner Łucja zd. Nuckowska 237, 262
- Meissner Michał Janusz, mąż Łucji zd. Nuckowskiej 262
- Meissner Michał Józef, syn Michała Janusza i Łucji zd. Nuckowskiej 237, 239, 241, 243–245, 248–253, 261–262
- Mielnikow, naczelnik poczty w Tas-Bułaku 98
- Mironenko, pożyczkobiorczyni 227
- Misza, listonosz w Tas-Bułaku 98
- Mołoczkińska, mieszkanka Tas-Bułaku 229
- Mołotow Wiaczesław M. (wł. W.M. Skriabin) w latach 1939–1949 i 1953–1957 minister spraw zagranicznych ZSRR 11
- Nawrot, właściciel firmy wysyłającej paczki do deportowanych 157, 172
- Nowak Anna, matka Elżbiety i Jerzego, deportowana 98
- Nowak Danuta, deportowana 98, 161, 227
- Nowak Elżbieta, deportowana 98
- Nowak Irena, deportowana 98, 161
- Nowak Jerzy, deportowany 98
- Nowak Kazimierz, deportowany 98
- Nowakowa, deportowana 98, 104–105, 134
- Nowakowa, matka Danuty, Kazimierza i Ireny, deportowana 161
- Nuckowscy Michał i Hanna ze wsi Lipniki, wujostwo córek Józefa i Julii 90
- Nuckowscy, Józef i Julia z córkami 7, 224–225, 237, 260
- Nuckowska Anna zd. Hano, matka Julii Nuckowskiej 104
- Nuckowska Helena, córka Józefa i Julii 8, 11–12, 32, 44, 48–49, 51, 58, 62–63, 66, 69–70, 78, 80, 87, 93, 98, 104–105, 107–108, 123, 126–128, 134, 139, 146, 149, 150, 155, 159, 161, 168–170, 173–177, 180, 191–192, 196, 202, 206, 212, 216, 222, 224–225, 227, 230–231, 233–234, 259–260
- Nuckowska Janina, córka Józefa i Julii 11–12, 13, 40, 42, 44–45, 47, 62, 64–66, 69, 81, 87–88, 95, 98, 104, 108, 112, 117, 123, 135, 156, 159, 161, 170, 172–176, 178–180, 199, 201, 207, 211–212, 216–217, 219–221, 223, 225, 231–234, 259–261
- Nuckowska Julia, żona Józefa 7–8, 11–12, 18, 32, 35, 44–45, 48–49, 52, 55–56, 62, 64–65, 69, 76, 78, 84, 87–89, 94, 97–100, 104–105, 107–108, 114, 116–118,



- 123, 126, 134, 136–137, 142, 152, 154, 157–159, 161, 166–167, 170, 172–176, 178–180, 192–193, 195, 199, 202–203, 205–206, 212, 215, 222, 224–229, 232, 257, 259, 260
- Nuckowska Konstancja zd. Nuckowska, babka ojczysta Julii Nuckowskiej 104
- Nuckowska Łucja (Lala), córka Józefa i Julii 8, 12, 29, 31, 44–45, 61–63, 65–66, 81, 87, 95, 98, 104, 109–112, 114–117, 119–121, 123–124, 134–135, 137, 152, 156–159, 161, 170, 172–176, 179–180, 195, 199–202, 206, 211, 215–217, 219, 221, 223–230, 232–234, 259–262
- Nuckowska Maria, córka Józefa i Julii 8, 11–12, 17, 31, 40, 45, 69, 77, 83, 87–90, 93, 98, 101–105, 107–108, 115, 117, 123, 126, 127, 129–131, 135–136, 139, 150, 156, 159, 165, 166, 170–177, 179–180, 182, 184, 196, 199, 202–203, 212, 219, 222, 224–225, 227–229, 231–234, 240, 257, 259
- Nuckowska Salomea, matka Józefa Nuckowskiego 205
- Nuckowska Stanisława, żona Marcina, brata Józefa Nuckowskiego 173
- Nuckowski Edward, syn Karola i Tekli zd. Ryfiak, kuzyn Józefa i Julii Nuckowskich 259
- Nuckowski Franciszek, ojciec Julii Nuckowskiej 104
- Nuckowski Jan, ojciec Józefa Nuckowskiego 205
- Nuckowski Józef 7, 8, 11–13, 16, 18, 51–52, 54, 56–59, 76–77, 81, 87–90, 122, 142, 157–159, 171–173, 175–176, 178–180, 205–206, 212, 215, 222, 224–225, 227, 231, 261
- Nuckowski Karol, ojciec Franciszka Nuckowskiego, dziadek ojczysty Julii Nuckowskiej 104
- Nuckowski Marcin, brat Józefa Nuckowskiego 101
- Nuckowski Marian, syn Michała Nuckowskiego, brata Julii 173
- Nuckowski Michał, brat Julii Nuckowskiej 101, 122, 173–174
- Nuckowski Tadeusz, syn Michała Nuckowskiego, brata Julii Nuckowskiej 259
- Nuralin Kamil, współpracownik Michała Józefa Meissnera 239
- Obrębska Ewa Małgorzata, córka Henryka i Marii zd. Nuckowskiej 260
- Obrębska Feliksa zd. Gałęcka, matka Henryka Obrębskiego 258
- Obrębska Janina (Jola), córka Henryka i Marii zd. Nuckowskiej 260
- Obrębska Józefa, druga żona Aleksandra Obrębskiego 259
- Obrębska Maria zd. Nuckowska 243, 246–250, 253, 261
- Obrębski Aleksander, ojciec Henryka 258
- Obrębski Andrzej Maria, syn Henryka i Marii zd. Nuckowskiej 8, 237, 239, 244–245, 248, 250–253, 260
- Obrębski Bogumił Piotr, syn Henryka i Marii zd. Nuckowskiej 260
- Obrębski Henryk, mąż Marii zd. Nuckowskiej 207, 257–260
- Orzechowska Elżbieta, córka Kazimierza i Heleny zd. Nuckowskiej 207
- Orzechowska Helena zd. Nuckowska 237, 261
- Orzechowska Maria Małgorzata, córka Kazimierza i Heleny zd. Nuckowskiej 207
- Orzechowski Kazimierz, mąż Heleny zd. Nuckowskiej 206–207
- Ostrowska, deportowana 98
- Otrębska, deportowana 104, 126, 134, 196
- Owgumbajew Skak, Kazach 29, 32, 34–36, 47–48, 178
- Pachulicz Danuta, koleżanka szkolna Marii i Heleny Nuckowskich 101
- Papazow Fiodor Dymitrowicz, *uprawiający* w Dżyldykarze i Łaj-Bułaku 23, 38, 42, 67–68, 82, 105, 122–123, 127, 129, 135–136, 152, 165–167, 170, 181
- Paszkowska Tatiana, mieszkanka Tas-Bułaku 168
- Patan Lusja, deportowana 104, 196
- Patan Seweryn, deportowany 63, 104, 110, 117, 125–126, 137
- Patanowa, matka Lusi i Seweryna, deportowana 104–105, 196
- Patryn Maria, chrzestna Julii Nuckowskiej, żona Wojciecha, nauczyciela 104
- Paul Miła Edwardowna, mieszkanka Tas-Bułaku 168
- Pięta Piotr, mieszkaniec wsi Lipniki koło Mościsk 104
- Platon, filozof grecki 217

- Ptaszek, nazwisko Marii Klimczakowej po wyjściu za mąż w Polsce 195
- Pudowoczkina, pielęgniarka w Łaj-Bułaku 153, 156
- Putiatina, Rosjanka, mieszkanka Tas-Bułaku 78, 80
- Rezancow Georgij Konstantynowicz, zaopatrzeniowiec, główny księgowy w sowchozie Tas-Bułak 168–169, 181, 184, 186, 193, 230
- Ribbentrop Joachim von, minister spraw zagranicznych III Rzeszy w latach 1938–1946 11
- Rogala, deportowany/a(?) 98
- Rózewicz Krystyna, deportowana 104, 134
- Rózewiczowa, matka Krystyny, żona policjanta, deportowana 104, 134
- Sarżakow, mieszkaniec Tas-Bułaku 168
- Schmal Lala, deportowana 98
- Schmal Maria, deportowana 98
- Schmalowa, matka Lali i Marii, deportowana 98
- Serikow Marat, współpracownik Michała Józefa Meissnera 239–241, 250
- Sezomow, Rosjanin, mieszkaniec Tas-Bułaku 224
- Sikorski Władysław, gen., premier rządu RP na uchodźstwie 205
- Sizow Wasilij Daniłowicz, Rosjanin, główny księgowy sowchozu Tas-Bułak 160, 167–169
- Skitowa Żenia, córka zastępcy dyrektora sowchozu w Tas-Bułaku 141, 143–145, 148–150
- Skokowa Zoja Aleksandrowna 168, 224, 229
- Skringer Danuta, koleżanka Marii i Heleny Nuckowskich, deportowana 93, 142
- Sochaccy, deportowani 98
- Sotnikowa Tatiana, siostra Nataszy Zubienkowej 193
- Stadniccy, deportowani 98
- Steczyszyn Krystyna, koleżanka Marii i Heleny Nuckowskich, deportowana 51, 93–94, 195
- Steczyszynowa, matka Krystyny, deportowana 94
- Suprunenko Jewgienij, współpracownik Michała Józefa Meissnera 253
- Szakalska Czesława, deportowana 98
- Szefler, Niemiec, mieszkaniec Łaj-Bułaku 161
- Szenderowicz, redaktor pisma we Lwowie 139, 142, 150, 159
- Szenderowicz, syn redaktora 150
- Szewcow Mikołaj, Rosjanin 125, 134
- Szokorymow Zakija, mieszkaniec Tas-Bułaku 168
- Szymańska, deportowana 230
- Tabaczyńscy, deportowani 98
- Tiereszczenko, traktorzysta 115
- Tiulebajew Achmedżer, brat Kabija 37
- Tiulebajew Kabij, *zawchoz* w Dżyldykarze 37–38, 42, 108, 115, 121, 127, 129, 136, 168
- Tkaczew Siergiej, kierowca 239–240, 242–243, 245, 252
- Tomaszewski Jan, ksiądz, od 5 I 1939 do IV 1946 administrator parafii we Lwowie na Batorówce 89, 101, 206
- Trupowa, Niemka 61, 137
- Turzańska, żona leśniczego 11
- Tuzowska Zoja, żona weterynarza w Tas-Bułaku 167, 169
- Tuzowski, weterynarz w Tas-Bułaku 169
- Usałowa Antonina Prokopowna, mieszkanka Tas-Bułaku 168
- Wanda, Polka 34
- Wąsowicz Leopold, deportowany 196
- Wąsowiczowa, matka Leopolda, deportowana 196
- Weis Stanisława, deportowana 104
- Weis Tadeusz, deportowany 104
- Weis Wanda, deportowana 104
- Weisowa, matka Stanisławy, Wandy i Tadeusza, deportowana 104–105, 134, 195
- Wojciechowscy, rodzina organisty, deportowani 98, 141
- Wojciechowska Elżbieta, córka organisty, deportowana 141
- Wojciechowska Feliksa, córka organisty, deportowana 141
- Wojciechowska, matka Elżbiety i Feliksy, deportowana 141
- Wojciechowski, organista z kościoła w Rzęśnie Polskiej, deportowany 90, 141
- Zalewska Janina, kucharka, deportowana 104–105, 111, 115, 126, 137, 231, 233
- Zawratyńska, deportowana 196
- Ziejow, Rosjanin, ogrodnik w Łaj-Bułaku 160
- Zubienkowa Natasza, *owcewod* w Łaj-Bułaku 156
- Żorka, czerwonarmista 80
- Żulińska, deportowana 196

Zestawiła Halina Kasprzak-Obrębska



## INDEKS GEOGRAFICZNY

- Ajaguz, miasto 18, 28, 30, 49, 51, 67–69, 78, 80–82, 94–95, 113, 130–131, 139, 142–143, 149, 151, 153, 160, 164, 181, 187, 193–195, 230–231, 234, 240, 242
- Ajnabułak, miasto 240
- Aktiubińsk, miasto 17, 93, 196
- Aktogaj, miasto 242
- Aktoprak, 4. ferma sowchozu Tas-Bułak 131, 162, 164, 171,
- Ałakol, jezioro 156
- Ałatau Dżungarski, pasmo górskie na pograniczu Kazachstanu i Chin 241
- Ałatau Zailijski, pasmo górskie w masywie Tienszanu 94, 252–253
- Ałma Ata 17–18, 39, 49, 94, 196, 237–240, 242, 245, 249–253
- Anglia 196, 205, 260
- Arałsk, miasto 196
- Arałskie Jezioro 93
- Azja 93
- Bachtı, miasto w Kazachstanie 242
- Bałchasz, jezioro 94
- Batorówka we Lwowie 15, 89–90, 104
- Besarabia 101
- Białoruś 7
- Białystok 14
- Błagodotnoje, miasto 109, 139
- Brześć nad Bugiem 259
- Bydgoszcz 260, 262
- Chełm 84, 198
- Chiny 241–242
- Chojnice 84
- Choszczno, miasto 199
- Czanowo, miasto (obecnie dzielnica Szczecina o nazwie Zdroje) 259
- Czernihów, miasto 7, 88
- Czym-Bułak, ośrodek narciarski w pobliżu Ałma Aty 253
- Czymkent, miasto 17, 94, 196
- Dęblin 198
- Don, rzeka 36
- Dramburg zob. Drawsko Pomorskie
- Drawsko Pomorskie, miasto 82, 84, 195, 199–203, 206–207, 257, 259–260
- Drezno 89
- Dżambuł, miasto 17, 196
- Dżyldykara, 1. ferma sowchozu Tas-Bułak 25–26, 45, 49–51, 56, 60–63, 66, 78, 99, 104, 106, 108, 110, 117–119, 125, 131–132, 134–135, 137–142, 150–153, 155, 157, 165, 171, 178, 181, 195–196, 231, 235, 251
- Esinsu, potok w Tas-Bułaku 21
- Europa 93, 196–197, 250
- Fort Wayne, miasto (Indiana) 237
- Frankfurt nad Menem 237, 253
- Genewa 205
- Granitne, osada w górach, 10–15 km od Łaj-Bułaku 67–68, 165–166
- Griazi, miasto 196
- Hoek van Holland, dzielnica Rotterdamu z przystanią promową 261
- Iran 50–51, 158, 173, 179–180

- Jagodin (pol. Jagodzin), miasto 198  
Jankowo, k. Drawska Pomorskiego 207, 260  
Jarocin, miasto 84, 198–199
- Kair 205  
Kalisz 84, 198  
Kalisz Pomorski, miasto 257  
Karaczylik (Czarne wiadro), *chutor* 45, 47–48, 121–122, 126, 132, 137  
Kaukaz 63, 156  
Kazachstan 7–8, 12–13, 18, 36, 43, 48, 51, 71, 79, 88, 94, 101–103, 115, 120, 151, 186, 195–196, 198, 203, 237, 240–241, 244–246, 257  
Kazachstan, miejscowość 242  
Kazalińsk, miasto 196  
Kijów 7, 17, 88, 92–93, 198  
Kolbuszowa, miasto 94  
Kołobrzeg 259  
Konotop, miasto w Rosji 198  
Koszalin 262  
Kowel 84, 198  
Kozienice k. Lwowa, miasto 198  
Kraków 241  
Kursk, miasto 93, 198  
Kwabanbaj, miasto w Kazachstanie 242  
Kyzyl Orda, miasto 17, 93, 196
- Lgow, miasto 198  
Lipniki, wieś w powiecie Mościska 90, 104, 174, 179, 198, 205  
Londyn 260–261  
Lublin 84, 198  
Lwów 7, 12–15, 18, 87, 90–91, 93, 97–99, 101–105, 150–151, 160, 171, 179, 184, 198, 216, 225, 237, 240, 242
- Łaj-Bułak (Kози Klucz), 2. ferma sowchozu Tas-Bułak 19–20, 26, 28, 30, 35, 41, 44, 49, 60–64, 66–67, 69–70, 76, 79–81, 95–97, 113, 139, 141–143, 150–158, 160–167, 169, 174, 177, 181–182, 187, 192–194, 196, 227, 229, 234–235, 237, 245–246  
Łódź 84, 173, 195  
Ługowoj, miasto 94
- Makańczy, miasto rejonowe w Kazachstanie 139, 242
- Miczurińsk, miasto 93, 196  
Moskwa 94, 253  
Mugodżary, pasmo górskie 93  
Myn-Bułak, sowchoz w pobliżu Tas-Bułaku 51, 127–128, 147
- Nieżyn, miasto 198  
Nowogródek 262  
Nowotroickoje, miasto w Kazachstanie 31, 39–41, 101, 105–110, 139, 170, 222, 234  
Nysa, miasto 206
- Ostrowiec Świętokrzyski 207, 260
- Palestyna 172, 179, 180  
Persja 18  
Piła 199  
Podwołoczyska, miasto 92  
Polska 7–8, 13, 24, 30–31, 48, 50, 79–80, 82, 84, 99, 101, 105, 135, 148, 160, 171–173, 178, 181, 184–187, 190, 194–196, 198–199, 203–207, 223, 241, 243, 250, 260–261  
Poznań 84, 199, 201, 206, 260–262  
Przemysł 199  
Ptiszewo, miasto 196  
Puławy 198
- Radom 198  
Rokitno, miasto 198  
Rosja 17, 93–94, 178, 186, 234  
Rzęsna Polska we Lwowie 15–16, 51, 87–91, 198
- Saratow, miasto 17, 93, 196  
Sarkan, miasto w Kazachstanie 242  
Sarny, miasto 198  
Saryozek, miasto w Kazachstanie 240  
Sasykol, jezioro 240, 242  
Segizbaj (Siedmiu Panów), inna nazwa Tas-Bułaku 21  
Semipałatyńsk, miasto w Kazachstanie 44, 136, 141–143, 145–147, 149–150, 167, 169, 195, 200–201  
Semipałatyńsk, okręg w Kazachstanie 97  
Serock nad Narwią, miasto 258–259  
Skarżysko-Kamienna 198  
Słupsk 207, 262  
Soczi 186  
Stargard Szczeciński 84, 199, 207, 260



- Sybir 94  
Syr-daria, rzeka 196  
Szanggeldi, miasto w Kazachstanie 240  
Szczecin 84, 201, 206–207, 257, 260  
Szczecinek 84, 199  
Szczytno 262
- Świdwin, miasto 259  
Świeradów-Czerniawa, uzdrowisko 262
- Tałydykurgan, miasto w Kazachstanie 240–241  
Tambow, miasto 196  
Tarbagataj, pasmo górskie na granicy Kazachstanu i Chin 95, 97, 243, 248  
Tarnopol 92  
Tas-Bułak, (Kamienny Klucz), centralna osada, centralna ferma sowchozu 7, 21, 23, 37, 41, 51, 53, 56, 59, 61–63, 70, 74, 76, 79, 95, 97–99, 101, 105–108, 110, 113, 118, 126, 130–131, 135, 139, 141–142, 147, 149–152, 157–158, 160–164, 166–171, 173–179, 181, 183–190, 192–194, 215–216, 222–225, 227–235, 237, 246–251, 253, 257  
Taskesken, miejscowość w Kazachstanie 81, 174, 187, 242, 245, 247–248  
Taszkent 196  
Teheran 52, 56, 59, 158  
Tel Awiw 158
- Tienszan, system górski na pograniczu Kazachstanu, Kirgistanu i Chin 94  
Tiki-Bułak (Teke-Bułak), 3. ferma sowchozu Tas-Bułak 18, 151, 164, 174, 187
- Ukraina 7  
Ural 196  
Uralsk, miasto 17, 93  
Urdżar, miasto w Kazachstanie 19, 30, 37, 41, 43–44, 49, 51, 67–70, 79–81, 95, 97, 137, 139–141, 147, 150, 152, 160, 164, 174, 181, 184–185, 187, 193, 196, 224, 227, 229, 231, 235, 237–238, 242–245, 247–248  
Uszaral, miasto 241
- Warszawa 237, 253, 258  
Wilno 259–260  
Wołga 93, 196  
Workuta, miasto 88  
Woroneż, miasto 93, 196  
Worożba, miasto 198  
Wrocław 84, 199  
Zansugirow, miasto w Kazachstanie 242  
Ziemie Odzyskane 199, 204–205, 259  
Złocieniec, miasto 84, 260

*Zestawiła Halina Kasprzak-Obrębska*





Seria „Bibliotheca Jagellonica. Fontes et Studia” przeznaczona jest dla wydań źródłowych, podstawą których są zbiory Biblioteki Jagiellońskiej. Zamierzeniem Redakcji serii jest również ogłaszanie prac naukowych (rozpraw doktorskich, monografii, prac analitycznych, katalogów) przygotowanych przez pracowników Biblioteki.

